

The poster features a large, close-up, teal-tinted face of a woman with her eyes closed, occupying the upper half. Below this, a dark, misty path leads towards a building with a glowing yellow light emanating from a window. A small figure of a person stands on the path. The overall mood is mysterious and dark.

N A T A L I A K A S S A

MARNÓ
TRAWNÍ

Uważaj! Kości zostały rzucone!

NOVAE RES

N A T A L I A K A S S A

MARNO
TRAWNY



NOVAE RES

Dla moich rodziców - to od nich wszystko się zaczęło i trwa.

Dla mojego brata - żeby nie było mu smutno... Dobrze, niech stracę...

Jesteś najlepszym bratem na świecie.

Spis treści

18 sierpnia, niedziela, Chicago

24 sierpnia, sobota, Tokio

26 sierpnia, poniedziałek, Londyn

28 sierpnia, środa, Aniołowo

30 sierpnia, piątek, przedmieścia Moskwy

15 października, Hotel Hommanger, Kanada

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

18 sierpnia, niedziela, Chicago

Cindy Walker skierowała swoją trupioblada dłoń do lodówki. Z rozmachem otworzyła skrzypiące drzwi i spojrzała do jej chłodnego wnętrza z zadowoleniem malującym się na podłużnej twarzy. Na środkowej półce, w dużej szklanej misce, spoczywało piękne, lśniące, świeże mięso. Kościste ręce Cindy delikatnie otuliły zimne, przezroczyste naczynie niczym największy skarb, który mogłaby aktualnie posiadać w swoim małym mieszkaniu na przedmieściach Chicago. Z ogromnym skupieniem, delikatnymi, pełnymi wdzięku ruchami, szczupła wysoka dziewczyna przeniosła miskę na beżowy kuchenny blat. Drzwi lodówki zamknęły się, wydając z siebie grobowy jęk. Po chwili mała kuchnia, oświetlona słonecznym światłem wpadającym przez duże i jedyne okno, wypełniła się słodko-kwaśnym zapachem świeżego mięsa.

Cindy Walker z gracją obróciła się na palcach i podeszła do półki wiszącej tuż nad małą zmywarką. Na półce piętrzyły się stosy starych książek kucharskich i równie stary drewniany gramofon. W wiekowym odtwarzaczu spoczywało nowe wydanie płyty winylowej, na której widniał napis: „Heather Nova - Gloomy Sunday”. Duże i zielone, choć wyblakłe i przekrwione oczy panny Walker skupiły się na igle, która już po chwili, przeniesiona zwinnym ruchem bladej dłoni, zaczęła muskać czarną powierzchnię płyty. Choć Cindy słyszała wiele wersji Gloomy Sunday, ta podobała jej się najbardziej i idealnie pasowała do jej cotygodniowego rytuału szykowania mięsnych cudowności.

Dwudziestopięciolatka ubrana w zwiewną białą sukienkę na cienkich ramiączkach przypominała zjawę poruszającą się niczym baletnica po małej kawalerce. Mieszkanie Cindy składało się z zaledwie siedmiometrowego pokoju dziennego, który pełnił również funkcję sypialni, małej łazienki z prysznicem i toaletą oraz ciasnej

kuchni, w której jednak znajdowało się wszystko to, czego Walker potrzebowała do swojej działalności. Była też ciemna piwnica. Tak ciemna jak wizja samego piekła. Jednak do niej miała wstęp tylko Cindy, a to, co się w niej znajdowało, było jej najskrytszą tajemnicą. Silny powiew wiatru wdarł się przez uchylone okno. Zielona zasłonka sięgająca do połowy uchylonego skrzydła gwałtownie się zakołysała.

W kuchni rozbrzmiały pierwsze dźwięki *Gloomy Sunday*. Panna Walker doskoczyła z gracją do beżowego blatu i z pełną kurtuazją, jak gdyby chciała oddać hołd wnętrzu szklanego naczynia, przełożyła spory kawałek pięknego, kształtnego mięsa na deskę.

Z delikatnie przymrużonymi oczami, niczym w transie, wsłuchując się w otaczającą ją ze wszystkich stron melodię, sięgnęła do metalowej puszki, z której wyciągnęła lśniący nóż szefa kuchni wykonany z japońskiej stali. Magnes w postaci małych słodkich kociaków mocno trzymały się na lodówce. Cindy nie wiedziała, że jest obserwowana. Magnesowe koty bacznie przyglądały się jej pracy. Były jedynymi świadkami coniedzielných kuchenných rytuałów swojej pani, która wcale się tym nie przejmowała. Magnes przeciż nie mogły przemówić ludzkim głosem.

Pierwsze słowa tekstu odbiły się od ścian ciasnej kuchni.

Sunday is gloomy

*My hours are slumberless...*¹

Mięso było delikatne. Cindy z wyczuciem zagłębiła w nie ostrze noża i odcięła pierwszy kawałek. W jednej chwili szklana deska pokryła się bladoczerwonym sokiem. Nóż w jej ręku, niczym batuta dyrygenta, wykrzywiał się w dobrze obmyślany sposób, dzieląc na idealne kawałki dużą porcję mięsa. Sok spłynął na beżowy blat, zamieniając go w krwiste morze. Cindy dalej dyrygowała ostrzem. Nie zauważyła, gdy cienki strumyk podążył własną drogą i ciurkiem, niczym mały wodospad, zaczął opadać na wyłożoną brązowymi kafelkami kuchenną podłogę. Cindy Walker była w transie i nic nie

mogło wyrwać jej z tej idyllicznej chwili. Zapach świeżego mięsa zaczął wnikać wprost do małego spiczastego nosa bladolicyj dziewczyny. Cindy wdychała go łapczywie niczym świeże powietrze, którego mogłoby nagle zabraknąć.

Sunday is gloomy

With shadows I spend it all...

Wciąż powtarzała tę samą czynność. Długie idealne, pasy zaczęła kroić w równe kostki. Nóż zagłębiał się w nie z łatwością. Cindy Walker nie używała zbyt wiele siły. Drogi kuchenny gadżet, który trzymała w dłoni, bez przeszkód brnął przez żyłaste części mięsa. Jasne włosy dziewczyny, sięgające do pasa, delikatnie podrygiwały wraz z każdym zamaszystym ruchem ręki. Gotowe kawałki mięsa trafiały zpowrotem do szklanej miski, która z każdą kolejną minutą była pełniejsza. Ostatni kawałek, ostatni, delikatny i niezwykle precyzyjny ruch ostrzem. Dzieło skończone.

Na beżowym blacie, który lśnił teraz okazale wyblakłą czerwienią, leżała biała porcelanowa miseczka, przykryta szczelnie przezroczystą folią spożywczą. Cindy, pozbywszy się folii, zanurzyła palec wskazujący prawej ręki w jej czeluści. Uniosła go i skierowała do swoich wąskich ust. Wreszcie oblizała go różowym długim językiem, który po chwili zrobił się czerwony. Zapach paprykowej marynaty unosił się w powietrzu, szczypiąc oczy panny Walker. Jej język uwielbiał być torturowany pikanterią. Cindy wiedziała, że ostrość marynaty będzie idealnie pasowała do tego dania. Razem stworzą zgraną całość. Znała się na kuchni, a łączenie ostrych przypraw z mięsem było jej specjalnością. Zwinnym, zdecydowanym ruchem wlała zawartość miseczki do szklanej miski. Blade dłonie Cindy wtargnęły w głąb mięsnej czeluści, dokładnie mieszając jej zawartość. Och tak. Uwielbiała ten moment... Ten czas, gdy czuła w swoich rękach surowe mięso, jego soczystą strukturę. Gdyby mogła sobie na to pozwolić, ta chwila trwałaby dłużej. Piosenka jednak dobiegała

końca, a to oznaczało, że powinna już przejść do ostatniej czynności. Z wielkim żalem malującym się na pociągłej twarzy wyciągnęła dłonie, które za sprawą ostrej marynaty z bladych zmieniły swój odcień na różowy. Następnie odkręciła wodę w stalowym kranie umieszczonym tuż nad jednokomorowym okrągłym zlewem i zmyła z rąk resztki ostrej, oleistej cieczy. Starannie przetarła je kawałkiem papierowego ręcznika i po chwili otworzyła szufladę znajdującą się tuż pod blatem. Jej oczy rozbłysły na widok spoczywających na dnie metalowych szpikulców. Wyjęła wszystkie (łącznie jakieś pięćdziesiąt sztuk) i zaczęła nabijać na nie niedawno przygotowane kawałki mięsa. Piosenka właśnie dobiegała końca.

*My heart is telling you how much I wanted you...
Gloomy Sunday...*

W kuchni rozbrzmiały ostatnie dźwięki utworu. W końcu ramię gramofonu delikatnie podskoczyło do góry i wróciło na miejsce spoczynku. Nastąpiła cisza. Magnesowe koty z przesadnie wyłupiastymi oczami wciąż przyglądały się stojącej do nich bokiem właścicielce mieszkania. Patrzyły, jak ta w pełnym skupieniu nabija po pięć sztuk równych mięsnych kawałków na ostry szaszłykowy szpikulec. Jej ruchy były hipnotyzujące, nieskalane żadnym błędem czy niepotrzebnym wahaniem. Ostatni szaszłyk został ukończony.

Cindy spojrzała na stary zegar z kukułką wiszący tuż nad lodówką. Dochodziła siedemnasta. Była zadowolona. Jak zawsze udało jej się przygotować wszystko na czas. Punktualność była jej atutem. Wreszcie dostrzegła, że jej biała zwiewna sukienka zabarwiła się bladokrwistym kolorem. Miała jednak dość czasu, aby wziąć szybki prysznic i przebrać się w czyste ubranie. Nie czekając, aż dojdzie do łazienki, już w kuchni zrzuciła z siebie poplamioną sukienkę. W przedpokoju zdążyła odpiąć stanik, z którego wyłoniły się małe blade piersi z równie bladymi i ledwo widocznymi brodawkami. Jej

porcelanowa, szczupła i wysoka sylwetka po chwili zniknęła za szklaną szybą prysznicową.

Pół godziny później panna Walker, ubrana w nową jasnoniebieską sukienkę, delikatnie odsłaniającą część jej skromnego biustu, stała w przedpokoju, trzymając w ręku dwie wielkie turystyczne lodówki wypełnione świeżymi szaszłykami. Minęło jeszcze kilka minut, zanim zatrzasnęła za sobą drzwi do mieszkania i zeszła po szerokich schodach z pierwszego piętra. Tuż przed budynkiem, na małym, przynależącym do właścicieli mieszkań parkingu czekał na nią jej największy skarb. Food truck przerobiony ze starego samochodu dostawczego marki Mercedes. Skutecznie przyciągał spojrzenia ludzi, a to za sprawą swojej jaskrawo-czerwonej barwy i ogromnych żółtych napisów po bokach, informujących:

The Great Walker Grill - Fresh meat, good meat

Cindy wsiadła do swojego biznesu na kółkach i odpaliła czerwone cudo. Parking przeszył furkot starego silnika i po chwili ciężarówka z piskiem opon wtargnęła na główną drogę przedmieścia Chicago. Walker gnała teraz ulicami zachodniej części Belmont Avenue, szukając odpowiedniego miejsca, w którym tym razem mogłaby zakotwiczyć swój znany już mieszkańcom miasta food truck. Z widocznym na twarzy niesmakiem minęła Burger Kinga, pamiętając o wytycznych, których musi się trzymać. Te jasno głosiły, że jej knajpa musiała zostać zaparkowana minimum sto metrów od restauracji, a co równie ważne, dwieście metrów od innego dostawcy oferującego podobne usługi. Podobne usługi... Cindy prychnęła pogardliwie pod nosem. Nikt w mieście nie mógł nawet śnić o tym, aby zrównać się z jej geniuszem kulinarnym. Prawo było jednak prawem i nie mogła go przeskoczyć. Niekiedy, przemierzając ulice miasta, czuła się jak dzikie zwierzę walczące o swoje terytorium.

W końcu postanowiła zaparkować swój grillowy biznes zaraz za pierwszym skrzyżowaniem, przy klinice stomatologicznej, która

zdecydowanie nie była restauracją. Okolica z pozoru wydawała się mało atrakcyjna na pozyskanie potencjalnych grillożerców, jednak Cindy wiedziała, co robi. Znała to miejsce bardzo dobrze. Choć jej wóz otaczały głównie stare, dziwnie wyglądające małe domki, to już niedaleko, tuż za rogiem, kryła się kopalnia wygłodniałych klientów. Ogromne centrum handlowe, które w niedzielne późne popołudnie było chętnie odwiedzane przez całe rodziny.

Cindy Walker podniosła metalową roletę swojej ciężarówki, ukazując tym samym duże okienko z szeroką ladą, przez które w każdą niedzielę przyjmowała zamówienia od głodnych, zwabionych zapachami przechodniów. W środku swojej ciężarówki rozpałała duże płyty grillowe, na które wyłożyła część przygotowanych wcześniej mięsnych szaszłyków. Te już po chwili zaczęły skwierczeć i strzelać na wszystkie strony tłuszczem wymieszanym z marynatą. Aromat zaczął nieśmiało unosić się w powietrzu. Walker wyjęła spod lady dużą, rozkładaną tablicę na drewnianych nóżkach. Zwinnymi ruchami ręki wypisała na niej białą kredą:

Grillowany kawał mięsa w bułce: 2\$

Ketchup, musztarda, majonez: GRATIS!

Kup dwie buły - zapłać 3\$!

Napój w puszcze: 0,50\$

Wyraz „gratis” kilkakrotnie pogrubiała. Jej menu było krótkie i rzeczowe. Cindy twierdziła, że dając ludziom minimalny wybór, uwalniała ich od frustrującego aspektu codziennego życia, w którym zawsze trzeba było pomiędzy czymś wybierać. Jej jadłodajnia na kółkach serwowała tylko jedno danie, choć w każdą niedzielę w innej odsłonie. Dzięki temu konsumenci nie popadali w monotonię, a ona mogła szkolić się w przyrządzaniu idealnych mięsnych potraw i być coraz bliżej spełnienia swojego największego marzenia. Panna Walker odpłynęła myślami do chwili, kiedy będzie mogła objąć posadę Kucharza w tym jednym, jedynym miejscu. W miejscu tak zacnym

i upragnionym. Tak bliskim, a jednocześnie tak dalekim. Tak bardzo tego pragnęła...

Nagle ocknęła się z utopijnych myśli, przypominając sobie o bułkach, które przytargała do ciężarówki wraz z puszkami gazowanych napojów i sosów jeszcze przed przyszykowaniem szaszłyków. Podeszła do tylnej części mercedesa i chwyciła za duży, wypchany po brzegi pszennymi bułkami czarny wór. Choć była licho zbudowana, a jej sylwetka większości amerykańskiego społeczeństwa kojarzyła się z totalnym niedożywieniem i zaawansowaną anoreksją, miała sporo siły, którą zawdzięczała codziennemu porannemu joggingowi i jak sama twierdziła, zdrowemu odżywianiu. Cindy była pewna, że wszyscy dietetycy, znając jej definicję prawidłowej diety i zdrowej żywności, popukaliby się solidnie w czoło, a ją samą odesłaliby do zakładu psychiatrycznego. Ona jednak wiedziała swoje i twardo trzymała się ściśle określonych zasad.

Właśnie położyła kilka bułek na opiekaczu, gdy jej stary zegarek marki Casio zapikał wyraźnie zużyтым głośnikiem. Wybiła osiemnasta. Jej nozdrza rozchyliły się i Cindy poczuła pierwsze, delikatne zapachy grillowanego mięsa. Uśmiechnęła się sama do siebie. Rozejrzała się wokoło, upewniając się, czy aby o czymś nie zapomniała, a gdy stwierdziła, że wszystko jest już gotowe, wyszła przed swoją jadłodajnię i postawiła pod ladą tablicę z dzisiejszym menu. Ucztę czas zacząć – pomyślała radośnie, wchodząc ponownie do mercedesa.

Nie minęła minuta, a już pierwsi klienci, zwabieni zapachem wydobywającym się z food trucka, ustawili się w kolejce.

- Colę light i jedną bułkę poproszę - złożył swoje zamówienie pierwszy z klientów.

Cindy bez problemu rozpoznała w nim stałego konsumenta swoich wyrobów. Mężczyzna w średnim wieku, z wielką łysiną na czubku głowy, ubrany w szerokie, markowe dresy sięgnął do kieszeni, aby wydobyć z niej odliczoną kwotę.

- Dzisiaj na koszt firmy - zwróciła się do niego Walker melodyjnym i delikatnym głosem, wychylając się zza lady.

Mężczyzna mógł przez chwilę spojrzeć w jej dekolt, przez co trochę się zaczerwienił. Łysy konsument był jednym z wielu, którzy co niedzielę szukali po całym Chicago czerwonej ciężarówki z napisem *The Great Walker Grill*, aby zjeść najlepsze mięso w mieście, jednak bardziej od jedzenia przyciągał ich tajemniczy, niesamowity urok samej właścicielki.

- Jest pan moim stałym klientem, a o stałych klientów trzeba dbać - dodała Cindy z uśmiechem, wręczając zamówienie oszołomionemu jej wyjątkowym pięknem mężczyźnie.

Ten bez chwili namysłu ugryzł spory kawałek bułki, zatapiając swoje pożółkłe zęby w soczystym kawałku mięsa. Fuzja smaków zaatakowała jego kubki smakowe.

- Dobrze? - spytała Cindy, wlepiając w niego wzrok.

- Dobrze?! - rzucił głośno w jej stronę, tak aby słyszeli go inni wygłodniali ludzie stojący niecierpliwie w kolejce. - To jest kurewsko zajebiste! - dorzucił kulturalnie, robiąc jej przy okazji dobrą reklamę.

Walker mrugnęła zalotnie w stronę odchodzącego mężczyzny. Miała wobec niego plany. Był jej wybrankiem. Jej upatrzonym stałym klientem, o którego musiała teraz dbać. Gdyby tylko o tym wiedział...

Kolejka z minuty na minutę się powiększała, a w brzuchach zniecierpliwionych ludzi dało się słyszeć odgłosy dzikich pomrukiwań.

- Następny! Co podać? - krzyknęła radośnie, a następnych było tak wielu, że Cindy skończyła swoją pracę o pierwszej w nocy.

Wlokąc się po schodach do domu, Walker czuła zmęczenie, ale i ogromną satysfakcję. Pieniądze, które zarabiała na swoim biznesie, były istotne, bo dzięki nim mogła go wciąż prowadzić, jednak to nie one były najważniejsze. Ogrom powracających do niej klientów i uznanie tych nowych sprawiały, że wciąż miała nadzieję na spełnienie swojego jedyne marzenia. Zmęczona, choć szczęśliwa otworzyła drzwi do małego mieszkania i weszła do środka. Jej lewa stopa odziana w czarną balerinę nadepnęła na coś leżącego na

podłodze. Cindy po omacku wyszukała kontakt znajdujący się tuż przy drzwiach i zapaliła światło. Mały przedpokój rozświetlił się. Dziewczyna spojrzała w dół. Czarna koperta czekała, aż podniesie ją z podłogi. Cindy przez chwilę się wahała, choć sama do końca nie wiedziała dlaczego. Wpatrywała się w tajemniczy list, jakby chciała przeskanować wzrokiem jego zawartość. W niedzielę listonosz nie roznosi przesyłek, dobrze o tym wiedziała. Przez dłuższy moment usilnie próbowała wymyślić, w jaki sposób i dlaczego czarna koperta znalazła się w jej mieszkaniu, i wreszcie...

O mój Boże! Czy to mogło być... czy to już? Czy to TA czarna koperta? No tak! To takie oczywiste! Oczywiste! - myślała gorączkowo. Lewą ręką przykryła swoje wąskie usta, pod którymi zaczął malować się uśmiech ekscytacji. Kręciła głową z szeroko otwartymi oczami, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie znajdowało się tuż przy jej opuchniętych ze zmęczenia stopach. Co chwila wydawała z siebie dziwne pojękiwania, które przypominały stłumiony, szaleńczy śmiech upiornego dziecka. Takiego, które właśnie wstało z grobu i postanowiło wymordować wszystkich napotkanych na swojej drodze ludzi.

Koperta, podłoga, skłon. Cindy wreszcie ją podniosła. Szybko przeszła z przedpokoju do kuchni i usiadła przy małym stoliku, przy którym zazwyczaj jadała posiłki. Na blacie wciąż widniały bladoróżowe plamy, choć teraz były mocno zaschnięte. W pomieszczeniu nadal unosiła się słodka woń surowego mięsa. Na widok swojej podekscytowanej właścicielki magnesowe koty wyteżyły uwagę. Zamilkły na tyle, na ile mogą sobie na to pozwolić lodówkowe magnesy. Cindy drżącymi rękoma obróciła kopertę. Na środku widniał biały napis:

Szanowna Pani C. Walker

Tak zaadresowana koperta upewniła dziewczynę w jej domysłach. Drżenie rąk ani trochę się nie uspokoiło. Nerwowo, choć najdelikatniej jak tylko mogła, odkleiła starannie zalakowaną kopertę.

Spokojnie, Cindy... tylko spokojnie... – próbowała uspokoić samą siebie. Bezskutecznie. Jej serce biło coraz mocniej, zbliżając się do poziomu niekontrolowanej ekscytacji. Zaczęła głośno oddychać, z wysiłkiem łapiąc powietrze. Z czarnej koperty wyjęła małą białą karteczkę, na której widniała odręcznie napisana informacja. Pismo było staranne i bardzo czytelne. Wzrok Cindy spoczął na tajemniczym liście:

Zaproszenie

Szanowna Pani C. Walker.

*Pragnę Panią zaprosić na coroczną Świętą Ucztę,
która odbędzie się 20 października
w hotelu Hommanger.*

Cindy czytała wiadomość z rozwartymi ustami. Jej źrenice mocno się poszerzyły, a ona pochłaniała kolejne linijki tekstu.

P.S. Proszę udać się na port lotniczy Chicago-O'Hare dnia 10 października, godzina 10:00 przed południem.

Z poważaniem

A. Patino

Walker wpatrywała się w odręczny podpis u dołu zaproszenia jak zahipnotyzowana. To był jej mistrz. Udało jej się trzeci rok z rzędu zostać zaproszoną na Świętą Ucztę. Ona... zwykła mieszkanka Chicago, Cindy Walker, znów zasiądzie przy wielkim, starym jadalnianym stole. Czy komuś innemu, prócz pełniącego dziś obowiązki Kucharza, udało się dostać trzy razy z rzędu zaproszenie od samego Adolfo Patino?! Cindy poczuła się nadzwyczajnie wyróżniona. Jej nadzieja na spełnienie swojego największego marzenia wzrosła diametralnie. Zaczęła zastanawiać się, czy jej kolejne zaproszenie jest wynikiem tego, że Adolfo Patino upatrywał w niej godnego następcę Stefana Krugera? Miała ogromną nadzieję,

że tak właśnie jest. Była przecież niesamowicie zdolna i oddana swojej pasji. Może tegoroczna Uczta miała być dla niej testem ostatecznym?

Tej nocy nie położyła się spać. Nie posprzątała w kuchni, nie rozmyślała nad menu na następną niedzielę, nie uporządziła bałaganu, który zostawiła w sobotnią noc w piwnicy. Tego wieczoru Cindy postanowiła marzyć, siedząc przy małym stoliku w jej równie małej kuchni. Tylko magnesowe koty z niesmakiem przewracały wielkimi oczami, zastanawiając się, jak ich pani mogła zapomnieć o posprzątaniu tego całego krwistego bałaganu.

¹ *Gloomy Sunday*, kompozytor: Rezső Seress, tekst: László Jávör, tłum. ang.: Sam M. Lewis.

24 sierpnia, sobota, Tokio

Na ogromnym elektronicznym billboardzie zawieszonym tuż nad głowami przechodniów wybiła godzina dwudziesta druga. Zatłoczone ulice Tokio w ten sobotni ciepły wieczór przypominały ogromne mrowisko. Ludzie jednak o tej porze, w przeciwieństwie do mrówek, nie podążali do roboty. Ich celem były głównie restauracje, puby i bary, w których mogli odprężyć się i zrelaksować po całym tygodniu ciężkiej, monotonnej pracy. Wśród przyjaciół, przy dużej ilości alkoholu i dobrego jedzenia, zapominali o przytłaczającej codzienności i ciągłej pogoni za pieniędzmi. Tej soboty dopisali także turyści, którzy gwarnie wylegli na ulice, uzbrojeni w aparaty fotograficzne. Niektórzy z nich mieli nadzieję na niezapomnianą zabawę w którymś z tematycznych pubów, o których tyle słyszeli i czytali. Na tle mieszkańców stolicy Japonii turyści szczególnie rzucali się w oczy. Ubrani w niewyróżniające się stroje, z poprawnymi fryzurami, wyglądali wśród tubylców, jakby pochodzili co najmniej z innej planety lub wskoczyli do tajemniczego portalu, który wypłuł ich do tej dziwnej krainy, której mieszkańcy wyglądali równie dziwnie. Młodzi Japończycy, których wieczorami nigdy nie brakowało na ulicach, przyciągali spojrzenia obcokrajowców. Ogromny różowy jednorożec, o czarnym jak noc, mrocznym spojrzeniu szedł za rękę z małą lolitką, której spódniczka ledwo zakrywała pośladki. Obok nich, w przeciwnym kierunku, przemknął człowiek rekin, którego zęby sterczały wokół czarnych nastroszonych włosów. Przez pasy przebiegła także Czarodziejka z Księżyca, dołączając do reszty swoich wojowniczych koleżanek czekających na nią po drugiej stronie ulicy. Raz po raz strzelały flesze aparatów, a podekscytowani turyści podbiegali to tu, to tam, nie mogąc się zdecydować, kogo uwiecznić na pamiątkowych zdjęciach. Przy jednym ze skrzyżowań mała amerykańska dziewczynka, czekająca wraz z rodzicami na zmianę

sygnalizacji świetlnej, z ogromnym zainteresowaniem przyglądała się postaci wielkiego białego kota, który stał odwrócony do niej plecami. Obserwowana przez dziewczynkę istota wybrednie wybierała napój z automatu, radośnie potrząsając różową torebką w kwiatki. Mała Amerykanka zmrużyła zaciekawione oczka. Przeniosła swój błękitny wzrok z włochatych pleców na głowę kocura. Za kocim uchem dostrzegła kawałek dobrze jej znanej czerwonej kokardki. Twarz dziewczynki nagle się rozpromieniła.

- Hello Kitty! - krzyknęła radośnie, klaszcząc raz po raz w małe, pulchne rączki.

Rodzice, słysząc nagłą i niespodziewaną euforię swojej córki, nie zdążyli się obrócić, gdy ta, uradowana swoim odkryciem, podbiegła do obróconej tyłem postaci i wtuliła się w jej białą milusią sierść. Ten moment, ta jedna chwila zaważyła na reszcie życia małej, niewinnej blondyneczki. Wielki kot obrócił się i spojrzał na coś lepiącego się do jego futrzastych bioder.

- Hello Kitty! - krzyknęła raz jeszcze słodkim głosikiem dziewczynka i zadarła główkę. I wtedy na siebie spojrzeli... Białe, przekrwione oczy z czarnymi kropkami pośrodku utkwily zdziwiony wzrok w małej Amerykance, która teraz zamarła, a z jej drobnej twarzy zniknęły jakiegokolwiek oznaki spontanicznej dziecięcej radości.

Z przodu ta wielka puchata postać nie przypominała już słodkiego kotka z dziecięcego anime. Była jego przerażającą karykaturą o martwym spojrzeniu, krwawych wampirzych zębach i długich szponach. Dziewczynka jeszcze przez moment stała nieruchomo, by wreszcie, jak za dotknięciem magicznej różdżki, popaść w totalną histerię, wylewając z oczu potoki słonych łez. Hello Kitty w wersji hardcore dla dorosłych krzyknęło przepaszająco łamanym angielskim, wymachując szponiastą dłonią, w której trzymało stylową torebkę:

- Ajm sori, weri sori!

Jednak dziewczynka, owładnięta histerią, już tego nie słyszała. Przerażona, wtuliła się w kucającą tuż przy niej matkę, która

bezsukutecznie próbowała ją uspokoić. Gruby Amerykanin dławił się śmiechem, pstrykając co chwile trzymanym w dłoni aparatem. Zdjęcia seryjne i stabilizacja obrazu pozwoliły mu na idealne uchwycenie tej fatalnej pomyłki swojej małej córeczki. W jego ocenie historia ta musiała mieć swoje zwińczenie w rodzinnym albumie.

- *No problem!* - wykrzyknął rozbawiony tatuś, klepiąc puszystego potwora w plecy.

Dziewczynka jeszcze długo nie mogła się uspokoić. Dopiero obietnica podwójnej porcji lodów z wielkim kopcem bitej śmietany zdołała przerwać jej histeryczny płacz. W końcu rodzina przeszła przez pasy i zniknęła za rogiem ozdobionego świecącymi neonami budynku. Od tego dnia do końca swojego życia mała blondyneczka bała się kotów i wszystkiego, co kotopodobne.

Nie dla wszystkich Tokio okazywało się przyjaznym miastem, jednak Gaku Hara nie wyobrażał sobie, by mógł żyć w innym miejscu. Szcupły niski mężczyzna przemierzał dziarskim krokiem dzielnicę Roppongi. Jego ekstrawagancki strój przyciągał spojrzenia wielu napalonych, młodych japońskich kobiet. Z czarnych tenisówek wyłaniały się skarpetki, które z kolei chowały się pod podwiniętymi za kostkę musztardowymi, obcisłymi spodniami. Gaku w ostatniej chwili zdążył przejść przez pasy, dzięki czemu uniknął długiego czekania na właściwe światło wraz z chmarą wrzeszczących turystów. Minął obcego mu mężczyznę w dopasowanym markowym garniturze, który z zazdrością obejrzał się za jego ogromną, skórzaną torbą na ramię, zapinaną z boku na dwie gustowne złote klamry. Choć Gaku nie potrzebował dziś tak dużej torby (miał w niej zaledwie telefon komórkowy i portfel), to jednak nie mógł oprzeć się pokusie, aby nie zestawić jej ze swoim dzisiejszym strojem. Torebka, a raczej torbiszczce, świetnie podkreślała jego styl i klasę, choć dla większości turystów wygląd Gaku był, delikatnie mówiąc, niezrozumiały.

Gaku Hara mijał właśnie lodziarnię GinzaWow, która była znana z serwowania najlepszych deserów w stolicy i która każdego wieczoru pękała w szwach od napływu entuzjastów jej lodów. Japończyk poczuł,

że musi na chwilę zatrzymać się naprzeciw przeszklonego wejścia i rzucić okiem na swoje odbicie. Kompletnie nie zwracał przy tym uwagi na klientów restauracji siedzących przed wejściem pod dużymi parasolami.

Tak, był wielkim narcyzem, jak zresztą większość młodych mężczyzn w Japonii, którzy byli niesamowicie sfeminizowani. To jednak przyciągało do nich japońskie kobiety, które kochały ich delikatny kobiecy wygląd i typowo męskie wnętrze. Uwielbiały w nich te dwa mocno kontrastujące ze sobą światy, które tworzyły dla tutejszych młodych dziewczyn ideał męskości. Dla sporej rzeszy turystów każdy młody Japończyk był gejem, choć był to błędny wniosek. Mało kto potrafił zrozumieć mentalność tego narodu, dlatego tak wielu cudzoziemców z zainteresowaniem odwiedzało to jakże przedziwne państwo.

Gaku zlustrował swoje odbicie od góry do dołu. Torba na tle obcisłej błękitnej koszuli ozdobionej pomarańczowymi pionowymi pasami prezentowała się znakomicie. Mała zielona mucha w czarne grochy sterczała krzywo na kołnierzyku. Hara objął ją szczupłymi dłońmi i szybko poprawił. Lekko przekrzywił swój czarny kaszkiet, spod którego wystawały nastroszone, utlenione włosy. Musiał przyznać, że nowe oprawki okularów, w które zainwestował parę dni temu sporo pieniędzy, dodawały mu nieziemskiego uroku. Uśmiechnął się zawiadaczko do swojego perfekcyjnego odbicia i z niechęcią się z nim pożegnał. Odchodząc, spostrzegł małą pulchną dziewczynkę, która zajadała się ogromną porcją lodów z bitą śmietaną. Gruby mężczyzna, siedzący tuż obok, chrząkał radośnie, majstrując coś przy lustrzance cyfrowej, a towarzysząca mu kobieta z widoczną nadwagą wciągała ze smakiem ogromny kawałek czekoladowego ciasta. Gaku domyślił się, po rozciągniętej do granic możliwości fladze znajdującej się na opiętym T-shircie potężnego mężczyzny, że rodzinka pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. Popatrzył z niesmakiem w ich stronę i oddalił się szybkim krokiem. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego ludzie dobrowolnie doprowadzają się do takiego stanu i do tego bezkarnie

tuczą swoje dziecko jak małą świnkę. Zupełnie nie mógł zrozumieć kuchni amerykańskiej, którą sam omijał szerokim łukiem.

Gaku Hara był smakoszem i zadowalał się tylko jedzeniem wysokiej jakości. Dzięki niemu wciąż wyglądał młodo i miał o wiele więcej siły niż niejeden wysportowany amerykański nastolatek. Szedł dalej dziarskim tempem, mijając co chwilę tłumy ludzi przemieszczających się w różnych kierunkach i szukających swojej stacji docelowej. Turyści, których Gaku bardzo łatwo wyłapywał z tłumu, co jakiś czas byli zaczepiani przez różne dziwne stwory. Stwory, które ochoczo próbowały zaciągnąć obcokrajowców w otchłań reklamowanych przez siebie barów.

Gaku zbliżał się do swojego celu. Gdy mijał market spożywczy Daily Yamazaki, przypomniał sobie, że nie odebrał wczorajszej prenumeraty swojego ulubionego kulinarnego czasopisma. Zakodował w pamięci, że koniecznie musi przyjść tu w poniedziałek. Wreszcie doszedł do budynku, który z zewnątrz wyglądał, jakby poskładano go z kawałków budowli o różnych stylach architektonicznych. Na samym rogu tego jakże śmiesznie wyglądającego wieżowca znajdował się JoloBar. Wielki stwór w postaci słodkiego misia wciągał wszystkie napotkane ofiary do środka JoloBaru, rozdając kupony na darmowe drinki. Turyści nie stawiali żadnego oporu i z ochotą korzystali z zaproszenia. Gaku zwinnie ominął polującego niedźwiadka i skierował swoje kroki trochę dalej, ku łukowatemu wejściu znajdującemu się pośrodku budynku. Małe schodki prowadziły w dół pubu, którego nazwa, Vampirio, żarzyła się neonową czerwienią. Przy samym wejściu stało dwóch umięśnionych mężczyzn. Nie wyglądali jak typowi Japończycy. Z całą pewnością bliżej im było do zawodników walk sumo. Ochroniarze ubrani w czarne uniformy prowadzili selekcję według ściśle określonych wytycznych. Gaku nie chciał, aby jego Vampirio stało się miejscem dla rozszalałego młodzieńczego plebsu nierozumiejącego idei wampiryzmu. Aby dostąpić zaszczytu wejścia w progi jego tematycznego pubu, trzeba było całym sobą

reprezentować określony styl. Ta zasada nie dotyczyła oczywiście jego osoby, a także turystów, dla których był łaskawy i którym pozwalał co jakiś czas zanurzyć się w ciemne, niezbadane tajemnice kultowego na całym świecie Vampirio.

Na widok Gaku dwóch osiłków rozstąpiło się gwałtownie. Wielkie, czarne, dwuskrzydłowe drewniane drzwi otworzyły się i Hara wszedł do równie czarnego korytarza, oświetlonego czerwonymi lampami zwisającymi z sufitu. Do jego uszu zaczęła dobiegać znana melodia. W pubie Gaku próżno można było szukać dyskotekowych utworów. W Vampirio słuchało się tylko muzyki poważnej. Beethoven, Mozart, Czajkowski, Chopin i mroczny Bach. Dźwięki muzyki Lady Gagi, Rihanny i tym podobnych celebrytek nie miały tam wstępu. Gaku doszedł do końca korytarza i stanął naprzeciwko pokrytych bordowym aksamitem drzwi. Zdecydowanym ruchem chwycił za dużą, zdobioną oryginalnymi żłobieniami klamkę. Po chwili bordowe skrzydło uchyliło się, odsłaniając jedno z najmroczniejszych miejsc w całym Tokio.

Sala główna Vampirio nie była duża. Zarówno stałym, jak i nowym gościom od razu kojarzyła się z cmentarną kryptą. Takie też było założenie projektanta. Jej ciemne wnętrze oświetlały gdzieś zainstalowane na ścianach elektryczne pochodnie. Na środku sali z sufitu zwisał okazały, stary, sześcioramienny mosiężny żyrandol. Przymocowane do niego żarówki imitowały zapalone świece. Sala, wypełniona czarnymi stołami w formie trumien, zapraszała przybyłych gości do spoczynku na drewnianych krzesłach obitych czerwoną tkaniną. Długie bordowe kotary przysłaniały każdy skrawek ścian.

Gaku skierował się do baru umiejscowionego naprzeciwko wejścia pod jedną z bordowych kotar. Pub pękał w szwach, dlatego z trudem przedzierał się przez zatłoczoną salę, mijając po drodze kilkadziesiąt najróżniejszych wcieleń wampirów i seksownych wampirzyc. Kilku oszołomionych i podekscytowanych turystów siedziało przy jednym z trumiennych stolików i śliniło się na widok półnagiej tancerki

wyginającej się wewnątrz przeźroczywej kostki zainstalowanej na środku sali. Dziewczyna, ubrana w delikatnie prześwitującą czerwoną bieliznę, przyjmowała przyciągające spojrzenia poży, oblewając się co jakiś czas gęstą czerwoną mazią, która w rzeczywistości była zwykłym jadalnym kisielem.

Gaku dyskretnie sprawdził, czy zatrudniona przez niego nowa tancerka daje sobie radę. Widząc zachwyt w oczach zebranych przy przeźroczywej kostce, stwierdził, że zatrudnił właściwą osobę.

Turyści wiedzieli, że aparaty fotograficzne i inne urządzenia rejestrujące nie będą mogły im towarzyszyć w tym znanym na całym świecie, legendarnym dla imprezowiczów miejscu. Jednak już sam fakt, że mogli tu być i rejestrować wszystko swoimi oczami, im wystarczał. Dzięki temu mieli co opowiadać swoim znajomym, a ich przerysowane historie o legendarnym pubie Vampirio urosły do rangi tych z serii „Niesamowite i niewiarygodne” oraz „Nie uwierzysz, jak nie zobaczysz”.

Nagle do nowej tancerki dołączyła kolejna i po chwili obie doprowadzały do potężnego wzrostu ciśnienia wlepiających w nie wzrok gości, kusicielsko zabawiając się ze sobą. Z głośników, sprytnie ukrytych za ogromnymi starymi obrazami w złotych ramach, wybrzmiała melodia *Toccata And Fugue In D Minor* Bacha. Gaku Hara podszedł do baru i przysiadł na jednym z wysokich stołków, które obite były, oczywiście, materiałem w kolorze krwistej czerwieni. Tuż obok niego dwóch podnieconych angielskich turystów prowadziło ożywioną rozmowę. Gaku przyglądał im się przez chwilę.

- Myślisz, że w tym drinku jest prawdziwa krew? - zapytał blondyn, niepewnie spoglądając w głąb swojego kieliszka do martini. Ten po brzegi wypełniony był czerwoną cieczą.

- Stary... - odparł drugi, którego łysa głowa lśniła wszechobecną czerwienią. - O tym drinku krążą legendy. Jeśli nie wypijesz Krwistego Buziaczka, będziesz żałował tego do końca swoich zasranych dni.

Blondyn uniósł oczy znad kieliszka i spojrzał na kolegę. Musiał się z nim zgodzić.

- No - stwierdził i szybkim ruchem przechylił całą zawartość kieliszka w stronę swoich ust. Po kilku sekundach po drinku nie było ani śladu. Łysy klepnął go z całej siły, ale przyjaźnie w plecy, po czym obaj ruszyli w stronę przezroczystej klatki, aby podziwiać jej ponętną zawartość.

Gaku zniesmaczyła ta sytuacja. Doprawdy nie rozumiał, jak w tak barbarzyński sposób można było wypić podobną ambrozję. Ambrozję, którą trzeba się delektować i którą należy pić małymi łyżkami. Wściekłym wzrokiem odprowadził pijanych Anglików, po czym ponownie odwrócił się w stronę baru. Seksowna barmanka ubrana w krótkie, jeansowe szorty i mocno zaciśnięty czarny gorset uwidaczniający jej piersi lekko się spięła na widok szefa. Wzięła głęboki oddech, odsłaniając przy tym doczepiane wampirze zęby i podeszła do lady.

- *Konban'wa* - przywitała się z Gaku, który odpowiedział jej obojętnym skinieniem głowy. - Panie Hara, mam coś dla pana - dodała drżącym głosem, sięgając ręką pod ladę.

Choć próbowała powstrzymać zdenerwowanie, musiała przyznać, że raczej jej się to nie udawało. Tak bardzo była zakochana w Gaku! Tak bardzo jego widok pobudzał jej serce do większego wysiłku. Tak bardzo na jego widok, każdego dnia, dostawała lekkich drgawek, których nie mogła opanować. Dobrze wiedziała, że była jedną z wielu dziewczyn, które wzdychały do jej szefa, i była przekonana, że Gaku pozostanie jedynie jej platoniczną miłością.

W końcu udało jej się wymacać drżącą dłonią właściwą rzecz. Wyjęła ją spod lady i położyła przed swoim szefem. Gaku, nieświadomy tego, co za chwilę ujrzy, wpatrywał się w biust swojej dwudziestoletniej pracownicy. Choć sam był od niej sporo starszy, zaczął się zastanawiać, czy nie zaszczycić jej jedną upojną nocą.

Jego myśli jednak szybko odpłynęły, gdy przed sobą ujrzał czarną kopertę z elegancko wypisanym białym tekstem:

Szanowny Pan G. Hara

Gaku nie należał do osób, które podniecają się z byle jakiego powodu. Jednak list, który przed nim spoczywał, przyprawił go o lekki zawrót głowy. Barmanka przyglądała mu się z zaciekawieniem. Chyba jeszcze nigdy w swojej dwuletniej karierze w Vampirio nie widziała go tak podekscytowanego. Hara chwycił kopertę i zwinnym ruchem dostał się do jej zawartości. Rozwinął złożoną na pół białą kartkę i omiół wzrokiem znajdującą się na niej informację. Czekał dwa lata na kolejne zaproszenie. Dwa pieprzone lata. Stało się. Dziewiątego października wyruszy w drogę na Świętą Ucztę. Poczł nagły przyływ adrenaliny. Musiał oczyścić się ze wszystkich zbędnych emocji. Podekscytowany, wpakował list do swojej ogromnej torby.

- Masz ochotę na małą przerwę? - spytał zaskoczona barmankę, uwodzicielsko spoglądając na nią zza drogich okularów.

- *Hai...* - wyszeptała zaskoczona dziewczyna.

Chwilę później w prywatnym pokoju na zapleczu Vampirio Gaku zaszczylił młodą barmankę swoją osobą.

Do pubu buchającego gotyckim stylem wszedł biały puchaty kotek, którego pyszczek ociekał horrorem. Usiadł na czerwonym krześle, kładąc swoją gustowną torebkę na trumiennym stole. Spojrzał na tancerki za przeźroczystą szybą i wydał z siebie kocie pomruki zadowolenia. Tego wieczoru zamierzał wypić duże ilości Krwistego Buziaczka.

26 sierpnia, poniedziałek, Londyn

Ekskluzywna dzielnica Mayfair mieściła się w centralnej części Londynu. Umiejscowiona między Oxford Street a Park Lane, uważana była za oazę spokoju dla wszelakiej maści bogaczy, choć od jakiegoś czasu kryła w sobie pewną mroczną tajemnicę.

Dokładnie dziesięć lat temu ekscentryczny bogacz, dziedzic ogromnej fortuny, postanowił wyłożyć osiem milionów funtów na zakup pewnej starej kamienicy. Takie nieruchomości rzadko były sprzedawane, gdyż wiele z nich dzielono na apartamenty, sklepy i restauracje. Jednak niski i gruby, choć wielki w swoim bogactwie Charles Bennett koniecznie chciał mieszkać w tej dzielnicy, lecz niekoniecznie w małym, ciasnym apartamencie. Dlatego też, gdy tylko oferta ujrzała światło dzienne, długo nie zastanawiając się nad ceną, bez jakichkolwiek negocjacji zakupił całą kamienicę w najdroższej dzielnicy Londynu.

Fortuna Bennetta nie była jego osiągnięciem. Dzięki trafnemu pomysłowi swojego dziadka ze strony ojca, który w roku 1895 założył koncern petrochemiczny zajmujący się głównie wydobywaniem gazu ziemnego i ropy naftowej, Charles, nie będąc jeszcze na świecie ani w planach swoich rodziców, już był skazany na bogactwo. Stacje benzynowe Luna z logo w kształcie księżycowego rogała znane były dziś na całym świecie, zapewniając Bennettowi i jego rodzinie stały dopływ ogromnej gotówki. Jako nastolatek wiedział, że czeka go wspaniałe, łatwe życie i nosił w sobie to przekonanie, dopóki nie spotkał swojej drugiej połówki, którą obecnie najchętniej udusiłby we śnie lub spalił na stosie. Zrobiłby to. Zrobiłby to bez mrugnienia okiem, gdyby kara za tego typu czyn nie była aż tak dotkliwa.

Dziś sześćdziesięcioletni Charles ze zgrozą wspominał dzień, w którym na jednym z bankietów urządzanych przez jego rodziców spotkał Cecile. Kobieta, która dziś przypominała jedynie nędzną

karykaturę piękności. Piękności, którą w tamtych czasach w istocie była. Cecile Morris, trzy lata młodsza od swojego męża, w wieku szesnastu lat rozpoczęła rozwijającą się w zawrotnym tempie karierę na londyńskich wybiegach mody. Szczupła, wysoka blond piękność o błękitnych oczach szybko zyskała tytuł modelki dekady, a wielu uznawało ją za symbol swingującego Londynu. Jej kariera przypadała bowiem na okres Swinging London, kiedy angielska młodzież z pełną ufnością i akceptacją przyjmowała wszystko to, co nowoczesne. W wywiadzie przeprowadzonym w 1965 roku Diana Vreeland, która piastowała urząd redaktora poczytnego czasopisma „Vogue”, pozwoliła sobie na stwierdzenie, że „Londyn jest obecnie najbardziej swingującym miastem świata”. W istocie tak też było.

Cecile Morris stała się więc ucieleśnieniem lat sześćdziesiątych. Jej duże błękitne oczy i regularne rysy twarzy budziły zachwyt wśród fotografów, bijących się o choć jedną sesję z tym ucieleśnieniem ówczesnego kanonu piękna. Pojawiała się na okładkach znanych magazynów, takich jak: „Vogue”, „Vanity Fair”, „Harper`s Bazaar”, „Glamour” i wielu innych, których pojedyncze egzemplarze zachowała do dziś, trzymając je w kartonie na strychu ekskluzywnej nieruchomości.

Kamienica, mieszcząca się pośrodku jednej z wąskich ulic dzielnicy Mayfair, wyróżniała się na tle innych budynków delikatnym, kremowym kolorem elewacji. Ozdobiona pięknymi i subtelnymi fryzami oraz ornamentami sprawiała wrażenie niesamowicie kosztownej inwestycji i taką też była. Nad jej wejściem wystawał mały taras, wsparty po obu stronach solidnymi kolumnami. To właśnie na nim stała teraz Cecile oparta o sięgające jej do pasa żelazne barierki. Raz po raz spoglądała w głąb głównej ulicy. Wiedziała, na kogo czeka. Na tego durnia, starego grubego palanta, w którym kilkadziesiąt lat temu zadurzyła się bez reszty. Dziś przeklinała dzień, w którym zjawiała się na tym cholernym, pamiętnym bankiecie. Była gwiazdą wieczoru. Każdy chciał zrobić sobie z nią zdjęcie, uścisnąć jej dłoń. Ona: dwudziestokilkuletnia supermodelka, która nie szukała stałego

związku. Wystarczyła jednak chwila, przeklęty moment, podczas którego spojrzenie jej oraz Charlesa się spotkały i nadarzyła się okazja do tego, by...

- ...ten pierdolony amerek trafił strzałą w dupsko Bennetta - bąknęła pod nosem.

Wtedy Charles nie wyglądał tak źle jak teraz. Był niski, to fakt. Często musiała rezygnować z butów na wysokim obcasie, aby nie wpędzać go w męskie kompleksy. Jednak jego sylwetka była atletyczna, zwinna i gotowa, aby nosić ją na rękach przez cały dzień. Dziś jej mąż wyglądał, jakby pożarł samego siebie z czasów swojej młodości.

Cecile wzdrygnęła się na przywołany w głowie obraz Charlesa. Sama miała świadomość tego, że nie przypomina już supermodelki. Wciąż była wysoka, choć obecnie było to dla niej przekleństwem związanym z silnymi bólami kręgosłupa. Jednak szczupła, idealna sylwetka dawno odeszła w zapomnienie. Jej ciało z każdej strony pokrywała gruba warstwa tłuszczu, która postanowiła uparcie towarzyszyć jej do grobowej deski. Z długich blond włosów pozostały strzępy, które farbowane co miesiąc dawno utraciły swoją miękkość i delikatność. Obecnie krótkie, sięgające do połowy szyi i sztywno ufrizowane w delikatne loki w dotyku przypominały siano.

Cecile wysunęła się lekko w przód, ponownie spoglądając w głąb ulicy. Charlesa jednak wciąż nie było widać. Jej dwukolorowa, biało-czarna sukienka sięgająca za kolana podwinęła się ku górze. Cecile kucnęła, opuszczając ją na właściwą długość, po czym, prostując się, wydała z siebie ciężkie stęknienie. Ogromna opona, która była jej brzuchem, skutecznie utrudniała wszelkiego rodzaju skłony. Jednak jak na ponad sześćdziesiąt lat jej twarz wyglądała bardzo korzystnie. Miała mało zmarszczek, a te, które się pojawiły, sprytnie maskowała delikatnym makijażem. Na jej odsłoniętych obojczykach zwiisał sznur prawdziwych, niesamowicie drogich pereł, które delikatnie odstawały od jej ciała za każdym razem, gdy zniecierpliwiona wychylała się z tarasu, wyglądając swojego męża.

- O! - krzyknęła nagle, wlepiając swój sokoli wzrok w żwawo kroczącą chodnikiem postać. - Idzie ta gnida! - rzuciła do siebie i po chwili zniknęła z tarasu, przemieszczając się z prędkością torpedy do głównego salonu, gdzie planowała swoją zasadzkę.

Mężczyzna był coraz bliżej kremowej kamienicy. Niski, pulchny, w gustownym garniturze oraz z okrągłą jak piłka głową, na której sterczały siwe kręcone włosy, szedł, wesoło wymachując czarną laską. Wracając z baru mieszczącego się tuż za rogiem, Charles Bennett nigdy nie korzystał ze swojej prywatnej limuzyny. Za każdym razem pozwalał sobie na radosny spacer, czerpiąc przyjemność z ostatnich chwil swojej małżeńskiej wolności. Jego ogromna srebrna broda poruszała się sztywno, odporna na silne powiewy ciepłego, letniego wiatru. Z ust zwiniętych w rurkę wydobywała się skoczna melodia. Po chwili nieświadomy niczego Bennett wszedł do swojej ekskluzywnej kamienicy. W środku powitał go wysoki mężczyzna w czarnym garniturze i z ulizanymi, idealnie zaczesanymi do tyłu czarnymi włosami.

- Sir - zwrócił się do Charlesa, odruchowo chwytając jego czarną laskę, którą odwiesił na wielki drewniany wieszak stojący tuż przy drzwiach.

- Jakies wieści, Gustavie? - zwrócił się do swojego lokaja Bennett, przemierzając schody krótkimi nóżkami.

- Tak, sir - odpowiedział mu krótko Gustav, zostając na dole.

Charles przystanął na stopniu, łapiąc przy okazji oddech.

- Idę się czegoś napić. Za pięć minut przyjdź do głównego salonu - poinformował lokaja, po czym kontynuował wspinaczkę po krętych schodach. - Muszę zainstalować tu windę - dodał, sapiąc z wysiłku.

Kupując tę nieruchomość, nie wiedział, że za dziesięć lat będzie przypominał morsa. Ale stało się. Przytył, kondycja uciekła, a jemu było coraz bliżej do zawału serca. W końcu osiągnął szczyt i skierował się w stronę białych, wielkich drzwi. Ciężkim krokiem wgramolił się do środka obszernego salonu.

- No! - usłyszał dochodzący gdzieś z boku tubalny głos swojej żony, gdy tylko zdołał przekroczyć próg. - Gdzie się kurwiłeś tego popołudnia?!

Cecile była zwarta i gotowa, aby dopiec swojej nadgniłej już drugiej połówce. Dobrze wiedziała, że ta stara tłusta świnia śliniła się na widok każdej młodej dziewczyny. Ostatnio doszły ją słuchy, że jej mąż codziennie widywany był w pobliskiej restauracji, w której obsługuje pewna śliczna, młoda blondyneczka. Charles nie skąpił jej ponoć napiwków, a także korzystał z każdej okazji, aby uciąć sobie z tą młodą siksą pogawędkę, podczas której uważnie lustrował jej wnętrze, a raczej zawartość białej koszulki, w którą była ubrana. Pani Bennett miała swoje grono wywiadowcze, które kiedy tylko chciała, dostarczało jej niezbędnych informacji.

Bennett, słysząc oskarżycielski ton swojej małżonki, prychnął pogardliwie, zerknął w lewo, gdzie stała jego rozwścieczona żona, a następnie podszedł do barku stojącego po przeciwnej stronie salonu i wypełnionego po brzegi butelkami drogocennych whisky. Odkręcił jedną z nich i wlał trochę jej zawartości do kryształowej szklanki. Nie miał zamiaru dać się wyprowadzić z równowagi tej przerośniętej krowie. Jednak gdy tylko się odwrócił i ponownie spojrzął na podenerwowaną Cecile, chwycił raz jeszcze za butelkę i napełnił szklankę po sam brzeg. Czymś trzeba było się znieczulić. Upił mały łyceczek, po czym usiadł na czarnej skórzanej sofie.

Siedział dokładnie naprzeciwko żony i patrząc na nią, z każdą chwilą dziwił się sobie, że jeszcze jej nie zabił. No tak... musiałbym iść do więzienia - pomyślał po chwili i uśmiechnął się szyderczo pod nosem.

- Z czego się śmiesz, ty stary zboczeńcu? - krzyknęła tubalnym głosem Cecile. - Myślisz, że nie wiem, gdzie łazisz od dwóch tygodni? Myślisz, że nie wiem, do kogo chodzisz? - powtarzała, wymachując groźnie pulchnym paluchem w jego stronę. - Myślisz, że nie wiem, kto wpadł ci w oko?!

- Jedyne, o czym myślę, to to, głupia kobieto, że powinnaś zacząć się leczyć - odpowiedział jej ze spokojem Bennett, przełykając kolejny, spory łyk whisky. Poczował przyjemne ciepło w przełyku.

Cecile raptownie poczerwieniała na twarzy, zacisnęła mocno pięści i już miała rzucić się na Charlesa, gdy drzwi do salonu się otworzyły.

- Sir? - Gustav wparował do środka, nieświadomy groźnej sytuacji.

Cecile zastygła nad czarną sofą. Charles jednak odprawił lokaja wyprasającym gestem dłoni.

- Jeszcze pięć minut - powiedział w jego stronę i lokaj posłusznie zniknął, pozostawiając dwójkę nienawidzących się małżonków samych. Ta chwila wstrzymała brutalne zamiary Cecile, której twarz zdołała powrócić do naturalnej bladości.

- Siadaj tu, ty głupia babo, i słuchaj. - Bennett wskazał swojej małżonce miejsce obok siebie na miękkiej, zimnej sofie.

Cecile przysiadła z obrażoną miną. Jedyne, czego oczekiwała w tej chwili, to przeprosiny. Charles jednak nie zamierzał jej przeproszać.

- To, że dwa lata temu miałem małą wpadkę z Tatianą, nie oznacza, że łażę po Londynie i podrywam młode dziewczuchy.

Wspomnienie ich dawnej pokojówki spowodowało, że twarz jego żony mocno stężała. Cecile wpatrywała się teraz w męża, a przed oczami migały jej obrazy z niedalekiej przeszłości. Pokojówka sprząta, pokojówka jęczy, pokojówka na starym Charlesie, pokojówka na schodach, pokojówka pod schodami...

Nagle świat przed jej oczami lekko zawirował. Podtrzymała swoje ciało ręką, stabilnie opierając ją o herbaciany stolik stojący tuż przy sofie. Charles popatrzył na nią zaniepokojony, jednak gdy tylko odzyskała jasność widzenia, warknęła:

- Nie przypominaj mi o tej ukraińskiej zdzirze.

- Tatianie - poprawił ją beznamietnym głosem Bennett, dodając: - Po prostu potrzebna nam nowa pokojówka. Dlatego pomyślałem, że Alicja...

- No proszę! Więc tak ma na imię to blond kurwiszczko! - przerwała mu nagle oburzona Cecile. Charles jednak kontynuował:

- Pomyślałem, że Alicja - powtórzył, aby nie stracić wątku - mogłaby zostać u nas nową pokojówką. Niedawno przyjechała do Wielkiej Brytanii. Nie ma rodziny, nikogo bliskiego. Mogłaby... - Charles zawahał się przez chwilę. Widząc jednak ogromne zaciekawienie w oczach swojej żony, dokończył szybko: - Mogłaby popracować u nas jako pokojówka przez pewien czas, a później... no wiesz.

Cecile dobrze wiedziała, co miał na myśli jej głupi mąż. Musiała z przykrością przyznać sama przed sobą, że czasem potrafił wymyślić coś nadzwyczajnie dobrego. Przypomniła sobie tamte chwile, to nowe doświadczenie i poczuła, jak fala podniecenia przepływa przez jej stare, opuchnięte ciało. Może warto to powtórzyć. Może warto się przygotować na czas, gdy wreszcie będzie im dane zagrać w życiową grę? Czy jednak odważy się na to? Pani Bennett biła się z własnymi myślami, nie wiedząc, jaką odpowiedź dać mężowi.

- Cecile, myślę, że oboje tego potrzebujemy - stwierdził Charles, zachęcając żonę do akceptacji jego nowego planu. - Jesteśmy starzy, bezdzietni, otyli, a do tego potrzebujemy adrenaliny, podniecenia, którego sobie już nie możemy dać - usprawiedliwiał swój ponad dwudziestoletni brak jakiegokolwiek seksualnego zainteresowania swoją żoną.

Stary głupiec - pomyślała Cecile, choć była świadoma tego, że jedyne, co jej mąż był w stanie w niej wzbudzić, to ogromne obrzydzenie. Tatiana i schody... W jej głowie odtworzył się właśnie zakodowany urywek filmu z przeszłości.

Niczego nieświadoma pokojówka schodziła po starych schodach po upojnym spotkaniu ze swoim chlebodawcą. Cecile widziała jej szczupłe ciało, zniżające się wraz z każdym kolejnym stopniem. Jej plecy w niewytłumaczalny sposób przyciągnęły silne ręce pani Bennett, która jednym zdecydowanym pchnięciem zrzuciła pieprzoną pokojówkę w czarną otchłań. Trzask pękającej czaszki odbił się echem po korytarzu.

Na szczęście Gustav tego dnia miał wolne, a Charles zaraz po upojnym spotkaniu wyszedł na partyjkę pokera do swojego starego przyjaciela. Cecile mogła działać. Mogła zabić młodą Ukrainkę i to zrobiła. Bez wyrzutów sumienia, po prostu jedno pchnięcie i... tak. Zdecydowanie czuła się bezkarna. Miała prawo ją zabić. Miała prawo odebrać życie tej ukraińskiej kurwie, dlatego to zrobiła. Bez mrugnięcia okiem. Bez zastanowienia. Jej mąż tamtego dnia przyszedł do domu jak zwykle uradowany. Cecile jak gdyby nigdy nic czekała na niego z własnoręcznie przygotowaną kolacją. Co jak co, ale gotować umiała wyśmienicie. Pan domu dowiedział się o wszystkim dopiero po sycącej uczcie. O tym, co zrobiła jego żona. Dowiedział się o czymś, co zmieniło ich nudne życie na zawsze. To był przełomowy dzień, przełomowy wieczór. Państwo Bennett połączyli się na nowo mroczną tajemnicą.

Zdecydowała się. Pomysł jej męża wydawał się sensowny i tak pociągający, że jej jedyną odpowiedzią, którą mogła wypowiedzieć było... Drzwi do salonu ponownie się otworzyły. Gustav, który odczekał dokładnie pięć minut z zegarkiem w ręku, wszedł do środka, niosąc na srebrnej tacy czarną kopertę. Charles miał go już ponownie odprawić, gdy nagle jego wzrok spoczął na liście. Cecile znieruchomiała.

- Sir, list do państwa - rzekł spokojnym, niskim głosem lokaj, podchodząc ze srebrną tacą do zdumionych pracodawców.

Bennett sięgnął ostrożnie po kopertę. Cecile śledziła uważnie każdy jego ruch.

- Czy mogę zatem zakończyć na dziś swoją pracę? - spytał Gustav. Było dokładnie wpół do dwudziestej, co oznaczało, że lokaj był w pracy o pół godziny dłużej, niż miał to zapisane w umowie.

Charles kiwnął głową, zgadzając się, i po chwili Gustav posłusznie opuścił salon. Cecile spojrzała zniecierpliwiona na męża, który ku jej niezadowoleniu ociągał się z poznaniem zawartości czarnej koperty.

- Do jasnej cholery! - wykrzyknęła w końcu zniecierpliwiona, wyrывая mężowi list z ręki. Na czarnej kopercie widniał biały napis:

Szanowni Państwo Ch. & C. Bennett

Cecile niezdarnie rozerwała jej brzeg i wyciągnęła ze środka białą kartkę.

- Charles! - Jej tubalny, podekscytowany głos odbił się od wysokich ścian pomieszczenia. - Zostaliśmy zaproszeni!

Pan Bennett pochwycił biały pergamin w pulchne ręce i w myślach odczytał zawartą na nim treść.

- To oznacza - zwrócił się w stronę równie podekscytowanej żony - że będę miał szansę na pozbycie się ciebie w najbardziej podniecających okolicznościach na świecie. A wiesz, co jest w tym najlepsze? - Charles potarł o siebie swoje grube dłonie. Cecile nie wiedziała, co idiotycznego miał do powiedzenia jej mąż, który widząc jej dezaprobatę na twarzy, szybko dodał: - Nie pójdę za to do więzienia!

Pani Bennett była już jednak myślami gdzieś indziej. Nie słyszała ostatniego zdania swojego głupiego, parszywego męża. Do jej uszu nie docierał także jego świński, ochryply śmiech. Oczami wyobraźni zobaczyła dzień, w którym Charles przegra i kiedy uwolni się od niego na zawsze. Ten dzień zbliżał się nieuchronnie. Ten dzień miał nareszcie nadejść. Dziesiątego października rozpocznie się dla nich życiowa szansa, choć określenie „życiowa” za nic nie pasowało Cecile do wizji zbliżającej się uroczystości. Hotel Hommanger mógł stać się miejscem pozbycia się największego błędu jej życia. Do wnętrza salonu wkradł się wieczorny mrok, który nieświadomie podkreślił upiorną atmosferę.

28 sierpnia, środa, Aniołowo

W małym, ciasnym konfesjonale ksiądz Uchto nigdy nie czuł się komfortowo. Często odczuwał lekką panikę graniczącą z oznakami klaustrofobii. Jednak kilka głębszych oddechów zazwyczaj pomagało mu się uspokoić i zapanować nad stanem ciała i ducha. Tak też było i tym razem. Trzy głębokie oddechy. Szczupły, choć wysoki, przez co ledwo mieszczący się w małej budce ksiądz Uchto, lekko się garbiąc, przeczesał smukłą dłonią swoje sterczące na boki krótkie, niesforne blond włosy. Jego błękitne oczy delikatnie szklily się w otaczającym go mroku. Zająwszy w miarę wygodną pozycję, poprawił swoją stulę i oczekiwał w skupieniu na pierwszego grzesznika.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - usłyszał nagle wydobywający się zza bocznej kratki, tuż przy jego odstającym uchu, szorstki męski głos. Drgnął lekko, wyrwany niespodziewanie z zamyślenia.

- Na wieki wieków amen - odpowiedział, przysuwając głowę tak, aby lepiej słyszeć penitenta.

- Ostatni raz u spowiedzi byłem tydzień temu - wyszeptał grzesznik zachrypniętym głosem. - Obraziłem Pana Boga następującymi grzechami...

Ksiądz Uchto poczuł silną woń alkoholu ulatniającą się z ust spowiadającego się mężczyzny. Lekko się skrzywił i postanowił czerpać powietrze wyłącznie ustami. Na chwilę wyłączył nos, aby nie otumanić się procentowymi oparami. Znowu poczuł ogarniającą go panikę spowodowaną ciasnym pomieszczeniem. Głębokie oddechy, głębokie oddechy... - instruował sam siebie w myślach. W tej samej chwili dopadły go życiowe wątpliwości. Jaki powinien być ksiądz, Piotrze? - zadał sam sobie pytanie. Dobry dla ludzi, miłosierny, charyzmatyczny - wymieniał w myślach, zastanawiając się równocześnie, czy wciąż spełnia te kryteria. Pamiętał dzień, w którym

postanowił iść do seminarium duchownego w Szczecinie. Pamiętał wyraz twarzy swojej matki, gdy powiadomił ją o swojej decyzji. Tak bardzo się wtedy ucieszyła. Rozpłakała się, mocno przytuliła go do siebie i wyszeptała mu do ucha: „Tak uzyskasz przebaczenie, Piotrze”. Ksiądz Uchto, wracając myślami do tamtych lat, zaczął rozumieć, że wybierając drogę duchownego, wcale nie zabił bestii żyjącej w jego wnętrzu. Uciszył ją na chwilę, uspił świętą kołysanką, a teraz wszystko wróciło. Ciało i krew Jezusa smakowały oczywiście wybornie, przemienione podczas mszy, którą odprawiał w każdą niedzielę, ale trapiło go jedno. Czy jego wiara była wystarczająco silna, aby w istocie dochodziło do przeistoczenia? Te wszystkie wątpliwości doprowadziły do obudzenia drzemiącej w nim bestii. Potwora, który ponownie zmusił go do wniknięcia w ten ponury, a zarazem ekscytujący świat. Przerazający głód znów dał o sobie znać. Eucharystia przestała być skuteczną kołysanką. Bestia zbudziła się i nic nie mogło jej powstrzymać. *I poprawę obiecuję... i poprawę obiecuję...* - Zaczął słyszeć w swojej głowie obcy, zachrypnięty głos.

- Ekhm... - głośnie chrząknięcie, otoczone wonią alkoholu, skutecznie sprowadziło go do rzeczywistego świata. - ...i **OBIECUJĘ POPRAWĘ** - odezwał się penitent, tym razem głośniejszymi wypowiedzianymi słowami ostatniej formułki. Był lekko zaniepokojony brakiem reakcji spowiednika.

Ksiądz Uchto odetchnął głęboko (przez usta). Poprawił swoją pozycję na tyle, na ile umożliwiał mu to ciasny konfesjonał. Wreszcie dotarło do niego, że nie usłyszał grzechów klęczącego mężczyzny. Jego błękitne oczy, beznamiętnie wpatrzone w kawałek stuy opadającej mu na kolana, zwęziły się. Postanowił zdać się na tradycyjną formę przemówienia, polegającą na lekkim zastraszeniu skruszonego grzesznika.

- Grzech jest oznaką naszej ludzkiej, ułomnej natury. - Uchto przysunął teraz głowę bliżej kratki, aby jego słowa dotarły wprost do ucha spowiadającego się mężczyzny. Jego głos, choć lekki i melodyjny, był równocześnie silny i zdecydowany. - Chcąc jednak być bliżej Boga

- kontynuował - musimy przez swoje życie upodabniać się do aniołów. Nie czyniąc tego, bliżej nam będzie do wrót piekieł, gdzie ludzkie ciała smażą się w ogniu nieczystym.

Kłęczący mężczyzna słuchał go z rozwartymi ustami, pochłaniając każde jego słowo. Wizja ciała palącego się w ogniu przyprawiła go o dreszcze.

- Dlatego też, aby dążyć do źródła życia, jakim jest Bóg, należy zbliżyć się swoją postawą do istot anielskich. Wiedz, że Pan Bóg wybaczył ci twoje grzechy, a jako pokutę odmów Koronkę do Bożego Miłosierdzia. - Penitent odetchnął z nieukrywaną ulgą. - A teraz żałuj za grzechy... - Ksiądz Uchto zaczął recytować formułę rozgrzeszenia, jednocześnie zastanawiając się, czy udało mu się dobrze zamaskować swoje roztargnienie. - W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. - Nakreślił dłonią w powietrzu znak krzyża.

- Amen - dokończył skruszony mężczyzna i słysząc pukanie, odszedł od konfesjonau, ciesząc się lekkością swojej duszy, która będzie mu towarzyszyć przynajmniej przez kilka kolejnych minut.

Uchto spojrzał na klasyczny szwajcarski zegarek, który każdego ranka zakładał na szczupły nadgarstek lewej ręki. Wskazówki za nic nie chciały przyspieszyć. Minuty wlewały się niemiłosiernie. Zamknięty w konfesjonale, czekając na kolejnych chętnych do oczyszczenia się grzeszników, miał nadzieję, że te dwadzieścia minut dzielących go od zakończenia posługi w cudowny sposób rozplynie się w powietrzu, a na jego zegarku za chwilę wybije godzina osiemnasta. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Kościół był pusty. Ludzie widocznie mieli na ten dzień inne plany niż wyspowiadanie się z ciężących im grzechów.

Ksiądz Uchto zaczął nerwowo skubać skórki wokół paznokci lewej dłoni. W małym miasteczku Aniołowo, liczącym około jedenastu tysięcy mieszkańców, wieść o powrocie niejakiego Piotra Uchto szybko się rozniosła. Mieszkańcy jego rodzinnej miejscowości okazali się bardzo pamiętliwi. Często wspominali to, co wydarzyło się niecałe osiem lat temu. Zresztą historia ta odbiła się echem w całej Polsce, stygmatyzując jego rodzinę zapewne na wieki. Minionego lata Piotr

wkroczył w rodzinne progi swojego miasta jako nowa, oczyszczona osoba. W większości spotykał się z ciepłym, choć pełnym plotkarskiego zainteresowania przyjęciem. Często będąc w sklepie czy spacerując po parku, słyszał za sobą: „To syn Bestii”. Lub też bardziej przychylnie mu opinie: „Biedak, na szczęście wyszedł na takiego zacnego człowieka”. Jednak żadnymi z tych komentarzy się nie przejmował, bo nie opierały się na nawet małym ułamku prawdy.

Z kciuka przy paznokciu zaczęła sączyć się krew. Ksiądz nerwowo oderwał utworzony zadziór i przyłożył palec do ust. Językiem zwinnie zatamował małe krwawienie. Na samo wspomnienie tamtych dni robiło mu się niedobrze. Może niepotrzebnie tu został? Może powinien poprosić o przeniesienie do innej parafii? Może ta fala pokracznych wspomnień z przeszłości przyczyniła się do tego, w jakiej sytuacji się teraz znalazł? Na żadne z tych pytań nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Pokręcił głową, rozglądając się na boki. Grzeszników wciąż nie było widać. Spojrzał ponownie na zegarek. Jeszcze piętnaście długich minut. Kolejna fala wspomnień zaatakowała jego myśli.

To był parny, ciepły sierpniowy dzień. Bardzo podobny do dzisiejszego. Słońce paliło go niemiłosiernie w kark, gdy idąc ze swoją dziewczyną za rękę, przemykali wąskimi uliczkami Aniołowa. Tego dnia Piotr zabrał swoją wybrankę na śniadanie do jedynej w mieście, cieszącej się dość dobrą renomą restauracji. Pamiętał dobrze, co zamówił. Dwie sałatki cesar, świeże, pachnące kromki ciemnego chleba wypiekane na miejscu na naturalnym zakwasie oraz po pełnej szklance świeżo wyciskanego soku z jabłek. Sara spoglądała na niego z ogromnym, młodzieńczym uczuciem, a on odwzajemniał to spojrzenie.

Przed wakacjami udało im się skończyć liceum i zdać maturę. Jego dziewczyna nie mogła się doczekać dnia, gdy w końcu rozpoczną studia na Uniwersytecie Szczecińskim i razem zamieszkają w nowym, dużym mieście, gdzie wynajmą małą kawalerkę. Była w nim zakochana do szaleństwa i była pewna jego miłości. Zbyt pewna. Nie

wiedziała, że Piotr od tygodnia zmieniał ich dotychczasowe wspólne plany, inaczej rysując przyszłość. Jego nowa wizja była straszna i mroczna, jednak wciąż uwzględniała połączenie się z jego dziewczyną na wieki.

Śniadanie było wyborne. Tego dnia nie chciał spuszczać jej z oczu choć na chwilę. zaproponował więc, że może jej poświęcić cały swój dzień, a ona chętnie na to przystała. Ponownie szli chodnikiem, zakochani i wpatrzeni w siebie. Spacerowali to tu, to tam, mijając znajomych mieszkańców Aniołowa. Wczesnym popołudniem byli widziani na miejskiej plaży, gdy radośnie spędzali czas, chłodząc rozpalone ciała w jeziorze. Uchto, siedzący w konfesjonale, oparł dłoń o swoją gładko ogoloną twarz. W głowie rysował mu się właśnie wyraźny obraz Sary w pięknym, dwuczęściowym, zielonym stroju kąpielowym. Wyglądała jak anioł, który gdzieś dla niepoznaki ukrył swoje białe skrzydła. Proste blond włosy opadały na spory biust, a szerokie biodra kołysały się z każdym jej krokiem.

„Idziesz czy mam cię tu wciągnąć?!” – usłyszał w głowie jej głos, tak wyraźny, jakby krzyczała do niego z wnętrza kościoła. Ciemne, brązowe oczy patrzyły na niego wyzywająco. Sara tworzyła apetyczną całość, której Piotr nie mógł się oprzeć. Spędzili nad wodą szczęśliwe godziny. Jednak ten czas również dobiegł końca.

Uchto, bezwzględnie realizując swój plan, zaprosił dziewczynę do domu, wiedząc, że ma tam duże pole do działania. Jego rodzice wyjechali i mieli wrócić dopiero następnego dnia. Droga była wolna. Zmierzali więc do jego mieszkania, w którym Piotr przygotował dla swojej wybranki niespodziankę. Z ulicy rozżarzonej bezlitosnym słońcem weszli do chłodnego wnętrza starej kamienicy. Mieszkanie państwa Uchto mieściło się zaraz przy schodach na parterze. Piotr przekreślił klucz w dużych, antywłamaniowych drzwiach i razem weszli do środka. Dla Sary nie było już odwrotu.

Ksiądz ponownie wyrwał się z atakujących go wspomnień i zniecierpliwiony spojrzał na zegarek. Jeszcze dziesięć długich minut. Poczł, jak struga potu spływa mu po twarzy. Otarł ją dłonią i przetaił

zmęczone oczy. Nie zdążył wypić dziś kawy. Senny, znudzony i gnębiony klaustrofobicznymi odczuciami wziął głęboki oddech. Znow powrócił do przeszłości.

Dobrze pamiętał, że gdy Sara weszła do jego pokoju, w którym czekał na nią bukiet kwiatów i romantycznie przygotowany stolik z butelką czerwonego wina, nie mogła uwierzyć w to, co ją właśnie spotkało. Przyłożyła dłoń do kuszących ust i stłumiła w sobie cichy pisk podniecenia.

- Jesteś kochany! - krzyknęła wreszcie, rzucając mu się na szyję. Po chwili ich wargi złączyły się w głębokim pocałunku, który był ostatnim miłosnym zbliżeniem, jaki ksiądz Uchto pamiętał. Potem nałożył na porcelanowe talerze porcję zapiekanki makaronowo-warzywnej, którą sam wcześniej przygotował i oboje zasiedli do uczy. Musiał przyznać, że półwytrawne, krwistoczerwone, niemieckie wino świetnie komponowało się z bogatymi smakami jego potrawy. Stary zegar stojący w przedpokoju wybił godzinę osiemnastą.

Ksiądz zerknął na nadgarstek. Jeszcze pięć minut... - pomyślał, z trudem łapiąc oddech. Krople drobnego potu pokryły całe jego czoło. Znow przemierzał oczami przeszłość.

Młody Piotr nie zjadł dużo. W przeciwieństwie do niego Sara łapczywie pochłonęła całą swoją porcję. Nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu było ciężkim grzechem. Nie była świadoma tego, co zaraz miało nastąpić. Uchto wstał od stolika przybranego w biały, kwadratowy obrus. Miał dziwny, nieznan jej wyraz twarzy.

- Piotrek? - rzekła Sara, widząc, jak jej ukochany chłopak z miną szaleńca zbliża się w jej kierunku. Myśląc, że to kiepski żart, uśmiechnęła się. On jednak nie odwzajemnił jej radości.

Ksiądz Uchto zacisnął pięści. Bicie jego serca niebezpiecznie przyśpieszyło. Poczul, jak krew pulsuje mu w uszach.

„Piotrek?! - usłyszał głos Sary krzyczącej w jego stronę z przeszłości. - Piotr... Piotrek... co ty robisz?! PIOTR!“. Nastąpiła cisza.

Uchto poderwał się z miejsca i wyleciał z konfesjonału. Spocony, chwiejąc się na nogach i oddychając ciężko, rozejrzał się obłąkańczym wzrokiem po pustym kościele. Był sam. Oparł się obiema dłońmi o jedną ze stojących w równym rzędzie ław.

Tamtego lata wszystko przebiegało dobrze. Zrobił to, co chciał zrobić. Taki był smak miłości. Spojrzał na swoje czyste ręce, które wtedy były umazane we krwi. Skąd miał wiedzieć, że jego rodzice wrócą wcześniej, niż planowali? Skąd miał wiedzieć, że nie będą potrafili zrozumieć jego postępowania? Znow jego umysł niebezpiecznie i z wielkim impetem rzucił go w otchłań tego, co już się stało. Klęczał nad ciałem swojej ukochanej Sary cały umazany w gęstej czerwonej cieczy. Jego dłonie, niebieska koszula, włosy, twarz – wszystko naznaczone jeszcze ciepłą substancją, która niedawno płynęła w żyłach jego martwej dziewczyny. Nagle usłyszał, jak ktoś wchodzi do mieszkania. Po chwili w drzwiach do pokoju pojawił się jego ojciec. Stał jak wryty, nie przekraczając progu, a jego szybko poruszające się gałki oczne w mig zakodowały całą makabryczną scenę. Gdy do umysłu pana Uchto doszło, na co właśnie patrzy, wykrzyknął z wielkim przerażeniem w głosie:

- Piotrze! Co żeś zrobił?! - Złapał się za głowę, wytrzeszczając szeroko oczy. Po chwili w drzwiach stanęła jego matka. Później wszystko potoczyło się szybko.

Ojciec wziął całą winę na siebie, wymyślając z matką spójną historyjkę o jego dziwnych skłonnościach do młodych panien. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że właśnie zawiązali pakt z diabłem. Chroniąc swojego jedyne go syna, mieli nadzieję na jego osobistą resocjalizację dzięki tak zwanym wyrzutom sumienia, które Piotr ich zdaniem musiał przecież posiadać. W całym kraju pana Uchto okrzyknięto „Bestią z Aniołowa”, a mieszkańcy tego małego miasta zaczęli kampanię nienawiści, szyderstw, choć i czasem współczucia, skierowaną w stronę młodego Piotra i jego matki. To właśnie wtedy Piotr rozpoczął trudną drogę do uciszania Bestii. Nie był w stanie jej zabić czy też całkowicie wypędzić z siebie. Jednak był coś winny

swojemu ojcu, który na dwadzieścia pięć lat trafił za kratki. Potrzebował do tego narzędzia, drogi życiowej, dzięki której potwór w nim drzemiący będzie spokojnie spał, a może nigdy już się nie przebudzi. Oddał więc swoje życie Bogu. Dzięki temu uzyskał rozgrzeszenie matki, która w tym działaniu upatrywała szansy na pozytywną przemianę jedyne go syna. Sześćioletnia nauka minęła szybko. Pierwsza msza w jego rodzinnej miejscowości, ciesząca się ogromnym zainteresowaniem z wiadomych przyczyn, okazała się sukcesem. Ludzie zaczęli go podziwiać, traktować z szacunkiem. Postanowił wypełniać swoją posługę w Aniołowie. Wszystko układało się po jego myśli, gdy nagle, niespodziewanie, jego matka popełniła samobójstwo. Ot tak skoczyła ze szczytu starej kamienicy, zostawiając jego i drzemiącą w nim bestię samych. Czy jego rodzicielka doszła do wniosku, że nie ma dla niego ratunku? Że nawet Bóg nie jest w stanie mu pomóc? Uchto nie wiedział, co tak naprawdę skłoniło jego matkę do tego ostatecznego kroku, jednak musiał przyznać jedno. Jeśli tak myślała w swoich ostatnich chwilach, to się nie myliła. Czując, że jego puls wraca do normy, wyprostował się, odrywając dłonie od zimnej ławy.

Przypomniało mu się, że nie pił dzisiaj kawy i nabrał wielkiej ochoty na filiżankę świeżo parzonego espresso. Skierował kroki w stronę ołtarza. Idąc środkiem małego neogotyckiego kościoła, mijał z każdej strony rzędy czarnych, równo ustawionych drewnianych ławek. Gdy zbliżył się do wzniesienia oddzielającego ołtarz dwoma niskimi schodkami od reszty wnętrza, uklęknął i się przeżegnał. Kątem oka dostrzegł jednak coś dziwnego. Coś leżącego na pierwszej ławie tuż po jego prawej stronie. Leniwie uniósł się do góry, otrzepując okurzone kolano. Na czarnej ławce leżała równie czarna koperta, która gdyby nie widniejący na niej biały napis, byłaby ledwo zauważalna. Ksiądz Uchto zmrużył brwi i zaciekawiony wziął list do ręki. Ogarnęło go wielkie zdziwienie, gdyż przesyłka była zaadresowana właśnie do niego.

Szanowny Pan P. Uchto

Odczytał na głos białe litery. Nie zastanawiając się długo, wyciągnął zawartość czarnej koperty i przeczytał napisaną odręcznym, starannym pismem wiadomość. Poczł silny ucisk w sercu. To, co było tam napisane, sprawiło, że wróciła mu dawno zatracona radość do życia. Jego twarz ozdabiał teraz szeroki, przerażający uśmiech. Hotel Hommanger. Święta Uczta. Lotnisko. Dziesiąty października. Patino. Pojedyncze słowa zaczęły gorączkowo krążyć w jego głowie.

Przez jeden z kościelnych kolorowych witraży, ukazujący ukrzyżowanego Jezusa, przedostały się mocne promienie letniego słońca, które padły bezpośrednio na postać chudego mężczyzny stojącego przy ołtarzu. Ksiądz Uchto, zmrużywszy oczy, zaśmiał się doniośle, a wraz z nim śmiała się obudzona Bestia, której cień wyraźnie odbijał się na kamiennej posadzce małego kościoła.

30 sierpnia, piątek, przedmieścia Moskwy

Podmoskiewski budynek Crocus City Mall można było pomylić z pałacem. Luksusowy dom towarowy zbudowano z naturalnego kamienia, a jego wygląd stanowił zgrane połączenie neoklasycyzmu z orientalnymi stylami architektonicznymi. Dwukondygnacyjne, zaliczane do najbardziej ekstrawaganckich centrum handlowe przyciągało każdego dnia ogromne rzesze rosyjskich bogaczy. Tego popołudnia Ida Abramowa przemierzała jego wnętrze, donośnie stukając obcasami o marmurowe posadzki. Szła dumnie, z wysoko uniesioną głową i z obojętną, a wręcz znudzoną miną. Gdy Ida nie wiedziała, co ze sobą zrobić, zawsze korzystała z zapychacza czasu, którym były długie zakupy w Crocusie. Bezmyślne trwonienie pieniędzy było luksusem, na który mogła sobie pozwolić i tak też robiła zawsze wtedy, gdy odczuwała pustkę istnienia. Trzydziestopięcioletnia Rosjanka mijiała właśnie egzotyczne rośliny pochodzące z całego świata i stanowiące jedną z głównych dekoracji luksusowego centrum handlowego. Sunęła przed siebie nonszalanckim krokiem w towarzystwie czterech ochroniarzy dźwigających jej liczne zakupowe zdobycze. Wreszcie opuściła Crocus City Mall i weszła do czekającego na nią tuż przy wyjściu błękitnego bentleya. Zagłębiła się wygodnie w tylnym siedzeniu, uważając przy tym, by jej biała, wysadzana diamentami suknia zbyt nie pogniotła. Towarzyszył jej jeden z czterech ochroniarzy, który dał kierowcy sygnał, aby ten ruszył w drogę. Reszta goryli Abramovej, wraz z jej zakupami, wsiadła do terenowego czarnego mercedesa, który zderzak w zderzak podążał za bentleyem, zabezpieczając tym samym tyły.

Ida naciągnęła zwiewny materiał sukienki do kolan, po czym przeprasowała go delikatnie ręką, wyczuwając raz po raz znajdujące się na nim małe diamentowe oczka. Iwan z trudem powstrzymywał się

od tego, by choć na chwilę nie rzucić okiem na zgrabne, długie i kusocielsko wystające spod przykrótkiej sukienki nogi swojej pracodawczyni. Mimo że należał do grona najbardziej zaufanych ochroniarzy, dobrze znał też charakter Abramovej, która zdolna była do wszystkiego. Dobrze wiedział, że gdyby został przyłapany na choć jednym pełnym pożądania spojrzeniu, Ida bez mrugnięcia okiem odesłałaby go do wszystkich diabłów. Nie po drodze mu było z piekłem, dlatego wolał zagłuszyć swoje pragnienia z całych sił. Na chwilę odpłynął myślami do dnia, kiedy pierwszy raz zobaczył Abramovą. Piękna, pewna siebie kobieta o długich, sięgających za ramiona blond włosach wywarła na nim ogromne wrażenie. Jej zielone oczy były zdolne zahipnotyzować go na tyle, że mógłby zrobić dla niej wszystko. Ida nie należała do wychudzonych wieszaków. Była w stu procentach kobieca, a jej delikatne krągłości tylko to podkreślały. Gdy zwracała się do niego swoimi wypełnionymi kwasem hialuronowym różowymi ustami, spijał każde jej słowo, jakby były one jego jedynym pożywieniem. Ochroniarz westchnął głęboko, wpatrując się rozmarzonym wzrokiem w boczną szybę.

Bentley mknął szosą Rublowo-Uspienską, co chwilę ostro hamując przez samochody, które niechętnie zjeżdżały im z drogi. Wielkie rezydencje bogaczy wznosiły się zarówno z prawej, jak i z lewej strony. Widok ten jednak nie robił na Idzie żadnego wrażenia. Była do niego przyzwyczajona. Zamiast spoglądać za okno, wolała wpatrywać się w swoje drogocenne złote pierścionki.

Nagle luksusowy samochód zatrzymał się gwałtownie. Zaskoczona Ida osunęła się bezwładnie z siedzenia, niezdarnie podpierając swoje ciało na wysokich szpilkach, które niepewnie wbiły się w podłogę bentleya. Po chwili jednak zwinnym ruchem uniosła biodra ku górze, zasiadając ponownie na swoim miejscu. Spojrzała wyczekująco na Iwana.

- Co się dzieje?! - krzyknął ochroniarz w stronę kierowcy. Czuł na sobie przeszywające spojrzenie Abramovej.

- Stoimy w korku - poinformował go krótko szofer, spoglądając na długi sznur samochodów znajdujących się tuż przed nimi.

Nagle do wnętrza bentleya wdarł się dźwięk policyjnej syreny. Z każdą chwilą był coraz wyraźniejszy. Ida, zaciekawiona, uniosła swoje pełne pośladki ku górze i spojrzała w przednią szybę. W ten sposób próbowała zlokalizować źródło dźwięku. Z naprzeciwka nadjeżdżał sznur czarnych samochodów. Syreny wyły coraz głośniej. W tej samej chwili pojawili się policjanci, którzy z wrogim krzykiem wymachiwali pałkami i uderzali nimi w dachy stojących w korku samochodów. Przerażeni piesi uciekali z pobliskiego przejścia. Kierowca bentleya, chcąc uniknąć zderzenia z policyjną pałką, posłusznie zjechał na pobocze. Ida wciąż wpatrywała się z zainteresowaniem w zbliżającą się eskortę, która po chwili śmignęła jej tuż przed oczami.

- No proszę, nasz prezydent spieszy się na obiad - rzuciła pogardliwie. Była pewna, że w jednym z czarnych audi widziała dobrze znaną postać rosyjskiej głowy państwa. Zbyt często spotykała go na uroczystych bankietach, aby nie poznać tej łysiejącej, choć cwanej głowy. Wreszcie samochody wróciły na szosę i ruch został wznowiony. Takie eskorty były dla Idy codziennością.

Gdy zamieszkała wraz ze swoim mężem Wiktorem w dzielnicy Rublowka, musiała szybko przyzwycząić się do tego, że jej powrót do domu z zakupów mógł trwać zarówno dziesięć minut, jak i dwie godziny. Uzależnione było to od liczby eskort, na które mogła nieszczęśliwie natrafić. Sama dobrze pamiętała czasy, gdy jej starszy o dwadzieścia pięć lat mąż był wpływowym rosyjskim politykiem. Nieraz siedziała z nim w czarnej limuzynie, która eskortowana z każdej strony pędziła na sygnale moskiewskimi ulicami. Te czasy jednak minęły wraz z końcem politycznej kariery jej męża, który teraz był majątnym i wpływowym biznesmenem. Rublowka, będąca potoczną nazwą zachodniego przedmieścia Moskwy, była jednym z najbardziej prestiżowych miejsc w Rosji, w którym z chęcią osiedlali się milionerzy. Aktorzy, politycy, biznesmeni i muzycy. Wszyscy

budowali swoje rezydencje w miejscu, w którym kiedyś wypoczywali Stalin, Jelcyn czy Breżniew. Tak też Rublowka szybko stała się symbolem wyższego statusu społecznego i miejscem, gdzie bogacze odnajdowali spokój i bezpieczeństwo.

Niebieski bentley w końcu dojechał pod wysoki mur otaczający posiadłość państwa Abramov. Ogromne, wysokie ogrodzenie stanowiło skuteczną barierę przed wścibskimi dziennikarzami i innymi pasożytami tego świata. Strażnik, po uważnym zlustrowaniu zawartości dwóch samochodów, otworzył dwuskrzydłową żelazną bramę.

Błękitny bentley i czarny mercedes wjechały na plac, pośrodku którego wznosił się nowoczesny dom koloru łososiowego, stylizowany na stary pałacyk i pozbawiony gustu. Iwan wysiadł pierwszy. W ekspresowym tempie obleciał samochód dookoła, po czym otworzył drzwi swojej pracodawczyni. Ida zwinnym ruchem wyskoczyła z wnętrza pojazdu. Z niesmakiem spojrzała na zdeformowaną u dołu sukienkę. Poprawiła złoty pasek ciasno upięty w talii. Biały materiał ledwie zakrywał jej pośladki. Stojąc przed swoją posiadłością, uświadomiła sobie, że nie ma pomysłu na spędzenie reszty dzisiejszego dnia. Wertując myślami dostępne w tej chwili skuteczne zapychacze czasu, stwierdziła, że istotnie przyszedł czas na...

- Trochę alkoholu! - krzyknęła, uśmiechając się sama do siebie.

Iwan, stojąc tuż za nią, nie zdziwił się tym, co właśnie usłyszał ani tym, że Ida mówiła sama do siebie. Abramova robiła to często, dlatego też zdołał do tego przywyknąć. Ach, jak samotną tak naprawdę kobietą była jego pracodawczyni. Teraz patrzył, jak Ida znika za masywnymi drzwiami prowadzącymi do wnętrza posiadłości i zastanawiał się, co najbardziej pociąga go w tej dziwnej kobiecie. Poprawił swoją czarną marynarkę, która była nieodłącznym elementem jego ubioru w pracy. Słońce niemiłosiernie paliło go w sam czubek gładko ogolonej głowy. Te oczy, które skrywały nieodgadnioną tajemnicę - samcze myśli Iwana wciąż z utęsknieniem krążyły wokół Idy. Tak, to go w niej najbardziej pociągało. Nie mógł

jej rozgryźć, nie mógł w pełni zajrzeć w jej duszę. Ta kobieta skrywała w swoim seksownym ciele nieodgadnione wnętrze, którego jeszcze do końca nie poznał i zapewne nigdy nie pozna... Iwan zrobił posępną minę zbitego psa i ruszył w kierunku drzwi prowadzących do domu swoich pracodawców.

Ida Abramova stanęła tego dnia przed trudnym wyborem. Spoglądała na dębowy, secesyjny barek, w którym za szkłem prezentowały się różnego rodzaju alkohole. W końcu podjęła decyzję. Otworzyła drzwi barku i chwyciła za niedużą butelkę koniaku X.O. Trunek oznaczony takim symbolem musiał leżakować minimum sześć lat, tym samym nie należał do tanich, jednak to nie stanowiło dla Idy żadnej bariery. Lubujący się w nim koneserzy z pewnością bardziej doceniliby jego niewątpliwe walory smakowe. Jednak Ida trzymała go w swoim barku, bo był po prostu bardzo drogi, a na coś przecież, jak sama uważała, musiała wydawać zalegające na kontach oszczędności.

Wraz z butelką wyjęła także kryształowy kieliszek zwany koniakówką, który kształtem przypominał pękaty balon na krótkim trzonku. Wypełniła go do połowy i skierowała swoje kroki w stronę dużego okna wychodzącego na rozległy plac mieszczący się tuż przy wejściu do jej posiadłości. Krocząc przez ogromny salon, przypomniała sobie słowa swojego męża, Wiktora, na temat koniaku, który tak uwielbiał. Trunek ten uważany był za wręcz arystokratyczny, dlatego też bogaci tego świata chętnie po niego sięgali. Według przemądrzałego Wiktora nie należało go pić w pośpiechu, a delektować się jego smakiem, sącząc zawartość kieliszka powoli i w skupieniu. Natomiast sam pękaty kieliszek powinno się obejmować z wyczuciem, całą dłonią, aby podgrzany alkohol uwolnił swój ceniony i charakterystyczny aromat.

Ida prychnęła z pogardą pod nosem. Przechyliła kieliszek szybkim ruchem ręki, na przekór słowom swojego męża. W kilka sekund opróżniła jego zawartość. Poczwała w przełyku delikatne, przyjemne ciepło. Głupi, stary Wiktor. Co on może wiedzieć o prawdziwej sztuce picia alkoholu? Ida nigdy nie ukrywała, że wyszła za niego dla

pieniędzy. Sama pochodziła z biednej rodziny. Chciała się wyrwać, zakosztować życia wśród wyższych sfer. Czy różnica wieku jej przeszkadzała? Ida spojrzała w dno pustego kieliszka, myśląc, że znajdzie tam odpowiedź. Dziesięć lat temu Wiktor Abramov nie był tak podstarzałym i obleśnym dziadem, jakim jest dzisiaj. Był pełnym energii politykiem, dzięki któremu każdego dnia bombardowana była ogromnymi emocjami. Takiego życia chciała. Taki świat jej odpowiadał. Ona i Wiktor w wielkich salonach, na bankietach, wśród ważnych ludzi. Życie było wtedy szybkie, pełne wyzwań i adrenaliny. Jednak z dniem, w którym ten głupek porzucił politykę na rzecz biznesu, jej życie zwolniło. Stało się nudne, monotonne, zwyczajne. Wiktor oczywiście dalej kosztował uroków całego świata, jednak już bez niej. Jak mawiał, niepotrzebna mu była do spraw biznesowych, które najlepiej załatwiała się w pojedynkę. Coraz częściej światowe media huczały o jego zamiłowaniu do romansów z dwudziestolatkami, co jednak cieszyło Idę, która brzydziła się swoim mężem bardziej niż odchodami swojego pieska. Niech sobie siedzi w swoich biznesach i w swoich naiwnych kochankach, byle nie w niej. Tak też podsumowywała całą tę sytuację.

Rozgrzewająca moc drogiego koniaku zaczęła słabnąć. Ida wyjrzała za okno, w duchu mając nadzieję, że jej oczom ukaże się coś zaskakującego. Spadający meteoryt, lądowanie statku kosmicznego lub choćby uzbrojony włamywacz. Coś, co dziś mogłoby zapewnić jej rozrywkę na wysokim poziomie. Nic takiego jednak nie zobaczyła. Zamiast tego znów spoglądała na znajomy plac, pośrodku którego stały zaparkowane błękitny bentley i czarny mercedes. Po lewej stronie od samochodów rozpościerał się różany park, w centrum którego górowała ogromna, trypoziomowa betonowa fontanna. Na jej szczycie stał posąg kobiety z dzbanem, z którego wypływała woda.

Czuję się dokładnie jak ta betonowa kobieta – pomyślała ze smutkiem Ida. Bezmyślnie przelewam swój czas, nie tworząc nic, co sprawiłoby mi jakąkolwiek satysfakcję.

Widok spływającej wody w fontannie winien budzić w ludziach błogi spokój, jednak ona, patrząc na ten betonowo-wodny spektakl, czuła wyłącznie pustkę i rozgoryczenie. Czarodziejska moc koniaku przestała działać. Ida poczuła wzmożoną chęć wypicia drinka swojego autorstwa. Drink Pokojowy – tak go nazwała, uważając przy tym nieskromnie, że jest to najlepszy drink w historii całego alkoholowego świata. Odrzuciła z szyi swoje długie blond włosy i ponownie podeszła do barku, kołysząc przy tym uwodzicielsko biodrami. Salon, w którym się znajdowała, od podłogi aż po sufit ociekał luksusem. Wszechobecnymi, głównymi elementami wystroju były kamień i złoto. Ida uwielbiała przepych. Otaczała się tym, co najdroższe, bez mrugnięcia okiem trwoniąc ogromną fortunę zgromadzoną przez jej męża. Sprawiało jej to niewyobrażalną satysfakcję.

– Niewyobrażalną! – powtórzyła swoje myśli na głos, tym razem wyciągając z barku dwie butelki. Pękaty kieliszek postawiła z boku dębowego blatu i zastąpiła go sporą szklanką, której rant wykończony był grubą warstwą złota. Dno szklanki pokryło się rosyjską wódką. Druga butelka, zawierająca ten sam trunek, jednak tym razem produkcji polskiej, dopełniła szklankę do połowy. Drink gotowy. Ida delikatnie zamieszała zawartością szkła. Do jej nosa dotarł cierpki i mocny zapach sporej liczby procentów. Co, jak co, ale na alkoholach znała się najlepiej. Skosztowała odrobinę. Smakowało wyśmienicie. Miało moc, miało smak i było o wiele ciekawsze niż ten tandetny koniak dla bogaczy.

Ida przeszła na środek salonu. Po chwili umościła się w fotelu obitym skórą krokodyla. Założyła nogę na nogę, trzymając w powietrzu dłoń ze swoim dziełem życia: Drinkiem Pokojowym. Drugą ręką poprawiła sukienkę i wzięła spory łyk.

Nagle poczuła nieodpartą tęsknotę za swoją jedyną miłością w życiu. Odchrząknęła solidnie w ściśniętą dłoń i głośno zawołała w stronę zamkniętych drzwi:

– Iwan!

Ochroniarz, czekający w pełnej gotowości tuż za nimi, poprawił marynarkę i wszedł do skąpanego w słońcu pomieszczenia. Na widok nieziemsko pociągającej pracodawczynie przełknął ślinę. Jej zielone oczy świdrowały go na wylot.

- Gdzie jest Lew? - spytała, nie spuszczać z niego wzroku.

- W jadalni, proszę pani - odpowiedział posłusznie Iwan, starając się patrzeć na Idę fachowym, obojętnym na jej wdzięki wzrokiem.

- Przyrowadź - rzuciła w jego stronę krótką komendę. Zbliżyła rant szklanki do ust i wypila do końca jej zawartość.

- Dobrze, proszę pani.

Iwan zniknął za drzwiami, a ona miała czas na zrobienie sobie kolejnego drinka. Tym razem droga do barku i z powrotem na wygodny fotel wydłużyła się odrobinę. Jej kroki były wolniejsze, jakby coś się stało z grawitacją. Świat zaczął wirować, wprawiając ją w o wiele lepszy nastrój. Wszelkie smutki zaczęły pomału opuszczać jej myśli. Poczula się dobrze. Zanim jednak ponury nastrój zupełnie ją opuścił, Ida jeszcze na chwilę zanurzyła się w bezsensie swojego terażniejszego życia.

Opuszczona przez męża, pozostawiona sama sobie w tej okropnej łososiowej twierdzy, wynajdowała różne, przedziwne zajęcia. Zajęcia, które choć trochę miały zapełnić jej zapotrzebowanie na poznanie świata od najdziwniejszej strony. Skoczyła ze spadochronem, skoczyła także na bungee. O tak! Ten ostatni cholerny skok zapamięta do końca życia. To wtedy popuściła w majtki. Nie żeby ze strachu, co to, to nie. Ida należała do bardzo odważnych osób. Po prostu przed skokiem wypila na odwagę zbyt wiele drinków swojego autorstwa i nie wytrzymała. Jak dobrze, że na dole czekał na nią Iwan, który okrył jej mokry, oszczany tyłek swoją czarną marynarką. Plama była widoczna na całej powierzchni jeansu opinającego jej pupę. Skoki zdecydowanie nie były tym, czego szukała. Później przyszedł czas na rajdy samochodowe. Mknęła swoim mitsubishi lancer evolution, a pilot, będący jej instruktorem, podczas każdej jazdy milknął z przerażenia. To jednak też nie było jej powołaniem. Uparcie nie

chciała zrezygnować ze szpilek, które były obowiązkowym elementem jej wyglądu, a w których niestety ciężko było prowadzić sportowe auto. Dlatego też po trzecim wypadku, w którym jej przerażony pilot doznał ciężkiego urazu prawej ręki, stwierdziła, że musi pożegnać się z tym sportem na wieki.

Rozgoryczona odchodzącymi zbyt wolno wspomnieniami upiła spory łyk nowego Drinka Pokojowego. Gdy ponownie zasiadła w fotelu, oparła coraz cięższą głowę na lewej dłoni, przypominając sobie dalsze poszukiwania sensu istnienia.

Był też grupowy seks. Dwie dziewczyny, dwóch facetów. Na samo wspomnienie o tym ogarniało ją totalne zmęczenie. Ileż to ona musiała się tam narobić! W porównaniu do uzyskanej przyjemności wymagało to zbyt dużego nakładu pracy. Ida nie lubiła się przepracowywać. Nie była typem pracoholiczki. Lubiła szybko, a efektownie. Opcja grupowego seksu w jej życiu rozplynęła się równie błyskawicznie, jak pierwszy drink, który niedawno sobie przygotowała. Uczestniczyła nawet w egzekucji pewnego pechowego chłopaka, który oszukał jej męża na niemałą kwotę. Wiktor zlecił ciche zabójstwo Iwanowi, jednak tamtego dnia przekazywał instrukcje posłusznemu ochroniarzowi na tyle głośno, że Ida, stojąc niezauważona przy drzwiach jego gabinetu, zdołała wszystko usłyszeć. Ublaganie Iwana, by mogła mu towarzyszyć w jego tajnej akcji, wcale nie było trudne. Abramova od dawna podejrzewała, że ten łysy osiłek był na nią napalony. Wystarczyło tylko uprzejmie, aczkolwiek zdecydowanie poprosić, rzucić uwodzicielskie spojrzenie i sprawa była załatwiona. Ubrana w małą czarną projektu Giorgio Armaniego udała się na misję likwidacyjną. Iwan okazał się dobrym zabójcą. Działał bez chwili jakiegokolwiek wahania. „Nie, proszę! Oddam wszystko!” – krzyczał młody chłopak, klęcząc w swoim domu, u stóp celującego w jego stronę Iwana. Ochroniarz miał jednak zadanie, które musiał wykonać. Ot tak, po prostu, strzelił prosto w łeb skamlącego mężczyzny. Pech chciał, że Ida stała za blisko. Krew, która wyleciała z głowy młodego skazańca, obryzgała przód jej

pięknej czarnej sukienki. Obrzydlistwo! Ida skrzywiła się na samo wspomnienie tamtej chwili. To też nie okazało się sensem jej istnienia.

- Ach... - westchnęła głośno, upijając trochę z zawartości szklanki. Jej drugi drink wydał jej się o wiele mocniejszy od pierwszego. Elixir zapomnienia zaczynał działać coraz skuteczniej.

Jakieś pół roku temu Ida wpadła na szalony pomysł.

- Szalony, szaoony... - wybełkotała na samo jego wspomnienie, coraz bardziej upojona wysokoprocentową zawartością złoczonej szklanki. Zaśmiała się pod nosem, choć bardziej przypominało to świńskie pokwikiwanie.

Pewnego dnia zaczęła wertować strony i fora internetowe, wpisując w wyszukiwarce interesujące ją frazy. Zdziwiła się, z jaką łatwością dotarła do ludzi, którzy w tamtej chwili myśleli dokładnie tak, jak ona. Internet okazał się jednak mało skuteczny w realizacji jej nowego, pełnego dreszczyku emocji pomysłu. Rozpuściła niewinną wiadomość wśród swoich bogatych znajomych. Przy każdej byle prozaicznej rozmowie zahaczała o interesujący ją temat, obserwując reakcje ludzi, z którymi akurat przebywała. Jednak po miesiącu żmudnych działań, poirytowana tym, że nie dane jej będzie zrealizowanie tego ekstrawaganckiego planu, porzuciła wszelką aktywność, zakopując swój szalony pomysł w grobowcu niespełnionych marzeń. Gdy już straciła wszelką nadzieję, pod koniec marca tego roku odebrała dziwny telefon...

Drzwi do salonu otworzyły się nagle i do środka wkroczył Iwan z Lwem. Ida gwałtownie wyrwała się z zamyślenia.

- Lllieew... - wybełkotała, unosząc się z trudem z fotela. Odstawiła pustą już szklankę na drewnianą poręcz siedziska. Chwiejnym krokiem podeszła do małego yorka przyozdobionego masą małych, czerwonych kokardek. Pies, wyczuwając woń alkoholu, cofnął się i warknął groźnie. Nie bacząc na to, Ida wzięła Lwa na ręce i z całej siły przytuliła go do piersi.

Lew był psem. Psim mężczyzną odartym z męskiej, psiej dumy przez zamocowane na nim czerwone kokardki. Każdego dnia czuł się upodlony takim stanem rzeczy, ale był tylko zwierzęciem. Nie mógł o tym powiedzieć swojej zapijaczonej pańci.

Ida, z trudem trzymając się na nogach, z całej siły tuliła ukochanego psiaka.

- Tylko ty mnie rozumiesz, mój kochany piesku. - Jej myśli, w przeciwieństwie do słów, były całkiem wyraźne.

Iwan spoglądał z tęsknotą na nią i Lwa. Tak bardzo chciałby być na miejscu tego zapchlonego, metroseksualnego gnojka. Mógłby nosić dla niej nawet te wstrętne czerwone kokardki. Skorygował jednak szybko tę myśl, przypominając sobie o tym, że jest łysy. Dopiero teraz dotarło do niego, że o czymś zapomniał.

- Proszę pani... - ostrożnie zwrócił się do Idy.

Abramova obrzuciła go karcącym spojrzeniem. Jakim prawem śmiał przerywać jej te miłe chwile powitania z ukochanym Lwem?

- Czego? - prychnęła nieprzyjemnie. York, korzystając z okazji, zdołał umknąć swojej pańci z morderczego objęcia. Skoczył na skórzany fotel, strącając przy tym pustą szklankę. Ta z łoskotem rozbiła się na drobne kawałki o kamienną posadzkę. Ida przez chwilę wpatrywała się w rozbite szkło. Wreszcie odrzuciła do tyłu blond włosy, których część przykleiła się do jej spoconej szyi, i spojrzała wyczekująco na Iwana.

- Mam dla pani list - odparł i wyciągnął w jej kierunku drżącą dłoń, w której spoczywała czarna koperta.

- Do mnie? - zdziwiła się Ida. Rzadko kiedy otrzymywała jakąkolwiek korespondencję. Zazwyczaj wszystkie przesyłki były adresowane do jej męża. Chwyliła w swoje dłonie list i dokładnie go obejrzała.

Szanowna Pani I. Abramova

Odczytała na głos biały tekst na kopercie. Dziwne... - pomyślała. Przesyłka była faktycznie zaadresowana do niej. Na kopercie jednak

nie było żadnego znaczka ani adresu zwrotnego. To ją zaniepokoiło. Spojrzała zdezorientowana na swojego ochroniarza.

- Może nie powinna pani tego otwierać? - zasugerował, dostrzegając pewne wahanie u swojej pracodawczyni. Zbyt długo pracował w tym zawodzie, aby nie wiedzieć, że takie przesyłki mogą zawierać niebezpieczną dla zdrowia zawartość. Tym bardziej jeśli pani Abramova nie spodziewała się żadnego listu. Instynkt nakazał Iwanowi zachować szczególną ostrożność. Lew siedział wygodnie na fotelu, przyglądając się z zainteresowaniem całej sytuacji.

Otworzyć czy nie otworzyć? - Ida stanęła przed kolejnym trudnym wyborem. Dzisiejszy dzień nie obfitował w wydarzenia, które mogłaby uznać za przełomowe w swoim życiu. Może teraz jest ten czas? Może powinna zaryzykować? Choć takie pytania krążyły w jej głowie, Ida już dawno podjęła decyzję. Dreszcz ekscytacji przebiegł przez jej opalone ciało. Całe życie ryzykowała. Całe życie szukała czegoś, co mogłoby zaspokoić jej ogromny apetyt na hormon zwany adrenaliną. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, otworzyła kopertę.

Iwan zapowietrzył się, chcąc stanowczo zaprotestować. Nie zdążył. Ida odczytywała już tekst zapisany odręcznym pismem na białej kartce, którą wyjęła ze środka. Ochroniarz odetchnął z wyraźną ulgą. List nie stanowił żadnego zagrożenia - pomyślał Iwan, który nie miał pojęcia, jak bardzo się pomylił.

Ida Abramova po raz trzeci odczytała w myślach zaproszenie. Nagle jej pomysł powstał z martwych, z grobowca niespełnionych marzeń i był coraz bliższy realizacji. Więc jednak się udało! Jej działania okazały się sukcesem. Znów przypomniała sobie o rozmowie telefonicznej, którą przeprowadziła pięć miesięcy temu. Czy nie ryzykowała zbyt wiele? Czy przyjmując bezwzględne reguły gry dla zaspokojenia swojej ciekawości świata, nie popełniła błędu? Czy zacznie żałować tego, co postanowiła?

Rozejrzała się po swoim luksusowym salonie. Jej wzrok spoczął na rozbitej szklance, z której jeszcze niedawno popijała Drinka Pokojowego.

- Nic nie trwa wiecznie... - wyszeptała, tym samym akceptując swój nowy życiowy plan.

Iwana oczywiście nie zdziwiło to, że jego pani wypowiedziała na głos swoje myśli. Teraz, korzystając z okazji, lustrował jej ponętą figurę, szczególnie skupiając się na kształtnych pośladkach.

Mały Lew spoglądał smutnymi oczkami na swoją pańczę, mając nadzieję, że kiedyś zdoła ona zrozumieć jego psią mowę.

W różanym ogrodzie betonowa kobieta wciąż stała nieruchomo na szczycie fontanny. Nie mogła wyruszyć w świat, zamiast tego tkwiła w miejscu, dźwigając wielki dzban, z którego stale wylewała się ta sama woda.

15 października, Hotel Hommanger, Kanada

Wraz z nadejściem poranka pojawiła się gęsta mgła, tworząc szczelną zasłonę wokół najbliższej okolicy. Trzeba było podejść naprawdę blisko, aby dostrzec zarys pochodzącego z XIX wieku budynku w stylu neoklasycystycznym. Jednopiętrowa budowla, choć wiekowa i z zewnątrz niszcząca, stała dumnie, otoczona lasem i epatowała swoim skrytym mrokiem. Wokół niej rosły różane, zaniedbane krzaki, które kiedyś były głównym elementem dekoracyjnym pięknego ogrodu. Ceglany budynek lata świetności miał dawno za sobą, choć dla wielbicieli architektonicznej historii był nie lada gratką. W centralnej części starego domu, pod ozdobnym łukiem znajdował się portyk wsparty na czterech kolumnach doryckich. Szczyt domu zdobiło duże okno weneckie. Przed budynkiem, zarówno po lewej, jak i po prawej stronie stały stare, masywne, betonowe donice, z których wystawały uschnięte badyle. Można było tylko się domyślać, jak pięknymi kwiatami były kiedyś. Na fasadach północnego oraz południowego skrzydła, na parterze oraz na pierwszym piętrze rozmieszczono po cztery prostokątne okna, zdobione po bokach drewnianymi okiennicami. Te przy silniejszym wietrze złowieszczo postukiwały o ceglana fasadę. Majestatyczny front budynku prezentował się okazale. Z lekko pochyłego dachu, zdobionego starą ceramiczną dachówką, wystawały trzy kominy – dwa po lewej oraz jeden po prawej stronie. Z takiego rozmieszczenia kominów szybko można było wysnuć trafny wniosek, że w lewej części domostwa znajdowało się nie tylko ciepłe pomieszczenie z kominkiem, lecz także stara, wysłużona kuchnia. Dopełnieniem skąpanego we mgle budynku były wyblakłe czerwone drzwi wejściowe, które w swojej prostocie ujmowały elegancją. Nad nimi zwisał przekrzywiony szyld. Był tak pordzewiały, że jego oryginalna jasnobrązowa barwa zmieszała się

z wszechobecną rdzą. Na szyldzie widniał wciąż czytelny, czarny pochyły napis: *Hotel Hommanger*.

Mgła zaczęła wreszcie opadać – stwierdził z zadowoleniem niski i chudy Afroamerykanin, wyglądając z wnętrza hotelu przez uchylone drzwi wyjściowe. Delikatnie zamknął masywne drewniane skrzydło i odwrócił się w stronę schodów.

Sugerując się tabliczką informującą o przeznaczeniu owego budynku, można było się doprawdy nieźle zaskoczyć. Parter, stanowiący część dzienną domostwa, już na samym wejściu pod żadnym względem nie przypominał hotelu. Brak było recepcjonisty, a co najistotniejsze, nie było widać nawet śladu po recepcji, która powinna się znajdować w każdym hotelu. Ale Hommanger nie był zwykłym hotelem. Wnętrze także było oryginalne. Szerokie, zdobione gzymsem wejście z wiatrołapu do głównego korytarza podtrzymywane było dwiema żłobionymi, alabastrowymi kolumnami. Ta sama podłoga ciągnęła się już od wejścia, wypełniając cały korytarz inkrustowanym, włoskim marmurem. Z wgłębień w ścianach wystawały gipsowe głowy aniołów, a wyżej znajdowały się malowidła wykonane techniką en grisaille. Dzięki tej przemyślanej i z pewnością celowo zastosowanej technice obrazy wydawały się trójwymiarowe.

Po prawej stronie korytarza znajdowały się podwójne drzwi, nad którymi wznosił się ciężki półkulisty fronton wsparty drewnianą, ciemną, żłobioną futryną. Przy tej samej ścianie znajdowały się biegnące ku górze drewniane schody, pośrodku których spoczywał bordowy dywan ciągnący się na sam ich szczyt. Schody te, będące jedynym łącznikiem między prywatną górą a dziennym dołem, zabezpieczone były od zewnętrznej strony piękną, masywną, rzeźbioną balustradą, wznoszącą się dumnie do samego piętra. Przy ścianie umieszczono zdobiony pochwyt stanowiący dodatkową poręcz. Tuż nad nim prezentowały się obrazy w złożonych ramach.

Afroamerykanin przekroczył pierwszy stopień schodów. Spojrzał swoimi przekrwionymi oczami na drzwi prowadzące do głównej jadalni. Za pięć dni przekroczy jej progi wraz z zaproszonymi gośćmi

i zasiądą wspólnie do Świętej Uczyty. Może będzie ona ostatnią w jego życiu? Lekko przygarbiony, drżącą dłonią wyciągnął aksamitną błękitną chusteczkę z kieszonki swojej eleganckiej czarnej kamizelki i przetarł nią spocone czoło. Mimo że miał osiemdziesiąt lat, nie to skłaniało go do coraz częstszego myślenia o pożegnaniu się z życiem doczesnym. Gnębiła go choroba, na którą nie było lekarstwa. Dobrze wiedział, że sam sobie na nią zasłużył, jednak nie żałował swojego postępowania. Dożył sędziwego wieku i poświęcił swoje lata istnienia na tym świecie temu, co uważał za najbardziej słuszne. Czemuś, co stanowiło sens jego życia. Tak... myślał dokładnie w ten sposób. Pokiwał głową, utwierdzając się w swoich domysłach, po czym ruszył chwiejnym krokiem w górę schodów.

Niczego nie żałował i z chęcią żyłby dłużej, dalej czyniąc to, co robił to tej pory. Jeszcze rok temu schody nie stanowiły dla niego żadnego problemu. Dość szybko, jak na swoje lata, wdrapywał się na sam ich szczyt. Teraz jednak odczuwał spustoszenie, jakiego dokonała w nim ta nędzna choroba, pożerająca podstępnie jego ciało przez długie lata. Wychudzony, niski mężczyzna miał krótkie wełniane włosy, które posiwiałe ciekawie kontrastowały z jego ciemną skórą. Jak na tak małego człowieka, miał dość dużą głowę, z mocno zarysowaną szczęką, nad którą wystawały kościste policzki. Szeroki nos, czarne oczy z przekrwionymi białkami i mocno wydęte wargi tworzyły niesamowicie oryginalną całość.

Spojrzał zmęczonym wzrokiem w górę. Pozostało mu jeszcze tylko (lub aż) kilka stopni. Zdyszany, podtrzymując się mocno zewnętrznej balustrady, ostrożnie unosił szczupłe nogi odziane w czarne garniturowe spodnie. Zbyt ciasno zawiązany pod szyją granatowy krawat zaczął go uwierać. Przystanął na przedostatnim schodku i rozluźnił wiązanie. Przy okazji złapał kilka głębszych oddechów. Oparł prawą dłoń na poręczy umocowanej przy ścianie. Na jego palcu wskazującym załśnił złoty sygnet z dziwnym, wygrawerowanym na płaskiej powierzchni znakiem przypominającym profil ludzkiej czaszki. W końcu staruszek zebrał w sobie resztki sił i ruszył do

przodu, przemierzając ostatni stopień schodów. Nareszcie był na szczycie. Poczuł, że jego czoło znów pokryło się drobinkami potu. Wyjął wilgotną już chusteczkę i przetarł nią twarz. Po chwili obrócił się i ruszył chwiejnym krokiem do długiego korytarza podzielonego na dwa równe skrzydła.

Zarówno w lewej, jak i prawej jego części znajdował się sznur ciemnobrązowych ponumerowanych drzwi prowadzących do pokoi gościnnych. Pierwsze, delikatne promienie słońca zaczęły przebijać się przez duże okno weneckie umiejscowione w centralnej części holu, oświetlając jego ciemne wnętrze.

Staruszek skręcił w prawo i po chwili doszedł do samego końca korytarza, gdzie po lewej stronie tkwiły bladoczerwone drzwi pozbawione jakiegokolwiek oznaczenia, prowadzące do jego prywatnego gabinetu oraz sypialni. Wyjął z kieszeni spodni mały srebrny kluczyk, włożył go w zamek, przekręcił dwukrotnie i wszedł do pomieszczenia. Tego poranka słońce mozolnie unosiło się ku górze. Wcisnął więc kontakt znajdujący się przy samej futrynie i pomieszczenie w mig wypełniło się jasnożółtym światłem padającym z kryształowego żyrandola zwisającego pośrodku gabinetu.

Pokój nie był duży, choć biła z niego aura zrównoważonej elegancji. Biała sztukateria sufitowa nie ominęła i tego wnętrza, którego ściany były pomalowane na rdzawoczerwony kolor. W centralnej części stało dębowe biurko gabinetowe. Dwustronny mebel opierał się solidnie na tłoczonych nóżkach.

Mężczyzna, czując wyraźne osłabienie, podszedł do biurka i delikatnie opadł na krzesło. Przysunął się bliżej masywnego dębowego blatu, na którym panował pedantyczny porządek. Mosiężny stempel z drewnianą rączką spoczywał tuż przy małym marmurowym pojemniku z gąbką nasączoną czarnym atramentem. Staruszek drżącą ręką otworzył szufladę znajdującą się nad wnęką pośrodku biurka. Wyjął z niej plik podobnie wyglądających, zadrukowanych kartek. Zaczął studiować każdą z osobna swoim czarnym jak noc spojrzeniem.

- Ida Abramova... - mruknął pod nosem, lustrując z góry na dół trzymany papier. Chwilę później odłożył go na biurko.

Wyjęte dokumenty zawierały dziwnie wyglądające oznaczenia i dane. Staruszek jednak dobrze wiedział, co się na nich znajduje, i zdawał sobie sprawę z tego, że każda z tych cennych kartek musiała zostać jeszcze dziś przez niego zaakceptowana. Oczywiście już wcześniej zdążył się z nimi zapoznać. Było to konieczne i niezbędne do tego, aby każdy z zaproszonych gości mógł zjawić się tego dnia w hotelu. Musiał jednak trzymać się procedur i każdy przestudiowany papierek z istotnymi dla niego danymi podbić własną pieczęcią. Dlatego też, przed tym ostatecznym ruchem, wolał raz jeszcze rzucić okiem na otrzymane dwa dni wcześniej dokumenty.

- Cindy Walker... - odczytał na głos, kładąc ostatnią kartę na biurko.

Och tak, w tej dziewczynie pokładał wielkie nadzieje. Kto by pomyślał, że w tak biednej, niemajątej kobiecie tkwi ogromny szacunek do tego, czemu on sam przez kilkadziesiąt lat swojego życia poświęcił się bez pamięci. Z każdą kolejną Świętą Ucztą był coraz bardziej przekonany, że nikt nie będzie w stanie kontynuować jego dzieła lepiej niż panna Cindy Walker. Cieszył się, że będzie mógł odejść z tego świata, pozostawiając na ziemi swoich dwóch najbardziej zaufanych i wyszkolonych kontynuatorów.

Staruszek ułożył kartki w równy stosik i sięgnął po drewniany stempel. Jego dolną, okrągłą część zanurzył w marmurowym pojemniku. Ponownie zagłębił się we wspomnieniach.

Kiedy trzy lata temu panna Walker pojawiła się pierwszy raz w Hotelu Hommanger, od razu ujrzał w niej kogoś wyjątkowego. Ten szczery, pełen fascynacji błysk w oku. Była szczupłą, drobną istotą, jednak na próżno można było doszukiwać się w niej jakichkolwiek oznak wahania czy strachu. I choć staruszek wiedział, że jego następca powinien uczestniczyć w przynajmniej czterech Świętych Ucztach, to jednak dla tej dziewczyny gotów był złamać tę zasadę. Zresztą, nie miał czasu... Śmierć była coraz bliżej, a choroba nie

chciała w magiczny sposób wyparować. Poza tym, już samo to, w jaki sposób panna Walker dostała się do Stowarzyszenia, zasługiwało na ogromny podziw i szacunek. Tak, Cindy Walker będzie godnym kontynuatorem. To już postanowione.

Mężczyzna powrócił ze świata myśli do rzeczywistości. Wciąż trzymał stempel w marmurowym pojemniku. Wreszcie podniósł ku górze drżącą dłoń i skierował pieczęć na pierwszą kartkę. Okrągły znak odbił się na jej prawym dolnym rogu. Niedługo później wszystkie dokumenty ostemplowane były tą samą, dziwnie wyglądającą pieczęcią. Monogram „A.P.” znajdujący się w konturach profilu ludzkiej czaszki zaakceptował wszystkie leżące na biurku zgłoszenia. Za oknem mgła opadała coraz szybciej, odkrywając leśny jesienny widok.

Staruszek przeniósł zmęczony wzrok z okna na zegar wiszący na przeciwległej ścianie. Dwie złote wskazówki wskazywały godzinę ósmą. Tuż pod zegarem stała mała, jednokomorowa gablotka chroniąca swoją cenną zawartość giętym szkłem. Jej front ozdobiły misterne żłobienia. Staruszek poczuł nieodpartą chęć spojrzenia do jej wnętrza, choć dobrze wiedział, co się w niej znajduje. Po prostu uwielbiał napawać się tym wspaniałym widokiem. Jej niesamowicie bezcenną zawartością.

Ostrożnie wstał z krzesła i podszedł do dębowej gabloty. Mebel lśnił teraz w blasku promieni słonecznych. Światło odbijało się od przezroczystej szyby. Staruszek uniósł ją. Jego wzrok spoczął na cennym wnętrzu gabloty, które pokryte drobinkami kurzu połyskiwało w świetle porannego słońca. W środku leżała opasła księga. Sądząc po jej wyglądzie, musiała być bardzo stara. Dzieło, otwarte na samym początku, ukazywało drzeworytowy frontyspis. Pożółkła strona pokryta była dziwną ilustracją. W centralnej jej części ukazano leżące na blacie ciało człowieka z rozplatanym brzuchem. Wokół niego gromadzili się ludzie, którzy z ogromnym zainteresowaniem wymalowanym na twarzach kierowali swoje spojrzenia w stronę leżącego trupa. Jednak wzrok mimowolnie skupiał się na jednej

osobie, zilustrowanej tuż przy blacie w samym centrum ilustracji. Mężczyzna z długą brodą, stojący bokiem, kierował swoje przeszywające spojrzenie wprost na czytelnika, jakby chciał spojrzeć mu w oczy. Jego prawa dłoń spoczywała delikatnie na rozwartym brzuchu martwej osoby, natomiast lewa wskazywała na coś znajdującego się tuż nad blatem. Ludzki szkielet trzymający w ręku kosę. Staruszek delikatnie i z czułością pogładził ozdobny frontysepis szczupłą dłonią.

- Andreae Vesalii - odczytał szeptem łaciński tekst znajdujący się w ozdobnej ramce tuż nad złowieszczą ilustracją ludzkiego szkieletu.
- *De humani corporis fabrica* - dokończył, wciąż gładząc poślizką kartę.

Dla większości prostych, niczego nieświadomych ludzi księga ta była pierwszym atlasem anatomicznym. Dla niego oraz dla całego stowarzyszenia Wesaliusza była niczym Biblia dla chrześcijan. Wszelką mądrością i instrukcją samego założyciela. Andreas Wesaliusz był twórcą ich oświeconej myśli i głównej idei, którą wyznawali każdego dnia, miesiąca, roku. Każdego wieku. Wyzwolił w ludziach ich prawdziwy, pierwotny instynkt. Udowodnił, że ten, kto go odczuwa, nie musi się wstydzić ani niczego obawiać. Jest bowiem oświeconym wybrańcem, który w pełni zasługuje na miano prawdziwego człowieka. Adolfo Patino nieraz zastanawiał się nad tym, co by powiedział Wesaliusz, gdyby ożył i zobaczył, jak dziś wygląda tajne stowarzyszenie, które sam stworzył. Czy byłby zaskoczony? Czy byłby zły, że prócz propagowania i kultywowania głównej idei Wesaliusza czerpią dziś z tego również ogromne zyski, mając tym samym wielkie wpływy na całym świecie? Pieniądze... Czym jest dzisiejszy świat bez nich? Czy gdyby nie majątek gromadzony przez Gospodarzy, stowarzyszenie miałoby jakiejkolwiek szanse funkcjonowania?

Adolfo oparł się nagle o rant gabloty. Obraz lekko zawirował mu przed oczami. Przyzwyczał się do tego. Zawsze miewał silne zawroty głowy w chwilach głębokiego rozmyślenia. Szybko odszukał wątek

swoich rozważań. Więc – powtórzył w myślach, jakby prowadził ze sobą ważną dysputę – czy Stowarzyszenie Wesaliuszy mogłoby istnieć dalej bez pieniędzy? NIE! W tej chwili miał minę szaleńca. Szaleńca, który był przeświadczony o swojej mądrości, bez względu na to, jak bardzo mijałby się z prawdą. Bez pieniędzy zostalibyśmy zepchnięci jak szczury do podziemi, podtruwani i stopniowo zabijani. Bez pieniędzy wszystko by upadło. Nie byłoby kontynuacji. Nie byłoby celu, dla którego żył. Był więc przekonany, że mistrz Andreas Wesaliusz zrozumiałby ich postępowanie, a wręcz byłby pełen podziwu dla ich obecnej działalności. Stowarzyszenie zawsze musiało przystosować się do świata, w którym przyszło mu funkcjonować.

Duża kropla potu spłynęła z jego czoła i opadła wprost do wnętrza gabloty. Dosłownie o kilka milimetrów minęła cenną księgę. Staruszek instynktownie cofnął głowę. Zachwiał się na swoich chudych nogach. W porę odzyskał jednak równowagę. Chwycił za szklaną pokrywę i opuścił ją, zabezpieczając swój bezcenny eksponat. W tej samej chwili rozległo się donośne pukanie i drzwi do gabinetu otworzyły się z rozmachem.

Do pokoju wszedł wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna ubrany w elegancki czarny garnitur. Pod szyją miał starannie zawiązaną muszkę.

– Panie Patino – zwrócił się niskim głosem do stojącego przy gablocie staruszka.

– Tak, Stefanie?

Stefan Kruger był w Stowarzyszeniu Kucharzem, a tym samym oficjalnym następcą Adolfo Patino. Po jego śmierci zostanie Gospodarzem. Choć Kruger nie mógł doczekać się chwili, gdy będzie mógł stanąć na szczycie i zająć to wyczekiwane miejsce, nie życzył swojemu Gospodarzowi szybkiej śmierci. Uważał wręcz, że chwila, gdy to nastąpi, będzie jedną z najcięższych w jego życiu. Traktował Patino jak mistrza, jak ojca, którego nigdy nie miał. Tak wiele się od niego nauczył. To on wprowadził go w ten świat. To on pokazał, że jego pragnienia, które towarzyszyły mu od najmłodszych lat, nie są

żadnym wynaturzeniem, a błogosławieństwem, o które z odpowiednią czcią trzeba dbać. Dlatego był przekonany, że dzień, w którym zabraknie u jego boku Adolfo Patino, będzie ciężki i pełen wewnętrznego bólu.

- Marnotrawny został zlikwidowany dzisiejszego ranka. Rozpoczęto procedurę spadkową - poinformował beznamiętnym głosem Stefan.

Patino spojrział na czterdziestoletniego Krugera. Musiał przyznać, że w nowym garniturze prezentował się godnie. Skinął głową na znak, że zrozumiał wiadomość.

- Otrzymałem informację - kontynuował Kucharz, który choć mieszkał w Kanadzie od kilkunastu lat, nie zdążył wyzbyć się twardego niemieckiego akcentu - że autokar z gośćmi niedługo dotrze na miejsce.

- Przypomnij kierowcy, że ma przyjechać po nas dwudziestego pierwszego, w samo południe.

- Oczywiście - odparł Kruger.

Staruszek westchnął ciężko. To był już trzeci przypadek za jego kadencji, kiedy musiał kogoś zlikwidować. Choć ten tegoroczny był zrozumiały i wykonany na jego zlecenie, to dwóch poprzednich nie mógł zrozumieć. Dwójka ludzi, która miała szansę wejść do grona oświeconych. Stać się częścią idei wiecznie żywego Wesaliusza. Głupcy nie pojmują, że ze Stowarzyszenia nie da się po prostu ot tak zrezygnować. Istnieje oczywiście jedna opcja. Wystarczy wpłacić sto milionów dolarów i przez całe życie siedzieć cicho ze świadomością, że jeśli ujawnią jakikolwiek skrawek tajemnicy, zostaną bez ostrzeżenia zlikwidowani. Ale tegoroczny Marnotrawny - jak zwano takich bezmyślnych imbecyli - nie należał do na tyle zamożnych ludzi, aby móc zapłacić za swoje odejście. Pozostała więc jedyna możliwa w tym wypadku opcja. Zresztą - na twarzy Patino pojawił się wyraz triumfu - tegoroczny Marnotrawny myślał, że jest sprytniejszy od samego Gospodarza. No cóż. Takie marnotrawstwo...

Przez okno wdarł się głośny warkot silnika. Pomimo swojej potężnej postury Stefan Kruger doskoczył do okna niczym zwinna sarna i spojrzał na dziedziniec.

- Przyjechali! - oznajmił podekscytowany, gładząc swoje jasne, starannie przylizane na bok włosy. Choć nie był to jego pierwszy taki dzień, co roku Stefan Kruger czuł tę samą niemalejącą ekscytację.

Adolfo Patino przetarł twarz wilgotną błękitną chusteczką. Poprawił luźny krawat i odetchnął głęboko. Dziś odbędzie się gra. Gra, która zadecyduje o całej Świętej Uczcie. Piętnastego października umarł Andreas Wesaliusz. Jego śmierć zmieniła cały świat. Piętnastego października Wesaliusz ożyje na nowo, w duchu każdego z zaproszonych gości.

- *Ex praeterito praesens prudenter agit ni futura actione deturbet*
- zarecytował z pamięci Gospodarz, otwierając drzwi na korytarz.

- Z przeszłych doświadczeń terażniejszość postępuje roztropnie, aby nie szkodzić w przyszłych działaniach - przetłumaczył słowa swojego mistrza Kruger, wychodząc z gabinetu.

Na zewnątrz jesienne słońce rozbłysło na dobre, na próżno próbując rozproszyć mroki Hotelu Hommanger.

Rozdział 1

Erna nie wiedziała, gdzie znajduje się hotel Hommanger. Nie mogła tego wiedzieć, ponieważ nawet nie przypuszczała, że niedługo pozna to dziwne miejsce. Jedyne, o czym w tej chwili doskonale wiedziała, to fakt, że terenowe beżowe volvo, którym jechała, domagało się żarcia, o czym od kilku minut nieustannie informowała ją migająca pomarańczowa kontrolka.

- Pierdolona paliwożerna hiena... - burknęła pod nosem z nienawiścią w głosie.

Ach, jak bardzo zatęskniła za swoim małym, wydajnym samochodzikiem. Zgrabnym suzuki, które pieszczotliwie nazywała Suzi. Suzi była dość wiekowa jak na samochód, lecz dla Erny wiek nie był najważniejszy. Tamten pojazd był nieodłącznym elementem jej codzienności, dzięki któremu nie pozwalała ludziom oceniać swojego stanu konta czy zawodu, który mogła wykonywać. Tylko zwyczajni ludzie mogliby jeździć takim suzuki. Zwyczajni, niemający nic do ukrycia obywatele, a Erna do takich nie należała. Dlatego Suzi była dla niej idealnym kamuflażem. Jednak nic, co ludzkie, lub też choć trochę uczłowieczone, nie jest idealne. Taka była też Suzi, której jedyną wadą było to, że dość często chorowała. Wczorajszego wieczora, kiedy Erna spakowała swoje manatki do małego japońskiego bagażnika, a następnie usadowiła się na miejscu kierowcy i żwawo, choć z wyczuciem, przekręciła kluczyk w stacyjce, spotkała ją niemiła niespodzianka. Suzi znów zachorowała. Akurat wtedy, kiedy Erna bardzo jej potrzebowała. Kiedy miały cel i musiały go zrealizować. Ach Suzi, ty... - i w przeciwieństwie do sytuacji, kiedy z łatwością nazywała Bogu ducha winne piękne volvo „pierdoloną paliwożerną hieną”, na wspomnienie o ukochanej Suzi przyszło jej tylko na myśl: - ty... moja biedna, chora przyjaciółko.

Erna wyrwała się z zamyślenia w ostatniej chwili. Zahamowała gwałtownie. Pisk opon przeciął błogi świergot porannych ptaków. Volvo posłusznie zahamowało, a Erna ze złością i zdziwieniem wpatrywała się w ścianę z ogromnych drzew. Ścianę z ogromnych drzew, w którą o mały włos nie wjechała. W takiej sytuacji większość ludzi wyrażałaby wzrokiem przerażenie, ale nie Erna. Ona była wściekła na drzewa, które bezkarnie rosły właśnie w tym miejscu, tuż przy jezdni. Była zła na ostry zakręt i na znak o nim informujący, który zamyślona przegapiła. Zła na volvo, które samo powinno skręcić i dowieźć ją do celu. Erna musiała przyznać w duchu, że w tej chwili była zła na cały świat i gdyby miała siekierę w bagażniku, wycięłaby wszystkie te pieprzone drzewa.

- Kurwa... - zaklęła, opuszczając wzrok. Zmęczona, spojrzała na stacyjkę. Przekręciła kluczyk i volvo zasnęło. Musiała je uspić. Nie chciała przecież żadnych świadków swojej słabości.

Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Poranne jesienne słońce usilnie wkraadało się przez szyby samochodu, oświetlając jego eleganckie, nowoczesne wnętrze. Delikatnie i nieśmiało muskało pojedynczymi promieniami zapłakaną twarz Erny. Jej rysy twarzy były łagodne. Duże, ciemne oczy, budzące zaufanie wśród nowo poznanych ludzi, proste i czarne jak węgiel włosy opadające na owalną twarz, nie za duży nos, ponętne usta. Jednak wystarczyło jedno ostre spojrzenie Erny, by to idylliczne pierwsze wrażenie na jej temat odeszło, a wręcz uciekło z niemy krzykiem.

Jej szczupła wysoka sylwetka kulila się teraz bezradnie na siedzeniu, a ona czuła się coraz bardziej zagubiona i bezsilna. Nienawidziła tego stanu, w którym przede wszystkim czuła nienawiść do samej siebie.

Z poczucia całkowitej beznadziei wyrwał ją silny podmuch wiatru. Samochód bezwładnie zakołysał się na boki. Erna uniosła szybko głowę. Otarła łzy o rękaw jeansowej koszuli i zdziwiona wyjrzała przez boczną szybę. Kolejny podmuch uderzył w bok śpiącego volvo, które niebezpiecznie przechyliło się na prawą stronę. Erna

instynktownie złapała rękoma kierownicę i ścisnęła ją kurczowo. Ścisnęła ją do chwili, gdy wreszcie samochód gwałtownie wrócił do swojej normalnej pozycji. Jej serce zaczęło nieregularnie bić. Tak jak zawsze, gdy jej organizm przeczuwał niebezpieczeństwo.

Czujnie zlustrowała okolicę. Za oknem panował spokój. Sielski jesienny krajobraz, który ją otaczał, nie zdradzał przyczyny dziwnej sytuacji, w której się właśnie znalazła. Ta cisza i pozorna zwyczajność była tylko przykrywką tego, co ją właśnie spotyka. Dlatego zaczęła się bać. Bać się i domyślać, co się zaraz stanie. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Nic, co miałoby jakikolwiek sens. Może prócz tego, że to wszystko jej się tylko śni... i gdy zaczęła wierzyć w to najprostsze i najbardziej naiwne wyjaśnienie, stało się coś, co szybko wyprowadziło ją z tego błędu.

Las już nie chciał niczego ukrywać. Ponowny podmuch wiatru tym razem uderzył w otaczające ją drzewa, które zakołysały się niebezpiecznie. Erna przestała na moment oddychać. Nagle przyszło jej oglądać dziwny spektakl złowieszczonego tańca ogromnych drzew, które wyglądały, jakby matka natura za karę zakopała je w ziemi. Ich gałęzie wyginały się bez wyraźnego rytmu. Wtórował im przeraźliwy dźwięk, który wywoływały gnące się konary. Dźwięk tak piskliwy i nieznośny, że wdzierał się do wnętrza szczelnie zamkniętego samochodu. Erna przyłożyła dłonie do uszu i mocno je przycisnęła. Ten psychodeliczny leśny śpiew zaczął wibrować jej w głowie. Sprawiał ból i nie zamierzał odpuścić. Drzewa tańczyły i śpiewały. Śpiewały i tańczyły. Coraz szybciej, mocniej, głośniej.

Nienawiść zastąpił strach, który powodował bezwładne drżenie jej szczupłego ciała. Wpatrywała się przed siebie przymrużonymi oczami, próbując odnaleźć resztki wewnętrznej siły potrzebnej do przetrwania. Jej luźny T-shirt pod rozpiętą jeansową koszulą falował wraz z coraz mocniejszymi uderzeniami serca. I gdy już zaczęła myśleć, że sytuacja jest beznadziejna, nagle w jednej chwili wszystko ustało. Jakby ktoś włączył przycisk „off” na odtwarzaczu. Tak po prostu.

Drzewa ponownie stanęły na baczność, a ich złowieszczy głos oddalił się gdzieś do wnętrza ziemi. Normalność? Erna wiedziała, że to tylko kolejna przykrywka. Ktoś lub coś z niej kpiło, a ona musiała się temu poddać. Pomału, ostrożnie oderwała dłonie od głowy.

Czas uciekać... czas uciekać z tego pierdolonego teatru. Uciekaj, Erna! Uciekaj! Głos w jej głowie zmobilizował ją do działania. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Odjedzie stąd i o wszystkim zapomni! Volvo jednak nie zareagowało. Spróbowała ponownie, tym razem mocniej. Samochód nie reagował.

- Kurwa, nie teraz! Nie teraz, ty... - i w tym właśnie momencie, kiedy chciała kolejny raz rzucić obelgą w stronę beżowego SUV-a, zaniemówiła. Wszystkie drzewa w jednej chwili obnażyły się przed nią, bezwstydnie zrzucając z siebie kolorowe jesienne liście. Liście, które zamiast delikatnie opaść na ziemię, unosiły się teraz nad ogołocionymi koronami i wirowały nad nimi, zasłaniając błękitne niebo. Na zewnątrz gwałtownie pociemniało. Erna z otwartą buzią spoglądała ku górze przez przednią szybę samochodu.

To się po prostu nie dzieje - powtarzała w duchu. Jednak wiedziała, była pewna, że jej wzrok i umysł są w pełni sprawne.

Liście jak w transie unosiły się w powietrzu. Nagle jeden malutki złoty listek wydarł się ze swojej lewitującej grupy. Zaczął delikatnie opadać, czym przyciągnął spojrzenie przerażonej Erny. Patrzyła jak to małe, niewinne cudo natury ruszyło swoją drogą. Drogą, która kierowała je wprost na przednią szybę beżowego volvo. Erna całą swoją uwagę przeniosła na mały liść, który niewinnie, z gracją, opadł na samochód. To był znak. Znak dla reszty. W jednej chwili wszystkie wirujące liście ruszyły w jej stronę, z impetem uderzając o auto. Świat przestał istnieć. Nie widziała nic prócz wszechobecnej ciemności. Krzyknęła. Poczowała, jak ogarnia ją klaustrofobia. Próbowwała łapać oddech, ze świstem wciągając resztki powietrza. Coś chciało ją zabić. Coś chciało ją ukarać za to, kim jest. Coś wciąż tu było i nie chciało odejść.

Otaczał ją odgłos szeleszczących liści, które bez litości atakowały samochód. Szum, który wydawał się złowrogim szeptem. Szeptem wielu złych, obcych osób. Nie mogła się uspokoić, nic nie widziała. Nie mogła wziąć głębokiego oddechu. Poczwała, jak ciało pomału odmawia jej posłuszeństwa. Powieki mimowolnie zaczęły się zamykać. Nie mogła krzyknąć. Głos grzął jej w gardle. To koniec? – zdążyła zadać sobie w duchu ostatnie pytanie, po czym odpłynęła.

Przez chwilę jej nie było. Wykasowana ze świata. Wykasowana z życia, które dobrze znała.

Obudziło ją uczucie gorąca. Delikatne, ledwo wyczuwalne ciepło ogrzewające czubek jej głowy. To jesiennie słońce, które znów świeciło na niebie, budziło ją, czule muskając pasmami jasnych promieni. Próbowwała otworzyć oczy. Czwała, że jej ciało jest całe odrętwiałe. Rozejrzała się wokół siebie. We wnętrzu samochodu panowała jasność. Szybko też znalazła przyczynę swojego odrętwienia. Klęczała na wpół zgięta, a jej głowa mocno opierała się o kierownicę. Uniosła rękę i delikatnie zbadała nią swoje czoło. Wyczuła guz wielkości orzecha włoskiego. Jęknęła z wysiłku, próbując podnieść się na fotel kierowcy.

Wreszcie zaczęła odzyskiwać czucie. Mrowienie ustało. W końcu udało jej się usiąść. Erna ostrożnie wyjrzała przez przednią szybę. Żadnych liści, żadnej wichury. Otaczające ją drzewa stały, jak to mają w swojej naturze, a ich korony lśniły kolorami jesiennych liści. Liści, które zanim utraciła świadomość, zaatakowały ją w zмовie z silnym wiatrem i budzącymi zgrozę tańczącymi drzewami. Siedziała teraz ogłupiała, nie myśląc o niczym. Jej umysł zawiesił się, gdy usilnie próbowała odnaleźć przyczynę tego, co się stało, i choć Erna należała do osób nader inteligentnych, tu jej szare komórki nie mogły nic zdziałać. Wyczerpana siedziała i patrzyła wprost przed siebie. Wyglądała na małą, bezbronną istotę. Każdy, kto ją znał, widząc ją teraz w takim stanie, wiedziałby, że musiało stać się coś bardzo złego.

Erna bowiem należała do ludzi, których trudno złamać. Trudno wystraszyć, zasmucić i wzruszyć. Długo pracowała, aby wyrobić

w sobie tak twardy charakter. W młodości życie często kopało ją w dupę, ale ona wiedziała, że to trening. Porzucona przez rodziców jako niemowlę, spędziła swoje dzieciństwo w obskurnym domu dziecka. Tam nauczyła się najwięcej. Z radością przyjmowała kolejne kopniaki i ćwiczyła swój charakter. Mimo wszystko potrafiła odróżnić dobro od zła. Jej bystre oczy dokonywały zawsze trafnej oceny sytuacji. W tym zawodzie jednak nie miało to większego znaczenia. Musiała tylko wykonywać polecenia, dzięki którym nauczyła się, by w pracy być emocjonalnie ociemniałą.

Nagle wibrowanie telefonu wyrwało ją ze stanu zawieszenia. Wnętrze dużego volvo wypełniło dzieło Edwarda Griega, *W grocie Króla Gór*. Zazwyczaj Erna długo zwlekała z odebraniem połączenia, aby móc napawać się tą piękną melodią. Teraz jednak była zbyt roztrzęsiona, by zwlekać z czymkolwiek. Wsunęła rękę do prawej kieszeni spodni i wyciągnęła smartfon. Na wyświetlaczu radośnie podskakiwał obrazek głowy obślinionego buldoga z podpisem: „Dzwoni: Bobby”.

- Halo? - wypowiedziała to tak słabym głosem, że aż się wzdrygnęła. W telefonie słychać było tylko trzaski i szum. - Halo? Bobby, jesteś tam? - spytała pewniejszym tonem. Nikt się jednak nie odzywał. Oderwała szybko telefon od ucha i spojrzała na ekran. Połączenie było aktywne. Zasięg wskazywał trzy kreski. Ponownie przyłożyła aparat do ucha. Nasłuchiwała i czekała, aż usłyszy głos przyjaciela.

- Halo, Erna? - Głos był niewyraźny i ledwo przebijał się przez głośny szum. Z całą pewnością jednak należał do Boba.

- Bobby! Jak dobrze, że dzwonisz! - krzyknęła w odpowiedzi Erna, dodając: - Są jakieś zakłócenia, Bob. Ledwo cię słyszę. - Przycisnęła mocniej komórkę do ucha.

- Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że uzdrowiłem twoją dziewczynę.

Ta wiadomość sprawiła, że na moment zapomniała o tym, co ją spotkało. Jej Suzi była zdrowa. Zdrowa i gotowa do jazdy. Nie mogła

się doczekać, kiedy będzie mogła usiąść za jej sterami. Tak bardzo w tej chwili za nią tęskniła. Bobby powiedział coś jeszcze, jednak trzaski i szumy sprawnie zakłócały przekaz.

- Bob, powtórz raz jeszcze ostatnie zdanie. Nie usłyszałam przez zakłócenia - poinformowała swojego przyjaciela.

Bobby był złotą rączką uzdrawiającą samochody. Potrafił wyleczyć każdą chorobę gnębiącą cztery kółka. Miał pięćdziesiąt lat i dobrze znał się na swoim fachu. Erna traktowała go jak ojca, a on traktował ją jak dziewczynę, u której nie ma najmniejszych szans. Dawno się z tym pogodził i mimo wszystko został jej dobrym przyjacielem, czym jej szczerze zaimponował. Był grubawy i owłosiony jak małpa, jednak swoim niebywale dobrym charakterem nadrabiał wszystkie widoczne wady. Pracował w tym samym szambie co Erna, więc łączyło ich wiele wspólnych tematów.

W telefonie znów było słycać tylko nieustający szum.

- Bobby? - powtórzyła raz jeszcze, czekając na jego odpowiedź.

- Muszę... pokazać... Zabij... zrobili... dla mnie... przepraszam... - Pojedyncze słowa przebijały się przez głośne zakłócenia. - Do zobaczenia, Erna... - Głos Bobby'ego znów ledwo się przebił przez zakłócenia.

- Bobby?! - krzyknęła do słuchawki. - Bob?! - Nic jednak nie było już słycać. Ustały szumy, ustały trzaski, ustał głos przyjaciela.

„Połączenie zostało zakończone” - Erna wpatrywała się w komunikat na wyświetlaczu. Po tej rozmowie poczuła niepokój. Jej przyjaciel nigdy nie mówił: „Do zobaczenia”. Nigdy nie mówił czegokolwiek tak dziwnie dalekim, poważnym głosem. Za co ją przeproszał? Co chciał jej powiedzieć? Erna zaczęła się irytować. „Zabij... dla mnie...”. Słowa przyjaciela krążyły jej w głowie. Czy Bobby miał na myśli jej misję? Czy chciał ją wesprzeć? Tylko on wiedział, jak bardzo była rozdarta. Tylko jemu zwierzyła się z wątpliwości, które zaczęły ją nawiedzać. Kochany Bob. Zawsze wiedział, kiedy mnie pocieszyć - pomyślała z czułością. Poczula

nieodpartą chęć podziękowania mu za ten telefon. Musiała się z nim skontaktować. Szybko wybrała opcję „Połącz ponownie”.

- Połączenie nie może być zrealizowane - usłyszała komunikat wydobywający się z głośnika komórki. Spojrzała raz jeszcze na ekran, na którym pojawiła się informacja sprawiająca, że Erna znów poczuła się nieswojo: „Brak zasięgu”.

- Co jest? - spytała samą siebie.

Nie zamierzała się jednak poddawać. Otworzyła drzwi volvo. Nadszedł czas, kiedy musiała odważyć się wyjść z samochodu. Robiła to dla przyjaciela. Robiła to także dla siebie, by uciszyć swój niepokój.

Wysiadła. W chwili, gdy uchyliła drzwi, otoczył ją błogi śpiew ptaków, które były widocznie nieświadome rychłego przyjścia jesieni. Stała na środku opustoszałej drogi. Uniosła telefon ku górze, manewrując nim na wszystkie strony. Tak bardzo chciała złapać zasięg. Tak bardzo chciała znów usłyszeć głos przyjaciela. Jednak świat nie miał zamiaru się nad nią litować. Kolejny raz kopnął ją w chudy tyłek, a ona, zamiast jak wcześniej odebrać to jako dar, zrezygnowana usiadła na poboczu. Dała komórce ostatnią szansę na naprawienie swojego błędu, jednak ta wciąż była nieugięta. Zasięgu nie było. Zawiedziona i wypełniona wściekłością cisnęła nią o asfalt. Cud techniki w jednej chwili zmienił się w nic nieznaczącą kupę większych i mniejszych części.

Był piętnasty dzień października, a mimo to temperatura była letnia i przyjemna. Jesień okazała się w tym roku łaskawa. Erna podniosła się z ziemi. Otrzepała spodnie i zdjęła jeansową koszulę. Było jej na tyle ciepło, że mogła mieć na sobie jedynie biały T-shirt. Ruszyła w stronę samochodu. Na chwilę zatrzymała się przy szczątkach smartfona, w których odszukała dwa małe, prostokątne kawałki plastiku będące kartami sim i pamięci microSD. Włożyła je do tylnej kieszeni spodni, po czym biorąc głęboki oddech, ponownie ruszyła w stronę volvo. Miała nadzieję, że posłusznie odpali, że posłucha jej i będą mogli odjechać z tego chorego miejsca.

- Jak to mówią, nadzieja umiera ostatnia... - bąknęła pod nosem i wsiadła za stery samochodu.

Nie zamknęła drzwi. Nie chciała zbyt szybko zrezygnować z możliwości wdychania świeżego powietrza. Delikatnie przekręciła kluczyk w stacyjce. Odpowiedziała jej cisza.

- Nadzieja umarła. Pozostał tylko jebany zawód! - krzyknęła teatralnie, rzucając kluczyki na tylne siedzenie.

Nie miała telefonu, samochód nie chciał odpalić, a ona kompletnie nie wiedziała, co robić. Nieźle się załatwiłaś, dziewczyno! - skarciła samą siebie. Ponad dwie godziny temu, kiedy wjechała w drogę otoczoną starym lasem, ani razu nie widziała żadnego domu, żadnej stacji benzynowej, żadnego autostopowicza. Gdyby miała swoją Suzi, dojechałaby bezpiecznie do celu. Była tego pewna. Starczyłoby jej paliwa, wyrobiłaby się na zakręcie i wszystko, co złe, ominęłoby ją dosłownie szerokim łukiem. W obecnej chwili nie miała żadnego pomysłu, jak wyjść z tej beznadziejnej sytuacji. Zrezygnowana oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy.

Fala wspomnień z przeszłości wypełniła jej głowę. Czują lekkie powiewy wiatru, który smagał delikatnie jej długie włosy. Pomału pod powiekami Erny zaczęły formować się obrazy. Sceny, których wolałaby nie pamiętać. Jednak te za nic nie chciały ulotnić się z jej głowy. Czaiły się w ciemnych zakamarkach, by w chwilach słabości dopaść ją bez uprzedzenia.

Ciemne pomieszczenie. Sypialnia. Pośrodku duże łóżko, a na nim śpiąca postać, która nie spodziewa się nocnego gościa. Gościa, który po cichu, bezszelestnie porusza się po skąpanym w mroku pomieszczeniu. W ręku trzyma jakiś przedmiot.

Mała, pięcioletnia dziewczynka budzi się w środku nocy. Prawdopodobnie przyśnił jej się straszny koszmar. Może krwiożercze kucyki Pony? Teraz to nie jest ważne. Musi uciekać. Odnaleźć bezpieczną przystań. Pokój, w którym śpi jej tatuś. Bosymi stópkami przemierza ciemny korytarz. Odnajduje upragnione drzwi, które, uchylone, zapraszają ją do środka. Stojąc jeszcze w korytarzu, widzi

łóżko tatusia. Chce wejść, jednak w ostatniej chwili rezygnuje. Do łóżka zakrada się niewyraźna postać. Czy to Zębowa Wróżka? Dziewczynka otwiera buzię z wrażenia, przyglądając się z ekscytacją dziwnej postaci. Tatuś nigdy nie mówił, że też oddaje jej swoje zęby. Może dlatego miał tyle pieniędzy?

Ciemne oczy dziewczynki, rozwarte niczym spodki, wpatrują się w równie ciemną zjawę, która kieruje jakiś przedmiot w stronę śpiącego taty. Czy to różdżka? Czy to magiczna różdżka Zębowej Wróżki? Nagle sypialnię wypełnia krótki rozbłysk i odgłos pękającej czaszki.

To nie Zębowa Wróżka! – stwierdza przerażona mała dziewczynka. Zębowe Wróżki mają skrzydełka!

Postać ubrana w czarny kombinezon i kominiarkę wykonała zadanie. Potrzebuje jeszcze dowodu. Zbliży się do martwego ciała leżącego na zakrwawionym łóżku. Strzał był idealny. Kula gładko weszła w głowę. Śmierć natychmiastowa. Niezapowiedziany gość, odłożywszy broń na łóżko, zbliży swoje dłonie, odziane w czarne rękawiczki, do ust nieboszczyka. Rozchyła jego wąskie usta. Białe zęby denata mieniają się w oczach. Na jednym z górnych siekaczy widnieje tatuaż w kształcie ludzkiego oka.

Teraz musi tylko zabrać ze sobą dowód. Nocny gość sięga ręką do tylnej kieszeni opiętych spodni. Wyjmuje małe kombinerki, którymi chwytą za wytatuowany siekacz. Skurczybyk trzyma się mocno. Kilka mocnych szarpnięć. W końcu daje za wygraną. Szczęka zalewa się jeszcze ciepłą krwią. Pora opuścić to miejsce. Cenny eksponat, schowany do małego woreczka, spoczywa w bocznej kieszeni spodni wraz z bronią i kombinerkami.

Gość rusza w stronę wyjścia. Mija starą toaletkę z dużym lustrem. Skrzydło drzwi uchyla się szerzej. Ich zdziwione spojrzenia się spotykają. Zaskoczenie przeradza się w obustronne przerażenie. To nie miało tak być. Psikus losu? Te dwie osoby nie powinny się spotkać. Jedna chwila. Jedno zdarzenie. Taki żart od życia.

Nocny gość odchodzi. Dziewczynka jeszcze długo stoi w drzwiach, spoglądając w mroki sypialni. Jedno pytanie dręczy ten mały, niewinny umysł. Skoro ta czarna postać nie była Zębowa Wróżka, to dlaczego zabrała ze sobą ząb tatusia?

Volvo zakołysało się gwałtownie na boki. Nie był to kolejny niewytłumaczalny podmuch wiatru. To Erna poderwała się ze snu. Wciągnęła łapczywie powietrze, łapiąc się przy tym za obolałe czoło. Jęknęła z bólu. Guz, choć mniejszy, wciąż znajdował się na jej czole. Przetarła zaspane oczy. Ponoć od takiego tarcia można było szybko nabawić się zmarszczek. Erna miała to gdzieś. Nie należała do kobiet, które boją się starości. Może dlatego, że była jeszcze młodą dwudziestoosmiolatką, a może dlatego, że faktycznie miała w głębokim poważaniu wszelkie zmiany na swoim ciele, krzyczące, że koniec życia zbliża się nieubłaganie. Musiała przysnąć na chwilę... Spojrzała na swój stary zegarek upięty luźno na nadgarstku.

Erna była zapaloną kolekcjonerką naręcznych zegarków. Szukając nowych nabytków, nie patrzyła na wysoką cenę i markę. Nie to przyciągało ją do mechanicznych wskaźników czasu. Zegarek musiał mieć duszę. Musiał mieć to coś, co powodowało, że Erna Brown koniecznie pragnęła zostać jego posiadaczką. Tak było i z tym, który teraz wskazywał godzinę piętnastą piętnaście.

MATKO JEDYNA! - krzyknęła w duchu i raz jeszcze z niedowierzaniem spojrzała na tarczę starego, męskiego zegarka marki Delbana. Nie pomyliła się. Ucięła sobie naprawdę długą drzemkę. Poczowała ból rozsadzający jej łydki. Musiała wyjść z samochodu i rozprostować nogi.

Na zewnątrz słońce pomału ustępowało coraz gęstszym chmurom. Nie było już tak ciepło. Erna schyliła się do wnętrza volvo i wyjęła z niego jeansową koszulę. Po chwili włożyła ją na siebie i poczuła, że chłód dręczący jej ciało zelżał. Zmrużyła oczy i rozejrzała się po okolicy. Nikt nie nadjeżdżał. Może przegapiła okazję na ratunek, gdy spała?

Nie - szybko rozwiała swoje wątpliwości. Gdyby ktoś tędy jechał, na pewno zatrzymałby się, widząc auto stojące na zakręcie z niedającym oznak życia kierowcą. Była pewna, że wszystko sprzyściło się przeciwko niej. Samochód nie chciał odpalić, roztrzaskała swój smartfon, a co najbardziej irytujące i nieprawdopodobne, autostrada wyglądała, jakby była trasą widmo, w którą Erna nieświadomie wjechała. Oparła się plecami o bok samochodu. Musiała podjąć jakąś decyzję. Myśl Erna, myśl. W Chalk River miała być o dwunastej, czyli ponad trzy godziny temu. Nawet jeśli znalazłaby jakiś środek transportu, to i tak nie miała już po co tam jechać. Za późno. Powinna więc wrócić do Ottawy. Tylko jak ma to zrobić? Uniosła i wygięła do tyłu prawą rękę, by dosięgnąć karku. Zaczęła go delikatnie masować. Wszystko ją bolało. Każdy skrawek ciała, każdy mięsień. Wypuściła pomału powietrze. Przy jej ustach pojawiła się delikatna mgiełka. Temperatura w szybkim tempie zaczęła się obniżać. Musiała wziąć się w garść.

Spojrzała na rozległą drogę. Grzebiąc w pamięci, przypomniaws sobie, że przemierzając ostatnie trzydzieści kilometrów, nie natrafiła na żaden zjazd z głównej trasy. Nie było sensu się cofać. Jeśli zawróci i nie napotka żadnego nadjeżdżającego samochodu, nie zdąży przed zmrokiem wrócić do volvo, w którym mogłaby w razie potrzeby bezpiecznie się schronić. Wyjście było jedno. Pójdzie wzdłuż drogi, którą jeszcze nie jechała. Może uda jej się natrafić na stację, sklep czy cokolwiek innego, gdzie byłby człowiek, który użyczyłby jej telefonu. Godzina marszu do przodu. Na tyle mogła sobie pozwolić, żeby przed zmrokiem zdążyć tu wrócić. Miejmy jednak nadzieję - pomyślała w duchu - że ktoś będzie tędy przejeżdżał.

Weszła jeszcze na chwilę do beżowego auta i sięgnęła po kluczyki. Otworzyła bagażnik. Wyjęła z niego butelkę wody mineralnej i mały granatowy plecak, który zarzuciła na ramię. Zatrzasnęła klapę bagażnika. Była gotowa. No to w drogę! Upewniła się tylko, czy dobrze zamknęła samochód, po czym ruszyła poboczem wprost w nieznaną.

Gałęzie łamały się pod jej sportowym obuwiem. Szła już dobre pięćdziesiąt minut, coraz bardziej zrezygnowana. Nadzieja na odnalezienie jakiegokolwiek cywilizacji stopniowo ją opuszczała. Musiała się napić. Przystanęła i odkręciła plastikową butelkę z wodą gazowaną. Donośny syk przeszył okolicę. Po chwili poczuła w przełyku delikatny chłód. Robiło się coraz zimniej. Ach, ile by teraz dała za kubek gorącej, czarnej kawy. Brzuch też zaczął protestować, wydając z siebie groźne pomruki.

- I co ja ci na to poradzę?! - warknęła gniewnie do swojego żołądka, wyładowując na nim swoją frustrację.

Spojrzała na zegarek. Według niego mogła pozwolić sobie jeszcze góra na dziesięć minut marszu przed siebie. Czy warto było iść dalej? Przeczesała swoje długie włosy, spoglądając wzdłuż opustoszałej autostrady. W zasięgu jej wzroku nie było widać żadnego skrętu czy drogowskazu.

- Cholera jasna! - krzyknęła, rzucając butelką w otchłań lasu. Było to nad wyraz głupie posunięcie, z czego po krótkiej chwili zdała sobie sprawę. Z pewnością woda przyda jej się w drodze powrotnej, a kto wie, ile spędzi czasu, czekając na pomoc w tym głupim beżowym volvo. Zauważyła też, że zbyt często rzucała cennymi przedmiotami, które mogłyby uratować jej życie. W tak głupi sposób pozbyła się już telefonu. Zdecydowanie muszą panować nad nerwami - skarciła samą siebie w myślach, po czym weszła w gęstwinę, kierując się w stronę porzuconej butelki.

Ta, dosłownie wstrząśnięta, leżała na wilgotnym mchu. Gęste wysokie drzewa otaczały Ernę z każdej strony. Poczowała się niepewnie. Przystanęła i rozejrzała się wokoło, jak gdyby chciała zlokalizować czyhające na nią niebezpieczeństwo. Nic jednak nie dostrzegła. Żadnego wilka, żadnego leśnego stwora. Zaczynam popadać w jakąś psychozę - pomyślała, okazując tym samym dezaprobatę dla swojego tchórzliwego zachowania. W końcu doszła do celu. Zdziwiła się, jak daleko udało jej się rzucić butelką. Przykucnęła, by sięgnąć po nią ręką.

Podnosząc się z kolan, zastygła w połowie. Coś, a raczej ktoś sporych rozmiarów przemknął w oddali między dwoma drzewami, po czym dosłownie rozplynął się w powietrzu. Zmrużyła oczy, próbując ponownie zlokalizować obiekt, który przykuł jej uwagę. Nieprzyjemne ciarki przemknęły po jej plecach. Mogłaby przysiąc, że kogoś tam widziała. Że ktoś tam był i... Nie, to niemożliwe. To nie miało sensu. Nie mogła jednak pozbyć się silnego wrażenia, że ten ktoś wyglądał trochę jak...

- Bobby?! - krzyknęła w dal. Jej głos odbił się echem po otaczającym ją lesie. Nie usłyszała jednak żadnej odpowiedzi.

Dziwne... - pomyślała, analizując to, co właśnie zobaczyła. Przez dręczący ją głód zaczynała mieć jakieś omamy. Mimowolnie zrobiła kilka nieśmiałych kroków przed siebie. Spojrzała raz jeszcze w dal, wyteżając wzrok. Znow coś dziwnego przykuło jej uwagę. Te drzewa... Te drzewa przed nią... To nie może być... Wstała i pokręciła głową na boki. W oddali las wydawał się bardziej przejrzysty. Duże prześwity, których w innych częściach lasu nie było. Czy to mogła być... Czy tam jest... Czy tam przebiega jakaś droga?! Przełknęła ślinę. Wreszcie pojawił się mały promyk nadziei. Spojrzała na tarczę delbany. Było tuż po siedemnastej. Czy powinna zaryzykować? Czy może lepszym pomysłem byłoby, gdyby wróciła do samochodu i poczekała na swoich kolegów po fachu?

Poczuła nagle mocny ucisk w żołądku. Była tak przeraźliwie głodna i obolała. Zresztą nie chciała wracać do tego pieprzonego volvo. Tak! Musiała zaryzykować. Szybka decyzja.

Biegiem przemierzyła gęsty las i wróciła na pobocze. Drogą szybciej dotrze do upatrzonego celu - pomyślała, ruszając do przodu. Przyśpieszyła. Równym, rytmicznym krokiem pokonywała kolejne odcinki autostrady. Serce biło jej coraz mocniej. Nie tylko z wysiłku. Głównie z podniecenia. Co zobaczy, gdy dotrze do celu? Czy miała rację? Jeszcze kawałek... Spojrzała na lewo. Była coraz bliżej. To musi być droga... to musi być droga... - powtarzała w myślach zdyszana Erna.

Słońce już dawno zniknęło za chmurami. Powietrze zrobiło się wilgotne i nieprzyjemne. Cel był coraz bliżej. Szybciej, szybciej... - ponaglała się, wiedząc, że nie ma zbyt wiele czasu. Była już prawie u celu. Po lewej, w oddali, ujrzała wreszcie spore wgłębienie. Brak pobocza. To może być prawda! Zaczęła biec, z trudem łapiąc powietrze. Para wydobywająca się z jej ust z każdym wydechem była coraz gęstsza. Jeszcze trochę, mały kawałek. W końcu się zatrzymała. Dotarła do celu. Leśna wyboista droga, otoczona z każdej strony lasem, rzeczywiście tu była i prowadziła w nieznane. Erna stanęła pośrodku wytyczonego szlaku. Miała rację! Nie było dla niej zaskoczeniem, że droga nie kończyła się przy stacji benzynowej czy sklepie. Tak naprawdę nie wiadomo, gdzie prowadziła i czy miała jakiegokolwiek sensowne zakończenie. Dawała jednak jakąś nadzieję.

Leśną dróżkę przecinał drewniany szlaban uniemożliwiający przejazd. Albo była ona nieczynna, albo... Erna dostrzegła tabliczkę przybitą do grubego pnia. Podeszła, aby się jej lepiej przyjrzeć.

Teren prywatny. Wstęp wzbroniony

Odczytała czerwony napis ostrzegawczy. Pod nim widniała czarna ilustracja kamery i podpis:

Obiekt chroniony

Pierwszy raz w życiu prosty obrazek sprawił jej tyle radości.

- Bingo! - Zacisnęła dłoń w pięść, którą uniosła triumfalnie ku górze. Ta droga musiała prowadzić do cywilizacji! Cywilizacja oznacza ratunek i... kto wie?! Może znajdzie się tam ekspres do kawy i dobrze wyposażona lodówka? Erna minęła drewnianą barierkę i ruszyła przed siebie, licząc na szczęśliwy koniec.

Rozdział 2

Im dłużej przemierzała leśną nieznaną drogę, tym miała więcej wątpliwości, czy podjęła słuszną decyzję. Zapuściła się w nieznaną. W głąb mrocznego lasu, który coraz skuteczniej skrywał wszystko za gęstą mgłą. Czy zaczęła się bać? Nie. Czy zaczęłaś się bać, Erno? – spytała siebie raz jeszcze. Wiedziała, że pierwsza odpowiedź była kłamstwem. Ekscytacja i szczęście dawno uciekły, pozostawiając ją, biedną i zdezorientowaną, w głębi mrocznego lasu. Mgła ograniczała widoczność. Nie widziała niczego, co znajdowało się w odległości większej niż dwa metry. Nie mogła odczytać godziny na zegarku, choć z całych sił próbowała dojrzeć, gdzie aktualnie znajdują się dwie najważniejsze wskazówki. Co chwilę przykładła zegarek do oczu, jednak jej wzrok nie mógł przebić się przez wieczorne ciemności.

Poczuła na plecach nieprzyjemne dreszcze. Objęła rękoma swoje ramiona. Teraz jej kroki zwolniły. Stąpała ostrożnie, próbując wymijać wyłaniające się z mgły gałęzie i wyboje. Mogła wziąć urlop. Wyjechać i odciąć się od tego wszystkiego. Dokładnie to tydzień temu radził jej Bobby. Powiedział:

- Hej, mała. Jak nie odpoczniesz, to zwariujesz. A większej wariatki od tej, którą już jesteś, nie zniosę! – żartował, starając się ją na swój sposób pocieszyć.

- Nie chcę nigdzie wyjeżdżać... nie ucieknę od tego.

- A kto ci każe uciekać? Wyjedź, przemyśl wszystko, pogódź się z tym i wracaj do swojego przyjaciela! – upierał się, szczerząc w uśmiechu swoje żółte zęby. – Inaczej trauma z przeszłości będzie nawiedzała cię każdego dnia – dodał po chwili już poważniejszym tonem.

- Bob... – Erna zamilkła na moment. Spojrzała na przyjaciela wielkimi oczami, w których malował się smutek i rezygnacja. Wzięła

głęboki oddech i dokończyła: - Pojadę, jeśli ty pojedziesz ze mną. Sama nie dam rady.

- Nie mogę, Erna. Cholera... chciałbym, ale... - zawahał się, jakby myślał nad dobrym kłamstwem. Patrzył wtedy na Ernę takim pustym, nieznanym jej wcześniej spojrzeniem. - Muszę coś załatwić, skarbie. Przykro mi...

- Rozumiem - odpowiedziała, choć tak naprawdę wcale go nie rozumiała. Bobby nigdy jej nie odmawiał. Zwłaszcza wtedy, kiedy wiedział, że coś jest dla niej tak ważne. Jak ten wyjazd z przyjacielem, który może i był dobrym pomysłem.

- Ale obiecaj mi, że pojedziesz gdzieś sama. Jak najszybciej. Najlepiej jutro!

- Obiecuję - skłamała, o czym Bob dowiedział się już następnego dnia, za co soczyście ją ochrzanił.

Łzy wywołane falą nagłych wspomnień napłynęły jej do oczu. Przez chwilę nic nie widziała. To wystarczyło, aby zahaczyć nogą o wystający na środku drogi korzeń. Zachwiała się niebezpiecznie. Na szczęście w porę udało jej się złapać równowagę.

- Kurwa! - zakląła, czując ogarniającą ją bezsilność. Mglisty leśny świat migał jej teraz niewyraźnie w szklistych oczach. Poprawiła ramiączka plecaka i pociągnęła z żalostí nosem. Już dawno nie czuła się tak słaba. Tak strasznie zagubiona. Żaden GPS nie był w stanie jej pomóc. Pogubiła się wewnątrz. W środku. Nie potrafiła znaleźć właściwej drogi, aby wyjść z labiryntu wątpliwości. A może utknęła w nim na zawsze? Ta przerażająca myśl tkwiłaby jeszcze długo w jej głowie, rozwijała się w niebezpieczną stronę, sprawiając ogromny ból, kielkowałaby i drążyła dziury w jej umyśle i sercu, siała spustoszenie w wyziębionym, głodnym i sennym organizmie, gdyby nie małe, rozmyte światełko.

Erna przystanąła gwałtownie i zamrugła swoimi dużymi oczami, upewniając się przy tym, że to, co właśnie zobaczyła, nie jest wytworem jej wyobraźni. Łzy z oporem opuszczały okolice jej oczu. Przetarła twarz zimną dłonią. Zmrużyła oczy, próbując raz jeszcze

namierzyć to, co przed chwilą ujrzała. Jednak jej się nie wydawało! – stwierdziła szybko, wpatrując się w jedno miejsce, jakby bała się, że za chwilę zniknie. Naprzeciw niej przebijało się niezidentyfikowane, lekko żółte, rozmyte światło. Ukryte za gęstą mgłą było ledwo zauważalne. Ledwo widoczne, ale... BYŁO TAM! Czy w końcu udało jej się dotrzeć do cywilizacji? Iskierka nadziei rozpałała jej serce.

Gwałtownie ruszyła przed siebie. Wyraźnie przyśpieszyła, co rusz potykając się o wystające korzenie drzew. Starła się nie spuszczać z oczu rozmytego światła. W otaczającej ją mlecznej ciemności był to jedyny punkt zaczepienia, który mógł być jej wybawieniem. Krok za krokiem. Coraz szybciej brnęła do przodu. Cel stawał się coraz wyraźniejszy. Nie idź w stronę światła...– usłyszała w swojej głowie znajomy głos. Postanowiła zignorować to ostrzeżenie. Gdyby właśnie umierała, mogłaby się nad tym zastanowić. Walczyła jednak o przetrwanie i z całą pewnością zamierzała kierować się w stronę żółtej poświaty. Wokół niej panowała cisza. Jakby las, przez który pędziła, był martwy. Teraz jednak nie miało to dla niej większego znaczenia. Była coraz bliżej. Jeszcze trochę. Z każdym jej krokiem mgła odkrywała kolejny element ukrytego obrazu. Skąd bije to żółte światło? Skąd wyłania się ta ciepła poświata?

Stała w końcu, wbijając wzrok przed siebie. Wreszcie znalazła odpowiedź na to pytanie. Oddychała ciężko, pochłaniając oczami odkryty obraz. Doszła do celu. Z gęstej mgły wynurzył się stary ceglany budynek. Żółte światło biło z okna usytuowanego gdzieś po prawej stronie. Jej ciałem szarpnął nagły dreszcz. Wzdrygnęła się mimowolnie, nie odrywając wzroku od domu. To koniec drogi. Dokąd ją przywiodła? Przez głowę Erny przebiegła myśl o jej ulubionej baśni, o Jasiu i Małgosi. Czy to był domek czarownicy? Czy był w całości zbudowany ze słodyczy? Erna zrobiła kwaśną minę. Jak mógł jej przyjść do głowy tak absurdalny pomysł? Popukała się w czoło. Od głodu i zimna, najprościej rzecz ujmując, zaczęło padać jej na mózg. Czym więc było to miejsce? Do kogo należało? Skierowała się do drzwi wejściowych, mijając po drodze uschnięte różane krzaki, które

skryły swój żalony wygląd pod mleczną mgłą. Stała zaraz za kolumnami poprzedzającymi wejście. To nie był jadalny domek. Fakt ten spowodował, że Erna poczuła ścisk w pustym żołądku. Naiwna, dziecinna nadzieja na to, że bajka mogła okazać się prawdą, rozplynęła się w gęstym powietrzu. Dom zdecydowanie nie był wykonany ze słodkości.

Silny powiew wiatru szarpnął pordzewiałym sztyldem zwisającym tuż nad jej głową.

- H... OO... L... Hotel... - próbowała na głos poskładać ledwo widoczne litery. - HO... MM... AN... ER... Hommanger! - wykrzyknęła w końcu, jednocześnie zastanawiając się, czy dobrze wymówiła tę nazwę. - Hotel Hommanger - powtórzyła.

Poczuła niesamowite szczęście. Koniec drogi okazał się zbawienny. Nie mogła lepiej trafić! Oddychała szybko. Z jej ust wydobywała się gęsta para. We wnętrzu hotelu paliło się światło. Ktoś tam był i tym kimś na pewno nie była czarownica! Jej serce zaczęło mocniej bić. Erna postanowiła dostać się do środka. Zlustrowała wzrokiem ścianę wokół bladoczerwonych drzwi. Nigdzie nie dopatrzyła się dzwonka. Pozostało jej tylko zapukać. Uniosła skostniałą dłoń i z rozmachem uderzyła kilkukrotnie w wejściowe skrzydło. Wnętrze hotelu Hommanger wypełniło się głośnym dudnieniem.

Wszyscy goście zebrani w salonie przy kominku popatrzyli na siebie zdumieni. Drobnym staruszek ubrany w elegancki garnitur zerknął niepewnie w stronę stojącego tuż przy nim, potężnie zbudowanego mężczyzny. Nastąpiła grobowa cisza.

Erna spoglądała nieufnie wprost na wysokiego, groźnie wyglądającego mężczyznę, który pojawił się w drzwiach hotelu. Jego złowroga mina raczej nie zachęcała do przekroczenia progu budynku. Gdy kilkanaście sekund temu ujrzała otwierające się z rozmachem drzwi, miała nadzieję, że powita ją miły, uśmiechnięty człowiek, który pochwyci jej bagaż i zaprosi na kubek czegoś gorącego do picia. Taki pracownik hotelu, któremu z racji wykonywanego zawodu zwyczajnie

zależy na gościach, zwłaszcza w miejscu takim, jak to – dość trudno dostępnym, przez co zapewne rzadko odwiedzanym przez potencjalnych klientów. Nadzieja ta jednak szybko się ulotniła, a osoba stojąca tuż przed nią bardziej przypominała lokaja Lurcha z filmu *Rodzina Addamsów*, aniżeli mężczyznę o miłej aparycji, któremu łatwo zaufać. Erna była głodna i zziębnięta.

Nagle z jej wnętrza wydobyło się żalosne zawodzenie. Położyła prawą dłoń na brzuchu, jakby to miało pomóc w zatuszowaniu jęków jej niedożywionego żołądka.

– W czym mogę pomóc? – spytał zdziwiony Kruger, nieufnie przyglądając się nieznajomej.

– Mój samochód zepsuł się na autostradzie – odpowiedziała, nie odrywając oczu od fascynująco dobrej kopii Lurcha. – Szukałam pomocy i natrafiłam na drogę prowadzącą do tego hotelu...

– Hotelu? – przerwał jej beznamiętnym głosem Kruger. Jego małe, wąskie oczy wciąż nieufnie świdrowały stojącą przed nim kobietę.

– Tak przynajmniej jest tu napisane... – odparła Erna, odrywając dłoń od brzucha i wskazując na pordzewiałą tabliczkę zwisającą tuż nad jej głową. Jednak wysoki, groźnie wyglądający mężczyzna nie podążył wzrokiem za jej palcem. Zamiast tego wciąż wpatrywał się podejrzliwie w niespodziewanego gościa, jakby trudno było mu uwierzyć w jego wyjaśnienia.

Erna poczuła, jak mroźny wiatr uderza ją w plecy, delikatnie kołysząc zwisającym na ramieniu plecakiem. Było jej coraz zimniej. Zaczęło do niej docierać, że to faktycznie nie jest domek złej czarownicy i co najgorsze... nie jest to chyba także hotel. Czym więc do cholery jest to miejsce?! Ogromne rozczarowanie ścisnęło jej wnętrzności. Musiała zawrócić. Coś jej mówiło, żeby jak najszybciej wrócić do samochodu. Głodna, wyczerpana, przemarznięta i zła na cały świat. To chyba nie był...

– Oczywiście, że jest to hotel. Witamy w hotelu Hommanger, słodziutka! – usłyszała nagle miły, delikatny głos wydobywający się tuż zza pleców gburowatego, wysokiego blondyna.

Stefan Kruger posłusznie się wycofał. Po chwili przed nią pojawił się człowiek, którego Erna wyobrażała sobie, gdy zapukała w bladoczerwone drzwi. Szczupły, mały i uśmiechnięty staruszek, od którego biła aura całkowicie przeciwna tej, którą została najpierw uraczona przez olbrzyma.

- Wybacz, proszę, Stefanowi, słodziutka - powiedział staruszek ubrany w elegancki, dobrze skrojony czarny garnitur. - Dziś przyjechali nasi pierwsi goście. Z tego powodu Stefan ma dużo pracy. Jest bardzo zmęczony.

Erna uśmiechnęła się niepewnie. Staruszek szybko wyczuł jej wahanie.

- Pozwól, słodziutka, że się przedstawię - dodał szarmancko, wyciągając w jej stronę pomarszczoną, starą dłoń. - Adolfo Patino. Gospodarz tego skromnego miejsca.

Erna wyciągnęła w jego kierunku rękę. Jej wzrok mimowolnie zatrzymał się na złotym sygnecie spoczywającym na palcu Gospodarza.

- Erna Brown - przywitała się, odwzajemniając mocny uścisk.

- A to nasz kucharz i moja druga, młodsza i sprawniejsza ręka, Stefan Kruger - ciągnął dalej Patino, wskazując na stojącego obok niego mężczyznę. - I proszę się go nie bać. On tylko tak groźnie wygląda - dodał, klepiąc Krugera po wystającym brzuchu.

Erna uśmiechnęła się krzywo, a przynajmniej na tyle, na ile miała sił.

- Ponoć przywitanie się w progu zwiastuje pecha - wymamrotał pod nosem Stefan, wciąż obdarzając Ernę niezbyt czułym spojrzeniem.

- Na szczęście pech ucieka od naszego hotelu gdzie pieprz rośnie! - odparł mu żartobliwie Gospodarz, puszczając oko w stronę Erny. - Nie stój tak, słodziutka. Widzę, że jesteś przemarznięta. Proszę, wejdź do środka. - Patino machnął zapraszająco ręką w głąb hotelu.

Erna zawahała się. Była to jednak tylko chwila niepewności, która równie szybko przegrała ze zmęczeniem. Postanowiła zaryzykować.

Zrobiła krok do przodu. Bładoczerwone drzwi zatrzasnęły się za nią z łoskotem.

Stała teraz na marmurowej posadzce, przy jednej z dwóch alabastrowych kolumn, i zastanawiała się, czy jej decyzja nie była zbyt pochopna. Może trzeba było zrezygnować? Odejść? Wrócić do samochodu? Za późno.

- Mówisz, słodziutka, że zepsuł ci się samochód? - dopytywał zainteresowany Adolfo Patino. Stali teraz w korytarzu delikatnie oświetlonym żółtym światłem wydobywającym się z pięcioramiennego żyrandola.

- Tak - odpowiedziała Erna, zerkając na bogaty wystrój wnętrza. - I mój smartfon.

- I twój smartfon - powtórzył za nią staruszek, kiwając ze zrozumieniem siwą głową. Kruger wciąż bacznie przypatrywał się nowo przybyłemu gościowi. - I nikt nie zatrzymał się, aby ci pomóc? - spytał zdziwiony Patino.

- Może to zabrzmiało dziwnie, ale... - zamilkła na moment, przenosząc wzrok na staruszkę. Przecież nie mogła opowiedzieć im tego, co się naprawdę stało. Szalony atak wściekłych liści i drzew? Wiatr, który miotał jej samochodem na wszystkie strony? Te fakty musiała pominąć w swojej odpowiedzi. - ...nikt tamtędy nie przejeżdżał. Jakby droga wymarła. Żadnego przejeżdżającego samochodu - dokończyła zgodnie z prawdą. Patino i Kruger wymienili zdumione spojrzenia.

Erna wiedziała, że jej tłumaczenie nie brzmiało zbyt przekonująco. Jednak teraz mówiła prawdę, co rzadko zdarzało się w jej życiu. Była zmęczona. Tak strasznie zmęczona i głodna. Miała dość tego przesłuchiwania.

- Jeżeli jest taka możliwość, to chciałabym wynająć pokój na jedną noc i skorzystać z telefonu - oznajmiła krótko i zdecydowanie.

- Pokój... tak, to da się zrobić - odpowiedział jej bez zastanowienia Adolfo Patino, dodając: - Jednak z telefonem może być problem, słodziutka. Widzisz, my tu nie mamy żadnych nowoczesnych

wynalazków. Komputery, telefony, telewizory, tego w naszym hotelu nie uświadczysz. To miejsce jest wolne od takich rzeczy.

Erna popatrzyła na niego, nie kryjąc zdziwienia. Patino jednak kontynuował:

- To miejsce nie jest zwykłym hotelem. - Spojrzał na Krugera i w tym momencie, w tej jednej sekundzie, Erna mogłaby przysiąc, że ten wielki groźny Stefan uśmiechnął się pojednawczo do swojego pracodawcy. Jego wyraz twarzy wcale nie uspokoił Erny. Wręcz przeciwnie, zaczęła zastanawiać się, czy czasem hotel nie okaże się jakimś burdelem albo innym dziwactwem, w którym ktoś będzie próbował odebrać jej życie. Była jednak dobrze przygotowana na taką ewentualność.

- Och! - Wtrącił się w jej rozmyślania Adolfo. - Skąd u ciebie, słodziutka, taki niepewny wyraz twarzy?

Erna zorientowała się, że jej myśli za bardzo zawładnęły jej mimiką. Szybko zwięzła swoje rozwarte oczy i przymknęła usta.

- Spokojnie. Zapewniam cię, że trafiłaś w bezpieczne miejsce. Jak już mówiłem, ten hotel nie jest zwykłym hotelem. - Gospodarz wkroczył na środek korytarza, teatralnie omiatając dłonią całe jego bogate wnętrze. - To miejsce, gdzie ludzie zapracowani, pędzący przez życie lub zwisający w próżni mogą się wyciszyć. Zatrzymać na chwilę, odzyskać równowagę ducha i po prostu stać się ponownie sobą.

Do Erny zaczęło docierać, że mogła trafić gorzej. Staruszek może i mówił dziwne rzeczy, jednak odcięcie od nowoczesności nie było jeszcze zbyt wielkim dziwactwem. Nie mogła jednak zrozumieć jednego...

- Jeżeli nie macie tu łączności z cywilizacją, to jak goście stąd wyjadą? - spytała zaciekawiona. Nie zauważyła, aby przy hotelu stał jakiegokolwiek środek transportu.

- Powiedzmy, że nasi goście opuszczą to miejsce wraz z organizatorem corocznego turnusu, który trwa zazwyczaj kilka dni. Wszyscy razem przyjeżdżają i wszyscy równocześnie odjeżdżają -

wyjaśnił Patino, którego czoło pokryło się drobnymi kropelkami potu.
- Taką mamy politykę, słodziutka - kontynuował, wyciągając z kieszonki garnituru błękitną chusteczkę. - Gdybyśmy pozwolili na większą rozwiąźłość, nie miałoby to żadnego sensu. Goście wyjeźdźaliby, kiedy mieliby na to ochotę, a nie o to tu chodzi. Rozumiesz, słodziutka? - Skupił wzrok na Ernie, która dokładnie analizowała jego słowa. - Te kilka dni zupełnego odłączenia od morderczej cywilizacji dla takich ludzi, jak nasi goście, jest zbawieniem. Dlatego nigdy nie narzekamy na brak chętnych. - Adolfo uśmiechnął się łagodnie w stronę dziewczyny i drżącą dłonią przyłożył chusteczkę do czoła. Materiał szybko wchłonał drobinki potu.

- Rozumiem - przytaknęła Erna. - Na kiedy zaplanowany jest wspólny wyjazd?

Gospodarz oparł dłoń o balustradę schodów. Tego dnia czuł się nad wyraz słabo. Do tego był kompletnie nieprzygotowany na niespodziewanego gościa. Nie mógł jednak bezdusznie odprawić tej zagubionej duszyczki. Musiał zachować maksimum ostrożności. Nikt niepożądany nie mógł ot tak wniknąć w szeregi jego Stowarzyszenia.

- Wyjazd zaplanowany jest na dwudziestego pierwszego października - odezwał się beznamietnym głosem Kruger po tym, jak dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

- Dopiero?! - wykrzyknęła rozczarowana Erna. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Potrzebowała telefonu. Musiała wracać do pracy. Jak miała to zrobić z zepsutym samochodem?! Bez telefonu?! Bez jakiegokolwiek techniki, która umożliwiłaby jej kontakt z cywilizacją?!

Kruger prychnął pogardliwie, wyraźnie zniesmaczony jej uniesionym tonem głosu.

- Przepraszam... ja... - rzuciła w stronę Patino - jak najszybciej muszę się dostać do Ottawy.

Adolfo oderwał rękę od balustrady i podszedł do niej powolnym, drżącym krokiem. Uniósł swoją dłoń ozdobioną złotym sygnetem

i poklepał Ernę po ramieniu.

- Spokojnie, słodziutka - rzucił w jej stronę uspokajająco. - Zróbmy tak. Zostaniesz tu jedną noc, a jutro po śniadaniu Stefan zobaczy, co z twoim samochodem. - Popatrzył w stronę Kucharza, który z niechęcią kiwnął na znak zrozumienia wielką kwadratową głową. - A jeśli twojego samochodu nie będzie można naprawić, na pewno uda się kogoś złapać na autostradzie. Kogoś, kto pomoże ci dotrzeć do miasta. Na twoje szczęście jeden z gości w ostatniej chwili zrezygnował z przyjazdu, więc będziesz mogła zająć jego pokój. Jak widzisz, jest wiele możliwości - uspokoił ją staruszek.

Erna stała nieruchomo, czując na swoim ramieniu wilgotną i ciepłą dłoń gospodarza. Kątem oka udało jej się ponownie dostrzec złoty sygnet na palcu jego prawej dłoni. Dopiero teraz mogła dokładnie zobaczyć, co jest na nim wygrawerowane. Czarny kontur ludzkiej czaszki z profilu. W jej mniemaniu nie była to zbyt gustowna ozdoba.

- Stefanie. - Patino oderwał wreszcie rękę od Erny i zwrócił się w stronę Krugera. - Weź, proszę, dowód tożsamości od panny Brown i spisz wszystkie potrzebne dane. - Spojrzał ponownie w stronę dziewczyny. - Mamy takie procedury bezpieczeństwa, słodziutka. Poczekasz tu chwilę na Stefana, a ja udam się teraz do salonu przygotować naszych gości na niezapowiedzianą... - zamilkł na moment, wpatrując się w nią przyjaźnie, po czym dokończył: - ...choć niezwykle uroczą wizytę.

Erna wyciągnęła z bocznej kieszeni plecaka swój dowód i podała go Krugerowi. Ten, po chwili, zwinnymi susami wspiął się po schodach prowadzących na piętro hotelu, aż wreszcie zniknął z jej pola widzenia. Adolfo Patino uśmiechnął się do Erny. Nagle uniósł palec wskazujący, jakby sobie o czymś przypomniał.

- Muszę zadać jeszcze jedno pytanie - odezwał się poważnym tonem. - Czy masz przy sobie sprzęt, który mógłby złamać zasady panujące w tym hotelu?

Erna zastanowiła się przez chwilę.

- Nie - odparła szybko.

To pytanie było absurdalne. Gdyby była w posiadaniu czegoś, co umożliwiłoby jej komunikację z cywilizowanym światem, nie sterczałaby tu teraz jak ostatnia sierota. Patino jednak dalej drążył temat:

- Żadnego przenośnego radia?

- Nie.

- Telewizora?

- Nie.

Gospodarz zamilkł, świdrując ją dużymi czarnymi oczami.

- Żadnej broni? - spytał w końcu.

- Nie. - Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Staruszek jeszcze przez chwilę wpatrywał się w oblicze nowo przybyłego gościa, po czym wzruszył ramionami i oznajmił:

- Świetnie! Gdy tylko Stefan wróci z twoim dowodem, zapraszam do salonu. Na pewno przyda ci się filiżanka czegoś ciepłego do picia.

- To powiedziawszy, zniknął za dwuskrzydłowymi drzwiami znajdującymi się po prawej stronie korytarza. Erna została sama.

Mijały minuty, a ona czekała. Stała na pięknej marmurowej podłodze i dopiero teraz zaczęła w pełni dostrzegać, w jak dziwnym, a zarazem bogatym wnętrzu się znalazła. Otoczona głowami gipsowych aniołów czuła się obserwowana. Miała nieodparte wrażenie, że znalazła się na sądzie ostatecznym. Do tego te przedziwne malowidła ludzkich szkieletów w tanecznych pozach, które tylko czekały, aby nieoczekiwanie wyskoczyć z szarej ściany i porwać ją do tańca śmierci. Wnętrze wydawało się groteskowe i choć składało się z bardziej i mniej urodziwych ozdób, to jednak całość świetnie ze sobą współgrała, tworząc atmosferę tajemniczości i przepychu. Jedynym elementem, który Erna zabrałaby ze sobą do domu, był pięcioramienny żyrandol wykonany z kutego żelaza, na którym delikatnie migotały dekoracyjne kryształowe wisiory w kształcie łez. Ich widok był hipnotyzujący. Magiczny i uspokajający. Wpatrując się w niego, mogłaby zasnąć na stojąco.

Czekała i czekała. Każda mijająca minuta była dla niej wiecznością. Wykorzystała ten czas na obmyślenie swojego planu. Jeżeli samochodu nie uda się jutro naprawić, to zostawi na desce rozdzielczej wiadomość dla swoich znajomych z informacją, gdzie się znajduje. W ten sposób szybciej wyrwie się z tego miejsca i dotrze do Ottawy, gdzie, jak już teraz dobrze wiedziała, będzie musiała mocno tłumaczyć się z niewykonanego zadania. Spojrzała na swój zegarek. Dziesięć minut. Tyle minęło, odkąd niejaki Stefan Kruger zniknął z jej dowodem na schodach tego przedziwnego miejsca. Musiała cierpliwie czekać.

Znów przypomniała sobie rozmowę z przyjacielem, który namawiał ją do wyjazdu. Do odpoczynku, aby o wszystkim zapomniała. O tym, co ją gnębiło i sprawiało, że z silnej kobiety stała się kimś takim, jak teraz. Nędzną, słabą kreaturą człowieka...

„(...) trauma z przeszłości będzie nawiedzała cię każdego dnia”. – Przypomniała sobie słowa Bobby’ego. Może powinna była zapisać się na turnus w takim właśnie hotelu? Kilka dni w spokoju. Bez zjadaczy czasu. Bez życiowych problemów. Wszystko zostawiłaby gdzieś tam, w lesie. A tu mogłaby wypocząć. Odzyskać równowagę. Znowu stać się dziewczyną, którą gdzieś zgubiła. Może to nie przypadek, że się tu znalazła? Chciała w to wierzyć. Chciała znaleźć jakieś wyjaśnienie tych wszystkich dziwnych sytuacji, które ją dziś spotkały.

Z góry dobiegł ją odgłos ciężkiego stąpania. Po chwili na schodach pojawiła się olbrzymia, przygarbiona sylwetka Krugera. Mimo swojej postury dość zwinnie zszedł ze schodów.

- Proszę. - Oddał jej dowód. - Płatność za nocleg uścił pani przy wyjeździe - rzucił szorstko w jej stronę, dodając: - A teraz zapraszam za mną. Wszyscy goście zapewne już czekają. - Erna posłusznie podążyła za nim, by po chwili zniknąć za dwuskrzydłowymi drzwiami prowadzącymi do salonu hotelu Hommanger.

To z tego pomieszczenia biło żółte światło, które przywiodło ją w to miejsce. Erna omiotła wzrokiem salon. Styl, w jakim został urządzony, nie odbiegał od bogatego korytarza. Z sufitu zdobionego sztukaterią

zwisały dwa kryształowe żyrandole. Wszystkie ściany obite były czerwonym adamaszkiem, co czyniło to wnętrze jeszcze bardziej stylowym. Rząd okien znajdujący się w prawej części salonu do połowy przysłonięty był długimi, sięgającymi do marmurowej posadzki zasłonami w kolorze złota. Na przeciwległej ścianie wisiał ogromny obraz olejny w pięknej drewnianej ramie, a tuż pod nim stało osiem alabastrowych kolumn, na szczycie których znajdowały się białe popiersia ludzkich postaci, których Erna na pierwszy rzut oka nie mogła rozpoznać. Dopiero teraz jej wzrok powędrował do centralnej części salonu, a dokładnie na jego koniec, gdzie wznosił się duży marmurowy kominek o delikatnym ryzalicie. Tuż nad nim wisiało wysokie lustro o łukowatym kształcie, w okazałej żelaznej ramie. Erna dostrzegła w nim swoje niewyraźne odbicie - zmęczonej, przygarbionej dziewczyny z potarganymi, niedbale ułożonymi włosami. Na jej prawym ramieniu zwisał granatowy, wypchany do granic wytrzymałości plecak. Plecak, który teraz bardzo przypominał ją samą. Jej psychika bowiem, tak bardzo podniszczona, ledwie powstrzymywała wybuch wrażliwej, emocjonalnej Erny na świat zewnętrzny. Dokładnie jak ten zamek błyskawiczny, który trzymał się dzielnie, nikomu nie zdradzając zawartości pękatego plecaka. Wyglądała żałośnie. Musiała przyznać to przed samą sobą. Na widok swojego odbicia w lustrze zebrało jej się na mdłości. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była w takim stanie. Może dlatego, że nigdy wcześniej się do takiego stanu nie doprowadziła? W tej chwili gardziła sobą. Gardziła tą słabą, emocjonalną Erną Brown. Takiej wersji nigdy nie chciała zaprezentować przed światem. Erna Brown miała być bowiem silną, pewną siebie kobietą, która pokona wszelkie przeszkody, jakie napotka na drodze do osiągnięcia zamierzonego celu. Nie taką pannę Brown wykreowała... nie taką...

Erna rzuciła ostatnie, pełne wstrętu spojrzenie na swoje lustrzane odbicie, po czym raz jeszcze rozejrzała się po wielkim salonie. Dopiero teraz zorientowała się, że tuż przy kominku, wokół niskiego białego stolika, na dwóch tapicerowanych kanapach siedziała spora

grupa ludzi. Wszyscy przyglądali jej się z zainteresowaniem. Z jedyne w salonie fotela, równo rozdzielającego dwie stojące naprzeciw siebie kanapy, uniosła się szczupła sylwetka Adolfo Patino. Erna jeszcze chwilę im się przyglądała, po czym ruszyła pewnym krokiem w ich stronę.

- Przedstawiam wam naszego niezapowiedzianego gościa - rzekł uroczyście Patino. - Erna Brown - dokończył, wskazując na nią otwartą dłoń.

Erna podeszła do zgromadzonych gości. Omiotła ich dyskretnie wzrokiem, robiąc krótkie, choć szczegółowe rozeznanie. Wszyscy ubrani w eleganckie, mniej lub bardziej gustowne stroje patrzyli na nią widocznie poruszeni. Poczła się trochę nieswojo. Jak obiekt na wystawie muzealnej. Dlaczego? Nie mogła znaleźć na to odpowiedzi. Ach, no tak. Może spowodowane to było jej nędznym wyglądem?

- Witaj - usłyszała tuż obok siebie dziewczęcy miły głos. - Jestem Cindy. - Szczupła dziewczyna wyciągnęła w jej stronę rękę, podnosząc się z kanapy. Choć sprawiała wrażenie delikatnej i kruchej osoby, jej uścisk okazał się bardzo silny i zdecydowany. To dobrze o niej świadczy - pomyślała Erna, która zawsze zwracała uwagę na sposób przywitania. Według niej mocny uścisk dłoni świadczył zazwyczaj o szczerych, dobrych intencjach nowo poznanej osoby. Była o tym święcie przekonana.

- Cześć. Miło mi cię poznać. Erna - przywitała się, odwzajemniając siłę uścisku. - Erna Brown - uściśliła. Dłoń Cindy była drobna i lodowata mimo ogromnego ciepła wytwarzanego przez duży kominek.

- Pozwolisz może, że przedstawię ci resztę gości? - zaproponowała nieśmiało panna Walker. Erna nie miała nic przeciwko temu.

- To Gaku Hara... - wskazała na skośnookiego mężczyznę ubranego w obcisły turkusowy garnitur. Japończyk zmierzył Ernę od góry do dołu obojętnym spojrzeniem. Prawdopodobnie przybyła kobieta nie zrobiła na nim dobrego wrażenia.

Istotnie, Gaku zaczął się zastanawiać, jak można było ubrać się tak niechlujnie i tak zwyczajnie. Według niego Erna nic sobą nie reprezentowała. Przynajmniej nic godnego uwagi. Była dla niego nijakim bytem, z którym jednak musiał się przywitać. Palcem wskazującym poprawił swoje okulary, które opadły mu zdecydowanie za nisko, balansując prawie na czubku jego spiczastego nosa, po czym wreszcie skinął swoją tlenioną głową na przywitanie.

- Ida Abramova... - usłyszała następnie Erna. Jej wzrok padł na solidnie ostrzykniętą blond piękność, której sztuczny biust wylewał się z opiętej czarnej sukienki.

- PANI Ida Abramova - ogłosiła szorstko cycata blondyna z wyraźnym rosyjskim akcentem.

Walker posłała w stronę Erny drwiący uśmiech. Erna odniosła wrażenie, że obie kobiety nieszczególnie za sobą przepadały. Abramova nie zaszczyciła Erny nawet kiwnięciem swojej ufryzowanej głowy. Nie mówiąc już o podaniu ręki. Widać bardziej interesował ją kieliszek wypełniony do połowy ciemnobrązowym alkoholem. Erna, odwzajemniając brak zainteresowania, precyzyjnie się między kanapą a białym stolikiem, podążając krok w krok za zielonooką Cindy. Na blacie stolika dojrzała złożoną porcelanową paterę w kształcie liścia. Jednak to nie piękny kształt porcelany przyciągnął jej wygłodniałe spojrzenie. Na paterze bowiem kusocielsko piętrzył się stos kawałków ciasta czekoladowego... Ten widok spowodował, że mimowolnie przełknęła ślinę. W jej brzuchu coś zazgrzytało.

- Oto... - usłyszała ponownie melodyjny głos Cindy i z przykrością oderwała wzrok od wysokokalorycznych pyszności - ...ksiądz Piotr Uchto.

Wysoki szczupły blondyn siedzący na brzegu kanapy przyglądał na bok tłuste włosy i nieznacznie unosząc się z siedziska, skierował w jej stronę drżącą dłoń. Erna ujrzała przy jego szyi białą koloratkę. Czego ksiądz mógł szukać w takim miejscu? Zdziwiła się, podając mu rękę. Dotychczas myślała, że tacy jak on prowadzą spokojne, monotonne życie. Widocznie się myliła. Ksiądz Uchto wrócił na miejsce i utkwiał

swoje dalekie, pogrążone w zamyśle, błękitne spojrzenie w otchłani rozpalonych kawałków drewna. Cindy przeszła obok paleniska, po czym skierowała swoją dłoń na drugą, przeciwległą kanapę. Erna stanęła tuż za nią. Czuła przyjemne ciepło bijące od kominka, które muskało jej przemarznięte plecy.

- A to państwo... - odezwała się Cindy, wskazując głową na dwie, sporych rozmiarów, starsze osoby.

- Przepraszam, że przerwę - wpadł jej w słowo Adolfo Patino. - Zanim, słodziutka, poznasz resztę naszych zacnych gości... - wskazał swoją posiwiałą głowę w stronę państwa Bennett - ...muszę zadać ci kolejne bardzo ważne pytanie.

W salonie zapanowała cisza. Ida Abramova w ostatniej chwili zrezygnowała z upicia kolejnego łyka alkoholu, zastygając z prawie pustym już kieliszkiem przy ustach.

- Kawa czy herbata?

- Słucham? - spytała Erna wyraźnie zaskoczona.

- Czego się napijesz, słodziutka? - wyjaśnił Patino.

Rosjanka prychnęła pogardliwie pod nosem, wypijając do końca zawartość kieliszka. Nie rozumiała, jak komukolwiek można było proponować do picia takie bezwartościowe gówno.

- Poproszę kawę. Czarną. Bez cukru, bez mleka. Tylko z wodą - doprecyzowała najlepiej jak umiała swoje zamówienie.

Patino wyszczerzył sztuczne białe zęby w uśmiechu i skinął palcem w stronę Stefana. Kruger, który stał przy drzwiach, kiwnął posłusznie głową i już miał skierować się do wyjścia, gdy za swoimi plecami usłyszał:

- I jeszcze to! Do pełna! - Ida Abramova uniosła pusty kieliszek niczym Święty Graal. Kucharz, nie protestując, wziął od niej szkło i chwilę później wyszedł z salonu.

Abramova oparła swoją ciężką głowę o miękkie oparcie kanapy. Świat zaczął jej delikatnie wirować przed oczami. To przez tą cholerną whisky. Ale co miała pić innego, skoro w tej norze nie było nawet dobrej wódki? Ba! Nie było także tej niedobrej. Sahara! Piaski

pustyni i syf... No cóż – stwierdziła w duchu, przyglądając się Ernie Brown. Na tę chwilę musiała zadowolić się tym whiskaczowym cholerstwem. Zawsze lepsze to niż kawa czy herbata! Parsknęła głośno, po czym oblizła językiem pokryte różowym błyszczkiem usta.

Gaku Hara spojrzał na nią z politowaniem. Wciąż nie mógł wyjść spod ogromnego wrażenia, jakie wywarła na nim Ida. Wrażenia bądź co bądź negatywnego, które kazało mu kierować w jej stronę nieprzychylnie spojrzenia. Kobieta kipiała kiczem nie tylko w swojej nędznej urodzie, ale i przy każdym niestosownym zachowaniu. Gaku był typem wnikliwego, choć cichego obserwatora. Wystarczyło mu kilka sekund skupienia uwagi na Abramovej, aby wyrobić sobie o niej opinię. Kiczowata, pozbawiona kultury i ogłady kobieta w średnim wieku. Tak też ją podsumował. Jednak od czasu pojawienia się niespodziewanego gościa Gaku miał spory problem. Pierwszy raz w życiu nie mógł zajrzeć w czyjąś duszę. Opisanie jej wyglądu nie stanowiło dla niego żadnego problemu. Niechlujna, zwyczajna, tradycyjna, choć ładna z twarzy... ale jej wnętrze... Turkusowy Japończyk wpatrzony w nieznajomą próbował odgadnąć, co kryje się w jej mrokach.

Tymczasem Erna, delektując się ciepłem kominka, przyglądała się podstarzałej kobiecie ubranej w kwiecisty, pastelowy kostium. Zauważyła, że mimo otyłości była ładna, a na jej twarzy próżno było szukać większej liczby zmarszczek.

- Witaj, kochana - rzekła kobieta, chwytając niespodziewanie Ernę za rękę. Uścisnęła ją życzliwie swoimi pulchnymi, ciepłymi dłońmi. - Mam na imię Cecile. Cecile Bennett. A to... - Spojrzała z niekrytą odrazą na siedzącego tuż obok niej brodatego mężczyznę. - To mój małżonek, Charles Bennett.

Erna skierowała wzrok w stronę wielkiego siwego mężczyzny. Zauważyła, że guziki od jego białej koszuli wystającej spod rozpiętej marynarki ledwo trzymały materiał rozciągnięty do granic wytrzymałości. Prawdę mówiąc, od dłuższego czasu czuła na sobie

wzrok starego Bennetta. Kątem oka widziała, że spoglądał na nią, a raczej na określone części jej ciała. Nie było to zwykłe zainteresowanie jej osobą. Raczej coś w stylu starego, napalonego erotomana, który wytężał swoje szare komórki w chorych domysłach podpowiadających mu, jak Erna może wyglądać bez tego zbędnego (dla niego) ubrania. Dobrze знаła taki rodzaj dziadów i równie dobrze wiedziała, że lepiej trzymać się od nich z daleka. Kiwnęła do niego głową, nie mając ochoty ścisnąć jego spoczonej dłoni.

Bennett był zawiedziony. Miał cichą nadzieję na bliski, zapoznawczy kontakt z tą ciemnooką pięknoscią, od której nie mógł oderwać wzroku, odkąd tylko przekroczyła próg salonu. Teraz też nie oparł się pokusie zlustrowania pośladków nowo przybyłej dziewczyny, gdy ta z trudem przeciskała się między nim a białym stolikiem. To mu w pełni zrekompensowało brak uścisku dłoni.

Cecile szybko wychwyciła zwierzęce zachowanie swojego męża. Żywiła do niego niesamowicie ogromną odrazę i niechęć. Stara, gruba, obleśna świnia – skwitowała sytuację w myślach, jak to miała w swoim zwyczaju. Uniosła swoją pulchną stopę odzianą w wysoką szpilkę i z impetem wbiła ją w miękki, ręcznie robiony, skórzany but Charlesa.

- Auuu! – jęknął mężczyzna niczym ranny jeleń. Wszyscy zebrani goście popatrzyli zdziwieni w jego stronę.

- Coś się stało? – spytał szczerze zatroskany ksiądz Uchto, który spoglądał teraz swoimi błękitnymi, szeroko rozwartymi oczami na siedzącego przed nim Charlesa.

- Nii... niiee... – skłamał purpurowy na twarzy Bennett.

Erna uśmiechnęła się pod nosem. Była chyba jedyną osobą, która zdążyła zauważyć wściekły atak ostrej szpilki Cecile na but Charlesa. Widać jego żona już dawno poznała się na jego świńskich zapędach i dobrze sobie z nimi radziła.

Cindy Walker zajęła wreszcie swoje miejsce na kanapie, siadając obok wciąż kwilącego z bólu Bennetta.

- Proszę, usiądź, słodziutka - poprosił Adolfo, wskazując Ernie miejsce tuż obok turkusowego mężczyzny.

Gaku zrobił jej więcej miejsca, przysuwając się z odrazą bliżej Idy Abramovej. Może teraz będzie mógł rozszyfrować niespodziewanego gościa. Coś go w nim niepokoiło. Coś mówiło mu, że nie jest to taka zwykła dziewczyna, na jaką wygląda. A może tylko mu się tak zdawało?

Erna przeszła obok fotela, po czym ciężko opadła na kanapę. Plecak zsunęła z ramienia na ziemię i zostawiła go przy swoich zmęczonych, pulsujących nogach, po czym oparła plecy o miękkie bordowe oparcie. Poczowała nieziemską ulgę. Wzięła głęboki oddech. Skośnooki mężczyzna musiał wyperfumować się jakimś kwiatowym specyfikiem, który wdarł się w jej nozdrza. Kichnęła solidnie, zasłaniając dłonią usta.

- Na zdrowie! - krzyknęła w jej kierunku pani Bennett.

Erna ledwo powstrzymała się od kolejnego kichnięcia. Odetchnęła głęboko. Jej wzrok znów przyciągnęła liściasta patera. To, co się na niej znajdowało, wyglądało tak smakowicie... wręcz ją hipnotyzowało. W jej żołądku ponownie zabulgotało pustką.

- No tak. - Adolfo pokręcił głową. - Marny ze mnie Gospodarz, słodziutka! - oznajmił, patrząc zatroskany na jej wklęsły brzuch. - Proszę. Poczęstuj się. - Wskazał głową czekoladowe ciasto.

- Ja pomogę! - oznajmiła ochoczo Cindy. Chwyciła za porcelanowy deserowy talerzyk, którego ranty zdobione były złożonymi drobnymi różyczkami. Nałożyła na niego dwa spore kawałki ciasta i podała Ernie.

- Dziękuję - odpowiedziała Erna, chwytając ochoczo za talerz. Chyba nigdy w życiu nie cieszyła się tak jak teraz na widok dwóch kawałków czekoladowych pyszności. Łakomie chwyciła dłonią pierwszy kawałek, odgryzając jego sporą część. Należała do tego typu ludzi, którzy nie lubią, gdy ktoś patrzy na nich podczas jedzenia. Teraz jednak mało ją to obchodziło. Po prostu nie zwracała najmniejszej uwagi na otaczające ją towarzystwo, które skupiało

swoje ciekawskie spojrzenia na każdym jej kolejnym kęsie. Erna z zawrotną prędkością pochłaniała czekoladowe kawałki, momentami z trudem je przełykając.

- Może opowiesz nam, słodziutka, czym się zajmujesz? - rzucił w jej stronę Adolfo. Erna oderwała wzrok od pustego już talerza i ze smutkiem przełknęła ostatni kęs.

- Jestem dziennikarką - odpowiedziała, czując, jak kawałek ciasta grzęźnie jej w przełyku.

- O! - wykrzyknął staruszek. - A jeśli mogę zapytać - ciągnął, widocznie zainteresowany - dla kogo pracujesz?

- Dla NF... - W tej samej chwili Erna poczuła ogromny ból rozsadzający jej gardło. Zapchała się. Zapchała się na dobre i nie miała czym popić tego upartego, czekoladowego cholerstwa. Przełknęła kilkukrotnie ślinę, jednak to nie przyniosło efektu. Ból rozlał się między jej łopatki. Nabrała powietrza, próbując jakoś wcisnąć ten cholerny, ostatni kęs. Nie pomogło. W końcu przypomniała sobie o butelce wody w plecaku. Zebrani goście spoglądali na nią jak na zabawny spektakl w cyrku. Jej twarz kolorem zaczęła upodabniać się do bordowego obicia kanapy. Szybkim, zdecydowanym ruchem otworzyła zamek plecaka i sięgnęła po zbawienną wodę.

- Chyba... chyba się zapchała... - wyszeptał pan Bennett do żony, nie odrywając przy tym wzroku od siłującej się z upartą zakrętką dziewczyny.

W końcu Ernie udało się ją odkręcić. Łapczywie upiła kilka ostatnich łyków przezroczyściej cieczy. Poczuła potężny, rozsadzający ból w gardle i... Udało się. Cholerny kawałek ciasta ruszył dalej. Odetchnęła z ulgą, a kolor jej twarzy powoli zaczął odzyskiwać swój naturalny, oliwkowy odcień. Wrzuciła pustą już butelkę z powrotem do plecaka i szczelnie go zapięła.

- Pracuję w NFY.com - dokończyła wreszcie swoją odpowiedź, czując na sobie wyczekujące spojrzenie staruszka i reszty zgromadzonych w salonie gości.

- NFY? - Adolfo Patino zmarszczył brwi, próbując rozszyfrować skrót.

- News For You - wyjaśniła Erna, dodając: - To portal internetowy z informacjami z całego świata. Taka forma gazety, tylko że internetowej.

- No tak. - Uśmiechnął się Adolfo. - Nowoczesność. To całkiem znany serwis.

- Aż za dobrze... - wtrącił niespodziewanie Bennett, na którego twarzy w jednej chwili pojawił się wyraz zdumienia i poirytowania. - To całe NFY prawie pograżyło moją firmę! - krzyknął z wyrzutem.

- Słucham? - spytała Erna wyraźnie zaskoczona.

- Stacje benzynowe Luna! - syknął zdenerwowany w jej stronę, a z jego ust wprost na piękną paterę z ciastem wytrysnęły drobinki śliny.

No to już sobie nie pojem - stwierdziła z żalem Erna, rzucając ostatnie, pożegnalne spojrzenie czekoladowym kawałkom.

- Mówi pani to coś?! - ciągnął Bennett, pochylając się agresywnie do przodu, a jego pulchna twarz zawisała w połowie stołu.

- No tak. Wczoraj tam tankowałam - odpowiedziała mu, patrząc, jak jego napuchnięte lico robi się coraz bardziej czerwone.

Charles odsunął się gwałtownie i prychnął oburzony.

- Tankowała! - wykrzyknął, machając rękoma. - Tankowała! - powtórzył, a jego głowa szaleńczo kiwała się na wszystkie strony.

Erna uniosła brwi, patrząc ogłupiałym wzrokiem na jego dziwne zachowanie. Zresztą nie tylko ona. Wszyscy zebrani przy stole goście, łącznie z panią Bennett, patrzyli ze zdumieniem na dziwne zachowanie starego Charlesa. Erna nie mogła się domyślić, o co może mu chodzić. Zaczęła wertować swoją pamięć. Doprawdy nic nie przychodziło jej do głowy. Charles Bennett i stacje benzynowe Luna? Nic, co mogłoby choć trochę wytłumaczyć ogromne wzburzenie właściciela znanych stacji benzy...

- Ach! - Olśniło ją nagle. Jak grom z jasnego nieba! - Chodzi panu o ten artykuł? - rzekła w końcu. - O znowelizację cenową, w której pana firma grała istotną rolę? - wypaliła.

Wszyscy wpatrzeni w Ernę przenieśli teraz wzrok na pana Bennetta, którego szczeka opadła prawie do marmurowej podłogi.

A to mała, złośliwa, dziennikarska hiena - pomyślał, z wysiłkiem próbując zamknąć usta. Nawet tu, przy gościach, próbowała go oczernić! Tak, tak! Charles pamiętał dobrze ten dzień, ten marny artykuł w jakimś internetowym szmatławcu, który zapoczątkował lawinę oskarżeń uderzających w jego rodzinny biznes. Ile on musiał się natrudzić, żeby wszystkich uciszyć. Ile musiał wydać swoich ciężko zarobionych pieniędzy, żeby pozamykać im te parszywe gęby. Udało się, a i owszem. Pieniądze zawsze potrafiły zdziałać cuda. Ale jego firma nie odzyskała już swojej nieskazitelnej renomy. Księżycowy rogal Luna nie świecił tak mocno, jak dawniej. Tak, tak. Charles zlustrował nienawistnym wzrokiem siedzącą przed nim Ernę. To mała, złośliwa, choć niezwykle pociągająca dziennikarska hiena...

- Och, Charles - wtrąciła nagle Cecile. - Dobrze wiemy, że artykuł opisywał prawdę. Byłeś winny. Koniec i kropka - zganiła go przy wszystkich. - A teraz przestań zachowywać się jak ostatnie bydlę. Chyba należałoby przeprosić dziewczynę, tym bardziej - Cecile poklepała grubego Charlesa po ramieniu - że o ile dobrze pamiętam, pod tym artykułem nie podpisała się żadna Erna Brown, a niejaki Barney Pimpke!

Charles zamrugał szybko oczami, analizując to, co właśnie usłyszał. Tu musiał przyznać rację swojej przemądrzałej żonie. Bardzo dobrze pamiętał, do kogo należał ten cholerny artykuł z NFY.com. Barney Pimpke... dziennikarska gnida numer jeden.

- No tak, no tak. - Odkaszlnął i machnął pobłaźliwie pulchną ręką w stronę Erny. - Przepraszam, po prostu jestem wyczulony na tę sprawę. Dużo mnie kosztowała...

- Zdrowia... - pokiwał porozumiewawczo ksiądz Uchto, włączając swoje trzy grosze do dyskusji.

- Eee... - skrzywił się Bennett. - Pieniądzy! Pieniądzy!

- Prasa, moi drodzy... - odezwał się wreszcie Gospodarz, który do tej pory z boku, a dokładnie z czeluści swojego wygodnego fotela,

z zainteresowaniem przyglądał się wybuchowi gniewu Bennetta - ... czy to w wersji papierowej, czy internetowej, to z pewnością istotny element w naszym życiu. Często możemy się z niej dowiedzieć prawdy...

- Srawdzy - wtrącił wciąż zdenerwowany Bennett. - Prawda jest subiektywna. Powiem więcej! - Charles wyraźnie się ożywił. - Jak mawiał znakomity Oscar Wilde: „Kłamstwo nie staje się prawdą tylko dlatego, że wierzy w nie więcej osób”. A tak niestety działają wszystkie medialne przekąźniki niby-wiedzy. Docierają do ogromnej rzeszy pospolitych ludzi, próbując wmówić im swoją jedyną i niepowtarzalną GÓWNOPRAWDĘ! - kolejne drobinki śliny wyleciały z jego ust, tym razem lądując w niezidentyfikowanym przez Ernę miejscu.

Była taka śpiąca, taka zmęczona. Nie miała nawet siły przysłuchiwać się tej dziwnej rozmowie, której o dziwo była głównym zapalnikiem. Spoglądała tylko półprzytomnym wzrokiem na siedzących przy stoliku ludzi, wychwytyując pojedyncze słowa. Dopiero teraz spostrzegła, że ktoś się jej przygląda. Duże zielone oczy należące do szczupłej delikatnej dziewczyny spotkały się z jej zmęczonym spojrzeniem. Cindy uśmiechnęła się. Widocznie ona również nie była zainteresowana rozmową o istocie prawdy-srawdzy. Erna przyjrzała się jej uważniej. Długie jasne włosy Cindy delikatnie opadały na szczupłe ramiona, a zwiewna jasnozielona sukienka idealnie współgrała z kolorem jej przenikliwych oczu. Jej twarz była nieskazitelnie biała, o regularnych rysach, i ten uśmiech... Erna zauważyła, że zawsze, gdy ta nowo poznana osoba uśmiechała się bezpośrednio do niej, ogarniał ją wewnętrzny spokój. Tak jak teraz, gdy jej powieki robiły się coraz cięższe.

- Drodzy państwo - dobiegł ją gdzieś z boku nieśmiały głos księdza Uchto. - Tak naprawdę nie ma się tu o co sprzeczać - stwierdził, rozkładając przed sobą ręce. - Jedyną i niepowtarzalną prawdą jest sam Bóg, i to on będzie oceniał nas u wrót prowadzących do królestwa niebieskiego.

- Bla... bla... bla... - skwitowała jego słowa Ida Abramova, przewracając teatralnie oczami. - GDZIE DO CHOLERY JEST MÓJ DRINK?! - wrzasnęła poirytowana.

To wyrwało Ernę z półsnu, w którym się nieświadomie, z każdą chwilą bardziej pograżała. Była doprawdy taka zmęczona i... gdzie do cholery była jej kawa?! Tu musiała zgodzić się z zasadnością żądania biuściastej Rosjanki. Jak na zawołanie w drzwiach salonu pojawił się Kruger, niosąc wyczekiwane zamówienia. Ida chwyciła łąpczywie za kieliszek stojący jeszcze na tacy, nie czekając na to, aż Stefan poda go w jej ozdobione złotymi pierścieniami dłonie. Szybko upiła spory łyk alkoholu i głęboko odsapnęła. Jej wybuchowy temperament jakby na chwilę został ujarzmiony.

- Proszę - powiedział Kruger, podając Ernę parujący biały kubek ciemnej kawy. Zbawienie nadeszło w samą porę. Była tak nieprzytomna, że mogłaby zasnąć w każdej chwili, nie zdając sobie z tego sprawy. Para unosiła się nad gorącą, pachnącą orzechami kawą. Musiała mocno dmuchać do wnętrza kubka, nim wzięła pierwszy łyk. Państwo Bennett wciąż prowadzili ożywioną dyskusję z księdzem, teraz skupiając się na sensie istnienia, natomiast małomówny, siedzący tuż obok Erny Gaku Hara milczał, łypiąc na nią co chwilę z zaciekawieniem.

Adolfo Patino, siedząc wygodnie w fotelu, spojrzał na zegar. Za dwadzieścia minut wybije godzina dwudziesta. Mieli więc jeszcze trochę czasu, aby przygotować się do Wielkiej Gry.

W tej samej chwili Cindy Walker poczuła pustkę w żołądku. Widząc wcześniej, jak niejaka Erna Brown pochłania ze smakiem ciasto, nabrała na nie ogromnej ochoty. Kilkadziesiąt zbędnych kalorii z pewnością nie zaszkodzi jej nienagannej figurze. Tym bardziej że nieuchronnie zbliżała się dwudziesta. Chciała więc nabrać siły przed grą i wzmocnić swoje szare komórki odżywczą czekoladą. Dzisiejszego wieczoru nie mogła przegrać. Była przecież tak blisko upragnionego celu. Skierowała trupioblada dłoń w stronę liściastej patery. Państwo Bennett wyglądali na nieźle zdeterminowanych -

oceniła, nakładając sobie kawałek ciasta na talerz. Książd Uchto? Może wygrać swoim wewnętrznym spokojem, podobnie jak Gaku Hara. Małomówny, aczkolwiek pociągająco niebezpieczny. Cindy rozparła się wygodnie o oparcie kanapy, unosząc bliżej ust porcelanowy talerzyk. Rosyjska pijaczka, Ida Abramova? Ukradkiem spojrzała w jej stronę. Tak... - pomyślała, chwytając kawałek ciasta w rękę. Ta spora ilość procentów, które w sobie władowała, może przyczynić się do jej porażki, chociaż... nie była tego taka pewna. Gra jednak miała w sobie coś nieprzewidywalnego. Coś, co sprawiało, że nawet tak pewna siebie Walker bała się jej wyniku. Dlatego musiała być czujna. Czujna i zdeterminowana.

Choć Erna siedziała tuż naprzeciwko Cindy, dopiero teraz spostrzegła, że ta zamierza zjeść kawałek czekoladowego ciasta. Ciasta, które naznaczone było drobkami śliny grubego Bennetta. Gwałtownie oderwała kubek z kawą od ust i rzuciła się na ratunek.

- NIE!!! - krzyknęła, a jej głos odbił się od wszystkich ścian w salonie. Zebrani goście podskoczyli i umilkli. Erna zastygła w dziwnej pozie, na wpół wygięta do przodu, z jedną ręką wyciągniętą w stronę zaskoczonej Cindy. Zdała sobie sprawę, że zrobiła to zdecydowanie za głośno i zbyt gwałtownie. To chyba przez tę kawę...

- Nie? - zdumiał się Adolfo Patino. Popatrzył na nią, nie kryjąc zdziwienia.

- Nii... niee... - wyjąkała zakłopotana Erna. - Chyba nie będzie ci to smakowało... - wyjaśniła już o wiele ciszej, wskazując wyciągniętą ręką na paterę z ciastem.

Kruger skarcił ją spojrzeniem. Jak śmiała coś takiego powiedzieć o wypieku, który wyszedł spod jego niezwykle uzdolnionych kucharskich dłoni?!

Cindy dłuższą chwilę świdrowała Ernę swoim zielonym spojrzeniem. Czy faktycznie to ciasto było aż tak ohydne? Tak niedobre, że Erna Brown sama pochłonęła dwa spore kawałki? Chyba nie chodziło tu o smak. Cindy próbowała znaleźć wyjaśnienie tak kategoriycznego ostrzeżenia. Nic nie przychodziło jej na myśl.

W końcu wzruszyła ramionami i odstawiła talerz z nietkniętym ciastem na stolik. Erna odetchnęła z ulgą. Adolfo Patino przez dłuższą chwilę przyglądał się czekoladowemu wypiekowi, po czym przywołał do siebie Stefana Krugera. Wszeptał mu coś do ucha. Widocznie poirytowany Kruger chwycił za paterę i wyszedł z salonu wraz ze swoim, bądź co bądź, SMACZNYM, o czym był przekonany, wypiekiem.

- Jeśli Bóg istnieje, to dlaczego pozwala na to, aby taka kreatura jak mój mąż chodziła po tym świecie?! - rzuciła Cecile w stronę księdza Uchto, wskazując w jej mniemaniu niezbity dowód na brak istnienia chrześcijańskiego stwórcy. Bennett skrzywił się na jej słowa z niesmakiem. Cała trójka powróciła do ożywionej dyskusji.

Cindy Walker, która o mały włos nie wpakowała w siebie DNA grubego Charlesa, wstała z kanapy i przepaszając wszystkich zebranych gości, wyszła z salonu. Erna odprowadziła ją wzrokiem, podziwiając jej szczupłą sylwetkę. Wypiła ostatni łyk letniej już kawy. Nie miała ochoty włączać się do prowadzonej rozmowy, która teraz pochłonęła nawet pijaną Rosjankę i samego Adolfo Patino. W kominku raz po raz strzelały kawałki rozpalonego drewna. Ogień w nim tańczący rzucał zniekształcone cienie, które złowrogo zapełniały całe pomieszczenie. Siedzący obok niej Gaku Hara jak zwykle milczał, pochłonięty swoimi myślami.

Erna postanowiła rozprostować nogi. Uniosła zmęczone ciało z miękkiej kanapy. Rozejrzała się po sporym pomieszczeniu. Zaciekawiona podeszła do wielkiego obrazu, który zwrócił jej uwagę, gdy tylko zjawiała się w salonie. Stała na tyle blisko, na ile pozwoliły jej na to alabastrowe kolumny stojące tuż pod obrazem. Kolorowa scena umieszczona na płótnie nie posiadała nigdzie sygnatury artysty. Erna cofnęła się kilka kroków, aby objąć wzrokiem całe dzieło.

- To nie może być... - wyszeptała sama do siebie, lustrując z niedowierzaniem malunek.

- Piękny, prawda? - usłyszała z boku głos Adolfo Patino, który nie wiadomo kiedy zjawiał się tuż przy niej. Spojrzała na niego zdumiona.

- Czy to...

- ...scena z drzeworytu *De humani corporis fabrica*? - dokończył za nią Patino. Erna zamrugała tylko oczami. Dokładnie o tym myślała. - Tak - potwierdził, dodając: - Pierwszy atlas anatomiczny. - Adolfo był zaskoczony tym, że ta nieznana mu wcześniej osoba rozpoznała malunek, na który teraz oboje spoglądali. Podobało mu się to, jak zareagowała na widok dzieła wiszącego przed nimi. Skąd jednak u tej dziewczyny taka niepospolita wiedza? Postanowił to sprawdzić.

- Czy wiesz, kim na obrazie jest postać stojąca w centralnej jego części? Ta spoglądająca na nas z otchłani czasu? - spytał Ernę ciekaw, czy będzie znała odpowiedź.

- Oczywiście. - To powiedziawszy, podeszła do płótna i wskazała palcem brodatego mężczyznę, stojącego tuż przy blacie, na którym spoczywały ludzkie szczątki. - To Andreas Wesaliusz. Twórca nowożytnej anatomii i autor atlasu anatomicznego *De humani corporis fabrica*.

Adolfo Patino był zdumiony. Czy to przypadek, że osoba z taką wiedzą zawitała dziś w jego progi?!

- Czy możesz opowiedzieć mi coś więcej o tej scenie? - dopytywał wyraźnie zafascynowany jej wiedzą.

Erna oderwała palec od płótna i z powrotem cofnęła się kilka kroków, stając u boku Gospodarza.

- No więc... - zaczęła, grzebiąc trochę w studenckim dziale swojej pamięci. - Scena ta ukazuje Wesaliusza we własnej osobie, w otoczeniu studentów, a także kolegów po fachu. - Tu przypomniała jej się pewna ciekawostka, którą na jednym z wykładów usłyszała od profesora wykładającego anatomię. Teraz mogła nią zabłysnąć! Uśmiechnęła się chytrze pod nosem, kontynuując: - Większość postaci autor ryciny przedstawił z profilu. Zabieg ten miał podkreślać ich ogromne zainteresowanie naukami Wesaliusza i podziw dla nich.

Adolfo na te słowa znieruchomiał. Erna spostrzegła, że ciekawostka zrobiła na nim ogromne wrażenie. Jak widać, czasem opłacało się nie przysypiać na wykładach.

- Skąd u ciebie taka wiedza? - zapytał w końcu zdumiony.

- Studiowałam przez rok medycynę. Ale później... - zamilkła raptownie.

- Wybrałaś dziennikarstwo? - domyślił się Patino.

Erna kiwnęła twierdząco głową, po czym podciągnęła oba rękawy jeansowej koszuli. W salonie zrobiło się dość ciepło. Kominek świetnie radził sobie z ogrzaniem tak dużego pomieszczenia.

- Przepraszam za moją dociekliwość - rzekł zaintrygowany Gospodarz - ale zastanawiam się, gdzie dokładnie próbowałaś swoich sił na studiach medycznych?

- W Ottawie - odpowiedziała.

- Hmm... - Adolfo Patino zmarszczył brwi. To był niesamowity zbieg okoliczności. Ale to wyjaśniałoby, dlaczego ta młoda osoba była w posiadaniu tej ważnej ciekawostki, którą mu opowiedziała. Musiał się jednak upewnić. - Nie pamiętasz może, słodziutka, jak nazywali się twoi wykładowcy?

Erna popatrzyła na niego zdumiona. Jakim cudem miałyby pamiętać nazwiska profesorów, z którymi spędziła niecały rok na uczelni? Widząc jednak żywe zainteresowanie tematem u miłego staruszka, postanowiła sobie przypomnieć jakiegokolwiek nazwisko. Nie było to łatwe...

- Lawrence... - usilnie próbowała wyszperać coś z głowy - Lucas i Thurman... - wyrecytowała z pamięci, chcąc go choć trochę usatysfakcjonować. Patino wciąż jednak przyglądał jej się wyczekująco. - Był jeszcze taki jeden, który odszedł szybciej, niż ja zrezygnowałam - dodała, starając się przypomnieć sobie nazwisko pierwszego wykładowcy anatomii, który zaszczycił jej mózg ciekawostką na temat sceny z obrazu wiszącego tuż przed nią. Ten profesor miał niezłego fioła na punkcie Andreasa Wesaliusza. - Jego nazwisko zaczynało się chyba na literę M. - Zamknęła oczy, próbując przywołać nazwisko profesora. - Mananti...Macanti...

- Cavalcanti? - zapytał podejrzliwie Adolfo.

- Tak! Samuel Cavalcanti! - potwierdziła Erna, otwierając oczy.

Patino westchnął ciężko. Ech, stary poczciwy Samuel. Tak dużo ich łączyło, a zarazem tak sporo dzieliło. Adolfo poczuł w głowie lekkie zawirowanie. Niebezpiecznie zachwiał się na swoich starczych, chudych nogach. Erna instynktownie pochwyciła go za ramię.

- Wszystko w porządku? - spytała szczerze zatroskana.

- Tak, tak - uspokoił ją Gospodarz, odzyskując równowagę.

- Skąd zna pan nazwisko profesora Cavalcantiego? - spytała zaciekawiona.

- Studiowaliśmy razem medycynę w Ottawie - odparł jej krótko Adolfo, nie mając większej ochoty na wspomnienia z tamtych lat.

- Studiował pan medycynę? - zdziwiła się Erna. Jakoś trudno było jej sobie wyobrazić Adolfo Patino w białym kitlu.

- Tak, słodziutka, i powiem więcej. - Patino zaśmiał się pod nosem.

- Zdołałem ją jakimś cudem ukończyć. Ale medycyna, sama w sobie, nie była moim powołaniem - dodał po chwili. - Bardziej interesowałem się jej historią.

- No cóż. - Erna wzruszyła ramionami. - Moim też nie była, ale ja na szczęście w porę się opamiętałam - stwierdziła, szczerząc w uśmiechu swoje równe, lekko brązowe od wypitej kawy zęby.

Patino był niezmiernie oczarowany stojącą przy nim osobą. Zdziwił się, jak szybko zdołał ją polubić i obdarzyć większym, niż miał w zwyczaju, zaufaniem. W salonie było duszno. Przynajmniej dla niego. Jego czoło znów pokryło się potem. Aksamitną chusteczką oczyścił twarz i rozluźnił wiązanie niebieskiego krawata. Wziął głęboki oddech. Świat znów lekko zawirował mu w oczach. Zdołał jednak zapanować nad błędnikiem i utrzymać równowagę. W tej chwili nie mógł już liczyć na pomocną dłoń tej młodej, czarnowłosej dziewczyny, która teraz stała przy alabastrowych popiersiach, przyglądając się im z ciekawością. Przy kominku wciąż trwała ożywiona dyskusja. Goście już dawno porzucili temat stwórcy i przenieśli swoją uwagę na politykę.

- A w dupie mam polityki! - oznajmiła wulgarnie Abramova, stukając pustym kieliszkiem w biały stolik. - Gdzie ten cholerny

lokaj?! - Co chwilę zerknęła na zamknięte drzwi salonu.

W tym roku Adolfo gościł dość specyficzne osoby. Następnym razem (o ile dożyje) będzie musiał uważniej dobierać towarzystwo - stwierdził, po czym chwiejnym, powolnym krokiem podszedł do stojącej tuż pod obrazem Erny. Popiersie z podobizną Wesaliusza stało na samym środku, otoczone zarówno z prawa, jak i z lewa kolejnymi rzeźbami.

- Frisius Rainer Gemma - odczytał napis z tabliczki przyklejonej przy popiersiu stojącym na kolumnie obok postaci Wesaliusza. - Robert Winter, Jan van Calcar - kontynuował, omiatając wzrokiem kolejne podpisy. - Tycjan, Domenico Campagnola, Johannes Oporinus i oczywiście wielki cesarz Karol Piąty.

Erna milczała, z zaciekawieniem przyglądając się wszystkim rzeźbom. Wyglądały na bardzo stare.

- Te nazwiska - zwrócił się do niej Adolfo - mówią ci coś, słodziutka?

Erna podniosła raptownie głowę znad popiersia Wesaliusza i przygryzła z namysłem dolną wargę. Oczywiście znała kilka z tych nazwisk, nie rozumiała jednak, co mogły mieć ze sobą wspólnego...

- Cała ta wielka ósemka przyczyniła się do stworzenia *De humani corporis fabrica* - oświadczył Gospodarz, jakby czytając jej w myślach.

Erna próbowała przypomnieć sobie cokolwiek na temat wszystkich wymienionych postaci i tego, jaki miały udział w powstaniu pierwszego atlasu anatomicznego. Coś świtało jej już w głowie. Wiedza zdobyta w przeszłości zaczęła pomału powracać... były to jednak strzępy niepowiązanych ze sobą, nic nieznaczących informacji.

Niespodziewanie drzwi do salonu się otworzyły. To Cindy Walker w swojej zwiewnej jasnozielonej sukience ponownie zaszczyciła ich swoją osobą, a tuż za nią wgramolił się niezdarnie wielki Stefan Kruger, niosąc pod pachą coś, co wyglądało jak średniej wielkości pudełko.

- Panie Patino! - rzucił pospiesznie w stronę Gospodarza. - Wybiła godzina dwudziesta. Już czas!

- Ach, no tak - oprzytomniał Adolfo, po czym ruszył w kierunku gości siedzących przy kominku. - Słodziutka, zapraszam do stołu. Już czas! Już czas! - powtórzył podekscytowany.

Erna zrobiła zdziwioną minę.

- Czas na co? - spytała.

- Na Wielką Grę! - odpowiedział jej staruszek, znikając po chwili za oparciem wielkiego fotela. Erna nie wiedziała, o co chodzi. Miała jednak nadzieję, że niedługo się dowie.

Dyskusja przy kominku ucichła. Zamiast niej zapanowała grobowa cisza. Nawet Ida Abramova nie pokusiła się o to, aby domagać się od przybyłego Krugera swojego zamówionego i niedostarczonego drinka, tylko tak jak reszta zgromadzonych przy kominku gości wpatrywała się z zainteresowaniem w przedmiot, który chwilę wcześniej spoczął na kawowym stoliku. Stefan zwinnymi ruchami zebrał na srebrną tacę zbędną zastawę i jeszcze na chwilę zniknął za drzwiami salonu.

Erna podeszła do zebranych gości, mijając wybiegającego jak strzała Kucharza. W powietrzu dało się wyczuć ciężką atmosferę. Dziwnie wyglądający przedmiot, pozostawiony przez Stefana na stole, przykuł również jej uwagę. Erna usiadła obok Gaku Hary. Zrobiła to najciszej, jak tylko mogła. Miała bowiem wrażenie, że jeśli się teraz odezwie lub wywoła jakiś hałas, będzie odpowiedzialna za przerwanie tej pełnej skupienia ciszy.

Leżąca na kawowym stoliku nieduża szkatułka miała może z trzydzieści centymetrów długości i dwadzieścia szerokości, a jej wysokość swoim dokładnym wzrokiem Erna oceniłaby na około pięć centymetrów. Tajemniczy przedmiot obity był w materiał, który z wyglądu przypominał niejednolitą, jasnobrązową skórę, w niektórych miejscach naznaczoną większymi oraz mniejszymi brązowymi plamami. Na środku szkatułki znajdował się symbol ludzkiej czaszki przedstawionej z profilu, który prawdopodobnie został wypalony w jej skórzanym obiciu. Erna instynktownie

odwróciła głowę od przedmiotu i spojrzała na prawą dłoń Adolfo Patino. Pamięć miała niezawodną. Taki sam znak czaszki staruszek miał na swoim złotym sygnecie.

Zanim zdążyła raz jeszcze przyjrzeć się tajemniczemu pojemnikowi, Adolfo niespodziewanie klasnął w dłonie. Zebrani goście podskoczyli, jakby zostali wyrwani z głębokiej hipnozy.

- Moi drodzy - zaczął oficjalnie, tym samym przerywając panującą od dłuższego czasu ciszę. Dosłownie w tej samej chwili zdyszany Kruger wparował zwawym krokiem do salonu i dołączył do gości, zajmując miejsce tuż obok bladolicy Cindy. Adolfo zerknął na otaczających go ludzi. Upewniwszy się, że wszyscy wciąż skupiają swoją uwagę na nim, kontynuował: - Nadszedł ten czas - powiedział z ogromnym podnieceniem w głosie. Podźwignął się z trudem z głębokiego fotela, kładąc szczupłe dłonie na jego oparciach. - To dziś, a dokładnie piętnastego października, rozegracie Wielką Grę. Ta gra jest hołdem i dowodem oddania dla nieprzeciętnego stwórcy, jakim był Wesaliusz.

Erna wsłuchiwała się w każde słowo Patino z wielką uwagą. Musiała przyznać, że staruszek rzeczywiście kochał medycynę, a z całą pewnością był wielkim fanem Andreasa Wesaliusza. Ukradkiem spojrzała na siedzące naprzeciw niej małżeństwo. Zarówno Cecile, jak i Charles Bennett byli skupieni na przemowie właściciela hotelu i z wielką uwagą, a wręcz zachwytem, przyswajali jego kolejne słowa. Nie inaczej było z Cindy, która z lekko podniesionym, spiczastym podbródkiem kiwała co chwila głową, podkreślając tym samym, że zgadza się ze wszystkim, o czym mówił Adolfo Patino. Erna cofnęła się delikatnie, prostując przy tym plecy na oparciu kanapy. Dopiero teraz dostrzegła Idę Abramową, którą do tej pory skutecznie zasłaniał turkusowy Japończyk. W przeciwieństwie do oczu reszty zgromadzonych gości wzrok Rosjanki (oprócz tego, że był dość rozbiegany przez ilość wypitego alkoholu) wyrażał lekki niepokój. Na jej twarzy na próżno można było szukać jakichkolwiek strzępków podziwu czy zainteresowania słowami Adolfo. Abramova w tej chwili

wyglądała jak małe bezbronne dziecko przebywające w niezbyt lubianym przez siebie przedszkolu. Dziecko, które właśnie zdało sobie sprawę, że chce do domu. Jednak zamiast odgłosu płaczu z ust Idy raz po raz wybrzmiewała pijacka czkawka.

- Jiyk... jiyk... och... no... najmocniej przepraszam... - wydusiła z siebie Rosjanka, dostrzegając poirytowane spojrzenie Krugera. Przypomniawszy sobie znaną metodę pozbycia się czkawki, nabrała powietrza w płuca i przestała oddychać. Erna dostrzegła, jak z każdą mijającą sekundą twarz Idy robi się coraz bardziej czerwona, a rozbiegane oczy zaczynają dosłownie wychodzić jej na wierzch, przypominając piłeczki pingpongowe. - No i przeszło! - ogłosiła po chwili triumfalnie, nabierając łapczywie powietrza. - Jiyk... - wydobyło się znowu z jej ust.

Patino przerwał swoją przemowę, lecz w przeciwieństwie do Stefana nie zmierzył jej morderczym spojrzeniem.

- Stefanie, przynieś proszę pani Abramovej szklankę wody - zwrócił się życzliwie w stronę Krugera.

- Ależ nie trzeba!... Jiyk... - krzyknęła Ida, po czym przysłoniła buzię ozłoconą pierścieniami dłonią.

- Ponoć w przypadku czkawki wystarczy kogoś przestraszyć - zaproponowała nieśmiało Erna.

Zdegustowany Gaku Hara, który od dobrych kilku godzin narażony był na wdychanie procentowych oparów z paszczy Abramovej, popatrzył z uznaniem na siedzącą obok niego nieznaną, po czym z szelmowskim uśmiechem na twarzy odwrócił się do Idy.

- Może przestraszę cię tym, koleżanko, że w takim stanie raczej dane ci będzie przegrać w dzisiejszej Wielkiej Grze - wymamrotał wprost do ucha czkającej Rosjanki. Nikt oprócz niej i siedzącej dość blisko Erny nie słyszał tego, co powiedział Japończyk. Podenerwowany Kruger uniósł się ociężale z tapicerowanej kanapy. Już miał kierować się w stronę drzwi, gdy za plecami usłyszał słowa z wyraźnym rosyjskim akcentem:

- Och! Czkawka odeszła w cholerę! - Ida ogłosiła to, jakby odkryła co najmniej prawo grawitacji.

Niezadowolony Stefan powrócił na swoje miejsce. Doprawdy nie mógł zrozumieć, jakim cudem ta kobieta się tu znalazła. Musiał jednak uszanować decyzję swojego Gospodarza.

Adolfo Patino uśmiechnął się łagodnie. Spojrzał na zegarek. Stracili bardzo dużo czasu. Postanowił nie kończyć swojej corocznej przemowy i przejść do rzeczy. W końcu już czas. Już czas!

- Moi drodzy - zwrócił się ponownie do swoich gości, siadając wygodnie w fotelu. Czuł, jak jego nogi słabną. Dłużej nie mógł wystać, a miał jeszcze tyle do przekazania. - Myślę, że zasady gry są wszystkim znane. - To mówiąc, Adolfo przeniósł swój zmęczony, choć podeksycytowany wzrok na Ernę. - Ty, słodziutka, musisz nam wybaczyć, ale nie będziesz mogła wziąć udziału w grze. Po prostu karta wyników została już wcześniej przygotowana. Mam nadzieję, że nie będziesz miała mi tego za złe? - obdarzył ją szczerym uśmiechem.

- Nie... Oczywiście, że nie. Z chęcią posiedzę i popatrzę - odpowiedziała Erna, choć w tej chwili miała tylko ochotę porządnie się wyspać. Perspektywa nudnego przyglądania się jakiejś grze zdziwaczałych „sanitariuszy” nie napawała jej entuzjazmem. Nie mogła jednak tego powiedzieć temu przemilemu staruszkowi. W końcu to dzięki niemu znalazła tu dziś schronienie.

- No dobrze, no dobrze - powtórzył zaaferowany Gospodarz, sięgając chudymi dłońmi po skórzaną szkatułkę. Ciche skupienie przerwał odgłos otwieranych dwóch złotych zapięć, szczelnie chroniących zawartość pudełka. Charles Bennett odchrząknął donośnie, zakrywając usta dłonią zaciśniętą w pięść. Cecile wyszeptała coś w jego stronę na tyle głośno, że Ernie udało się usłyszeć ich krótką wymianę zdań.

- Już niedługo mogę przestać być twoją żoną, stary capie - powiedziała cicho Cecile.

- Mam taką nadzieję - bąknął pod nosem Charles, dodając: - Ach, i jeszcze jedno. Nawet gdy odejdiesz, zawsze będę nosił cię w sobie.

- Zachichotał szyderczo, klepiąc swoją grubą dłońią po miejscu, gdzie prawdopodobnie znajdowało się jego otłuszczone serce. Cecile nic mu już nie odpowiedziała. Zmierzyła go tylko wzrokiem, dając mu jasno do zrozumienia, że według niej jest największym prostakiem na całym świecie.

Erna nie miała bladego pojęcia, o co mogło im chodzić. Jedno było pewne. Małżeństwo nie darzyło się zbyt głębokim uczuciem. Dopiero teraz dostrzegła, że tajemnicza szkatułka została otworzona. Jej wnętrze trochę ją zdziwiło. Choć może bardziej zawiodło. Miała nadzieję, że w środku znajduje się coś ciekawego. Zamiast tego ujrzała...

- Oto i one - oznajmił uroczyście Adolfo, spoglądając z czułością do wnętrza szkatuлки. - Nasze drogocenne, święte... - tu wziął głęboki oddech. Erna miała wrażenie, że staruszek lekko się wzruszył. - ... drogocenne - powtórzył, nie tracąc wątku - kości! - dokończył, a wszyscy zebrani, prócz Erny, wstrzymali oddech.

Erna siedziała trochę ogłupiała i była co najmniej zdziwiona ich przesadzoną reakcją. Zaczęła rozważać, że może te kości były warte miliony albo że może są Świętym Graalem. Wszystko, co wymyśliła, wydawało jej się zabawne i niemożliwe.

Stefan Kruger ostrożnie pochylił się w stronę szkatuлки i wyciągnął z niej mały kubeczek, prawdopodobnie obity takim samym materiałem jak całe pudełko, oraz pięć sześciennych kostek. Erna przyjrzała im się uważniej. Nie wyglądały zwyczajnie. Prawdę mówiąc, nie wyglądały idealnie. Boki oraz kąty były niezgrabnie zaokrąglone, a oczka wyraźnie wyżłobione w ich ściankach. Niejednolity, mleczny kolor kości, dodatkowo pokryty dość gęsto bordowymi oraz żółtymi nieregularnymi liniami upewnił ją, że nie jest to typowy masowy wyrób, który można dostać w każdym sklepie z grammi towarzyskimi.

- Zdaje mi się, słodziutka, że zaciekawiała cię zawartość szkatuлки - wyrwał ją nagle z zamyślenia Adolfo Patino. Choć zdawał sobie sprawę, że Wielka Gra powinna się już zacząć, nie mógł powstrzymać

się od zaspokojenia, choć trochę, tej iskiej ciekawości, która pojawiła się w wielkich, brązowych oczach niespodziewanego gościa.

Erna zerknęła na chwilę na Adolfo, po czym ponownie skupiła wzrok na wyeksponowanym wnętrzu pudełka.

- To wszystko... - odezwała się po chwili. - To wszystko wydaje się bardzo stare. - Oceniała, czując nieodpartą pokusę dotknięcia któregoś z elementów.

Patino delikatnie przechylił swoje szczupłe ciało w stronę stolika.

- Masz rację - odpowiedział zadowolony. Prawą ręką zebrał leżące na stoliku kości. Przez jego ciało przebiegł dreszcz ekscytacji. - Ta gra jest bardzo stara. - Erna patrzyła, jak staruszek ze skupieniem obraca pięcioma sześciennymi kostkami w szczupłej dłoni. - Mimo że niektórzy pomyśleliby, że jest to tylko jakaś dawna wersja znanej gry - ciągnął Patino, wciąż w skupieniu obracając trzymanymi w dłoni małymi przedmiotami - to kryje się w nich pewna tajemnica - dokończył, spoglądając z satysfakcją na Ernę. Wyraz twarzy dziewczyny wyraźnie wołał o to, aby podzielił się z nią tym sekretem. Coraz bardziej cenił w niej tę ciekawość, która w połączeniu z jej wiedzą medyczną mogła zaprowadzić ją bardzo daleko.

Kruger zaczął niespokojnie przebierać nogami. Nerwowo zerkał na toczącą się przy stoliku wymianę zdań. Rozmowę, która według niego nie powinna mieć miejsca. Musiał jednak jak zawsze zaufać Gospodarzowi.

Kucharz nie wiedział jeszcze, że Adolfo Patino tak naprawdę nie zamierzał wyjawiać nieznajomej tajemnicy. Nie był przecież otępiąłym, pozbawionym rozumu staruchem, choć to ostatnie (co musiał niestety przyznać) było prawdą. W tej chwili, właśnie teraz, postanowił odwdzińczyć się Ernie Brown na tyle, na ile mógł i chciał. Ona uraczyła go ciekawostką, więc on postanowił dać jej to samo.

- Ta gra różni się od innych tego typu gier i nie chodzi tu tylko o jej wiek - zaczął, wpatrując się w słuchającą go w skupieniu Ernę. - Wyobraź sobie, że te oto małe przedmioty - wskazał głową na

trzymane w ręku nieregularne, małe sześciiany - zostały wykonane z prawdziwych kości. Kości samego Wesaliusza.

Erna zmarszczyła brwi, jak gdyby słowa, które właśnie wypłynęły z ust staruszka, były dla niej kompletnie niezrozumiałe. Jakby Adolfo mówił w innym języku. Nie takiej reakcji oczekiwał Patino od tej młodej dziewczyny na tak niesamowitą ciekawostkę, którą postanowił się z nią podzielić. Zawiedziony jej miną mimo wszystko kontynuował. Może teraz wzbudzi w niej większy podziw.

- A ta szkatułka oraz kubeczek zostały obite jego skórą. Skórą samego Andreasa Wesaliusza! - oznajmił z dumą, po czym delikatnie odłożył trzymane kości na stolik i pogładził z czułością leżącą tuż przy nim szkatułkę. Zerknął ukradkiem na dziewczynę. Ku jego rosnącej frustracji wyraz twarzy Erny Brown wcale się nie zmienił. Na próżno można było szukać u niej jakiegokolwiek ułamka wdzięczności i zaskoczenia. Zamiast tego to ohydne niedowierzanie, jakby właśnie opowiedział jej głupi kawał. Adolfo zaczął szczerze żałować, że podzielił się z nią tą informacją. Widocznie na to nie zasługiwała.

W tym samym czasie w głowie Erny lewitowało tylko jedno pytanie, które raz po raz obijało się o boczne ścianki jej czaszki i powodowało dość długie marszczenie jej gęstych, czarnych brwi: O czym do cholery ten staruszek bredzi?! Faktycznie, dla kogoś wierzącego w zjawiska paranormalne, UFO i wszelkiego rodzaju teorie spiskowe to, co właśnie usłyszała, miałyby sens. Gra bowiem wyglądała naprawdę staro, a i materiał, z którego została wykonana, mógł wskazywać na to, że z pewnością nie był on łatwo dostępny i typowy. Jednak żeby zaraz twierdzić, że jego kości są wykonane z bądź co bądź samego Andreasa Wesaliusza?! Chyba ten wielki entuzjasta medycyny zapomniał, że twórca nowożytnej anatomii został pochowany na greckiej wyspie Zakynthos i wątpliwe jest, żeby ktoś wtedy fatygował się, aby zerwać z niego skórę i wziąć trochę kości do stworzenia tej oto gry. Patino chyba za bardzo kochał dokonania Wesaliusza i chyba dał się ponieść tej miłości. Zaraz okaże się, że trzyma tu gdzieś jego wysuszone, zmumifikowane ciało.

Na rękach Erny pojawiła się gęsia skórka. Dopiero teraz dostrzegła, że staruszek był wyraźnie niezadowolony z braku jej pozytywnej reakcji, której chyba od niej oczekiwał. Siedział ze skwaszoną miną, jak małe obrażone dziecko.

- Och... - Erna wydusiła z siebie udawaną ekscytację. - To... to... - powtarzała, patrząc szeroko otwartymi oczami na leżącą przed nią grę. - Ale... jak to... - miotała się teatralnie, mając przy tym nadzieję, że staruszek uwierzy w jej zachwyty. Nie chciała go obrazić. Mimo swojego coraz bardziej uwidaczniającego się szaleństwa był miły i widocznie widział w niej interesującego partnera do rozmów na temat swojej pasji. To jej szczerze schlebiało. Starsze osoby już tak po prostu mają. Na starość wariują... - stwierdziła, czekając na reakcję Gospodarza.

Adolfo w jednej sekundzie się rozpromienił. Jak mały chłopiec, który właśnie zobaczył Świętego Mikołaja. Żwawo poprawił swoje szczupłe ciało w fotelu.

- Tak, tak, słodziutka! To najprawdziwsza prawda! - odpowiedział, czując, że znów wracają do niego wszelkie pozytywne uczucia, którymi darzył tę młodą osobę.

- Czy mogę... - Erna zwinnie kontynuowała swoją grę aktorską. Skierowała prawą dłoń w stronę kości, po czym ją cofnęła.

- Ależ tak! Nie krępuj się, słodziutka. Weź je do ręki - zachęcał uradowany Patino. Ernie jakoś przeszła ochota na to, aby dotknąć któregośkolwiek elementu tej gry. Choć była pewna, że nie były wykonane z kości Wesaliusza, miała nieodparte wrażenie, że mogłyby być zrobione z...

- I jak wrażenia? - pisał podekscytowany staruszek.

- Są bardzo... lekkie - oceniła Erna, utwierdzając się w swoich domysłach. Z pewnością mogły być wykonane z kości jakiegoś zwierzęcia. Ale żeby zaraz z Wesaliusza? Brednie biednego, schorowanego starca.

- Panie Patino - wtrącił się Kruger - chyba powinniśmy już zacząć - zauważył, z trudem kryjąc podenerwowanie.

- Tak - przyznał mu bez zastanowienia Adolfo, po czym dodał: -
Zaczynamy Wielką Grę!

Na stole spoczywała otwarta szkatułka, a zaraz obok niej stał skórzany kubek z kośćmi. Kruger wyjął złożoną kartkę ze środkowej kieszeni swojej czarnej marynarki, którą dokładnie rozprostował na blacie. Na białej kartce formatu A4 widniała duża tabelka z pustymi i częściowo wypełnionymi polami.

- Moi drodzy - rzekł z powagą Adolfo. - Przed rozpoczęciem gry nasz wspaniały Kucharz wyjaśni wam podstawowe zasady, aby uniknąć wszelkich nieporozumień. - Wskazał dłonią na Krugera, który kiwnął porozumiewawczo głową, po czym sownie odkaszlnął i przystąpił do wypełnienia swojego corocznego obowiązku bycia prowadzącym.

- W zwyczaju mamy rozgrywanie gry standardowej, a więc obejmującej trzynaście kolejek - rozpoczął, starając się bacznie obserwować reakcje gości, upewniając się tym samym, że wszystko na bieżąco przyswajali. Miał co prawda pewne wątpliwości odnośnie do stanu umysłowego zdrowo nawalonej Rosjanki, jednak stwierdził, że jest to wyłącznie jej problem. Zresztą każdy jeszcze przed przyjazdem na coroczną Świętą Uczętę musiał zapoznać się z zasadami gry w kości. Nie są one przecież skomplikowane. Do jego obowiązku należało tylko ogólne przypomnienie zasad. Tak, aby wszystko dopięte było na ostatni guzik. W końcu grali o naprawdę wysoką stawkę.

Kruger poczuł suchość w gardle. Przełknął kilkakrotnie ślinę, ponownie odkaszlnął i kontynuował.

- Oto karta z tabelą wyników. - Wskazał na rozłożony przed nim zadrukowany arkusz.

Wszyscy gwałtownie przenieśli wzrok z twarzy Kucharza na kawowy stolik. Erna zastanawiała się, czy kiedykolwiek miała okazję zagrać w kości. Grzebiąc zarówno w najdalszej, jak i bliższej przeszłości nic sobie nie przypomniała. Może dlatego, że raczej stroniła od takich gier. Teraz jednak, nie mając nic innego do roboty czy raczej będąc skazaną na obserwowanie rozgrywki, postanowiła,

że chociaż spróbuje zrozumieć jej zasady. Przyglądała się więc z zaciekawieniem niepozornej kartce. Kruger kontynuował beznamiętnym tonem:

- Tabela wyników jest podzielona na dwie części. Górna jej część składa się z sześciu punktowanych kategorii: z jedynek, dwójek, trójek, czwórek, piątek i szóstek - wyliczył, wskazując wielkim palcem na poszczególne kratki. - Zasada dla wszystkich kategorii z górnej części tabeli jest taka sama. Przykładowo przy wyrzuconych kościach: trójka, trójka, trójka, dwójka, szóstka gracz, wybierając kategorię trójek z górnej części tabeli, otrzymuje sumę wyrzuconych trójek na kostkach, czyli w tym wypadku będzie to wynik równy dziewięć.

Ponownie zbadał wzrokiem zebranych przy stoliku gości. Wszyscy, prócz Idy Abramovej, kiwali głową w geście zrozumienia. Rosjanka natomiast wpatrywała się dziwnie nieobecny wzrokiem w kartkę i wyglądało na to, że myślami jest na innej planecie. Kruger ponownie nie przejął się jej zachowaniem. Przecież jego słowa były tylko formalnością.

- Jeżeli któremuś z graczy uda się w górnej części tabeli uzyskać łącznie co najmniej sześćdziesiąt trzy punkty, gracz dodatkowo otrzyma premię w wysokości trzydziestu pięciu punktów. Tabela ma także swoją drugą część. - Stefan przejechał palcem w dół kartki. - Ta jest trochę bardziej skomplikowana, jednak osobom grającym w pokera wyda się dość prosta.

Charles Bennett wyszczerzył zęby, jak gdyby chciał przez to pokazać, że w pokera nie ma sobie równych. Kruger jednak skarcił go krótkim, ostrym spojrzeniem, gasząc jego spontaniczną dumę. Stefan gardził grami karcianymi, którymi jak sądził, rządził tylko głupi przypadek albo sprawne oszustwo. Nie to, co kości. W tej grze, choć przypadek także odgrywał w niej swoją rolę, w większej mierze liczyła się umiejętność kalkulacji i nieprzeciętnego sprytu. Kruger kontynuował:

- Dolna część tabeli wyników składa się z kategorii takich jak „trzy jednakowe”. W tym polu punkty uzyskuje się za wyrzucenie trzech

kostek z taką samą liczbą oczek. Jednak liczbą punktów jest suma oczek ze wszystkich pięciu kości. Przykładowo przy wyrzuceniu kombinacji: cztery, dwa, cztery, jeden, cztery, i wybraniu kategorii „trzy jednakowe”, suma zdobytych punktów wyniesie piętnaście. Podobnie jest w drugiej kategorii dolnej części tabeli, o nazwie „cztery jednakowe”, z tym że tu trzeba wyrzucić, jak sama nazwa wskazuje, cztery kości z jednakową liczbą oczek. – Stefan zamilkł na moment i znów spojrzał na gości. Tak jak poprzednio, wszyscy prócz Idy kiwali głowami na znak, że zasady są dla nich zrozumiałe. Zbliżał się już do końca. Wziął głęboki oddech i ciągnął:

– Kolejna kategoria to „full”, który wart jest dwadzieścia pięć punktów niezależnie od sumy wyrzuconych oczek. Aby zdobyć tę kategorię, należy wyrzucić trzy jednakowe oraz dwie jednakowe kości.

– Tak, tak. Jak w pokerku... – przytaknął podekscytowany Charles, który z każdą mijającą minutą był coraz pewniejszy wygranej. W końcu, jakby nie było, w pokera nie miał sobie równych. Przynajmniej wśród swoich londyńskich znajomych.

– Trzydzieści punktów możemy otrzymać za kategorię o nazwie „mały strit”. Tu wystarczy wyrzucić cztery kolejne liczby oczek. Przykładowo: dwa, trzy, cztery, pięć, trzy. Jeżeli uzyskamy w rzutach pięć kolejnych liczb oczek, to wtedy mamy tak zwanego „dużego strita” i otrzymujemy po wybraniu tej kategorii czterdzieści punktów. Przedostatnia kategoria w dolnej części tabeli to „generał”, który wart jest pięćdziesiąt punktów. Aby je zdobyć, trzeba wyrzucić pięć jednakowych wyników na kostkach.

– Och – wybrzmiało z ust skupionej na słowach Stefana Cecile. Miała wrażenie, że to właśnie tę kategorię będzie najtrudniej zdobyć. Chyba nie jest łatwo wyrzucić pięć jednakowych oczek – stwierdziła w myślach, czując narastające podenerwowanie.

– I ostatnie pole do zdobycia – oznajmił Stefan Kruger, przejeżdżając palcem wskazującym na sam dół tabeli. – Kategoria o nazwie „szansa” może okazać się dla wielu kołem ratunkowym, ale

użyta w nieodpowiedniej chwili może także pogrzyść - ostrzegł, odrywając dłoń od kartki. - Wybierając tę kategorię, otrzymujecie sumę oczek ze wszystkich pięciu kości.

- Czy kolejne wyrzucenie „generała” skutkuje dzokerem lub premią? - wpadł mu w słowo ksiądz Uchto.

Erna pierwszy raz w pełni usłyszała dźwięk jego głosu. Głosu niezwykle delikatnego, choć wyraźnego. Mogła wyobrazić go sobie jako osobę przemawiającą do zebranych w kościele wiernych.

Kruger uniósł raptownie głowę znad kartki. Cieszyło go to, że nareszcie ktoś zadał mu jakieś pytanie.

- Podczas Wielkiej Gry nie uznajemy dzokerów oraz premii za ponownie wyrzuconych „generałów” - uściślił, kierując słowa do wszystkich. - Jak już wspominałem, gra obejmuje trzynaście kolejek. Podczas każdej kolejki każdy z graczy może trzy razy rzucić wszystkimi bądź wybranymi kostkami. Gdy gracz wykona trzy rzuty lub szybciej zdecyduje o zakończeniu swojej kolejki, musi wybrać jedną kategorię, do której zostaną przypisane zdobyte przez niego punkty. Każda z kategorii może być użyta tylko raz.

- A co w sytuacji, gdy wyrzucona kombinacja kości nie pasuje do żadnej kategorii lub ta, do której pasuje, jest już wykorzystana? - Erna, wyraźnie zainteresowana grą, choć nie brała w niej bezpośrednio udziału, postanowiła zaspokoić swoją żądzę wiedzy.

Na twarzy Krugera pojawił się dziwny grymas. Jakby chciał dać jej do zrozumienia, że jej głos nie jest ważny i nie ma prawa pytać o cokolwiek. Erna jednak wyraźnie domagała się odpowiedzi oczekująco spoglądając w niebieskie oczy Stefana.

- W takim przypadku gracz musi zdecydować o wyborze wolnej kategorii, przy której zostanie wpisane zero punktów - odpowiedział jej z niechęcią Kruger.

Erna miała wrażenie, że udało jej się zrozumieć zasady tej, jak się okazało, prostej gry. Prawdę mówiąc, nie miałyby nic przeciwko temu, aby dołączyć do innych graczy, jednak zamiast tego musiała siedzieć i przyglądać się, jak inni bardziej lub mniej udolnie będą próbowali

dojść do zwycięstwa. Zerknęła w bok, gdzie siedziała biuściasta Rosjanka. Nie wyglądała najlepiej. Prawdę mówiąc, nie wyglądała na kogoś, kto miałby ochotę na jakąkolwiek grę. Może zrezygnuje i wtedy będzie mogła ją zastąpić? Erna miała cichą nadzieję, że jednak weźmie udział w rozgrywce, jednak została ona szybko rozwiana wraz ze słowami wypowiedzianymi przez Adolfo Patino.

- Moi drodzy - rzekł nagle staruszek. - Już czas.

Gracze mimowolnie zbliżyli swoje spięte ciała do stołu. To Gaku Hara dostąpił zaszczytu pierwszego rzutu kośćmi w rozpoczynającej grę kolejce. Ostrożnie ujął skórzany kubeczek w szczupłe, delikatne dłonie. Zdecydowanym ruchem potrząsnął nim w powietrzu i z rozmachem przyłożył go do powierzchni białego stolika. Bez większego zastanowienia uniósł pojemnik, odsłaniając wszystkie pięć sześciennych kości.

- Sześć, sześć, sześć, cztery, dwa - Kruger odczytał na głos wyrzucone oczka. Spojrzał pytająco na Gaku, który ze spokojem przyglądał się otrzymanemu wynikowi. W końcu, podjąwszy decyzję, odłożył trzy szóstki na bok i ponownie zakręcił kubkiem, tym razem z dwiema pozostałymi kostkami.

- Jeden i sześć - oznajmił prowadzący.

Japończyk odłożył kolejną szóstkę na bok i postanowił wykorzystać ostatni rzut. W duchu liczył na efektownego „generała”, choć i tak wiedział, że jego wynik już na tę chwilę jest w pełni satysfakcjonujący.

- Trzy - odczytał liczbę oczek z ostatniej kości Kruger, po czym chwycił do ręki czarne złożone pióro wieczne, czekając na decyzję pierwszego gracza.

- Poproszę szóstki - zdecydował Japończyk. Widział, że siedzący naprzeciwko Charles lekko się zdumiał jego decyzją. Jednak Gaku Hara miał swoją strategię. Zapewne według niektórych powinien wybrać „cztery jednakowe”, ale tak postąpiliby tylko głupcy. Miał zamiar zdobyć jedyne dodatkowe punkty do zgarnięcia, dlatego jego głównym celem było osiągnięcie przynajmniej sześćdziesięciu trzech punktów w pierwszej części tabeli. Skoro nie grali na dzokery oraz

premię, tylko w ten sposób będzie miał możliwość wypracowania sobie sporej przewagi nad resztą tej mało rozgarniętej hołoty. Tak jak poprzednim razem pokona wszystkich swoją nietuzinkową inteligencją. Gaku uśmiechnął się chytrze pod nosem, podając kubek z kośćmi kolejnemu graczowi. Erna pierwszy raz przyglądała się tej grze, jednak z łatwością rozszyfrowała zamiary turkusowego Japończyka. Musiała przyznać, że sama także wybrałaby taką strategię. Trzeba było być chyba głupcem, aby nie zapolować na tak okazałą premię. Stefan Kruger zapisał dwadzieścia cztery punkty w słupku Gaku Hary przy kategorii „szóstki”.

Kolejnym graczem była Abramova, która z trudem utrzymywała mały kubeczek w naszpikowanej złotymi pierścieniami dłoni. Postanowiła asekurować się drugą ręką. Przykryła lewą dłonią otwór kubka i porządnie wstrząsnęła zawartością. Bach! Solidnie przyłożyła go do blatu. Kruger wybałuszył oczy, nie mogąc uwierzyć, w jak niedelikatny sposób ta ordynarna kobieta obchodziła się z tak delikatnymi przedmiotami. Ida nic sobie jednak z tego nie zrobiła. Uniosła kubek, spoglądając obojętnie na wyrzucone oczka.

- Jeden, dwa, pięć, pięć, pięć - odczytał jej wynik Kruger. Na środku czoła Idy pojawiła się pionowa głęboka bruzda, jak u największego myśliciela na świecie. Wszyscy z ciekawością obserwowali, co robi upojona procentami Rosjanka, która przez większość uważana była za najsłabsze ogniwo. Ku wielkiemu zaskoczeniu graczy Ida odstawiła w bezpieczne miejsce dwie kości z wyrzuconą jedynką oraz dwójką. Chwyciła za trzy pozostałe i nerwowo wrzuciła je do kubeczka, tym samym sprawiając, że trzy pięknie wyglądające piątki odeszły w zapomnienie.

Co za bezmyślna krowa - pomyślał Hara, patrząc na kobietę z politowaniem. Jedynie Cindy nie lekceważyła jej możliwości. Wprawdzie nie widziała zbyt dużych szans na to, żeby Rosjance udało się wygrać, jednak mimo wszystko uważała, że za tą dla wielu pustą i bezmyślną otoczką kobiecości krył się niebezpieczny gracz.

Łup! Ida kolejny raz niezbyt delikatnie przystawiła kubeczek do blatu. Kruger zacisnął z wściekłości zęby. Erna spostrzegła, jak jego szczeka robi się jeszcze bardziej kwadratowa.

- Trzy, cztery, pięć - warknął Stefan, z trudem powstrzymując swoje nerwy na wodzy.

- To niewiarygodne... - jęknęła Cecile, wpatrując się w wybrane kości Idy.

- To cud! - oznajmił głośno ksiądz Uchto, przejmując od Abramovej skórzany kubeczek. Dopiero teraz dotarło do Krugera, co udało się osiągnąć tej tępej Rosjance swoim ryzykownym posunięciem.

- Duża strita - oznajmiła wyniośle Abramova, zdobywając swoim zagranem czterdzieści soczystych punktów.

Choć siedział najbliżej rozpalonego i buchającego żarem kominka, ksiądz Uchto trząsał się niemiłosiernie. Nerwowo ścisnął w bladych dłoniach kubek, mocno go zniekształcając.

- No to moja kolej... - wymamrotał, z trudem powstrzymując drżenie rąk. W przeciwieństwie do Idy ksiądz Uchto z dużą delikatnością obchodził się z każdym elementem gry. Wiedział, z czym ma do czynienia, i wiedział, jak cenny jest ten egzemplarz. Zamieszał zawartością kubeczka, jak gdyby trzymał kieliszek z drogim czerwonym winem i w przeciwieństwie do poprzedników nie przyłożył kubka do blatu stołu, lecz przechylił go zdecydowanym ruchem nad otwartą szkatułką, która po chwili wypełniła się pięcioma sześciennymi kośćmi. Uchto milczał, wpatrując się w wyrzucone oczka. Tak jak reszta, która z niedowierzaniem lustrowała wzrokiem zawartość szkatułki.

- Trójka, trójka, trójka, trójka ... - Kruger przeciął ciszę, odczytując z podziwem wyrzucone oczka - ...i trójka - dokończył, czekając na decyzję księdza, choć bez problemu potrafił ją przewidzieć.

- Generał! - krzyknął jakby mniej zdenerwowany Uchto. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Głupie ma zawsze szczęścia... - bąknęła pod nosem Ida łamanym angielskim, wzruszając obojętnie ramionami. Wiedziała, że to początek gry i zdobycie w tej kolejce przez księdza pięćdziesięciu punktów wcale nie gwarantowało mu bezpiecznej pozycji.

Cecile była zagorzałą ateistką, jednak teraz w duchu prosiła wszystkich bogów tego świata, aby obdarzyli ją takim szczęściem, jakie spotkało tego polskiego chrześcijanina. Z zamkniętymi oczami, licząc na dar z niebios, wykonała ręką ruch ostateczny. Kruger wyteżył wzrok, aby odczytać wyrzucony wynik. W końcu mu się udało.

- Sześć, dwa, jeden, jeden, trzy - oznajmił beznamiętnie.

Bennett zaśmiał się szyderczo pod nosem.

- Och... - jęknęła wyraźnie zawiedziona Cecile. - Przeklęci bogowie... - syknęła z rozpaczą pod nosem, za co ksiądz Uchto skarcił ją spojrzeniem. Próbowwała podjąć jakąś sensowną decyzję. Miała jednak wrażenie, że obojętnie co zrobi, wynik tej rundy nie zakończy się dla niej zbyt korzystnie. Mijały sekundy, minuty, a ona, wciąż wpatrzona w kości, nie mogła podjąć żadnej decyzji.

- Na miłość boską, Cecile, nie możemy czekać w nieskończoność! - odezwał się podenerwowany Charles.

- Mogę cię zapewnić, mój drogi, że miłość boska mnie nie dotyczy - odburknęła w jego stronę Cecile.

Kruger przewrócił oczami zniecierpliwiony. Zdawał sobie sprawę, że w tej grze nie było czegoś takiego jak limit czasu na podjęcie decyzji, jednak gra musiała się dzisiaj zakończyć. Spojrzał pytająco na siedzącego tuż przy nim Adolfo Patino. Spoczywający w fotelu staruszek nie przejawiał jednak żadnych oznak zdenerwowania. Ze spokojem przyglądał się poczynaniom swoich gości, oceniając w duchu, kto według niego mógłby okazać się tegorocznym zwycięzcą, a kto... - co bardziej go interesowało - ... przegranym. Jednak gra dopiero się zaczęła i Adolfo wstrzymywał się z pierwszymi, osobistymi ocenami wszystkich graczy.

- No, kochana. Do odważnych świat należy - rzekł wesoło Patino.

Cecile spojrzała na niego zrozpaczona, jednak uśmiech Gospodarza w miarę ją uspokoił. Nabrała odwagi i chęci do walki. Co będzie, to będzie – pomyślała, odkładając do ponownego rzutu kości z wynikami: jeden i sześć.

Siedzący obok niej Bennett mocno zaciskał kciuki. Tak bardzo chciał, aby jego żona przegrała. Tak bardzo pragnął, aby uplasowała swoją grubą dupę na ostatnim miejscu...

- Cztery i jeden – odczytał oczka po kolejnym rzucie Kruger.

- No nie! – warknął zawiedziony Bennett.

Cecile pisnęła ze szczęścia, a po chwili ogłosiła:

- Mały strit. – Po czym rzuciła wyzywające spojrzenie w stronę swojego zde gustowanego męża. Gruby Bennett z trudnością schylił się po kubeczek, sapiąc przy tym jak stara lokomotywa. Kruger zapisał na koncie Cecile trzydzieści punktów.

- No to bach! – krzyknął Bennett, przechylając niezdarnie kubeczek. Kości rozsypały się po całym stole, o mało nie lądując na marmurowej podłodze. – Ups... – wymamrotał właściciel firmy Luna, uśmiechając się niezręcznie.

- To przez te twoje grube niezręczne paluchy – rzuciła pogardliwie Cecile. Jednak jej mąż nie zwrócił na to uwagi. W skupieniu przyglądał się wyrzuconym na pięciu kościach oczkom.

Stefan najpierw odczytał na głos otrzymany wynik:

- Dwa, dwa, dwa, jeden, jeden – a następnie ułożył w jednym rzędzie wszystkie porzucane niezdarnie kości.

- Hm... – Bennett przeanalizował sytuację, po czym z istic pokerową twarzą odłożył na bok trzy wyrzucone dwójki. Nie tylko Erna nie kryła zdziwienia zagrywką starego brodacza. Miał przecież wyłożonego „fulla”, a postanowił mimo to zaryzykować. Czy mogło mu to się opłacić? Bennett znał odpowiedź na to pytanie. Postanowił zaryzykować. Wpakował dwie pozostałe kostki do kubeczka i tym razem ostrożnie wyłożył je na stolik.

- Dwa i cztery – rzekł Kruger. Bennett odłożył kolejną dwójkę i wykonał ostatni przysługujący mu w tej kolejce rzut kostką,

pozbywając się tym samym zbędnych czterech oczek. Wszyscy w napięciu czekali, aż kubeczek uniesie się i będą mogli ujrzeć wynik ostatniego rzutu.

- Pięć - odczytał liczbę Stefan i spojrzał wyczekująco na Bennetta.

Cholera - pomyślał Charles, jednak nie dał po sobie poznać, że jego plan nie wypalił tak, jak się tego spodziewał. Jednak nie wszystko było stracone. Musiał po prostu zmienić trochę swoją taktykę. Przybrał pokerową twarz.

- Dwójki - zdecydował, a na jego koncie pojawiło się osiem punktów.

Erna Brown była pewna, że Charles liczył na „generała”. Jednak od początku zakładał, że może mu się nie udać, a wtedy... wtedy zmieni strategię i tak jak Gaku Hara będzie celował w górną część tabeli wyników, aby zgarnąć gratisowe trzydzieści pięć punktów. Musiała przyznać, że niepozorny Bennett okazał się niezłym strategiem. Czy ta taktyka przyniesie mu sukces? Erna sama była tego ciekawa. Dotarło też do niej, jak bardzo wkręciła się w tę niepozorną grę.

Wreszcie przyszedł czas na ostatniego gracza pierwszej kolejki. Cindy z gracją, niczym zjawą, otuliła skórzany kubeczek długimi, szczupłymi palcami. Chuchnęła w niego kilkakrotnie, licząc, że to przyniesie jej szczęście, po czym z uśmiechem i spokojem na twarzy wykonała pierwszy rzut. O tak... - pomyślała. - Od dzisiejszej gry wiele zależy...

- Pięć, pięć, dwa, trzy, sześć - oświadczył Kruger, wciąż perfekcyjnie wywiązując się z roli prowadzącego. Erna z uwagą przyglądała się temu, co robi Cindy.

- Ach, jaki piękny wynik - zaszczębiotała Walker, wpatrując się w pięć rozrzuconych blisko siebie kości. - Odłożę na bok dwie piąteczki i rzucę raz jeszcze tymi trzema - zrelacjonowała na głos swoje dalsze kroki.

- Dwa, pięć, jeden - rozbrzmiał w salonie tubalny głos Krugera.

- I jeszcze tymi dwiema kostkami - wygłosiła Cindy, wrzucając ponownie do kubeczka dwie niepasujące kości. Jak okazało się po

chwili, dwójkę i jedynkę zamieniła w piątkę i szóstkę.

- Doskonale! - wykrzyknęła uradowana. - Za cztery piątki poproszę kategorię „cztery jednakowe”. - Kruger bez zastanowienia wpisał zdobyte dwadzieścia sześć punktów w odpowiedniej rubryczce pod jej nazwiskiem, Tym samym pierwsza runda odeszła w zapomnienie, a jedyną i nieodwracalną pamiątką po niej były zapisane punkty.

- Moi kochani - zwrócił się do gości Adolfo Patino. - Czas na rundę drugą. Powodzenia. - Oparł schorowane ciało o fotel. W jednej chwili zalała go fala wspomnień. Dobrze pamiętał swoją pierwszą grę. Tyle emocji i tyle radości. Choć wydarzyło się to dobrych pięćdziesiąt lat temu, pamiętał to jak dziś.

Siedzieli w małym, ciasnym pomieszczeniu, opatuleni po szyję ciepłymi kocami. Ogrzewanie w domu odmówiło posłuszeństwa przez niespodziewaną awarię i gracze musieli zmagać się nie tylko z własnym strachem i natłokiem emocji, ale także z niemiłosiernym mrozem, który dotkliwie szczypał w policzki i czoło. Jednak udało mu się. Choć nie wygrał, a zajął drugie miejsce, to z łatwością uniknął przegranej. Jego dobra passa trwała jeszcze kilka dobrych lat, nim zwyciężył po raz ostatni i stał się Kucharzem. Tak, ten pamiętny ostatni raz, kiedy wraz z nim o tę zaszczytną posadę walczył jego bliski przyjaciel. Przyjaciel, który nie zdołał go pokonać. Ten głupi, pewny siebie buc zajął drugie miejsce, a gdy był już tak blisko... tak blisko aby zostać Kucharzem, zrezygnował. Porzucił swoją rodzinę i odizolował się od całego Stowarzyszenia. Dopiero po latach, gdy był już starym dziadem, postanowił nagle powrócić i zawalczyć o tę zaszczytną posadę, a później... pewnie liczył na zdegradowanie samego Adolfo Patino z funkcji Gospodarza. O ironio! Ten pewny siebie głupiec nie przewidział, że zajmie ostatnie miejsce! Patino wyrwał się z zamyślenia i popatrzył na swoich gości.

Ze zdziwieniem dostrzegł, że właśnie rozpoczęła się trzecia runda. Gdy jest się starym człowiekiem, wspomnianie przeszłości zabiera

zdecydowanie więcej czasu niż za młodu – stwierdził ze smutkiem, po czym ponownie skupił się na Wielkiej Grze.

Erna wciąż z zainteresowaniem oglądała poczynania graczy. W życiu nie przypuszczała, że gra w kości ją tak wciągnie. Gdyby dwa dni temu Bobby powiedział jej, że stawia sto dolarów na to, że niedługo będzie pasjonowała się rozgrywką nieznanych jej wcześniej osób, z zapalem rzucających pięcioma kośćmi, z pewnością głośno by go wyśmiała i niestety, co dziś już wiadome, straciłaby studolarowy banknot.

Na wspomnienie o swoim przyjacielu poczuła ścisk w żołądku. Ogarnął ją niepokój. Ostatnia rozmowa z nim była dziwna. Gdyby nie jej wybuch złości, który doprowadził do nieodwracalnej destrukcji smartfona, kto wie... może udałoby się jej w końcu nawiązać połączenie z Bobbym. Był jedyną bliską jej osobą. Kimś, komu mogła się zwierzyć, komu mogła zaufać i do kogo mogła zadzwonić o każdej porze dnia i nocy. Tęskniła za nim. Tęskniła za nim na tyle, że aż miała omamy. Szybko dotarło do niej, że niby-postać, która przemknęła przez las, gdy zrezygnowana postanowiła zawrócić, nie mogła być jej przyjacielem. Co więcej, nie mogła być nawet człowiekiem. Było to tylko przywidzenie wywołane zmęczeniem, złym stanem psychicznym i ogromną tęsknotą za Bobbym. Dzisiejsza akcja, do której została przydzielona, miała być jej sprawdzianem. Nikt z pracy, łącznie z jej przyjacielem, nie wierzył, że znowu jest zdolna do działania. Prawdę mówiąc, ona sama szczerze w to wątpiła. Jednak to właśnie te wątpliwości sprawiły, że parę dni temu sama kopnęła się solidnie w tyłek, żeby się zmobilizować. A więc prawdopodobnie była gotowa. Prawdopodobnie akcja w CRL zakończyłaby się pomyślnie i prawdopodobnie odzyskałaby swoją pewność siebie. Jednak wszystko potoczyło się źle. Nie wykonała zadania. Jej szef z pewnością nie będzie zadowolony, a koledzy z pracy będą szeptać po kątach, że zlecenie jej czegokolwiek było błędem. Prawdę mówiąc, miała to w głębokim poważaniu. Najbardziej jednak zamartwiała się tym, że dalej tkwiła w tym rozchwianiu emocjonalnym, którego

chciała się pozbyć. Stała się zbyt słabą i zbyt wrażliwą kobietą. W jej zawodzie wykluczało to ją z jakichkolwiek działań. A wszystko przez jedno zdarzenie z niedalekiej przeszłości, które często czyhało na nią w nocy, ukryte w snach, nawet w tych na pozór miłych i spokojnych. To ją wykańczało.

Erna poczuła w gardle nieprzyjemną gulę, którą z trudem przełknęła. Bach! Dobiegło ją gdzieś z boku głośne uderzenie. To Ida przywaliła w blat skórzanym kubkiem.

Właśnie toczyła się ósma runda. Erna spróbowała odczytać leżącą na stole kartę z wynikami. Od razu rzuciła jej się w oczy górna część tabeli, z której wyraźnie wynikało, że dodatkową premię w postaci trzydziestu pięciu punktów zgarnęli już dla siebie Gaku Hara i Cindy Walker. Wszystkie te zdobyte punkty umacniały ich pozycje, zwłaszcza że przy żadnej kategorii nie mieli wpisanego marnego zera punktów. Trochę gorzej radził sobie Charles Bennett, któremu gratisowe punkty dosłownie uciekły sprzed nosa. Zdobywając w górnej części tabeli wyników łącznie sześćdziesiąt dwa punkty, musiał pogodzić się z gorzką utratą premii. Jednak i on zdaniem Erny mógł czuć się bezpiecznie. Nie cieszyło to z pewnością Cecile, która co chwila rzucała swojemu mężowi pełne pogardy spojrzenie.

Bach! Abramova właśnie wykonywała ostatni w tej kolejce rzut kośćmi.

- Dwie szóstki - Kruger odczytał wyrzucone oczka, wciąż z trudem powstrzymując się przed aktem agresji w kierunku Rosjanki. Z bólem serca przyglądał się, jak ta bezczelna idiotka obchodziła się z tak delikatnymi, świętymi przedmiotami.

- Haraszo... - wybełkotała Ida. - Szóstki.

Tym samym niepozorna i z góry skazana przez większość na klęskę Rosjanka zamknęła swoją punktację w górnej części tabeli, zgarniając przy tym (ku widocznemu zaskoczeniu wszystkich) trzydzieści pięć punktów premii. Stefan zapełnił puste pole na karcie, wciąż zaciskając zęby ze zdenerwowania. Miał cichą... nie! Miał OGIROMNĄ nadzieję, że Abramova polegnie w tej grze i zapłaci za tę całą

zniewagę. Zresztą... myślał, że to tylko formalność... Zamknął pióro, które położył przy kartce z wynikami. Jak to możliwe, że ta pusta kobieta w ósmej rundzie wysunęła się na prowadzenie?!

Nie tylko Stefan nie mógł tego zrozumieć. Sama Ida zastanawiała się, w jaki sposób tak dobrze jej szło. Zwłaszcza że do piątej kolejki zamiast pięciu kości widziała dziesięć. Na szczęście z czasem z jej głowy zdołał wyparować nadmiar alkoholu, choć nie spowodowało to, że zaczęła bardziej rozumieć tę grę. Prawdę mówiąc, rzucała i decydowała, jak jej w duszy grało, a że akurat w jej głowie rozbrzmiewał stary utwór *Rasputin* zespołu Boney M, zaczęła podejrzewać, że nawiązała z duchem uzdrowiciela jakąś więź. Kto wie? Może właśnie jej ręka i umysł wiedzione były w jakiś sposób przez wielkiego Rasputina? Parsknęła nagle śmiechem.

Ksiądz Uchto aż podskoczył, wystraszony jej niespodziewanym zachowaniem. Ida spojrzała na niego z politowaniem i przekazała w jego roztrzęsione ręce kubek wypełniony kośćmi. Mina księdza stężała. Wyglądał jak mała myszka, która znalazła się w potrzasku. Jego dłonie trzęsły się niemiłosiernie, a ukryte w kubku kości rytmicznie w nim podrygiwały. Erna wcale mu się nie dziwiła. Był chyba w najgorszej sytuacji. Spojrzała raz jeszcze na listę wyników. Tak, nie myliła się. On, a także Cecile nie radzili sobie w grze najlepiej. Jednak przed nimi było jeszcze pięć rund. Wszystko mogło się wydarzyć.

Piotr Uchto z trudem oddychał. Byli bliżej niż dalej końca gry, a jego wynik nie napawał go optymizmem. Gdzieś przy uchu słyszał upiorny, zawistny głos szatana: *Przegrasz, księżulku. Jesteś mi to winien... dziś zapłacisz za wszystko, Piotrze...* Spuścił głowę, kryjąc twarz za tłustymi jasnymi włosami. *Nie chowaj się, Piotrusiu... rzucaj... rzucaj... Nie uciekniesz od tego...* – diabeł nie odpuszczał. Uchto ze zwieszoną głową przechylił delikatnie kubek, z którego potoczyły się sześciennymi kości.

- Dwa, trzy, pięć, cztery, pięć - odczytał wyrzucone oczka Stefan. Uchto uniósł głowę i zmarszczył brwi. Może jest dla mnie jeszcze

jakaś nadzieja? – spytał w duchu, nie bardzo wiedząc, do kogo kieruje to pytanie. Odłożył na bok dwie piątki i wykonał rzut pozostałymi kośćmi. Nadeszła chwila prawdy. Uchto przyglądał się, jak trzy kostki w spowolnionym tempie toczą się po stole. Proszę... – pomyślał, wciąż nie precyzując, od kogo chciałby otrzymać pomoc. Wreszcie kości się zatrzymały.

– Sześć, sześć, sześć – wyszeptał głośno, wyręczając Krugera. Dziękuję – pomyślał, tym razem już wiedząc, od kogo otrzymał pomoc.

– Full – poinformował wszystkich, odzyskując na nowo wewnętrzny spokój.

– Gratuluję świetnego rzutu, młodzieńcze! – krzyknął w jego stronę wyraźnie uradowany Charles.

Cecile nie podzielała jego radości. Była teraz w najgorszej sytuacji. Długo nie zamierzała się zastanawiać. Po prostu zamieszała kubkiem i przyłożyła go ostrożnie rantem do blatu. Usłyszała łoskot opadających kości.

– No i co my tu mamy... – Charles rzucił okiem na wynik.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, cztery – rzekł Kruger, czekając na decyzję.

Ten wynik Cecile kompletnie nie odpowiadał. Miała już wykorzystane pola „mały strit” i „duży strit”. Mogła tylko celować w „cztery jednakowe”. „Szansę” wolała zostawić na później. Rzuciła ponownie trzema wybranymi kośćmi do gry.

– Sześć, dwa, jeden – odczytał po chwili Stefan, jednocześnie zastanawiając się, co robi ta kobieta.

Drugi rzut wcale nie ułatwił jej decyzji. Cecile, niewiele się zastanawiając, ponownie zgarnęła te same kości i wyrzuciła je na blat stolika. Charles wciąż mocno zaciskał kciuki, mając nadzieję na sromotną klęskę swojej żony.

– Cztery, cztery, dwa.

– Ożeż ty... – wybełkotał szczerze niezadowolony Bennett.

– Poproszę „cztery jednakowe” – oznajmiła Cecile, myśląc, że jednak nie wszystko było jeszcze stracone.

Adolfo Patino był pod wrażeniem sporej ilości szczęścia, które towarzyszyło tegorocznym graczom. Musiał przyznać, że ci, których obstawiał zaraz po piątej rundzie, teraz plasowali się gdzieś przy końcu tabeli. Dużym zaskoczeniem była dla niego Ida Abramova. Nie upatrywał w niej ukrytych zdolności do precyzyjnej kalkulacji. Był przekonany, że ta kobieta miała niezliczone pokłady szczęścia. Gdyby można było przeliczać szczęście na litry, to z pewnością byłoby go więcej niż alkoholu, który wypijała w swoim życiu. Jednak Gospodarz z największą uwagą przypatrywał się poczynaniom Cindy Walker. Teraz plasowała się na miejscu dalekim od ostatniego. Staruszek uśmiechnął się pod nosem. Tak, pokładał w niej wielkie nadzieje. Jeżeli panna Walker nie przegra w Wielkiej Grze (czego był prawie pewien), to w tym roku będzie mógł podzielić się z nią wielką nowiną. Będzie mógł spełnić jej marzenie, zapewniając jej funkcję Kucharza. Cindy Walker była osobą, której mógł już zaufać i dla której mógł lekko naciągnąć odgórne zasady. Ta skromna dziewczyna potrafiła mu zaimponować i zwrócić na siebie jego uwagę. Dlatego dziś ponownie zasiadła do Wielkiej Gry. Stefan Kruger też zaakceptował ten wybór. Wprawdzie Adolfo nie musiał pytać swojego Kucharza o zdanie. Ufał mu jednak i chciał jego poparcia dla swojej decyzji. Chciał, aby po jego nieuchronnej śmierci Stefan Kruger i Cindy Walker potrafili wspólnie działać i pokonywać wszelkie przeszkody. W ich rękach będzie spoczywała ogromna odpowiedzialność.

Adolfo Patino poczuł, jak jego czoło pokrywa się drobinkami potu. Trawiąca go choroba wciąż dawała o sobie znać. Wyjął drżącą ręką chusteczkę i przetarł nią spoconą twarz.

Rozpoczęła się ostatnia runda, która dla większości była tylko formalnością. Prawdę mówiąc, ostateczny bój o to, aby nie uplasować się na ostatnim miejscu, toczył się między księdzem Uchto a Cecile Bennett. Ten pierwszy był w o wiele lepszym położeniu, ponieważ do wypełnienia zostało mu tylko okienko z kategorią „szansa”. Cecile natomiast musiała liczyć na dużą dawkę szczęścia. Do zdobycia miała tylko „generała”, a jego wyrzucenie wręcz

graniczyło z cudem. Charles mniej więcej od dziesiątej rundy zanosił się raz po raz głośnym śmiechem, który miał podkreślać jego wewnętrzną radość. To denerwowało jeszcze bardziej Cecile, która nerwowo przygryzała kostki swojej pulchnej dłoni. Erna jej trochę współczuła, patrząc z żalnością na zachowanie Bennetta.

Rundę tradycyjnie rozpoczął Gaku Hara, który nie decydując się na kolejne dodatkowe rzuty, wypełnił kategorię „szansa” dwudziestoma punktami. Ida Abramova do zdobycia miała „cztery jednakowe”. Jednak i bez tego utrzymywała swoją mocną pozycję. Nawet na tę chwilę miała więcej punktów niż Japończyk. Po wykonaniu trzech nieudanych rzutów na konto Idy powędrowało zero, które mimo wszystko oficjalnie przypieczętowało jej udany debiut w Wielkiej Grze.

Książ Uchto wiedział, że nie będzie musiał zastanawiać się nad kategorią, do której będą przydzielone jego ostatnie punkty. Zdawał sobie również sprawę z tego, że zero nie groziło mu w tej kolejce. Zostawił sobie „szansę” i jedyne, czym się teraz martwił, to zbyt mała suma oczek, którą mógł uzyskać. Spojrzał na kartkę z punktacją. To go trochę uspokoiło. Cecile Bennett miała o wiele trudniejsze zadanie do wykonania. Oczywiście nie życzył nikomu przegranej. Co to, to nie. Jednak sam także nie chciał zająć ostatniego miejsca. Uspokajając się nieco wizją uplasowania się na przedostatnim miejscu, chwycił w ręce skórzany kubek wypełniony kośćmi do gry i wykonał swój rzut. Wszyscy zebrani przy stole goście wstrzymali oddech. Nawet Erna, która do końca nie była pewna, kto z tej dwójki przegra.

- Jeden, dwa, jeden, trzy, trzy - odczytał wynik siedzący na przeciwległej kanapie Kruger.

Uchto zlustrował pięć kości. Na jego czole pojawiły się wypukłe żyły, które pulsowały wraz z szybkim przepływem myśli. Książ wiedział, że nie było sensu rzucać dalej. Wprawdzie mógłby uzyskać nieco większą sumę oczek, jednak nawet przy najlepszych wiatrach trzydzieści punktów i tak nie uratowałoby go, gdyby jakimś cholernym cudem Cecile wyrzuciła „generała”. Walczył teraz nie

o najlepsze miejsce wśród graczy, ale o to, aby nie być ostatnim. Ten wynik go w zupełności satysfakcjonował.

- „Szansa”... - wydukał drżącym głosem, podając kubek swojej największej dziś rywalce. Ręce ponownie zaczęły mu drgać, a serce łomotało w jego klatce piersiowej jak szalone. Nie denerwuj się, Piotrze... - próbował uspokoić sam siebie. Przecież dobrze wiesz, że szanse na wyrzucenie pięciu jednakowych oczek przez tę grubą babę... to znaczy... przez panią Bennett... - poprawił szybko swoje złe myśli - ...są bardzo nikłe. Nic jednak nie było w stanie uspokoić jego nerwów. Przygryzł mocno dolną wargę, aby powstrzymać mimowolne drżenie żuchwy i wsunął dłonie między uda. To pozwoliło mu choć trochę ujarzmić jego atakowane drgawkami ciało. Cecile zdecydowanie lepiej panowała nad emocjami. Może pomagało jej w tym zachowanie męża, który z góry zakładał, że dziś to właśnie ona poniesie klęskę w Wielkiej Grze. Za nic nie chciała dać mu po sobie poznać, że się denerwuje. Spojrzała na Charlesa, trzymając w dłoni kubek gotowy do rzutu. Charles spoglądał na nią bezczelnie tymi swoimi kaprawymi oczkami, podśmiewując się pod nosem.

- Przegrasz, kochana Cecile - wyszeptał jej do ucha.

Dłoń trzymająca kubek przekręciła się. Kości z łoskotem opadły na stół, pędząc po nim jak szalone. Dosłownie w ostatniej chwili każda z nich zatrzymała się przed rantem białego blatu, unikając upadku na podłogę. Uchto, w przeciwieństwie do reszty gości, nie chciał patrzeć. Zacisnął mocno błękitne oczy, czekając na słowa prowadzącego. W tej samej chwili jego głowa była bombardowana wizjami sądu ostatecznego, apokalipsy i wszystkich plag egipskich, o których przeczytał w Biblii. Stefan Kruger dokładnie omiótł wzrokiem cały stół, odczytując po kolei wyrzucone oczka.

- Jeden, pięć, trzy, dwa i...- uniósł się delikatnie, aby lepiej dojrzeć ostatnią kość, która wylądowała na drugim końcu blatu - ...sześć - dokończył, ponownie opadając na miękką kanapę.

Charles klepnął dłonią w swoje kolano, zanosząc się świńskim śmiechem. Uchto otworzył oczy. Drgawki pomału opuszczały jego

ciało. Bardziej beznadziejnego rzutu nie mógł się spodziewać. Cecile natomiast siedziała nieruchomo, nie wykazując żadnych emocji.

Adolfo Patino ze zniecierpliwieniem oczekiwał jej decyzji. Zmrużył oczy i pochylił swoje chude ciało nad kawowym stolikiem. Już niedługo dowiedzą się, kto przegra w tegorocznej Wielkiej Grze. Już niedługo... Zerknął z dumą na swój złoty sygnet.

Cecile Bennett wiedziała, że znajduje się w beznadziejnej sytuacji. Co jednak miała robić? Nie mogła zrezygnować. Nie mogła powtórzyć żadnej kolejki. Tak naprawdę nie mogła nawet wierzyć, że zdoła jakoś wyjść z tej opresji. Postanowiła jednak z godnością dokończyć swoją grę. W chwilach, gdy musiała podjąć decyzję o wyborze jakichś liczb, zawsze odnosiła się do swojej daty urodzenia. Przyszła na ten nędzny świat piątego grudnia i taką też kość z wyrzuconymi pięcioma oczkami zdecydowała się odłożyć na bok. Postanowiła wykonać rzut czterema pozostałymi. W salonie zrobiło się duszno. Atmosfera stężała. Gdyby ktoś obcy w tej chwili wparował do środka, z pewnością wzięłyby zebrane przy kominku postacie za figury woskowe. Tak właśnie wyglądali teraz goście. Zastygli w bezruchu, bez oddechu i tylko po ruszających się gałkach ocznych można było rozpoznać, że to żywe istoty. Cecile zamieszała wreszcie zawartością skórzanego kubka i szybko przystawiła go do blatu.

Charles już zacierał ręce z radości. Wszystko przebiegnie tak, jak się tego spodziewał. Nigdy nie uważał, żeby jego „jeszcze żona” nadawała się do gry w kości. Umiejętność kalkulacji była czymś nieznanym dla mózgu Cecile, a i szczęście często uciekało przed jej olbrzymimi zwałami tłuszczu.

Choć nikt teraz nie odważył się tego powiedzieć głośno, wszyscy wątpili w to, aby Cecile Bennett zdołała uniknąć zajęcia ostatniego miejsca. Mały chochlik w sercu księdza Uchto już cieszył się z takiego obrotu sprawy. To przecież niemożliwe, ale to całkowicie niemożliwe, aby... – Uchto uśmiechnął się krzywo pod nosem. Dziś uda mu się wyjść cało z opresji. Niewykonalne jest przecież, aby ta biedna kobieta wyrzuciła „generała”. Zdecydowanie to...

- Niemożliwe! - wykrzyknął wyraźnie wzburzony Charles, spoglądając na dopiero co odsłonięte kości. Przybliżył do nich twarz, prawie dotykając czubkiem nosa ich powierzchni. A jednak wzrok go nie mylił. - To niemożliwe! - krzyknął raz jeszcze, rzucając swoim cielskiem o obicie kanapy.

Adolfo Patino wymienił ze Stefanem Krugerem szybkie spojrzenia, z których wynikało jedno i to samo: ogromne zaskoczenie.

- Ja... ja... ja... - zaczął dukać przerażony Uchto. Chochlik okazał się złym doradcą.

- A to dobre... - skwitowała jednym zdaniem Abramova, śmiejąc się z reakcji wyraźnie zawiedzionego grubego Bennetta. Obok niej ksiądz Uchto wciąż mamrotał coś pod nosem, zacinając się jak stara, zdezelowana płyta winylowa.

- Proszę o wybór kategorii - zwrócił się w stronę Cecile Stefan, choć wiedział, że to tylko formalność. Decyzja była oczywista.

- Och... - Cecile zamilkła. Spojrzała przed siebie. Na kanapie kuliła się postać przerażonego księdza, który bujał się zamasyście do tyłu i do przodu jak dziecko z chorobą sierocą. Wciąż bełkotał pod nosem jakieś niezrozumiałe wyrazy. Prawdopodobnie w swoim ojczystym języku. Cecile zrobiło się go przez chwilę ogromnie żal. Chwila ta jednak szybko minęła, zastąpiona ogromną radością. Gdy Stefan Kruger oficjalnie ogłosił, że udało jej się wyrzucić cztery cudowne piątki, nie mogła podjąć innej decyzji.

- GENERAL! - wykrzyknęła, klaszcząc kilkukrotnie w pulchne dłonie. Na jej konto powędrowało pięćdziesiąt punktów, chroniąc ją tym samym od przegranej. Cecile zajęła przedostatnie miejsce.

- Co się tak cieszysz, ty... ty... - warknął oskarżycielsko w jej stronę purpurowy na twarzy Charles, chwytając za kubek z kośćmi.

- Proszę zachować spokój - upomniał go Kruger.

- No tak, tak... - wymamrotał Bennett, kręcąc z niedowierzaniem głową. Po chwili wykonał swój ostatni rzut, który przyniósł mu dwadzieścia dwa punkty w kategorii „szansa”.

- Aniele Boży, stróżu mój... - zaczął mamrotać ksiądz Uchto w niezrozumiałym dla gości języku. Po chwili złożył swoje szczupłe dłonie i padł na kolana. Erna przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Co on? - spytała zdziwiona Rosjanka, spoglądając na klęczącego tuż przy jej stopach księdza.

- Chyba się modli... - wtrąciła Cecile, próbując zrozumieć jego słowa. Gaku Hara spojrział z politowaniem na klęczącego księdza. Już dawno nie widział takiego pokazu ludzkiej żalości.

Cindy Walker, nie zważając na nic, wykonała swój ostatni rzut w Wielkiej Grze, którym zdobyła piętnaście punktów w ostatniej wolnej kategorii. Ksiądz Uchto zaczął wyc niczym zranione dzikie zwierzę.

- Może powinniśmy mu jakoś pomóc... - zaproponowała Erna, patrząc na księdza z coraz większym niepokojem. Jego zachowanie było całkowicie nieadekwatne do sytuacji.

- Nie, nie, słodziutka - odparł Adolfo. - Nasz drogi ksiądz Uchto zaraz dojdzie do siebie. Po prostu ludzie czasem nie potrafią przyjąć porażki. Prawda, mój drogi Piotrze? - Adolfo spojrział na księdza. Wreszcie Uchto podniósł głowę. Erna na widok jego twarzy lekko się wzdrygnęła. Z jego przekrwionych oczu, w których na próżno było szukać jakichkolwiek odcieni błękitu, spływały potoki łez, a usta wykrzywiły się w przerażającym grymasie. Patino spoglądał na niego wyczekująco. Uchto, zanosząc się szlochem, zaprzestał modlitwy.

- T... taaa... k... - wyjąkał w końcu, dławiąc się własną śliną. Wyglądał jak jedno wielkie nieszczęście.

- Mój drogi - rzekł znowu Patino. - Z pewnością znasz *Przypowieść o robotnikach w winnicy*.

- T... taak, Ewangelia wg św. Mateusza dwadzieścia, jeden-szesnaście... - wyrecytował z pamięci Uchto.

- A więc przybyłeś do mojego raj. Przystąpiłeś do Wielkiej Gry, znając zasady, a teraz nie możesz pogodzić się z ostatnim miejscem? - spytał Adolfo, nie odrywając wzroku od księdza.

Uchto na chwilę znieruchomiał. Przestał mamrotać niezrozumiałe słowa. Przestał szlochać, choć z trudem przełykał zbierającą się zbyt szybko ślinę. W końcu wyprostował plecy, wciąż niezdarnie klęcząc na zimnej podłodze.

- Ja... - zaczął, lecz po chwili zamilkł.

- Drogi Piotrze - odezwał się Patino. - Pamiętaj, że *...ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi*¹ - zarecytował z pamięci.

Erna z zainteresowaniem przyglądała się tej dziwnej wymianie zdań. Zauważyła, że Adolfo jakimś cudem zdołał zapanować nad roztrzęsionym księdzem Uchto, który właśnie gramolił się z kolan, posłusznie siadając na kanapie. Zastanawiała się, jakie dokładnie „zasady” miał na myśli Gospodarz. Zapewne chodziło po prostu o zasady gry w kości. Piotr Uchto przyliział na bok swoje wilgotne włosy i utkwiał nieobecny wzrok w przygasającym już kominku.

- Moi kochani - zaczął Gospodarz. Wszyscy, prócz księdza, zwrócili się w jego stronę. Patino na początku chciał wstać. Uważał bowiem, że wygłaszając tak ważne słowa, nie powinien siedzieć. Jednak po próbie podniesienia się z fotela doszedł do wniosku, że nie ustoi zbyt długo.

- Tegoroczna Wielka Gra dobiegła końca - ogłosił uroczystym tonem.

Cecile oraz Cindy uśmiechnęły się do siebie. Gaku Hara jak zwykle nie okazywał żadnych emocji swoją pozbawioną mimiki twarzą. Natomiast Charles...

- Phi... - zdołał tylko pogardliwie prychnąć, wciąż nie mogąc uwierzyć w ogrom szczęścia, który spłynął dzisiaj wieczoru na jego żonę.

Adolfo kontynuował:

- Pragnę podziękować naszemu wspaniałemu Kucharzowi, który jak zwykle bezbłędnie przeprowadził całą grę. - Skinął z uznaniem głową w kierunku puszącego się z dumy Stefana Krugera. - Jednocześnie niezmiernie miło mi ogłosić tegoroczne wyniki Wielkiej Gry - to mówiąc, pochwycił ze stolika białą kartę, na której wypisane

były wszystkie zdobyte punkty. - Pierwsze miejsce zajęła pani Ida Abramova. - Patino spojrział w jej kierunku z uznaniem. Rosjanka wciąż zastanawiała się, jakim cudem udało jej się to osiągnąć. - Drugie miejsce, i tu miła niespodzianka, zajęli razem panna Cindy Walker i pan Gaku Hara.

Cindy uśmiechnęła się w stronę Japończyka, jednak ten, jak to miał w swoim zwyczaju, nie odwzajemnił jej się tym samym. Zamiast tego skinął lekko głową, tak minimalnie, że Cindy ledwie dostrzegła ten „ogromny” gest uprzejmości. Szczerze mówiąc, mało ją to obchodziło. Właśnie dokonała czegoś, co zbliżyło ją do objęcia upragnionej funkcji. Nie mogła doczekać się dnia, kiedy będzie mogła porzucić rozklekotanego food trucka na rzecz piastowania tego niesamowicie ważnego stanowiska.

- Trzecie miejsce zdobył pan Charles Bennett - kontynuował Adolfo. - Przedostatnia pozycja przypadła w udziale Cecile.

Siedzące obok siebie małżeństwo obrzuciło się pogardliwymi spojrzzeniami, choć w tym pojedynku triumfowała Cecile, o czym Charles, ku swojej rozpacz, dobrze wiedział. Tym bardziej nie mógł tego przeżyć. Już samo siedzenie tak blisko znieawidzonej żony przyprawiało go o wrzody na żołądku.

- Ostatnie miejsce w Wielkiej Grze zajął nasz drogi ksiądz, Piotr Uchto. - Patino skupił wzrok na siedzącej tuż przy kominku przygarbionej postaci. Musiał przyznać, że Uchto bardzo przejął się swoją przegraną. Nie spodziewał się po nim takiego wybuchu emocji. Ale przecież, tak jak inni goście, wiedział doskonale, jakie są zasady gry i jaka jest stawka. Był dorosły i w końcu musiał zacząć ponosić odpowiedzialność za swoje czyny.

Piotr nawet nie zerknął w ich stronę. Wciąż jak zahipnotyzowany wpatrywał się w dogasające już kawałki drewna.

- Oczywiście nie mógłbym zapomnieć o naszym gościu, który dziś godnie odgrywał rolę obserwatora! - rzekł niespodziewanie Adolfo, wskazując chudą dłonią na siedzącą tuż przy nim ciemnooką kobietę.

Erna uśmiechnęła się w jego kierunku. Na dziś miała już chyba dość wrażeń. Znowu poczuła, jak dopada ją zmęczenie. Obserwowanie gry w kości nie okazało się jednak czymś mało ciekawym. Wręcz przeciwnie! O dziwo nieźle się w to wkręciła. Musiała jednak przyznać sama przed sobą, że jej typy niezbyt zgadzały się z rzeczywistością: według jej listy wygrać miała Cindy Walker, a niechlubną porażkę ponieść (przepraszam panią) Cecile lub też biuściasta Rosjanka, która, ku zdziwieniu wszystkich, zajęła pierwsze miejsce! (jak to możliwe...). Teraz jednak, gdy gra dobiegła końca, jedyne, czego chciała, to położyć się w ciepłym łóżeczku i iść spać.

- Myślę, że na dziś już wystarczy - odezwał się nagle Patino, jakby czytał w jej myślach. - Moja droga... - zwrócił się do Erny. - Pozwól, że Cindy zaprowadzi cię do twojego pokoju. Jutro po śniadaniu Stefan zobaczy, co stało się z twoim samochodem.

- Ach, nie, nie trzeba - odpowiedziała Erna. - Wyruszę sama, jeszcze przed śniadaniem. Na pewno uda mi się złapać jakąś pomoc.

- W żadnym wypadku - uciął krótko Adolfo. - Nie wypuszczę cię, słodziutka, bez śniadania. Zjesz z nami poranny posiłek, a po wszystkim mój Stefan - spojrzał na przysłuchującego się ich rozmowie Krugera - sprawdzi twój samochód. W razie potrzeby bez problemu złapie dla ciebie okazję. - Staruszek wyszczerzył w uśmiechu swoje perłowe, sztuczne zęby.

Ernie nie podobała się ta wizja jutrzejszego dnia. Nie miała czasu. Nie mogła zwlekać tak długo, wcinając ze spokojem poranny tost. Jednak czy mogła odmówić temu przemilemu staruszkowi?

- No dobrze - powiedziała w końcu. - Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- Ależ nie ma za co - odparł Adolfo, dodając: - W takim razie życzę spokojnej nocy.

- Wzajemnie - odparła Erna. Po chwili wstała z kanapy. Zarzuciła swój niebieski plecak na ramię i ruszyła śladem Cindy w stronę dwuskrzydłowych drzwi.

- Ach! - usłyszała jeszcze za plecami głos Gospodarza. Przystanąła i odwróciła się w jego kierunku.

- Byłbym zapomniał! Stary sklerotyk ze mnie! - zganiał sam siebie.
- Śniadanie jest o dziewiątej, słodziutka.

Erna skinęła głową i chwilę później wyszła z salonu.

W drodze na szczyt schodów Erna mimowolnie zwolniła, przyglądając się starym obrazom, które zdobiły ścianę. Większość z nich znała i choć nie należała do wielkich znawców sztuki, wiedziała, że ich oryginalne odpowiedniki spoczywały bezpieczne w muzeach i galeriach. Nagle przystanąła w połowie schodów. Jej lewa noga zawisała w powietrzu nad kolejnym schodkiem, po czym się cofnęła.

Tuż obok niej ścianę zdobił duży obraz olejny. Erna spoglądała na niego z rosnącym zaciekawieniem. Na płótnie, w centralnej części obrazu, przedstawione były trzy ludzkie twarze. Jedną, umiejscowioną pośrodku, prawdopodobnie rozpoznała. Wyglądała dokładnie tak, jak postać z popiersia z salonu, które podpisane było imieniem znanego renesansowego malarza - Tycjana. Dotarło do niej, że prawdopodobnie to on był autorem tego dzieła, które ktoś sprawnie skopiował. Zbadała wzrokiem dwie pozostałe twarze przedstawione na malowidle. Te, w przeciwieństwie do twarzy Tycjana, przedstawione były z profilu. Jedna skierowana w lewą stronę, a druga w prawą. Tych postaci jednak nie kojarzyła i była pewna, że żadna z nich nie znajdowała się wśród salonowych popiersi. Pod ludzkimi głowami, w podobnym ustawieniu, namalowane zostały trzy zwierzęce łby, w kolejności: wilk, lew i pies. Erna zbliżyła twarz do obrazu. Poczula na rękach gęsią skórę. Co ją spowodowało? - spytała samą siebie, nie odrywając wzroku od malowidła. Obraz miał w sobie coś przerażającego, a zarazem przygnębiającego. Biła od niego aura tajemniczości.

Dopiero teraz Erna dostrzegła napis w górnej jego części, który mieścił się tuż nad trzema ludzkimi głowami. Wyrazy, wygięte w łuk, tworzyły zdanie w języku łacińskim. Erna z łatwością rozpoznała ten

język. Skrawki wiedzy z niedokończonych studiów medycznych ponownie na coś się zdały. Jednak gorzej było z tłumaczeniem. Erna kompletnie nie miała pojęcia, co mogło oznaczać zapisane na obrazie zdanie.

- *Ex praeterito... praesens prudenter agit... ni futura actione deturbet* - odczytała na głos słabo widoczne litery.

- Słucham? - To głos Cindy dobiegł ją gdzieś ze szczytu schodów. Wyrwana z zamyślenia Erna odwróciła gwałtownie głowę od obrazu i spojrzała w górę.

- Nie... nic - odpowiedziała, zakłopotana

- Chyba bardzo spodobał ci się ten obraz - zauważyła Cindy, gdy obie w końcu doszły do głównego holu mieszczącego się na pierwszym piętrze. Po chwili Walker skręciła w lewe skrzydło, a Erna posłusznie za nią podążyła.

- Ma coś w sobie - odpowiedziała krótko Erna, przyglądając się drzwiom po obu stronach korytarza. Wreszcie dotarły do przedostatnich drzwi na prawo, przy których Cindy przystanąła.

- *Alegoria roztropności* - oświadczyła Walker.

Erna zmarszczyła brwi.

- To tytuł tego obrazu - wyjaśniła po chwili Cindy, widząc niezrozumienie malujące się na twarzy Erny. - Choć ja osobiście wolę nazwę *Alegoria Mądrości* - dodała. - Jakoś bardziej do mnie przemawia.

- Aha - odparła Erna, przyglądając się jak Walker otwiera ciemnobrązowe skrzydło dużym kluczem. - Całkiem niezła reprodukcja.

- Reprodukcja? - zaśmiała się Cindy, przekręcając klucz w zamku. - Przecież to oryginał - stwierdziła z przekonaniem, otwierając drzwi do środka.

Po chwili namysłu, stwierdzając, że Cindy z pewnością się z niej bezczelnie nabijała, Erna zrobiła kilka kroków do przodu. Weszła do małego dusznego pokoju, słabo oświetlonego sztucznym światłem. Od razu poczuła nachalny odór stęchlizny. Niestety była bardzo

wyczulona na nieprzyjemne zapachy. Podeszła szybko do okna znajdującego się naprzeciw wejścia i otworzyła szeroko jego prawe skrzydło. Do pomieszczenia wdarł się ze świstem zimny wiatr, który szarpnął drzwiami, zamykając je z donośnym trzaskiem. Cindy podskoczyła przestraszona niespodzianym hukiem.

- Ups. - Erna uniosła ramiona do góry i zaśmiała się niezręcznie. - Przepraszam - dodała po chwili, zamierzając zamknąć okno.

- Zostaw - odpowiedziała Cindy. - Sama musiałam wietrzyć swój pokój prawie trzy godziny, zanim pozbyłam się tego okropnego zapachu starości - przyznała, siadając na brzegu ogromnego łóżka.

Erna rozejrzała się po małym pomieszczeniu. Wszystkie ściany były pomalowane do połowy bordową farbą, której zakończenie zdobiła biała listwa. Z sufitu po środku zwisał mały kryształowy żyrandol. W pokoju prócz ogromnego łóża z rzeźbionym drewnianym oparciem i małej szafki nocnej, na której stała porcelanowa lampka z kremowym kloszem, było jeszcze kilka ciekawych elementów. Ogromne, sięgające od podłogi do sufitu lustro znajdujące się na przeciwległej ścianie od łóżka, które stało przy starej dwudrzwiowej szafie, i tajemnicze drzwi, które Erna ujrzała dopiero teraz w lustrzanym odbiciu. Odwróciła głowę i spojrzała w ich kierunku.

- To drzwi do łazienki - zaspokoila jej ciekawość Cindy, widząc, jak bacznie się im przygląda.

Erna była zmęczona. Podeszła do łóżka i zrzuciwszy ciężki plecak z ramienia, usiadła obok Cindy. Przez chwilę obie milczały. W pokoju słychać było tylko raz po raz uderzające o futrynę otwarte skrzydło okna, silnie smagane powiewami mroźnego wiatru.

- Gratuluję dobrego wyniku w grze - odezwała się w końcu Erna. Zsunęła z obolałych stóp sportowe buty i wgramoliła się całym ciałem na łóżko. Oparła poduszkę o oparcie i usiadła, przywierając do niej plecami.

- Dziękuję - odpowiedziała Cindy. - Chociaż wolałabym zająć pierwsze miejsce - dodała smętnie, czując w sercu lekkie ukłucie zawodu.

- No tak. - Erna powróciła myślami do reakcji księdza Uchto po zakończonej grze. Do teraz nie mogła pojąć, jak dorosła osoba mogła tak histerycznie zareagować na przegraną. I ten jego przerażający wyraz twarzy... - Nie uważasz, że ten ksiądz za bardzo przejął się swoją porażką? - spytała po chwili, wciąż mając przed oczami ujadającego z rozpaczy dorosłego mężczyznę.

- Och, to było głupie z jego strony - stwierdziła Cindy bez chwili zastanowienia. W jej głosie wyraźnie słychać było pogardę.

- Graliście o coś? - Erna zaczęła podejrzewać, że może gra toczyła się o jakąś dużą sumę pieniędzy. To w jakiś sposób tłumaczyłoby zachowanie księdza. Chociaż w minimalnym stopniu.

Cindy wydawała się nieco zdezorientowana.

- Nie... - odpowiedziała niepewnie, po czym zaraz zmieniła zdanie.

- To znaczy... tak - przyznała, wbijając wzrok w kremową pościel.

- O co? - Erna chciała wiedzieć.

- O honor - uściśliła Cindy. Po chwili podciągnęła nogi na łóżko i splatając je, usiadła naprzeciwko Erny. Utkwiła w niej swoje duże zielone oczy. - Skąd masz tego guza? - spytała nagle, zmieniając temat.

- To? - Erna wskazała palcem na wypukłe, posiniałe miejsce na swoim czole. Cindy skinęła głową.

- Efekt małego wypadku, przez który się tu znalazłam - odpowiedziała wymijająco, nie chcąc drążyć dalej tej historii.

- To dziwne... - odparła Walker, odrywając wzrok od jej czoła.

- Co takiego? - spytała Erna

- To, że trafiłaś w to miejsce - wyjaśniła, wciąż świdrując ją spojrzeniem. - Może to nie przypadek? - dodała.

- Faktycznie, to nie przypadek. - przyznała jej Erna. - To cholerny pech - dokończyła ironicznie.

Cindy zaśmiała się. Poprawiła ręką swoją sukienkę, która teraz ledwo zasłaniała jej uda.

- A więc pracujesz dla NFY.com?

Do Erny dotarło właśnie, że ta młoda dziewczyna nie zamierzała w najbliższym czasie opuścić jej pokoju. O dziwo, choć co chwilę uderzało w nią ogromne zmęczenie, nie miała nic przeciwko temu. Sama czuła nieodpartą chęć lepszego poznania tej zagadkowej osoby. Zanosiło się jednak na to, że to Cindy w pierwszej kolejności będzie próbowała dowiedzieć się o niej wielu informacji.

Na każde kolejne pytanie o pracę Erna Brown starała się odpowiadać w sposób niebudzący żadnych dodatkowych wątpliwości. Walker wypytywała o wiele szczegółów. W końcu wyszła także na jaw sprawa z jej nieukończonymi studiami medycznymi.

- Nie czułaś się w tym dobra? - zapytała zaciekawiona tematem Cindy.

- Można tak powiedzieć - odpowiedziała posępnie Erna.

- To dlatego nie miałaś problemu z prawidłowym odczytaniem napisu na obrazie Tycjana.

Na kopii obrazu Tycjana - poprawiła ją w myślach Erna.

- Wiesz, co oznacza to zdanie?

- Niestety nie - Erna Brown ze smutkiem przyznała się do swojej niewiedzy.

- *Ex praeterito... praesens prudenter agit... ni futura actione deturbet* - wyrecytowała z pamięci Cindy, po czym dodała: - „Z przeszłych doświadczeń, terażniejszość postępuje roztropnie, aby nie szkodzić w przyszłych działaniach”.

Nagle uchylone skrzydło okna szeroko się roztwarło, po czym z impetem uderzyło w drewnianą ościeżnicę. Erna spojrzała w jego kierunku. Dostrzegła, jak drzewa za oknem wyginały się pod naporem silnego wiatru. Światło w pokoju kilkukrotnie zamrugało, aż w końcu na dobre zgasło, o czym poinformowała strzelająca żarówka. Bazując na swojej pamięci wzrokowej, Erna odchyliła się w prawo, próbując wymacać dłonią nocną lampkę.

- Au... - syknęła z bólu, gdy przez przypadek uderzyła nadgarstkiem w ostry rant szafki nocnej.

- Coś się stało? - spytała zaniepokojona Cindy. Mrużąc oczy, bezskutecznie próbowała dojrzeć coś w ciemności.

- Nie - uspokoiła ją Erna. - Jeszcze chwila i...

Pstryk. Pokój oświetliła słaba poświata wydobywająca się z kremowego (choć w wielu miejscach pożółkłego ze starości) klosza porcelanowej lampki.

- Hm, dziwne. - Cindy spojrzała na kryształowy żyrandol. - Żarówka... musiała się przepalić.

- Skąd znasz łacinę? - wtrąciła Erna.

- Nie znam - odrzekła Cindy, wzruszając ramionami. - Po prostu znam dobrze ten obraz i wszystko, co... - zawahała się przez chwilę - ...i wszystko, co z nim związane - dokończyła, odgarniając z twarzy opadający niesfornie kosmyk jasnych włosów.

W tym słabym świetle jej uroda wydawała się jeszcze bardziej oryginalna i pociągająca. Erna przyglądała się jej badawczo, odkrywając kolejne niepospolite walory jej ciała. Jak na osobę obdarzoną tak jasną karnacją i włosami, miała bardzo ciemne, gęste brwi i długie rzęsy. Według niej Cindy daleko odbiegała od standardowych kanonów piękna. Jej wygląd był oryginalny, dlatego też Cindy z pewnością nadawałaby się na modelkę światowych wybiegów.

Walker również co jakiś czas zerknęła na siedzącą przed nią Ernę, pozwalając sobie na szybką analizę jej postaci. Co prawda nigdy nie narzekała na swoje odbicie w lustrze, jednak od dziecka pragnęła być posiadaczką takich pięknych, dużych, brązowych oczu. Według Cindy Erna była piękną kobietą, jednak nie to w niej było najciekawsze. Walker spojrzała jej teraz głęboko w oczy. Zieleń i brąz połączyły się na dłuższą chwilę, a w głowie Cindy pojawiło się jedno wyraźne podsumowanie - to bardzo silna i odważna kobieta.

Erna poczuła się lekko zakłopotana, choć zazwyczaj to inni ludzie nie wytrzymywali jej stalowego spojrzenia i odwracali w popłochu głowy. Tym razem jednak ta niesamowita zieleń bijąca od tej drobnej

kobiety była nad wyraz onieśmiałająca. Z impetem wwiercała się w jej głowę, mącąc w jej napływających myślach.

- A ty? - spytała, odrywając wzrok od Cindy i kierując swoje spojrzenie na boki, byle nie w jej stronę. - Czym się zajmujesz?

- Jestem właścicielką food trucka - odparła z dumą w głosie Walker. Jednak nie z posiadania tego typu samochodu była dumna. Kompletnie nie przykładała wagi do rzeczy materialnych. Jej duma wynikała z rozkręcenia dobrze prosperującego biznesu, który spowodował, że dzisiejszego dnia była tu. W hotelu Hommanger. Coraz bliżej swojego upragnionego celu.

Erna zrobiła zaskoczoną minę. W życiu nie odgadłaby, że ta drobna młoda dziewczyna mogła prowadzić taką działalność.

- O, to ciekawe - odrzekła, zachęcając Cindy do opowiedzenia jej czegoś na temat swojej firmy. Nie musiała długo czekać. Walker rozpoczęła długi monolog, w którym dokładnie opisywała wszelkie plusy i minusy swojej pracy. Po kwadransie wciąż nie było widać końca jej przemowy.

- Na początku nie było łatwo - ciągnęła, żywo gestykulując. Widać było po niej, że jest całkowicie oddana swojej działalności. - Te wszystkie głupie przepisy, które trzeba spełnić. Jakiś koszmar. Do tego wszechobecna konkurencja. Mcdonaldy, burger kingi, KFC, a w tym wszystkim miałam odnieść sukces ja! Wyobraź sobie, że...

Cindy rozgadała się na dobre, a Erna przyswajała wszystkie informacje płynące z jej ust. Po upływie następnych kilku minut, gdy monolog Cindy wciąż trwał i nie zanosilo się na to, aby szybko miał się zakończyć, Erna poczuła dotkliwy ból w okolicy karku.

- Zrobiło się trochę zimno, nie uważasz? - zauważyła nagle Cindy Walker, przerywając na chwilę swoją opowieść. Pocierała dłońmi swoje skostniałe ramiona.

- Nie możemy jeszcze zamknąć okna - powiedziała Erna, patrząc na nią błagalnym wzrokiem. W powietrzu wciąż był wyczuwalny lekki odór stęchlizny.

Cindy przytaknęła kiwnięciem głowy, po czym przeniosła się tuż obok Erny, chowając swoje szczupłe ciało pod ciepłą, kremową kołdrę.

- Dobrze rozwiązanie - pochwaliła ją Erna.

- Spokojnie. Potrafię się dzielić - zażartowała Walker, oddając połowę kremowej pierzyny sąsiadce.

Erna była jej niezmiernie wdzięczna. Uśmiechnęła się, jednak zaraz na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

- Przepraszam, ale muszę się położyć - wymamrotała, kładąc głowę na poduszce. Dopiero teraz poczuła, jak dotkliwy ból pomału zaczął ustępować.

Cindy spojrzała na nią zatroskana.

- Może lepiej będzie jak już pójdę...

- Nie! - Erna zdecydowanie zaprotestowała. Chciała dalej słuchać historii tej interesującej dziewczyny. Chciała dowiedzieć się tego, jak zdołała stworzyć z niczego tak dobrze prosperujący biznes. Chciała zająć myśli czymkolwiek, byle nie dopadły jej złowrogie wspomnienia z przeszłości.

Cindy zawahała się.

- No dobrze - powiedziała w końcu, a Erna dostrzegła w jej oczach iskierkę radości. - Ale ty leż i odpoczywaj. Ja będę mówić - oznajmiła, puszczając do niej oczko. Erna nie miała nic przeciwko temu. - No więc na czym to ja skończyłam... - zaczęła zastanawiać się Cindy Walker.

Erna domyśliła się, że w ten sposób próbowała sprawdzić, czy faktycznie z uwagą słuchała jej historii.

- Na tym, że specjalizujesz się w daniach mięsnych - odpowiedziała, a Walker uśmiechnęła się pod nosem.

- No tak - przyznała, powracając z zapalem do swojego monologu. - A więc swój food truck oparłam na mięsnych daniach...

Co jakiś czas słowa Cindy przerywało lekkie, rytmiczne uderzanie okna o futrynę. W pokoju zapanował chłód, jednak pod kremową kołdrą nie było tego czuć. Erna z podziwem przysłuchiwała się

niedawno poznanej dziewczynie. Dowiedziała się kilku zaskakujących rzeczy. Obie pochodziły z domu dziecka. Obie zawsze były zdane na siebie i obie z pewnością miały silne charaktery.

Erna, słuchając jej, spoglądała ukradkiem na drzewa, które były widoczne przez niezastłonięte okno. Gałęzie wciąż wyginały się w różne strony, szeleszcząc na wpeł uschniętymi liśćmi. Ich szum coraz bardziej przedostawał się przez otwarte okno, atakując jej uszy. Nie chciała tego. Chciała słyszeć tylko delikatny, melodyjny głos Cindy Walker, a nie ten odrażający, coraz głośniejszy szelest. Spojrzała na siedzącą tuż obok dziewczynę. Na jej twarz. Na jej ruszające się usta. Nie słyszała już jej słów. Tylko odgłos jesiennych liści. Coraz mocniejszy i coraz bardziej natarczywy. Wdzierający się do jej mózgu. Jęknęła z bólu. Czuła, że zaraz coś rozsadzi jej głowę. Przyłożyła dłonie do uszu i mocno je przycisnęła. Zamknęła oczy. Nie pomogło. Wciąż szeleściło. Ciągłe szelest. Tylko szelest.

Ocknęła się, unosząc gwałtownie głowę.

- Auu... - zawyła, czując pulsujący ból. Rozejrzała się nieprzytomnie wokoło. - Co u licha... - wymamrotała, spoglądając z niedowierzaniem na eleganckie wnętrze beżowego volvo.

Leżała wciśnięta między przednie siedzenie a kierownicę. Jej czoło pulsowało. Wymacała je dłonią. Wielki, bolący guz. Nic nowego. W volvo świeciła się samochodowa lampka rozjaśniająca lekko jego wnętrze. Uniosła swoje obolałe ciało na siedzenie. Wyjrzała przez boczne okno. Na zewnątrz panował mrok.

Nagle do środka samochodu wdarło się przerażające wycie. Nieludzkie, głośnie ujadanie. Jej serce stanęło na chwilę. Zaczęła gwałtownie rozglądać się wokoło, chcąc (choć bardziej nie chcąc) zlokalizować źródło koszmarnego dźwięku. Jest! Wypuściła z ulgą powietrze. Spojrzała na niedomkniętą boczną szybę w samochodzie. Odetchnęła głęboko. To tylko wiatr. Tylko wiatr, który wkrada się przez szczelinę. Zaczęła uspokajać samą siebie, nie wiedząc, co się tak naprawdę stało. Czy miała wypadek? Czy to wszystko jej się śniło? Czy hotel Hommanger istnieje?

Na bezchmurnym niebie zaczęły pojawiać się pierwsze gwiazdy. Nie było słycać żadnego nadjeżdżającego samochodu. Ani z przodu, Erna wyjrzała przez szybę, ani z tyłu - po czym przeniosła wzrok na boczne lusterko volvo.

W tej samej chwili krzyknęła. Z przerażeniem wpatrywała się w odbity w lusterku obrazek. Coś stało w oddali za jej samochodem. Na środku drogi. Duża, ciemna, bezkształtna postać, która była ledwo widoczna na czarnym asfalcie. Nie miała twarzy. Erna nie widziała rąk ani nóg. Jednak to coś tam było. Ciemna, mroczna zjawa. Wiatr wciąż ujadał we wnętrzu volvo. Erna zmusiła się, aby raz jeszcze spojrzeć w lusterko. Znowu oddychała szybko. Z jej ust wydobywała się gęsta para. Była tam. Wciąż tam była! Bezkształtna zjawa czaiła się w mroku. Nagle ruszyła. Sunęła do przodu, wprost na beżowy samochód, dosłownie unosząc się w powietrzu. Najpierw powoli. Jakby szykowała się do ataku. Erna przestała oddychać. Serce podeszło jej do gardła. Szeroko rozwartymi oczami obserwowała, jak postać sunie ku niej i nie zamierza się zatrzymać.

Przyśpieszyła! - krzyknęła w duchu Erna, patrząc, jak zjawa rusza z impetem przed siebie. Była coraz bliżej. Wycie wiatru się wzmogło. Ten dźwięk rozrywał jej głowę. Erna rzuciła się w stronę samochodowego schowka. Chciała znaleźć coś do obrony. Coś, czym mogłaby odgonić zjawę. Czym odgania się potwory?! - próbowała znaleźć odpowiedź na to irracjonalne pytanie. Stwór był coraz bliżej. Czują go. Słyszała jego głośne, chrobotliwe sapanie. Spanikowana, wyrzucała zawartość schowka z nadzieją na odnalezienie jakiegoś talizmanu. Czy cokolwiek mogłoby ją ochronić przed TYM CZYMŚ?! Wiatr wzmógł swoją siłę, napędzając mroczną zjawę. Volvo zaczęło się niebezpiecznie kołysać. Erna ponownie usiadła na miejscu kierowcy. Chwyliła za kierownicę. Z trudem mogła utrzymać się w pozycji siedzącej. Wiatr miotał dużym samochodem jak zabawką.

Zjawa zbliżała się nieuchronnie. Erna zebrała się w sobie i spojrzała raz jeszcze w boczne lusterko. Stwór właśnie minął tył samochodu. Długi, przesywający jęk opanował całą okolicę.

- Odejdź! - wrzasnęła przerażona Erna, zasłaniając trzęsącymi się rękoma oczy. Samochód także się trząsał. Trząsał się jak świnka skarbonka, z której dziecko usilnie próbuje wyciągnąć monetę bez jej rozbijania.

Zjawa wtargnęła do środka, wydając z siebie przerażające tchnienie i... wszystko ucichło. Volvo znów stało bez ruchu na swoich czterech oponach. Nawet wiatr przestał ujadać, teraz delikatnie wdzierając się przez uchyloną szybę. Erna Brown nie miała zamiaru patrzeć. Nie miała zamiaru się poruszyć. Nie wierzyła w ten spokój. Coś było nie tak. Siedziała bez ruchu, nie mogąc zdecydować się na jakiś sensowny krok.

- Erna, Erna... - dobiegł ją znajomy głos gdzieś spoza samochodu. To pewnie omamy - pomyślała, jednak zaczęła nasłuchiwać.

- Hej, mała... tu jestem... - usłyszała ponownie.

- Bobby?! - krzyknęła, otwierając oczy i rozglądając się dookoła. - Bobby, to ty?! - powtórzyła. Tym razem nie mogła się przesłyszeć.

- Przepraszam, Erna, przepraszam...

To z pewnością był głos jej przyjaciela. Zaczęła gorączkowo wypatrywać go przez wszystkie szyby w samochodzie.

- Gdzie jesteś, Bob?! - wrzasnęła głośno, nigdzie go nie dostrzegając.

- Ja... tylko... musisz zobaczyć...

Erna podążyła w kierunku tych słów, które zaprowadziły ją wprost na środek drogi, a dokładnie w okolice ostrego zakrętu, przed którym się znajdowała. Stał tam! Duży, postawny mężczyzna odziany w jeansowe jasne ogrodniczki, które Erna nawet w tym mroku bezbłędnie rozpoznała. Szybko i bez zastanowienia wyskoczyła z samochodu, biegnąc w jego kierunku.

- Bobby! - krzyknęła, zanosząc się płaczem. - Bobby!

Jednak mężczyzna nie czekał na nią. Odwrócił się i ruszył biegiem przed siebie.

- Chodź za mną... zobaczysz... - słyszała przed sobą, próbując dogonić przyjaciela.

- Bob! - wołała, szlochając. - Bob, poczekaj!

Jednak Bobby wciąż biegł i nie zamierzał się zatrzymać. Wpadł teraz w gęstwinę lasu, znikając za drzewami. Erna co chwilę przecierała oczy ręką. Łzy skutecznie ograniczały jej widoczność. Zatrzymała się na środku ulicy.

- Kurwa! - krzyknęła zła na siebie. Zgubiłaś go! Zgubiłaś!

- Tu, Erna, tu... - usłyszała nagle i gdzieś przed nią, między drzewami, dostrzegła sylwetkę przyjaciela.

Wskoczyła w las, z ufnością biegnąc za jego słowami. Raz za razem potykała się o wystające korzenie, cudem unikając upadku. Otaczały ją same drzewa i ciemność. Za plecami dobiegł ją znajomy już odgłos przeraźliwego sapania. Nie odważyła się odwrócić. Przyspieszyła, podążając za sylwetką Boba. Wiedziała jedno. Mroczna zjawa była tuż za nią. Nagle, w oddali, ujrzała żółte światło.

- Tu, Erna... szybko... - wyraźny głos przyjaciela rozbrzmiał po lesie. Bobby na chwilę pojawił się między dwoma wielkimi konarami, po czym pognął w stronę żółtego światła.

Chrobotliwe sapanie było coraz bliżej. Czowała je na swoich plecach. Nie zamierzała jednak się poddać. Biegła przed siebie. Żółta poświata była coraz lepiej widoczna. Erna nie pozwoliła na to, aby sparaliżował ją strach. Nie była sama. Był z nią przecież jej przyjaciel. Wreszcie wybiegła z lasu, zatrzymując się tuż przed starym budynkiem.

- Ale... to... - patrzyła z niedowierzaniem na hotel Hommanger i żarzące się z prawej strony na parterze światło. Ale gdzie był Bobby?!

- Tu, Erna... tu... - Jej przyjaciel pojawił się z lewej strony budynku i po chwili pobiegł dalej, znikając za jego murami.

Do uszu Erny ponownie dobiegł odgłos zbliżającej się zjawy. Bezkształtny stwór deptał jej po piętach. Chciał ją dopaść. Dlaczego Bobby pobiegł za budynek?! Przecież mogli schronić się w hotelu! Postanowiła jednak mu zaufać. Nie pierwszy raz. Nigdy się na nim nie zawiodła. Pewna swojej decyzji ruszyła dalej, pozostawiając front hotelu Hommanger za sobą.

Znalazła się w mrocznym i niezwykle małym zapuszczonym ogrodzie oświetlonym przez duży srebrny księżyc. Pośrodku wznosiło się wielkie betonowe poidło dla ptaków, otoczone w połowie zaschniętymi i zapuszczonymi krzakami róż. Dalej rósł wysoki żywopłot oddzielający ogród od leśnych drzew. Bobby stał w jego lewym rogu, przywołując ją ręką do siebie.

- Erna... szybko... tu... - wołał do niej pojedynczymi słowami.

Spoglądał na coś w dole. Był już tak blisko. Łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Ruszyła do przodu, mijając wypełnione deszczówką i porośnięte ciemnym mchem poidło.

- Bobby... - wołała, zbliżając się do przyjaciela. - Bobby... - powtórzyła słabym głosem raz jeszcze. Dobiegła do niego i zamilkła. Nie było go. Otarła świeżą porcję łez z twarzy. Bobby rozpląnął się w powietrzu.

- Nie! - krzyknęła z niedowierzaniem. - Nie! - ponownie zaprotestowała, zanosząc się płaczem. Spuściła głowę, pozwalając łzom zalać jej przerażoną twarz. Dopiero teraz ujrzała coś dziwnego. Coś, co stało dokładnie tam, gdzie ostatni raz widziała swojego przyjaciela. Kucnęła, aby lepiej się temu przyjrzeć. Z ciemnej ziemi pokrytej licznymi gałęziami wystawała mała marmurowa tabliczka, na której było coś napisane. Chciała odczytać umieszczone na niej napisy. Przykucnęła i zbliżyła swoją zapłakaną twarz do równo przyciętego kawałka marmuru. Napis skutecznie zasłaniało gęste błoto. Szybko zaczęła wycierać rękoma zabrudzoną marmurową płytę.

W tej samej chwili z za jej pleców dobiegł złowrogi dźwięk. Mroczna zjawa była tuż za nią. Gotowa do ataku. Erna znieruchomiała. Poczwała jak TO COŚ zwisa dokładnie nad nią. Czwała mroźny oddech na swoim karku. Przebiegł ją zimny dreszcz.

- Czego chcesz ode mnie?! - krzyknęła, czerpiąc siłę z ostatnich pokładów odwagi, jakie miała.

Czekała na odpowiedź, lecz stwór nie był skłonny do rozmów. Nie podnosiła się. Wciąż kucała nieruchomo, wpatrując się przed siebie.

Bezkształtna postać nie czekała długo. Zakradła się bokiem, muskając chłodem sparaliżowane ciało Erny. Stała teraz naprzeciwko niej gotowa, by zaatakować. Powietrze wokół wypełniał przerażający odgłos wydobywający się z wnętrza bezkształtnego potwora. Nie miała odwagi na niego spojrzeć. Zamknęła oczy. Stwór opadł bezszelestnie, zatrzymując się wprost przed jej oczami. Zmora nie miała twarzy, ale i bez tego była przerażająca. Chciała tylko jednego. Chciała jej. Rzuciła się na Ernę, otaczając ją swoim mrokiem.

Otworzyła oczy. Tuż nad nią zwisała jasna zjawa. Erna uniosła się gwałtownie, odskakując na bok.

- Kurwa... - zakląła siarczyście kilka sekund później, trzymając się za obolałe czoło. Musiała uderzyć w coś twardego.

Gdzieś obok dobiegł ją cichy jęk. Erna znieruchomiała. Zdziwiona, wpatrywała się w siedzącą przed nią postać, którą jeszcze kilka sekund temu pomyliła ze zjawą. Dopiero teraz dotarło do niej, co się wydarzyło.

- Niezłe uderzenie... - oznajmiła Cindy, rozcierając swoje czoło.

- Ja... ja nie chciałam... - Erna westchnęła ciężko. To był tylko zły sen... Poczowała zalewającą ją od środka falę wstydu. Musiała zasnąć...

- Coś ci się śniło - wpadła jej w myśli Walker. - Po czasie zorientowałam się, że zasnęłaś... - powiedziała, a Erna wyczuła w jej tonie nutkę wyrzutu. - A gdy chciałam już iść, zaczęłaś coś mamrotać i krzyczeć. Wyglądało na to, że śnił ci się jakiś koszmar.

- Jakiś to za mało powiedziane... - bąknęła pod nosem Erna. Ten sen wydawał się tak cholernie realny. Wciąż miała wrażenie, że zaraz skoczy na nią ten przerażający, bezkształtny stwór. Wciąż czuła niepokój...

- Chciałam cię obudzić i wtedy...

- Przepraszam - przerwała Erna. - Miałam ciężki dzień.

- Lepiej będzie, jak już pójdę. Obudzę cię jutro na śniadanie. Jeśli oczywiście chcesz...

- Byłoby miło - odparła Erna, czując się po prostu głupio.

Cindy wstała z łóżka. Wsunęła na stopy czarne szpilki i chwilę później wyszła z sypialni, zostawiając Ernę samą.

Z pokoju udało się wytępić nieprzyjemny zapach. Erna zamknęła okno. Sięgnęła do swojego plecaka, z którego po dłuższym szukaniu wyjęła małą kosmetyczkę. Chwilę potem znalazła się w niewielkiej łazience wyposażonej w starą wannę, muszlę klozetową i małą umywalkę z lustrem wiszącym tuż nad nią. W pomieszczeniu unosił się zapach świeżo zastosowanych cytrusowych detergentów. Erna odłożyła kosmetyczkę na umywalkę, po czym odkręciła zimną wodę białym, porcelanowym kurkiem. Nabrała jej w złożone dłonie i przemyła nią twarz. Natychmiast poczuła przyjemne orzeźwienie.

Po umyciu zębów i starciu delikatnego makijażu płynem micelarnym wróciła do sypialni. Zamknęła drzwi wyjściowe na klucz. Wprawdzie poznani ludzie nie wyglądali na morderców czy psychopatów o dziwnych skłonnościach, jednak ostrożności nigdy za wiele. Ściągnęła z siebie spodnie, koszulę i T-shirt, zostając w samej bieliźnie. Z niebieskiego plecaka wyjęła dużą męską koszulkę z krótkim rękawem w rozmiarze XL i obrazkiem kosmicznego stwora z jej ulubionego filmu *Obcy - ósmy pasażer Nostromo*, którą zawsze zakładała do spania. Ściągnęła z siebie brudną bieliznę i po minucie była gotowa, aby ułożyć się do snu. Wsunęła swoje ciało pod ciepłą kołdrę i nim zdążyła pomyśleć o liczeniu baranków, zasnęła.

¹ Biblia Tysiąclecia, wyd. Pallottinum, Mt 20, 16.

Rozdział 3

Obudziło ją głośnie walenie w drzwi. ŁUP, ŁUP – usłyszała i z trudem otworzyła oczy. Erna, po krótkiej chwili kompletnej dezorientacji odnośnie do tego, gdzie właśnie się znajduje, usiadła na łóżku i spojrzała na zegarek. Dochodziła godzina dziewiąta rano. ŁUP, ŁUP, ŁUP – ktoś równie mocno jak poprzednio, trzykrotnie załomotał w drzwi do jej pokoju. Zaspana, z ogromnymi śpiochami w oczach, uniosła się z łóżka i z niechęcią postanowiła sprawdzić, kto tak uparcie próbuje się do niej dostać.

- Cześć! – przywitał ją melodyjny głos Cindy Walker stojącej w progu. Dopiero teraz, na jej widok, Erna przypomniała sobie, że o dziewiątej miała pojawić się na śniadaniu. Zielonooka dziewczyna, dziś ubrana w jeansy i grafitowy sweter, zmierzyła ją wzrokiem.

- Och, chyba trochę zaspiałaś – zauważyła, patrząc na rozczochną Ernę w wymiętym T-shircie.

- Chyba tak... – odpowiedziała zaspianym głosem Erna, z trudem powstrzymując się od ziewnięcia.

- To nic! Po prostu ogarnij się szybko i dołącz do nas w jadalni. Przekażę Gospodarzowi, że troszkę się spóźnisz – poinformowała ją Cindy.

- Ta... aaaaaak – odparła Erna, tym razem nie mogąc powstrzymać ogromnego ziewnięcia.

- Świetnie! – Walker uśmiechnęła się w jej stronę, po czym, odchodząc, krzyknęła jeszcze: – Schodami w dół i na prawo! Tam jest jadalnia!

- Dzięki! – rzuciła Erna i chwilę później rozpoczęła przyspieszony proces ucłowieczania się.

W proces ten wchodziło tradycyjnie mycie zębów, lekki makijaż, a także ujarzmienie szczotką sterczących włosów na głowie. Założyła bieliznę, wygodne spodnie i luźny, jednolity szary T-shirt bez żadnego

infantylnego nadruku. Po piętnastu minutach była gotowa. Gdy już miała wychodzić, wpadł jej do głowy pomysł. Po śniadaniu Stefan Kruger miał udać się w miejsce spoczynku jej samochodu. Jeżeli nie będzie przy nim jej znajomych z pracy, to powinna zostawić dla nich wiadomość informującą o tym, gdzie się znajduje. Wątpiła, aby Kucharz mógł być specem od naprawy najnowszych modeli samochodów, a także brała pod uwagę fakt, że nie uda mu się złapać dla niej jakiejś podwózki w stronę Ottawy. Dlatego wołała się zabezpieczyć. W obecnej sytuacji pesymizm był wskazany, nakazywał bowiem być gotowym na każdą ewentualność.

Wyciągnęła z plecaka fioletowy notes, z którego wyrwała małą kartkę. Długopisem nabazgrała na niej krótką informację, po czym zgięła dwukrotnie papier i wsunęła go do kieszeni spodni, gdzie wciąż spoczywał pęk samochodowych kluczy. Teraz była gotowa. Solidne poranne śniadanie i mocna kawa dobrze jej zrobią. Musiała nabrać sił na cały dzisiejszy dzień. W Ottawie czekają na nią problemy, które... Westchnęła ciężko i po chwili wyszła z pokoju. Których była przyczyną - poprawiła się w myślach, krocząc przez okryty półmrokiem korytarz. Drzwi zamknęła na klucz. Nie zamierzała kusić losu. Ktoś przez przypadek mógłby odkryć zawartość jej plecaka, a wtedy... wtedy zrobiłoby się nieciekawie.

Gdy zbliżyła się do schodów, gdzieś z boku dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi. Widocznie nie tylko mi zdarzyło się zaspać tego poranka - pomyślała, ciesząc się w duchu, że nie będzie jedyną spóźnialską, na której po przekroczeniu progu jadalni skupi się zapewne uwaga wszystkich zebranych przy stole gości. Spojrzała z ciekawością w głąb korytarza, zastanawiając się, kto się wyłoni zza drzwi. Po chwili wszystko było jasne. No tak. Tego osobnika mogła się spodziewać.

- Bardzo smrodne te pokoje... - oświadczyła Rosjanka, machając dłonią przy nosie. - Śmierdzą starymi ludziami - dodała, chcąc jak najdokładniej zobrazować swoje odczucia węchowe.

Erna zaśmiała się. Ida, jak większość jej rodaków, w przezabawny sposób kaleczyła język angielski, mówiąc przy tym z wyraźnym rosyjskim akcentem. Było to na swój sposób zabawne i urocze. Abramova nieco chwiejnym krokiem zbliżyła się do schodów.

- Mój też tak cuchnął - zagadnęła Erna. - Pomogło długie wietrzenie - dodała, przyglądając się dzisiejszej kreacji Abramovej. Obcisła, zdobiona obficie kamieniami (z pewnością drogimi) czerwona sukienka i wysokie szpilki na pewno kosztowały fortunę.

- *Da* - zgodziła się z nią Rosjanka. Erna poczuła wydobywające się z jej ust alkoholowe opary. - Lepiej już chodźmy, nim gruby Bennett pozazera nam wszystko ze stołu - oświadczyła poważnie Ida.

Erna zaśmiała się pod nosem. Po chwili obie ruszyły w dół schodów.

Pokój, w którym mieściła się jadalnia, był bardzo podobny do salonu, w którym miała okazję wczoraj przebywać. Takie same okna, podłoga i ściany. Taki sam metraż. Takie same żyrandole i duży kominek, który Erna zdołała dostrzec na końcu pomieszczenia. Było jednak coś, co istotnie różniło jadalnię od salonu. Jadalnia była prosto, żeby nie powiedzieć - ubogo, urządzona. Na ścianie nie wisiały ozdobne stare malowidła, a na podłodze nie spoczywały monumentalne rzeźby czy też stare drewniane meble. Jedynymi meblami znajdującymi się w tym pokoju były: długi stół jadalniany, któremu towarzyszyło dziesięć krzeseł z przesadnie wysokimi oparciami - po cztery z boku i po jednym na jego końcach.

Na widok spóźnionych gości Adolfo Patino wyraźnie się ożywił. Przywołał ręką dwie zbłąkane dusze, wskazując im miejsce tuż przy nim z prawej strony stołu. Erna minęła wyraźnie zde gustowanego ich spóźnieniem Gaku Harę i usiadła pomiędzy Cindy Walker a Idą. Patino zajmował miejsce na jednym z końców i siedział tyłem do lekko żarzącego się kominka. Wszyscy goście byli już na swoich miejscach, pogrążeni w osobistych rozmowach. Nikt jeszcze niczego nie jadł, choć stół był bogato zastawiony. Erna zdała sobie sprawę, że widocznie czekali na nią i Abramovą. Poczuli się trochę niezręcznie,

jednak fakt, że nie tylko ona się spóźniła, szybko stłumił w niej małe poczucie winy.

W powietrzu unosiła się prawdziwa symfonia zapachów, które zaczęły atakować jej receptory węchowe. Łapczywie wciągnęła nosem przyjemny, mocny aromat świeżo parzonej kawy. Niski poziom kofeiny w jej organizmie zaczął dawać o sobie znać. Wiedziała, że jeśli w tej chwili nie wypije sporej ilości czarnego płynu, jej głowa bezwładnie opadnie na blat stołu, a ona sama pogrąży się w krainie głębokiego snu. Dostrzegła, że wszyscy, choć jeszcze nie rozpoczęli porannej konsumpcji, coś popijali. Rozejrzała się po stole. Szybko zauważyła porcelanowy dzbanek koloru écru, z którego unosiła się delikatna mgiełka. Zaraz obok stał pękaty imbryk do herbaty w tym samym kolorze.

Zawahała się przez chwilę. Czy wypadało jej wypełnić swoją filiżankę upragnioną kofeinową cieczą? Czy może powinna poczekać na oficjalny komunikat Adolfo Patino, iż nastał czas śniadania? Nie za bardzo знаła się na etykietce obowiązującej w tym miejscu, a tak naprawdę nie znała na niej w ogóle. Zaczęła bić się z myślami, w których pojawiła się masa pytań bez odpowiedzi. Skoro inni piją, to chyba mi też wolno? Skoro się spóźniłam, to może powinnam poczekać, aż wszyscy zaczniemy jeść? A może spytać się po prostu pana starszego? Czy ja zaczynam wariować? Czy to przez brak kofeiny? Czy moje włosy nie są za tłuste...? Och, to nie na temat. Przyłapała samą siebie i w tej samej chwili spostrzegła, jak Ida Abramova, bez zbędnych ceregieli, chwyta za dzbanek i po chwili nalewa sobie solidną porcję kawy.

- Chcesz tyż? - Rosjanka spojrzała na nią rozbieganymi oczami. Picie alkoholu na pusty żołądek jej nie sprzyjało.

- Tak, z chęcią - odpowiedziała Erna, czując jak wszelkie wątpliwości opuszczają jej głowę.

Ida zwinnym ruchem wypełniła filiżankę ciemną cieczą i odstawiła z impetem dzbanek, o mały włos nie rozbijając przy tym delikatnej porcelany. Erna, nie czekając długo, pochłonęła na raz letnią już

kawę. Poczwała ulgę, którą szybko wyparł narastający głód. Popatrzyła raz jeszcze na siedzących przy stole ludzi. Dopiero teraz zorientowała się, że kogoś brakuje. Ciekawe, gdzie jest...

- A oto nasz zdolny Kucharz! - obwieścił nagle Adolfo na widok Krugera pchającego przed sobą zdezelowany wózek na kółkach.

Stefan ubrany w biały kucharski kitel wparował do jadalni niczym tornado, po czym zwinnie parkując wózkami przy drugim końcu stołu, zaczął wyładowywać na jego blat pozostałe świeże śniadaniowe dania. Po niecałej minucie stół się zapełnił, a Kruger mógł wreszcie zasiąść na swoim miejscu, naprzeciwko Patino. Dzielilo ich od siebie dobre kilka metrów drewnianego, suto zastawionego blatu. W jadalni ucichły prywatne rozmowy, a Adolfo mógł nareszcie ogłosić:

- Moi drodzy, smacznego!

Na te słowa goście bez zbędnego czekania zaczęli przebierać w różnorodnych daniach, wymieniając się raz po raz wypełnionymi jeszcze po brzegi półmiskami i paterami. Erna rozejrzała się z uwagą po stole. Kanapki z kawiozem, wyglądające jakby jedna z nich kosztowała co najmniej sto dolarów, wielki stos ślimaków, prawdopodobnie duszonych w białym winie...

- Słodziutka, pozwól, że zaprezentuję ci to, co dziś jest w naszej ofercie śniadaniowej - zwrócił się uprzejmie w jej stronę sam Gospodarz.

Musiał dostrzec zagubienie w jej oczach. Uniósł swoje chude ciało z krzesła i po chwili, drżącą ręką, zaczął wskazywać poszczególne dania i wyjaśniać, czym są.

- To oczywiście wyborne ślimaki duszone w białym winie...

Zgadłam! - pochwaliła samą siebie w myślach Erna.

- Tu mamy kanapki z kremową pastą i kawiozem. To tutaj to królicza wątróbka z żurawiną i śliwką...

Erna spojrziała na opróżniony już do połowy półmisek, w którym spoczywały jasnobrązowe kawałki czegoś, co jak się właśnie dowiedziała, znajdowało się w ślicznym i milusim króliczku. Była pewna, że to danie nie zagości w jej żołądku. Na jej twarzy pojawił się

grymas obrzydzenia. Patino na szczęście tego nie dostrzegł i ochoczo kontynuował:

- Och, a to, co widzimy, to małe... - powiedział, wskazując dłonią na podłużną paterę - ...to jest ser z tapenadą z czarnych oliwek.

W Ernie pojawiła się nadzieja, że czymś jednak będzie mogła napęlić swój pusty żołądek. W końcu uwielbiała ser.

- Ser kozi - doprecyzował po chwili Adolfo.

Nadzieja zniknęła. Faj, koziogo sera nienawidziła.

- Oczywiście, słodziutka, znajdziesz tu także bogaty półmisek wędlin, jaja kurze w skorupce, pyszne domowe konfitury i świeżutkie, pieczone przez samego Krugera bułeczki drożdżowe. - Patino rozejrzał się uważnie po stole, upewniając się, że niczego nie przeoczył. - To wszystko! - oznajmił wreszcie, siadając na swoje miejsce. - Jedz, kochana, póki ciepłe.

Erna podziękowała mu za informacje, dzięki którym mogła uniknąć nieświadomego pochłonięcia króliczej wątroby czy też koziogo sera. Dlaczego na tym cholernym śniadaniu nikt nie pomyślał o zwykłych naleśnikach i syropie klonowym? Albo chociaż o tostach i żółtym serze? Spojrzała ukradkiem w stronę drugiego końca stołu, gdzie siedział wielki Stefan Kruger. Ta biel, w którą był dziś ubrany, wcale a wcale nie sprawiała, że wydawał się choć trochę łagodniejszy czy też miłszy. Kucharz, który zapomniał o naleśnikach, nie może być dobrym kucharzem - oceniła, krótko i z wyrzutem, wciąż mając problem z tym, co wybrać na dzisiejsze śniadanie. Obróciła głowę i popatrzyła na siedzącą tuż obok Idę. Miała cichą nadzieję, że może ona natchnie ją do podjęcia decyzji. Abramova jednak, ku jej rozpaczy, pochłaniała duży stos kanapek z kawiozem, za którym Erna po prostu nie przepadała. Gaku Hara i Cindy Walker także nie zastanawiali się długo. Sięgali po każde danie znajdujące się na stole i wymieniali między sobą opinie na temat tego, co właśnie jedli. Ich zdania były bardzo podobne, dlatego szybko nawiązali nic porozumienia. Erna postanowiła dolać sobie kolejną porcję kawy, odkładając tym samym podjęcie decyzji. W jej brzuchu potężnie

zaburczało. Ucisk w żołądku był coraz dotkliwszy. Odgłosy przeżuwania i nieumiejętnie tuszowanego mlaskania, które ją otaczały, powodowały w jej buzi nadprodukcję śliny. Dzbanek z kawą był już prawie pusty. Erna napełniła nim swoją filiżankę do połowy, po czym odstawiając go na miejsce, spojrzała na lewo. Gruby Bennett pochłaniał wszystko w dużej ilości, przez co nie prowadził z nikim żadnej dyskusji. Jego zęby raz po raz odgryzały i przeżuwały kolejne porcje jedzenia. Wyglądał przy tym jak wielki, tłusty wieprz. Cecile co chwila rzucała pozytywne uwagi w stronę Krugera, głównie chwalać jego kucharski talent. Stefan zapewne był w siódmym niebie, jednak nie dał po sobie poznać, że opinie Cecile w jakikolwiek sposób mu schlebiają.

W chwili, gdy Erna miała oderwać rękę od ucha dzbanka, usłyszała ciche, ale wyraźne słowa:

- Czy... czy mogłabyś podać mi ten dzbanek? - zapytał nieśmiało ksiądz Uchto, nachylając się z wyciągniętą w jej kierunku ręką.

- Jasne - odparła Erna, spoglądając zaskoczona przed siebie. Dopiero teraz spostrzegła, że talerz księdza bardzo przypominał jej. Był pusty i nieskalany żadnym daniem. Chyba on też nie za bardzo gustował w dzisiejszym śniadaniowym menu - pomyślała, przekazując mu ostrożnie naczynie.

- Dziękuję - odparł cicho Uchto.

Erna uśmiechnęła się w jego kierunku, jednak ksiądz nie odwzajemnił uśmiechu. Sprawiał wrażenie, jakby myślami był gdzieś indziej. Teraz, skupiony na resztkach kawy kapiących z dzbanka wprost do filiżanki, wydawał się całkowicie nieobecny. Erna zaczęła się zastanawiać, czy może wciąż nie pogodził się ze swoją wczorajszą przegraną, choć byłoby to bardzo infantylne i nie na miejscu. Przecież był dorosłym mężczyzną. Widocznie nie wszyscy nauczyli się w życiu przegrywać. Ona - aż za bardzo.

- Dobry wybór! - pochwalił ją nagle Adolfo, gdy sięgnęła po kurze jajko w skorupce.

To się okaże – pomyślała, wciąż nie do końca pewna, czy chce je zjeść. Mimo to postanowiła, że dziś na śniadanie zje pożywne jajko z bułką drożdżową. Gdy już miała rozbijać łyżeczką skorupkę jajka, które umieściła w srebrzonej podstawce, Cindy przytrzymała jej dłoń.

– Poczekaj – powiedziała, sięgając po coś znajdującego się przy paterze z kawiorowymi kanapkami. – Tak będzie łatwiej. – W rękę trzymała coś przypominającego złote nożyczki. Erna po chwili rozpoznała przedmiot, którym Cindy zaczęła majstrować przy jajku. Gilotyna do jajek. Nazwa, która budziła w niej dziwne, masochistyczne skojarzenia.

– Gotowe – oznajmiła Walker, odkładając na pusty talerz Erny kawałek obciętego jajka.

Erna podziękowała, po czym spojrzała na swój śniadaniowy wybór. Jajko w środku było płynne. Zbyt płynne. Takiego nienawidziła najbardziej.

Gdy posiłek oficjalnie dobiegł końca, o czym świadczyć miał brak jakichkolwiek dźwięków związanych z konsumpcją, Stefan Kruger przystąpił do samodzielnego sprzątania stołu. Zwinnymi ruchami pakował brudną porcelanową zastawę na swój kuchenny, rozklekotany wózek. Z każdym jego krokiem jadalnię przeszywał piszczący dźwięk nienaoliwionych kółek. Wszyscy zebrani przy stole goście byli przejedzeni. Każdy z nich zjadł zdecydowanie za dużo, o czym świadczyły ich umęczone miny i ciche postękiwania. Jedynie ksiądz Uchto opuścił jadalnię wcześniej, tłumacząc się złym samopoczuciem.

Stefan Kruger podjechał skrzeczącym wózkiem do Erny. Zgarnął ze stołu brudne talerze, filiżanki, a także srebrną podstawkę z niedojedzonym, podzióbanym jajkiem. Położył wszystko na dolną, wolną jeszcze półkę wózka, po czym odchodząc, zmierzył Ernę nienawistnym spojrzeniem. Kolejny raz ta dziewczucha zadrgiła z jego kunsztu. Pierwszy raz spotkał się tak podłym i prostackim zachowaniem i pierwszy raz w swoim życiu zaczynał kogoś naprawdę szczerze nienawidzić. Zajęty obraźliwymi myślami krążącymi wokół

Erny Brown sprzątnął wreszcie całą zastawę ze stołu, po czym zniknął za drzwiami jadalni.

Choć Erna nie zjadła jajka, zdołała zapchać się pięcioma świeżymi bułkami drożdżowymi, które sownie posmarowała truskawkową marmoladą. Już przy trzeciej z nich czuła, że jej żołądek jest pełny. Bułki, co musiała z trudem przyznać, były naprawdę przepyszne, a połączone z truskawkami dosłownie rozpływały się w jej ustach. Czuła teraz, jak jej brzuch napiera na rozporek w jeansowych spodniach. Najchętniej by go odpięła, jednak nie wypadało tego zrobić w towarzystwie.

Kruger już nie wrócił, zajęty, jak się domyślała, myciem brudnej zastawy, a ona zaczęła zastanawiać się, kiedy będzie mogła wręczyć mu napisaną odręcznie wiadomość. Nagle, nie wiadomo skąd, przyłgnęła do niej niepokojąca myśl. A jeśli zostawi brudne naczynia i pójdzie sprawdzić, co stało się z jej samochodem? Co, jeśli przez to nie wręczy mu wiadomości? Próbowwała się uspokoić. Nie... po co miałyby tam iść bez kluczyków? Nic to jednak nie dało. Może powinna iść z nim? Nie mogła tu przecież siedzieć beczynn timer i nic nie robić. Zdecydowała. Gwałtownie odsunęła się od stołu i wstała z krzesła. Podziękowała wszystkim za śniadanie i szybkim krokiem wyszła z jadalni. Stojąc pośrodku holu, próbowała zlokalizować jakieś drzwi, które mogłyby prowadzić do kuchni. Tam na pewno znajdzie Krugera. W jego kuchennym królestwie. Wzrokiem pognęła od drzwi prowadzących do jadalni aż do schodów. Są! – krzyknęła w duchu, gdy udało jej się zlokalizować prawdopodobne wejście do kuchni, znajdujące się w ścianie tuż pod schodami. Zdecydowanym krokiem ruszyła w ich kierunku. Ciemnoszare drzwi otoczone grubą drewnianą futryną były ledwo widoczne na tle równie ciemnoszarych ścian. Erna sięgnęła ręką w stronę żeliwnej klamki, gdy nagle drzwi otworzyły się do środka. Przed nią stanął nikt inny jak sam Stefan Kruger.

- Co tu robisz? – warknął. Był wyraźnie zaskoczony jej widokiem, choć jeszcze niedawno siedzieli razem w jadalni.

Erna zrobiła kilka kroków do tyłu.

- Idę z tobą - wypaliła, obserwując podenerwowanego Kucharza. Kruger swoją posturą zajmował prawie całe wejście do kuchni.

- Gdzie? - popatrzył na nią zdziwiony.

- Sprawdzić mój samochód.

- Adolfo Patino jest innego zdania. Idę sam - oznajmił krótko, jednocześnie dając jej do zrozumienia, że jej zdanie jest mało istotne.

- Dlaczego? - spytała wyraźnie poirytowana. Nikt nie będzie jej mówił, co ma robić, a już na pewno nie takie przerośnięte COŚ. Erna poczuła, że wzbiera w niej złość. Zmierzyła Kucharza spojrzeniem pełnym nienawiści.

Z kolei w wielkiej głowie Stefana zakiełkowała nagła myśl zmuszająca go do znalezienia jakiegoś sensownego wyjaśnienia swojej odpowiedzi. Było oczywiste, że nie mógł podważyć decyzji Adolfo Patino, tylko jak miał to wytłumaczyć tej głupiej kobiecie?

- Nie wiem, dlaczego - odpowiedział jej zgodnie z prawdą. - Nie wiem, dlaczego - powtórzył - i tak naprawdę nie mam ochoty nigdzie wychodzić. Szczerze mówiąc - kontynuował złowrogim tonem głosu - nie podoba mi się twoja obecność tutaj. Nie powinno cię tu być, Erno Brown... - To mówiąc, zrobił krok w jej kierunku.

Erna nie cofnęła się. Jego wrogie zachowanie nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Choć był od niej sporo wyższy i z pewnością silniejszy, nie z takimi dryblasami miała w swoim życiu do czynienia. Stała naprzeciw niego, starając się nie okazywać żadnych emocji. Przeszywali się wzajemnie spojrzeniem i żadne z nich nie miało zamiaru odpuścić. Jak w tej zabawie z dzieciństwa - kto pierwszy mrugnie - tak i w tym wypadku nikt nie zamierzał odwrócić pierwszy wzroku.

- Masz rację - przyznała nagle Erna. - Nie powinno mnie tu być. - Kruger, wyraźnie zbity z tropu, zmarszczył brwi. - Ale niestety nie miałam innego wyjścia. Zresztą nie musisz nigdzie iść. Właśnie się stąd wynoszę.

- Ale... - wybełkotał zaskoczony. - Chyba nie chcesz sprawić przykrości panu Patino? - wypalił, chcąc naprawić błąd, jakim było jego wcześniejsze zachowanie.

Erna prychnęła pod nosem, po czym ruszyła w stronę jadalni, zostawiając za sobą spanikowanego Krugera. Chwilę później stała już przy Gospodarzu (reszta gości właśnie opuszczała salę), wyjaśniając mu, że nie może tu dłużej zostać, choć bardzo dziękuje za gościnę.

- Ależ, słodziutka. Ranisz moje słabe serce - usłyszała w odpowiedzi, co było początkiem przekonywania jej, aby sprawę samochodu zostawiła Krugerowi. Na pytanie „dlaczego” staruszek odrzekł z zadowoleniem, że dawno nie miał okazji porozmawiać z kimś, kogo interesowałyby medyczne tematy.

- Ale ja nie znam się na medycynie. - Erna próbowała ostatkami sił wybrnąć z sytuacji. Zresztą to była prawda. Zaledwie musnęła tajniki medycyny, nim zrezygnowała z niej na dobre.

- Słodziutka, ja dostrzegam w tobie potencjał - oznajmił poważnie Adolfo. - Chyba nie chcesz odebrać staruszkowi może ostatniej już w jego życiu inteligentnej rozmowy?

Patino najwyraźniej potrafił grać na emocjach i dobrze wiedział, jak ją podejść. Przejrzała go na wylot, ale czy wypadało jej go opuścić, nie spełniając tej zwykłej i prostej prośby? Przecież mogła poświęcić mu kilka dodatkowych godzin, nim ktoś zabierze ją z powrotem do Ottawy. Zresztą napisała wiadomość. Wystarczy, że przekaże ją temu głąbowi Krugerowi...

- No dobrze - zdecydowała po chwili namysłu.

Adolfo wyraźnie się ucieszył. Chwilę później do jadalni wkroczył Stefan Kruger. Zdążył zdjąć z siebie kucharski kitel i założyć zwykłe codzienne ubranie. Ono także nie spowodowało, że w oczach Erny stał się choć trochę bardziej ludzki. Nawet gdyby ubrał się w różową sukienkę, a na głowie zawiązał dwie kitki, to i tak wyglądałby na przerażającego gbura. Erna uśmiechnęła się krzywo, wyobraziwszy sobie ten widok, po czym obserwowała, jak wielki Kruger podchodzi pośpiesznie do Adolfo.

- Panie Patino - odezwał się niepewnie - jestem już wolny. - Spojrzał z niepokojem na Ernę.

- To dobrze! - ucieszył się staruszek. - Zatem ruszaj sprawdzić, co takiego wydarzyło się z samochodem naszego gościa, i oczywiście - zamilknął na chwilę - gdyby samochód był uszkodzony, może uda ci się złapać jakąś okazję, aby nasz niespodziewany gość mógł wrócić do domu.

Kruger odetchnął. Ulżyło mu, że ta głupia dziewczucha widocznie dała się udobruchać Gospodarzowi. Był pewien, że dar przekonywania, jaki posiadał Gospodarz, świetnie zadziałał na to wstrętne dziewczusko. Stefan znów poczuł wzbierającą w nim niechęć do tej nad wyraz bezczelnej kobiety.

- Gdzie znajdę twój samochód? - spytał oschle, mierząc ją wzrokiem.

- Gdy dojdiesz do głównej drogi, kieruj się na Ottawę - odpowiedziała krótko.

- Klucze - rzucił w jej stronę Kruger.

Erna sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła kluczyki do znienawidzonego volvo.

- No to idę - dodał krótko Stefan, odbierając kluczyki do samochodu. Chwilę później zostawił Gospodarza i Ernę samych.

- O nie! - krzyknęła nagle Erna, po czym rzuciła się biegiem w stronę drzwi.

Adolfo, nie mając czasu na żadną reakcję, zdołał tylko odprowadzić ją wzrokiem do momentu, aż zniknęła za drzwiami jadalni. Erna wybiegła przed hotel. Na dworze było dość ciepło. Jej oczy zostały zaatakowane przez ostre promienie słońca.

- Hej, ty! - krzyknęła w stronę Krugera, mrużąc oczy. - Poczekaj!

Stefan zatrzymał się. Ze zdziwieniem patrzył, jak Erna zbliża się do niego. Co znowu wymyśliła ta głupia dziewczucha? Był przecież pewien, że Patino zdołał ją przekonać do swojego pomysłu. - Spokojnie - oświadczyła Erna, widząc jego zdezorientowaną minę. - Nigdzie z tobą nie idę - poinformowała go, sięgając do kieszeni

spodni. Mogłaby przysiąc, że na twarzy Krugera pojawił się wyraz ulgi. – Mam prośbę.

– Jaką? – spytał niepewnie Stefan.

– Masz. – Erna wręczyła mu małą, złożoną kartkę. – Jeśli nikogo nie spotkasz przy samochodzie, zostaw ją na przednim siedzeniu.

Kruger oderwał wzrok od małego kawałka papieru i uniósł gwałtownie głowę.

– Zobaczę, co da się zrobić – burknął pod nosem, po czym obrócił się i ruszył przed siebie w głąb lasu, oświetlonego teraz przez górujące na niebieskim niebie słońce.

Erna jeszcze przez dłuższą chwilę spoglądała, jak Stefan Kruger znika w oddali. Dzisiejszego dnia las wydawał się przyjaźniejszy. Może to za sprawą pory dnia i pogody? A może po prostu dlatego, że się wyspała i w nocy nie została zaatakowana przez rozwścieczone jesienne liście? Zapewne te wszystkie rzeczy złożyły się na jej pozytywne odczucia.

Wracała do hotelu. Do miejsca, które wczoraj okazało się jej wybawieniem. Jak tu trafiła? Przystanęła, przypominając sobie istotny szczegół. Dobrze go zapamiętała. To, jak postanowiła iść poboczem zaraz za pechowym zakrętem. To, jak cisnęła wściekłą butelką wody wprost w gęstwiny lasu. To, jak schyliła się po butelkę i wypatrzyła pewien szczegół, który teraz wydawał jej się bardzo dziwny. Mogłaby przysiąc, że kogoś tam widziała. Ktoś przebiegł w miejscu, w którym odnalazła drogę prowadzącą do hotelu Hommanger. Ten ktoś był bardzo podobny do... Bobby'ego, który przyśnił jej się dokładnie wczoraj. Erna zatrzymała się przed samym wejściem do budynku. Wczorajszy sen był taki rzeczywisty, a jednocześnie przerażający. Biegła za swoim przyjacielem. Za Bobbym, który doprowadził ją do hotelu... NIE! Zaczęła odtwarzać, kawałek po kawałku, senne wydarzenia. Bobby nie zaprowadził ją do hotelu, tylko...

Erna cofnęła się kilka kroków i przystanęła. Spojrzała na lewo. Nie mogła wytłumaczyć, dlaczego to zrobiła. To był instynkt. Jej wewnętrzne ja mówiło jej, aby to sprawdziła. Zaskoczona, spoglądała

właśnie na wąskie przejście z boku budynku – dokładnie takie, przez które przebiegł Bob. Metalowa pergola otoczona zaschniętymi pędami kwiatów zapraszała do wnętrza ogrodu. Poczła lekki dreszcz ekscytacji. Co znajduje się za budynkiem? Czy może być tam ogród dokładnie taki, jaki widziała w swoim koszmarze? Zawahała się. Trwało to jednak tylko kilka sekund. Ciekawość wzięła górę. Ruszyła śladami przyjaciela. Zaledwie kilka kroków później znalazła się na tyłach hotelu Hommanger. Rozwarła buzię z wrażenia. Jej serce zaczęło łomotać. Szeroko otwartymi oczami połykała z niedowierzaniem rozpościerający się wokół niej krajobraz. Krajobraz, który o dziwo znała. Już go widziała... w swoim śnie!

- To nie... - ledwo wydusiła z siebie, patrząc na wielkie betonowe poidło dla ptaków otoczone zaniedbanymi różanymi krzakami. Podeszła do niego, kładąc rękę na wielkiej misie. Jej wnętrze wypełnione było do połowy brudną wodą zmieszaną z liśćmi i mchem. W poidle migotało raz po raz słońce, które wyraźnie oświetlało ten zaniedbany mały ogród. Jego granice wytyczone były przez wysoki, gęsty żywopłot.

- Taki jak we śnie... - wymamrotała na głos, patrząc z niedowierzaniem na naturalne ogrodzenie. Ostrożnie minęła stare poidło, uważając przy tym, aby nie zahaczyć ubraniami o rozrośnięte różane krzaki, gęsto pokryte kolcami. W głowie wciąż materializowała senny obraz, porównując go z tym, co właśnie widziała. Podobieństwo było zbyt wielkie. Spojrzała na sam koniec ogrodu, a dokładnie w jego lewy róg – tam, gdzie we śnie stał Bobby. Nie ujrzała teraz swojego przyjaciela. Coś innego przykuło jej uwagę. Coś, co wyglądało jak... ciarki przebiegły po jej plecach. Gwałtownie obróciła się do tyłu, sprawdzając, czy przypadkiem gdzieś nie czai się przerażająca zjawa. Nikogo jednak nie zobaczyła. Odetchnęła z ulgą. Przecież to nie sen... - pomyślała, uśmiechając się niewyraźnie. A więc zjawa przebywająca w tym miejscu to tylko element snu, tak jak jej przyjaciel, ale to... to się dzieje naprawdę. Próbowwała poukładać wszystkie informacje. Czowała, jak rzeczywistość miesza się z czymś nierealnym.

Ruszyła do punktu, w którym stał Bobby. Pod jej nogami trzeszczały suche jesienne liście. Wreszcie kucnęła. Spoglądała teraz na pokrytą ziemią i mchem marmurową tabliczkę. Pamiętała ją. Pamiętała bardzo dobrze. Był na niej napis. Niewyraźny i mało czytelny. Tak jak tu. Dokładnie jak na tym kawałku wystającej z ziemi płyty. Erna poczuła chłód. Spojrzała w górę. Słońce na niebie przykryły ciemne chmury. Krajobraz zalała fala mroku. Lekki wiaterek przybrał na sile, coraz mocniej poruszając konarami drzew. Erna musiała się dowiedzieć, co było napisane na marmurowej płycie. Rękoma zaczęła zdrapywać brud z tabliczki. Było to o wiele trudniejsze, niż jej się wydawało. Zaschnięte błoto i mech nie chciały łatwo odpuścić. Szorowała z całych sił, jednak napisy wciąż były skryte pod warstwą brudu. W końcu wpadła na pewien pomysł. Uniosła się z ziemi i podbiegła do poidła. Zamoczyła w nim dolną część swojego T-shirtu. Teraz powinno pójść o wiele lepiej – pomyślała, kucając ponownie przed tabliczką. Chwyliła mokrą część koszulki i zbliżywszy swoje ciało do marmuru, zaczęła przecierać jego powierzchnię.

Robiło się coraz zimniej. Słońce zniknęło na dobre, a mokry T-shirt, który co chwila przyklejał się do jej brzucha, wprawiał jej ciało w niekontrolowane drżenie. Napis na tabliczce był już niemal całkowicie widoczny. Jeszcze tylko kilka przetarć i... Erna odsunęła się gwałtownie od tabliczki.

Tu spoczywa kawałek palca Sammy'ego

Przeczytała na głos, składając złote litery w jedno zdanie. Zmarszczyła brwi. Poczowała lekki zawód. Musiała przyznać, że spodziewała się czegoś bardziej interesującego.

- ...kawałek palca Sammy'ego - wyszeptała, raz jeszcze lustrując wzrokiem marmur. Nagle poczuła za sobą czyjąś obecność. Wielki mroczny cień przysłonił tabliczkę, rozlewając się poza granicę ogrodu. Erna zamarła. Przecież to nie był sen! To nie mogła być zjawa!

- Widzę, słodziutka, że odkryłaś coś ciekawego - usłyszała za swoimi plecami znajomy głos. Poczowała, jak napięte mięśnie w jej ciele pomału się rozluźniają. Wstała czym prędzej, otrzepując kolana z ziemi.

- Tak... ja... - próbowała się wytłumaczyć. - Nie powinnam tu być. Przepraszam, panie Patino. - Erna spojrzała na Gospodarza wzrokiem pełnym poczucia winy.

Adolfo roześmiał się.

- Słodziutka - rzekł do niej. - Przecież to nie więzienie! Chodź sobie, gdzie tylko chcesz. No, może - zawahał się - kuchnię sobie odpuść. Tam króluje Stefan, a on, jak wiadomo, nie toleruje obcych na swoim terytorium.

- Miałam okazję się o tym przekonać... - bąknęła pod nosem Erna.

- A więc co takiego odkryłaś, słodziutka? - Adolfo z zainteresowaniem zerknął na wyrastający z ziemi kawałek marmuru. - Och, no tak. Nagrobek - stwierdził po chwili, jak gdyby nigdy nic.

- Na... nagrobek?! - powtórzyła zdziwiona Erna. Zaczęło docierać do niej, że swoim T-shirtem czyściła jakąś mogiłę. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

- Tak, tak. To znaczy... niezupełnie. Jak sam napis mówi, to nagrobek, w którym pochowany został kawałek palca Sammy'ego. Biedny chłopak, ale zawsze lepiej stracić palec niż całą rękę - stwierdził z rozbawieniem Adolfo.

Erna zaczęła zastanawiać się, czy Gospodarz wie, kim był ten chłopiec. Jednak Patino ubiegł jej pytanie.

- Niestety, nie mam pojęcia, kim było to biedne dziecko. - Gospodarz w końcu oderwał wzrok od nagrobka i spojrzał w górę. Z ciemnych chmur zaczęły spadać ciężkie krople deszczu.

- Chyba musimy się schować - zasugerował, wskazując palcem na poczerwiałe niebo.

Erna skinęła głową. Chciała wrócić do hotelu. Chciała założyć na siebie coś cieplejszego, ale przede wszystkim... chciała zdjąć T-shirt,

którym wyczyściła czyjś, bądź co bądź, nagrobek. Oboje z Gospodarzem ruszyli w kierunku wejścia do hotelu Hommanger. Wreszcie zniknęli za bladoczerwonymi drzwiami, pozostawiając za sobą silny wiatr, który z każdą minutą przybierał na sile. Drzewa zaczęły niebezpiecznie uginać się pod jego naporem. Ciemne chmury całkowicie spowiły błękitne jeszcze do niedawna niebo. Drobny deszcz przerodził się w ogromną ulewę, dudniąc z impetem w dach budynku. Na dworze zapanował mrok podobny do tego, jaki panował we wnętrzu hotelu Hommanger.

Gdy tylko Erna przekroczyła próg swojego pokoju, w nozdrza bezlitośnie uderzył ją zapach stęchlizny. Nie zamierzała jednak zajmować się jego wytępieniem. Już niedługo opuścę to miejsce – pomyślała z przekonaniem, nurkując pod wielkie łóżko, spod którego po chwili wyciągnęła swój pękaty plecak. Ostrożnie rozpięła zamek błyskawiczny, uważając, aby jego wnętrze nie wysypało się bezwładnie na ziemię. Z trudem dokopała się do jedyne go czystego T-shirtu, który ze sobą zabrała, a który ku jej rozpaczy znajdował się na samym dnie.

- Ostrożnie... - upomniała na głos samą siebie, ciągnąc delikatnie za kawałek materiału. - Jeszcze trochę... pomału... KURWA! - krzyknęła, patrząc jak cała zawartość granatowego plecaka ląduje na drewnianej posadzce.

- Kurwa i jeszcze raz kurwa - powtórzyła, wyraźnie akcentując przekleństwa.

Stała przed łóżkiem i spoglądała na leżące u jej stóp rozsypane rzeczy. Nigdy nie uważała się za mistrza pakowania. Do tego ostatnio była zbyt nerwowa. Za dużo przeklinała. Byle błahostka potrafiła wyprowadzić ją z równowagi. Jednocześnie zauważyła, że wypowiedanie w takich chwilach przekleństw było chyba jedynym, co pomagało jej się szybko uspokoić. Gdyby wierzyła w Boga, musiałaby codziennie biegać do spowiedzi. Na szczęście mogła przeklinać do woli, i to ją bardzo cieszyło. Poza tym od zawsze dziwiła się temu, jak jakiś wyraz, złożony z kilku liter, może być uznawany za grzech. Jej

zdaniem była to totalna głupota, jednak Bobby był innego zdania (a przynajmniej przez chwilę tak mu się wydawało).

- Przekleństwo to obraza. To poniżanie kogoś. Robienie komuś świadomej krzywdy, a więc można powiedzieć, że jest to grzech - stwierdził pewnego letniego dnia Bobby, którego nogi wystawały spod jej ukochanej Suzi.

W lipcu, gdy zjawiła się u przyjaciela z kolejną prośbą o ratowanie jej samochodu, nie przypuszczała, że będą rozmawiać na taki duchowy temat. Erna siedziała na ziemi tuż przy wiercących się co chwila nogach Bobby'ego.

- Znalazłem dziadostwo! - krzyknął nagle jej przyjaciel.

Po chwili wygramolił się spod chorej Suzi. W swoich odwiecznych niebieskich ogrodnickach wyglądał jak przzerośnięty krasnal. Jego na wpół siwa czupryna pokrywająca wielką głowę sterczała niechlujnie w każdą możliwą stronę. Gdzieniegdzie można było dojrzeć ciemnobrązowe pasemka, które dzielnie broniły się przed utratą swojego naturalnego koloru. Dwutygodniowy zarost Bobby'ego śmiało można było zaliczyć do sporych rozmiarów bród. Bob był wielkim, postawnym mężczyzną, przy którym Erna czuła się zawsze bezpiecznie.

Dobrze jest mieć takiego przyjaciela - pomyślała z czułością, siadając na miękkim łóżku. W jej głowie ponownie zmaterializował się obraz tamtego dnia.

- A więc skąd te stuki wydobywające się z mojej kochanej Suzi, panie doktorze? - spytała, czekając na diagnozę.

- Łącznik stabilizatora! - ogłosił triumfalnie Bob, wskazując wielkim usmolonym paluchem na przednią część samochodu.

- Aha - odparła krótko Erna, wzruszając ramionami. - Dobrze wiesz, mój drogi, że nic mi to nie mówi. Wierzę w twoje zdolności. Postaraj się, aby moja Suzi odzyskała zdrowie.

Bob spojrzał na nią radośnie swoimi czarnymi oczami. Jego twarz była umazana w smarze, choć na tle ciemnej karnacji było to ledwie widoczne. Tamtego dnia jej przyjaciel nie wyglądał na mechanika.

Bardziej na jakiegoś dzikiego człowieka gór, mieszkającego w starych, opuszczonych szybach kopalnianych. Wreszcie Bob zabrał się za odkręcanie przedniego koła samochodu, a ona postanowiła zmienić jego światopogląd... a przynajmniej jego mały kawałek.

- Powracając do przekleństwa... - zaczęła, siadając bliżej pracującego z zapalonym przyjaciela.

- Ehe - bąknął Bob, dając jej do zrozumienia, że słucha, mimo że jego uwaga w dużym stopniu jest skierowana na stare suzuki.

- Myślę, że ludzie to trochę wyolbrzymili. Sama nazwa „przekleństwo” mówi nam o tym, że za grzech można uznać rzucenie na kogoś przekleństwa, może nawet i klątwy... - Erna zamyśliła się na chwilę, starając się ubrać starannie w słowa swoją rację.

- Kurwa - warknął nagle Bobby, bezskutecznie siłując się z jedną upartą śrubką.

- O właśnie! - krzyknęła Erna, unosząc wskazujący palec ku górze.

- Co właśnie? - Bob oderwał wzrok od samochodu i spojrzał na nią zdziwiony.

- Rzuciłeś przekleństwo na tę śrubkę?

Bobby milczał, przyglądając się swojej przyjaciółce. Wydawał się nieco zdezorientowany.

- Co? - odparł po chwili.

- Czy świadomie chciałeś przekląć tę małą, biedną, bezbronną śrubkę? - spytała raz jeszcze, świdrując go spojrzeniem.

- No... eee... no nie - stwierdził niepewnie Bobby.

- A więc wcale nie przekląłeś, tylko wypowiedziałeś zbitek nicznaczących liter. Idąc tym tokiem myślenia, twoje „kurwa” nie jest grzechem. - Erna zamrugała triumfalnie długimi rzęsami.

Bobby jeszcze przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu. W końcu na jego twarzy pojawił się ten jeden, jedyny uśmiech, który był zarezerwowany tylko dla niej, a który zawsze oznaczał jedno, czyli: „Nieźle, mała! Nieźle!”. W niezbyt rozwiniętej mimice Bobby'ego wyrażało to dla niej najwyższą z możliwych aprobatę.

- Dobra, myślicielu, podaj mi teraz preparat penetrujący - oświadczył nagle, a jego głowa znów zniknęła pod starą Suzi.

- Preparat penetrujący? - powtórzyła nieco rozbawiona.

- To srebrne coś z czerwonymi napisami, leży obok ciebie - doprecyzował Bob, stukając czymś o podwozie.

Erna rozejrzała się wokoło i po chwili chwyciła za puszkę. Podała ją przyjacielowi.

W pokoju rozległo się donośne pukanie. Erna gwałtownie wróciła do rzeczywistości. Szybko wstała z łóżka i ruszyła w stronę drzwi. Dopiero gdy nadepnęła na coś twardego, przypomniało jej się o rozsypanej na ziemi zawartości plecaka. Przystanęła, rozglądając się gorączkowo po pokoju.

- Halo, słodziutka, jesteś tam? - usłyszała za drzwiami głos Adolfo Patino.

- Tak, tak! - odpowiedziała. - Już otwieram! - Musiała gdzieś schować te wszystkie rzeczy. Tylko gdzie?!

- Wszystko w porządku? - spytał tym razem zatroskanym głosem Adolfo i po chwili klamka w drzwiach powędrowała w dół.

Erna patrzyła na nią przez chwilę, dziękując sobie w duchu za zamknięcie pokoju na klucz, po czym bez zastanowienia wepchnęła nogą wszystkie leżące na ziemi rzeczy pod łóżko. Upewniwszy się, że nic nie wystawało, doskoczyła do drzwi, przekręcając znajdujący się w nich klucz.

- Tak? - spytała jak gdyby nigdy nic stojącego przed nią Gospodarza.

Adolfo nie odpowiedział. Zamiast tego przyglądał jej się uważnie.

- Przepraszam, ale - Erna próbowała znaleźć szybko jakąś sensowną wymówkę - byłam w łazience.

- Ależ nie musisz mi się tłumaczyć, słodziutka - odparł wreszcie Patino, wciąż spoglądając na nią z zainteresowaniem. - Po prostu chciałem cię zaprosić na naszą obiecaną rozmowę. Mam nadzieję, że o niej nie zapomniałaś?

- Tak, oczywiście, pamiętam - odpowiedziała. - Tylko... - opuściła głowę i spojrzała na swój przemoczony i ubrudzony T-shirt - ...muszę się przebrać.

- Oczywiście, słodziutka - odparł Adolfo. - Będę czekał na ciebie w swoim gabinecie. Ostatnie drzwi po lewej w drugim skrzydle.

Erna przytaknęła i po chwili znów znalazła się sama w pokoju. Nie miała teraz czasu na pakowanie tych wszystkich rzeczy do plecaka. Jeszcze zdąży to zrobić. Dopóki pamiętała o zamykaniu drzwi na klucz, jej rzeczy były bezpieczne nawet pod łóżkiem - stwierdziła, ściągając z siebie wilgotny T-shirt. Nie miała najmniejszej ochoty zabierać go z powrotem ze sobą. Nawet gdyby go wyprała dziesięć razy, wciąż pamiętałaby o tym, że posłużył jej jako szmata do czyszczenia płyty nagrobnej. Dzięki temu zwolni jej się trochę miejsca w plecaku. Zgniotła w rękach niechcianą koszulkę i cisnęła nią w kierunku starej szafy. Tam może na razie leżeć. Byle z dala od niej. Po chwili była gotowa do wyjścia.

Drzwi do gabinetu Adolfo Patino miały inny kolor niż wszystkie pozostałe. Powlekała je bladoczerwona farba podobna do tej zdobiącej drzwi wejściowe hotelu Hommanger. Erna zapukała delikatnie. Nikt nie odpowiedział. Znów to zrobiła, tym razem mocniej. I tym razem nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Zawahała się. Czy mogła wejść do środka? Dostała zaproszenie od Gospodarza, więc... Chwyciła za klamkę i po chwili znalazła się w małym gabinecie.

W środku nikogo nie było. Z ciekawością pochłaniała wzrokiem nieznaną jej pomieszczenie. Mały pokój oświetlał żyrandol zwisający pośrodku sufitu. Żółte światło nierówno odbijało się od wielkiego dębowego biurka stojącego w centralnej części pokoju. Tuż za nim Erna dojrzała duży obraz w złoczonej ramie. Niedaleko, w ścianie po prawej stronie, dostrzegła małe brązowe drzwi. Dokąd prowadziły? - zaczęła się zastanawiać. Może do sypialni Adolfo? Wzrokiem powróciła do malowidła. Ten piękny obraz wydawał jej się znajomy, choć nie była tego pewna. Podeszła bliżej, z zainteresowaniem

przyglądając się malunkowi. Stała przy samym biurku. Oparła dłoń o jego błyszczący, czysty blat. Poczła pod opuszkami palców papier. Z trudem oderwała wzrok od malowidła i dopiero teraz spostrzegła stos równo ułożonych na sobie, zadrukowanych kartek A4. Nie powinny jej interesować. To są osobiste rzeczy Adolfo – stwierdziła i gdy już miała oderwać od nich wzrok, mimowolnie dostrzegła kilka liter, które w jej mózgu ułożyły się w jedno znane imię.

- Cindy... - wyszeptała i ponownie spojrzała na dziwny dokument. Instynktownie rozejrzała się po pokoju, upewniając się, że na pewno jest w nim sama. Ciekawość wzięła górę. Erna chwyciła za pierwszą leżącą na stosie kartkę i zlustrowała ją szybko wzrokiem. Zmrużyła brwi. Nie mogła uwierzyć w to, na co właśnie patrzy. Czy to możliwe? - spytała samą siebie. Jeszcze raz, tym razem wolniej, przyjrzała się treści widniejącej na białym arkuszu.

- Wynik ujemny... cysty i jaja pasożytów... nie wykryto... - Erna odczytywała na głos pojedyncze wyrazy. Poczła się dziwnie. Zimny dreszcz przebiegł przez jej ciało. U dołu kartki, w prawym rogu, zobaczyła odbitą pieczęć. Przypominała ludzką czaszkę przedstawioną z profilu z inicjałami „A. P.” pośrodku.

- A. P...- wyszeptała. - A. P... Adolfo Patino!

Nagle małe drzwi za biurkiem się otworzyły. W progu stanął Gospodarz, który równie zdziwiony jak Erna wpatrywał się w swojego gościa. Erna znów dostrzegła ten dziwny grymas na jego twarzy. Ten sam, który ujrzała, gdy niedawno rozmawiali, stojąc w drzwiach do jej pokoju. Tę dziwną, wrogą podejrzliwość, która kompletnie nie pasowała do postaci gościnnego Adolfo Patino. Teraz stała bez ruchu z kartką papieru, której nie powinna ruszać. Czuła się zakłopotana i nie za bardzo wiedziała, jak miałyby z tego wybrnąć. Próbowwała coś powiedzieć, jednak zamiast słów z jej ust wydobywały się bezdźwięczne sylaby. Adolfo stał tak jeszcze przez dłuższą chwilę, mierzając ją nieprzyjemnym spojrzeniem. Nie powinnaś brać tej kartki, Erno. Nie powinnaś tu w ogóle wchodzić... - ganiła się w myślach.

- No cóż - odezwał się wreszcie Adolfo, wchodząc do gabinetu. - Spodziewałem się ciebie, słodziutka, znacznie później, jednak... - podszedł do niej i wyjął z jej dłoni kartkę, którą odłożył na stos podobnych arkuszy spoczywający na blacie biurka - ...cieszy mnie to, że potraktowałaś moją chęć rozmowy tak poważnie - dokończył, siadając za dębowym biurkiem. - Widzę także - ciągnął dalej Adolfo, który teraz wysunął z blatu długą szufladę - że zainteresowały cię te oto dokumenty.

Chwycił za stos zadrukowanych arkuszy i jednym ruchem zsunął je z biurka do szuflady. Po chwili zamknął ją i oparł ciało o miękkie obicie krzesła. Erna poczuła się głupio. Jak małe dziecko przyłapanie na podkradaniu z kuchni łakoci.

- Przepraszam, nie miałam zamiaru...

- Och, nie tłumacz się, słodziutka - wpadł jej w słowo Patino. Znów patrzył na nią swoim pocziwym wzrokiem. To ją trochę uspokoiło. - Myślę, że to przez twoją ciekawość do medycyny, którą gdzieś w środku jeszcze czujesz, mimo że - Adolfo rozłożył przed sobą ręce - nie ukończyłaś studiów medycznych. Ale tego ducha, tej ciekawości nie da się wypędzić, słodziutka. - Machnął przecząco palcem wskazującym przy swojej pomarszczonej twarzy. - Ty go masz i ja to widzę. Dlatego tak bardzo zależy mi na rozmowie z tobą. Kto wie... - Spojrzał na nią swoim starczym wzrokiem. - Może dziś stwierdzisz, że warto wrócić do medycyny.

- Nie sądzę - odpowiedziała posępnie Erna.

- Te papiery, które tu widziałaś... - wypalił nagle Adolfo. - Wiesz, na co patrzyłaś?

Erna dobrze wiedziała.

- To wyniki badań. Test na nosicielstwo wirusa HIV, badania na choroby pasożytnicze - odpowiedziała, jednocześnie zastanawiając się, po co to wszystko. Po co Gospodarzowi wyniki badań przebywających w hotelu gości?

- Pewnie zastanawiasz się, do czego są mi potrzebne - rzekł ze spokojem Adolfo, jakby czytał jej w myślach.

Erna dobrze wiedziała, że to nie było pytanie, a stwierdzenie. Patino zauważył w niej zdziwienie, gdy stała z kartką wyników badań medycznych Cindy Walker. Erna skinęła więc tylko głową, czekając na jakieś wyjaśnienia.

- Jak już wspominałem, słodziutka, to miejsce nie jest zwykłym hotelem. W istocie kiedyś nim było, ale teraz pełni inną funkcję. Z racji mojego, nieskromnie to ujmując, wielkiego prestiżu i zaufania nie mogę sobie pozwolić, aby któryś z naszych gości czuł się w jakikolwiek sposób zagrożony. Dlatego też wprowadziłem różne zakazy. Zakaz wnoszenia alkoholu, zakaz posiadania telefonów, komputerów i innych urządzeń mogących zakłócić nasz coroczny turnus. Dbam zatem w największym stopniu o zdrowie moich gości. Muszą mieć pewność, że tu mogą czuć się bezpiecznie. Dlatego też każdy ma w obowiązku poddać się takim badaniom.

- Więc ja chyba też powinnam - odparła Erna, uśmiechając się w jego stronę.

Adolfo westchnął ciężko i po chwili uniósł swoje szczupłe ciało z krzesła.

- Ty, słodziutka, jesteś naszym niespodziewanym gościem. Mogę przymknąć na to swoje jedno starcze oko - stwierdził, po czym podszedł do niej chwiejnym krokiem.

Erna zauważyła, że garnitur, który nosił tego dnia, był na niego o wiele za duży. Adolfo wyglądał, jakby za chwilę miał się utopić w nadmiarze czarnego materiału.

- Mam nadzieję, że zaspokoilem twoją ciekawość, słodziutka.

No nie wiem - pomyślała niepewnie Erna.

- A teraz mam dla ciebie niespodziankę! - powiedział żywo staruszek, stając tuż za jej plecami. - Myślę, że jest w moim gabinecie coś, co zainteresuje cię w jeszcze większym stopniu.

Erna odwróciła się w jego stronę. Adolfo opierał obie dłonie o małą gablotę spoczywającą tuż przy ścianie.

- Podejdź tu, słodziutka, śmiało! - ponaglał, tajemniczo się do niej uśmiechając. Co takiego mogło znajdować się we wnętrzu

przeszklonego mebla? Zaciekawiona podeszła bliżej. Po chwili stała już nachylona nad gablotą. Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Jej oczy powiększyły się do nienaturalnych rozmiarów, a gałki oczne w szalonym tempie zaczęły pochłaniać obraz rozpościerający się przed jej twarzą.

- Czy to... - zaczęła, jednak zaraz umilkła, z niedowierzaniem wpatrując się we wnętrze gabloty.

- ...najprawdziwszy i oryginalny egzemplarz *De humani corporis fabrica*? Oczywiście! - dokończył za nią podekscytowany Adolfo.

Erna była teraz kompletnie zszokowana i tak naprawdę trudno było jej uwierzyć, że to mógł być oryginalny egzemplarz atlasu anatomicznego. TEGO atlasu anatomicznego... Czy Gospodarz chciał z niej zażartować? Czy był infantylnym dziadkiem, który czerpał przyjemność z nabierania innych? Dobrze pamiętała zajęcia na studiach medycznych, kiedy to przez wiele godzin Samuel „jakiś tam” (wciąż nie mogła zapamiętać nazwiska profesora) opowiadał o tym cudownym dziele.

- To najprawdziwszy egzemplarz, wydany w tysiąc pięćset czterdziestym trzecim roku. Kto wie, może ten sam, który trzymał w swoich dłoniach cesarz Karol Piąty - szepnął z zachwytem Patino.

- Słucham? - Erna uniosła głowę znad gabloty i spojrzała na stojącego tuż przy niej Gospodarza.

- Zapewne wiesz, słodziutka, komu Andreas Wesaliusz zadedykował swoje dzieło?

- Karolowi Piątemu... - odpowiedziała po chwili zastanowienia.

- Tak, słodziutka. Wiadome jest też, choć niektórzy wolą gdybać, że Wesaliusz wręczył swoje dzieło cesarzowi w lato, a dokładnie sierpniową porą w Spirze, tego samego roku, w którym atlas został wydany. - Erna tylko przytaknęła, słuchając Adolfo z wyraźnym zainteresowaniem. - A więc bardzo możliwe jest, że ten oto egzemplarz był w posiadaniu samego cesarza. Co ty na to, słodziutka?

Erna uniosła brwi, a na jej czole pojawiły się poziome głębokie zmarszczki. Bardzo chciała pokazać temu biednemu staruszkowi, że

jest w stanie uwierzyć w jego starcze domysły. Jednak na zdrowy rozum, a taki Erna posiadała, wydawało się to mało prawdopodobne.

Adolfo szybko wychwycił jej brak wiary.

- Nie martw się, słodziutka. Mnie też do dzisiaj trudno uwierzyć, że jestem w posiadaniu takiego cudu, jak ta księga. Księga, która była w rękach samego Wesaliusza, a później cesarza Karola Piątego. Jednak nie jestem tu dziś po to, aby zmuszać cię do akceptowania wszystkiego, co wyjdzie z mojej starej gęby. - Adolfo zaśmiał się, wskazując palcem na swoje wielkie usta.

Erna uśmiechnęła się niepewnie. To, że w gablocie jest oryginalny egzemplarz atlasu, mogła jeszcze zrozumieć, ale informacja o tym, że mógł to być ten drogocenny egzemplarz, podarowany samemu cesarzowi... to nie do końca do niej przemawiało.

- Jest naprawdę piękna i w doskonałym stanie - powiedziała, ponownie przyglądając się opasłej księdze.

Dzieło było otwarte na samym początku. Drugą kartę zdobił przepiękny drzeworyt. Scena, którą Erna już widziała w tym budynku, a dokładnie w salonie, tam była jednak o wiele większa i kolorowa.

- Tak - przyznał jej rację Adolfo. - Czy wiesz może, słodziutka, dlaczego Wesaliusz zadedykował swoje dzieło cesarzowi?

Erna skrzywiła się na moment. Miała nadzieję, że nie powrócą już do tematu cesarza Karola Piątego i jego powiązań z tą księgą. Adolfo najwidoczniej był innego zdania.

- Prawdopodobnie miało mu to pomóc w otrzymaniu funkcji cesarskiego lekarza - odpowiedziała, jednak po minie Patino widać było, że nie usatysfakcjonowała go ta studencka odpowiedź.

- Taaak... - odparł przeciągle staruszek. - To oficjalna wersja, którą historycy raczą ludzi wszędzie, gdzie popadnie. Czy jednak tak było naprawdę?

Erna nie wiedziała, czy było to pytanie skierowane bezpośrednio do niej. Na wszelki wypadek wzruszyła obojętnie ramionami.

- Myślę, że odpowiedź może być zupełnie inna... - dokończył Adolfo, popadając nagle w głębokie zamyślenie.

Erna postanowiła raz jeszcze przyjrzeć się otwartej księdze. Na wszelki wypadek wolała jej nie dotykać. Gospodarz i tak wykazywał się dużą cierpliwością w stosunku do jej drobnych przewinień.

Nagle gabinet przeszył donośny niski dźwięk wydobywający się z okrągłego emaliowanego zegara, który wybił godzinę czternastą. Niedługo powinien zjawić się Kruger. Erna miała nadzieję, że z dobrymi dla niej wiadomościami. Odwróciła się i spojrzała w jedyne okno znajdujące się w gabinecie. Ciężkie krople deszczu raz po raz uderzały o szyby, dudniąc przy tym donośnie. Wiatr niebezpiecznie kołysał okolicznymi drzewami, a Erna zaczęła szczerze współczuć Krugerowi. Gdy wróci, na pewno nie będzie zadowolony. Zresztą – zastanowiła się przez chwilę, przywołując w myślach jego postać – ten człowiek chyba nawet nie wie, co to znaczy „zadowolenie”.

Tymczasem Adolfo poczuł spływające po jego czole krople potu. To wyrwało go z zamyślenia. Znowu miał atak. Nienawidził tego stanu i swojej słabości. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Wyjął z kieszonki marynarki białą chusteczkę i przetarł nią twarz. Zbliżył się do zamkniętej gabloty, czując, że musi jak najszybciej się o coś podeprzeć. Erna cofnęła się w bok, robiąc dla niego więcej miejsca.

- Przepiękny drzeworyt – odezwał się nagle Adolfo, spoglądając czule na księgę.

- Tak – zgodziła się z nim bez wahania Erna. – Aż trudno uwierzyć, że atlas posiada prawie trzysta takich cudownych ilustracji. Prawdziwy artystyczny majstersztyk – dodała, wpatrując się z podziwem w ozdobny frontysepis atlasu.

- Ponoć klocki drzeworytnicze wykorzystywane przy atlasie anatomicznym spoczęły na początku XIX wieku w bibliotece uniwersytetu w Monachium... – zagadnął Adolfo, licząc, że Erna pociągnie ten temat. Nie przeliczył się.

- Jednak zostały zniszczone podczas drugiej wojny światowej, w wyniku bombardowania miasta – podchwyciła temat Erna, sama dziwiąc się, jak wiele informacji ze studiów medycznych utkwilo w jej pamięci.

- Czy aby na pewno? - spytał tajemniczo Adolfo i po chwili ruszył wolno w kierunku biurka. Erna podążyła za nim wzrokiem. - A co, jeśli powiedziałbym ci, słodziutka, że jestem w posiadaniu jednego, choć chyba najbardziej znanego, klocka drzeworytowego? - oznajmił głośno, po czym zaczął szperać zawzięcie w jednej z licznych szuflad gabinetowego biurka. Wreszcie uniósł chudą dłoń ku górze, trzymając w niej kawałek prostokątnego drewnianego klocka.

- Voilà! - krzyknął uradowany, kładąc go na dębowym blacie.

Erna niepewnie podeszła do biurka. Nie, to nie ze strachu. Nie miała się czego bać. Jednak z każdą chwilą wszystkie wiadomości, które miała w głowie i które uważała za rzetelne, staruszek obracał w drobny mak. Spoglądała teraz na prostokątny, poczerniały na całej swojej powierzchni klocek. Prawdopodobnie od tuszu, którym pokrywano go, robiąc wielokrotne odbitki.

- To niesamowite... - wyszeptała, gładząc ręką po wypukłej powierzchni.

- Oczywiście, że niesamowite. Tym bardziej mając na uwadze to, ile kosztował mnie ten kawałek drewnianka - zaśmiał się Adolfo.

- Ten klocek drzeworytowy przedstawia sekcję zwłok z frontyspisu... - odgadła bezbłędnie Erna, dokładnie badając wzrokiem kawałek poczerniałego drewna. Ponownie nie mogła uwierzyć w to, na co właśnie patrzy.

- Mówiłem, słodziutka, że to najbardziej znany klocek drzeworytowy - rzekł wesoło Patino, szczerząc w uśmiechu perłowe zęby.

Nagle poczuł, jak drętwieją mu obie nogi. Musiał jak najszybciej usiąść. Ostrożnie podszedł do krzesła za biurkiem i usadowił na nim swoje schorowane ciało. Poczul ulgę i odprężenie. Spojrzał na swojego gościa. Ku jego zadowoleniu Erna Brown wciąż z ogromnym zaskoczeniem przyglądała się kawałkowi drogocennego drewna, obracając go ostrożnie w swoich delikatnych, kobiecych dłoniach. Adolfo dziwił się, jak szybko zdołał polubić tę dziewczynę. Była niesamowicie inteligentna i świetnie pasowała do ich

Stowarzyszenia. Nie mógł jednak jej tego zaproponować. Zasady były jasne. Albo sama wyrazi chęć przystąpienia do Stowarzyszenia, czując w środku wewnętrzny głód prawdy, albo... albo będzie żyła tak, jak zwykli ludzie tego świata. Kto wie, może kiedyś odnajdzie swoje powołanie. Jej wewnętrzny głód medycyny zwycięży i poprowadzi ją właściwą drogą życia. Na razie Adolfo postanowił obdarować ją pewnymi informacjami, które zakiełkują nieśmiało w jej sercu i sprawią, że może kiedyś dołączyć do ich grona. Takich ludzi jak ona w stowarzyszeniu zdecydowanie brakowało. Takich ludzi jak Erna Brown powinno być w stowarzyszeniu więcej. Na razie jednak traktował ją jako niezwykły zbieg okoliczności, a może i dar od swojego starego przyjaciela Cavalcantiego. Kto wie, co wyrabia po drugiej stronie życia ten nieobliczalny skurczybyk...

- Moja droga, tak piękne i dokładne drzeworyty mogły być zaprojektowane tylko w pracowni Tycjana - oznajmił Adolfo, wciąż wpatrując się w zafascynowaną klockiem drzeworytowym Ernę. - Co dziwne, do wielu nie dociera fakt, że nie tylko jego uczniowie, czyli Jan van Calcar czy Domenico Campagnola, stworzyli projekty drzeworytów.

- Tak, to prawda - wtrąciła Erna, nie odrywając wzroku od trzymanego przedmiotu. Wciąż gładziła opuszkami palców drewniane wypukłości drzeworytowego klocka. - Słyszałam, że Wesaliusz też miał w tym swój udział.

- Oczywiście - potwierdził z zadowoleniem Gospodarz. - Jednak mało kto wierzy, że sam Tycjan jest autorem wielu rycin.

- Tycjan? - zdziwiła się Erna. Szczerze wątpiła, aby tak wielki i rozchwytywany w tamtych czasach artysta tracił swój cenny czas na tworzenie ilustracji dla Andreasa Wesaliusza.

- Wątpisz, słodziutka? - spytał Adolfo. Musiał przyznać sam przed sobą, że uświadamianie tej oto młodej osoby małymi historycznymi ciekawostkami sprawiało mu ogromną przyjemność.

- Po prostu... - Erna zawahała się. Uniosła głowę i spojrzała na Gospodarza.

- Po prostu? - powtórzył Patino.

- Myślę, że tak wielki artysta, jakim był Tycjan, nie angażowałby się osobiście w projekty drzeworytowe do książki. Miał od tego swoich uczniów, swoją pracownię...

- Chyba że łączyłyby go z Andreasem Wesaliuszem nie tylko sprawy biznesowe, ale też osobiste - wpadł jej w słowo Adolfo. - Jak myślisz, słodziutka, czy przyjaciel byłby skłonny poświęcić swój czas dla przyjaciela?

- Myślę, że tak, ale...

- Ale? - Adolfo wiedział, o czym myśli Erna i czuł narastającą w nim euforię, że kolejny raz udało mu się szczerze ją zaskoczyć.

- Nie wydaje mi się, aby Tycjan i Andreas Wesaliusz się przyjaźnili - dokończyła Erna. - Gdyby tak było, na pewno ta informacja przetrwałaby do dzisiaj - dodała z przekonaniem. Dobrze pamiętała, że na wykładach o Wesaliuszu Tycjan pojawiał się tylko jako właściciel pracowni. Projekty drzeworytów wykonali jego uczniowie i sam Wesaliusz. Tak, dokładnie tak było. Gdyby faktycznie Tycjan przyjaźnił się z autorem *De humani corporis fabrica*, profesor Samuel z pewnością zbombardowałby jej grupę informacjami o tym podczas zajęć. Nie przypominała sobie jednak niczego takiego. Mogły to być tylko domysły Adolfo Patino.

- Słodziutka, nie od dziś wiadomo, że historia ludzkości jest przekłamana - odparł spokojnie Gospodarz. - Naginana, ubarwiana, zakrzywiana i dopowiadana na potrzeby tak zwanego większego dobra. Tym przynajmniej zasłaniają się wszyscy ci nic niewarci historyczni bandyci. A co, jeśli mam dowód na przyjaźń pomiędzy Tycjanem a Wesaliuszem? - wypalił nagle Adolfo. - Co, jeśli jestem w stanie udowodnić ci tu i teraz, słodziutka, że Tycjan podziwiał wielkiego Wesaliusza nie mniej, niż Wesaliusz podziwiał Tycjana? - rzekł z podnieceniem w głosie.

Erna westchnęła, po czym odłożyła klocek drzeworytowy na biurko. Zniecierpliwiony Patino, nie czekając na jej odpowiedź,

podźwignął się z krzesła, po czym podszedł do obrazu wiszącego tuż za nim.

- Oto on - powiedział, wskazując starczą dłonią na wiszące malowidło.

Erna uniosła brwi, nie za bardzo rozumiejąc, co ma na myśli stojący przed nią Gospodarz.

- Dowód - uściślij, Patino, widząc malujące się na jej twarzy niezrozumienie.

Erna już wcześniej zwróciła uwagę na ten niesamowity obraz. Gdy tylko weszła do gabinetu, malowidło przyciągnęło jej uwagę. Miało w sobie coś, co sprawiało, że trudno było oderwać od niego wzrok. Według Adolfo obraz miał być dowodem przyjaźni pomiędzy malarzem a Wesaliuszem. Ernie trudno było jednak połączyć obraz z tą relacją. Prawdę mówiąc, nie za bardzo wiedziała, co chciał jej pokazać wyraźnie podekscytowany Patino. Spoglądała to na obraz, to na Gospodarza, próbując doszukać się jakiegokolwiek podpowiedzi.

- Co sądzisz o tym obrazie? - spytał Adolfo.

- Jest... - Erna zawahała się przez chwilę, próbując znaleźć odpowiednie słowo. - Jest tajemniczy - odpowiedziała w końcu.

- Tak! - przyznał jej rację. - Jest bardzo tajemniczy, a to dlatego, że skrywa w sobie pewną prawdę. Jak już mówiłem, jest dowodem na ogromną przyjaźń pomiędzy Tycjanem a Andreaszem Wesaliuszem. Wiesz, kto jest autorem tego malowidła?

- Domyślam się, że Tycjan - odpowiedziała, równocześnie zastanawiając się, czy obraz wiszący przed nią jest reprodukcją czy też oryginałem.

- Oczywiście, że Tycjan - potwierdził Adolfo. - To najprawdziwszy Tycjan - podkreślił po chwili.

- Najprawdziwszy? - zdziwiła się Erna

- Najprawdziwszy. Powiem ci, słodziutka, w sekrecie, że oficjalnie... - Adolfo zamilkł raptownie. Obliznął językiem swoje suche wargi i rozejrzał się ostrożnie po pokoju. Wreszcie podszedł do Erny i wyszeptał jej do ucha. - ...oficjalnie oryginał znajduje się

w Państwowym Muzeum Ermitażu w Sankt Petersburgu, rzecz jasna. Jednak mówiąc tobie, że to najprawdziwszy Tycjan, miałem oczywiście na myśli, że...

- ...to jest oryginał! - dokończyła głośno Erna. Jej oczy rozszerzyły się.

- Ciii... - uciszył ją Gospodarz. Podeszedł szybko do otwartych na oścież drzwi gabinetowych i zamknął je.

- Tak, to jest oryginał, słodziutka, i kosztował mnie niemało, podobnie jak klocek drzeworytowy.

- Ale... ale jak wszedł pan w jego posiadanie? - chciała wiedzieć Erna, wciąż zastanawiając się, czy może w pełni zawierzyć słowom Adolfo.

- Powiedzmy, że druga wojna światowa była okresem bardzo sprzyjającym wejściu w posiadanie takich oto dzieł - poinformował ją Gospodarz.

- W takim razie co znajduje się w Sankt Petersburgu?

- Bardzo oryginalna... kopia - odpowiedział jakby z odrobiną satysfakcji w głosie.

Erna zaczęła analizować to, co właśnie usłyszała. Myślała, że nic nie może już jej w życiu zaskoczyć. Wydawało jej się, że świat nie kryje przed nią żadnych tajemnic. Do czasu, kiedy pojawiła się przez przypadek w tym oto dziwnym miejscu. W miejscu, w którym stała naprzeciwko oryginalnego obrazu Tycjana. Było to na tyle absurdalne, że wciąż czuła ogromny mętlik w głowie. Im mocniej wierzyła w słowa Adolfo, tym bardziej zastanawiała się, czy jej mózg nie uległ uszkodzeniu, gdy dzień wcześniej uderzyła głową o kierownicę. Ale gdy zaczynała wątpić, od razu nasuwało jej się jedno pytanie - co miałyby osiągnąć Gospodarz, karmiąc ją kłamstwami?

- Słodziutka, pozwól, że wrócę do tematu - rzekł Adolfo. Poklepał ją delikatnie po ramieniu i chwiejnym krokiem podeszedł do obrazu.

Erna postanowiła odrzucić na chwilę wszelkie wątpliwości i skupić się na tyle, na ile mogła, na jego słowach. Musiała przyznać, że

Gospodarz był w opowiadaniu ciekawostek medycznych prawie tak dobry, jak profesor Samuel. A może nawet i lepszy? Adolfo z czułością pogładził powierzchnię malowidła dłonią. W końcu odwrócił się i uśmiechnął. Zdawał sobie sprawę, że to, co zamierza powiedzieć tej dziewczynie, wprawi ją w jeszcze większe osłupienie. Miał tylko nadzieję, że nie pomyśli o nim jako o starym szaleńcu.

- Czy wiesz, słodziutka, jaki motyw w sztuce był najbardziej popularny w szesnastym wieku? - Erna pokręciła przecząco głową. - Motyw Marii Magdaleny - rzekł Adolfo, wskazując ręką obraz.

Erna zrozumiała, że kobieta uwieczniona na obrazie przedstawia tę właśnie postać.

- Obraz, na który teraz patrzymy, to tak naprawdę jego druga wersja. Pierwsza znacznie różni się od tego malowidła.

Erna zmarszczyła brwi. Właśnie dotarło do niej, że bardzo podobny obraz już widziała w tym hotelu. Nie zwróciła wtedy na niego szczególnej uwagi. Nie zainteresował jej tak, jak ten wiszący w gabinecie Gospodarza, jednak była pewna, że podobne malowidło rzuciło już jej się w oczy... tylko gdzie... Oczami wyobraźni błędziła po znanych jej zakamarkach hotelu, próbując przypomnieć sobie lokalizację podobnego malowidła.

- Schody... - wyszeptała nagle. Adolfo popatrzył na nią zaintrygowany. Przypomniała sobie. Podobny obraz wisi tuż przy *Alegorii Mądrości*, która wywarła na niej ogromne wrażenie. - Czy pierwsza wersja obrazu znajduje się na ścianie przy schodach? - spytała, chcąc się upewnić.

- Tak! - krzyknął Adolfo, klaszcząc w dłonie. Kolejny raz ta dziewczyna zaskoczyła go swoją inteligencją.

- Koło obrazu *Alegoria Mądrości*? - uściśliła.

- Dokładnie tam - przytaknął jej uradowany Adolfo. - Skąd, słodziutka, wiesz, jak nazywa się tamten obraz? - spytał zdumiony.

- Ach, to zasługa Cindy - przyznała Erna, po chwili cytując z pamięci: - „Z przeszłych doświadczeń, teraźniejszość postępuje roztropnie, aby nie szkodzić w przyszłych działaniach” czy... jakoś tak

- dodała na koniec, nie mając pewności, czy udało jej się dobrze zapamiętać to zdanie.

- Erno Brown - powiedział Patino poważnym tonem - z każdą chwilą coraz bardziej imponujesz mi swoją wiedzą.

Erna poczuła pieczenie w okolicy policzków. Zaczerwieniła się, co nie zdarzało jej się zbyt często, aby nie powiedzieć - w ogóle.

- Dziękuję - odpowiedziała cicho, próbując zasłonić twarz opadającymi luźno ciemnymi włosami. Czuła się niezręcznie. Nie była przyzwyczajona do takich komplementów.

- A więc, wracając do tematu, słodziutka, tam właśnie wisi pierwsza wersja obrazu Marii Magdaleny autorstwa Tycjana.

- I zapewne oryginalna? - rzuciła żartobliwie Erna.

- Oczywiście - potwierdził bez zastanowienia Adolfo, dodając: - Choć oficjalnie oryginał znajduje się w pałacu Pittich we Włoszech. - Uśmiechnął się do niej szeroko, ukazując prawie całe swoje sztuczne uzębienie.

Erna poczuła, jak racjonalne myślenie toczy w jej głowie ciężką walkę z naiwną wiarą. Adolfo kontynuował jednak, nie dając jej czasu na dokończenie tego starcia.

- Pierwsza wersja obrazu powstała w latach tysiąc pięćset trzydzieści trzy-tysiąc pięćset trzydzieści pięć. Tycjan przedstawił na nim Magdalenę przepełnioną skrucą, ze łzami w oczach, spoglądającą z utęsknieniem w niebo. Co więcej, na obrazie dominuje nagość Marii Magdaleny, co dla wielu symbolizuje rezygnację z dóbr doczesnych, choć dla mnie jest to po prostu symbol ubóstwa. Nie, nie takiego materialnego - sprecyzował, widząc niezrozumienie malujące się na twarzy Erny. - Chodzi o ubóstwo życiowe, o wybór życiowej drogi. Maria Magdalena, jak wiadomo, poszukiwała Jezusa. Ewangelia wg św. Łukasza mówi nam, że Jezus uwolnił ją od siedmiu złych duchów, czyli od ciężkiego opętania. Ta kobieta była nieszczęśliwa, jednak gdy poznała swojego zbawiciela, wszystko się zmieniło. Chciała robić to, co ważne jest dziś dla każdego chrześcijanina. Na tym obrazie Tycjan przedstawił początek jej drogi

do Chrystusa. Jej zagubienie i chęć odnalezienia prawdy. Rozumiesz, słodziutka?

Erna przytaknęła, próbując przypomnieć sobie dokładnie pierwszą wersję obrazu, tę wiszącą nad schodami. Prawdę mówiąc, wszystko to, o czym mówił Adolfo, mogłoby się zgadzać z malowidłem i mogło być prawdą. Spróbowała na chwilę wierzyć w to, o czym opowiada jej staruszek, by wreszcie dotrzeć do tego niezbitego dowodu przyjaźni, o którym słyszała na początku. Niespodziewanie zegar w gabinecie wybił godzinę piętnastą.

- To tyle, jeśli chodzi o pierwszą wersję obrazu. Nie jest on dowodem, jednak drogą do niego, a dokładnie do drugiej wersji, na którą właśnie patrzymy. - To powiedziawszy, skinął głową na znajdujące się tuż za nim malowidło. - Podejdź bliżej, słodziutka - zachęcił Adolfo.

Erna ominęła dębowe biurko i po chwili stanęła obok Gospodarza. Oboje wpatrywali się w drugą wersję obrazu Marii Magdaleny.

- Powiedz mi, moja droga, czym różni się ta wersja od pierwszej.

Erna przyglądała się z uwagą wiszącemu przed nią obrazowi. Widziała dużo różnic, choć obraz przedstawiał tę samą kobiecą postać w podobnej pozie.

- Pierwsze, co się rzuca w oczy - zaczęła ostrożnie, skupiając wzrok na malowidle - to brak nagości Marii Magdaleny.

- Mów dalej, słodziutka - zachęcił ją Adolfo.

- Jest też kilka dodatkowych elementów, które nie pojawiają się w pierwszej wersji, ale... - zamilkła, próbując lepiej przypomnieć sobie obraz przy schodach - ...ale nie jestem pewna - dokończyła, nie chcąc pałać jakiejś głupoty. Adolfo jednak pokiwał głową, zachęcając ją do kontynuowania. - Widzę, że na tym obrazie pojawia się otwarta księga, która - Erna zmrużyła oczy, aby rozpoznać ledwo widoczny element - spoczywa na ludzkiej czaszce.

Adolfo wydusił z siebie stłumiony okrzyk radości.

- Świetnie! - zachwycił się na głos. - A tło obrazu? Co możesz o nim powiedzieć? Czy różni się od pierwszej wersji?

- Na pierwszym obrazie tło jest mroczne i przygnębiające - odpowiedziała z namysłem Erna. - A tu widać niebo rozświetlone...

- ...promieniami zachodzącego słońca - dokończył Gospodarz, po czym spojrzał na nią zdumiony. Podziwiał jej umiejętność wnikliwej obserwacji. Ta dziewczyna bardzo mu imponowała. - I tak właśnie rozszyfrowałaś dowód przyjaźni pomiędzy Tycjanem a Wesaliuszem - powiedział, przyglądając jej się uważnie.

Erna przeniosła wzrok z obrazu na Gospodarza.

- Rozszyfrowałam? - powtórzyła niepewnie.

- Ależ oczywiście! - potwierdził Adolfo. - Choć widzę, że nie za bardzo jesteś tego świadoma. Pozwól, że cię naprowadzę. Tycjan namalował drugą wersję obrazu Marii Magdaleny w tysiąc pięćset sześćdziesiątym piątym roku, a więc już po tragicznej i niespodziewanej śmierci Andreasa Wesaliusza. Artysta długo nie mógł pogodzić się z jego odejściem, dlatego też stworzył ten oto obraz. Jak sama zauważyłaś, w drugiej wersji obrazu została dodana otwarta księga spoczywająca na ludzkiej czaszce. Jak myślisz, jaka to księga? - spytał Adolfo, spoglądając znacząco na gablotę stojącą tuż za Erną.

- *De humani corporis fabrica...* - wyszeptała zdumiona i nagle wszystko zaczęło układać się w sensowną całość.

- Tak, słodziutka! W poprawionym obrazie umieścił dzieło swojego przyjaciela Wesaliusza, tym samym oddając mu wielki hołd. W ten sposób Tycjan oznajmił ludziom, że dzieło Andreasa będzie kontynuowane po wieki mimo jego śmierci, którą symbolizuje zachodzące słońce. Jak wiemy, po każdym dniu następuje kolejny. Tak też dzieło Wesaliusza nigdy nie będzie zapomniane.

- A odziana Maria Magdalena? - spytała Erna. - Dlaczego Tycjan zrezygnował z jej nagości w drugiej wersji?

- W ten sposób artysta informował świat, że dzięki Wesaliuszowi odnalazł swoją życiową drogę.

- Jaką drogę? - spytała, chcąc powiązać ze sobą wszystkie informacje.

Adolfo chciał coś powiedzieć, lecz zamilkł raptownie.

- Jaką drogę odnalazł dzięki Wesaliuszowi Tycjan? - ponowiła pytanie.

Adolfo przygryzł dolną wargę. Na jego czole pojawiły się drobinki potu. Gospodarz poczuł, jak kolejny raz nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Zachwiał się niebezpiecznie do tyłu, ledwo łapiąc równowagę. Ostatkami sił doszedł do krzesła, siadając na nim. Poczuł ogromną ulgę.

- Dobrze się pan czuje? - spytała zaniepokojona Erna, patrząc, jak staruszek z wielkim trudem łapie oddech.

- Ta... tak - wysapał Adolfo, siląc się na uśmiech, który wyglądał bardziej jak grymas bólu.

Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się. Do środka wparował ogromny stwór, który trochę przypominał zdeformowanego człowieka.

A jednak nie jest to żaden potwór - stwierdziła po chwili namysłu zaskoczona Erna. To tylko Stefan Kruger. Przemoczony do suchej nitki i z krwawiącym obficie łukiem brwiowym stanął pośrodku gabinetu, łypiąc wrogo na Ernę Brown. Adolfo Patino utkwił spojrzenie w Stefanie. Erna dostrzegła, że wzrok Gospodarza wyrażał nie tylko zdziwienie, ale także wielki niepokój.

- Co ci się stało?! - krzyknął w jego kierunku, najwidoczniej zapominając o trawiącym jego ciało bólu.

Kruger, wciąż nie odrywając wzroku od Erny, wydyszał:

- Gałąź.

- Gałąź? - zdziwił się Gospodarz.

- Wielka gałąź złamała się od silnego wiatru i spadła na moją głowę, gdy wracałem z autostrady - doprecyzował Stefan, świdrując nienawistnym spojrzeniem stojącą przed nim dziewczynę.

- Ach! - jęknął przejęty Adolfo, po czym z wysiłkiem podniósł się pomału z krzesła. - To ta straszna pogoda. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze kilka dni temu zapowiadali piękne słońce i błękitne niebo. - Spojrzał z wyrzutem za okno, gdzie właśnie rozgrywała się pogodowa apokalipsa. Wiatr miotał drzewami w każdą możliwą stronę,

a ogromne, soczyste krople deszczu bębniły w szybę, jakby chciały się wedrzeć do ciepłego wnętrza gabinetu.

- Co z moim samochodem? - spytała Erna, nie za bardzo przejmując się stanem fizycznym Krugera. Przeszywali się właśnie wzrokiem i znowu żadne z nich nie zamierzało okazać słabości. Ernie było jak najbardziej obojętne, co się stało tej przerośniętej kreaturze. W tej chwili interesował ją tylko stan beżowego volvo.

- Nie działa - odparł krótko Kruger, nie siląc się na dalsze tłumaczenia.

- Nikogo przy nim nie było? - dopytywała, wpatrując się w jego wąskie oczy. W rozszerzone źrenice, które mówiły jej tylko jedno - nienawiść! Kruger skupiony był całym sobą na niej, i to w niezbyt przyjazny sposób. O nie! Buchał w nią nienawiścią, jakby to ona, Erna Brown, uderzyła go w głowę kawałkiem drewna. Choć gdyby tylko mogła, na pewno skorzystałaby z takiej okazji. Ten człowiek budził w niej coraz większą antypatię i ani odrobiny mu nie ufała.

- Nikogo - wycedził przez zęby Stefan. Krew powoli zalewała prawą część jego kwadratowej twarzy.

Erna zmarszczyła brwi. Co było nie tak? Co się stało, że jeszcze nikt nie namierzył jej samochodu i nie przybył z pomocą? Ta sytuacja przestała jej się podobać. Poczula się opuszczona. Słaba i samotna, jak małe bezbronne dziecko. Jak dziewczynka, która pewnej nocy ujrzała to, czego nie powinna... Wspomnienia eksplodowały na moment w jej głowie. Oderwała wzrok od Krugera i utkwiła spojrzenie w drewnianej podłodze. Na twarzy Stefana pojawił się uśmiech triumfu.

- Czy... czy zostawiłeś wiadomość w samochodzie? - spytała ponownie, spoglądając teraz w zimną otchłań błękitnych oczu Stefana.

- Wiadomość? - odezwał się nagle zdziwiony Adolfo.

- Dałam Stefanowi kartkę z wiadomością, na wypadek gdyby... - urwała nagle.

- Gdyby? - powtórzył za nią zainteresowany Gospodarz.

Erna zaczęła zastanawiać się, czy ta kartka coś zmieni. Gdyby chcieli, już dawno namierzyliby jej samochód i ją odnaleźli. Jednak nie zrobili tego. Pieprzone volvo stało rozkraczone na zakręcie, a oni – zacisnęła zęby – najwidoczniej wciąż nie wierzyli, że mogła powrócić „dawna ona”. „Ona”, czyli ta bezwzględna, perfekcyjna w swoim działaniu kobieta. Kto wie?! – krzyknęła w myślach. Kto wie, czy nie mieli kogoś awaryjnego do wykonania tego zlecenia? Może zakładali, że sobie nie poradzi? Że przysporzy więcej problemów niż korzyści? A teraz ją zostawili... samą sobie. I nagle zaświtało jej głowie jedyne sensowne wytłumaczenie. A może to i dobrze? Może potrzebuje takiego wyciszenia? Może robią to dla niej? Bo im zależy? Bo wiedzą, że taka specjalistka, jaką jeszcze do niedawna była, będzie trudna do zastąpienia? Ta myśl napęłniła ją choć trochę optymizmem. Teraz została sama, ale gdy wróci... gdy odnajdzie siebie... wszystko będzie jak dawniej. Będzie tak, jak kiedyś!

- Słodziutka, nad czym tak rozmyślasz? – Głos Adolfo wdarł się do jej głowy, sprowadzając ją do rzeczywistości. – Co to za wiadomość, którą otrzymał od ciebie Stefan?

- To informacja na wypadek, gdyby ktoś mnie szukał – odpowiedziała. – Czy zostawiłeś kartkę w samochodzie? – ponownie spytała Krugera. Stefan przeniósł wzrok z niej na Gospodarza, po czym odpowiedział bezbarwnym tonem:

- Tak.

Erna zrobiła coś, czego wolała nie robić, jednak zważywszy na sytuację...

- Dzięki – odpowiedziała równie beznamiętnie, odbierając od Kucharza kluczyki. – Lepiej już pójdę.

- Tak, tak, słodziutka – rzekł Adolfo. – A ja tymczasem zajmę się obrażeniami naszego Kucharza.

Po chwili Erna opuściła gabinet, kierując się w stronę swojego hotelowego pokoju.

Kruger wyjrzał na korytarz i odprowadził ją wzrokiem pod same drzwi. Jego prawa ręka spoczywała w kieszeni ciemnobłękitnych

jeansów, miętoląc między palcami mały kawałek papieru.

Rozdział 4

Zamknęła drzwi na klucz. Chciała побыć sama. Pozbierać myśli i... - spojrzała na przedmioty wystające spod łóżka - ...i zrobić z tym porządek. Wzięła plecak, po czym klęknęła na ziemi. Ręką zaczęła wyciągać zalegające pod łóżkiem przedmioty. Tym razem postanowiła spakować je tak, aby wszystko zgrabnie zmieściło się we wnętrzu plecaka. Taki miała plan, choć wiedziała, że wyjdzie jak zwykle - powrzuca wszystko byle jak. Mimo to spróbowała. Ubrania składała na drobną kostkę, kosmetyki włożyła do torebki jednorazowej (nigdy nie miała dość czasu, aby wreszcie kupić sobie kosmetyczkę), a brudną bieliznę upchała do małej, zewnętrznej kieszonki na przodzie.

Zaczęła rozmyślać nad rozmową, którą niedawno przeprowadziła z Gospodarzem. Staruszek na pierwszy rzut oka wydawał się nieco nawiedzony i niespełna rozumu. Z drugiej strony... - zanurkowała głębiej pod łóżko i chwyciła smycz, na końcu której był umieszczony dziennikarski identyfikator wstępu do Chalk River Laboratories - dlaczego miałby kłamać? Wspomnieniami powróciła do obrazu Marii Magdaleny wiszącego w gabinecie Patino, do klocka drzeworytowego i wreszcie do samej księgi *De humani corporis fabrica*... Poczowała, jak przez jej ciało przebiegł zimny dreszcz. To wszystko wydawało się niewiarygodne. To miejsce, te wszystkie wiadomości... - próbowała sięgnąć ręką czarny futerał, który jak na złość spoczął na samym środku podłogi pod łóżkiem. Bezskutecznie. Schyliła głowę i zanurkowała głębiej. Sytuacja, w której się znalazła, wydawała się snem... - wciąż nie mogąc dosięgnąć czarnego futerału, postanowiła się wycofać. Wysunęła szybko głowę i...

- Auuu... - jęknęła z bólu, uderzając potylicą o rant łóżka. To z pewnością nie był sen. To była dziwna rzeczywistość, w której się znalazła. A może tylko tak ją odbierała, bo jeszcze nie wróciła do

pełnej równowagi emocjonalnej? Jedno było pewne. Nie zamierzała teraz wyciągać czarnego futerału. Prawdę mówiąc, był bezpieczny tam, gdzie teraz leżał. Oparła plecak o nocną szafkę i opadła na łóżko. Poczła się senna. To pewnie przez pogodę – pomyślała, spoglądając na przygnębiający krajobraz za oknem. Powieki, które z każdą sekundą przybierały na wadze, pomału odcinały ją od rzeczywistości.

Obudziły ją dwie rzeczy. Pierwsza przypominała odgłos ryczącej Godzilli i wydobywała się z jej ściśniętego, wygłodniałego żołądka. Druga zaatakowała jej nozdrza nieznośnym zapachem stęchlizny. Wstała z trudem i podeszła do okna. Na zewnątrz wciąż było pochmurno. Choć tym razem robiło się ciemniej... mroczniej. Spojrzała na naręczny zegarek. Dochodziła godzina szesnasta. Poczła zawód. Nikt nie zbudził jej na obiad. Czy w tym hotelu przewidują taki posiłek? W jej brzuchu ponownie rozbrzmiał ponury dźwięk.

Nagle, jak na zawołanie, ktoś zapukał delikatnie w drzwi. Erna otworzyła je z nadzieją, że będzie to zbawienne zaproszenie na pyszny posiłek, którego tak bardzo potrzebowała. Nie myliła się.

- Gospodarz zaprasza do jadalni – poinformowała ją z uśmiechem Cindy, stojąc w otwartych drzwiach.

Miała na sobie granatową dopasowaną sukienkę i Erna zaczęła się zastanawiać, czy też nie powinna się przebrać do obiadu. Tylko w co? Prawdę mówiąc, nie wzięła nic poza tym, co już miała na sobie.

- Dziś obiad jest trochę później niż zazwyczaj, ale sama rozumiesz... - Cindy świdrowała ją swoimi zielonymi oczami. - Kucharz miał dzisiaj zadanie, z którego wrócił, jakby to ująć... lekko uszkodzony.

- Taa... - bąknęła Erna pod nosem. - Widziałam. Zdaje się, że to trochę moja wina - dodała, czując wyczekujące spojrzenie Cindy.

- No coś ty. - Walker pokręciła stanowczo głową. - Przecież nie jesteś władcą pogody. Po prostu Stefan miał pecha.

Erna wzruszyła obojętnie ramionami. Jego stan zdrowia mało ją obchodził.

- Idziemy? - spytała Cindy. Erna kiwnęła głową, po czym wyszła ze swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Chwilę później obie były już na dole.

- Nie musisz zamykać swoich drzwi do pokoju - zauważyła Cindy, gdy wreszcie wkroczyły do gwarnej jadalni. - Mogę cię zapewnić, że są tu tylko zaufane osoby.

Erna zaśmiała się niezręcznie, zmierzając do swojego miejsca przy stole, tuż obok Idy Abramovej.

- Tak, wiem. To tylko moje przyzwyczajenie. W domu też tak robię. Zamykam wszystko na klucz - skłamała, uśmiechając się krzywo do Cindy. Ta jednak spojrzała na nią zdziwiona, po czym bez słowa zajęła swoje miejsce.

W jadalni byli już wszyscy. Wszyscy prócz... Erna spojrzała na puste miejsce po drugiej stronie stołu. Brakowało tylko księdza Uchto.

- Nasz kochany Piotr dziś niedomaga - rzekł nagle Adolfo w jej kierunku. Erna oderwała wzrok od pustego krzesła i spojrzała na Gospodarza. - Stefan zanieś mu posiłek do pokoju. Biedaczek - na twarzy Patino pojawił się wyraz troski - musiało mu coś zaszkodzić. - Pokręcił ze smutkiem głową.

Ida przez chwilę wsłuchiwała się w jego słowa, po czym prychnęła pod nosem z niesmakiem. Erna popatrzyła na nią zdziwiona.

- No co się patrzy? - wymamrotała Ida. - Lepiej jedz, póki gorące i póki... - rzuciła nienawistne spojrzenie w kierunku Charlesa Bennetta - i póki ta jamochłona wszystkiego nie pozazera.

W przeciwieństwie do śniadania obiad obfitował w o wiele przyjemniejsze posiłki, w których Erna mogła do woli przebierać. Oczywiście szerokim łukiem ominęła wszelkiego rodzaju owoce morza. Z chęcią jednak sięgnęła po kawałek dobrze wysmażonego mięsa, który na jej niewykształcone kulinarnie oko był prawdopodobnie wieprzowiną.

- Och, dobry wybór, kochanieńka - wydusiła z siebie niewyraźnie Cecile, która ze smakiem pochłaniała ogromny kawał golonki. - Ta

wieprzowina jest doprawdy wyborna! Nasz Kucharz wybrał idealne mięso. Choć jadałam w największych i najbardziej znanych restauracjach tego świata, to muszę przyznać, że dziś...- z trudem przełknęła wielki, tłusty kawał golonki - dzięki naszemu wspaniałemu Kucharzowi miałam okazję zjeść coś zjawiskowego! - zaświergotała, wchodząc w sam środek tyłka Stefana Krugera. Erna kiwnęła głową i uśmiechnęła się na tyle, na ile pozwoliły jej na to zdolności aktorskie.

Obfity posiłek zaspokoił jej wygłodniały żołądek. Mięso było smaczne i świetnie przyrządzone, o zgrozo, przez głupiego Krugera. Nie zamierzała jednak głośno chwalić go za jego kulinarne osiągnięcia. Przecież była to jego praca, a każdy powinien wykonywać swoją robotę jak najlepiej. To oczywiste i nie było w tym nic nadzwyczajnego. Jednak Erna szybko dostrzegła, że Cecile, która z każdym kęsem rzucała pochwałę w kierunku dumnego Kucharza, była zdecydowanie innego zdania. Zresztą nie tylko ona. Zarówno Cindy, jak i gruby Bennett co rusz stękali z zachwytu, uniesieni jedzeniowym orgazmem. Tylko Gaku Hara milczał, w skupieniu spożywając swój posiłek i celebrując każdy mały kęs. Erna spostrzegła jego ukradkowe spojrzenia. Nasilone zwłaszcza przy spożywaniu przez niego muli w białym winie. Z każdym skonsumowanym wnętrzem mula świdrował ją nieufnym wzrokiem. Dziś ubrany w różowe, dopasowane rurki i satynową białą koszulę, mimowolnie przyciągał wzrok każdego z zebranych przy stole gości. Ida Abramova także nie wznosiła okrzyków i jęków zachwytu nad spożywanym posiłkiem. Może dlatego, że ledwo trzymała głowę nad talerzem. Była porządnie wstawiona, o czym świadczył chociażby alkoholowy aromat zmieszany z jej mocnymi i zapewne drogimi perfumami.

Erna skończyła posiłek jako jedna z pierwszych. Zanim jednak odeszła od stołu, pozwoliła na to, aby wszystko, co zjadła, uleżało się wygodnie w pękatym brzuchu. Gdy człowiek siedzi przy stole i przestaje jeść, zaczyna nasłuchiwać i obserwować. Niczym

niewidomy wyostrza zmysł słuchu i niczym głuchy wyostrza zmysł wzroku.

Jakie to śmieszne – stwierdziła, opierając się na swoim krześle – ... gdy człowiek wsłucha się w odgłosy, jakie wydają z siebie konsumujący ludzie. Niczym dzikie, wygłodniałe zwierzęta. Mlaskanie, gryzienie, przelitykanie, popijanie, cmokanie... Było w tym coś zabawnego, ale też przerażającego... Erna poczuła się teraz, jakby była osaczona przez mięsożerne bestie, które właśnie spożywają na wpół żywą jeszcze, upolowaną ofiarę. Rozszarpują ją wielkimi zębami i nielitościwie pochłaniają... Jej wyobraźnia wybiegła za daleko. Potrząsnęła głową i spojrzała na stół. Na szczęście nie leżała na nim żadna półżywa ofiara, tylko resztki wykwintnych dań przygotowanych przez Krugera, a bestie wokół zamieniły się w zwykłych ludzi.

Po obiedzie Erna zaczęła się zastanawiać, jak spożytkować swój wolny czas. Najchętniej poszłaby w stronę autostrady z nadzieją na złapanie stopa w kierunku Ottawy. Pogoda jednak skutecznie zniweczyła jej pomysł. Postanowiła więc przejść się po hotelu Hommanger, a przynajmniej zajrzeć tam, gdzie mogła.

Nie przeszkadzając zapracowanemu Krugerowi, który z wielkim plastrem nad okiem porządkował stół po obiedzie, wyszła z jadalni i po chwili znalazła się w holu. Bładoczerwone drzwi wyjściowe delikatnie stuknęły o futrynę, walcząc z naporem szalejącego na zewnątrz wiatru. Choć było dopiero wpół do szóstej, mrok na zewnątrz zmusił Gospodarza, aby już teraz oświetlić wnętrza sztucznym światłem. Pięcioramienny żyrandol rzucał ciepłą, lekko pomarańczową poświatę na kontrastujące z nią, iście grobowe ściany. Ludzkie szkielety tworzące przerażające płaskorzeźby na szarej, chropowatej ścianie i gipsowe głowy aniołów znajdujące się w każdym możliwym miejscu holu sprawiły, że Erna poczuła się jak w krypcie. Przerażającym, cmentarnym miejscu, w którym liczy się tylko śmierć. Jej drobne jasne włoski na rękach stanęły dęba. Objęła dłońmi ramiona, jakby to miało ją ochronić przed ewentualnym

atakiem ściennego kościotrupa. Mimo tego wszystkiego, a może tylko za sprawą pięknego, przyozdobionego czystym kryształem żyrandola, wewnątrz po chwili straciło na swej groteskowości na rzecz nieodkrytej tajemnicy i przepychu. Zresztą o gustach...

- O gustach się nie dyskutuje - zwrócił jej, pewnego dnia, uwagę tonem pełnym urazy Bobby.

- No wiesz. Pytałeś mnie o zdanie, więc... ee... oceniłam - powiedziała mu wtedy, starając się nie wybuchnąć śmiechem.

Bob zaprosił ją pewnego niedzielnego wieczoru do siebie, chcąc pochwalić się swoimi (jego zdaniem) wypasionymi spodniami.

- Ale co ci się w nich nie podoba?! - wykrzyknął poirytowany.

- Ty - odpowiedziała krótko.

- No dzięki - mruknął Bobby, nie kryjąc urazy. - Myślałem, że mogę na ciebie liczyć!

- Możesz - odparła drżącym głosem, ledwo powstrzymując wybuch śmiechu. Bob odwrócił się do niej plecami, ukazując w całej okazałości swój opięty tyłek. - Możesz, ale w tych ee... spodniach wyglądasz jak...

- Jak co?! - odwrócił się ponownie do niej i pochylił w jej kierunku.

- No powiedz! Proszę bardzo! - warknął urażony, zniżając swoją włochatą głowę w stronę siedzącej na fotelu rozbawionej przyjaciółki.

I w tym momencie, niespodziewanie, guzik od nowych spodni Boba postanowił ożyć. Wystrzelił prosto w jej czoło i odbił się w niezidentyfikowanym kierunku. Bobby gwałtownie się wyprostował. To był błąd. W pokoju dało się słyszeć dźwięk rozdieranego materiału.

- O cholera... - jęknął, kręcąc się wokół własnej osi i próbując dostrzec swój tyłek.

Erna złapała się za czoło, jednak zamiast wydać z siebie jęk bólu, zaczęła się śmiać. Śmiać tak głośno i szczerze, że w końcu sam Bobby dał się ponieść tej dzikiej radości. W końcu, po godzinie, przyznał, że miała rację. Te spodnie mu nie pasowały.

To były jeszcze te czasy, kiedy Erna potrafiła się śmiać. Kiedy nie popadła w ten... nędzny... wyniszczający... nastrój. Myślami powróciła do rzeczywistości i zorientowała się, że trzyma swoją prawą dłoń na czole. Czuła teraz w okolicy skroni delikatnie pulsowanie. Guz, którego nabawiła się w beżowym volvo, wprawdzie nie przypominał już góry z zaokrąglonym czubkiem, jednak wciąż tam był, o czym świadczyła żółto-fioletowa plama wielkości jednodolarowej kanadyjskiej monety.

Erna spojrzała w kierunku schodów. Na ścianie nad nimi dostrzegła interesujący ją obraz. Jak on się nazywał? – próbowała sobie przypomnieć. *Alegoria Mądrości...* – olśniło ją po chwili. Coś znów ciągnęło ją w jego kierunku. Czy rzeczywiście mógł być oryginalny? Czy to mógłby być prawdziwy obraz Tycjana? Nie była wielkim znawcą sztuki ani nawet tym małym, jednak wiedziała o Tycjanie wystarczająco dużo, aby stwierdzić, że dzieła tak wielkiego malarza nie mogły tak po prostu wisieć w jakimś podupadającym hotelu w lesie. Jednak zaledwie kilka sekund później stała już na schodach wpatrzona w to jedno malowidło. Malowidło, które budziło w niej dziwne emocje. Płótno musiało być naprawdę stare. Erna skupiła wzrok na obrazie. W niektórych miejscach farba była popękana. To jednak nie odbierało mu uroku. Wręcz przeciwnie! To sprawiało, że obraz wyglądał jeszcze bardziej... bardziej... próbowała znaleźć odpowiednie słowo.

- Tajemniczo... - dokończyła na głos.

- Chyba naprawdę podoba ci się ten obraz - usłyszała dobiegający z dołu schodów znajomy głos. Spojrzała w jego kierunku. To Cindy stała na pierwszym stopniu i przyglądała jej się z zainteresowaniem. Po chwili dziewczyna wspięła się wyżej i stanęła tuż obok niej.

- Jest fascynujący - odpowiedziała Erna.

- Tak, to prawda - przytaknęła jej Cindy. - Czy wspominałam ci, kto został uwieczniony na tym obrazie? Zresztą... przepraszam! Nie chcę cię zanudzać. Nawet nie wiem, czy cię to interesuje...

- Interesuje! - oświadczyła bez zastanowienia Erna. Sama zdumiała się swoją ciekawością. Jednak co innego miała do roboty? Przynajmniej mogła się czegoś dowiedzieć.

Cindy uśmiechnęła się, po czym przeniosła wzrok na obraz.

- Twarz pośrodku to oczywiście autoportret samego Tycjana, ale tego pewnie się domyśliłaś.

- Tak... - odpowiedziała Erna. Już wcześniej się zorientowała, że to musi być wizerunek malarza.

Cindy kontynuowała:

- Pod Tycjanem widnieje głowa lwa. Natomiast osoba po lewej stronie obrazu, widziana z profilu, to Marco.

- Kim był Marco?

- Marco był krewnym Tycjana. Na obrazie, tuż pod jego portretem, namalowana jest głowa wilka.

- Co wspólnego mają te zwierzęta z przedstawionymi postaciami? - spytała zdziwiona Erna.

- Spokojnie, do tego jeszcze dojdziemy - oświadczyła Cindy, a Erna zaśmiała się niezręcznie. Znowu odezwała się w niej nutka dziecięcej niecierpliwości. - Trzecia osoba z profilu, po prawej stronie, to syn Tycjana - kontynuowała Walker.

- No proszę - odezwała się Erna. - Nawet nie widziałam, że Tycjan miał syna.

Na jej szczere przyznanie się do niewiedzy Cindy odpowiedziała tylko delikatnym uśmiechem.

- Miał syna, który nazywał się Orazio - rzekła, wskazując palcem na najmłodszą twarz na obrazie.

- Domyślam się, że łeb zwierzęcia pod Orazim to pies?

- Dobrze się domyślasz - potwierdziła jej przypuszczenia Cindy.

- To teraz przejdźmy do konkretów - oświadczyła Erna. - Co łączy te zwierzęta z przedstawionymi postaciami? Dlaczego zostały namalowane w takim samym ułożeniu jak ludzkie portrety?

Cindy milczała przez moment, wpatrując się w malowidło, po czym wreszcie odparła:

- Oficjalnie obraz odczytuje się jako biologiczny zegar męskiego życia. Okres młodzięczy, dojrzały i starczy. Głowy zwierząt natomiast symbolizują drogę życia. Pies to niebiańskie odrodzenie, lew symbolizuje właściwą drogę, która prowadzi do celu, a wilk oznacza reinkarnację po śmierci.

- Domyślam się więc, że jest też wersja nieoficjalna? - spytała podejrzliwie Erna.

- Oczywiście - potwierdziła Cindy.

- Więc? - ponaglała ją Erna. Zawsze była ciekawska. Od najmłodszych lat musiała wiedzieć wszystko na temat, który ją choć trochę interesował.

- Męskie głowy symbolizują wierność i trwałość we wspólnym działaniu. Oznaczają kontynuowanie dzieła. Zamknięty krąg...

- Dzieła Wesaliusza? - wypaliła nagle Erna. Sama nie wiedziała, dlaczego z jej ust wyszły takie słowa.

Cindy spojrzała na nią zaskoczona. Przez chwilę jej wyraz twarzy wyrażał zdumienie wymieszane z nutką przerażenia. To drugie jednak szybko zniknęło.

- Skąd to wiesz? - spytała, świdrując ją badawczo spojrzeniem.

Erna zaczęła gorączkowo rozważać, czy może wspomnieć jej o rozmowie z Adolfo Patino. O tym obrazie, o którym jej opowiedział, o jego znaczeniu, które bardzo przypominało sens tego obrazu... przynajmniej nieoficjalnie...

- Czyżby Adolfo Patino rozmawiał z tobą na ten temat? - To powiedziawszy, Cindy wskazała głową na obraz.

- Tak - przyznała wreszcie Erna. - To znaczy nie - poprawiła się po chwili i zamilkła.

- A jaka jest oficjalna wersja? - spytała Cindy. Wyraźnie czekała na jakieś wyjaśnienie.

Erna odetchnęła głęboko i postanowiła dłużej nie trzymać jej w niepewności.

- Pan Patino opowiadał mi o tym obrazie - wskazała ręką na malowidło wiszące tuż przy Alegorii Mądrości - i o jego drugiej wersji

- dokończyła.

- Ach... no tak - odpowiedziała niepewnie Cindy.

Erna zauważyła, jak na twarzy i szyi Walker pojawiają się czerwone plamy podobne do wylewów na rękach uwidaczniających się przy testach alergicznych. Jej usta zwężyły się, a wzrok nie był już tak przyjemny.

- No cóż. To tyle - wycodziła przez zęby, po czym bez pożegnania skierowała się w dół schodów. Jej głos był zimny i jakby oficjalny.

- Ale... - rzuciła za nią zaskoczona jej zachowaniem Erna - jaka jest nieoficjalna wersja z głowami zwierząt?

Cindy, o dziwo, przystanęła na ostatnim schodku i odwróciła się w jej stronę. Nie patrzyła na nią jednak już tak przyjaźnie. Jej spojrzenie przeppełniał chłód.

- Oficjalna wersja z głowami zwierząt jest jak najbardziej trafna - odpowiedziała jednym zdaniem, po czym obróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami salonu.

Erna jeszcze chwilę wpatrywała się w dół schodów. Wreszcie ponownie spojrzała na Alegorię Mądrości. Wprawdzie nie była mężczyzną, jednak gdyby miała skłonić się ku oficjalnemu wyjaśnieniu znaczenia obrazu, mogłaby zadać sobie jedno istotne pytanie - w jakim stadium życia obecnie się znajdowała? Czy mając dwadzieścia osiem lat, pasowała do młodzieńczego okresu? To miała zdecydowanie za sobą. A więc wiek dojrzały? Na jej twarzy pojawił się smutek. Rzuciła ostatnie spojrzenie na postać starego Tycjana, po czym ruszyła w górę schodów. Gdy wchodziła do swojej sypialni, naszła ją nagła myśl. Fizycznie była dojrzała, ale psychicznie bliżej jej było do okresu starości.

Nie miała ochoty na kolację. Chciała to wytłumaczyć Gospodarzowi, który mimo to usilnie próbował przekonać ją do zmiany zdania. Po kilku minutach dyskusji ostatecznie postawił na swoim i tak Erna znalazła się ponownie tego dnia w jadalni, konsumując drożdżową bułkę z truskawkową marmoladą. Ksiądz Uchto nie pojawił się i tym

razem. Jego miejsce było puste i tworzyło widoczną przerwę między Adolfo Patino a grubym Charlesem.

Wreszcie kolacja dobiegła końca. Mogła teraz udać się do swojego pokoju i zapaść w głęboki sen. Jutro pogoda na pewno się poprawi. Będzie mogła wybrać się w stronę autostrady i spróbować wydostać się z tego miejsca. Taki miała plan. Wzięła ostatni łyk czarnej herbaty i dopiero teraz zorientowała się, że została przy stole sama. Szybko podniosła się z krzesła i ruszyła przed siebie. Poczowała się senna. Pora oddalić się do krainy różowych kucyków Pony! – stwierdziła, jednocześnie potężnie ziewając. Chwilę później minęła się w drzwiach z Krugerem, który sprzątając po kolacji, latał jak oszalały z jadalni do kuchni i z powrotem. Jego wielką głowę wciąż zdobił biały opatrunek. Oczywiście nie omieszkał rzucić w jej stronę okrutnego spojrzenia, co szczerze po niej spłynęło.

Gdy znalazła się w głównym holu, jej wzrok mimowolnie powędrował przed siebie. Przystanęła, przyglądając się zastałej sytuacji. Przy schodach stał Charles Bennett. Oparty figlarnie o balustradę niczym mors o górę lodową, machnął szarmancko w stronę Cindy, przepuszczając ją na schodach tym pokraczynym, w jego wykonaniu, gestem. Chwilę później równie szarmancko wlepił swoje kaprawe oczka w oddalającą się pupę dziewczyny i z podziwem, śliniąc się przy tym obficie, kręcił siwą głową. Erna westchnęła głęboko i ruszyła w stronę schodów.

- Panie przodem! – Charles ożywił się na jej widok. Miał nadzieję na kolejny pokaz kobiecych wdzięków. Erna szybko wyprowadziła go z błędu.

- Nie śpieszy mi się – odpowiedziała szorstko, mierząc go swoim legendarnym w pewnych kręgach stalowym spojrzeniem.

Charles ewidentnie się zakłopotał. Odkasznął dwukrotnie w pięść i oblizał swoje wąskie wargi, które były ledwo widoczne spod ogromnej siwej brody. Rzucił jej jeszcze krzywy, nerwowy uśmiech, po czym zawiedziony zaczął pomału gramolić się na górę. Był tak szeroki, że Erna nie mogła iść obok niego. Zresztą nawet tego nie

chciała. Bezpiecznie podążała za jego grubym cielskiem, w odległości jednego stopnia. Krok za krokiem, tuż za grubym morsem, mozolnie wspinali się na piętro.

Nie zdążyli dojść do połowy schodów, gdy z Charlesa zaczęły wydobywać się odgłosy chrapliwego sapania. Nie to było jednak najgorsze. Apogeum miało dopiero nadejść. Charles właśnie stawiał kolejny krok na stopniu, gdy nagle z jego wielkiego tyłka dobiegł w stronę Erny piskliwy, przerywany dźwięk, któremu wtórował odór podobny do smrodu dziesięciu trupów. Trupów, które postanowiły wyjść z grobów i się na siebie wyrzygać. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie ją spotkało. Jej ciało na szczęście zareagowało w błyskawiczny sposób. Nozdrza samoistnie się zablokowały, usta solidnie zacisnęły, a jej nogi pognały ku górze, zwinnie omijając zasapanego Charlesa.

- Phi - prychnął pod nosem Bennett, odprowadzając wzrokiem znikającą za zakrętem Ernę. - A mówiła, że się jej nie śpieszy - wysapał widocznie zdegustowany, wywracając teatralnie oczami.

Tymczasem Erna była już bezpieczna. Jak błyskawica wparowała do swojego pokoju i pierwszy raz, odkąd tu przebywała, zapach stęchlizny kompletnie jej nie przeszkadzał. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie o niekontrolowanym pierdzie Bennetta. Poczula nieodpartą ochotę wzięcia oczyszczającego prysznic. I to jak najszybciej! Rozebrała się do naga i weszła do łazienki.

Chłód bijący z białych kafli nieprzyjemnie szczypał ją w stopy. Starodawna żeliwna wanna, stojąca przy samej ścianie naprzeciwko drzwi, nie zachęcała do kąpieli. Była wysłużona i widocznie nikt nie kwapił się do jej odnowienia. Erna nie miała jednak wyjścia. Chęć zmycia z siebie odoru, który wydobył się z tyłka grubego Bennetta była silniejsza. Chwyciła słuchawkę i odkręciła wodę. Najpierw w wannę uderzyła ciemna miedziana ciecz. Po dłuższej chwili woda zmieniła jednak kolor na mleczny. Erna odczekała jeszcze chwilę z nadzieją, że woda stanie się przejrzysta. Niedoczekanie. Na takim odludziu było to raczej mało prawdopodobne. Cud, że w ogóle mają tu

wodę! – pomyślała i nie czekając dłużej, weszła do wanny. Kucnęła przy żeliwnym kranie. Delikatne ciepło otuliło jej zmarznięte nogi. Uniosła słuchawkę wyżej, oblewając kark i plecy ciepłym strumieniem. Poczuła, jak jej ciało się odpręża. Z jej oliwkowej skóry zaczęła unosić się delikatna para. Tego jej było trzeba. Zbawienny prysznic trwał niecałe pół godziny.

Wreszcie była gotowa do spania. Ubrana w czystą bieliznę, wsunęła się pod zimną kołdrę i nasunęła ją po samą szyję. Było jej tak dobrze. Poczuła, jak jej ciało nabiera odpowiedniej temperatury. Utkwiła wzrok w suficie. Dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo jest popękany. Gdzeniegdzie zdobyły go ledwo widoczne szare pajęczyny. Może tak miało być? Może w hotelu Hommanger dojdzie do siebie i odzyska swoje dawne „ja”? Zdążyła jeszcze zadać sobie te dwa pytania, po czym rozłączyła się z rzeczywistością. Po chwili jej niczego nieświadome ciało bezwładnie leżało na łóżku, a umysł zaczął szykować dobrze jej znany senny koszmar.

Znów widziała ten sam dom. Był wieczór. Ciemniejszy niż inne wieczory. Była postać w czarnym kombinezonie, która wcale a wcale nie była zębowa wróżka, choć w kieszeni schowała ząb zabitego mężczyzny. Była też mała dziewczynka, która wszystko obserwowwała swoimi czarnymi i niewinnymi oczami. Ukryta za drzwiami, zastanawiała się, kim jest ten nocny gość. Czego może chcieć od jej tatusia?

Postać w czarnym kombinezonie wykonała zlecenie. Mężczyzna został zlikwidowany. Wyrwany ząb z tatuażem, świadczącym o przynależności do gangu, był tego dowodem. Księżyc w pełni rozświetlał wnętrze sypialni. Niezapowiedziany gość mógł opuścić to miejsce. Ruszył w stronę drzwi. Po drodze minął toaletkę z wielkim lustrem. Jego odbicie było takie znajome. Sypialnię wypełniły złowrogie szepty:

- Znasz to odbicie!*
- Przyjrzyj się dobrze!*
- Znasz tę postać!*

- Spójrz w lustro! - i nagle sen potoczył się inaczej niż zazwyczaj. Postać w kombinezonie, która już wyciągała dłoń w stronę klamki, cofnęła się o kilka kroków i zastygła w bezruchu przy samym lustrze. Wielkim lustrze, w którym utrwaliło się, niczym fotografia, wyraźne odbicie.

Erna stała przy łóżku i patrzyła. Widziała nieruchome oczy dziewczynki spoglądające przez szparę otwartych drzwi. Widziała niewyraźne odbicie postaci w czarnym kombinezonie. Wszystko stanęło w miejscu. Senna pauza. Tylko ona mogła poruszać się w tym koszmarze do woli. Sypialnię znów wypełniły przerażające szept, które boleśnie wwiercały się w jej głowę.

- Znasz to odbicie! Znasz tę postać! Spójrz w lustro!

- Dajcie mi spokój! - krzyknęła, choć nie wiedziała, do kogo kieruje te słowa.

Usiadła na rogu łóżka, chowając twarz w dłoniach. Zaczęła płakać. Płakać nad swoim losem. Nad losem małej dziewczynki za drzwiami i losem postaci w czarnym kombinezonie. Szept jednak nie miały zamiaru się poddać. Były coraz głośniejsze. Coraz bardziej dotkliwe. Uderzały prosto w jej serce.

- Spójrz w lustro! Przyjrzyj się dobrze!

Była tym zmęczona. Może to uwolni ją wreszcie od tego koszmaru? Może to wszystko się skończy?! Oderwała dłonie od wilgotnej twarzy. Wytarła oczy w rękaw. Czy w śnie było to naprawdę istotne? Wzięła głęboki oddech. Wstała z łóżka i ostrożnie zaczęła podchodzić do lustra, wyrastającego z drewnianej toaletki niczym drzewo z ziemi. Minęła niezapowiedzianego gościa zastygłego w bezruchu, którego odbicie twarzy było utrwalone tuż przed nią. Jeszcze tylko kilka kroków dzieliło ją od prawdy.

- Znasz tę postać! Znasz to odbicie! - usłyszała za swoimi plecami.

Drgnęła przerażona. Spoglądała na odbicie, które było jej bardzo bliskie. Tak... znała tę postać! Znała ją bardzo dobrze. Właśnie patrzyła na swoją twarz, na swoje oczy i nos wyłaniające się spod

czarnej maski. To ona... to ona była postacią w czarnym kombinezonie! Ponownie zaniosała się płaczem.

Czas w jej sennym koszmarze znów ruszył do przodu. Niezapowiedziany gość minął ją, jakby była niewidzialna i z rozmachem otworzył drzwi sypialni.

- To nie tak miało być! - krzyknęła w jej kierunku. - To nie tak miało być! - powtórzyła, doniośle szlochając.

Ich oczy spotkały się. Mała dziewczynka spoglądała przerażona na stojącą przed nią NIE Wróżkę Zębuszkę.

- Przepraszam... - jęknęła Erna, czując rozsadzający ból w klatce piersiowej. - Przepraszam... - wyszeptała raz jeszcze, spoglądając załzawionymi oczami na dziewczynkę.

W tym miejscu koszmar dobiegł końca. Erna obudziła się w środku nocy. Poduszka była mokra od łez.

- Przepraszam... - wyszeptała już w rzeczywistości. Utkwiła nieobecne spojrzenie w suficie. Długo nie mogła zasnąć. Jednak to właśnie tej nocy uzyskała przebaczenie... od samej siebie.

Rozdział 5

Następnego ranka za oknem przywitała ją gęsta mgła. Tak gęsta, że Erna z trudem dojrzała pierwszy rząd drzew otaczający hotel Hommanger.

- No pięknie... - jęknęła. Nie były to najlepsze warunki pogodowe, aby wybrać się przez las w kierunku autostrady.

Na dole, w jadalni, postanowiła nie popełnić tego samego błędu, który zrobiła przy wczorajszym śniadaniu. Odrzuciła więc ugotowane w skorupce jajka ze swojego dzisiejszego menu. Postanowiła znów pożywić się ciepłą i pachnącą drożdżami bułką, na którą nałożyła sporą warstwę masła i jeszcze większą ilość śliwkowych powideł. Połykając z trudem zbyt duży kawałek pieczywa, spojrzała na przeciwległe puste siedzenie.

- Książd Uchto dalej źle się czuje? - spytała siedzącego przy stole Gospodarza. Adolfo Patino miał dziś na sobie garnitur dopasowany o wiele lepiej niż wczoraj. Czysta biel silnie kontrastowała z jego karnacją, jednak idealnie pasowała do siwych włosów.

- Tak, słodziutka. Poinformował nas, że dziś musi oddać się modlitwie.

- Mhm - odpowiedziała krótko, przełykając kolejny kęs bułki.

- Naturalnie Stefan zanieś mu posiłek do pokoju, aby nie padł z głodu. Nasz biedaczek... - dodał z troską Patino i chwycił za filiżankę wypełnioną pachnącą orzechami kawą.

- Jakby to miało jakieś znaczenie - burknęła pod nosem Ida, na co Gospodarz solidnie zakrztusił się pierwszym łykiem kofeinowej cieczy. Gdy zapanował nad oddechem, szybko zmienił temat.

- Jak ci smakują bułki autorstwa naszego zdolnego Kucharza?

- Och... - zachwyciła się teatralnie Erna. - Są oczywiście prze... - zwyczajne - dokończyła w myślach, jednak wersja dla Gospodarza brzmiała inaczej: - ...pyszne.

- Cieszy mnie to niezmiernie, słodziutka - odparł z uśmiechem Patino. - Korzystaj z naszego dobrodziejstwa, jakbyś była u siebie!

Erna skinęła głową w podziękowaniu. Ida tymczasem skomentowała całą sytuację pogardliwym prychnięciem, po czym skupiła się na pochłanianiu, filiżanka po filiżance, całego dzbanka wody. Tego ranka, co stawało się już chyba tradycją jej pobytu w hotelu, męczył ją wielki kac.

- Myślę, że po śniadaniu wyruszę w stronę autostrady. Złapać jakąś oka...

- W żadnym wypadku, słodziutka! - wpadł jej w słowo Adolfo. - Czy widziałaś, jaką gęstą mgłę mamy za oknem? Jak Boga kocham, takiej mgły w swoim życiu jeszcze nie widziałem!

- Tak, ale...

- Żadne ale! - przerwał jej znów Gospodarz. - To niebezpieczne, abyś teraz wybrała się w stronę autostrady. Możesz się zgubić. Co więcej, przez taką słabą widoczność żaden samochód nie zobaczy cię na poboczu. Doprawdy, słodziutka, nie widać nic na odległość dwóch metrów!

Erna popatrzyła na niego z rezygnacją. Wiedziała, że nie miała szansy w sporze z tym staruszką. Zresztą mgła była naprawdę gęsta i również wątpiła, aby ktokolwiek zdołał zabrać ją na stopa i... czy rzeczywiście śpieszyła się do Ottawy? Do powrotu, po którym czeka ją słowny lincz? Kilka dodatkowych dni w tym hotelu nie zaszkodziłyby jej, a co najwyżej pomogły. Pomogły ustabilizować jej psychiczną sytuację. Musiała odbudować pewność siebie. Tylko jak to powiedzieć, aby nie nadwyrężyć gościnności Adolfo Patino?

- W sumie ma pan rację, ale... - próbowała sprawić, by brzmiało to jak najbardziej wiarygodnie - nie chcę przeszkadzać. Już i tak jestem tu o jeden dzień za długo.

- Ależ, słodziutka! - odezwał się Adolfo z udawaną obrazą. - Czy uważasz, że jestem niegościnnie?

- Nie! - Erna potrząsnęła stanowczo głową. - Ja tylko...

- Umówmy się tak. - Adolfo zamilkł na moment, spoglądając Ernie prosto w oczy. W końcu jednak się odezwał. - Jeśli o mnie chodzi, możesz tu zostać do końca naszego pobytu. Jednak nie mam nic przeciwko temu, abyś wcześniej wróciła na drogę, gdy pogoda na to pozwoli. Stefan wyruszy razem z tobą i może uda ci się bezpiecznie złapać okazję w stronę stolicy. Po prostu nie chcę pozwolić ci wyjść w tak straszną pogodę i później mieć cię na sumieniu. Popatrz tylko, w jakim stanie wrócił nasz Kucharz... - To powiedziawszy, wskazał głową w stronę siedzącego na przeciwległym końcu stołu Stefana.

Erna niechętnie podążyła za jego wzrokiem. Widok bandaża na czole Krugera sprawił jej ogromną przyjemność.

- Rozumiemy się? - spytał Adolfo.

- Oczywiście - odpowiedziała krótko, po czym zabrała się za przygotowanie kolejnej bułki. Z zadowoleniem stwierdziła, że rozmowa potoczyła się po jej myśli.

Cindy Walker tego dnia wstała w dobrym humorze. Nie mogła przypuszczać, że wyparuje on równie szybko, jak się pojawił. Wystarczyło, że podczas śniadania usłyszała coś, co przyprawiło ją o mdłości. Erna Brown zostanie do końca... Za zgodą niezwykle uradowanego tym faktem Gospodarza. Poczowała nieprzyjemne ukłucie w brzuchu. Skrzywiła się, jeżdżąc widelcem po pustym już talerzu. Porcelana raz po raz nieprzyjemnie piszczała pod coraz większym naciskiem srebra. Przy stole siedziała już tylko ona, Charles Bennett dojadający resztkę swojego dania oraz Gaku Hara, który jak zahipnotyzowany przyglądał się teraz jej dłoni unoszącej się nad zastawą. W końcu się odezwał:

- O czym myślisz?

Cindy zatrzymała rękę. Wyrwana z zamyślenia, spojrzała na Gaku.

- Ja? O niczym - skłamała.

- Przecież widzę - odpowiedział Japończyk. Szczupłymi długimi palcami oplótł jej dłoń, po czym wyciągnął z niej widelec, który położył na pustym talerzu. Cindy głęboko odetchnęła.

- Ta cała Erna Brown... - wydukała po chwili. Zaciśnęła swoje wąskie usta i z nienawiścią w oczach spojrzała na puste miejsce.

- Tylko nie mów, że jesteś o nią zazdrosna.

- JA?! - krzyknęła tak, że Bennett o mało nie zadławił się pokaznym kęsem pieczeni. - Nie mam o co - dodała już spokojniejszym tonem głosu.

- Też tak sędzę - zgodził się z nią Gaku Hara. - Ani to gustowne, ani szczególnie godne uwagi - ocenił, prostując swoją fioletową muchę. Po chwili przysunął do siebie srebrną tacę, na której jeszcze niedawno spoczywały porcelanowe filiżanki. Pochylił się lekko, oceniając w jej odbiciu, czy mucha równo jest ułożona. Jego kaszmirowa czarna koszula idealnie podkreślała jej kolor. Upewniwszy się, że wszystko jest na swoim miejscu, oparł plecy o tył krzesła i spojrzał na dręczoną myślami twarz Cindy Walker.

- Wiesz, że już pierwszego dnia wyjawiał jej rzeczy, których nie powinien? - odezwała się nagle, spoglądając pustym wzrokiem przed siebie.

- Kto? - zdziwił się Gaku Hara.

- Opowiedział jej nawet o obrazach Tycjana! Z Marią Magdaleną. Jakby... jakby to ją interesowało! Jakby była godna tej wiedzy!

Gaku Hara szybko domyślił się, że chodziło o Gospodarza.

- A dla mnie... - Cindy kontynuowała, a jej twarz robiła się coraz bardziej czerwona. - Dla mnie nie znalazł nawet pięciu minut na rozmowę! - dokończyła rozżalona.

Gaku nieraz widział zazdrosne kobiety i wiedział, do czego są zdolne. Pod wpływem zazdrości płęć piękna zamieniała się w rozwścieczone bizony gotowe do stratowania każdego, kto stanąłby im na drodze. Był także pewien tego, że większość kobiet przesadzała i była histeryczkami. Jednak z Cindy Walker było inaczej. Znał jej osiągnięcia i domyślał się, że Cindy jest pewnym kandydatem do objęcia funkcji Kucharza. Tegoroczne spotkanie tylko to potwierdziło. Dziwił go zatem fakt, że Gospodarz poświęcał więcej uwagi jakiejś przybłędzie. Tym bardziej że osiągnięcia Cindy były naprawdę

imponujące. To, do czego doszła ta niepozorna dziewczyna, budziło w nim podziw, uczucie, którego nigdy nie wywołała w nim żadna kobieta.

- Myślę, że dla Gospodarza pojawienie się niespodziewanego gościa było czymś nowym, czemu musiał sprostać. Nie wydaje mi się jednak, aby uważał taką osobę jak Erna Brown za kogoś lepszego od ciebie. Prawdę mówiąc - ujął szczupłą i zimną dłoń Cindy - wydaje mi się, że tegoroczny zjazd potwierdzi, że to ty zostaniesz kolejnym Kucharzem.

Na te słowa Cindy zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Jej uszy płonęły, a za sprawą delikatnego, czułego dotyku Gaku Hary jej serce zaczęło bić mocniej.

- Tak myślisz? - odrzekła, spoglądając mu prosto w oczy.

- Jestem o tym przekonany - dodał bez chwili wahania. - Uważam też, że powinnaś olać Ernę Brown i cieszyć się pobytem w tym miejscu. Wiem, co mogłoby ci w tym pomóc. - Gaku Hara spojrzał na nią tajemniczo. Kąciki jego ust delikatnie się uniosły. Cindy zamrugła rzęsami.

- Co takiego? - spytała zaskoczona.

Gaku nie spuszczał z niej wzroku. Chciał zobaczyć emocje, które pojawią się na jej twarzy, gdy zaraz wyjawi jej swoją propozycję. Chciał upewnić się, czy ona, przyszły Kucharz, uważa, że jego pomysł, który rozwija w swoim Vampirio, jest wartościowy. Czy zależało mu na jej opinii? W jego głowie rozbrzmiała tylko jedna właściwa odpowiedź: TAK.

- Zapraszam cię na Krwistego Buziaczka. Zapewniam, że to pozwoli ci się zrelaksować.

- Och... - wydusiła z siebie Cindy. - Naprawdę? - dodała, czując, jak ogarnia ją szczęście. Zawsze miała nadzieję, że spróbuje tego drinka. Zawsze myślała o tym, aby udać się do Japonii i odwiedzić Vampirio. Niestety przez swoją firmę i natłok pracy nie miała czasu. - Naprawdę?! - powtórzyła podekscytowana, tym razem głośniej. Jej oczy lśniły niczym bombki na choince.

- Naprawdę - potwierdził Gaku Hara, czując, jak rozpiera go duma. Widząc tak ogromny zachwyty na twarzy Cindy, upewnił się, że jego pomysł był słuszny, że... może kiedyś doprowadzi go na sam szczyt... może kiedyś sam zostanie Kucharzem... Gospodarzem... Gaku wybiegł daleko myślami. Nie zauważył, kiedy Cindy Walker wstała z krzesła.

- Ach! - westchnęła Walker, po czym schyliła się i ucałowała go w policzek. - Dziękuję!

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział. - W takim razie umówimy się na konkretny czas i razem zrelaksujemy się przy kieliszku Krwistego Buziaczka.

- Nie mogę się doczekać! - pisnęła, po czym pognęła w stronę drzwi. - Umówimy się! - dodała jeszcze, odwracając się w jego stronę.

Gaku kiwnął głową. Był zadowolony. Zadowolony, że zabrał ze sobą odpowiednie składniki. Zadowolony, że będzie mógł wypić Krwistego Buziaczka w tak doskonałym towarzystwie, i niezwykle dumny ze swojego dzieła.

Charles Bennett, choć dawno skończył konsumować, wciąż siedział przy stole i z zaciekawieniem przyglądał się całej rozmowie. Gdy Cindy przeszła obok niego, spojrzął na jej szczupły, ale seksowny tyłek, a gdy zniknęła za drzwiami, on także wstał i pognęł w jej kierunku. Kruger wkroczył do jadalni ze zdezelowanym wózkiem na kółkach. Po chwili rozpoczął rutynowe sprzątnięcie brudnej zastawy i resztek po kolejnym posiłku.

Po śniadaniu Erna wróciła do swojego pokoju. Smród stęchlizny wciąż był wyczuwalny. Na nic zdało się rozszczelnione przez całą noc okno - stwierdziła z zawodem, uchylając na całą szerokość jego prawe skrzydło. W twarz uderzył ją powiew świeżego, wilgotnego powietrza. Wzięła głęboki oddech. Jej płuca wypełniły się tlenem. Na zewnątrz krajobraz wciąż spowity był gęstą mgłą, która teraz pochłonęła już nawet pierwszy rząd okolicznych drzew. Wszystko poszło tak, jak chciała. Mogła tu jeszcze zostać i zebrać wszystkie swoje nieuporządkowane myśli. Miała także cichą nadzieję, że pogoda

się nie poprawi i będzie mogła zostać tu do końca. Takich chwil beczynności brakowało jej od dłuższego czasu. Po tej akcji... po tej pamiętnej akcji... – Erna zacisnęła dłonie w pięści.

Pamiętała dobrze dzień, w którym miała wykonać proste zlecenie. Zlikwidować mężczyznę. Nie był niewinny. Przynajmniej według jej kodeksu. Był to kawał chuja. Należał do gangu, który trudnił się obrotem narkotyków na dużą skalę – jednak nie to było najgorsze. Mógł sobie handlować nawet zwłokami, ale handel żywym towarem w postaci dzieci... Przed jego zlikwidowaniem długo obserwowała poczynania swojego celu. Jak się okazało, cel był bezwzględny. Gwałty na młodych dziewczynach, bicie ich i poniżanie to była jego codzienność. Zresztą jak wszystkich, którzy należeli do tego gangu. Im dłużej go obserwowała, tym bardziej pragnęła jego unicestwienia. Wtedy tak bardzo się cieszyła, że będzie mogła to zrobić. Że to właśnie jej powierzono to zlecenie. Nie mogła doczekać się tej nocy i kiedy wreszcie udała się do jego domu... Z jej lewego oka popłynęła łza. Weź się w garść! Przecież już się z tym pogodziłaś! – próbowała doprowadzić się do porządku, jednak wspomnienie tamtej nocy wciąż budziło w niej silne emocje. Emocje, których się brzydziła. Sprawiały, że stawała się zbyt słaba, zbyt... uczuciowa... cikliwa. Skąd mogła wiedzieć, że ten gnój... ten nieludzki zwyrodnialec zapragnie tej nocy zaopiekować się swoją małą córeczką?! Jak mogła przypuszczać, że ta kreatura człowieka mogła być ojcem?! I choć po tym fakcie czuła jeszcze większą nienawiść do człowieka, który posiadał córkę, a mimo to w tak okrutny sposób traktował inne młode dziewczyny, to nie to doprowadziło ją do psychicznego rozpadu... nie to.

Po jej policzkach spłynęła nowa porcja łez. Pociągnęła z żalnością nosem i przygryzła dolną wargę. Wszystko toczyło się dobrze. Wykonała zlecenie i gdy już wychodziła... – zaczęła głośno szlochać. Nie panowała już nad ilością łzawych kropel zalewających jej zimną od wiatru twarz. Nigdy nie zapomni spojrzenia tej małej dziewczynki. Nigdy nie zapomni o tym, że... – przyłożyła drżącą dłoń do ust, próbując się uspokoić. Wiedziała to. Wiedziała tylko jedno. Mimo że

zdołała sobie wybaczyć, nigdy nie zapomni, że tamtego dnia zrujnowała całe życie tej małej bezbronnej dziewczynce. Właśnie toczyła ze sobą kolejną walkę. Wewnętrzny konflikt jej dwóch osobowości. Tej perfekcyjnej i tej, którą niedawno w sobie odkryła. Tak bardzo brzydziła się swoją słabością i równocześnie nie mogła pogodzić się z tym, że niechcący skrzywdziła małe bezbronne dziecko. Wyjście z tej sytuacji było jedno. Musiała połączyć te dwie osobowości i stworzyć nową postać, dzięki której powróci do życia. To był cel, do którego podświadomie dążyła od tamtego wieczora. Od sześciu miesięcy walczyła ze swoimi tożsamościami, próbując je scalić i dopiero tu, w hotelu Hommanger poczuła, że jest to możliwe...

Chłód bijący z otwartego okna stał się nieprzyjemny. Erna zamknęła je i chwilę później zniknęła za drzwiami łazienki. Odkręciła wodę w małej umywalce, nabrała jej w dłonie i obmyła swoją zapłakaną twarz. Uniosła głowę i spojrzała w lustro. Pierwszy raz od sześciu miesięcy dostrzegła zmianę. Patrzył na nią ktoś nowy. Ktoś, kogo szukała. Jej dwa oblicza zdołały się połączyć i teraz... teraz potrzebowały się zaaklimatyzować w jednym ciele. Erna wzięła do ręki biały ręcznik i delikatnie wytarła nim twarz, szczególnie uważając na sine miejsce na czole. Po chwili wróciła do pokoju i usiadła na brzegu łóżka. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Pogoda nie pozwalała na jakikolwiek spacer po okolicy. I gdy tak siedziała, wpatrując się bez celu w przestrzeń, niespodziewanie zza ściany naprzeciwko dobiegły ją dziwne dźwięki. Zamarła, nasłuchując. Były to dwa męskie głosy. Jeden niski, sprawiający wrażenie niezbyt przyjemnego, i drugi wyższy, jakby piskliwy, przeplatający się na przemian z tym pierwszym. Zaciekawiona, podeszła do ściany i przyłożyła do niej ucho. Głosy stały się teraz wyraźniejsze. Z pewnością dochodziły z pokoju obok.

- Słyszysz, głupcze?! Zaczynij... inaczej... skończę - usłyszała strzępy zdań. Erna bez problemu rozpoznała w nich głos Krugera.

- Nie... proszę... - Piskliwy głos należał do... Księdza Uchto? Tego nie była pewna. Postanowiła po cichu wyjść z pokoju. Oderwała głowę

od zimnej ściany i skierowała się w stronę zamkniętych drzwi. Pomału przekręciła klucz w zamku, próbując zrobić przy tym jak najmniej hałasu. Po chwili głuchy szczeł dochodzący z zamka upewnił ją, że może wyjść na korytarz. Podniesiony złowrogi głos, tak jak przypuszczała, dochodził z pokoju obok. Delikatnie niczym baletnica podeszła do zamkniętych drzwi sąsiedniego pokoju. Odgarnęła włosy i przystawiła ucho do drewnianej powierzchni. W jednej chwili uderzyły w nią tym razem wyraźniejsze głosy.

- Przynosisz nam wstyd! - warczał groźnie Kruger.

- Ja... ja... nie... - odezwała się druga osoba. O tak! Teraz nabrała pewności. Ten głos na pewno należał do księdza.

- Milcz! - krzyknął Kucharz i po chwili w pokoju rozległ się głuchy łoskot.

Erna zamarła. Miała wrażenie, że ksiądz musiał w jakiś sposób ucierpieć. Czy Kruger był zdolny do tego, aby wyrządzić mu jakąś fizyczną krzywdę?! Wtem jednak usłyszała stłumiony głos księdza, co spowodowało, że odetchnęła z ulgą.

- Jjja... jjjaa... tak... - wydyszał niewyraźnie. - Pppp... ppuść... - dodał z wysiłkiem.

Erna oczami wyobraźni widziała, jak Kucharz przyciska przerażonego i bezbronnego mężczyznę do ściany, trzymając go za chudą szyję.

- A więc rozumiemy się? - warknął Kruger.

- Tak... tak... - wydyszał z trudem Uchto.

Niespodziewanie z pokoju dobiegło ją ciężkie stąpanie, które nieuchronnie zbliżało się do drzwi. Erna instynktownie odskoczyła na sam środek korytarza. W ostatniej chwili! Gdy tylko się cofnęła, drzwi prowadzące do pokoju księdza otworzyły się z rozmachem. Zaskoczony jej widokiem Kruger spojrzał na nią z wściekłością.

- Co ty tu robisz?! - warknął w jej stronę. Wyglądał w tej chwili jak psychopatyczny morderca.

- Stoję - odparła obojętnie Erna, po czym udając zdziwienie, jak gdyby tylko tędy przechodziła, skierowała się w stronę swojego

pokoju. Za plecami słyszała głośne sapanie rozwścieczonego Kucharza. Czuła, jak odprowadza ją wzrokiem do chwili, aż zamknęła za sobą drzwi do sypialni. Gdy tylko to zrobiła, z korytarza dobiegł ją odgłos oddalających się kroków. Erna odczekała jeszcze chwilę, po czym stwierdzając, że jest bezpiecznie, wyszła na korytarz. Rozejrzała się uważnie. Tak jak przypuszczała, Krugera już nie było. Co tam się wydarzyło? Czy Kruger mógł zrobić coś księdzu? Targana wątpliwościami, postanowiła zajrzeć do sąsiedniego pokoju. Musiała upewnić się, że wszystko z księdzem w porządku. Ta sytuacja była co najmniej dziwna. Zapukała kilkakrotnie w drewniane drzwi i nie czekając na zaproszenie, otworzyła je.

- Przecież już zrozumiałem! Nie musisz mi tego powtarzać! Odejdź! Proszę! - krzyczał w jej stronę Uchto. Jego głos brzmiał rozpaczliwie. Na widok wyłaniającej się zza drzwi głowy Erny zamilkł raptownie.

- A... to ty - wyszeptał, kuląc się na ziemi obok łóżka. Erna od razu dostrzegła wyraźne czerwone ślady na jego bladej szyi.

- Wszystko porządku? - spytała zaniepokojona.

- Tak - odpowiedział krótko ksiądz, po czym wstał z ziemi i zaczął gładzić ręką rozczochrane włosy. Był wyraźnie roztrzęsiony.

- Na pewno? - dopytała ostrożnie Erna, dodając: - Jeżeli byś czegoś potrzebował, jestem w pokoju obok.

Uchto nic nie odpowiedział, więc Erna uśmiechnęła się w jego stronę i wysunęła głowę z pokoju. Już miała zamykać drzwi, gdy nagle usłyszała:

- Poczekaj!

Zaskoczona ponownie zajrzała do pokoju. Uchto patrzył na nią wielkimi niebieskimi oczami. Uniósł rękę ku górze i zrobił kilka kroków w jej kierunku.

- Uważaj na... - chciał coś powiedzieć i nagle zmarł.

- Na co? - spytała zaskoczona. - Na co mam uważać? - powtórzyła, przerywając pełną napięcia ciszę.

- Nie... na nic. Jestem zmęczony. Przepraszam - powiedział szybko Uchto, po czym podszedł do drzwi i nie czekając nawet na to, aż Erna zdołała na czas wyjąć swoją głowę, zatrzaskał je z impetem.

Na szczęście miała dobry refleks i w porę uniknęła bliskiego spotkania z futryną. Zdezorientowana, zamrugła kilkakrotnie oczami. Stała pośrodku korytarza i pierwszy raz, odkąd się tu znalazła, zaczęło do niej docierać, dlaczego Kruger mógł nie darzyć księdza jakąkolwiek sympatią. Uchto był dziwny. Był co najmniej dziwny i w żaden sposób nie mogła zrozumieć, dlaczego się tak zachowywał. Jednak... - Erna skierowała się w stronę schodów - wszyscy w tym hotelu nie byli całkiem normalni. Pierwszego dnia tego nie dostrzegła, ale teraz... - spojrzała w głąb korytarza, na końcu którego mieściły się drzwi do gabinetu Adolfo Patino - ...teraz zaczęła się zastanawiać, czy znajduje się w bezpiecznym miejscu. Czuła niepokój, którego źródła nie mogła zlokalizować. To miejsce i ci ludzie... Nagle przez jej ciało przebiegł nieprzyjemny zimny dreszcz. Spojrzała na swoje ręce. Krótkie i jasne włoski stały na baczność. Zmarszczyła brwi i z niepokojem rozejrzała się wokół. Była sama, choć wyraźnie czuła czyjąś obecność. Ogarniał ją narastający lęk. Ale przed czym? Próbowała zrozumieć nagłą reakcję swojego ciała. Tymczasem z dołu dobiegł ją głośny kobiecy śmiech. Upiorne myśli oddaliły się. Kilukrotnie potarła ramiona dłońmi i zeszła na parter. Od tej chwili postanowiła być nieco ostrożniejsza.

Gdy tylko wkroczyła do salonu, jej ciało momentalnie otuliło ciepło bijące z rozpalonego kominka. Tego jej było trzeba. Spojrzała w głąb pomieszczenia. Przy stoliku umościła się Cecile, która żywo dyskutowała z siedzącą naprzeciwko niej Cindy Walker. Na jej widok pani Bennett zawołała z wyraźnym brytyjskim akcentem:

- Och, kochanie, dołącz do nas! Rozmawiamy tu na bardzo ciekawe kobiece tematy.

Erna podeszła do nich, po czym pozwoliła sobie zająć miejsce w wielkim ciemnozielonym fotelu. Był niezwykle wygodny, co stwierdziła z zadowoleniem, opierając głowę o wysoki zagłówek.

- Może kawy? - zaproponowała Cindy. Jej zielone oczy błyszczały w ogniu wydobywającym się z kominka niczym szmaragdy.

- Nie, dzięki - odpowiedziała uprzejmie Erna. Nie miała ochoty na kofeinę. Niedawna sytuacja wystarczająco ją pobudziła.

Pani Bennett uniosła filiżankę i upiła spory łyk jej zawartości. Erna dosłownie usłyszała, jak wypita kawa przelatuje przez jej gardło i z pluskiem ląduje w żołądku. Po chwili Cecile odchrząknęła głośno, chcąc nieudolnie zatuszować ten krępujący odgłos. Pulchnymi dłońmi wygładziła na kolanach swoją jasnoróżową sukienkę. Wreszcie przeniosła wzrok na Ernę i powiedziała tubalnym głosem:

- Właśnie rozmawiamy o mężczyznach. Przedziwne to istoty, choć mojego męża można bardziej porównać do kreatury - stwierdziła bez krępacji. - Och, muszę przyznać, kochanie, że strasznie, ale to strasznie podobało mi się, jak wytrąciłaś mojego Charlesa z równowagi.

- Ja? - zdziwiła się Erna.

- Tak, tak - potwierdziła rozbawiona Cecile. - Gdy wspomniałaś nam, gdzie pracujesz. Mój mąż zrobił się purpurowy ze złości.

- Ale nie zrobiłam tego specjalnie. To był dość niezwykły zbieg okoliczności - przyznała Erna, na co Cecile zaśmiała się głośno.

- Ależ kochanie. Muszę przyznać, że faktycznie był to, jak ty to ujęłaś...

- Niezwykły... - przypomniała jej Cindy.

- Ach tak, dziękuję. A więc niezwykły zbieg okoliczności, który zagotował wnętrznościami mojego ułomnego męża. Tak czy inaczej bardzo ci za to dziękuję. - Cecile mrugnęła w jej kierunku perfekcyjnie umalowanym okiem, a Erna z rozbawieniem zauważyła, że należała do osób, którym mruganie zwyczajnie nie wychodzi.

- A ty, moja droga, masz przy swoim boku jakiegoś samca? - spytała Cecile.

- Nie - odpowiedziała krótko Erna.

- Ach, to tak jak Cindy - stwierdziła pani Bennett, trzepocząc swoją wielką, natapirowaną głową. - Ale wiecie, co wam powiem,

dziewczyny? - zamilkła na moment i utkwiała wzrok w pustej już filiżance, której rant umazany był obficie czerwoną szminką. - Trzymajcie się jak najdalej od instytucji, jaką jest małżeństwo - odezwała się wreszcie. - Na początku jest pięknie, a później wasze życie stanie się gorsze od życia więźniów na wyspie Alcatraz!

Erna wymieniła z Cindy rozbawione spojrzenia.

- Mogę panią zapewnić, że będę trzymała się od tego daleko - oświadczyła poważnie Erna.

- Ja także nie mam zamiaru się w to bawić. Wolę skupić się na swojej karierze - przyznała Cindy.

- O! - wykrzyknęła pani Bennett, wachlując się teatralnie dłonią przy twarzy. - Ja także byłam kiedyś taka mądra jak wy. Taka młoda i piękna jak wy. Świat leżał u moich stóp. Cecile Morris była symbolem dekady. Symbolem mody tamtych lat, a teraz...

Erna dopiero po chwili zorientowała się że pani Bennett mówi o sobie. Spojrzała na jej twarz, na jej martwe spojrzenie utkwione gdzieś pomiędzy głową Cindy a rozpalonym kominkiem. Dostrzegła, że choć nie posiadała już figury modelki, to jednak wciąż miała nieskazitelną cerę i młode, błękitne oczy.

- Teraz jest pani piękną, dojrzałą kobietą - wypaliła nagle, czując wewnętrzną potrzebę pocieszenia Cecile, która przecież była skazana na życie z grubym Charlesem. Już samo to budziło ogromne współczucie.

- O tak - zawtórowała głośno Cindy.

Pani Bennett głęboko westchnęła. Jej usta wykrzywiły się w delikatnym, ledwo widocznym uśmiechu.

- Dziękuję wam, kochane, jednak wciąż nie mogę sobie wybaczyć jednego - odrzekła cicho. - Poświęciłam swoją karierę w imię miłości i teraz mam, czego chciałam.

- No cóż - odezwała się Cindy. - Przecież nie mogła pani przewidzieć, że...

- Z Charlesa wyrośnie takie bydlę? - wpadła jej w słowo Cecile. - Nie. Nie mogłam.

- Nie to miałam na myśli... - wyszeptała pod nosem Walker.

Cecile zaśmiała się niezręcznie, po czym machnęła pobłażliwie ręką, mówiąc:

- Podsumowując, kochane, zawsze stawiajcie karierę ponad miłość. Nieważne, jak mocno będzie swędziała was cipka! - Ostatnie słowo dość mocno zaakcentowała i Erna odniosła wrażenie, że słowo „cipka” jakoś nie pasowało do eleganckiego i wyważonego wyglądu siedzącej tuż obok niej Cecile.

- A ty, kochanie, rozumiem, że poświęciłaś się dziennikarstwu? - spytała pani Bennett, przerywając chwilę niezręcznej ciszy, która zapanowała po jej „cipkowym” stwierdzeniu.

- Raczej tak - odpowiedziała Erna.

- Ja poświęcam swoje życie jedzeniu - wtrąciła z dumą Walker, na co Cecile zmierzyła ją zdziwionym spojrzeniem.

- Cindy chyba ma na myśli swojego food trucka - wytłumaczyła Erna, widząc niezrozumienie malujące się na twarzy Cecile.

Cindy podziękowała jej uśmiechem. Odrzuciła swoje długie włosy do tyłu, po czym dodała:

- Można tak powiedzieć. - Pani Bennett wciąż patrzyła na nią niepewnym spojrzeniem. - Gaku Hara na przykład prowadzi w Japonii pub, który zresztą jest znany wśród wszystkich zagorzałych imprezowiczów na całym świecie - rzekła z podziwem Walker.

- Hm... - odezwała się wreszcie pani Bennett, odrywając od niej wzrok. - No proszę, jak młodzież sobie radzi.

- Gaku Hara i młodzież? - Cindy zaśmiała się głośno. - On już raczej wypadł z tej kategorii.

- W moim wieku trzydziesto... ba, czterdziestolatkiem wydają się bardzo młodzi - mruknęła ze smutkiem pani Bennett. - Ciekawa jestem, czym trudni się ta Rosjanka, jak jej tam... - popadła w głębokie zastanowienie - Ida Abramova!

- Piciem - wypaliła z niechęcią Cindy Walker. Erna dostrzegła na jej twarzy grymas obrzydzenia, jakby mówiła co najmniej o odchodach krowy.

- No nic, kochane! - rzekła bojowo Cecile. - Jesteście piękne i pewnie niejeden będzie wodził was na pokuszenie, ale wtedy przypomnijcie sobie starą Cecile i jej męża, a raczej pokracczną kreaturę, z którą przyszło jej żyć.

Obie dziewczyny zaniósł się śmiechem, a zaraz potem dołączyła do nich rozbawiona swoją niedolą Cecile. Żadna z nich nie zauważyła, że drzwi do salonu otworzyły się i ktoś niezbyt stabilnym krokiem zbliżał się w ich kierunku.

- Powiem ci, skarbie - rzuciła Cecile w stronę rozbawionej Cindy - że masz niezwykłą urodę. Wyglądasz jak zjawka... - Cindy przestała się śmiać i spojrzała na nią z urazą. Cecile szybko dodała: - Ale taka piękna i niespotykana zjawka.

- Oho.

Nagle wszystkie trzy usłyszały znajomy głos i spojrzały w jego kierunku.

- Zjawole mam w jednym paluszku. No... może we dwóch - stwierdziła dumnie Ida Abramova, opierając lewą dłoń fotel, natomiast prawą uniosła do góry, chcąc pokazać dwa palce, choć Erna doliczyła się ich trzech.

Na jej widok twarz Cindy znów przybrała ten specyficzny wyraz ogromnego zdegustowania. Cecile zamrugwała kilkakrotnie oczami, po czym spytała:

- Co? - chcąc zrozumieć, o co może chodzić Rosjance.

- Moje drogie dziewczuszki. Pozwólcie, że was zaświecę - rzekła Ida wyniośle.

- Chyba oświecę... - bąknęła pod nosem Cindy.

Rosjanka jednak nie zwróciła najmniejszej uwagi na bijącą od niej niechęć. Co więcej, umościła swoje rosyjskie cztery litery tuż przy Walker, która gdyby tylko mogła, wsadziłaby ją do rozpalonego kominka.

- Swojego czasu odbyłam seansa spirytystycznego. Nie dla zabawów, ale tak na prawdziwie - wyjaśniła Ida, widząc

niezrozumienie malujące się na twarzy Erny i pani Bennett. Natomiast twarz Cindy wciąż wyrażała jedno – zdegustowanie.

- Wywoływałaś duchy? – spytała zaniepokojonym głosem Cecile.

- Tak, ale nie takie zwyczajne, tylko bardzo ważne – odparła Ida.

- Co znaczy „ważne”? – dopytywała pani Bennett.

- Takie, które znali za życia wszyscy. Na pierwszym seansu spirytystycznym przywołali my zjawę Lenina. – Ida opowiadała o tym, jakby mówiła o przepisie na jajko sadzone. Bez zbędnych emocji czy przesadnej mimiki twarzy. Była niesamowicie przekonująca. Jednak Cindy jej nie wierzyła. Prychnęła pogardliwie pod nosem, nie siląc się więcej na żaden komentarz.

- Lenina?! – wykrzyknęła wyraźnie oburzona Cecile. – A po co wam była ta łysa gadzina?

- Po nic – odparła Rosjanka, wzruszając z obojętnością ramionami.

- Po prostu znanych i otoczonych złą aurom ludziów łatwiej się przywołuje.

Erna patrzyła z niedowierzaniem to na Cecile, to na Cindy i zastanawiała się, która reakcja na historię Idy jest jej bliższa – przerażenie pani Bennett czy zdegustowanie i zażenowanie Cindy Walker.

- Na drugim seansu wywołali my carycę Katarinę Drugą – kontynuowała Ida.

- Och – ożywiła się nagle Cecile. – Czy naprawdę była taką rozpustnicą?!

Abramova spojrzała na nią, zaskoczona pytaniem. Po chwili odrzekła:

- Nie wiem. Długo z nią nie rozmawiali. Biegła na jakiegoś rozbiora. Tak przynajmniej w kółko powtarzała, więc się z nią szybko pożegnali.

Cecile była widocznie niepokieszona brakiem odpowiedzi na swoje pytanie.

- Brednie – odezwała się wreszcie Cindy.

Ida spojrzała na nią urażona.

- Sama jesteś brednia - wypaliła w jej stronę. - Jak chcesz, to mogę udowodnić.

Cindy puknęła się kilkakrotnie w czoło. Ida nie zamierzała jednak odpuścić.

- Możemy teraz wywołać zjawę. Będiesz miała kogoś do towarzystwa - rzekła cynicznie Abramova, rzucając w stronę Cindy wrogie spojrzenie.

- Proszę bardzo! Wywołuj! - zaczęła zachęcać ją podenerwowana Walker. - Nie mogę doczekać się twojego ośmieszenia!

- TAK?! - krzyknęła bojowo Rosjanka.

- TAK! - potwierdziła równie głośno Cindy.

Jednak pani Bennett nie była chętna do tego typu paranormalnych przeżyć.

- Nie, nie, moje drogie! - Kręciła energicznie głową. - Z takimi rzeczami nie ma zabawy! - zganiła stanowczo ich pomysł, po czym chciała wstać z sofy i szybko wyjść z salonu.

- O niet! - krzyknęła urażona Ida, podrywając się i wciskając Cecile ponownie w siedzenie. - Wywołamy teraz zjawę! Proszę siedzieć!

Cecile zaczęła bełkotać coś niewyraźnie pod nosem, jednak widząc zdeterminowanie Rosjanki, dała za wygraną. Skuliła się bezbrinnie na sofie i zastygła w bezruchu. Ernie pomysł wydawał się co najwyżej komiczny. Ostatni raz wywoływała duchy w domu dziecka. Skończyło się to podpaleniem okiennej zasłony. Jednak żadnego ducha nie udało się wywołać. Tak pewnie będzie i tym razem. Oby tylko nie ucierpiała żadna zasłona - pomyślała, uśmiechając się pod nosem.

- Spokojnie - szepnęła Erna w stronę przerażonej Cecile. - Nic się nie stanie.

Pani Bennett zdobyła się tylko na wymuszony uśmiech. Natomiast Ida kończyła już przygotowywać stół. Energicznie zmiotła na ziemię wszystkie rzeczy, pozostawiając na nim jedynie kremowy porcelanowy talerzyk, który odwróciła wierzchem do dołu. Podbiegła jeszcze do

wyłącznika na ścianie i zgasiła światło. Salon oświetlany był teraz zaledwie rozpalonym kominkiem.

- Ach... - wydyszała przejęta Cecile.

Erna poklepała ją po ramieniu, próbując dodać jej otuchy. Cindy nie opuszczał dobry humor. Wciąż ironicznie podśmiewała się pod nosem, czym wprawiała Idę w zdenerwowanie.

- Gotowe! - oznajmiła wreszcie Abramova, łypiąc wyzywająco w stronę Walker. - A teraz każda z nas musi położyć swoje palce na brzegu talerzyku.

Erna i Cindy wykonały polecenie, natomiast pani Bennett wciąż nie mogła się zdecydować.

- No dalej - ponagliła ją Ida.

- Dobrze, już dobrze - jęknęła i położyła swoje pulchne ręce we wskazanym miejscu.

- Mamy problema - rzekła nagle Abramova. - Zawsze wywoływałam w języku rosyjskim. Muszę to przemienić na angielski.

- To chyba żaden problem? - spytała Cindy z wyraźną drwiną w głosie.

- Niet - odpowiedziała pewna siebie Ida. - Trzymajcie palce delikatnie na talerzyku. Nie przyciskajcie za mocno i nie ruszajcie nim same - upomniała je, po czym zdecydowanym głosem oznajmiła: - Zaczynamy!

Cecile wstrzymała oddech i z przerażeniem w oczach wpatrywała się w talerzyk.

- Eee... - odezwała się nagle Erna. - A tak dla jasności - kogo wywołujemy? - Chciała w pełni wczuć się w ten nadprzyrodzony klimat.

- Kubę Rozpruwacza - odpowiedziała bez zastanowienia Ida.

Pani Bennett jęknęła tylko i zacisnęła mocno usta. Ten wieczór z pewnością na długo utkwi w jej pamięci. Abramova zamknęła oczy. Na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia. Po chwili, wciąż mając zamknięte powieki, przemówiła głosem niskim i mrocznym:

- Zjawo, przychodź w proga te...

- Chyba w PROGI - poprawiła ją rozbawiona Cindy.

Ida spiorunowała ją spojrzeniem.

- Mogłabyś się zamilknąć i nie przeszkodzić?! - warknęła.

Walker uniosła brwi do góry, po czym uśmiechając się pobłaźliwie pod nosem, skupiła wzrok na talerzyku. Ida, uspokoiwszy się, wróciła do przerwanych słów.

- Zjawo, przybądź w - na chwilę zamilkła, po czym biorąc niechętnie pod uwagę słowa Cindy, kontynuowała: - progi te. Dziś wywołać ciebie chcę.

Pani Bennett przełknęła ślinę. Ona na pewno nie chciała przywołać żadnej zjawy.

- Kubo Rozpruwaczu drogi, przybądź szybko w nasze progi. Przybądź drogą nienawiści, niech się me życzenie ziści. - Tu Ida urwała swoją mowę i otworzyła oczy. Wszystkie trzy, prócz Cindy, która stale podśmiewywała się pod nosem, spoglądały teraz niepewnie na talerzyk. W pokoju zapanowała kompletna cisza. Słychać było tylko trzaskające kawałki drewna w kominku.

- Czasem trzeba pogadać raz jeszcze... - szepnęła Ida, widząc, że talerzyk nawet nie drgnął.

Walker przewróciła teatralnie oczami, jednak nie chcąc wdawać się w zbędną dyskusję z nawiedzoną Rosjanką, postanowiła po prostu siedzieć i czekać na coś, co z pewnością się nie wydarzy. Erna popatrzyła na skupioną minę Abramovej. Ta ponownie zamknęła oczy. Prawdę mówiąc, wyglądała jak prawdziwe medium (o ile takie w ogóle istnieje), a przynajmniej takie, które Erna widziała czasem w filmach grozy. Nagle poczuła na plecach nieprzyjemne zimno, które po chwili opanowało całe jej ciało. Poruszyła lekko ramionami. Mimo rozpalonego kominka w pokoju zrobiło się chłodniej... a może tak jej się tylko wydawało? Zerknęła ukradkiem na siedzącą tuż obok niej Cecile. Jej mina wyraźnie stężała, przez co pani Bennett sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz zwymiotować. Niespodziewanie oderwała pulchne dłonie od talerzyka i potarła swoje szerokie ramiona.

- Trzymieć palce na talerzyku! - rzekła stanowczo Ida, która nie wiadomo jakim cudem dostrzegła przez zamknięte oczy, jak Cecile unosi ręce znad stolika.

- Ach, dobrze już... - wyjąkała słabym głosem pani Bennett, dodając: - Tylko... zrobiło się jakoś tak... zimniej - zauważyła.

Erna spostrzegła jak Cindy ukradkiem spogląda na kominek, po czym rozgląda się dookoła, jakby szukała sensownego wyjaśnienia tego, że jej także zaczął doskwierać chłód. Chyba wszystkie popadłyśmy w zbiorową halucynację - pomyślała Erna, przełykając ślinę. Wciąż czuła dotkliwe zimno z tyłu pleców. Jakby ktoś polewał jej ciało chłodną wodą. Jakby ktoś przeszywał ją wzrokiem.

Instynktownie obróciła głowę na tyle, na ile pozwalały jej na to palce położone na talerzyku. Spojrzała w otchłań salonu. Nikogo tam jednak nie było. Tylko zamknięte drzwi i pustka. Krajobraz za dwoma oknami skutecznie przykrywała gęsta, mleczna mgła. Zresztą kogo lub czego spodziewałam się zobaczyć? - spytała samą siebie. Może Kubę Rozpruwacza? - próbowała zażartować w duchu, lecz jakoś nie było jej do śmiechu.

- Jeśli czujecie zimno, to oznaka, że drzwi świata zmarłych zostały otwarte - szepnęła złowieszczym głosem Ida.

Pani Bennett wytrzeszczyła przerażone oczy. To wyjaśnienie wcale jej nie uspokoiło

- Trzeba kontynuować, i to szybko - dokończyła Rosjanka, znów pograżając się w pełnym skupieniu. - Zjawo, przybądź w progi te...

Nie przybywaj... nie przybywaj... - powtarzała w myślach przerażona Cecile. Erna spostrzegła jak koniuszki jej drżących palców uderzają delikatnie o porcelanowy rant talerzyka.

- Dziś wywołać ciebie chcę...

Atmosfera w salonie jakby zgęstniała. Dotkliwe zimno nie zniknęło, a wręcz przybrało na sile. Erna ujrzała gęsią skórę na białych, odkrytych rękach Cindy. Nie inaczej było u niej. Abramova na chwilę przerwała przemowę, biorąc głęboki oddech, po którym głośno i chrobotliwie wypuściła powietrze. Walker zerknęła na nią z ukosa.

Drwina z jej twarzy gdzieś zniknęła. Teraz jej wzrok wyrażał niepewność.

- Kubo Rozpruwaczu drogi, przybądź szybko w nasze progi - kontynuowała już wolniejszym tempem Ida. - Przybądź drogą nienawiści, niech się me życzenie - tu ponownie wzięła głęboki oddech i ponownie z jej ust wydobył się niski, zachrypnięty głos - ziści.

Wszystkie spoglądały na talerzyk spoczywający pośrodku stołu. Teraz każda z nich była skupiona, jakby poruszenie się porcelanowego spodka było tylko kwestią czasu. Nieoczekiwanie w kominku strzelił głośno kawałek drewna. Cecile podskoczyła na sofie, unosząc na kilka centymetrów swoje opasłe ciało. Talerzyk jednak wciąż leżał nieruchomo. Mimo to Erna czuła wokół narastające nieprzyjemne zimno.

- Brednie! - wykrzyknęła nagle Cindy, odrywając od talerzyka dłonie, którymi zaczęła rytmicznie pocierać swoje ramiona. - Mówiłam, że to brednie! - powtórzyła raz jeszcze, spoglądając triumfalnie na Rosjankę.

- Nie odrywaj palców od talerzyku! - rzuciła w jej stronę zdenerwowana Ida.

- Ja nie odrywam! - dodała spanikowana Cecile.

- Och, proszę, skończ wreszcie z tym przedstawieniem - odparła pobłażliwie Cindy.

- Palce na talerzyka! - krzyknęła Abramova.

- Nie ma mowy! - burknęła Walker, którą sytuacja zaczęła bawić na nowo.

- To się źle skończy... - szepnęła Ida, spoglądając niepewnie na talerzyk.

- Nawet się nie zaczęło - stwierdziła cynicznie Walker.

- To się źle skończy... - ponownie wyszeptała Rosjanka, kręcąc głową.

- Och, proszę cię! Przesta...

I w tym momencie, gdy Cindy miała uciszyć Idę, stało się coś dziwnego. Coś, czego Cecile chciała uniknąć. Nagle dwuskrzydłowe drzwi do salonu otwały się z hukiem na oścież. Do pokoju wtargnął silny wiatr, który jak niewidzialna fala tsunami zgasił płomień w kominku. W salonie zasyczało.

- Ach! -wrzasnęła Cecile, spoglądając z przerażeniem na przygaszone palenisko.

Niespodziewanie mały porcelanowy talerzyk najpierw poruszył się o kilka centymetrów w stronę Erny, po czym z ogromną siłą zsunął się z blatu i z łoskotem opadł na marmurową posadzkę, rozbijając się w drobny mak. Erna, nie mogąc pojąć, co się właśnie stało, patrzyła osłupiała na kawałki rozbitej porcelany leżące obok fotela, na którym siedziała.

- To tylko przeciąg! - wykrzyknęła Cindy, podnosząc się gwałtownie z sofy. Erna dostrzegła w jej spojrzeniu odrobinę przerażenia.

- To nie wina przeciąga... - wyszeptała Abramova, również spoglądając na rozbity talerzyk. - To złość wywołanej na darmo zjawy.

- TO-BYŁ-PRZE-CIĄG! - krzyknęła wyraźnie i powoli Walker, jakby próbowała przekonać samą siebie.

- Niet! - upierała się Ida. - To była zjawa!

- Przeciąg! - warknęła Cindy, łypiąc na nią groźnie swoimi zielonymi oczami. Cecile bardzo pobladła na twarzy. Oddychała ciężko, wachlując się obiema dłońmi.

- Zjawa! - nie dawała za wygraną Rosjanka.

Erna rozejrzała się z niepokojem po salonie. Poczwała silną potrzebę udania się do swojej sypialni, aby wydostać spod łóżka czarny pokrowiec. Chciała poczuć się bezpieczna. Chciała mieć to przy sobie. Właśnie teraz. Uniosła się z fotela i szybkim krokiem wyszła przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi, zostawiając za sobą rozgorzałą na dobre kłótnię. Jednak gdy tylko doszła do schodów, dobiegł ją przerażający i głośny na cały hotel krzyk. Od razu rozpoznała w nim

głos pani Bennett. Na chwilę zamarła bez ruchu, po czym odwróciła się i biegiem wróciła do salonu.

Cecile stała przed jednym z dwóch wielkich okien, zasłaniając usta drżącą dłonią. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Pastelowa różowa sukienka drgała na jej ciele od silnych uderzeń serca, natomiast oczy nieruchomo wpatrywały się w zamglony krajobraz za oknem. Po chwili do salonu wbiegł Kruger, a tuż za nim Gaku Hara, Adolfo Patino i na końcu zdyszany Charles, który na widok swojej roztrzęsionej żony ledwo zdołał wydusić z siebie:

- Co... co się stało?! - Po czym podszedł do niej, z trudem łapiąc oddech.

Cecile trzęsa się jak osika.

- T-t-t-tam... k-k-ktoś b-b-był... - wydusiła z siebie po chwili piskliwym głosem. Z jej oczu popłynęły łzy.

- Kto? - zdziwił się Adolfo.

W salonie zapanowała cisza.

- J-j-jakiś m-m-m-mężczyzna - jęknęła Cecile, wtulając się w ogromne ciało Charlesa. - Och, Charles... to... to było straszne! - krzyknęła głosem pełnym rozpacz. Znow zanosła się płaczem.

- Widziałyście coś? - Kruger skierował pytanie do stojących przy kominku Cindy i Idy. Po ich minach szybko można było wywnioskować, że nie miały pojęcia, co się właśnie stało.

- Nie - odpowiedziały jednocześnie, po czym obdarzyły się nienawistnym spojrzeniem.

Gaku Hara podszedł do okna.

- Przecież przez tę mgłę nic nie widać - powiedział zdziwiony.

- Cecile... - rzekł łagodnie Patino. - Czy jesteś pewna, że widziałaś kogoś za oknem?

- TAK! - krzyknęła, dławiąc się łzami. - Stał dokładnie przy samej szybie! Wielki, włochaty... obserwował nas! - pisnęła, wtulając się w mokrą już od łez białą koszulę Charlesa.

- Wielki i włochaty? - powtórzyła jej słowa zdziwiona Cindy. Cecile przytaknęła kilkakrotnie natapirowaną głową. - Może to było yeti -

dokończyła Walker, szyderczo śmiejąc się pod nosem. Nikomu z zebranych nie było jednak do śmiechu.

- Ja nie kłamię! - krzyknęła z urazą w głosie pani Bennett.

- Spokojnie, kochana - rzekł Adolfo. - Może opowiedz nam, co dokładnie się wydarzyło.

- Nic się nie wydarzyło! - ponownie odezwała się Cindy. - Wywoływałyśmy duchy i Cecile za bardzo się nakręciła! - Walker popatrzyła na roztrzęsioną kobietę z politowaniem.

- Wolałbym jednak usłyszeć, co ma nam do powiedzenia pani Bennett - stwierdził spokojnie Patino.

Podenerwowana Walker prychnęła, po czym usiadła na sofie. Cecile odkleiła się od męża, który z wyrzutem spojrzał na swoją poplamioną czarnym tuszem do rzes koszulę. Pociągnęła solidnie kilka razy nosem i otarła dłonią zapłakane oczy.

- Siedziałam tam. Na sofie - odezwała się po chwili, wskazując na miejsce przy kominku. - Nagle zrobiło mi się duszno, więc postanowiłam zaczerpnąć świeżego powietrza i otworzyć okno - przeniosła wzrok na przeszklone skrzydło w ścianie. - Gdy do niego podeszłam - kontynuowała, biorąc głęboki oddech - chwyciłam za klamkę i... - Znow zaniósł się szloch. Charles zrobił kilka kroków do tyłu, uniemożliwiając jej ponowne wtulenie się w jego jeszcze do niedawna białą koszulę. - i... i... - próbowała dokończyć rozhisteryzowana pani Bennett - ...i on tam stał! - wydusiła z siebie.

- Chcesz nam powiedzieć, że zobaczyłaś kogoś przez taką mgłę? - zdziwił się Kruger.

- Tak - odpowiedziała z przekonaniem Cecile, pociągając nosem. - Bo ten mężczyzna... ten mężczyzna - powtórzyła, próbując zapanować nad drżącym głosem - ...stał przy samej szybie! - To powiedziawszy, wskazała pulchnym palcem na wielkie okno.

Nagle w głowie Erny coś zaświtało. Musiała tylko raz jeszcze się upewnić.

- Jesteś pewna, że widziałaś jakiegoś mężczyznę? - spytała.

- Tak! - potwierdziła stanowczo Cecile.

Na te słowa Erna ruszyła w stronę drzwi wyjściowych, mając nadzieję, że jej przypuszczenia mogą okazać się prawdą. Po drodze minęła stojącego przy schodach księdza Uchto. Usłyszała za sobą zdziwione szepty, jednak nie miała czasu na tłumaczenia. Nie teraz.

- Gdzie biegniesz, słodziutka? - zawołał za nią zaskoczony Adolfo.

- Co ona robi? - warknął gdzieś z tyłu Stefan Kruger.

Nie zamierzała im tego w tej chwili wyjaśniać. Właśnie teraz dotarło do niej, że wreszcie ktoś mógł się po nią zjawić. Znaleźli jej wiadomość w volvo i dotarli tu, aby dowieźć ją do Ottawy! To mógł być Bobby! Tak bardzo chciała zobaczyć swojego przyjaciela! Z taką też nadzieją wybiegła na zewnątrz. Od razu otoczyła ją gęsta mgła. Nie widziała nic prócz mleczej, wilgotnej zawiesiny.

- Halo?! - krzyknęła gdzieś w przestrzeń. - Czy jest tu ktoś?! - Stała bez ruchu i nasłuchiwała. - Bobby?!

Nikt jednak nie odpowiedział. Zrobiła kilka kroków naprzód, docierając do leśnej drogi.

- Halo?! - powtórzyła raz jeszcze. Jej głos odbił się kilkakrotnie od drzew i rozpląnął w ciszy. Ponownie nikt jej nie odpowiedział. Postanowiła pójść jeszcze dalej. Mrużyła oczy, chcąc w ten sposób dojrzeć coś prócz wyblakłej, lekko przeźroczystej bieli. Bezskutecznie. Kilkakrotnie potknęła się o wystające z ziemi korzenie drzew. W końcu przystanęła i krzyknęła raz jeszcze, tym razem głośniejsze:

- Czy jest tu ktoś?! - Znów usłyszała echo swojego głosu i znów odpowiedziała jej tylko cisza. - Cholera - warknęła, kopiąc nogą w stojący obok niej wielki konar.

Nagle usłyszała czyjeś kroki. Ktoś zbliżał się w jej kierunku.

- Halo?! - rzuciła niepewnie. We mgle dostrzegła zarys dużej ciemnej sylwetki. Ktoś był coraz bliżej. Kroki stawały się coraz głośniejsze.

- Co ty wyrabiasz?! - usłyszała głos Krugera.

Wreszcie stanął przed nią w całej swej przerośniętej okazałości i bez uprzedzenia chwycił ją mocno za rękę. Za mocno.

- Wracamy do hotelu - warknął groźnie, pociągając ją w swoją stronę.

- Zostaw mnie! - krzyknęła Erna, wyrywając się z jego silnego i niezbyt delikatnego uścisku.

- Pan Patino się zamartwia - wycedził przez zęby Kruger. - Jaką głupią kobietą trzeba być, aby iść do lasu w taką mgłę! Czego tu szukałaś?! - spytał podejrzliwie.

- Niczego, co mogłoby cię zainteresować - odpowiedziała bojowo Erna. Choć wokół zalegała gęsta mgła, bez problemu dostrzegła wściekły wyraz twarzy Kucharza.

- Idziemy! - warknął, ponownie chwytając ją za nadgarstek.

Erna próbowała się oswobodzić, jednak tym razem nie było to już takie łatwe. Nagle zerwał się silny wiatr, który wzbił w powietrze leżące na ziemi liście.

- Co jest... - wyszeptał zdziwiony Kruger, z niedowierzaniem spoglądając na nagłą zmianę pogody.

Mgła zaczęła się rozpraszać, ukazując leśne drzewa, które pod naporem coraz silniejszego wiatru trzeszczały, wyginając się niebezpiecznie we wszystkie strony. Niebo pokryte białymi chmurami pociemniało. Gdzieś w oddali rozbrzmiało pierwsze uderzenie pioruna. Kilka sekund później rozszalała się prawdziwa burza. Pioruny i grzmoty wtórowały sobie na przemian. Błyski co sekundę rozjaśniały na moment ciemne niebo. Towarzyszyła im silna wichura, która zaczęła spychać Ernę i wielkiego Krugera w leśną otchłań.

- Musimy wracać do hotelu! - krzyknął Stefan, a jego głos ledwo dotarł do jej uszu.

Tym razem Erna nie zamierzała stawiać mu oporu. Z trudem brnąc przez silne podmuchy wiatru, szli schyleni, wzrokiem oceniając odległość do budynku. Co jakiś czas każde z nich podtrzymywało się wyrastających po bokach konarów drzew. Erna przypomniała sobie autostradę. Drogę i ten pieprzony zakręt. Miejsce, w którym utknęła i została zaatakowana. Przez co? Prawdopodobnie przez to, co teraz szalało po okolicy. Wirujące w powietrzu liście chłostały ich

niemiłosiernie po twarzach. Tymczasem gdzieś bardzo blisko usłyszeli kolejne, tym razem potężniejsze uderzenie pioruna. Głośny, przeszywający rumor wdarł się do ich uszu. Nagle i niebo postanowiło ich zaatakować, syjąc obficie ogromnym gradem. Erna z przerażeniem popatrzyła na ziemię. Kulki wielkości sporych koralii zaczęły wypełniać każdy wolny skrawek ziemi.

- Szybciej! - krzyknął Kruger, osłaniając głowę rękoma.

W drzwiach wejściowych, od których dzieliło ich już tylko kilka kroków, pojawiła się czyjaś niewyraźna sylwetka. Byli już prawie w hotelu. Słyszeli, jak ktoś do nich krzyczy. Słowa jednak nikły wśród odgłosów łomocącego o ziemię gradu. Jeszcze tylko kilka kroków. Kilka małych kroków i... gdy już myśleli, że niebezpieczeństwo zostawili daleko w tyle, nagle okolicę przeszył ogromny, przerażający huk. Tak wielki, że powalił Krugera i Ernę na zimną ziemię.

Erna nie miała pojęcia, co się dzieje. Zacisnęła oczy i otuliła głowę mokrymi dłońmi. Gdzieś z prawej strony wyczuła nogą leżącego blisko niej Krugera. Co się dzieje, do cholery? - myślała przerażona, gdy do jej uszu dobiegł kolejny nieprzyjemny, złowieszczy odgłos. Coś się łamało. Coś wielkiego łamało się od uderzenia pioruna. Coś, co było blisko nich. O boże! - krzyknęła w myślach. To musi być drzewo! Słyszała to blisko siebie - głuchy odgłos pękającego drewna, który odbijał się echem po lesie. Jednak dopiero gdy wśród burzowych dźwięków rozpoznała głośny, narastający świst, nabrała pewności, że ten wielki konar drzewa zaczął bezlitośnie opadać, przecinając na swojej drodze gęste powietrze. Miała tylko jedną nadzieję - że nie leży w miejscu, w którym drzewo postanowiło bezwładnie spocząć. Z taką myślą przycisnęła mocniej ciało do lodowatej ziemi i zacisnęła zęby. Była gotowa. Potężny huk wypełnił okolicę. Poczwała, jak ziemia dwukrotnie zadrżała. Jak grad leżący wokół jej ciała wzbił się na chwilę w powietrze, po czym opadł z łoskotem na ziemię. Usłyszała dźwięk bitego szkła. Coś ciężkiego i mokrego opadło na jej nogi. Gdzieś z boku dobiegł ją zduszony jęk Krugera. Trwało to jeszcze kilka sekund. Kilka długich sekund, które dla Erny były wiecznością.

Po chwili wszystko ucichło. Zapanowała martwa cisza. Zniknęła wichura, zniknęła burza i grad. Mgła znów wtargnęła w leśny krajobraz. Erna usłyszała, jak otworzyły się drzwi do hotelu Hommanger. Ktoś do niej podbiegł.

- Jesteś cała?! - usłyszała przerażony głos Idy.

Dopiero wtedy odważyła się otworzyć oczy. Czuła odrętwienie na całej twarzy. Oparła się na dłoniach i spróbowała odwrócić. Coś było nie tak.

- Poczekaj! - rozkazała Ida.

Erna poczuła, jak unosi coś z jej unieruchomionych nóg. Na szczęście nie było to nic wielkiego - stwierdziła, odwracając się i siadając na zimnej ziemi. Popatrzyła na Idę, która trzymała w dłoniach odgiętą gałąź. Gałąź, która wciąż spoczywała w ogromnym drzewie, które... spojrzała w lewo i otworzyła usta z przerażenia. Ogromny konar powalonego drzewa leżał dosłownie kilka metrów dalej. Jego gałęzie, zarówno te drobne, jak i te większych rozmiarów, pokryły niemalże całą ziemię. Koło niej Kruger wygramolił się niezdarnie spod sporego kawałka drewna i z przerażeniem rozejrzał się wokół.

- O cholera... - jęknął, spoglądając na okno salonu.

Erna podążyła za jego wzrokiem. Widok był przerażający. Olbrzymia gałąź drzewa dosłownie wbiła się w budynek.

- Hej! - krzyknął Gaku Hara do Krugera, wyłaniając się zza drzwi wejściowych hotelu. - Musisz nam pomóc! Natychmiast!

Kruger jeszcze chwilę spoglądał z niedowierzaniem przed siebie, po czym ruszył za Japończykiem. Erna z Idą postanowiły zrobić to samo. Gęsta, mleczna mgła skutecznie opanowała okolicę, jakby chciała w ten sposób ukryć straszne skutki wichury. Erna weszła do hotelu ostatnia. Odwróciła się, by zamknąć drzwi i wtedy... zamrugła oczami. Coś niebieskiego mignęło jej w gęstej mgle albo... albo tylko jej się wydawało.

W salonie panowało ogromne spustoszenie. Kawałki rozbitej szyby były porzucane pod oknem. Dalej nie było lepiej. Wielka gałąź

przygniotła do marmurowej posadzki przerażonego księdza Uchto, który nieruchomo czekał, aż Gaku Hara i Kruger zdołają oswobodzić go spod jej nacisku. Jednak nie to było najgorsze. Erna pognąła wzrokiem na koniec znajdującej się w salonie gałęzi i zamarła. Czubek dorodnego pędu drzewa wbił się w sam środek ogromnego malowidła. Obrazu ukazującego znaną scenę publicznej sekcji zwłok z drzeworytu księgi *De humani corporis fabrica*. Adolfo Patino stał przy filarach z popiersiami i z wyraźnym smutkiem na twarzy spoglądał na uszkodzone dzieło. Erna podeszła do niego, próbując ocenić, jak bardzo obraz został uszkodzony. Niestety chyba bardziej już nie mógł.

- W samego Wesaliusza... - wyszeptał łamiącym się głosem Gospodarz, który z rozpaczą wpatrywał się w uszkodzone malowidło.

Dopiero teraz Erna dostrzegła miejsce, w którym gałąź przebiła wielkie płótno. Zamiast postaci Andreasa Wesaliusza, uwiecznionego jeszcze do niedawna na obrazie, widniała wielka, poszarpana dziura z kawałkiem drewna pośrodku. Tymczasem ksiądz Uchto był już prawie oswobodzony spod ciężaru wielkiej gałęzi.

- Do góry! - krzyknął Kruger i wraz z Gaku oraz Charlesem unieśli gałąź.

Ksiądz Uchto wyczołgał się spod niej. Gdy był już w bezpiecznym miejscu, mężczyźni puścili gałąź, a ta z łoskotem opadła na marmurową podłogę. Adolfo Patino odwrócił się w ich kierunku. Erna dostrzegła na jego twarzy ogromne cierpienie.

Chyba był bardzo przywiązany do malowidła - pomyślała, patrząc, jak chwiejnym krokiem podchodzi do oswobodzonego księdza.

- Wszystko w porządku? - spytał zatroskanym głosem Patino.

Ksiądz Uchto był cały roztrzęsiony. Jego ciało ogarnęły niekontrolowane drgawki, a rozbiegane oczy nie mogły skupić się w jednym miejscu.

- T... t... tak - odpowiedział z trudem, otrzepując dłońmi okurzone kolana.

- Na pewno? - dopytywał Kruger, uważnie mu się przyglądając.

- Tak... tak... - powtórzył Uchto drżącym głosem.

- Jesteś pewien? - Tym razem to Charles postanowił wtrącić się do troskliwych pytań. Oddychał ciężko i widać było, że bardzo się zmęczył niesieniem pomocy. Pod pachami jego białej koszuli pojawiły się mokre plamy, a kilka jego srebrnych włosów z siwej czupryny przykleiło się do spoconego czoła.

- T-T-AAK! - odparł ksiądz, tym razem głośniej. Coś drapało go przy brodzie. Spuścił głowę i dopiero teraz dostrzegł, że jego bordowy sweter został rozerwany tuż przy chudej, bladej szyi. To w tamtym miejscu spoczywał najcięższy kawałek gałęzi, który o mało co go nie udusił. Przełknął głośno ślinę, po czym uniósł drżącą dłoń do góry i przyliżał na bok swoje potargane włosy.

- Jesteś pewien? - ponownie spytał Kruger.

- NA MIŁOŚĆ BOSKĄ! - krzyknął niespodziewanie Uchto, a wszyscy zebrani w salonie goście drgnęli. - CZY TO MA JESZCZE JAKIEŚ ZNACZENIE?! - dokończył, zaciskając obie dłonie w pięści. Stał teraz nieruchomo i oddychając ciężko, piorunował spojrzeniem zaskoczonego Krugera. Zaraz jednak spuścił wzrok i zawstydzonym głosem wyjąkał: - Ja... ja... przepraszam. Pójdę już do siebie. - Po czym, nie unosząc opuszczonej głowy, zniknął za drzwiami salonu. Stefan Kruger ruszył za nim.

- Nie, Stefanie. Zostaw go - odezwał się Patino. - Ksiądz Uchto musi sobie wiele przemyśleć, a najlepiej zrobi to - Gospodarz spojrział w kierunku Erny - w samotności - dokończył, po czym przeniósł wzrok na rozbite okno.

Erna stała przy wielkiej gałęzi i właśnie dostrzegła coś dziwnego. Ta dziwna reakcja księdza Uchto spowodowała, że wszyscy, łącznie z Gospodarzem, zaczęli co chwila na nią spoglądać. Wyczuwała ich spojrzenia i prawdę mówiąc, nie czuła się z tym komfortowo. Atmosfera stała się przytłaczająca, a powietrze tak ciężkie, że z trudem nadawało się do oddychania. Mimo że każdy próbował zatuszować niezręczność różnymi czynnościami - Charles co chwilę chrząkał w pięść, Cecile wydawała z siebie dźwięki rozpaczony „och”

i „ach”, Gaku Hara kopał impulsywnie nogą w zalegający na ziemi kawałek drzewa, Cindy robiła to samo, tyle że z kawałkami rozbitego talerzyka, Kruger pociągał nosem, przełykając co rusz sporą ilość flegmy, a Ida Abramova stukwała rytmicznie długimi tipsami swojej prawej dłoni w kawowy blat stołu – to jednak Erna dostrzegła, jak każdy z nich korzysta z ułamka sekundy, aby posiać w jej stronę nerwowe spojrzenie.

- Tak – odezwał się niespodziewanie Adolfo, przerywając tę niezręczną i przytłaczającą ciszę. – Spotkało nas straszne nieszczęście – stwierdził, wciąż spoglądając w rozbite okno. – Straszne, niewytłumaczalne świętokradztwo – dodał tym razem ciszej.

Erna dostrzegła, jak gęsta mgła z dworu zaczęła przedzierać się wprost do wnętrza salonu. Na tle tej scenerii sylwetka Gospodarza wyglądała dość przerażająco. Kontury jego chudego ciała, odzianego w garnitur i jednocześnie otulonego przez żółte światło żyrandola, szczelnie otaczały mgliste opary. Opary, które stopniowo wypełniały salonową przestrzeń. Erna wzdrygnęła się, czując nieprzyjemne mrowienie w karku.

- Moi drodzy – odezwał się ponownie Adolfo.

Nie miał już tego wyrazu twarzy, który Ernie tak bardzo się z nim kojarzył. Nie był to w tej chwili dobry, otwarty i przyjazny Gospodarz. Tej części jego osobowości jeszcze nie znała. Była nie tyle nowa, co odległa i niepasująca do gospodarza hotelu Hommanger. Erna zaczęła się zastanawiać, czy jest to ta sama osoba, z którą jeszcze niedawno tak otwarcie rozmawiała na temat obrazów Tycjana. Na twarzy Patino malowała się nieumiejętnie tłumiona złość z widocznym grymasem bólu. Erna nie widziała go jeszcze w takim stanie i nawet nie przypuszczała, że mogą się w nim kryć aż tak negatywne emocje. Jednak gdy ponownie się odezwał głosem ponurym i obojętnym, stwierdziła, że tak naprawdę wcale nie zdołała poznać tego przedziwnego starca.

- Proszę, aby kobiety udały się do swoich sypialni – wydał polecenie – natomiast my musimy uporać się z tym czymś. – Mówiąc

„my”, Gospodarz zwrócił się do wszystkich mężczyzn, a określając gałąź „czymś”, spojrział na nią z odrazą. Gdyby tylko jego wzrok posiadał moc unicestwiania i przerabiania gałęzi na wykałaczkę, już dawno nie byłoby jej w salonie. Co najwyżej hotel miałby zapas wykałaczek na wiele lat.

Chwilę później płęć żeńska, zgodnie z poleceniem Gospodarza, opuściła salon. Wychodząc, Erna zerknęła w stronę zasmuconego Charlesa. Dałaby głowę, że w tej chwili chciałaby być kobietą. Na zmianę płci było jednak za późno. Gdy tylko zamknęła swój pokój na klucz i opadła zmęczona na łóżko, dotarło do niej coś bardzo oczywistego. Tak naprawdę nie знаła tych ludzi. Dziś ogarnął ją niepokój. Czy mogła się tu czuć bezpiecznie? Dlaczego tak łatwo im zaufała? No tak... – przypomniała sobie. To wina jej słabości. To przez nią zatraciła swój instynkt. Ale od dziś wraca jej dawne „ja”. Od dziś będzie uważniejsza.

Do jej sypialni dotarły dźwięki trzaskania i dudnienia. Mężczyźni wzięli się właśnie za usuwanie szkód w salonie. Erna przez chwilę wsłuchiwała się w dochodzące do jej uszu hałasy, po czym myślami znów wróciła do swoich postanowień.

Od dziś będzie miała szerzej otwarte oczy i dokładniej przyjrzy się temu miejscu, a przede wszystkim... tym ludziom. Czy była zbyt ufna? – znów spytała samą siebie i już wiedziała. Już znała odpowiedź. Wiedziała, co musi teraz zrobić. Wiedziała, że musi zapewnić sobie bezpieczeństwo. Bez zastanowienia zanurkowała pod łóżko. Wyciągnęła prawą rękę najdalej, jak tylko mogła, chcąc dosięgnąć leżący na środku czarny futerał.

- Jeszcze kawałek... – jęknęła z wysiłkiem. Niestety po krótkiej chwili musiała się poddać. Albo miała za krótką rękę, albo to łóżko było za szerokie. Tak czy inaczej wiedziała, że w ten sposób nie odzyska swojej własności. Wstała z podłogi i rozejrzała się po pokoju. Nie dostrzegła jednak niczego, co mogłoby posłużyć jej jako przedłużenie ręki. Nagle jej wzrok padł na szafę stojącą zaraz

naprzeciwko łóżka. Wprawdzie jeszcze jej nie otwierała, ale zazwyczaj w szafach znajdują się...

- Wieszaki! - dokończyła na głos i z nadzieją podeszła do wysokiego dębowego mebla. Szybko otworzyła jego lewe skrzydło. Spojrzała w ciemną otchłań, a gdy wzrok zdołał przebić się przez meblowe mroki, jej oczy się zaświeciły.

- Ha! - wydała z siebie odgłos triumfu. Zanurzyła dłoń w głąb szafy i po chwili wyciągnęła z niej jedyny drewniany i lekko zdezelowany wieszak. Drewno w dwóch miejscach było pęknięte i raczej nie utrzymałoby już żadnej odzieży, jednak to było nieistotne. Na przedłużenie ręki nadawało się doskonale.

Erna ponownie zanurkowała pod łóżko, tym razem pewna, że bez problemu uda jej się dosięgnąć upragniony czarny futerał. Z uśmiechem na twarzy, trzymając w dłoni nadłamanym wieszak, skierowała wzrok w stronę celu.

- No to do dzieła... - szepnęła pod nosem, po czym oblizując co chwila wargi, próbowała trafić w leżący pod łóżkiem przedmiot. Okazało się to trudniejsze, niż myślała. Wciąż brakowało kilku cholernych centymetrów. Nie dawała jednak za wygraną. Wsunęła się na tyle, na ile tylko mogła, i zaciskając, z wysiłkiem skierowała rękę z wieszakowym przedłużeniem w stronę futerału. Wreszcie poczuła, jak metalowa część wieszaka o coś zahacza. JEST! - krzyknęła w duchu uradowana i pomału zaczęła ciągnąć zaczepiony przedmiot w swoją stronę. Po chwili jednak do jej uszu doszedł głuchy odgłos łamanego drewna. Poczowała, jak jej ramię rozluźnia się pod mniejszym ciężarem... pod mniejszym ciężarem futerału, który wraz z kawałkiem ułamanego wieszaka spoczął niedaleko miejsca, w którym tkwił uprzednio.

- Nie... - jęknęła głosem pełnym rozpacz.

Spojrzała z wyrzutem na kawałek wieszaka, który został w jej ręce. Zdenerwowana podniosła się i cisnęła nim o otwartą szafę. Ponownie zajrzała do jej wnętrza, jednak nie znajdował się już w niej ani jeden, chociaż mały, malutki wieszaczek (nawet połamany). Solidny kop

powędrował w otwarte drzwi, które z łoskotem zasłoniły puste wnętrze.

Erna była wściekła. Nienawidziła, kiedy coś jej się nie udawało. Kiedy pierdolone rzeczy martwe odmawiały jej posłuszeństwa. Uniosła głowę, spojrzała na popękany sufit i głęboko odetchnęła. Próbowwała się uspokoić. Znaleźć wewnętrzny spokój lub temu podobne gówno, które kiedyś pewien psycholog kazał jej odnajdywać w chwilach takich jak ta. W chwilach, kiedy rozwaliby coś z największą przyjemnością. W swoim wnętrzu jednak odnajdywała tylko przekleństwa, które skutecznie doprowadzały ją do furii. Ponownie wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że tak zapanuje nad falą... ba! - istnym tsunami niepohamowanej złości. Nie zdołała. Jej burzliwy temperament wziął górę. Podeszła do łóżka. Czuła, jak w jej żyłach buzuje krew. Serce biło jak oszalałe. Źrenice powiększyły się, jakby wciągnęła sporą ilość kokainy. Gdyby tylko mogła, zaryczałaby w tej chwili jak dzikie zwierzę z zaawansowaną wścieklizną. Oparła obie dłonie o brzeg łóżka i zaczęła je pchać. Na początku czuła duży opór.

- Ty kurwo! - warknęła. To ją bardziej zmobilizowało do działania. Zaparła się nogami o drewnianą podłogę i zaczęła napierać wszystkimi siłami. W pokoju rozległ się pisk przesuwanego po podłodze łóżka, który po chwili przemienił się w ostry zgrzyt nieubłaganej dewastacji podłogowych desek. Solidne nogi mebla zostawiały za sobą głębokie wyżłobienia w starej drewnianej podłodze.

JEEE-SZCZEEE-TROOO-CHEĘ - dopingowała się w duchu, czując, jak mebel zwany kurwą z każdą sekundą przesuwana się coraz dalej i dalej. Oddychając ciężko, parła, napinając wszystkie potrzebne do tego mięśnie. Wreszcie przestała. Pod stopami ujrzała upragniony cel. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo odsunęła wielkie łóżko. Praktycznie zdołała przemieścić je o całą jego szerokość. Odsapnęła ciężko, opierając dłonie o biodra. Zmęczyła się. Poczwała, jak złość

opuszcza jej napięte ciało. Po chwili usiadła na podłodze i chwyciła za czarny futerał.

- Witaj, mój drogi - szepnęła, czule ściskając go w obolałych dłoniach. Złość odeszła na dobre.

Wreszcie mogła przywitać się ze swoim dobrym kumplem. Rozpiąć czarne ochronne opakowanie, by spojrzeć na swój nieodłączny atrybut. Przecież on, ona i Suzi tworzyli jeden, jedyny i niepowtarzalny zespół. Byli nierozzerwalną całością. Czując wzbierającą w niej tęsknotę, chwyciła za zamek błyskawiczny okalający czarny futerał i... nagle zamarła.

Jej wzrok spoczął na podłodze, a dokładnie na miejscu, gdzie jeszcze do niedawna leżał jej upragniony przedmiot. Przechyliła głowę w bok i z zainteresowaniem zmrużyła oczy. Coś dziwnego było w tym kawałku drewnianej podłogi. Odłożyła futerał na bok i przysunęła się bliżej. Teraz była dokładnie nad tym. Prawą dłonią przejechała po wgłębieniach w deskach, które, jak się okazało, tworzyły nieduży kwadrat. Prawdę mówiąc, mogłoby to wyglądać na dosztukowanie brakującego elementu starej podłogi, jednak deski znajdujące się w wyraźnie zarysowanym kwadracie wcale nie różniły się od reszty. Wyglądały na oryginalne i na takie, które ułożono dokładnie w tym samym czasie co pozostałe. Miały dokładnie taką samą barwę, a drewniane słoje idealnie łączyły się w jedną całość. Erna raz jeszcze przejechała opuszkami palców po równych liniowych wgłębieniach. Były wyraźne i... zacisnęła dłoń w pięść, po czym zdecydowanie opukała wyznaczone przez nie kwadratowe miejsce. Głuchy łoskot odbił się od ścian pokoju. Znów skierowała pięść w drewnianą podłogę, tym razem jednak uderzając poza zarysowany kwadrat. Odgłos był inny. Twardszy i pełniejszy. Czy to może być... Próbowała podważyć palcami zaznaczone w podłodze miejsce. Żłobienia były jednak za wąskie.

Erna zaczęła w tej chwili żałować, że należy do osób obgryzających paznokcie. W tym momencie przydałaby jej się Ida Abramova, a raczej jej długie, szponiaste tipsy. Jednak nie miała

zamiaru informować kogokolwiek o tym, co właśnie odkryła, zwłaszcza że sama tak naprawdę nie wiedziała, do czego w tym momencie próbuje się dostać, a co najważniejsze, nie mogła przecież nikomu pokazać, jak bardzo zdewastowała podłogę. Może to zwykłe nic... może to wcale nie jest skrytka? Wszystko jednak wyglądało na to, że jej przypuszczenia mogą się potwierdzić. Musiała tylko znaleźć jakiś sposób na podważenie kwadratowego wieka. Ponownie spojrzała z żalnością na poobgryzane paznokcie i ponownie poczuła zawód, że są tak krótkie i w tym wypadku bezużyteczne. Rozejrzała się wokół siebie. Jej wzrok szybko padł na kawałek połamanego wieszaka z metalowym hakiem, który leżał przy czarnym futerale. Może teraz na coś się przyda? – pomyślała z nadzieją, chwytając za jego wygięte zakończenie. Koniec haka zbliżyła do jednego z wgłębień. Liczyła na to, że nie będzie za gruby i spokojnie wpasuje się w szczelinę. Z całej siły wcisnęła go w wybrane miejsce. Na początku czuła opór, jednak pod zdecydowanym naciskiem jej palców metalowy drut wszedł we wgłębienie. Erna oblizwała językiem górną wargę. Czuła narastające napięcie i niepokój... Tylko się nie połam... – pomyślała, po czym przystąpiła do podważania kwadratowego wieka. Najpierw delikatnie w bok, następnie lekko w górę... – próbowała manewrować w te dwie strony, mając nadzieję, że pokrywa choć trochę drgnie.

– No dalej... – wymamrotała pod nosem, skupiając całą uwagę na metalowym drucie.

I nagle stało się coś, na co czekała. Drewniana pokrywa zatrzeszczała i jej lewy bok, w którym tkwił hak, podskoczył o dobry centymetr. Serce Erny zaczęło bić mocniej. A więc nie myliła się. To była jakaś skrytka! Ogarnęła ją ogromna ciekawość, która zalewała jej głowę pytaniami bez odpowiedzi. Te jeszcze bardziej mobilizowały ją do działania. Co znajduje się w środku? Do kogo to należy? Czuła narastające podniecenie. Ostrożnie wyjęła drut i umieściła go delikatnie w przyległej, górnej szczelinie. Z chirurgiczną precyzją zaczęła nim manewrować, uważając przy tym, aby podważona wcześniej strona znów się nie zapadła. Teraz poszło o wiele łatwiej.

Górny róg kwadratowej pokrywy szybko przestał stawiać opór i uniósł się ponad podłogę na tyle, że mogła wreszcie wsunąć pod niego palce.

Nastąpiła chwila prawdy. Erna ujęła dłońmi wystający kawałek pokrywy i... zawahała się. A co, jeśli... jeśli przywita ją stado szczurów? Mroczna wizja licznych gryzoni z długimi obrzydliwymi ogonami wzdrygnęła jej ciało. Nie! To tylko jej wyobraźnia. Zdecydowanym ruchem uniosła drewniane wieko i zajrzała do środka. Przez moment widziała tylko czarną dziurę. Dopiero po chwili, gdy do jej wnętrza zaczęło dochodzić słabe światło nocnej lampki, Erna mogła ujrzeć, co się w niej znajdowało. W małym, niezbyt głębokim otworze z pewnością nie było żadnych groźnych gryzoni. Nie było też ludzkich kości czy kryjącego się w mroku ducha. Zamiast tego pośrodku, na samym dnie, spoczywało małe pudełko. Erna ponownie poczuła silne łomotanie serca.

Bez zastanowienia wsadziła rękę w mrok małej skrytki i chwyciwszy za tajemniczy przedmiot, wyjęła go na zewnątrz. Dopiero teraz dostrzegła, że metalowy pojemnik pokryty jest sporą ilością rdzy. Nie była to jednak zwykła puszka. Zaczęła obracać ją w dłoniach i przyglądać się jej z zainteresowaniem. Było to coś w rodzaju skrzynki z zamkiem na mały kluczyk. Erna spróbowała otworzyć wieko, które pod naporem jej uścisku ani drgnęło. Puszka pozostawała szczelnie zamknięta i nie zamierzała ujawnić swojego wnętrza. Dopiero teraz dziewczyna dostrzegła na wieku metalowego pudełka czarny, grawerowany rysunek budynku i niewyraźny napis. Spróbowała go odczytać. Litery były eleganckie i sprawiały wrażenie pisma odręcznego. W pokoju było jednak za ciemno. Z trudem mogła cokolwiek dostrzec.

Podźwignęła się z podłogi i podeszła do szafki nocnej. W świetle lampki puszka wyglądała na jeszcze bardziej zniszczoną. Erna kucnęła i zbliżyła ją do klosza. Delikatnie przetarła zabrudzony napis palcem, którego opuszek szybko pokrył się warstwą ciemnopomarańczowego pyłu.

- O cholera... - wyszeptała, gdy wreszcie udało jej się dostrzec zamieszczoną pod obrazkiem inskrypcję. - „Hotel Hommanger” - odczytała na głos i dotarło do niej, że budynek przedstawiony na puszcze to miejsce, w którym się właśnie znajduje. Raz jeszcze obróciła w dłoniach niedużą puszkę i spróbowała ją siłą otworzyć. Bez skutku. Dostrzegła, że pod spodem znajduje się kolejny napis. W przeciwieństwie do tego na wieku ten był wyryty ręcznie, jakby ostrym przedmiotem. To utrudniało jego odczytanie.

Erna, niewiele myśląc, podeszła do plecaka i pogrzebała ręką w jego wnętrzu. Panujący w nim ład szybko odszedł w zapomnienie. Wreszcie odnalazła to, czego szukała. W ręku trzymała fioletowy notes i ołówek. Z notesu oderwała jedną kartkę. Puszczę postawiła na nocnej szafce, dnem do góry. Przyłożyła do niej kawałek papieru, po czym przyciskając mocno ołówek, zaczęła pokrywać kartkę grafitem. Tę sztuczkę znała jeszcze z bidula, gdy z koleżankami przekazywały sobie tajne wiadomości. Sprawdzała się też świetnie, gdy bawiły się w sklep. Wystarczyło położyć monetę pod kartkę, mocno docisnąć ołówek do powierzchni, gdzie znajdował się pieniążek, i gotowe. Mogły cieszyć się z koleżankami papierowymi, prawie prawdziwymi monetami, które świetnie sprawdzały się w ich udawanym życiu.

Tak jak w przypadku awersu monety, który podczas pocierania ołówkiem odbijał się na powierzchni papieru, tak i tym razem tajemniczy wyżłobiony napis zaczął pojawiać się na kawałku notesowej kartki. Trzeba było wiedzieć, jak dociskać ołówek. W tej czynności niezbędne było wyczucie, którego Erna nauczyła się w domu dziecka. Jeszcze trochę i... ołówek zamazał ostatni kawałek papieru. Chwyła za kartkę i podeszła z nią do okna.

- *Rien n'arrive sans raison* - odczytała biały napis na grafitowym tle. - Nic nie dzieje się bez przyczyny... - przetłumaczyła na głos, marszcząc brwi. Znała francuski w wystarczającym stopniu, aby domyślić się, co oznaczał napis. Już gdzieś słyszała to zdanie... Jednak pamięć w tym momencie ją zawiodła. Po co ktoś wyrył tę sentencję? Co mogła znaczyć? Erna ponownie podeszła do nocnej szafki

i chwyciła za puszkę. Uniosła ją do ucha i delikatnie potrząsnęła jej zawartością. W środku coś zagrzechotało i zaszeleściło. Po odgłosie mogła stwierdzić, że w jej wnętrzu znajdują się jakieś papiery i coś jeszcze. Coś, co będzie mogła zobaczyć dopiero wtedy, gdy uda jej się otworzyć ten cholerny pojemnik. Jeszcze raz spojrzała na rysunek budynku i podpis. Hotel prezentował się okazale. Puszka prawdopodobnie pochodziła z czasów jego świetności. Musiało to być dawno temu – pomyślała, czując roztaczający się wokół smród stęchlizny.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Erna podskoczyła w miejscu. Zaskoczona, wzięła kilka głębszych oddechów i odpowiedziała:

- Tak?!

- Gospodarz zaprasza na obiad. - Głos Cindy wdarł się do jej pokoju. - A raczej obiadokolację - doprecyzowała po chwili namysłu Walker.

Erna spojrzała na swoją delbanę. Wybiła godzina dwudziesta. Czas leciał jak szalony.

- Eeee... - wyjąkała zmieszana, zastanawiając się, co odpowiedzieć. - Dzięki - odparła wreszcie, spoglądając w popłochu na przesunięte łóżko. Nie mogła teraz otworzyć drzwi. - Zaraz zejść - dodała szybko, mając nadzieję, że Cindy nie będzie nalegała na to, aby wpuściła ją teraz do środka. Przez chwilę Walker milczała.

- Jak chcesz - odpowiedziała w końcu, prychając głośno pod nosem (tak, Erna doskonale słyszała to prychnięcie obojętności). Chwilę później Erna usłyszała także oddalające się kroki. Mogła odetchnąć z ulgą. Wypuściła powoli powietrze. Teraz musiała przywrócić pokój do dawnego porządku.

Przesuwanie łóżka na miejsce okazało się znacznie trudniejsze niż jego odsuwanie. W końcu jednak zdołała je umieścić we właściwym miejscu, co jednak przypłaciła natychmiastowymi odciskami na dłoniach. Ciężko oddychając ze zmęczenia, ukryła czarny futerał i puszkę pod kremową kołdrą, po czym upewniwszy się, że wszystko wygląda tak jak dawniej (oprócz zdewastowanej podłogi), wyszła

z pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Była zmęczona i głodna. Wizja obiadokolacji wprawiła ją w dobry humor.

Tego wieczoru przy stole pojawili się wszyscy, jednak atmosfera była na tyle sztuczna, że Erna szybko dostrzegła udawany uśmiech księdza Uchto i zdecydowanie wymuszone życzliwe miny reszty gości. Nawet Gospodarz był jakiś nieobecny i tylko raz na jakiś czas silił się na odrobinę serdeczności w postaci kilku miłych uwag na temat jedzenia. Mało ją to jednak obchodziło. Jej myśli krążyły wokół odnalezionej skrzynki, której wnętrze wciąż było dla niej sekretem. Co mogło się w niej znajdować? Postanowiła, że dziś raz jeszcze spróbuje otworzyć metalowe pudełko.

- Moi drodzy - odezwał się Gospodarz, unosząc wątłe ciało z krzesła. Wszyscy zebrani przy stole goście utkwili w nim wzrok. - Dziękuję wszystkim mężczyznom za uporanie się z drzewem, które... - Adolfo przełknął ślinę. Na jego twarzy malował się wyraźny smutek. - ...które wtargnęło do wnętrza tego domostwa. Jednocześnie pragnę zapewnić was, że jesteśmy tu bezpieczni. Jednak ze względu na zaistniałe okoliczności jestem zmuszony przedsięwziąć nadzwyczajne środki ostrożności. Od dziś drzwi wyjściowe będą zamknięte na klucz. Proszę was, aby nikt nie opuszczał tego budynku do dnia przyjazdu autokaru.

- Do dnia przyjazdu autokaru? - powtórzyła Erna.

- Tak, słodziutka. Niestety nie mogę ryzykować, że komuś z was stanie się krzywda. Pogoda na zewnątrz jest niebezpieczna, a tu nic nam nie grozi. Poza tym mam także na uwadze słowa naszej Cecile, która twierdzi...

- Jestem przekonana! - wpadła mu w słowo Cecile Bennett. - Prze... przepraszam... - odrzekła, gdy Kruger skarcił ją spojrzeniem.

- No dobrze... - kontynuował Adolfo Patino. - Która jest przekonana, że widziała kogoś na zewnątrz. Mam nadzieję, słodziutka, że - Gospodarz spojrzał na Ernę, do której właśnie coś dotarło. Utknęła tu na kolejne dni - zrozumiesz to i nie będziesz czuła się jak w więzieniu. To dla twojego dobra. - Patino wyciągnął przed

siebie dłoń i wskazał nią zamasyście na siedzących przy stole gości.
- Dla dobra nas wszystkich. A teraz chciałbym wam życzyć smacznego - dokończył, opadając ostrożnie na drewniane krzesło.

Świetnie... wygląda na to, że zostanę tu trochę dłużej, niż zakładałam - pomyślała Erna, chwytając za półmisek z kawałkami smażonego mięsa. Powinna wpaść w panikę. Powinna za wszelką cenę próbować wytłumaczyć Gospodarzowi, że będzie musiała opuścić to miejsce, jednak... i to dziwiło ją najbardziej.... gdzieś we wnętrzu swojej świadomości była zadowolona z takiego obrotu sprawy. W Ottawie czekały na nią problemy i może koniec jej kariery. Tu jednak, o dziwo, czuła, że odzyskiwała dawną siebie, i tu... odnalazła tajemniczą puszkę, którą musiała w końcu otworzyć. Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie. Erna była tego wieczoru jedyną osobą przy stole, która się cieszyła.

Gdy z pełnym brzuchem ponownie zjawiała się w sypialni, szybko się przekonała, że nie da rady pokonać upartego zamka srebrnej puski. Zmęczona dniem pełnym niespodziewanych zdarzeń, wzięła długi prysznic, po którym szybko ogarnęła ją senność. Przed snem jednak postanowiła zrobić coś jeszcze. W końcu dziś miała powrócić „dawna ona”. Wyjęła czarny futerał, który wciąż spoczywał ukryty pod kołdrą, rozpięła jego zamek i rozłożyła go przed sobą niczym książkę.

- Witaj, mój drogi - przywitała się ze spoczywającym w gąbczastym podłożu Glockiem. Zaraz przy nim leżała metalowa czarna tuba będąca tłumikiem, naładowany magazynek, a także zapas dodatkowych nabojów. Choć pistolet nie należał do tych najnowszej generacji, dla Erny był idealny. Kaliber dziewięć milimetrów i jej celne oko wystarczały, aby ze stuprocentową skutecznością eliminować wyznaczone cele. Jedyne, z czego nie była zadowolona, to tłumik, który nie do końca potrafił zagłuszyć wystrzał, jednak mogła na to przymknąć oko, aby nie rezygnować z jej ukochanej pierwszej broni. Tej, którą wybrała, gdy zaczynała pracę w organizacji. Tej, która zawsze była przy niej i nigdy nie odmówiła posłuszeństwa. Byli

dla siebie po prostu stworzeni. A wraz z Suzi... Poczwała ukłucie w sercu na samo wspomnienie ukochanego, wysłużonego samochodu. Miała nadzieję, że Bobby zdołał przywrócić ją do życia. Ona, Glock i Suzi. Idealne zawodowe trio. I właśnie w tym momencie poczuła ogromną tęsknotę za tym, co jeszcze niedawno wypełniało jej dni. Poczwała chęć działania. Chęć wykonywania zadań. Powrotu do organizacji i pokazania wszystkim, że teraz da radę. Odbiła się od dna i jest gotowa stawić czoła nowym zleceniom. Pogodziła się z tamtą przekłętą historią i wybaczyła samej sobie. To nie była jej wina. To nie ona zrujnowała życie tamtej małej dziewczynce. Wszystkiemu winien był jej ojciec który kto wie, do czego byłby zdolny, gdyby mała jeszcze trochę podrosła. Erna wiedziała jedno. Ta historia ją wzmocniła. Teraz była odporna na takie sytuacje. Dążyła do doskonałości. Do perfekcji. Cel, który sobie kiedyś obrała, na nowo ożył w jej głowie. Będzie najlepsza. Szef będzie z niej dumny. Tak! Taki właśnie był jej życiowy plan.

Na twarzy Erny pojawił się uśmiech. Jeżeli pogoda jutro się poprawi, spróbuje szybciej wrócić do Ottawy, a jeśli nie... no cóż... Rozejrzała się po pokoju i utkwiała wzrok w metalowej puszcze - ...kilka dni odpoczynku nie zrobi jej różnicy. Tak czy inaczej, cieszyła się z jednego. Powróciła, i to było najważniejsze. Delikatnie zamknęła czarny futerał i odłożyła go na nocną szafkę, zaraz przy swoim tajemniczym znalezisku. Zgasła lampkę i ułożyła się wygodnie na łóżku. To był dziwny dzień - pomyślała, a kilka minut później zasnęła.

Rozdział 6

Otworzyła oczy, nagle i brutalnie wyrwana z nierealnego świata. W pokoju panował mrok. Poczula w nozdrzach znajomy odór stęchlizny. Leżała na wznak i mimo że czuła na sobie kołdrę, jej ciało było skostniałe z zimna. Obróciła głowę w kierunku okna. Zza szyby uśmiechała się złowieszcza, nieprzejednana noc. W oknie widać było tylko kilka niewyraźnych zarysów gałęzi, powykrzywianych nienaturalnie, niczym ręce torturowanego człowieka. Poczula w sobie dziwny niepokój. Przetarła zaspane oczy, po czym podciągnęła ciało do góry, opierając plecy o zagłówek łóżka. Zapaliła nocną lampkę, dzięki której mogła spojrzeć na swoją delbanę spoczywającą wciąż na jej lewej ręce. Zegarek wskazywał godzinę drugą piętnaście. Jego blaszana koperta nieprzyjemnie szczypała zimnem w jej nadgarstek. Zdjęła go i odłożyła w bezpieczne miejsce, obok włączonej lampki. Kątem oka dostrzegła coś dziwnego.

Szybko spojrzała przed siebie. Jedno skrzydło starej szafy było uchylone. Drgnęła zaskoczona, nie odrywając od niej wzroku. Przysięgłaby na wszystko, co dla niej cenne, że dobrze ją zamknęła. Była tego pewna, zwłaszcza po tym, jak zamykając ją poprzedniego dnia, odkryła, że prawe skrzydło było zepsute. Wskoczyło z wyrobionych zawiasów i aby je zamknąć, trzeba było unieść je z niemałym wysiłkiem ku górze i wstawić we właściwe miejsce. Wymagało to od niej sporej siły. Siły, której nie dorównałby żaden przeciąg czy niewidzialne ruchy rzeczy martwych, uważane w codziennym życiu za coś normalnego. Tym bardziej ją to zaniepokoiło i sprawiło, że z narastającą nieufnością wpatrywała się w stary mebel. W szafę, która na pewno była zamknięta, gdy kilka godzin wcześniej kładła się spać.

Nieoczekiwanie uchylone skrzydło drewnianego mebla drgnęło. Na tyle mocno, że Erna doskonale dostrzegła ten ruch w słabo

oświetlonym pokoju. Odchyliła gwałtownie ciało. Jej plecy uderzyły o twardy drewniany zagłówek. Poczowała pod lewą pierś łomotanie swojego serca. Skostniałe palce zacisnęły się na kremowej kołdrze. Nocna lampka zamrugwała kilkakrotnie. Ściany pokoju raz po raz zaczęły pokrywać się złowrogimi cieniami gałęzi czających się gdzieś za oknem. Niespodziewanie z otchłani szafy zaczęły dobiegać dziwne dźwięki. Jakby metaliczne odgłosy pukania. Stuk, stuk... lampka wciąż rytmicznie mrugała, wtórując coraz mocniejszym uderzeniom. Erna zaczęła głośno oddychać. Czuła, jak krew odpływa z jej twarzy. Z przerażeniem w oczach spoglądała to na migającą żarówkę, to na szafę, która w tej chwili bardziej niż mebel przypominała potwora z dziecięcych koszmarów. Strach rozsadzał ją od środka.

Z natury była odważna. Z natury nie bała się żadnego człowieka. To jej zazwyczaj bali się ludzie. Była odporna na społeczeństwo, a ostateczny szlif zdobyła dzięki przyjacielowi. To Bobby wspierał ją podczas likwidowania jej pierwszego roztocza. Tak właśnie nazywała ludzi, których musiała zabić. Mimowolnie sięgnęła pamięcią do dnia, kiedy to ubrana w czarny kombinezon, z kominiarką na twarzy celowała swoim (wtedy jeszcze nowym) glockiem w głowę kucającego tuż przy jej nogach roztocza. Jej pierwsza ofiara była płci męskiej, która w wieku czterdziestu trzech lat trudniła się uprowadzaniem dzieci bogatych rodziców, którzy jeśli chcieli je odzyskać (a tak zazwyczaj było), musieli wpłacić wysoki okup.

Przed każdym swoim zleceniem Erna dostawała akta sprawy, które powinny wystarczyć jej do wypełnienia zadania i zneutralizowania roztocza. Jednak przez swoją ciekawość świata zawsze drążyła temat zlecenia i przed wykonaniem misji uzupełniała te wiadomości informacjami, które jej samej udało się zdobyć. W ten sposób chciała się upewnić, że roztocze to kurewsko nieziemska gnida, której nie żal będzie pozbawić życia.

Wracając jednak do jej pierwszego w życiu roztocza, informacje w aktach wyglądały mniej więcej tak:

*Benjamin Winkel,
lat 43,
porwania dzieci dla okupu,
zleceniodawca: Jasper Marconi...*

W papierach widniał jeszcze prawdopodobny adres delikwenta, a także ostateczny termin wykonania zlecenia. Z czasem, gdy Erna przyjmowała kolejne zlecenia, dostrzegła, że w aktach nie zawsze podawana była osoba zlecająca. Wynikało to z tego, że większość zleceniodawców chciała pozostać anonimowa, do czego mieli oczywiście prawo, choć niezupełnie. Takie dane posiadał jedynie Bruce Cardona - szef i władca korporacji, w której przyszło jej pracować. To on któregoś dnia zjawił się na uczelni z tą dziwną propozycją. Z propozycją, która okazała się nie do odrzucenia. Dla niej, dla tej propozycji, rzuciła studia medyczne i zaczęła życie, które wraz z jej starą Suzi musiała ukrywać przed resztą świata. Jak się później okazało, większość pracujących w korporacji ludzi pochodziła z domów dziecka, a więc nie byli oni obarczeni rodzinnymi sentymentami. Dla takich osobników, solidnie skopanych w tyłki przez życie, propozycja pracy od Bruce'a Cardony była niczym manna z nieba.

Na wykonanie pierwszego zlecenia miała tydzień. Siedem dwudziestoczworgodzinnych dni na przygotowanie się do pierwszej akcji. W tym krótkim czasie musiała także zaspokoić swoją dziecięcą ciekawość, czyli zebrać dodatkowe informacje na temat roztocza.

Przy kolejnych zleceniach pomagał jej w tym Bobby, z którym w dniu zlikwidowania pierwszego delikwenta nie łączyła jej żadna przyjaźń. Wtedy jeszcze była dla niego kobietą katem, uświadamiającą mu z uporem, że nigdy nie zaciągnie jej do łóżka. Ten etap trwał prawie dwanaście uporczywych miesięcy, choć po tym okresie szybko przerodził się w trwałą przyjaźń. Jednak gdy Erna pierwszy raz w życiu celowała do człowieka, nic tego nie zapowiadało.

- Strzelaj - wycedził przez zęby Bobby. Był wyraźnie zirytowany jej wahaniem. Z racji tego, że nie mieścił się w żaden obcisły kombinezon, miał na sobie zwykłe, codzienne ubranie i czarną, bawełnianą, dość wysłużoną kominiarkę naciągniętą na wielką, włochatą głowę. W tamtym okresie Bob również przyjmował zlecenia, jednak dwa lata później został firmową złotą rączką od wszelakich samochodowych napraw. Zajmował się także wyposażaniem korporacji w broń. O dziwo ta praca podobała mu się bardziej niż zabijanie roztoczy. Nie, żeby był tchórzem. Co to, to nie. Bobby w swoich działaniach był bezwzględny skurwielem. Prawda była jednak taka, co dobrze zauważył sam Bruce Cardona, że tkwił w nim zarówno ogromny, bezwzględny skurwiel, jak i równie wielki talent do uzdrawiania pojazdów i wyposażania ich w różnego rodzaju gadżety, a kogoś takiego korporacja po prostu potrzebowała.

Tamtego dnia jednak, gdy Erna mierzyła do pierwszego w swoim życiu roztocza, pełnił rolę mentora, który motoryzację traktował wyłącznie jako swoje hobby.

- No strzelaj, kurwa - powtórzył zdenerwowany Bob wprost do jej zakrytego przez kominiarkę ucha.

W tamtym momencie Erna bała się dokładnie tak, jak teraz w sypialni hotelu Hommanger, choć z małą różnicą. Wtedy celowała do człowieka, którego miała zabić. Tamtej nocy miała zostać jego katem, który odmawiał mu prawa do życia. Była blada z nerwów, jednak świetnie ukrywała ten fakt pod swoim strojem. Kurczowo ścisnęła obie dłonie na naładowanym Glocku, którego lufa skierowana była wprost w łysą głowę zakneblowanego taśmą mężczyzny.

- Na Boga! - warknął Bobby.

Łysy mężczyzna drgnął zaskoczony jego tubalnym głosem. Erna jednak stała niewzruszona, choć wynikało to raczej z paraliżu wywołanego strachem, który zawładnął jej ciałem. Bobby oddychał ciężko, co jakiś czas łypiąc groźnie to na swoją uczennicę, to na klęczącego tuż przy ich nogach kwilącego faceta. Pomału zaczęło docierać do niego, że zbyt agresywnym zachowaniem nic nie działa.

Był to jego pierwszy i, jak się później okazało, ostatni dzień w roli mentora, jednak już docierało do niego, że marny jest z niego nauczyciel.

- Posłuchaj - rzekł po chwili do swojej uczennicy. Tym razem jego głos był łagodniejszy. - Masz alergię na roztocza, tak? - rzucił w jej stronę dziwne pytanie.

Erna, nie odrywając wzroku od swojego celu, kiwnęła twierdząco głową. Czowała, jak glock ślizga się w jej spoconych dłoniach. Bobby wiedział, że ma alergię. Wszyscy w korporacji to wiedzieli. Każda choroba czy dolegliwość wychodziła na testach kontrolnych, które każdy z pracowników (tych nowych, ale też starych) przechodził co roku.

- No to wyobraź sobie, że każdy cel do zlikwidowania jest wielkim roztoczem. Musisz go zlikwidować, żeby odetchnąć z ulgą. To łyse roztocze musi dzisiaj zginąć.

Na te słowa skrępowany mężczyzna wydał z siebie żaloszny, długi jęk, na tyle głośny, na ile pozwoliła mu na to zaciśnięta na jego ustach srebrna taśma. Erna rzuciła w kierunku Bobby'ego szybkie spojrzenie, w którym widać było jej przerażenie i strach.

- Nie muszę sobie wyobrażać takich rzeczy, żeby zabić tego skurwysyna - odpowiedziała mu po chwili mało przekonującym tonem. Naraz w jej głowie zaczęły ukazywać się zdobyte przez nią informacje, którymi uzupełniła akta pierwszego zlecenia. Benjamin Winkel, choć musiała przyznać, że nazwa „łyse roztocze” bardziej przypadła jej do gustu, był totalnym popaprańcem. Owszem, porywał dzieci bogatych rodziców dla okupu. Jednak zapomnieli dodać, że... Erna pociągnęła nagle za spust swojego glocka. Z tylnej części głowy łysego roztocza trysnęła czerwona fontanna.

- ...to łyse roztocze nigdy nie zwracało dzieci swoim rodzicom po tym, jak wpłacili okup - dokończyła na głos, wpatrując się w zgięte na pół martwe ciało, spod którego wypływała coraz większa kałuża krwi. Tak też było z dzieckiem zleceńodawcy jej pierwszej misji. Jasper

Marconi stracił bezpowrotnie swoje sześciolatnie dziecko pomimo przekazanych pieniędzy...

- Co? - zdziwił się Bobby, który teraz z podziwem patrzył na efekt precyzyjnego strzału swojej uczennicy.

- Benjamin Winkel zabijał wszystkie dzieci, które porywał. Nie miało znaczenia, czy rodzice wpłacili okup czy nie. On i tak je zabijał - wytłumaczyła Erna, wciąż trzymając glocka skierowanego w zlikwidowany cel.

- Tego chyba nie było w aktach? - zdziwił się Bobby.

- Nie - odpowiedziała Erna, wciąż celując w stronę roztocza, jakby bała się, że w każdej chwili może ożyć i dokonać zemsty.

- Sama dotarłaś do tych informacji?

- Tak - odpowiedziała krótko. Po chwili jednak spytała: - Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego tych informacji nie podano w aktach zlecenia? - Erna w końcu opuściła broń i przeniosła swój wzrok z martwego roztocza na Bobby'ego.

- Słuchaj, mała. W korporacji nieważne są sentymenty - odpowiedział mężczyzna, wzruszając obojętnie wielkimi ramionami. - Im mniej wiesz, tym lepiej. My nie ulepszamy świata, likwidując jego największe szumowiny. Czasem trafi ci się zlecenie, kiedy to będziesz musiała zlikwidować roztocze, które twoim zdaniem będzie czyste niczym zużyty papier toaletowy samego papieża. Twoja ekspertyza jednak, i to dobrze zapamiętaj - Bob położył swoją ciężką dłoń na jej szczupłym ramieniu - jest gównem warta. Dostajesz zlecenie i masz je wykonać. Tyle w tym temacie.

Erna wpatrywała się w jego ciemne oczy, które były ledwo widoczne spod bawełnianej czarnej kominiarki. Zaczęła zastanawiać się, czy dobrze zrobiła, wstępując do korporacji. Likwidowanie szumowin nie było dla niej problemem, jednak co będzie, gdy... gdy jej ekspertyza będzie kłócić się ze słusnością wykonania zlecenia?

- Musisz być twarda! - Bob, widząc wahanie w jej oczach, poklepał ją solidnie po plecach, po czym jego wielka dłoń z premedytacją

zjechała w okolice jej opiętych czarnym materiałem pośladek. - Musisz być twarda jak mój nieziemskich rozmiarów fallus, który na twój widok...

- Odpiardol się, Bob - rzuciła, chwytając nagle jego rękę. Wykręciła ją mocno i po chwili Bobby kwilił, obezwładniony jak małe dziecko, z twarzą przyciśniętą do ziemi. Erna siedziała okrakiem na jego szerokich plecach, trzymając wykręconą rękę Bobby'ego przy swoim ciele.

- O dziewczyno! To lubię! - wydusił z siebie mężczyzna, którego śmiech mieszał się teraz z jękami.

Erna nachyliła twarz w kierunku jego ucha.

- Chyba raczej nie zostaniemy przyjaciółmi, ty pieprzony zboku - wyszeptała i w tamtej chwili nie wiedziała jeszcze, jak bardzo się myliła.

Pierwsze zlecenie było jej chrztem. Całkowitym wyzbyciem się bojaźliwości względem innych. Nabrała odwagi. Nauczyła się być bezwzględna i ociemniała na słusność sprawy. Pomógł jej w tym wszystkim Bobby, którego w tej chwili chciałaby mieć u swojego boku. Siedziała na łóżku śmiertelnie przerażona. Nie bała się ludzi. To fakt. Jednak od dziecka nie przepadała za robakami, szcurami, myszami, a przede wszystkim za zjawiskami, których nie można było pojąć rozumem.

Erna oderwała przerażony wzrok od szafy i rozejrzała się po pokoju. Sypialnia przypominała złowieszczą dyskotekę. Migająca lampka i niezidentyfikowane odgłosy nie zachęcały jednak do tańca. Chciała zniknąć. Chciała teleportować się w bezpieczne miejsce.

Stuk... stuk... STUK... STUK... - tajemniczy odgłos, wydobywający się z szafy, wezbrał na sile. Erna spojrzała w kierunku uchylonych drewnianych drzwiczek mebla.

STUK... STUK... STUK... Nocna lampka wciąż migotała jak szalona.

STUK, STUK, STUK - pukanie przyspieszyło, a Erna czuła, jak odgłos rozchodzi się drganiem w jej ciele. Nagle uchylone skrzydło

szafy znów się poruszyło. Tym razem mocniej niż poprzednio. Coś zaczęło się wyłaniać z ciemnej szpary.

STUK, STUK, STUK - tym razem to serce Erny wypełniało pomieszczenie regularnymi, silnymi uderzeniami. Jej palce jeszcze mocniej zacisnęły się na kremowej kołdrze.

Niespodziewanie z otchłani szafy wypełzła równie ciemna i ledwo widoczna, bezkształtna forma. Erna przełknęła głośno ślinę. Chciała krzyknąć, lecz głos uwiązł jej w gardle. Zamiast tego, z jej gardła wydobył się stłumiony jęk. Tymczasem „coś” coraz bardziej wyłaniało się z drewnianego mebla. Nagle niezidentyfikowane stuki umilkły. Lampka przestała migotać jak szalona. Bezkształtna forma zwinnie otuliła rant uszkodzonego skrzydła. Dopiero teraz do Erny zaczęło docierać, na co właśnie patrzy. Ciemny, wyłaniający się z szafy obiekt, który spoczął teraz na otwartych drzwiach, był niczym innym jak... dłonią? Erna zamrugła kilkakrotnie i wyteżyła wzrok, chcąc upewnić się, że się nie myli. Z trudem, zbierając w sobie resztki odwagi, pochyliła swoje ciało do przodu. Opierając je na wyciągniętych dłoniach, zbliżyła się nieznacznie do stojącej naprzeciwko łóżka szafy. Nocna lampka wcale nie ułatwiała jej zadania. Jej żółte światło zniekształcało to, co upiornie okalało część starego mebla. Jednak te kilkanaście centymetrów do przodu wystarczyło, aby wreszcie mogła się upewnić. To, na co właśnie patrzyła, było zdecydowanie ludzką dłonią. Małą dłonią z dziecięcymi, drobnymi paluszkami. Coś jednak było nie tak. Erna wychyliła się jeszcze bardziej do przodu o kolejne kilkanaście centymetrów. Starła się przy tym nie wydawać żadnych zbędnych odgłosów. Łóżko nieprzyjemnie zaskrzypiało. Zamarła bez ruchu. Panowała nad swoim oddechem, choć przychodziło jej to z trudem. Skupiła wzrok na tajemniczym obiekcie. Choć dłoń była zdecydowanie ludzka, to jednak miała w sobie coś dziwnego. Wreszcie dostrzegła niepasujący element. Wpatrywała się w niego z przerażeniem. W miejscu, w którym powinien znajdować się palec wskazujący, wystawało metalowe coś. Coś, co wyglądało dokładnie

jak... proteza, pobłyskująca teraz w mrokach słabo oświetlonego pokoju.

Niespodziewanie dłoń się poruszyła. Metalowy palec odgiął się i z łoskotem uderzył w drewniane skrzydło szafy. Erna rzuciła się z impetem do tyłu. Jej głowa uderzyła o drewniany zagłówek. Jęknęła z bólu, po czym trzymając się jedną ręką za pulsujący tył głowy, chwyciła za kremową kołdrę i przykryła się nią po same oczy. Jakby to miało ją ochronić przed... - zastanowiła się przez chwilę. Przed czym się właśnie chowała? To musiał być sen. Zapewne śniła jakiś koszmar. Czy jednak we śnie czułaby tak wyraźnie ból? Przełknęła ślinę. Pod grubą kołdrą oddychanie wcale nie było łatwe. Do tego stan, w którym się znajdowała, utrudniał jej zaczerpnięcie pełnego oddechu.

Nieoczekiwanie sypialnia wypełniła się odgłosem skrzypiących drzwi. Jej wyobraźnia zaczęła pracować na wysokich obrotach. Przypomniała sobie film o Freddy Kruegerze i jego przerażającym narzędziu zbrodni, którym rozszarpawał ludzi. Rękawice z ostrzami zamiast palców... czy to był jej koszmar z ulicy Wiązów? Coraz trudniej łapała oddech, nie mając odwagi zrzucić z siebie ochronnej kołdry. Tymczasem sypialnia wypełniła się obcym śmiechem. Do jej uszu dotarł... o dziwo, przyjazny głos szczęśliwego dziecka. To musiał być chłopiec. Mały chłopiec... - pomyślała zaskoczona, wsłuchując się w wyraźny chichot dobiegający gdzieś z pokoju, w którym się znajdowała. Ten odgłos nie budził w niej przerażenia. Było w nim coś czystego i niewinnego. Spróbowała wziąć ostatni głęboki oddech pod kremową kołdrę, po czym jednym ruchem odrzuciła ją na bok. Momentalnie w jej ciało uderzył chłód. Od razu spojrzała w kierunku szafy. Drgnęła zaskoczona. Tuż za łóżkiem, na tle otwartych drzwi starego mebla, stał mały chłopiec. Erna pomału wypuściła powietrze, nie odrywając od niego wzroku.

- Co ty tu robisz? - wydusiła z siebie przerażonym głosem.

Chłopiec jednak nie odpowiedział. Zamiast tego uśmiechnął się w jej kierunku i podbiegł do drzwi wyjściowych sypialni.

- Hej! - krzyknęła za nim nieco zdezorientowana. - Poczekaj! - Jednak dziecko już otworzyło drzwi na korytarz. Zdążyło jeszcze machnąć przyzywająco, po czym czmychnęło jej z pola widzenia.

- Cholera... - bąknęła pod nosem.

Niewiele się zastanawiając, wstała z łóżka i pognęła za chłopcem. Już po chwili znalazła się na korytarzu, choć ten wyglądał teraz zdecydowanie inaczej. W powietrzu czuć było przyjemny różany zapach. Na podłodze rozpościerał się długi bordowy dywan zdobiony na brzegach złoto-zielonym, roślinnym ornamentem. Zdziwiona rozejrzała się wokoło. Drzwi do pokoi gościnnych także wyglądały inaczej. Jakby pomalowano je dopiero co świeżą brązową farbą. Tabliczki z numerami były lśniące niczym wypolerowane z największą pieczołowitością. Natomiast same ściany korytarza przyozdobione były czerwonymi tkaninami, sięgającymi aż po biały, niespękany sufit. Inaczej zapamiętała ten korytarz. Inaczej wyglądało to miejsce, zanim położyła się spać. Oszołomiona kręciła się wkoło bosymi stopami po dywanie, z niedowierzaniem wpatrując się w odmienione wnętrze budynku. Dopiero gdy do jej uszu dobiegł głośny śmiech dziecka, zatrzymała się raptownie. Spojrzała w kierunku, z którego doszedł ją ten wesoły dziecięcy głos. Mały chłopiec ubrany w granatową piżamkę stał teraz dokładnie przy drzwiach prowadzących do gabinetu Adolfo Patino.

- Nie wchodź tam! - krzyknęła Erna ostrzegawczo. Czuła potrzebę, żeby go przestrzec, choć sama nie wiedziała dlaczego. - Nie wchodź tam! - powtórzyła, idąc pospiesznie w jego stronę.

Jednak chłopczyk nie zamierzał jej słuchać. Ponownie przywołał ją do siebie machnięciem dłoni, na której błysnęła metalowa proteza, po czym zniknął za drzwiami gabinetu Gospodarza.

- Poczekaj! - krzyknęła raz jeszcze, przyspieszając kroku. Drzwi do pokoju Adolfo Patino były uchylone. Tym razem nie zawahała się wejść do środka. Coś jej mówiło, aby iść za chłopcem. Coś ciągnęło ją w jego kierunku. Zdecydowanym ruchem chwyciła za klamkę i po chwili znalazła się w środku. Gabinet także wyglądał inaczej. Zniknęła

gdzieś gabloty, w której spoczywała księga *De humani corporis fabrica*, zniknął emaliowany zegar... Erna w myślach zaczęła wymieniać zmiany, które nie wiadomo dlaczego i w jaki sposób zaszły w tym pomieszczeniu. Sztukateria zdobiąca sufit wyglądała na bielszą i okazalszą. Biurko oraz krzesło stały wciąż w tym samym miejscu.

- Gdzie jesteś? - szepnęła, obawiając się, że może obudzić Gospodarza. Z pewnością nie byłby zadowolony z jej nieoczekiwanego wtargnięcia do gabinetu. Jednak zamiast odpowiedzi znów usłyszała tylko chłopięcy śmiech. Tym razem wydobywał się z pomieszczenia przylegającego do gabinetu. Erna wytrzeszczyła oczy, po czym z trwogą stwierdziła, że chłopiec musiał wejść do sypialni Adolfo Patino.

- O nie... - jęknęła.

Drzwi znajdujące się w ścianie po prawej stronie były uchylone. Wzięła głęboki oddech, po czym ruszyła pomału w ich stronę. Zimna marmurowa posadzka nieprzyjemnie chłodziła jej bose stopy. Śmiech dziecka stał się wyraźniejszy. Uchyliła ostrożnie drewniane skrzydło i zajrzała do środka. Jej oczom ukazała się sypialnia, która wielkością znacznie odbiegała od pokoju, który dostała. Choć tu przynajmniej nie unosił się zapach stęchlizny. Pomieszczenie wypełniała przyjemna woń kwiatów. Erna dostrzegła, że na nocnej szafce, przy wielkim łóżku, stał wazon, w którym spoczywały różane gałęzie z ogromnymi kwiatami na końcach. To z nich wydobywała się ta cudowna kwiatowa woń. Naprzeciwko pustego łóżka stała szafa, dokładnie taka jak ta, z której Erna wydobyła zdezelowany wieszak oraz ta, z której wyszedł ten mały chłopiec.

CHŁOPIEC! - pomyślała nagle, rozglądając się gorączkowo po pomieszczeniu. Nigdzie jednak go nie dostrzegła.

- Gdzie jesteś? - spytała cicho, kręcąc się po oświetlonej światłem księżycyca sypialni. - Gdzie jesteś? - powtórzyła, czekając na odpowiedź.

Nagle zza szafy wyłoniła się szczupła dłoń. Przez moment nie ruszała się, by po chwili pomachać energicznie w jej stronę. W pokoju

znów rozbrzmiał radosny śmiech. Erna, starając się zachować bezpieczną odległość, podeszła do brzegu łóżka. Spojrzała za szafę, przy której stał mały chłopiec. Stał i wpatrywał się w wielką dziurę w podłodze, znajdującą się tuż obok niego.

- Co robisz? - spytała Erna gorączkowo, czując narastające napięcie. Chłopiec spojrzał na nią swoją roześmianą buzią, po czym pochylił się nad czeluścią.

- Nie! Czekaj! - krzyknęła, machając w jego kierunku.

Wtedy dostrzegła, że chłopiec wcale nie nachylał się nad dziurę. W rzeczywistości było to jakieś przejście w podłodze. Jego uchylona kłapa spoczywała za dzieckiem, oparta o ścianę.

- Chcesz tam wejść? - spytała i w tym samym momencie chłopak uśmiechnął się w jej stronę, po czym zrobił krok do przodu.

- Nie! - wrzasnęła Erna, rzucając się w jego kierunku. Po chwili otoczyła ją czarna otchłań. Poczuła, że traci grunt pod nogami. Jej stopy opadały z dużą prędkością. Może do piekła? A może na twardą posadzkę, by jej ciało rozkwaśło się na niej niczym jabłko zrzucone z wysokiego budynku? W jej uszach wciąż rozbrzmiewał beztroski śmiech chłopca. Prawdopodobnie spadał także on. Gdzieś koło niej, a może pod nią... Tego nie była w stanie ocenić.

W końcu upadła. Niezbyt boleśnie. Poczuła, że jej ciało leży na czymś szorstkim i wilgotnym. W głowie jej szumiało, jakby właśnie zeszła z największego na świecie rollercoastera. Uniosła ostrożnie głowę, a następnie całe ciało, wspierając je na drżących dłoniach. Wreszcie stanęła na nogach i zaniemówiła. Zresztą nie pierwszy raz tej nocy. Jej prawe, nagie ramię dotykało czegoś zimnego. Spojrzała w bok. Jej oczom ukazał się znajomy obraz. Wielkie betonowe poidło. Teraz wyglądało lepiej. Zadbane, dumnie wznosiło się pośrodku małego ogrodu. Wokoło panowała ciemność, co właściwie jej nie dziwiło, zważywszy na to, że był środek nocy. Mimo to Ernie udało się dostrzec ogród. Zadbany i wypielęgnowany, którego główną ozdobę stanowiły liczne różane krzaki zwieńczone kolorowymi kwiatami. Był to ten sam ogród, w którym się wcześniej znalazła,

jednak teraz wyglądał prawdopodobnie jak za czasów swojej świetności. Ale... gdzie był chłopiec?

Erna spojrzała przed siebie. Stał tam. Na końcu ogrodu, w jego lewym górnym rogu, przy samym końcu wysokiego żywopłotu. Dokładnie w miejscu, w którym spoczywała mała płyta nagrobna. Ta, którą dobrze znała i pamiętała jej inskrypcję.

- „Tu spoczywa palec Sammy’ego”... - wyszeptała z pamięci. - Tu spoczywa... PALEC SAMMY’EGO! - powtórzyła, tym razem głośniej. Mały chłopiec zaśmiał się doniośle. - O mój boże... - Spoglądała z niedowierzaniem na postać dziecka. - Ty jesteś Sammy?! - krzyknęła w jego kierunku.

Na te słowa chłopiec przywołał ją, jak to już miał w swoim zwyczaju, a po chwili wyjął coś zza pleców. Coś, co błysnęło w świetle księżycy tak, jak proteza wskazującego palca. Erna ruszyła w jego kierunku.

- Masz na imię Sammy? - powtórzyła pytanie, nie spuszczając z niego wzroku. Była coraz bliżej nagrobka. Coraz bliżej tego dziecka. Chłopak niespodziewanie przykucnął, po czym małymi rączkami zaczął kopać dziurę. Erna zatrzymała się zaledwie metr od niego.

- Co... co ty robisz? - wybełkotała z trudem, patrząc, jak chłopiec zwawo odgarnia wilgotną ziemię.

Po chwili dołek pod nagrobkiem był gotowy. Chłopiec wstał. Erna dostrzegła, jak trzyma w małych rączkach blaszaną puszkę (inną od tej, którą znalazła pod łóżkiem) po czym wrzuca ją do wykopanej dziury. Zaśmiał się przy tym wesoło, jednak głos szybko uwiązł mu w gardle, a ciemne oczy spoglądały nieruchomo gdzieś za plecy Erny. Jego mina stężała. Twarz wyrażała pełną gotowość do histerycznego płaczu. Coś go przeraziło. Coś, na co właśnie spoglądał. Erna pognąła wzrokiem w miejsce, w które wpatrywał się mały chłopiec. Musiała przy tym obrócić się za siebie i gdy upewniła się, w które okno hotelu Hommanger patrzy, oniemiała. W oknie sypialni Adolfo Patino ktoś stał. Mała, niewyraźna postać przyglądała im się z uwagą. Erna poczuła, jak po jej ciele przebiega stado dzikich ciarek.

Nagle usłyszała znajome, złowieszcze sapanie wydobywające się gdzieś zza betonowego poidła. Chrobotliwy odgłos był coraz bliżej. Ona znowu tu jest! – pomyślała przerażona Erna, przywołując myślami obraz sennej zjawy. Już po chwili jakaś bezkształtna, niewyraźna postać wyłoniła się zza różanych krzaków i ruszyła pokracznym krokiem w jej stronę.

– Spokojnie! – krzyknęła drżącym głosem w kierunku przerażonego chłopca. – Uratuję cię! – zapewniła, po czym obróciła się za siebie, jednak obok nagrobka nie było nikogo. Sammy zniknął.

W jej myślach zapanował chaos. Z trudem łapała oddech. Powietrze stało się gęste. Czują, jak oblewa ją zimny pot. Jej skronie pulsowały. Mroczna zjawa była coraz bliżej. Erna obróciła się w jej kierunku. Musiała stawić jej czoła. Teraz jest silna. Teraz da radę. Zaciśnęła pięści i spojrzała w otchłań ogrodu. Bezkształtna postać była coraz bliżej. Nieubłaganie sunęła w jej stronę, raz po raz wydobywając z siebie przerażające sapanie. Już tylko kilka kroków dzieliło je od siebie.

Teraz Erna mogła dostrzec, że zjawa była podobna do człowieka. Niczym ludzki szkielet, na którym ledwo trzymała się obwisła, nadgniła skóra. Z jej pociągłej twarzy zwisała gęsta i długa broda. Zapadnięte w środek czaszki oczy wyrażały bolesną pustkę. Ich białka pokryte były krwistą czerwienią. Z otworu, który prawdopodobnie był ustami, sączyła się czarno-szara maź, spływająca obficie na ziemię. Całe ciało ludzkiego stwora oblane było cuchnącym potem, który sączył się z jego bladej skóry niczym z kranu. Gdy stwór znalazł się zaledwie dwa kroki przed nią, zaczęło do niej docierać, że już gdzieś widziała te ledwo widoczne ludzkie rysy twarzy, że w tej karykaturze człowieka kogoś rozpoznaje.

– Kim... kim jesteś?! – odważyła się spytać drżącym głosem, gdy ich twarze prawie się zrównały. – Kim jesteś?! – powtórzyła, tym razem bardziej rozpaczliwie. Zamiast odpowiedzi z paszczy ludzkiego stwora wydobywały się monotonne, przeszywające do szpiku kości jęki. I nagle Erna doznała olśnienia.

- Już wiem... - szepnęła, spoglądając na jego dłoń, na której lśnił złoty sygnet z wygrawerowaną ludzką czaszką z profilu. - Już wiem, kogo mi przypominasz...

Zjawa zatrzymała się zaledwie kilka centymetrów przed nią. Ich spojrzenia spotkały się. Nieoczekiwanie paszcza ludzkiego potwora rozwarła się do niebotycznych rozmiarów. Erna nie zdążyła zareagować. Stwór pochłonął ją w całości, a ona przepadła w mroku.

Poderwała się, walcząc o każdą możliwą do zdobycia ilość powietrza wypełniającego jej sypialnię. Usiadła na łóżku i przywarła kolanami do klatki piersiowej. Rozwartymi oczami omiotła pokój, po czym podejrzliwie spojrzała na stojącą naprzeciwko szafę. Ta jednak stała szczelnie zamknięta i nie dawała żadnych oznak nawiedzenia. Przetarła dłonią spoconą twarz. To był tylko jakiś chory sen. Pojebany koszmar, przez który o mało nie posikała się w majtki.

Z trudem przełykała ślinę, czując nieprzyjemną suchość w gardle. Musiała się czegoś napić. Zapaliła nocną lampkę i spojrzała na zegarek, który wiernie tkwił na jej dłoni. Była trzecia w nocy. Dokładnie trzecia i ani minuty przed czy po. Zsunęła nogi z łóżka i sięgnęła po niebieski plecak, z którego wyjęła znoszone jeansy. Spodnie nie wyglądają na pierwszej świeżości - stwierdziła, patrząc na ich opłakany wygląd. Nie miała jednak w czym wybierać. Nie przypuszczała przecież, że spotka ją to, co ją spotkało. Że wyląduje w jakimś podrzędnym hotelu, w którym podczas snu nawiedzać ją będą koszmary z rodzaju tych najkoszmarniejszych. Po chwili wsunęła luźne spodnie na nogi. Naraz w jej głowie zmaterializowała się ostatnia scena ze snu, który o mało nie doprowadził jej do zawału serca. Ta twarz... ta przerażająca twarz zjawy, która już drugi raz podczas pobytu w tym miejscu nawiedziła ją w koszmarze. Czy rzeczywiście w tych nieludzkich rysach dostrzegła jego twarz? Jej bose stopy wkrótce znalazły schronienie w środku szarych tenisówek.

Niektórzy twierdzą, że sny są zniekształconym odbiciem tego, co spotyka nas za dnia. Opowieści Adolfo Patino były doprawdy ciekawe, dość zaskakujące i trudne do uwierzenia. Czy jednak na tyle, aby

doprowadzić jej mózg do tak skrajnych reakcji? Erna instynktownie złapała się za tył głowy, którą podczas koszmaru solidnie przyłożyła w oparcie łóżka. Z jej potylicą było jednak wszystko porządku. Nie bolała. Prawdą było, że podczas pobytu w hotelu została zbombardowana wieloma dziwnymi informacjami. Mogła w nie uwierzyć lub nie. Jednak gdy próbowała to wszystko analizować... Erna poczuła, jak jej neurony buntują się przeciw jej rozmyślaniom. Poczula w czaszce dokładnie taki uścisk jak w chwili, gdy człowiek zaczyna się zastanawiać, w jaki sposób powstał świat i co było pierwsze. Jak gdyby uścisk ten był zaprogramowany w głowie każdego człowieka, by uaktywniać się w sytuacji, gdy jest on bliski poznania prawdy.

Pieczenie w gardle doskwierało jej coraz bardziej. Obeszła szafkę nocną i otworzyła znajdujące się obok drzwi prowadzące do małej łazienki. Gdy do niej weszła, z przykrością stwierdziła, że cytrusowy zapach łazienkowych detergentów ulotnił się, a jego miejsce zastąpiła znana jej już woń stęchlizny lub jak to określiła Ida Abramova, zapach starych ludzi. Stała naprzeciwko lustro zawieszzonego tuż nad małą umywalką. Guz na czole pomału tracił żółtawą barwę, odchodząc w zapomnienie. Jej czarne długie włosy przypominały teraz gęstwinę dzikich, poplątanych ze sobą gałęzi. Przeczesała je palcami. Miała podkrążone, napuchnięte oczy, przez co wyglądała, jakby za chwilę miała zejść z tego świata. Jej oliwkowa cera wyraźnie pobleadła. Bolące, suche gardło znów dało o sobie znać dotkliwym skurczem krtani. Erna chwyciła za kurek ozdobiony resztkami niebieskiej farby. Po chwili umywalkę zaczęła zalewać wodopodobna ciecz. Na początku ciemnordzawa, po kilku sekundach jasnoruda, a po minucie żółta jak siki. Przyzwyczajona do takiego widoku odczekała jeszcze kolejne dwie minuty, jednak ku jej rozpaczy woda nie zamierzała już bardziej zmienić swojej barwy. Do tego nieprzyjemnie cuchnęła. Erna straciła ochotę na napicie się jej. Postanowiła poszukać innego nadającego się do picia źródła w ścianach hotelu Hommanger.

Westchnęła ciężko, zakręciła kurek przy umywalce i z wielką niechęcią opuściła swój pokój.

Tym razem korytarz wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Zniknął czerwony luksusowy materiał, odsłaniając odrapane stalowe ściany. Wyparował także długi dywan i podłoga znów lśniła zimnym marmurem. Sufit był zmurszały i ozdobiony pajęczynami, jak w każdym innym pomieszczeniu. Erna wzięła głęboki oddech i ze zgrozą stwierdziła, że cudowną różaną woń też diabli wzięli. Gdy już miała ruszyć z miejsca w poszukiwaniu źródła czystej wody, nagle zza zakrętu przy schodach wyłoniła się Ida Abramova. Na widok Erny drgnęła zaskoczona i stanęła bez ruchu. Choć była trzecia w nocy, wciąż miała na sobie obcisłą markową sukienkę, którą która z pewnością nie była piżamą. Jej twarz przyozdabiał pełny makijaż, a ręce przybrane były jak zwykle licznymi złotymi pierścieniami. Nie to jednak zdziwiło Ernę najbardziej. Rosjanka trzymała w swoich rękach cztery szklane dzbany, po dwa w każdej dłoni, które wypełnione były po brzegi przezroczystym płynem. Erna pomyślała z nadzieją, że mogła to być poszukiwana przez nią woda.

- *Priwiet* - wybełkotała cicho Ida. Wydawała się nieco speszona. Z pewnością nie spodziewała się spotkać nikogo błąkającego się po hotelu o tej godzinie.

- Cześć - odpowiedziała głośno Erna, na co Rosjanka rozejrzała się niespokojnie po korytarzu.

- Ciii... - syknęła, wskazując natapirowaną głową drzwi do swojej sypialni. - Otworzy mi drzwi i wejdzie - zarządziła wciąż ściszym, choć stanowczym głosem.

Erna nie protestowała. Czuła ogromną potrzebę wypicia wody. Te dzbanki wyglądały obiecująco.

Gdy tylko przekroczyły próg sypialni, Ida podeszła do stojącej pod oknem szafki nocnej. Erna domyśliła się, że Rosjanka musiała sama ją tam zatargać, choć trochę dostosowując wygląd pokoju do swoich potrzeb. Spojrzała na nią z ciekawością. Ida powoli ugięła nogi w kolanach i gdy odległość szafki do jej rąk znacznie się zmniejszyła,

postawiła na niej cztery szklane dzbanki. Z niektórych z nich wylała się odrobina cieczy, ściekając na drewnianą podłogę. Rosjanka wyprostowała ciało, wydając z siebie ciężkie sapnięcie. Erna, z wymalowanym na twarzy pragnieniem, utkwiała spojrzenie w nocnej szafce, a raczej w tym, co się na niej znajdowało.

- Czemu się tak patrzy? - odezwała się Ida, spoglądając ze zdziwieniem na swojego gościa.

- Czy mogłabym się napić? - spytała Erna, przenosząc błagalny wzrok z dzbanów na Rosjankę.

Ida przez chwilę milczała, przypatrując się jej z zaciekawieniem. W końcu jednak odrzuciła głowę do tyłu, omiatając przy tym długimi blond włosami futrynę drewnianego okna.

- *Da* - odpowiedziała krótko i ruszyła chwiejnym krokiem w stronę łóżka. Po chwili kucnęła i wyciągnęła spod niego wielką podróżną walizkę. W sypialni rozbrzmiał dźwięk rozpinanego zamka błyskawicznego. Abramova odrzuciła wierzchnią część granatowej torby na bok i zatopiła ręce w jej wnętrznościach.

Erna spoglądała na nią, nie wiedząc, czego ma się spodziewać. Jednak kilka sekund później Rosjanka wstała z triumfalną miną, trzymając w rękach dwie przeźroczyste butelki z napisem „Wódka”.

- Chodziło mi o wodę... - uściśliła szybko Erna. - Do picia.

Ida prychnęła z pogardą.

- Przecież wiem - odrzekła, po czym znów podeszła do szafki nocnej. - Te butelki są pustawe - uniosła je do góry i potrząsnęła nimi energicznie.

- No tak - przyznała jej rację Erna, po czym doszła do wniosku, że ktoś musiał je wcześniej opróżnić i tym kimś była zapewne Rosjanka. Pochłonęła dwie litrowe flaszki - pomyślała z niedowierzaniem, patrząc na Idę, która właśnie zaczęła majstrować coś z dzbankami i butelkami. Jak się chwilę później okazało, było tych litrów znacznie więcej.

Nagle Ida znieruchomiała. Odłożyła na szafkę odkręcone butelki i spojrzała niepewnie w stronę Erny.

- Nie wydasz mnie Gospodarzowi? - spytała zaniepokojona.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zdziwiła się Erna. Gardło paliło ją coraz mocniej. Czuła, jak jej krtań zamienia się w rozpalone ognisko.

Rosjanka uniosła prawą dłoń do ust i stuknęła dwukrotnie palcem wskazującym w napuchnięte od kwasu hialuronowego różowe wargi.

- Bo... - odrzekła, po czym zamilkła. Rozejrzała się z niepokojem po pokoju i podeszła do zdezorientowanej Erny. - Bo złamałam zasada... - wyszeptała jej prawie do ucha.

Erna poczuła mocne jaśminowe perfumy. Instynktownie zrobiła krok do tyłu, czując, że Ida wtargnęła na teren jej przestrzeni osobistej, po czym zapytała:

- Jaką zasadę?

Rosjanka znów rozejrzała się z niepokojem po sypialni. Ponownie zbliżyła się do Erny.

- Gospodarz nie mówił tobie, czego tu nie można mieć? - spytała cicho.

Erna zastanowiła się.

- Mówił - odrzekła, przypominając sobie pierwsze chwile w hotelu Hommanger. - Telefon, radio - zawahała się przez moment - broń, telewi...

- I alkohola - wpadła jej w słowo Ida.

- O tym nie pamiętałam - powiedziała zgodnie z prawdą Erna, cofając się znów o krok. Po każdym słowie Idy twarz Erny była atakowana gęstymi oparami alkoholu. Alkoholu, który (o czym Erna była przekonana) bulgotał nieprzerwanie w żołądku Rosjanki.

- Nie? - zdziwiła się Ida. Tym razem nie podeszła bliżej. Została w miejscu, mierząc Ernę nieufnym spojrzeniem.

- Nie - potwierdziła Erna, łapiąc się za szyję. - Mogłabym... - głos uwiązał jej w gardle. Odchrząknęła kilkukrotnie, zasłaniając usta ręką.

- Mogłabym napić się wody? To dziadostwo z kranu to jakaś miedziana trucizna. Twoja woda wygląda o wiele lepiej. O ile to jest woda... - pomyślała przez chwilę powątpiewająco.

- Nie ma problema - stwierdziła Rosjanka, nie siląc się już na ściszony głos. Zakręciła się na pięcie, podeszła do otwartej walizki i wyjęła z niej tym razem dwie puste szklanki. Napełniła jedną z nich wodą z dzbanka i podała spragnionej Ernie.

- Po co ci tyle wody? - spytała po chwili Erna, pociągając łapczywie ostatni łyk.

Ida ponownie podeszła do szafki nocnej. Chwyciła za jedną z pustych butelek po alkoholu i zaczęła napełniać ją wodą z dzbanka.

- Dla mojego idealnego planu - odpowiedziała z dumą, zakręcając mocno nakrętkę na wypełnionej teraz wodą butelce. Erna przysiadła na brzegu łóżka, przysłuchując się jej z zainteresowaniem. - Do hotelu nie można było przywozić swojego alkoholu - kontynuowała Ida, chwytając jednocześnie drugą pustą butelkę. - Głupia zasada - prychnęła pogardliwie. - Jakbym wiedziała o tym wcześniej, to bym się tu nie pojawiła. - Zamilkła na moment, łapiąc za pełny dzbanek.

Erna zerknęła do leżącej tuż przy jej nogach walizki. W jej wnętrzu spośród zmiętolonych niedbale ubrań (co świetnie przypominało wnętrze jej plecaka) wystawało jeszcze pięć butelek. Cztery z nich były pełne, a jedna prawie w całości opróżniona. Gdy Ida znów się odezwała, Erna uniosła gwałtownie głowę.

- Na szczęście wymyśliłam plan! - oznajmiła triumfalnie, odkładając pusty już dzbanek na bok. Druga butelka także wypełniła się wodą. - Powiedziałam Gospodarzowi, że przywiozłam siedem flaszek wódki. - Ida na chwilę oderwała się od swojej pracy i spojrzała na Ernę. - Trzy polskie i cztery rosyjskie - sprecyzowała, jakby to miałyby być istotny fakt. Jak się okazało, był. - Inaczej nie mogłabym robić swojego Drinka Pokojowego. - Widząc niezrozumienie malujące się na twarzy Erny, dodała: - Oto prosta przepisa. Trochę wódki polskiej i tyle samo rosyjskiej. Mieszamy i gotowe. Mówię ci, moja droga. Najlepszy drink na świecie - stwierdziła z przekonaniem.

- Aha - wymamrotała Erna. Gardło przestało ją boleć. Wreszcie przełykanie śliny nie było bolesną czynnością.

- A więc ja powiedziałam Gospodarzowi, że biorę siedem butelek wódki, które będą prezentem dla każdego z obecnych tu gościów. Oczywiście wszyscy mają je dostawać w dzień odjazdu.

Erna spojrzała na dzbanki stojące pod oknem i nagle ją olśniło. Chyba zaczynała rozumieć, na czym polegał ten idealny plan Rosjanki.

- Opróżniasz butelki, pijąc swoje drinki... - Erna ucięła, nie mogąc sobie przypomnieć ich nazwy.

- Pokojowe - przypomniała jej z urazą Ida.

- Tak. Wódki z butelek ubywa, ale ty się tym nie martwisz, bo uzupełniasz je czystą wodą.

- *Da* - przytaknęła Ida. Na jej twarzy pojawił się wyraz zwycięstwa.

- Na koniec wszyscy goście otrzymają od ciebie butelki po wódce, w których będzie znajdowała się czysta woda, ale o tym dowiedzą się już poza hotelem - dokończyła Erna, czekając, aż jej rozmówczyni potwierdzi jej przypuszczenia.

- *Da*. Cała prawda. Tylko Gospodarz dostanie prawdziwą rosyjską wódkę, bo jego nie mogłabym oszukać - podsumowała Rosjanka. - Cały mój doskonały plan.

- Coś mi się jednak nie zgadza... - powiedziała po chwili Erna. W zamyśleniu przygryzła zębami paznokiec kciuka prawej ręki i zmarszczyła brwi. Ida popatrzyła na nią zdumiona.

- Co? - spytała.

- Mówisz, że wzięłaś siedem butelek wódki?

- *Da* - ponownie zgodziła się z nią Ida.

- Na prezenty dla osób przebywających w hotelu?

- *Da*.

- A więc wzięłaś o jedną flaszkę za mało. - Erna przeanalizowała raz jeszcze dane w swojej głowie. Nie mogła się mylić w obliczeniach.

Ida przyglądała się jej w milczeniu.

- Przecież dla siebie zrobić prezenta było głupio, a o tobie nie miałam pojęcia, że się zjawisz. Zresztą... nikt nie miał - odparła

w końcu, wzruszając ramionami. Ponownie odwróciła się do Erny plecami i przystąpiła do zakręcania wypełnionej wodą butelki.

- Nas nie brałam pod uwagę - rzuciła Erna w jej kierunku. - Powinnaś zabrać ze sobą osiem butelek.

Ida odwróciła się w jej stronę, po czym odrzekła z lekkim uśmiechem:

- Gdybym mogła, to wzięłabym osiem, a nawet dziesięć.

- Powinnaś wziąć osiem - upierała się Erna. - Gaku, Cindy, pan Patino... - zaczęła wymieniać osoby na palcach lewej ręki - Charles, Cecile - teraz przerzuciła się na prawą dłoń - Kruger, ksiądz Uchto i ten gość, który w ostatniej chwili się nie zjawił. Ten, który miał zająć sypialnię, w której śpię. To razem osiem. Powinnaś wziąć osiem butelek wódki.

Ida stała bez ruchu przy oknie. Jej twarz nie wyrażała nic. Może za sprawą dużej ilości kwasu hialuronowego, a może dlatego, że o niczym w tej chwili nie myślała. W każdym razie wyglądała jak manekin, dla którego myślenie było zupełnie czymś obcym i nieznanym.

- Hej! - krzyknęła w jej stronę Erna, machając ręką.

Ida wreszcie się poruszyła. Prawdę mówiąc, najpierw poruszyła się jej dolna, rybia warga. Drgnęła nieznacznie, po czym wraz ze swoją górną odpowiedniczką przybrała na twarzy Rosjanki dziwny grymas, który prawdopodobnie miał być czymś w rodzaju uśmiechu.

- Cholera! - krzyknęła wreszcie zawiedzionym tonem. Machnęła pobłaźliwie ręką w powietrzu i stwierdziła: - A mogłam zabrać jeszcze jedną flaszkę. - Podeszła do Erny i usiadła obok niej na łóżku. Sypialniany mebel zaskrzypiał złowrogo od niespodziewanego ciężaru. - Obiecuj, że dotrzymasz mojego sekretu, a ja zdradzę ci tajemnica.

Erna bez zastanowienia przytaknęła. Nawet bez tej tajemnicy w zamian nie powiedziałyby nic Gospodarzowi. Miała gdzieś fakt, że Ida Abramova wniosła kilka nielegalnych, zdaniem Adolfo Patino, flaszek wódki na pokład statku płynącego po spokojnym oceanie.

Prawda była taka, że sama (oczywiście nie mając tego w planach) złamała regulamin, i to w poważniejszy sposób. Wniesienie broni gdziekolwiek nie należało do zbyt pożądaných zachowań.

- A więc mamy umowa. - Ida wyciągnęła w jej kierunku dłoń obciążoną wielkimi pierścieniami.

- Tak - potwierdziła Erna, ściskając jej rękę.

- To teraz w zamiana moja tajemnica. Jak znowu poczujesz się spragniona, to woda jest w kuchni - poinformowała ją Ida, dodając z pogardą: - W królestwie olbrzyma Krugera.

Jej twarz nabrała wyrazu, jakby właśnie spoglądała na coś obrzydliwego. To ucieszyło Ernę. W tym się zgadzały. Kruger nie przypadł im obu do gustu. Jednak tajemnica okazała się nic niewarta. To, że woda była w kuchni, nie było niczym odkrywczym.

- To jeszcze nie ta tajemnica - doprecyzowała szybko Ida, widząc, że ta informacja nie wzbudziła w Ernzie żadnej wdzięczności. - Kruger - znowu jej twarz nabrała wyrazu obrzydzenia - zamyka swoje królestwo na klucza. Zawsze tak robi, gdy tylko je opuszcza. Wiem, bo go zaobserwowałam jakiś czas. A teraz zdradzę ci tajemnica. - To powiedziawszy, wstała i kucnęła nad otwartą walizką. Po chwili wyjęła z niej dwie pełne butelki wódki. Wyprostowała się jak strzała i bez uprzedzenia wyrwała Ernzie pustą szklanę z dłoni.

- Kruger swojego klucza - znów się odezwała, gdy podchodziła do okna - trzyma nad drzwiami do kuchni, a dokładnie na wystającej części futryna.

W pokoju rozległ się dźwięk obijającego się co chwila o siebie szkła. Erna była ciekawa, co pod oknem wyczyniała Rosjanka, jednak ta wszystko skutecznie zasłaniała plecami.

- A teraz... - rzekła Ida, obracając się w jej stronę. W rękach trzymała dwie, wypełnione prawie do połowy, szklanki. - ...napijmy się razem Drinka Pokojowego!

- Świetnie - odrzekła Erna, uśmiechając się. Nie była wielką fanką wódki, jednak właśnie teraz, tego wieczora, miała ochotę się upić. Drink Pokojowy Idy Abramovej był dla niej zbawieniem.

Już po pierwszej szklance czuła, że procenty z dużą mocą uderzyły w jej głowę. Nie mogła jednak odmówić następnej kolejki zaproponowanej przez roześmianą Rosjankę. Kiedy Ida szła do szafki nocnej, która dziś pełniła rolę alkoholowego barku, Erna miała przez chwilę wrażenie, że Rosjanka zamiast stąpać po ziemi, unosi się w powietrzu. Gdy jednak ze zdziwieniem przetarła ręką oczy i ponownie spojrzała w stronę okna, zrozumiała, że to było tylko złudzenie lub, jak kto woli, efekt upojenia alkoholowego. Mimo to czuła się całkiem dobrze i wciąż potrafiła wypowiadać sensowne zdania.

- Niece... eee przeszkadzowi tobie, że cieeee... ee tak zwieeee? - usłyszała głos Idy, który sygnalizował, iż w jej wypadku procenty wpłynęły w dużym stopniu na jej mowę.

Odetchnęła głęboko, czując, że w pokoju zrobiło się za gorąco. W tym czasie Abramova klęczała pokracznie przy prowizorycznym barku, rozlewając kolejne porcje swojego popisowego drinka.

- Kto? - odpowiedziała Erna, jednocześnie starając się, aby jej głos nie zdradził, w jak frywolny stan zaczyna popadać. Na razie jeszcze jej się to udawało.

- Gooo... oospooo... daarz. Aaaa niby ktoo... - doprecyzowała Ida, po czym siarczyście przeklęła pod nosem, gdy wódka z przechylonej butelki jak na złość ominęła szklankę i połała się obfitym strumieniem po szafce. - Jaaak on to... oo mówiii... - zastanowiła się przez chwilę. - Słodziuuunka.

- ...dziutka - poprawiła ją Erna.

Ida skończyła przygotowywanie drinków. Chwyciła za szklanki i ruszyła w stronę imprezowego łóżka.

- Dziuuutka? - rzekła zdziwiona, podając Ernie szklankę, po czym niezdarnie wgramoliła się na łóżko, uważając przy tym, aby nie rozlać drogocennego napoju. Erna siedziała naprzeciwko niej z nogami wyciągniętymi przed siebie. Nogi Idy leżały w tej samej pozycji, kilka centymetrów dalej.

- SŁO-DZIUTKA - doprecyzowała po chwili Erna.

- Noo, to mówieeee... ee przeecieeeeż - obruszyła się Ida.

Erna zamrugwała kilkakrotnie oczami. Czując, że tłumaczenia Idzie w chwili obecnej czegokolwiek nie ma sensu, postanowiła zakończyć ten temat.

- No tak - odparła tylko, posyłając jej uśmiech.

Ida jednak go nie odwzajemniła. Zamiast tego upiła spory łyk drinka i stwierdziła:

- Jaaak by mniee, kto nazyyywa... aa! tu słodziunkaa, to pomyślaaabyym, że... - nagle urwała i przeniosła wzrok z Erny na prawie już puste szkło.

- Że co? - zdziwiła się Erna.

Ida machnęła pobłaźliwie ręką. Po chwili jednak odparła:

- Żee... eee ma na mnie oochoteeee... eee.

Erna prychnęła pod nosem. Rosjanka uśmiechnęła się krzywo, po czym zlustrowała stan obu szklanek. Upewniwszy się, że każda z nich ma jeszcze w czym moczyć spragnione usta, oparła wygodnie plecy o zagłówek łóżka. Erna pomyślała, że z chęcią zrobiłaby to samo. Siedziała jednak na drugim jego końcu, a nie miała siły, aby zmienić w tej chwili swoją pozycję. Przyciągnęła więc nogi do siebie i oparła ciężką głowę o kolana. Z każdą chwilą czuła coraz większą sympatię do siedzącej tuż przed nią Rosjanki. Choć Ida mówiła z wyraźnym rosyjskim akcentem i mocno kaleczyła język, jakim przyszło jej się posługiwać, to jednak sprawiała wrażenie osoby, którą mogłaby polubić. Z pewnością komuś, kto przyglądałby się im z boku, nie wydawałoby się, że siedzące na łóżku kobiety mogą się ze sobą dogadać. Dwa inne typy kobiecości. Dwa inne światy, w których żyły. Tak samo myślała Erna, gdy po raz pierwszy ujrzała tę wyniosłą (jak się okazało, tylko z pozoru) kobietę. A jednak czuła, że coś je łączyło. Ida po prostu miała mocny charakter i nie lizała tyłka komuś, kogo nie lubiła. Wprawdzie jej też nic nie lizała, jednak już samo to, że siedziała dziś w jej sypialni i popijała Drinka Pokojowego (a było widać, że Ida jest z niego niezmiernie dumna) upewniało Ernę w tym, że Abramova po prostu musiała przekonać się do jej osoby. Było to

miłe. Tylko tyle i aż tyle. Dzięki temu Erna poczuła się w tym miejscu dobrze.

- Co się wydarzyło wczoraj w salonie? Kiedy wyszłam i zostałam z Cindy i Cecile? - spytała Erna, spoglądając w mieniącą się zawartość szklanki. Tamten dzień, tamta sytuacja wciąż nie dawały jej spokoju. Ida zrobiła ustami dzióbek, otwierając przy tym szeroko oczy.

- Chyyybbaa niic - odpowiedziała wreszcie po dłuższym zastanowieniu.

- Chyba? - zdziwiła się Erna. - Cecile była pewna, że kogoś widziała, że ktoś stał za oknem.

- Jest taaka moożliwooościana.

- To znaczy? Ty też coś widziałaś?

Ida Abramova milczała.

- Widziałaś kogoś w oknie? - naciskała Erna.

- *Da...* - odpowiedziała krótko Rosjanka, jakby wyrwana z głębokiego zamyślenia.

- Kto to był?! - Erna poczuła ścisk w żołądku. Czy jednak Cecile miała rację?

- Ktoś wstrętnościooowy i brzyyydki - odpowiedziała bez namysłu Ida. - Zjaaawa - dokończyła, po czym upiła spory łyk Drinka Pokojowego.

- Z... zjawa? - wybełkotała Erna.

- Taaak, a dokładniee odbicie w szyybieee okropnoościoowej Cindyyy Walkeer. - wyjaśniła Ida, wzdrygając się z obrzydzeniem na wypowiedziane imię i nazwisko.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała Erna. Już myślała, że Rosjanka rzeczywiście kogoś widziała. Kogoś wyglądającego jak wielki, groźny mężczyzna. Kogoś takiego jak... Bobby.... Znów poczuła w sercu ukłucie tęsknoty.

- Ile maaaasz laaat? - spytała nagle Ida, dodając sztucznym, starczym głosem: - Słodziuunka?

Erna uniosła głowę z kolan i zanim odpowiedziała, wypita porządny łyk drinka. Skrzywiła się z niesmakiem.

- Dwadzieścia osiem.

- Mhmmm - mruknęła pociągłe Rosjanka. - Czyyli jesteś poczwarką.

- Kim? - Erna spojrzała na nią zdziwiona. Przy okazji zauważyła, że mowa Idy, o dziwo, zaczynała wracać do normy. Jej normy.

- Poczwarką - powiedziała Ida, spoglądając nieobecny wzrokiem gdzieś w okolicę drzwi wyjściowych. - Strasznowo jest być ćmą... - stwierdziła z żalnością. - Ale ty - przeniosła wzrok na Ernę - ty, słodziunka, masz jeszcze szanse zostać motylem.

- Nie za bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

Rosjanka westchnęła głęboko, po czym jednym haustem opróżniła swoją szklankę.

- Bo widzisz, mooja droga. Do trzydziestu latów kobieta jest jak poczwarka. Zabudowana przed światem i skrywająca swoje emocje. Tak jakby jej nie wypadywało rozwinąć się wcześniej. - Ida ponownie westchnęła i ponownie zbliżyła szklankę do różowych, nabrzmiących ust. Szklanka była oczywiście pusta. Jedyne, co mogła z niej pochłonąć, to powietrze. Nie wstała jednak (co zdziwiło Ernę) i nie pognęła do szafki po kolejnego drinka. Zamiast tego ze smutkiem w oczach spoglądała na dno naczynia. Po chwili kontynuowała: - No i nadchodzi trzydzieści latów. Wtedy wszystkie poczwarki mają dnia prawdy. Albo przemieniają się w piękne motyle, których życie jest kolorowe jak kwiaty, albo... - Twarz Idy sposepniała. Jej mięśnie nieznacznie wygrały z wszechobecnym kwasem hialuronowym, podkreślając smętny nastrój. - ...albo wyrastają na ćmy. Wstrętne i głupie ćmy, które przez całego życia są ślepe i szukają czegoś, co da im szczęścia. Całe życia tak latają do światła, myśląc, że znalazły. Ale okazuje się, że to nie to... o nie... Niektórym udaje się odlecieć i żyć dalej. Ale co to za życie?! - Ida prychnęła z pogardą, po czym spojrzała w głąb czarnych oczu Erny. - Może i uda im się przeżyć, ale ciągliwie nie będą one szczęśliwe. Nie będą miały swoich

kolorowych kwiatów i łąków. Nie będą naturalnie piękne, a któregoś dnia ich ślepe, głupie życie się skończy. Tak jak w naturze. Tak jak giną prawdziwe ćmy. Przypała sobie skrzydełka o żarówkę i upadła na ziemię. BACH! - krzyknęła niespodziewanie Ida.

Erna drgnęła. W głowie starała się analizować słowa Rosjanki. Miała nieodparte wrażenie, że ta, mówiąc o ćmach, mówiła o sobie.

- Ja jestem taką ćmą - stwierdziła Ida. - Chcesz? - spytała po chwili, unosząc swój pusty kieliszek do góry.

- Nieee... ee. Jee... e... szcze maaam - odparła Erna i z trwogą stwierdziła, że pijacka mowa nie wiadomo w jaki sposób przeszła teraz na nią. To było chyba zaraźliwe.

Ida zwlokła się z łóżka i wolnym krokiem podeszła do niby-barku. Erna odprowadziła ją wzrokiem. Obcisła, soczyście czerwona sukienka Idy była mocno pognieciona, a jej końce się podwinęły. Tak bardzo, że Erna mogła dostrzec kawałek koronkowych stringów, które ginęły gdzieś w mrokach jej pośladków. Erna poczuła, że się czerwieni. Oderwała wzrok od stojącej tyłem Rosjanki i skupiła się na wypiciu kolejnego łyka z prawie pustej już szklanki. Przy pierwszym drinku czuła cholerne pieczenie w przełyku. Obawiała się nawet, że przez to znów podrażni sobie gardło. Jednak gdzieś w połowie szklanki wszystko wróciło do normy. Nie czuła nawet, że drink, który pije, składał się wyłącznie z wysokoprocentowych wódek. Nie zastanawiała się także nad tym, czy można nazwać takie połączenie drinkiem. Jednakże z pewnością był to dobry (choć w smaku ohydny) środek na wyzerowanie swoich emocji. Tego była pewna i gdy właśnie przymierzała się do wypicia reszty przeźroczyściego płynu zalegającego na dnie szklanki, w pokoju rozbrzmiało dziwne, dość głośne dudnienie. Ida, wracająca ze swoim drinkiem w ręce, przystanęła w połowie drogi. ŁUP, ŁUP, ŁUP - rytmiczny pogłos przybierał na sile.

- Pieprzone króliki - stwierdziła Rosjanka, rzucając w stronę przeciwległej ściany spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Cooo? - spytała Erna, spoglądając z niezrozumieniem to na ścianę, to na Idę.

- Raczej kto - poprawiła ją Ida, wskazując głową na ścianę tuż za nią. Po chwili umościła się wygodnie na łóżku.

Erna domyśliła się, o co może jej chodzić, a gdy zdała sobie sprawę, do kogo należała sypialnia obok, wyszeptała tylko:

- Cindyyyy?

- *Da*. Największa króliczyca w całym Chicago czy skąd ona tam jest.

ŁUP, ŁUP, ŁUP - głuchy odgłos był coraz szybszy.

- Ale... - Erna oczami wyobraźni ujrzała łóżko, dokładnie takie jak to, na którym właśnie siedzi. Łóżko, które stuka o ścianę, gdy... - Alee... ee z kim? - spytała, widząc nagłą przeszkodę w wyobrażeniu sobie tej całej sytuacji.

- Myślę, że z każdym, kogo uda jej się zaciągnąć do swojej nornicy.

NORY - poprawiła ją w myślach Erna i tym samym oceniła, że jej mózg jako tako funkcjonuje po tej końskiej dawce wódki.

- Wczoraj pieprzyła się z Japońcem, a teraz kto ją tam wie...

- Żaa... żaaa... rtujesz?! - wydusiła z trudem Erna, czując, że na dziś w zupełności wystarczy jej Drinków Pokojowych.

- A co ja jestem? Klaun? - Ida zmarszczyła brwi. ŁUP, ŁUP, ŁUP - odgłosy były gwałtowniejsze. - Oho! - dodała głośno, unosząc wskazujący palec prawej dłoni do góry niczym srogi nauczyciel. - A teraz uważaj i nasłuchaj. *Tri...dwa... adin*.

Erna spojrzała w jej stronę z niezrozumieniem, jednak po chwili wszystko było jasne. Z pokoju obok dobiegł głuchy odgłos kobiecego, długiego jęku, który był oficjalnym, jak się później okazało, zakończeniem stukania łóżka o ścianę

- I tak noc w noc... - mruknęła Ida. - Ale dzisiaj to musiał być kto inny niż wczoraj - stwierdziła z przekonaniem. Zerknęła z zaciekawieniem na ścianę.

- Skąd wiieesz? - spytała Erna, czując nieprzyjemne pieczenie na twarzy. Nie było to spowodowane jękami rozkoszy z przyległej

sypialni, a po prostu zbyt dużą ilością procentów. Takie dźwięki przestały na niej robić wrażenie, gdy skończyła siedemnaście lat.

- Króliczyca jęczała dziś krócej i bez przekonania - oceniła z powagą w głosie Ida niczym najwybitniejszy profesor prestiżowego uniwersytetu.

Ernę mało interesowało to, co i z kim Cindy robiła w swojej sypialni. Jeśli jednak uprawiała seks z kimś z hotelu, to z pewnością cierpiała na poważny brak gustu.

- Chyybbaa już pójdę - wybełkotała po chwili, zsuwając nogi z łóżka.

Ida spojrzała na nią zawiedziona, po czym spytała:

- Nie masz ochota na kolejnego Drinka Pokojowego?

Erna popatrzyła w jej stronę z uznaniem (musiała przyznać, że Rosjanka jest mistrzynią w picciu alkoholu) i nagle stwierdziła, że zamiast jednej Idy widzi dwie. Zachichotała jak mała dziewczynka i ruszyła w stronę drzwi wyjściowych. Przez chwilę nie wiedziała, które wybrać. Jednak, gdy odległość do nich się zmniejszyła, wybór pozostał tylko jeden.

- Dooo... jutraa... kooleżankoo... - powiedziała, z trudem modulując słowa.

Ida zasalutowała jej dłonią i odrzekła:

- *Spakojnej noci, lubov.*

Erna nie miała pojęcia, co na pożegnanie powiedziała jej Ida. Brzmiało to jednak bardzo ładnie. Milusie jak podusia, na której za chwilę będzie mogła położyć swoją ciężką głowę - pomyślała, wychodząc na korytarz. Gdy otwierała drzwi do swojej sypialni (co przychodziło jej z ogromnym trudem - dziurka od klucza zrobiła się zdecydowanie mniejsza lub też klucz o wiele większy), z pokoju Cindy wyszło dwóch Charlesów. Mieli na sobie niedopiętą białą koszulę, a ich siwe włosy na głowie przypominały zmierzwiony kłębek waty cukrowej. Wreszcie klucz wpasował się w dziurkę i drzwi do sypialni stanęły otworem.

- *Spakojnej noci, lubov* - rzekła Erna w stronę zmieszanych Charlesów, po czym prawie że wpadła do swojej sypialni, napierając bezwładnym ciałem o brązowe drzwi.

Erna obudziła się z ogromnym bólem głowy, który wśród ludzi niezaprawionych w alkoholowych bojach nazywany był zwyczajnie morderczym kacem. Dosłownie rozrywało jej mózg, który tkwił w tak nienaturalnie ciężkiej głowie, że wstając z łóżka, musiała najpierw opuścić na ziemię swoje nogi, by w ten sposób jakoś spróbować podźwignąć ją z mokrej od potu poduszki. Gdyby nie pamiętała, że minionej nocy wypła, jak na swoje możliwości, ogromną ilość alkoholu, to dziś stwierdziłaby, że umiera, że ma guza mózgu, który właśnie dał o sobie znać lub tętniaka, który w każdej sekundzie gotów jest zalać, jej zwoje mózgowe. Ale nic z tych rzeczy. Gnębiło ją po prostu bolesne, złe samopoczucie po spożyciu nadmiernej ilości wódki, a jej mózg był co najwyżej odwodniony. Stojąc przy szafce nocnej, spojrzała w stronę okna. W ustach poczuła kwaśny smak połączony z bolesnymi ukłuciami wymierzonymi prosto w jej gałki oczne. Jakby tysiące szpilek zaatakowało jej źrenice. Choć dzień nie był słoneczny, a okolicę skrywała gęsta, mleczna mgła, to wystarczyło, aby ta mała dawka białej poświaty zaatakowała jej oczy.

No pięknie - pomyślała, chowając twarz w dłoniach. Ból głowy, światłowstręt... ma, czego chciała. Do tego prócz zapachu stęchlizny, do którego pomału zaczęła się przyzwyczajać, dołączyła jeszcze jedna nieprzyjemna woń. Uniosła prawą rękę do góry i jednym krótkim pociągnięciem nozdrzy powąchała swoją pachę. Skrzywiła się w grymasie obrzydzenia. Była spocona. Była niemiłosiernie spocona. Majtki nieprzyjemnie kleiły się do jej pośladków, a wilgotny T-shirt niekomfortowo przywarł do nagich piersi. Musiała wziąć prysznic. Natychmiast!

W wannie pomału, a przynajmniej na tyle, na ile pozwalał jej silny ucisk głowy, próbowała przypomnieć sobie, co takiego zaszło ostatniej nocy. Wprawdzie wszystko dobrze pamiętała do czasu wypicia pierwszego Drinka Pokojowego, jednak później... później zaczął się

lekki, niekontrolowany odlot. Kucając, uniosła słuchawkę prysznicową tuż nad swoje kościste ramiona. Po chwili jej plecy pokryły się ciepłym strumieniem wody. Włosy, związane w kok, tylko na końcach nieznacznie się pomoczyły, tworząc krótkie, mokre strąki. Erna ułożyła głowę na bok, kierując strumień na swoją szyję. Poczowała, przyjemne, delikatne mrowienie w okolicy karku. Z jej poczerwieniałej od gorącej wody skóry zaczęła unosić się delikatna para.

Nie zapaliła światła w łazience. W połączeniu z wszechobecną bielą boleśnie by ją oslepiało. Zamiast tego otworzyła na oścież drzwi i zapaliła lampkę. Do dziś nie poinformowała Gospodarza o zepsutych żarówkach w żyrandolu, które podczas jej pierwszej nocy w hotelu w dziwny sposób eksplodowały. Choć to może za mocne określenie – próbowała doprecyzować w myślach to, co stało się tamtego dnia. Po prostu strzeliły i był to zapewne wynik ich zużycia lub wady fabrycznej – stwierdziła w końcu, ponownie oblewając ciepłą wodą swoje plecy. Nie chciała zawracać mu tym głowy. Adolfo Patino na pewno miał ciekawsze rzeczy do roboty. Zresztą była tu niezapowiedzianym gościem i tylko dzięki jego dobroci nie wędrowała pieszo do Ottawy.

Po prysznicu włożyła na siebie niezbyt już czyste ubranie. Podeszła do umywalki, opierając ręce na jej rancie. Chciała spojrzeć na swoje odbicie, jednak lustro całkowicie zaparowało. Przetarła je dwukrotnie dłonią. Efekt nie był zadowalający. Jej odbicie było ledwo widoczne zza drobnych kropel wody, w którą teraz zamieniła się para. Mimo to jakoś zdołała uczesać swoje włosy, a raczej zaplątać je ponownie w niedbały kok. Zrobiła też szybki, oszczędny makijaż. Tego ranka zrezygnowała z rysowania kreski wokół oczu. To mogłoby się nie udać, nie tylko ze względu na słabą widoczność w lustrze, ale także przez jej drżące ręce, mówiące, a wręcz krzyczące z rozpaczą – NAKARM SIĘ WITAMINAMI! DOSTARCZ NAM GLUKOZY! Nie była głodna i dziś z największą ochotą zrezygnowałaby ze śniadania. Jednak przebywając w tym miejscu, szybko się nauczyła, że taka

rezygnacja z posiłku nie wchodzi w grę. Nie chciała prowadzić jałowego sporu z Gospodarzem. Nie miała na to siły. W końcu i tak musiałyby ustąpić. Spojrzała na swój zegarek. Wybiła godzina dziewiąta. Parę minut wcześniej słyszała dobiegające z korytarza odgłosy trzaskających drzwi. Z postanowieniem spożycia wszystkiego, co mogłoby jej dostarczyć glutaminę, witaminy C oraz B12, a także nawodnienia swojego ciała litrami wody, Erna udała się na śniadanie.

Gdy tylko weszła do jadalni, spostrzegła Idę, której głowa bezwładnie zwisała nad pustym talerzem. Uśmiechnęła się pod nosem, stwierdziwszy, że nawet tak zaprawiona w bojach kobieta jak Abramova poczuła dziś zgubne skutki wczorajszej nocy. Zwinnie przemknęła obok siedzących przy stole gości i zajęła swoje miejsce.

- Witaj, słodziutka - od razu przywitał się z nią Gospodarz. Erna grzecznościowo uśmiechnęła się w jego stronę.

Dziś Adolfo Patino ponownie przypominał tego sympatycznego właściciela hotelu, którego poznała zaledwie parę dni temu. Na samo wspomnienie o jego nieprzyjemnym obliczu, które miała okazję zaobserwować poprzedniego dnia, czyli w dniu, gdy wszyscy z przerażeniem wpatrywali się w wielkie drzewo wbite w salon, ciarki przechodziły jej po plecach. To zabawne, jak niektórzy ludzie mogą kryć w sobie dwa całkiem przeciwstawne oblicza. Zerknęła ukradkiem na Gospodarza i ponownie upewniła się, że jego wesoła i przyjazna wersja osobowości o wiele bardziej do niej przemawia. Ida Abramova wreszcie podniosła swoją głowę.

- *Zdrastwujtie, tawarisz* - wybełkotała niewyraźnie, po czym oparła zmęczoną twarz na dłoni.

- ...e ...ść - odpowiedziała z trudem Erna, która właśnie próbowała przełknąć połowę jajka na miękko. Oczywiście za miękko. Jednak czego się nie robi, aby zaleczyć kaca mordercę. Gdy jajeczny, wodnisty kawałek poszybował przełykiem w dół, chwyciła szybko za drożdżową bułkę przesmarowaną dużą ilością masła i odgryzła jej spory kawałek. Jeżeli kilka minut wcześniej twierdziła, że nie jest głodna, to była w błędzie. Ida przyglądała jej się przez chwilę

w milczeniu. Erna z zazdrością stwierdziła, że w przeciwieństwie do niej Abramova nie miała problemu z idealnym obrysowaniem oczu czarną kredką. Rosjanka pochyliła ciało do przodu i sięgnęła do porcelanowej miski wyłożonej obficie kurzymi jajkami. Ona także musiała odczuwać dotkliwy brak witamin.

Właśnie kończyła przeżuwać ostatni kęs bułki. Dziś smakowało jej wszystko. Poczowała wilczy apetyt. Nalewając sobie wody do porcelanowej filiżanki, omiotła wzrokiem jadalnię. Przy stole siedzieli wszyscy. Był Gospodarz, który popijając poranną kawę, spoglądał z radością na zebranych w jadalni gości. Był także Kruger, który topił się w kuchennych komplementach wypowiedianych przez Cecile, która co chwila sięgała po dokładkę. Była Cindy, a raczej króliczyca i zjawa w jednym, która dziś spięła swoje długie blond włosy w koński ogon. Właśnie prowadziła ożywioną rozmowę z Gaku Harą. Japończyk kolejny raz zaszczycił wszystkich gości wyszukanym strojem. Erna odchyliła się delikatnie do tyłu i zlustrowała go od góry do dołu. Jego nogi pokryte były ciemnozielonymi obcisłymi spodniami przypominającymi pantalon, które zapięte były przy kostkach trzema złotymi guzikami, natomiast górę zdobiła aksamitna błękitna kamizelka połączona z bufiastą koszulą, wykończoną u góry koronkowym kołnierzykiem. Według Erny wyglądał niemiecko, ale to było w nim chyba najbardziej pociągające. W każdym razie Cindy nie mogła oderwać od niego oczu, a podczas rozmowy co chwila oblizywała swoje wąskie różowe usta językiem. Wyraźnie było widać, że ma na niego ochotę. Erna za jednym razem opróżniła zawartość porcelanowej filiżanki. Tego ranka woda była jej bardzo potrzebna. Ponownie sięgnęła po szklany dzbanek (dokładnie taki sam jak ten, w którym Ida potajemnie przemycała wodę do wykonania swojego alkoholowego planu) i znowu wypełniła porcelanową filiżankę po sam jej brzeg. O dziwo Ida Abramova nie piła wody. Od czasu do czasu sączyła czarną kawę. Częściej jednak sięgała ręką w stronę szklanki, w której... Erna zastygła w bezruchu, ściskając w jednej ręce nóż, a w drugiej kolejną drożdżową bułkę. Właśnie miała uwieńczyć swoje

obfite śniadanie słodkim deserem (czyli pieczywem wysmarowanym dżemem truskawkowym), gdy nagle dotarło do niej, że... Zamrugła oczami, chcąc raz jeszcze upewnić się, że nie ma omamów i to, co widzi, dzieje się naprawdę. Jednak nie myliła się, a z chwilą, gdy Rosjanka sięgnęła po butelkę z napisem *Scottish whisky* i uzupełniła szklankę do połowy, tylko się w tym utwierdziła. Otworzyła szeroko buzię z wrażenia. Jej dolna szczęka opadła prawie do ziemi. Musiała wyglądać dziwnie, gdyż z naprzeciwka odezwał się do niej znajomy głos:

- Wszystko w porządku?

Zamknęła automatycznie usta i spojrzała przed siebie. Ksiądz Uchto przyglądał się jej z niepokojem.

- Tak, tak - odpowiedziała szybko, kiwając przy tym przesadnie głową. Poczuła, jak jej mózg obija się o wnętrze czaszki. Skrzywiła się w grymasie bólu. Ksiądz spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, po czym odsunął krzesło od stołu i podźwignął się do góry.

- Dziękuję za to pożywne śniadanie - zwrócił się do siedzącego tuż obok Gospodarza.

- Nie ma za co, mój drogi - odpowiedział Adolfo Patino, po czym dodał: - Czy uzdrowiłeś swoją duszę? - Spojrzał znacząco na księdza.

- Czy pogodziłeś się z losem?

Ksiądz Uchto splótł swoje szczupłe blade dłonie na brzuchu. Rzucił puste, nieprzejednane spojrzenie na każdego z zebranych gości, po czym ruszył w stronę wyjścia.

- *Alea iacta est* - wymamrotał w odpowiedzi, a po chwili zniknął za drzwiami.

Erna spojrzała na Adolfo Patino. Gospodarz, z zadowoleniem wymalowanym na twarzy, wpatrywał się w puste miejsce, przy którym jeszcze niedawno siedział Piotr Uchto.

- Czy ksiądz Uchto dobrze się czuje? - spytała Erna zamyślonego Gospodarza.

- Myślę, że tak. Dlaczego pytasz, słodziutka? - odpowiedział ze zdziwieniem Adolfo.

Erna ostrożnie wbiła nóż w bułkę i przecięła ją na dwie części. Sięgając po truskawkowy dżem, odpowiedziała:

- On... - nabrała na łyżkę sporą ilość konfitury, która po chwili spoczęła na przekrojonej bułce - ...wydaje się, że coś go dręczy - zauważyła, odstawiając miseczkę z dżemem na tacę.

Adolfo milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie odezwał się:

- Jak wiesz, słodziutka, przebywanie w tym miejscu wymaga wielu wyrzeczeń. Niektórzy po prostu sobie z tym nie radzą.

Erna zastanowiła się nad tym, czy wszyscy księża mają problem, gdy zostaną odizolowani od pewnych udogodnień. Słaba wola u katolickich księży z Europy? Już sam ich celibat był czymś dziwnym - a dokładnie to, że jakimś cudem mieliby powstrzymać się od seksu (choć zapewne nie wszyscy stosowali się do tego, a dokładniej większość, o czym była przekonana). Czym więc dla takiego księdza była kilkudniowa izolacja od technologii? Od codziennego życia? W zamyśleniu zamiast do buzi, trafiła bułką prosto w swój nos, brudząc go czerwoną, truskawkową mazią.

- Jedz, słodziutka, jedz - odezwał się Gospodarz, wstając od stołu.
- Widzę, że dziś apetyt ci dopisuje. - Mówiąc to, zapewne nie miał złych intencji, jednak Erna poczuła się jak wielki, nienasycony obżartuch. Zaczerwieniła się lekko. - Pozwolicie, moi kochani, że was teraz opuszczę. Muszę trochę odpocząć i uzupełnić starcze siły - rzekł głośno, tym razem do wszystkich zebranych przy stole gości.

Gdy wychodził, Ernie rzuciło się w oczy jego czoło, które pokrywały liczne drobinki potu. Krok Gospodarza był chwiejny i na tyle słaby, że Kruger, zauważywszy jego zły stan, od razu poderwał się z krzesła i złapał go pod ramię. Po chwili obaj wyszli z jadalni.

- To ciekawe - bąknęła nagle Ida pod nosem.

Erna spojrzała na nią zdziwiona.

- Co takiego? - spytała.

- To, co powiedział ten ksiądz - wyjaśniła Rosjanka, wypijając połowę zawartości szklanki z bursztynową whisky. - *Alea iacta est* - powtórzyła jego słowa, odstawiając szklankę obok talerza, na którym

spoczywały niechlujnie porozrzucane skorupki po skonsumowanym jajku.

- Wiesz, co to znaczy? - zapytała Erna.

Ida zadudniła palcami w drewniany blat stołu. Widać nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Więc? - ponagliła ją Erna.

Rosjanka westchnęła ciężko.

- Kości zostały rzucone - wyjaśniła wreszcie, unosząc z krzesła swoje opięte w złotą sukienkę krągłości.

- Jesteś pewna?

Po tych słowach Ida spojrzała w jej stronę z widoczną urazą.

- *Da*. Swojego czasu trochę interesowałam się historią, a Juliusz Cezar był moim ulubienicem - powiedziała z powagą, odrzucając z ramion swoje blond włosy.

- W takim razie o co może mu chodzić? - spytała zdziwiona Erna.

- Nie wiesz? - odparła Rosjanka, kładąc teraz dłonie na oparciu krzesła, na którym jeszcze niedawno siedziała.

- Nie - odparła Erna. Jej wzrok mimowolnie padł na złote pierścionki zdobiące obie dłonie Idy.

- To dobrze - skwitowała szybko Abramova.

Uniosła ręce z drewnianego oparcia, a chwilę później zniknęła z jadalni, pozostawiając Ernę przy stole z niezrozumieniem malującym się na twarzy. „Kości zostały rzucone” - powtórzyła w myślach Erna. O co mogło chodzić? Nie dawało jej to spokoju. Wreszcie przypomniała sobie grę, w którą grali wszyscy (prócz niej, Krugera i samego Gospodarza) tej nocy, w której zjawiała się w hotelu. Przecież grali w... No tak! Poczwała jasność myśli. Zawsze wolała wiedzieć niż nie wiedzieć. Niewiedza doprowadzała ją do szału. „Kości zostały rzucone” - przypomniała sobie raz jeszcze. Goście grali w kości. Widocznie Ksiądz Uchto pogodził się z przegraną, przez którą, jak wszyscy zauważyli, popadł w czarną rozpacz i mimo że powinna uwierzyć w to wyjaśnienie, to jednak coś nie dawało jej spokoju. Jakby wewnętrzna intuicja podpowiadała jej, że mina

księdza, reakcja samego Gospodarza i wzrok Idy Abramovej kompletnie mijały się z jedynym wytłumaczeniem, jakie ukształtowało się w jej głowie. Jednak co innego mogło to być? Wstała od stołu z niedosytem. Nie tym żołądkowym, ale tym, który zapanował nagle w jej głowie. Jasność myśli pogrążyła się w mroku. Niby wszystko było oczywiste. Aż za bardzo. Dlatego też nie dawało jej to spokoju. Poczowała bolesne pulsowanie w skroniach. Dzisiejszy ranek nie sprzyjał głębszym rozmyśleniom.

Mijając stół, zauważyła ukradkowe spojrzenie Charlesa. Stary zbok – pomyślała z pogardą i nagle przypomniała sobie, kto w środku nocy opuszczał króliczą norę Cindy. Stała przed zamkniętymi drzwiami, analizując obraz malujący się przed oczami. Dwa Charlesy... znaczy jeden! Był jeden – poprawiła się szybko w swoich trzeźwych obrachunkach. Ale nawet jeden Charles był na tyle obrzydliwy, aby omijać go z daleka. Cindy naprawdę nie miała gustu, a co więcej, nie miała honoru. Walker najwidoczniej miała gdzieś żonę Bennetta, Cecile, ale... czy naprawdę powinno ją to dziwić? Chwyliła za żeliwną klamkę i nacisnęła ją. Jednocześnie próbowała znaleźć odpowiedź. Ta była oczywista. Nie znała przecież tych ludzi. Czego mogła od nich wymagać? Niczego.

Po obfitym śniadaniu, które miało okazać się zbawienne dla stanu, w jakim znajdowała się Erna, nastąpiło bliskie spotkanie z wychodkiem i dobre piętnaście minut wymiotów. O dziwo dopiero po tak traumatycznych wydarzeniach poczuła się lepiej. Wzięła szybki prysznic, wyszorowała zęby, po czym zmęczona opadła na łóżko. Wpatrywała się bezmyślnie w sufit, starając się o niczym nie myśleć. Coś jednak wciąż nie dawało jej spokoju i tym czymś była stojąca na szafce nocnej metalowa puszka. Bez chwili namysłu sięgnęła po nią ręką. Przyglądała się uważnie jej powierzchni. Może coś przeoczyła? Na zewnątrz, za oknem, błysnęło. Erna podskoczyła, gdy potężny grzmot zakłócił panującą w pokoju ciszę. Choć było przed południem, na dworze było ciemno jak w nocy. Co jakiś czas silniejszy podmuch wiatru uderzał w okno, którego drewniana framuga złowrogo

skrzypiała. To jednak nie zdołało wyrwać jej z zamyślenia. Skupiała się teraz na szkatułce, próbując siłą woli otworzyć jej pieprzony zamek.

- Cholera... - warknęła z rezygnacją, gdy dotarło do niej, że nie posiada nadprzyrodzonej mocy. Jej uwagę przyciągnął wyryty pod spodem puszką napis.

- „*Rien n'arrive sans raison*”... - odczytała szeptem. Przejechała palcem po żłobieniach. Były dość głębokie, nie na tyle jednak, by przebić dno puszkę. „Nic nie dzieje się bez przyczyny”... - przetłumaczyła w myślach. Wpatrywała się jeszcze przez chwilę w zbitek ręcznie wygrawerowanych liter, po czym zasnęła.

Cholernie zimno - to były pierwsze myśli Erny zaraz po tym, jak otworzyła oczy. Opuściła nogi z łóżka i usiadła na jego brzegu. Wpatrzona w okno, zastanawiała się, co jest nie tak. Dopiero gdy przetarła ręką oczy, obraz stał się nieco wyraźniejszy. Okno było otwarte - znalazła przyczynę dotkliwego chłodu, który powodował, że po jej ciele przebiegała co chwila zgraja wściekłych, kłujących dreszczy. Przysięgłabym, że było zamknięte - pomyślała zdziwiona, podchodząc do okiennego skrzydła. To z łoskotem, raz po raz, uderzało w ścianę. Zbliżyła się do parapetu i wtedy to dostrzegła. Gwałtownie wyjrzała za okno, aby lepiej wy badać sytuację. Kawałek konaru drzewa opierał się o ścianę tuż pod jej oknem i sięgał do samej ziemi.

- Dziwne... - szepnęła cicho pod nosem. Myślała, że Kruger ze zgrają pomocników uporał się z tym drzewem. Wychyliła się bardziej, aby zobaczyć, czy drzewo, a przynajmniej jego część, wciąż tkwiło w oknie salonu. Tak jak przypuszczała, okno było szczelnie zabite deskami. Po złowrogim ataku natury pozostały tylko grube gałęzie konaru, oparte teraz niewinnie o ścianę hotelu Hommanger.

A więc jednak zrobili z tym porządek - stwierdziła i gdy już miała zamknąć okno, coś ponownie przykuło jej uwagę. Gdzieś w dole, we mgle, dojrzała słaby błysk. Na początku myślała, że jej się to tylko przywidziało, gdy jednak błyski zaczęły być wyraźniejsze,

znieruchomiła. Niespodziewanie powietrze przeciął głuchy stukot. Był coraz bliżej i bliżej. Gałązki, okalające najgrubszą z gałęzi konaru, zaszeleściły. Coś wspinało się po drzewie. Coś szło w jej kierunku. Erna rozwarła usta. Gdyby mogła uciec, zrobiłaby to dawno. Jednak była sparaliżowana. Próbowwała choćby zamknąć oczy. Nie mogła. Bezradnie wpatrywała się, jak czarna plama dosłownie sunie wprost na nią. Gruba gałąź konaru zajęczała, gdy coś się na niej znalazło. Erna wstrzymała oddech. Czarna plama wyłoniła się wreszcie z mgły, stając z nią oko w oko.

- S... s... Sammy? - wydukała zdziwiona, wpatrując się w postać chłopca stojącą na gałęzi.

Chłopczyk zaśmiał się i pomachał ręką. Erna spostrzegła na niej metalową protezę. Jednocześnie poczuła, jak odzyskuje kontrolę nad własnym ciałem. Poruszyła rękoma. Paraliż minął.

- Sammy? - powtórzyła, robiąc krok do przodu. Zerknęła w dół. Mgła oplatała ciało Sammy'ego do połowy.

Nagle coś zawyło gdzieś z głębi lasu. Wiedziała, co to. Wiedziała aż za dobrze.

- Sammy... - zwróciła się do chłopca, wyciągając w jego kierunku rękę. Musieli się schować. Zjawa była blisko! - Sammy, proszę cię, chodź ze mną... - Erna próbowała go złapać.

Chłopczyk przestał się uśmiechać. Cofnął się o krok i przywołał ją ręką.

- Sammy, nie... - jęknęła, patrząc na niego błagalnym wzrokiem. - Ona tam jest! Musimy się schować!

Jednak Sammy nie zamierzał jej słuchać. Ponownie ją przywołał, po czym zaczął schodzić. Coraz niżej i niżej...

- Nie! - krzyknęła Erna, wychylając się przez okno. - Nie! - powtórzyła. - Ona tam jest! Wracaj!

Jednak postać dziecka zniknęła już we mgle.

- Cholera jasna! - zaklęła, nie wiedząc, co robić. - Sammy! - zawołała raz jeszcze zrozpaczona, spoglądając w dół. Odpowiedział jej znajomy błysk. - Czeka! - zarządziła. - Idę do ciebie!

Nie wiedziała, dlaczego to robi. Nie wiedziała, dlaczego coś ciągnęło ją w stronę tego dziecka. Wiedziała jednak jedno. Nikt nie zasłużył na spotkanie ze zjawą. Na samą myśl o jej wyglądzie Erna czuła, jak drętwieją jej nogi. Wzięła kilka głębokich wdechów, po czym wdrapała się na parapet. Trzymając się futryny, powoli opuściła jedną nogę za okno. Próbowwała nią wyczuć gałąź, a gdy jej się to udało, postawiła na niej drugą nogę. Wciąż jednak kurczowo trzymała się okna. Nie wiedziała, czy kawałek drzewa wytrzyma jej ciężar. Zawahała się. Po co to robi?! Jednak w tym samym momencie okolicę przeszył kolejny długi i złowrogi skowyt. Odgłos, który na chwilę zmroził jej krew.

- Kurwa mać! - zaklęła, spoglądając w dół. - Sammy? - zawołała.

W dole znów ujrzała błysk. Chłopak tam był. Sammy tam był i ona musiała go ochronić! Ostrożnie oderwała dłonie od futryny i usiadła na grubej gałęzi, oplatając ją mocno obiema nogami. Coś pod nią gruchnęło. Zacisnęła zęby i jęknęła głośno, gotowa na upadek. Nic takiego jednak się nie wydarzyło.

- Uff... - odetchnęła, wypuszczając głośno powietrze z płuc. Ponownie wzięła głęboki oddech, po czym ostrożnie zaczęła zsuwać się coraz niżej. Gdzieś tam drogę przysłaniały jej mniejsze gałęzie, które musiała zwinnie omijać.

- Idę do ciebie! - krzyknęła, mając nadzieję, że chłopak będzie na nią czekał. Była już prawie na miejscu. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że mogła zabrać ze sobą broń. Broń na zjawy? Nie, nie, nie... Czasem cię nie pojmuję, kobieto - zadrwiła sama z siebie.

Gdy znalazła się na wysokości okna salonu, zabitego szczelnie deskami, w dole dostrzegła postać Sammy'ego. Chłopiec czekał na nią. Wciąż wykonywał ten sam gest, chcąc przywołać ją do siebie. Upewniwszy się, że wysokość jest nieduża, Erna oderwała dłonie od gałęzi, przełożyła jedną nogę i zeskoczyła. Liście przy jej stopach zdawały się delikatnie lewitować. To wzbudziło w niej niepokój. Rozejrzała się wokoło. Gdzie, do licha, był chłopak?!

- Sammy?! - krzyknęła, próbując dłońmi rozproszyć gęstą mgłę. Coś błysnęło tuż przed nią. - Sammy! - zawołała raz jeszcze, ruszając do przodu.

Widoczność była kiepska. Erna szła na oślep, zmierzając tam, gdzie pojawiały się pojedyncze błyski. Nie wiedziała, kiedy minęła drzwi do hotelu Hommanger ani nie spostrzegła, że znalazła się teraz na jego tyłach. Dotkliwie jednak odczuła betonowe poidło, gdy z impetem o nie uderzyła, torując sobie drogę ręką.

- Auu... - jęknęła, zagryzając zęby. - Ogród na tyłach hotelu... - szepnęła sama do siebie, pocierając obolałą dłoń. - Co do licha...

W tym miejscu mgła zaczęła ustępować. Wiatr przybrał na sile. Jej włosy, do niedawna upięte w kok, wirowały teraz swobodnie wokół jej twarzy. To tylko sen... to na pewno kolejny sen... - zaczęła powtarzać w myślach. Jednak gdy tylko spojrzała na obolałą dłoń, dotarło do niej, że nie może być tego taka pewna. Nie było to zbyt pocieszające. Za nią czaiła się zjawa, a przed nią... GDZIE, DO DIABŁA, PODZIAŁ SIĘ CHŁOPAK?!

- Sammy! - zawołała, opierając dłoń na zimnym poidle. Patrzyła przed siebie. Gęsta mgła coraz bardziej cofała się w głąb ogrodu. W oddali zaczęła dostrzegać ogromny żywopłot. - Sammy! - krzyknęła raz jeszcze. Słyszała, jak jej głos odbija się echem po okolicy.

Czuła, jak z zimna drętwieją jej stopy. Spojrzała w dół. Była bez butów. Nie pomyślała, żeby je założyć. Nie miała czasu. Zresztą czy we śnie są jej potrzebne? Bo przecież to musi być cholerny koszmar... Zrobiła krok do przodu. Jęknęła, gdy ostry kamyk prawie przebił jej stopę. We śnie nie powinna czuć bólu... Wiedziała o tym dobrze. Zaczęła się bać. Może powinna wrócić do hotelu? Odwróciła się i w tej samej chwili zastygła w bezruchu. Powietrze przeciął nieludzki skowyt. Przysłoniła uszy dłońmi, krzywiąc się z bólu. Ten dźwięk powodował bolesne spustoszenie w jej głowie. Była blisko... pierdolona zjawa była coraz bliżej. Nie... nie mogła stchórzyć. Nie mogła zawieść kolejnego dziecka! Spojrzała za siebie. Drgnęła

zaskoczona. W oddali, tuż przy nagrobku, ujrzała skuloną postać Sammy'ego.

- Sammy! - zawołała i bez zastanowienia ruszyła w jego kierunku. Nie zważała na kamyki wbijające się w jej stopy, nie zwracała uwagi na kłujące, złowrogie pędy dziko rosnących róż, które skutecznie blokowały jej drogę. Nic nie mogło jej powstrzymać.

- Sammy! - krzyknęła, gdy wreszcie udało jej się dotrzeć na miejsce. - Sammy... co ty... - wydusiła z siebie drżącym głosem.

Spojrzała w dół. Zdawało się, że chłopczyk nie zwraca na nią uwagi. Jak w transie odgarniał ziemię swoimi małymi rękami. Kopał dziurę tuż pod marmurową tabliczką. Erna w pierwszej chwili chciała go odciągnąć.

- Sammy... - zaczęła, zerkając na powiększający się otwór w ziemi. - Musimy uciekać - powiedziała zrozpaczona.

Chłopak na chwilę przestał kopać. Spojrzał w jej kierunku. Erna miała wrażenie, że jego czarne duże oczy przeszywają ją na wskroś. Jednocześnie poczuła jego strach, smutek i nadzieję. Chłopak chciał, żeby mu pomogła. Sammy chciał jej pomocy. Erna przełknęła ślinę i zerknęła szybko za siebie. Zjawy nigdzie nie było widać.

- Dobra - zdecydowała na głos, spoglądając na ubrudzone dłonie Sammy'ego. - Pomogę ci, ale później uciekamy. Ona nie może nas dopaść.

Erna kucnęła przy chłopcu i po chwili oboje odgarniali rękoma ziemię. Dziura przy nagrobku była coraz większa. Erna kopała szybko. Czuła, jak ziemia wbija się pod jej paznokcie. Co jakiś czas nerwowo obracała się za siebie, sprawdzając, czy to coś nie czai się gdzieś w ogrodzie. Na dworze było zimno. Z jej ust wydobywała się gęsta para. Palce u rąk zaczęły drętwieć. Chciała jednak pomóc Sammy'emu i jak najszybciej stąd uciec. Nagle powietrze przeszył metaliczny dźwięk. Erna spojrzała w głąb dziury. Proteza palca Sammy'ego uderzyła o coś z łoskotem.

- Co to jest? - wyszeptała, patrząc pytająco na chłopca. Ten jednak jej nie odpowiedział. Zamiast tego z uśmiechem wpatrywał się

w przedmiot leżący w dziurze. – Co to jest?! – powtórzyła, tym razem głośniej. – To tego szukałeś?

Sammy wciąż milczał. Wiatr przybrał na sile. Erna usłyszała za swoimi plecami głośny szelest. Odwróciła się gwałtownie. Przy poidle, wśród rozrośniętych różanych krzaków, stała ona. Zdawało się, że zjawa unosi się w powietrzu. Kolczaste gałęzie oplatały jej postać i rozrastały się w każdym możliwym kierunku. Przebijały się przez jej przypominającą czaszkę głowę, oplatały i wbijały się w jej rozmyte tułów. Erna chciała krzyknąć, lecz głos skutecznie uwiązł jej w gardle. Śmiertelny jęk przeszył okolicę i wdarł się do jej głowy. Poczła potężny ból w każdym zakątku ciała.

– Sammy! – krzyknęła w stronę chłopca, chwytając go za rękę. – Musimy uciekać!

Pociągnęła go w górę. Chłopak jednak nie chciał odejść. Wciąż spoglądał w to coś leżącego w rozkopanej ziemi. Erna jęknęła z bezsilności. Zerknęła w stronę poidła. Zjawa stała tam gdzie wcześniej, jednak różane pędy były coraz bliżej. Potwór chciał ich dopaść. Była tego pewna!

– Sammy... proszę cię... – jęknęła, ponownie pociągając chłopaka za rękę.

Ten jednak uparcie kuczał przy nagrobku, nie ruszając się nawet o centymetr. Niespodziewanie uniósł dłoń, na której błyszczała metalowa proteza i wskazał nią przedmiot leżący w dole.

– Mam to wziąć?! – krzyknęła zniecierpliwiona. Sammy odpowiedział jej uśmiechem. – Dobra! Odsuń się! Ale później uciekamy! – zdecydowała. Obejrzała się znów za siebie. Czasu miała niewiele. Kolczaste pędy były niedaleko i wciąż się rozrastały. Erna zanurkowała w dół, rozkopując dłońmi resztkę ziemi okalającej przedmiot. Palce jej drętwiały. Czuła zimne podmuchy wiatru na swoich plecach. Na kolejny skowyt stworza skuliła ramiona. Sammy stał obok niej.

– Cholera... cholera... cholera... – powtarzała, dokopując się do tajemnicy ukrytej w ziemi. W końcu jej oczom ukazała się metalowa

puszka... Kolejna! - pomyślała, chwytając ją w ręce. Gdy jednak wstała, spostrzegła, że chłopca przy niej nie ma. - O nie! - jęknęła, rozglądając się dookoła. - Sammy! - krzyknęła. - Sammy! - powtórzyła, odwracając się za siebie.

Znów stanęła przed nią. Zdawało się, że puste oczodoły zjawy pochłoną jej duszę. Erna znieruchomiała. Jej ciało przestało reagować. Straciła nad nim kontrolę. W ręku kurczowo ścisnęła metalową puszkę. Kolczaste pędy zaczęły oplatać jej nogi. Zjawa wydała z siebie przeszywający jęk. Erna zacisnęła ręce na puszcze. Ta otworzyła się pod naciskiem jej przemarzniętych palców.

Rozdział 7

Gdy ciemność zamienia się w jasność... nie wiadomo, co o tym myśleć.

Kiedy jasne, oślepiające światło zaczęło niknąć, Erna pomyślała, że był to kolejny senny koszmar. Przerazający sen, po którym znów obudzi się w łóżku. Tym razem jednak było inaczej. Tym razem coś było nie tak. Najpierw dotarło do niej, że nie znajduje się w pozycji leżącej. A więc stała. Stała dokładnie w pozycji, w której była, gdy zakończył się jej niby--koszmar. Zachwiała się, jednak szybko udało jej się złapać równowagę. Pod stopami poczuła przejmujące zimno, które promieniowało aż po sam czubek jej głowy. Poruszyła nogami. Stała na czymś nieprzyjemnym, zimnym i wilgotnym. Nie przypominało to w żadnym wypadku podłogi w hotelu Hommanger. Wreszcie poczuła, że kurczowo ściska coś w prawej dłoni. Najpierw kilkakrotnie zamrugała oczami, a gdy biel ustąpiła, dotarło do niej, gdzie się znajduje. Instynkt nakazał jej gwałtownie rozejrzeć się wokoło. Nikogo przy niej nie było. Zwykły ogród na tyłach hotelu. Taki, który zapamiętała, gdy była tu za pierwszym razem. Z niepokojem spojrzała na różane krzaki rosnące tuż przy betonowym poidle. Te jednak wyglądały na ledwo żywe i niezbyt zainteresowane jej obecnością. Tkwiły niewinnie w ziemi, z której gdzieniegdzie wyrastały kolczaste, na wpół wyschnięte pędy.

Dopiero teraz dotarło do niej, że nie oddycha. Zaczerpnęła łapczywie powietrze. Serce zaczęło łomotać jej w piersi. Spuściła wzrok. Pod swoimi stopami, odzianymi jedynie w brudne od ziemi skarpety, ujrzała rozkopaną dziurę. Marmurowy nagrobek wciąż tkwił na swoim miejscu. Erna oddychała ciężko, próbując poskładać wszystkie informacje. To, co widziała i to, co czuła. Przychodziło jej to z trudem. Uniosła przed siebie przedmiot trzymany w skostniałej

dłoni. Ujrzała puszkę. Jej wieko było lekko uchylone - puszka nie miała zamka. Zwykły, metalowy zardzewiały pojemnik z pokrywką. Erna postanowiła go otworzyć. Pokrywka przez chwilę stawiała opór, jednak w końcu odpuściła. Na ziemię posypały się rdzawe kawałki metalu. Spojrzała do jej wnętrza. Na dnie dostrzegła kilka elementów wyglądających jak białe patyczki. Przeniosła wzrok na marmurową płytę.

„Tu spoczywa palec Sammy’ego”... - odczytała inskrypcję, upewniając się tym samym, na co patrzy. Jednak nie to przykuło jej uwagę. W środku, prócz tego, co zostało z palca chłopca, znajdował się jeszcze jeden przedmiot. Ponownie spojrzała w głąb puszkę. Był to mały srebrny...

- Kluczyk... - szepnęła, wyciągając go z metalowego pojemnika.

Chwilę obracała go w dłoni, zanim dotarło do niej, do czego może służyć, a raczej co otwierać. Ale... czy to możliwe? Erna wiedziała z doświadczenia, że nie należy do osób, które życie obsypuje srebrnym pyłem szczęścia, jednak teraz miała przecucie. Ten klucz wyglądał, jakby mógł pasować do pewnego zamka. Jakby mógł być brakującym elementem.

Niespodziewanie na jej głowę spadło kilka ciężkich kropeł. Zaczęło padać. Erna raz jeszcze rozejrzała się po okolicy. Jak się tu do cholery znalazła? Przecież to wszystko... - spojrzała na dziurę w ziemi - ...to wszystko nie wydarzyło się naprawdę... Erna przyłożyła rękę do czoła. Nie miała gorączki. Nie była chora... a może... może to jakaś choroba psychiczna, która właśnie dawała o sobie znać? Uaktywniła się przez ostatni stres w pracy i...

- Cholera jasna... - wyszeptała, gdy dojrzała otarcie na swojej prawej dłoni. Dokładnie w miejscu, gdzie uderzyła nią, w niby-śnie, o betonowe poidło. A może lunatykowała, a to wszystko, co widziała, to tylko omamy? Może był to wymysł jej zmęczonego mózgu? Erna próbowała przypomnieć sobie ostatnie chwile, które spędziła w hotelu. Położyła się na łóżku... Dobrze to pamiętała, a później...

później po prostu zasnęła. Tak! Musiała lunatykować! Sammy... zjawą... to nie mogło istnieć w realnym świecie.

Nagle niebo rozbłysło, a chwilę później rozbrzmiał donośny grzmot. Erna uniosła wzrok. Burzowe chmury spoczywały tuż nad nią. Musiała wrócić do hotelu. Niewiele myśląc, schowała klucz do kieszeni jeansów i ruszając przed siebie, cisnęła otwartą puszką o ziemię. Po chwili jednak przystanąła. Poczowała się jak cmentarna hiena. Nawet jeśli Sammy był jej wymysłem, w tym nagrobku rzeczywiście spoczywało kilka kości małego chłopca. Erna westchnęła ciężko, po czym z poczuciem winy podniosła puszkę z ziemi. Na szczęście małe kości nie zdołały się z niej wysypać. Podeszła do nagrobka i umieściła metalową niby-trumnę w dawnym miejscu spoczynku. Drobny deszcz przemienił się w ulewę.

- Wybacz i... - Erna zawahała się, myśląc nad doborem właściwych słów - niech twój palec spoczywa w pokoju - dodała, podnosząc się z ziemi. Otrzepała brudne kolana i ruszyła przed siebie.

Gęste krople skutecznie utrudniały jej widoczność. Szła ostrożnie, uważając przy tym, by nie wpaść w krzaki lub, co gorsza, w poidło, z którym miała już dziś bolesne spotkanie. Wreszcie dotarła przed wejście hotelu Hommanger. Bez zastanowienia chwyciła za klamkę. Zamknięte. Kolejny błysk i grzmot. Erna czuła się przemoknięta i zmęczona.

- No tak... - bąknęła pod nosem. - Dodatkowe środki ostrożności...
- Wypuściła powietrze i postanowiła zapukać. Miała nadzieję, że ktoś szybko otworzy.

Gdy ktoś puka do drzwi hotelu Hommanger, nigdy nie jest to dobry znak. Nie jest to także coś pożądanego, a przede wszystkim jest to wydarzenie dość niespodziewane. Takie, które dziać się nie powinno. Dlatego przed otwarciem drzwi Kruger postanowił wyposażyć się w nóż kuchenny. Nóż, który mógł okazać się niezbędny podczas witania się z niespodziewanym intruzem. Wszyscy pozostali goście, łącznie z Gospodarzem, stanęli tłumnie przed drzwiami jadalni i obserwowali. Cecile Bennett kurczowo ścisnęła dłoń męża, a Gaku

Hara, chowając się za Cindy Walker, zaczął myśleć o tym, że grubaska rzeczywiście mogła kogoś widzieć poprzedniego wieczora. Może ten ktoś ich obserwował? Może ten ktoś stał teraz za drzwiami? Gospodarz nie odrywał wzroku od Krugera. Kucharz stanął wreszcie przy drzwiach wyjściowych i zastanawiał się, w którym momencie je otworzyć. Stał w skupieniu, trzymając w ręce schowaną za swoimi wielkimi plecami broń. W drugiej dłoni kurczowo ścisnął duży mosiężny klucz.

W holu zapanowała martwa cisza. Nikt nie ośmielił się oddychać. Stuk, stuk, stuk - w budynku ponownie rozbrzmiało pukanie do drzwi. Cecile podskoczyła, chowając się za Charlesa. Stefan Kruger wymienił z Gospodarzem porozumiewawcze spojrzenia, po czym zdecydowanym, szybkim ruchem wsadził klucz w drzwi. Przekręcił go kilkukrotnie, następnie wziął głęboki oddech, doliczył w myślach do trzech i pociągnął zamasyście za klamkę. Jego prawa dłoń zacisnęła się na rękojeści wielkiego noża.

- Co ty tu robisz, do cholery?! - warknął po chwili zaskoczony.

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale jestem tu od dobrych kilku dni - odpowiedziała Erna, również nie siląc się na przyjazny ton głosu. Próbowwała przy tym wejść do hotelu. Kucharz jednak zagroził jej drogę ręką, w której połyskiwało ostrze kuchennego tasaka. Erna zatrzymała się gwałtownie.

- Nie chodzi mi o to! Co robiłaś na zewnątrz?! - krzyknął podenerwowany Kruger.

- Spacerowałam. - Erna szybko wsunęła brudne ręce do kieszeni. Próbowwała wypaść wiarygodnie, choć wymagało to od niej sporego wysiłku, zważywszy na bliskość kuchennego noża przy jej twarzy. Kruger nie spuszczał z niej wzroku.

- Tak? - warknął. - A niby jak wyszłaś z hotelu?!

- Przez okno w sypialni. Chyba lunatykowałam.

- Prze... przez okno?!

- Dokładnie tak. Przez okno, po drzewie, a raczej po tym, co z drzewa zostało - doprecyzowała Erna zgodnie z prawdą. Chciała jak

najszybciej znaleźć się w sypialni. W dłoni, ukrytej w kieszeni spodni, ścisnęła mały kluczyk. – Cholera, człowieku, daj mi spokój. Już nawet przewietrzyć się nie można?! – dodała zniecierpliwiona, obrzucając Krugera nienawistnym spojrzeniem.

Ten chciał już coś powiedzieć, gdy w tej samej chwili obok niego pojawił się Gospodarz. Zamilkł więc, spoglądając tylko nieufnie na przemokniętą do suchej nitki Ernę.

– Witaj, słodziutka – odezwał się Adolfo Patino. – Dlaczego mokniesz na deszczu? Proszę, wejdź do środka.

Erna zerknęła znacząco na rękę Krugera. Ten, dając za wygraną, opuścił nóż i stanął bokiem, wpuszczając ją do wnętrza hotelu Hommanger.

– Zapraszam – warknął, nie spuszczać z niej wzroku. – Następnym razem, gdy będziesz chciała się przewietrzyć, nie zapomnij o butach – syknął jej do ucha, gdy mijała go w drzwiach.

Erna chciała jak najszybciej znaleźć się w sypialni. Nie oglądając się za siebie, pognęła w górę schodów, pozostawiając za sobą ślady mokrych stóp.

Adolfo Patino poklepał Krugera po plecach. Spojrzał na zebranych w holu gości. Byli przerażeni. Bali się. Nie powinien był dopuścić do takiej sytuacji. Był Gospodarzem. Musiał panować nad sytuacją. Po chwili ciszy Adolfo Patino zaprosił wszystkich do jadalni. Był przekonany, że teraz każdemu z nich przyda się chwila relaksu z ciepłą herbatą u boku.

– Kochani, nie ma się czego obawiać. Sytuacja została opanowana – ogłosił chwilę później, zasiadając na krześle przy rozpalonym kominku. Cecile Bennett odetchnęła z ulgą.

Stefan Kruger stał przy otwartych drzwiach wyjściowych, długo nad czymś rozmyślając. W końcu wyszedł z hotelu i spojrzał w lewo. Gruby konar, który zostawił poprzedniego dnia, sięgał zaledwie okna na parterze. Zdecydowanie za nisko, aby Erna Brown mogła go dosięgnąć z okna swojej sypialni. Był pewien jednego. Wciąż jej nie ufał i wciąż uważał, że nie powinno jej tu być. Z takim przekonaniem

wszedł do hotelu i zamknął drzwi na klucz. Musiał porozmawiać z Gospodarzem. Musiał wyjawic mu swoje wątpliwości, ale najpierw... najpierw musiał zaparzyć sobie herbatę z melisą.

Stopy miała przemarznięte. Skarpetki były prawie sztywne od wody i błota. Cała się trzęsała, choć w tej chwili nie wiedziała, czy z chłodu, który przytargała ze sobą, czy też z podniecenia. Wiedziała, że powinna jak najszybciej wziąć gorący prysznic. Jednak było coś ważniejszego. Zniecierpliwiona, wyjęła skostniałą dłoń z kieszeni mokrych jeansów. Otworzyła ją. Na środku spoczywał mały, lekko pordzewiały kluczyk. Obróciła go kilkukrotnie w palcach. To musi być to. To na pewno jest to! – pomyślała z przekonaniem i szybko podeszła do szafki nocnej. Opadła ciężko na łóżko. Spojrzała na pojemnik leżący tuż obok lampki. Przez chwilę czuła się jak dziecko. Jak mała dziewczynka, która spogląda na jajko niespodziankę z nadzieją, że w środku znajdzie coś niesamowitego. Oczywiście nie była już dzieckiem, jednak wciąż nie odmawiała sobie przyjemności kupienia, choć raz w miesiącu, takiego jajka. Miała do nich słabość i choć większość jajkomaniaków liczyło na to, że we wnętrzu czekolady znajdą figurkę, która uzupełni ich kolekcję, to ona jednak wolała zabawki składane. Samochody, statki, deskorolki, roboty i inne cudowności... Tak! Im więcej części do składania, tym lepiej... To właśnie w nich uwielbiała i właśnie teraz dotarło do niej, że od miesiąca nie miała w ręku takiego jajka. Dziś ta pordzewiała puszka była jego substytutem. Zamiennikiem, choć, co prawda, nie czekoladowym, to równie zagadkowym i tajemniczym. Co znajduje się w środku? Co znajdzie w jej wnętrzu, jeśli okaże się, że kluczyk pasuje? Nie mogła dłużej czekać. Zniecierpliwiona, nabrała powietrza w płuca, jakby miała zaraz skoczyć do głębokiej wody. Owca

Mały kluczyk zagłębił się we wnętrzu blaszanego pojemnika. Od razu było widać, że pasuje idealnie. Erna przekręciła go delikatnie w prawo, jeszcze raz i jeszcze, aż w końcu napotkała opór. Stało się. Puszka została otwarta. Wypuściła ze świstem powietrze. Wciąż nie spuszczała wzroku z substytutu jajka niespodzianki. Poczwała

pulsowanie w skroniach. Jej ręce zrobiły się wilgotne. Nagle przestało być jej zimno. Wręcz przeciwnie. Erna poczuła, jak temperatura jej ciała wzrosła. Ogarnęło ją dzikie podniecenie. Przygryzła dolną wargę i nie czekając dłużej, uniosła delikatnie blaszane wieko puszek ku górze. Bez zbędnego zastanowienia spojrzała do środka. W niby-jajku niespodzianie spoczywały trzy rzeczy. Najpierw Erna uznała, że mogłaby je zakwalifikować (ku swojemu niezadowoleniu) do figurek. Jednak im dłużej na nie patrzyła, tym była pewniejsza, że jest to zagadka. Łamigłówek, którą można przyrównać do składanych zabawek. Uśmiechnąwszy się pod nosem, wyjęła pierwsze znalezisko. Czarno-białe, lekko wyblakłe małe zdjęcie. W mroku, który panował w jej pokoju, nie mogła na nim zbyt wiele dostrzec. Sięgnęła ręką w stronę włącznika nocnej lampki. Po chwili część pokoju rozblęsnęła żółtym światłem. Erna zbliżyła fotografię do żarówki. Jej wzrok, skupiony na zdjęciu, w pierwszej kolejności zarejestrował dom i stojących przed nim ludzi: dwoje dorosłych i... - Erna zbliżyła zdjęcie do twarzy, by lepiej widzieć - tak... i małe dziecko... chłopczyk. Na samym dole zdjęcia w ramce znajdował się napis:

**Hotel Hommanger i właściciele
- Rodzina Cavalcanti, 1946**

Erna poczuła, jak szumi jej w głowie. Raz jeszcze, tym razem uważnie, spojrzała na zdjęcie. Ten dom... to ten sam budynek, w którym właśnie się znajduje. Na fotografii przed jego wejściem, po obu stronach, dumnie prezentowały się piękne betonowe donice, z których prawdopodobnie (na zdjęciu nie było tego dobrze widać) wyrastały różane krzaki, tworząc łuk nad drzwiami prowadzącymi do wnętrza hotelu. Hotelu, który na zdjęciu wyglądał okazale i dumnie. Betonowe donice stoją do dziś, ale teraz zamiast zdobić - straszą, a podupadły i zimny hotel jest resztkami tego, co zobaczyła na fotografii. Jednak uwaga Erny skupiała się głównie na trzech postaciach. Po lewej stronie wysoki, barczysty mężczyzna, a po prawej piękna kobieta w równie pięknej sukni. Oboje elegancko

ubrani, trzymali swoje prawe dłonie na ramionach stojącego przed nimi małego chłopca. Dziecka, które wyglądało dokładnie jak...

- Sammy... - wydukała. - Profesor Samuel Cavalcanti... mały Sammy z jej snów na jawie... z jej dziwnych wizji... A więc to ty! Czy to możliwe?! - krzyknęła Erna, próbując złożyć w całość swoją zabawkę. - To był twój dom... to był hotel twoich rodziców... - wyszeptała, czując, że odkrywa coś ważnego. Ale w puszcze było coś jeszcze. Dwie małe rzeczy, które nieśmiało odbijały światło nocnej lampki. Sięgnęła po nie ręką. Były na tyle małe, że obie bez problemu mieściły się w jej dłoni. Spojrzała na nie uważnie. Jej reakcja była niespodziewana.

Czasem robimy coś mimowolnie, jakby nasze mięśnie lepiej wiedziały, kiedy muszą obronić nas przed złem. Tak było i tym razem. Gdy tylko Erna dostrzegła, co spoczywa w jej ręce, zatrzęsa nią, a dwa małe znaleziska opadły bezgłośnie na kremową kołdrę. Jej mięśnie próbowały ją obronić. Postanowiły same podjąć decyzję i jak najszybciej pozbyć się z dłoni metalowej... protezy. W tej sytuacji druga rzecz nie była istotna dla mięśni. Erna z przerażeniem wpatrywała się w dobrze znany przedmiot. Rozpoznała go od razu. Ona i jej zapobiegawcze mięśnie. Była to mała metalowa proteza palca Samuela... dokładnie taka, którą miał, gdy odwiedzał ją w snach. Musiała jednak minąć dobra minuta, zanim rozum Erny przekonał ciało, że proteza jest niegroźna i tak naprawdę niestraszna. Zwykły kawałek metalu, który kiedyś służył biednemu dziecku za palec. Erna spojrzała raz jeszcze na zdjęcie. Chłopiec z fotografii, który wyglądał dokładnie tak jak Sammy odwiedzający ją we snach na jawie, miał jednak na fotografii wszystkie palce. Stwierdziła zatem, że wypadek musiał mieć miejsce krótko po zrobieniu tego zdjęcia...

Biedny chłopak - pomyślała, odkładając zdjęcie z powrotem do metalowej puszeki. Dopiero wtedy spostrzegła, że obok metalowej protezy na kołdrze spoczywa coś jeszcze. Przedmiot, o którym o mało co nie zapomniała. Wyglądał na zupełnie niegroźny i prawdę mówiąc, był chyba dość cenny. Prawdopodobnie złoty... - Erna obejrzała

znalezisko dokładnie, zbliżając je do światła nocnej lampki. Dostrzegła dobrze widoczną próbę złota. A więc z pewnością był to złoty i masywny sygnet. Spojrzała na jego zdobienie. Już to gdzieś widziałam... – pomyślała, spoglądając na kontur ludzkiej czaszki... TAK! – olśniło ją nagle. Taki sam sygnet ma Adolfo Patino! Ale w jego sygnecie znajdują się jego inicjały! „A.P”! A tu... Zmrużyła oczy, próbując odczytać dwie literki.

– „E” i... „C”... – wyszeptała. Nic jej to nie mówiło. Do kogo mógł należeć? Może do ojca Samuela? Tak, to możliwe, jednak po co Adolfo Patino miałby nosić taki sam sygnet?! Co ich łączyło? Erna czuła, jak jej mózg zaczyna pracować na wysokich obrotach. Obrazy w jej głowie szalały niczym migawki z filmu. Zdania przelatywały przed oczami, a ona w tym wszystkim czuła się na razie zbyt zagubiona. Adolfo Patino mówił, że znał Samuela... że się przyjaźnili. Może ich rodziny łączyła szczególna znajomość? Jednak Erna dobrze wiedziała, że coś w tym wszystkim było nie tak. Kto umieszcza na sygnecie profil ludzkiej czaszki?! Nagle coś przyszło jej do głowy, choć... może nie do końca. Poczwała zaledwie lekki rozbłysk gdzieś z tyłu czaszki... a może z przodu? No tak, te rodziny musiały mieć coś wspólnego z medycyną! Może fascynowały się od lat Andreasem Wesaliuszem! Stąd ten kontur ludzkiej czaszki... może... może w ten sposób oddawali mu hołd?! Może... – Erna wiedziała, że sama nie znajdzie na to odpowiedzi. Jediną osobą, która mogłaby zbliżyć ją do prawdy, był sam Adolfo Patino. Jeszcze nie wiedziała, w jaki sposób zapyta o to Gospodarza, jednak była pewna, że to zrobi. Czy ta sprawa powinna ją w ogóle interesować? Zapewne nie, jednak teraz była przekonana, że coś sprowadziło ją w to miejsce i coś kazało jej się dowiedzieć prawdy. Jakiej? Miała nadzieję, że Adolfo Patino uzupełni braki w jej układance. A brakowało zaledwie kilku elementów, aby zabawka z puszki niespodzianki była kompletna. Przypomniało się jej coś jeszcze. Gdy na studiach widywała profesora Cavalcantiego, nigdy nie zauważyła, aby brakowało mu kawałka palca. Nie mogła tego zauważyć przez coś, co robił dorosły Samuel. Teraz to zrozumiała.

Teraz się domyśliła, dlaczego profesor zawsze nosił czarne skórzane rękawiczki. Na uczelni studenci nazywali go „Czarna ręka” i powstało wiele najdziwniejszych teorii mówiących o tym, dlaczego profesor nigdy nie rozstawał się z rękawiczkami. Niektórzy byli święcie przekonani, że jest mutantem, nieudanym eksperymentem, a zamiast dłoni ma macki. Inni twierdzili, że profesor był z pewnością androidem, a jego dłonie mogłyby zdradzić jego sekret. Teraz jednak Erna znalazła odpowiedź na to dręczące studentów pytanie. Po co profesor nosił na swoich dłoniach skórzane rękawiczki? Nie był mutantem ani cyborgiem. Wyjaśnienie było prostsze. Ukrywał fakt, że brakuje mu palca. Może się tego wstydził? Tak... zapewne tak było. Biedny Sammy... biedny profesor Samuel Cavalcanti.

Z zamyślenia wyrwał ją potężny grzmot zakończony świetlistym piorunem. Erna drgnęła i spojrzała za okno. Na zewnątrz rozszalała się burza. Znow zaczęła odczuwać chłód bijący z wilgotnych ubrań. Wrzuciła protezę do metalowej puszki, zamknęła ją ostrożnie i wsunęła pod łóżko. Sygnet schowała głęboko do kieszeni spodni. Muszę wziąć prysznic – stwierdziła i po chwili zniknęła w otchłani mrocznej łazienki.

Gdy Stefan Kruger przekroczył próg gabinetu Adolfo Patino, od razu dostrzegł przykurczoną sylwetkę swojego szefa spoczywającą na krześle za biurkiem. W skąpanym w półmroku pokoju czuć było zmęczenie i udrękę, której przysporzyły Gospodarzowi ostatnie wydarzenia i trawiąca go choroba.

- Panie Patino - zagadnął ostrożnie, podchodząc do biurka.

Gospodarz nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się nieobecny wzrokiem w przeciwległą gablotę, stukając raz po raz chudym, wskazującym palcem prawej ręki o marmurowy kałamarz. Krugera zmartwił ten widok. Dawno nie widział swojego szefa w takim stanie. Te ostatnie wydarzenia... to, co się tu stało... Stefan Kruger był pewien. Był przekonany, że to wszystko przez obecność niezapowiedzianego gościa. Erna Brown... - pomyślał z trwogą, a na

jego twarzy pojawił się grymas obrzydzenia. Drgnął, kiedy usłyszał głos Adolfo Patino.

- Ach... Witaj, mój drogi. Nie zauważyłem, kiedy wszedłeś.

- Panie Patino - zwrócił się raz jeszcze w stronę Gospodarza. - Chciałbym z panem o czymś porozmawiać.

- Domyślam się, że chodzi o Ernę Brown - odgadł bezbłędnie Gospodarz.

Krugera nie zdziwiła przenikliwość swojego szefa. Adolfo Patino znał go bardzo dobrze. Czasami miał wrażenie, że potrafi czytać w jego myślach.

- Tak, chodzi o Ernę Brown - potwierdził, siadając na krześle tuż przed Gospodarzem. - Panie Patino... - chciał coś powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Nidy nie chciał podważać decyzji Gospodarza. Nigdy też nie wątpił w ich słuszność. Teraz jednak... Teraz uważał, że oferowanie schronienia niezapowiedzianemu gościowi było nie do końca przemyślane.

- O co chodzi, Stefanie? - spytał Gospodarz.

- Panie Patino. Myślę, że pobyt tej osoby w tym miejscu nie był najlepszym pomysłem. Odkąd tu jest... - Kruger przełknął ślinę na wspomnienie o drzewie, które brutalnie przebiło obraz wiszący w salonie. - Odkąd Erna Brown pojawiła się w tym miejscu, dzieją się dziwne rzeczy.

Gospodarz spojrział na niego, uśmiechając się delikatnie.

- Mam rozumieć, że Erna Brown przynosi nam pecha? - Zaśmiał się szczerze na głos.

Twarz Krugera lekko poczerwieniała.

- Nie... nie o to chodzi... - wybełkotał wyraźnie zawstydzony. - Myślę tylko, że jej pobyt może wszystko zrujnować.

- Zrujnować? - powtórzył zdziwiony Gospodarz.

- Mam wrażenie... wydaje mi się, że ta kobieta wtyka nos w nie swoje sprawy. Do tego ta jej wycieczka na zewnątrz... - Kruger przerwał na chwilę, przypominając sobie brak butów Erny Brown i resztki drzewa, które... które, do cholery, spoczywały z pewnością

zbyt nisko, aby mogła zeskoczyć na nie ze swojego okna. Takiego samego zdania była Cindy, z którą podzielił się swoimi wątpliwościami. - Ona nie mogła wyjść przez swoje okno na zewnątrz - dokończył wreszcie, wbijając zatroskany wzrok w Gospodarza. Ku jego zdziwieniu twarz Adolfo Patino wciąż wyrażała rozbawienie.

- Mój drogi, jestem przekonany, że Erna Brown wyszła na zewnątrz przez swoje okno. Skąd to wiem? - zapytał sam siebie Adolfo Patino. - Ludzie, kiedy lunatykują, robią przedziwne rzeczy, których później nie pamiętają. Myślę, że Erna Brown mogła wyjść przez okno. Później jej uśpiony umysł powędrował wraz z nią w nieznane. Na szczęście, jak się okazało, niezbyt daleko i mogła do nas bezpiecznie powrócić. Stefanie... - Gospodarz dostrzegł podenerwowanie Krugera, którego prawa noga trzęsła się rytmicznie. - Innego wyjścia na zewnątrz nie było. Erna Brown nie wyważyła żadnych drzwi, nie wybiła okna. Musimy więc założyć, że mówi prawdę.

- Tak... - bąknął pod nosem Kruger, powstrzymując teraz skaczące kolano ręką.

- Jednak - kontynuował Gospodarz - twoja opinia jest dla mnie bardzo ważna. Dlatego też porozmawiam z nią i dam jej jasno do zrozumienia, że nie może opuszczać tego miejsca. Przynajmniej kiedy nie lunatykuje - dodał po chwili namysłu.

- Ja... ja nie chcę tylko, żeby ktoś zniszczył nasz tegoroczny zjazd.

- Wiem, kochany. - Gospodarz uniósł się ostrożnie z fotela. Obszedł biurko, opierając się asekuracyjnie rękoma o jego blat, po czym położył swoją dłoń na ramieniu Krugera. - Naprawdę się cieszę, że jesteś przy mnie i zawsze służysz mi radą. - Kruger odetchnął głęboko. - Mam do ciebie jednak małą prośbę.

- Tak, panie Patino? - odpowiedział posłusznie Kucharz, czując na swoim ramieniu ciepło bijące z dłoni Gospodarza.

- Martwi mnie stan Piotra Uchto. Myślę, że to na nim powinieneś skupić teraz swoją uwagę. O ile nie znamy Erny Brown i rzeczywiście możemy obawiać się z jej strony jakichś niepożądanych działań, o tyle

księdza Uchto musimy objąć większą opieką i okazać mu więcej zainteresowania. Obawiam się, mój drogi, że to właśnie on stwarza teraz największe zagrożenie dla naszego tegorocznego spotkania.

- Zgadza się z panem, panie Patino - odrzekł Kruger, obracając się delikatnie na krześle w stronę Gospodarza. - Zaopiekuję się nim. Rzeczywiście, chyba nikt z nas nie podejrzewał, że to wszystko tak na niego wpłynie. Sam wyraził chęć dołączenia do nas i przegrał uczciwie. Tymczasem zachowuje się jak mały, popieprzony gnojek...

Adolfo Patino zmrużył brwi i spojrzał na niego zaskoczony.

- Prze... przepraszam - wybełkotał Kruger, karcąc się w myślach za słownictwo.

- Popieprzony - powtórzył Gospodarz. - A to dobre! - krzyknął po chwili, zanosząc się śmiechem.

Była głodna. Jej ubrania, wciąż wilgotne, lekko śmierdziały zgnilizną. Czowała się z tego powodu niekomfortowo i najchętniej zostałaaby do rana w pokoju - przeprane ręcznie ubrania z pewnością wyschłyby do następnego dnia, gdyby nie dwie rzeczy. Pierwsza - to pragnienie, które opanowało jej ciało zaraz po wyjściu z wanny. Miała suche gardło i pragnęła się czegoś napić - a druga sprawa to rozmowa z Gospodarzem. Musiała z nim porozmawiać. Musiała go podpytać o pewne rzeczy, a przede wszystkim dowiedzieć się, jak to się stało, że hotel jest teraz w jego rękach. Czy powinna wściubiać nos w nie swoje sprawy? Nie... i dlatego zamierzała to zrobić.

Gdy weszła do sali obiadowej, miała nadzieję, że na stole powita ją dzbanek z herbatą lub chociażby z czystą, krystaliczną wodą. Nic z tych rzeczy. Zamiast tego przywitał ją niemalże pusty stół, na którym spoczywała karafka z ciemnoczerwoną cieczą. Przy stole siedzieli rozanieleni, pochłonięci rozmową Cindy i Gaku Hara. Na jej widok równocześnie zamilkli. Erna chciała się dyskretnie wycofać, gdy nagle Walker przemówiła:

- O, proszę. Kto do nas zawitał? - powiedziała sztucznie miłym głosem. - Ale chyba nie odpowiada ci nasze towarzystwo, skoro tak

szybko chcesz nas opuścić? – dokończyła, spoglądając na dłoń Erny, która zawisała tuż nad kławką.

– Nie odpowiada mi raczej to, co jest na stole – odpowiedziała Erna.

Gaku Hara spojrzał na nią zdziwiony.

– Jak to? – wycedził przez zęby swoim niesamowicie jadowitym tonem.

Erna miała wrażenie, że czymś go uraziła. Co więcej, zdziwiła się, że Japończyk ośmielił się w końcu do niej przemówić.

– Szukałam czegoś do picia. Herbaty, soku, wody... czegoś bezalkoholowego, a to, co macie na stole – spojrzała na ich pękate kieliszki do wina – z pewnością ma procenty, których dziś raczej wolałabym unikać. – Erna uśmiechnęła się krzywo.

– Kamień z serca! – rzuciła teatralnie Cindy. – A ja, głupia, myślałam, że nas nie lubisz! – Nagle wstała i podbiegła do Erny, chwytając ją za rękę. – Uwierz mi, że to, co mamy na stole, jest o wiele lepsze od soku.

Cindy puściła tajemniczo oko do Gaku Hary, po czym pociągnęła Ernę w głąb jadalni. Na nic zdały się jej subtelne protesty. Już po chwili Erna siedziała pomiędzy Walker a posępnym Japończykiem. Gaku Hara od razu poczuł woń jej znoszonych i wilgotnych ubrań. Spojrzał na nią z odrazą.

– Co robiłaś na zewnątrz? – spytał bez ogródek, odsuwając od niej (mało dyskretnie) swoje krzesło.

Erna spojrzała na niego zdziwiona. Nie spodziewała się takiego pytania. Zwłaszcza od kogoś, kto nie zaszczycił jej jeszcze żadnym pytaniem podczas tych kilku dni w hotelu.

– Spacerowałam – odpowiedziała krótko, wbijając wzrok w czerwoną zawartość karafki.

Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała Japończyka. On bowiem także zauważył pewien bardzo istotny szczegół.

– Bez butów? – rzucił pogardliwie. Szczupłą, porcelanową dłonią chwycił za swój kieliszek. Po chwili upił z niego mały łyk. Na jego

twarzy widać było błogość. Przynajmniej przez krótką chwilę, bo zaraz przeszył Ernę piorunującym wzrokiem. Cindy nic nie mówiła. Przyglądała się im w milczeniu.

- Widzisz... - zaczęła Erna, starając się w kilka sekund zbudować jakąś linię obrony. W tym była dobra. W tym była doskonale przeszkolona. - ...mam problem z lunatykowaniem.

Krzesło Cindy zaskrzypiało, gdy ta odchyliła się nieznacznie do tyłu. Gaku Hara parsknął śmiechem.

- Myślisz, że w to uwierzemy? - rzuciła w jej stronę Cindy. Zaśmiała się równie głośno, po czym przywróciła krzesło do naturalnej pozycji.

Erna poczuła się niepewnie.

- A dlaczego nie? - spytała, przenosząc wzrok z kryształowej karafki na Japończyka.

Nagle Walker odchrząknęła. Przysunęła swoje krzesło bliżej stołu i postanowiła włączyć się do rozmowy.

- Wiesz - zaczęła swoim wysokim głosem - odkąd się pojawiłaś, jest tu jakoś dziwnie. Dzieją się... - Cindy zrobiła dłuższą przerwę. Wypiła w tym czasie sporą część zawartości kieliszka, po czym oblizwała cienkie wargi językiem. - ...dzieją się dziwne rzeczy - dokończyła, spoglądając Ernie prosto w oczy.

Na dworze szalała burza. Salę obiadową co chwila wypełniał błysk uderzającego pioruna. Jadalnia, oświetlona teraz zaledwie kilkoma świecznikami, wyglądała w tym momencie dość upiornie. Erna poczuła się dziwnie. Jakby była osaczona.

- Nie wiem, o czym mówicie - wydusiła z siebie, nie wiedząc, na kogo ma patrzeć. Postanowiła więc wbić wzrok gdzieś przed siebie. Gdzieś w głąb lasu, który widziała za jednym z jadalnianych okien.

- A nam się wydaje, że dobrze wiesz! - warknął Gaku Hara.

On też przysunął swoje krzesło bliżej Erny. Zaczynało robić się ciasno... ciasno i... trochę niebezpiecznie.

- Nie wiem, po co nastraszyłaś Cecile... - ciągnął Japończyk, nie spuszczać z niej wzroku.

- Co?! - wpadła mu w słowo zaskoczona Erna.

Gaku jednak kontynuował:

- ...i nie podoba mi się to, że za bardzo panoszysz się w tym miejscu.

- Słucham?! - Erna uniosła się gwałtownie z krzesła. Czuła, jak wzbiera w niej złość.

- Nie wiem, po co tu jesteś i co zamierzasz zrobić - Gaku Hara wstał równie gwałtownie, zagradzając Ernie wyjście - ale pamiętaj: to, że Gospodarz ci zaufał, nie oznacza, że możesz czuć się bezkarnie. - Nagle zbliżył twarz do jej ucha i wycedził: - Obserwujemy cię...

Erna poczuła się źle. Kolejny grzmot spowodował, że zadrzała. Nagle za plecami usłyszała beztroski śmiech Cindy.

- Chyba nie dałaś się nabrać?! - krzyknęła rozbawiona Walker.

Gaku Hara opadł na krzesło. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, a przynajmniej coś, co miało go przypominać.

- C... co? - wycedziła zdezorientowana Erna.

- Nic - odpowiedział Japończyk. - Zupełnie nic. Taki mały, niewinny żart.

- Spokojnie! - rzekła Walker, wciąż śmiejąc się pod nosem. - Może faktycznie jesteś dziwna, ale nie bardziej niż my, prawda, skarbie? - spojrzała z czułością na Gaku Harę. Ten tylko kiwnął tlenioną głową, po czym zajął się opróżnianiem zawartości swojego kieliszka. - Troszkę nam się tu nudziło... sami, we dwoje... w wielkiej sali. W tle grzmoty, świszczący w kominku wiatr... no i zrodził się w nas wisielczy humorek.

Jednak Erna wciąż czuła się nieswojo i chciała, jak najszybciej stąd wyjść. Dla niej nie było to śmieszne, a Gaku Hara nie wyglądał na kogoś, kto umiałby żartować z czegokolwiek... Nagle drzwi do jadalni się otworzyły. Do środka tanecznym krokiem wtoczyła się Ida Abramova. Mamrotała coś pod nosem, co gdy tylko doszła do stolika, okazało się mocno przerobioną i przyspieszoną wersją urodzinowej piosenki. Spojrzała z pogardą na karafkę i takim samym spojrzeniem

zaszczyciła Gaku i Cindy. Gdy jednak przeniosła wzrok na Ernę, jej twarz przybrała łagodniejszy (choć wciąż pijacki) wyraz.

- Mam nadzieja, że nie piłaś, skarbie, tego świństwa?

Zaskoczona Erna tylko zaprzeczyła ruchem głowy. Ida uniosła brwi, po czym beknęła soczyście.

- Ups - wybelkotała, rozwiewając prawą ręką alkoholowe opary.

Gaku Hara wymamrotał coś z niesmakiem pod nosem, a Erna dałaby sobie uciąć rękę, że było to jakieś japońskie przekleństwo.

- To dobrze, moja droga. Trzymaj się z daleka od tego krowiego łajna czy jak go nazywają... - Ida zamrugnęła kilkakrotnie rzęsami, szukając właściwych danych w pamięci. - Krwisty Buziaczek. - Prychnęła pod nosem z odrazą. - Ponoć dodają do niego prawdziwej z najprawdziwszej krwi dziewicy!

Na tę rewelację Cindy pisnęła pod nosem, a Gaku Hara zacisnął obie dłonie w pięści.

- No nic - rzekła nonszalancko Abramova i gdy już miała odejść, dodała triumfalnie: - Jedno jest pewnością. W Krwistym Buziaczku, i to jest dobra wiadomością, nie ma i nie będzie krwi Cindy Walker!

- Wariatka! - krzyknęła Cindy, gdy tylko Ida Abramova wyszła z sali.

- Może i wariatka... - odparła Erna, również kierując się czym prędzej do wyjścia. Ale co prawda, to prawda - dokończyła już w myślach, przypominając sobie nocne wojaże Walker i grubego Bennetta. Wzdrygnęło ją z obrzydzenia.

Wchodząc po schodach, próbowała przeanalizować sytuację, która właśnie ją spotkała. To było chore, dziwne i... chore! To miejsce jest jednak chore! Po co ona tu jeszcze jest, do cholery?! No tak... nie ma jak dostać się do Ottawy. Utknęła tu... ale jeszcze trochę... Niedługo wyjedzie stąd i wszystko wróci do normy. Jej normy.

Gdy miała wejść do pokoju (wciąż głodna i jeszcze bardziej zła), usłyszała gdzieś z boku znajomy głos:

- Witaj, słodziutka.

Adolfo Patino podszedł do niej chwiejnym krokiem, podpierając się na drewnianej lasce. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Erna znów dostrzegła na jego czole skupisko drobnych kropel potu. Ukradkiem zerknęła na jego prawą dłoń, gdzie spoczywał złoty sygnet. Był dokładnie taki sam jak ten, który znalazła...

- Ach... dzień dobry - odpowiedziała zaskoczona.

- Mam nadzieję, że podobała ci się wycieczka mimo tej okropnej pogody? - spytał Adolfo.

- Chyba przydałby mi się teraz porządny sen - odpowiedziała wymijająco Erna, chcąc znaleźć się jak najszybciej w pokoju.

- Moja droga - zaczął Gospodarz, kładąc jej delikatnie rękę na ramieniu - wiesz, że mamy zakaz wychodzenia na zewnątrz? Ostatnie wydarzenia spowodowały, że nasi goście poczuli się zagrożeni. Nie chciałbym, aby ktoś stracił do ciebie zaufanie.

Kończąc ostatnie zdanie, zacisnął mocniej rękę na ramieniu Erny. Jednak nie w sposób bolesny, a raczej zdecydowany i władczy, dając jej do zrozumienia, że musi przestrzegać panujących tu zasad. Dziewczyna przełknęła ślinę.

- Rozumiem - odpowiedziała.

Gospodarz uśmiechnął się, po czym oswobodził jej ramię z uścisku.

- Pamiętaj, że za pół godziny kolacja.

- Dziękuję, ale... nie jestem głodna - odpowiedziała Erna. - Dziś pójdę wcześniej spać. Przepraszam. Jestem zmęczona.

Adolfo wzruszył ramionami i odetchnął głęboko.

- No dobrze. W takim razie spokojnych snów - odrzekł ze smutkiem w głosie, po czym udał się powolnym krokiem w stronę schodów. - Ale pamiętaj, słodziutka - rzucił jeszcze w jej kierunku, zatrzymując się na chwilę w połowie drogi - gdybyś zgłodniała, to wiesz gdzie nas szukać. Przynajmniej... do dwudziestej drugiej. Tak... myślę, że do tej godziny będziemy ucztować. - Pokiwał głową, utwierdzając się w swoich obliczeniach

- Panie Patino! - krzyknęła w jego stronę Erna.

Staruszek ponownie się zatrzymał, tym razem tuż nad pierwszym schodkiem. Wychylił się zza ściany, spoglądając w jej stronę wyczekująco.

- Czy wie pan, do kogo należał wcześniej ten hotel?

Gospodarz przyglądał się jej przez chwilę, po czym wydał wargi i odpowiedział tylko:

- Niestety nie.

Erna zamknęła za sobą drzwi sypialni. W głowie słyszała tylko jedno: Kłamca! Kłamca! Kłamca!

Ostatkami sił przeprała w ręku swoje ubrania. Mokre, lecz w miarę odciśnięte rzeczy, pachnące sztuczną wanilią mydła w płynie, rozwiesiła na krześle pod oknem. Burza nie dawała o sobie zapomnieć. Wiatr co jakiś czas szarpał okiennicami i wył niczym ujadający z bólu pies. W gardle wciąż ją szczypało. Podeszła do kranu w łazience i puściła wodę. Poczekala, aż żółty kolor zmieni barwę na mleczną. Nabrała wody w dłonie i zaczerpnęła łąpczywie kilka sporych łyków. O dziwo, woda nie smakowała źle. Była więc nadzieja, że nie nabawi się rozwolnienia. Wreszcie zanurzyła swoje wychłodzone ciało pod kołdrę. Wiedziała, że szybko zaśnie. Kilkoma zwinnymi ruchami zawinęła się w kokon. Z jej głowy wciąż nie znikał głos, który krzyczał: Kłamca! Kłamca! Kłamca!

Gdy budzi cię w nocy dziwny dźwięk, masz nadzieję, że to pies. Gdy zdajesz sobie sprawę, że nie masz psa ani nawet kota, możesz jeszcze obstawiać żółwia. Jednak gdy wreszcie całkowicie się przebudzisz i stwierdzisz, że nigdy w życiu nie chciałbyś mieć żółwia ani żadnego innego zwierzęcia, to wtedy... wtedy robi się strasznie.

Erna już się ocknęła. Obudziła się na tyle, żeby stwierdzić, że dziwne skrobanie to nie żaden cholerny żółw. Był środek nocy. Zapaliła nocną lampkę. Spojrzała na delbanę oplatającą jej szczupły nadgarstek. Zegarek wskazywał drugą dwadzieścia dwie. Przetarła zaspane oczy. Próbowwała zlokalizować dźwięk, który wyrwał ją ze snu. Skrobanie dochodziło z naprzeciwka. Gdzieś z okolicy szafy...

- Sammy? - wyszeptała, myśląc, że chłopczyk znów ją odwiedził.

Jednak Sammy robił to inaczej. Sammy nie skrobał, a to, co słyszała, brzmiało jak skrobanie. Erna ostrożnie wstała z łóżka i podeszła do mebla. Może to mysz?! - pomyślała i poczuła, jak zimny pot oblewa jej plecy. Potężna fala wstrętu wzdrygnęła jej jeszcze nierozciągniętym ciałem. Nienawidziła myszy... nienawidziła myszy i szczurów. Nienawidziła ich bardziej od duchów! Taka była prawda. Erna ponownie znieruchomiała, nasłuchując. Dziwne... - pomyślała. Skrobanie dochodziło gdzieś z góry, na wysokości jej twarzy. To nie mogła być mysz... przytknęła ucho do ściany. Od razu do jej głowy wdarł się wyraźny chrobot. Teraz była pewna! Ktoś drapał w ścianę! Ktoś lub... przełknęła ślinę i gwałtownie odsunęła się do tyłu, uderzając z łoskotem nogą o bok szafy.

- ...lub coś! - syknęła z bólu, przez chwilę podskakując na jednej nodze. Nagle skrobanie ucichło. Erna zamarła. Mijały sekundy, pierwsza minuta... nic już nie było słychać. Skończyło się. Ot tak. Spoglądając nieufnie na ścianę, postanowiła w końcu położyć się z powrotem do łóżka. Zerkąła na nią niepewnie cały czas, a dokładnie do momentu, gdy znów zasnęła.

Rozdział 8

Nocne koszmary nawiedzały ją często. W domu dziecka, podczas studiów, a także przez cały czas wykonywania zawodu, który według wielu zawodem nazywany być nie powinien. W tym miejscu jednak, w tym dziwnym budynku, mroczne sny były inne niż wcześniej. Bardziej rzeczywiste? Jakby prawdziwe? Będące wskazówką? Erna zanurzyła twarz w chłodnej wodzie, którą zebrała w dłoniach. Poczowała, jak jej skóra się napina. Uniosła głowę, spojrzała w stare lustro wiszące nad umywalką i w swoje poranne odbicie.

Koszmar, który nawiedził ją tej nocy, był niesamowicie realny. Dawno nie wyrwała się ze snu, krzycząc. Przez chwilę było jej wstyd. Zakłopotana, zapaliła nocną lampkę i omiotła wzrokiem swój pokój, upewniając się, że jest sama i nikt postronny nie widział jej w tak żenującej sytuacji. Nikogo oczywiście nie było. Była tylko ona i wspomnienie mrocznego snu. Wtedy też poczuła pieczenie na lewym nadgarstku. Spojrzała na niego i... Kilka godzin leżała w łóżku przy zapalonym świetle. Nie mogła spać. Sceny z kosmaru, które z czasem zamieniały się w skrawki wspomnień, wciąż nie opuszczały jej głowy. Próbowwała je ze sobą posklejać. Te wspomnienia... te skrawki, które jeszcze zostały.

Były schody. Schody w hotelu Hommanger. Było też jego wnętrze, dokładnie takie jak teraz. Obskurne, zaniedbane, choć bardziej śmierdzące stęchlizną. Stała u dołu schodów. Ktoś z góry ją wołał. Tak bardzo znajome głosy... tak jej bliskie...

- *Erna... Erna... Podążaj za nami...* - mówiły do niej z góry, zachęcając, aby rozpoczęła wspinaczkę.

- Bobby?! - krzyknęła, choć była pewna, że to głos jej przyjaciela. Uniosła nogę i bez zastanowienia, za jednym razem, pokonała pierwsze stopnie schodów.

- *Jesteśmy twoim kierunkiem... Erna...* - Tym razem to nie był Bobby.

Erna przystanąła, wsłuchując się w wyższy, chłopięcy głos.

- Sammy! - zawołała nagle. Poczwała, jak jej serce zalewa fala ciepła. Chciała iść do nich. Czwała, że musi to zrobić. - Bobby! Sammy! - krzyknęła teraz głośniej, jednocześnie wspinając się w górę. Nagle zimny powiew wiatru zaatakował jej ciało. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Czwała, jak kurczą się jej płuca. Tak trudno było jej złapać oddech. Przytrzymała się drewnianej poręczy i jak ryba wyrzucona na brzeg walczyła o każdą dawkę tlenu.

- *Erna... Idź dalej...* - usłyszała głos przyjaciela. W tym samym momencie zrobiło się cieplej. Chłód uciekł gdzieś, a ona, czując, że znów może normalnie oddychać, ruszyła do przodu.

Niespodziewanie zakołysała się na boki. Zaciśnęła mocniej dłoń na poręczy, ratując się w ten sposób przed upadkiem. Gdzieś z prawej strony dobiegł ją odgłos ryczącego lwa. Był chrapliwy, gardłowy i niezbyt przyjazny. Instynktownie spojrzała w bok. Stała teraz dokładnie naprzeciwko obrazów Tycjana. Ponownie głowę Erny przeszył, tym razem głośniejszy, lwi ryk. Jej ciało oblał zimny pot. Oparta dwiema dłońmi o poręcz, znajdującą się teraz za jej plecami, pochyliła głowę w stronę obrazu, którego nazwę dobrze zapamiętała.

- *Alegoria Mądrości...* - wyszeptała, skupiając wzrok na jego dolnej, centralnej części. Dokładnie w miejscu, w którym znajdowały się trzy zwierzęce głowy: wilk, lew i pies. Z góry wciąż słyszała głos przyjaciela, jednak to malowidło ją przyciągało. Teraz jej nos niemal stykał się z płótnem. Wtem nastała cisza. Nikt nie krzyczał, nikt nie wołał i nie ryczał. Tylko ona i obraz...

- *Erna... Idź do nas... nie poddawaj się...* - zawołał mały Sammy.

Ale ona nie mogła oderwać wzroku od obrazu. Przyciągał ją... pochłaniał... czwała, jak staje się jego częścią... Lew ponownie zaryczał, skutecznie tłumiąc słowa jej przyjaciół. Zawtórowało mu wycie wilka i ujadanie psa. Erna zeszywniała. Nagle uświadomiła sobie, że w obrazie coś się zmieniło, że zamiast lwiej głowy...

spogląda na swoją twarz. To była ona... jej głowa w centralnym miejscu, a po bokach dwie inne ludzkie twarze, które znała. Próbowwała im się przyjrzeć, ale przychodziło jej to z trudem. Powietrze raz po raz wypełniało się odgłosami trzech zwierząt, których wizerunki jeszcze niedawno były na płótnie. Były wszędzie. Za nią, obok niej, nad nią i przed nią, choć patrząc na wprost, Erna ich już nie widziała. Zamiast tego przyglądała się nowym twarzom na obrazie...

- Kim jesteście...? - wyszeptała i wtedy przez dzikie ujadanie zwierząt przebił się donośny głos jej przyjaciela.

- *Erna! NIE PODDAWAJ SIĘ!*

To ją otrzeźwiło. Wyrwało z transu. Wzdrygnęła się nagle, jakby w jej ciało strzelił piorun. Łapczywie nabrała powietrza w płuca. Zerknęła na obraz. Wyglądał tak jak w oryginale. Nie było tam jej podobizny ani znajomych twarzy. Płótno znów zdołało głowy zwierząt.

- *Erna... Idź dalej...* - usłyszała z góry głos Sammy'ego.

Wiedziała, że musi wspiąć się wyżej. To, co przed chwilą się stało, było złe. Coś chciało ją pochłonąć... coś chciało ją zatrzymać... zmanipulować... a ona przecież... musiała wejść na górę! Jednak gdy tylko chciała ruszyć dalej, potężny chłodny powiew wiatru uderzył w jej plecy. Runęła bezwładnie na schody. W ostatniej chwili zdołała osłonić ręką swoją głowę. Leżąc, przekręciła się na plecy i spojrzała w dół. Ona tam stała... była tam i zmierzała w jej stronę. Erna nie mogła przełknąć śliny. Nie mogła krzyczeć. Znieruchomiała. Mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa. Zjawa znów chciała ją dopaść. Kolejny raz usłyszała dobrze znany jej skowyt... nieludzki jęk, który mroził krew w żyłach. Był coraz bliżej i coraz boleśniej atakował jej uszy. Wiedziała, że musi uciekać. Wiedziała, że ratunek znajdzie na górze, ale... nie mogła nic zrobić. Coś ją paraliżowało. Za czarną zjawą dostrzegła trzy kreatury kroczące na czterech łapach... Skowyt wilka, ujadanie psa i potężny lwi ryk zgrały się idealnie z przeraźliwym wyciem mrocznej zjawy.

- W... wiem... - wydusiła z siebie Erna - ...wiem, kim jesteś! - krzyknęła w końcu.

Zjawa nie zareagowała. Wciąż zbliżała się w jej kierunku z kroczącymi u jej boku sługami. Jej puste oczodoły wyłaniające się spod czarnego kaptura były coraz bliżej.

- Andreas Wesaliusz!!! - wrzasnęła z całych sił, instynktownie ściskając w kieszeni spodni złoty sygnet.

Zmora stała właśnie tuż przy jej nogach... i wtedy wszystko potoczyło się szybko. Koścista dłoń, która w ułamku sekundy wyłoniła się spod czarnego jak smoła rękawa, zacisnęła trupie palce na jej lewej ręce. Ręce, której dłoń ukryta była w bocznej kieszeni spodni. Zmora pochyliła się nad nią i wydawało się, że jej puste oczodoły oraz rozwarta szeroko szczeka z pełnym uzębieniem za chwilę ją wchłoną. Erna zaczęła wrzeszczeć, mocniej zaciskając palce na złotym sygnecie. Wokół niej krążyły odgłosy zwierząt. Dzikich, bezwzględnych i mrocznych jak sama zmora.

- *Erna!* - zdołała usłyszeć donośny głos Bobby'ego. - *WSTAŃ!*

I wtedy się obudziła, krzycząc i miotając się na wszystkie strony.

Dochodziła godzina dziewiąta, a ona od dobrych pięciu godzin nie mogła zmusić się do snu. Oderwała rękę od zimnej umywalki i spojrzała na nadgarstek. Wciąż widniał na nim czarno-siny ślad szponów. Czy sny mogą być aż tak realne? - spytała samą siebie. Spojrzała raz jeszcze w swoje odbicie. Wilgotna twarz prócz podkrążonych oczu prezentowała się całkiem dobrze. Musiała coś zjeść i wypić solidną porcję mocnej kawy. Wtedy będzie lepiej. Wówczas bez problemu wytrwa do wieczora, jutro zostanie na tym ich świętym obiedzie czy bogowie tego świata wiedzą, jak to się nazywa, i... niedługo wróci do pracy. Z taką myślą Erna dołączyła kilka minut później do reszty gości zebranych jak co dzień w jadalni.

Od momentu, gdy salon został zaatakowany przez ogromne drzewo, ich przestrzeń do spędzania czasu po posiłkach ograniczała się do jadalni (oczywiście wtedy i tylko wtedy, gdy Stefan Kruger zrobił już w niej porządek), korytarzy i prywatnych pokoi. Ernie to

odpowiadało. Nie była osobą szczególnie towarzyską. Jednak dziś postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej o tym miejscu, co niestety prowadziło do tego, że jakieś kontakty będzie musiała zawrzeć. Najbardziej przychylną jej osobą była Ida Abramova i to ją właśnie Erna postanowiła wypytać o Gospodarza. Wciąż nie dawała jej spokoju jedna rzecz. Adolfo Patino ją okłamał. Nie mógł nie wiedzieć, do kogo wcześniej należał ten hotel. Tylko dlaczego to zrobił? Może nie kryła się za tym jakaś wielka tajemnica? Może po prostu nie chciał powiedzieć? Mimo to Erna postanowiła, że zabawi się w detektywa, bo co innego miała do roboty?

Realizując swój niecny plan, ruszyła za Rosjanką, gdy tylko ta wstała chwiejnym krokiem od stołu. Erna czuła, że jest obserwowana. Czuła na sobie spojrzenie Adolfo Patino przeszywające jej plecy. Zanim wyszła, odwróciła się w jego stronę. Przeczucie jej nie myliło. Gospodarz rzeczywiście spoglądał na nią badawczo. Gdy tylko Erna utkwiała w nim wzrok, uśmiechnął się jak gdyby nigdy nic i z wolna pomachał jej ręką na pożegnanie. Erna odwzajemniła niechętnie uśmiech i czym prędzej zniknęła za drzwiami. Dogonienie na schodach lekko wstawionej Idy nie było trudnym wyczynem. Prawdę mówiąc, Erna dorwała ją jeszcze przed schodami.

- Hej! - zagadała do jej pleców.

- ...houu - odpowiedziała jej Ida, nie odwracając się.

- Tak sobie myślę - zaczęła Erna, ścisząc głos - czy może nie wypłybyśmy razem kilku Drinków Pokojowych?

Po tych słowach Abramova zaszczyciła ją wreszcie swoim spojrzeniem.

- Na Drinka Pokojowego zawsze jestem pogodowa! - oświadczyła poważnym tonem Rosjanka.

Erna wyczytała z jej oddechu, że pokoju musiała już tego dnia zaznać. To jednak dobrze. Nie od dziś wiadomo, że wstawieni ludzie są bardziej skorzy do wyjawiania informacji.

- To... za godzinę? U ciebie? - zaproponowała Erna, chcąc mieć jeszcze trochę czasu na wzięcie ciepłego prysznica.

Abramowa zamruwała kilkakrotnie długimi sztucznymi rzęsami i odpowiedziała krótko:

- *Da.*

Erna Brown weszła do swojego pokoju i usiadła na skraju łóżka. Podciągnęła rękaw koszuli i zerknęła na nadgarstek. Ślad zniknął. Pozostało tylko lekkie zaczerwienienie. Odetchnęła z ulgą. Musiała jednak skorzystać z wanny. Wciąż bowiem czuła śmiertelny dotyk tego czegoś. Wspomnienie wróciło. Lęk, który nagle pojawił się w jej głowie, spowodował, że jej serce zaczęło szybciej bić, a dłonie obficie się pocić. Tylko jedna rzecz mogła ją uspokoić.

Erna schyliła się po granatowy plecak i po chwili wyjęła z niego czarnego glocka. Nie odbezpieczyła go. Nie musiała. Sam widok pistoletu stopniowo ją uspokajał. Jego zimna struktura i ciężar sprawiły, że znów poczuła w sobie moc. Odetchnęła głęboko. Odprężyła się. Odłożyła glocka na nocną szafkę. Dopiero teraz przypomniało jej się coś jeszcze. Coś, co wydarzyło się w nocy przed koszmarem. Spojrzała nieufnie w stronę przeciwległej ściany. To drapanie... co to, do cholery, było? Czy dobiegało z pokoju tego dziwnego księdza? Mogła go zapytać przy śniadaniu. Mogła, gdyby ksiądz się na nim pojawił. Jednak wspólne posiłki z księdzem należały do rzadkości. A może to skrobanie też jej się śniło? Już sama nie była pewna... Traciła zmysły? Instynktownie zerknęła w stronę nocnej szafki. Wszystko w porządku - uspokoiła samą siebie. W końcu zwlekła się z łóżka i zniknęła za niedomkniętymi drzwiami łazienki.

Woda wylewająca się ciepłym strumieniem z pordzewiałej słuchawki potrafi skutecznie zagłuszyć kroki nieproszonego gościa. Co więcej, błogość, jaką ze sobą niesie, ślizgając się po nagim ciele, relaksuje na tyle, że poddajemy się jej bez granic i ulegamy jej namowom do zamknięcia oczu. Gdy Erna, omamiona podstępą wodą, kuciała w żeliwnej wannie, przybierając pozę bezbronnego, skulonego dziecka, a pod zamkniętymi powiekami widziała tylko żółto-pomarańczowe rozbłyski czegoś, co można porównać do wewnętrznego światła (które z pewnością posiada każda żywa istota),

ktoś właśnie przysiadł na jej łóżku i z zainteresowaniem przyglądał się przyjacielowi, którego zostawiła na nocnej szafce. Po chwili nieproszony gość bez pytania wziął go w dłonie. Z ciekawością i zdziwieniem obracał czarnego i zimnego glocka w rękach. Trwało to dłuższą chwilę, nim intruz dostrzegł, że na szafce znajduje się coś jeszcze... Coś o wiele ciekawszego...

- Co ty tu robisz?! - krzyknęła Erna, gdy niczego się nie spodziewając, wyszła naga z łazienki. Z jej rozgrzanej i jeszcze wilgotnej skóry unosiła się para. Zdenerwowana, podeszła do nieproszonego gościa siedzącego na skraju łóżka i wyrwała z jego dłoni glocka. - Jak tu weszłaś?! - warknęła, cofając się. Jej nagie plecy przywarły do zimnej futryny łazienkowych drzwi. Nie chciała tego robić, ale instynkt podpowiadał jej, żeby trzymać intruza na muszce. Nieproszony gość nie odpowiedział. Erna machnęła przed sobą lufą pistoletu. - JAK-TU-WESZŁAŚ! - powtórzyła, dokładnie i głośno wypowiadając każde słowo.

- Normalnie... - odpowiedział intruz, wywracając teatralnie oczami. - Drzwiami - dodał, wskazując przed siebie palcem.

Erna spojrzała szybko we wskazane miejsce i chwilę trwało, zanim dotarło do niej, że zapomniała o czymś bardzo ważnym... Szybko doskoczyła do drzwi, nie spuszczając intruza z oczu, i zerknęła na zamek. Czy to możliwe, że - pomyślała zdziwiona, po czym podeszła do łóżka, wciąż celując glockiem w intruza. Chwyciła za jeansy rozłożone na kremowej pościeli i wsunęła rękę do bocznej kieszonki. Po chwili wyjęła z niej klucz. JAK MOGŁA NIE PAMIĘTAĆ, ŻEBY ZAMKNAĆ ZA SOBĄ DRZWI! - krzyknęła do siebie w myślach. - IDIOTKA! TOTALNA IDIOTKA!

- Ekhm... - usłyszała gdzieś obok. - Mnie to nie przeszkodzi. Widok pierwsza klasa, ale widząc twoje soski, chyba zaczyna być ci zmarzliwie.

Erna nie wiedziała, co to soski, ale idąc tropem spojrzenia nieproszonego gościa, domyśliła się, że chodzi o sutki... Speszyła się, a jej twarz oblał rumieniec, doskonale podkreślając to, że czuje się

w tej chwili niezbyt komfortowo. Musiała się ubrać, najpierw jednak... Ucząc się na błędach, ponownie doskoczyła do drzwi wyjściowych i tym razem zamknęła je na klucz.

- Chyba będziemy musiały porozmawiać - rzuciła poważnym tonem, kierując się w stronę nieproszonego gościa.

- *Da*. Sama zaprosiłaś na Drinka Pokojowego - odpowiedziała urażona Ida Abramova, wyciągając zza pleców dwie butelki z pewnością nie wody.

Erna najpierw się zastanowiła, czy aby na pewno umawiały się na spotkanie w jej pokoju, i była pewna, że nie. Wreszcie stwierdziła, że nie ma sensu celować w na wpół upitą już Abramovą, która nie stanowiła żadnego zagrożenia. Przynajmniej na razie, dopóki stąd nie wyszła...

- To może zrobimy party rozbiorowe? - spytała nagle Rosjanka i ku zaskoczeniu Erny przystąpiła do ściągania swojej sukienki. Na szczęście szło jej to dość niezdarnie.

- Nie, nie, nie! - zaprotestowała stanowczym tonem Erna i czym prędzej zaczęła wkładać na siebie swoje ubrania.

Na twarzy Idy na chwilę pojawił się zawód, szybko jednak ukoila go szklanką Drinka Pokojowego, którą wyczarowała nie wiadomo skąd, choć na pewno nie z kapelusza.

- Chyba zobaczyłaś coś, czego nie powinnaś - powiedziała z wypracowanym spokojem Erna, gdy wreszcie, ubrana, zasiadła obok Idy.

Rosjanka spojrzała jej głęboko w oczy, po czym (znów to zrobiła!) wyczarowała drugą szklankę i wypełniwszy ją wódką, podała Ernie.

- Tak się składa, że ty też - odrzekła.

- Ja? - zdziwiła się Erna. - Niby co takiego?

- No wiesz... - Ida pochyliła głowę bliżej Erny i prawie wyszeptała - ...wiesz, że przemyciłam tu niezłą ilość alkoholu.

- Serio?! - podniosła głos Erna, gwałtownie odsuwając się od Rosjanki. - Czy naprawdę uważasz, że posiadanie broni i alkoholu

w miejscu, gdzie jest to zakazane, można traktować na równi?! - dodała zirytowana.

- *Da* - odpowiedziała Ida z przekonaniem i gdy Erna już chciała przejść do kolejnego ataku i podkreślić, że Ida znalazła się w nieodpowiednim miejscu i czasie (choć przez ułamek sekundy pomyślała, że to świetne określenie dla niej samej), Rosjanka dodała: - Posiadanie bronia jest jak posiadanie noża w kuchni. Tym się zabije i tym się zabije. Nie obchodzi mnie, czy masz noża do chleba czy bronia. Pewność jest jednak taka. Nie można tu mieć bronia. - Ida wskazała długim, ozłoconym palcem na glocka, który znów spoczywał na nocnej szafce. - Nie można mieć też swojego alkoholu! - Tym razem Rosjanka uniosła w geście toastu na wpół opróżnioną szklankę z Drinkiem Pokojowym. - Ja tu jestem degeneracją i ty tu jesteś degeneracją, a dwie degeneracje muszą się okryć!

- Chyba... kryć - poprawiła ją Erna.

- *Da* - potwierdziła Ida, po czym stuknęła swoją szklanką o szklankę, którą Erna ścisnęła teraz kurczowo w obu dłoniach.

Gdy głuchy odgłos szkła ucichł, Erna powiedziała:

- A może jestem psychopatką? Może was wszystkich powybijam przy użyciu tego pistoletu?! Nie boisz się?!

Ida wybałuszyła szeroko oczy i rozwarła usta w geście niemego krzyku, po czym zachichotała pod nosem niczym mała, zadziorna dziewczynka.

- Mój motyle. Bardziej obawiam się Krugerstaina, że nas pozabija swoim kuchennym tasakiem. Gdybyś miała objawa psychopatyzmu, to już dawno zastrzeliłabyś tu nas wszystkich. A pierwsza padłaby Cindy Walker... a jej mózg ozdobiłby ścianę w jadalni... - rozmarzyła się, wyraźnie odpływając myślami, Ida Abramova.

- Nie wiem, czy mogę ci zaufać... czy... czy nikomu nie powiesz, co tu znalazłaś.

- Daję ci mojego słowa - odparła bez namysłu Ida, powracając do rzeczywistości. - Tak jak ty mi dajesz swojego słowa, że moje alkohole to moja sprawa. - Spojrzała wyczekująco na Ernę.

- No dobrze - odpowiedziała po chwili namysłu Erna. - Ale pamiętaj, jeśli komuś powiesz... alkohol cię nie zabije, ale mój glock już tak. - Nie chciała grozić Abramovej. Podświadomie czuła, że Rosjanka jest niegroźna i całkowicie nieszkodliwa. Nie mogła jednak ryzykować.

- O stokrotku! - zachichotała Ida.

Erna zmarszczyła brwi. Nie takiej reakcji się spodziewała.

- Uwierz, że nigdy nie zaryzykowałabym spotkania z twoją zabawką! Tego temata uważam za zamkniętego. Lepiej mi powiedz, mój motyle, co to za okropność zardzewiała tu leży?

Erna wiedziała, że nie może powiedzieć Rosjance wszystkiego. Po pierwsze wzięłaby ją za dziwoląga, po drugie - niekoniecznie chciała się z nią dzielić swoimi przeżyciami, a po trzecie - doszła do wniosku, że wcale a wcale nie musi opowiadać jej wszystkiego na temat zardzewiałej szkatułki. Była to jednak dobra okazja, aby dowiedzieć się czegoś więcej o samym Gospodarzu.

- Naprawdę leżała w szafie? - zdziwiła się Ida, obracając zamkniętą puszkę w dłoniach. - U mnie takich skarbów nie było - dodała wyraźnie zawiedziona.

- Serio - skłamała Erna, upijając spory łyk wódki.

Pokrótce opowiedziała Rosjance, co to za puszka i skąd się tu wzięła. Nagle skrzywiła się, przez chwilę czując gorycz na języku. Ida, zaciekawiona zardzewiałym przedmiotem, uniosła jego wieko i zajrzała do środka.

- Fuj. - Skrzywiła się, spoglądając na metalową protezę. - Czyli w środku było to coś i stara fotografia?

- Tak - skłamała ponownie Erna, myśląc o sygnecie spoczywającym w bocznej kieszeni jeansów.

Ida wyciągnęła zdjęcie i z zainteresowaniem zaczęła je studiować pod światłem wydobywającym się z nocnej lampki.

- Wiesz, kto się na nim znajduje? - spytała Erna, choć domyślała się odpowiedzi.

Ida kilka razy omiotła wzrokiem czarno-białe twarze, po czym pokręciła przecząco głową.

- A ty? - spytała po chwili Rosjanka, nie odrywając oczu od zdjęcia.

- Wydaje mi się... Jestem tego pewna, że na zdjęciu są dawni właściciele tego budynku. W czasach, kiedy jeszcze był prawdziwym hotelem.

- „Hotel Hommanger” - przeczytała napis znajdujący się na fotografii Ida. - „Rodzina Cavalcanti, tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć” - dokończyła.

- Myślisz, że Adolfo Patino ich znał?

- *Ja nie znaju...* Nie wiem... A ty wiesz?

Erna zastanawiała się teraz, czy jest sens mówienia Idzie czegokolwiek. Była jednak jedyną osobą w tym miejscu, której mogła cokolwiek powiedzieć, a to, co ją tu spotkało, nie dawało jej spokoju. Do tego wszystkiego Gospodarz ją okłamał i musiał mieć w tym jakiś cel. Dlaczego nie powiedział jej prawdy?

- Popatrz... - odparła Erna, wskazując palcem na małego chłopca na fotografii. - Wydaje mi się, że jest to Sammy. Chłopiec z nagrobka... - Na te słowa Ida wyraźnie pobladła. - Znaczy nie nagrobka chłopca, ale jego palca! - Twarz Idy wyrażała kompletne zagubienie. Erna westchnęła głęboko. - Chodzi o to - odrzekła po chwili - że na tyłach hotelu znajduje się nagrobek. Napisane jest na nim: „Tu spoczywa palec Sammy’ego”. Rozumiesz?

Ida zatrzepotała rzęsami. Spojrzała w głąb szkatułki, a dokładnie na metalową protezę i ponownie na zdjęcie. Erna była pewna, że szare komórki Rosjanki naprowadziły ją na dobry tok myślenia.

- No więc ten chłopczyk - Erna ponownie wskazała palcem na zdjęcie - myślę, że to właśnie jest mały Sammy, z tym że tu ma jeszcze swój świętej pamięci palec. Mężczyzna i kobieta obok to, jak nietrudno się domyślić, jego rodzice.

- Ale... - zaczęła Ida. Coś przyszło jej na myśl. Nagła wątpliwość załamała jej umysł niczym Drink Pokojowy ciało. - Ale - powtórzyła, nie chcąc stracić wątku - skąd ta pewność, że Sammy to nie ten

dorośli? Może ten grobek ma więcej років! Może to być on. Ten duży. Może?

Erna znała odpowiedź.

- Nie może - stwierdziła z przekonaniem. - Chodzi o to, że... choć to wyda się dość nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności - uprzedziła Rosjankę, kontynuując - znałam osobiście Samuela Cavalcantiego. Był moim profesorem, gdy studiowałam medycynę. Zresztą, jak się okazało, Samuela znał także nie kto inny jak sam Adolfo Patino.

- Jak to? - odparła zdziwiona Ida. - Skąd to wiesz?

- Kiedy przez przypadek trafiłam do was kilka dni temu, odbyłam w salonie ciekawą rozmowę z Gospodarzem. Głównym tematem była medycyna i to właśnie wtedy okazało się, że Adolfo Patino znał mojego profesora.

- To jest duża zbiega okolicznościowa... olbrzymia... przegigantycznościowa! - stwierdziła głośno Abramova i korzystając z okazji, upiła kilka łyków z prawie pustej już szklanki.

- Też tak sędzę. Jednak, jak to mówią, świat jest mały i czasem takie zbiegi okoliczności nas spotykają. Wracając do tematu... - Tym razem to Erna wzięła duży łyk Drinka Pokojowego. Odetchnęła głęboko i stwierdziła, że już prawie nie czuje tej specyficznej goryczy na języku. - ...patrzac na zdjęcie, na datę i na to, że znałam choć trochę Samuela Cavalcantiego, stwierdzam, że ten mały chłopczyk ze zdjęcia to właśnie on!

- Brawo! - krzyknęła Ida, wznosząc toast. - Wygrałaś! - dodała. Tym razem obie synchronicznie upiły ze szklanek sporą ilość alkoholu.

- Ale teraz najważniejsze! - Erna zniżyła głos, czując, że zaraz wyjawia coś bardzo niewygodnego. Niezwykłego, mrocznego i być może prowadzącego do wielkiej tajemnicy! W rzeczywistości jej rozum, choć trochę już upity, wiedział, że prawdopodobnie nie kryje się za tym nic nadzwyczajnego, a ona z nudów zaczęła zabawę w Sherlocka Holmesa. - Gdy spytałam dziś Gospodarza, czy wie, kim

byli poprzedni właściciele tego hotelu, to odpowiedział, że...? – Erna spojrzała wymownie na Idę.

– *Ja nie znaju...* – odrzekła Abramowa i choć nie zdawała sobie z tego sprawy, to trafiła idealnie.

– Tak! Dokładnie, powiedział tak, jak ty! Adolfo Patino skłamał, mówiąc, że nie wie, kim byli poprzedni właściciele! Nie wiedział, że jego drogi przyjaciel Samuel Cavalcanti mieszkał tu kiedyś ze swoją rodziną? Czy to nie zastanawiające?!

– *Da* – odpowiedziała krótko Ida. – I jakie wyniki z tego będą?

Erna przyglądała się jej przez chwilę, po czym omiotła wzrokiem cały pokój. Spojrzała na otwartą zardzewiałą szkatułkę, na szafę, na swojego glocka, który teraz odpoczywał jak gdyby nigdy nic na szafce nocnej... Spojrzała za okno, gdzie szalał wiatr, a błyskawice raz po raz przecinały niebo jasnym światłem. Na ścianę, gdzie drzewa rzucały złowrogie cienie i... uświadomiła sobie, że nie ma kompletnie pojęcia, po co jej to wszystko. Zrezygnowana, wzruszyła obojętnie ramionami.

– Pojawiłaś się w hotelu, jak dziś ja w twoim pokoju. Nieproszona gościa. Dużo się dowiedziałaś i dobra robota, bo co tu robić, jak tylko pić i żyć. Dziś jednak powiem ci, żebyś już lepiej dała spokoja i dalej nic nie poszukiwała. – Ida Abramowa z trudem uniosła się z łóżka i opuściła sukienkę, która podwinęła się jej prawie pod samą pupę.

Erna spojrzała na nią zdziwiona.

– Jak to? – spytała.

Ida chwyciła za pustą już szklankę i ruszyła w stronę drzwi wyjściowych.

– Jeśli spotykasz na swojej drodze ludzka, który cię okłamuje w małych rzeczach, to wiedz, że taki ktoś może mieć tajemnica, którą lepiej nie wiedzieć. – Ida postukała butelką o drzwi, dodając: – A teraz pozwól, motyle mój, że udam się na chwilowego odpoczynka. Twoje tajemniczości są moimi tajemniczościami.

Upijanie się zaraz po śniadaniu nie należało do codziennych rytuałów Erny Brown. Prawdę mówiąc, w swoim codziennym życiu daleka była od głębokiego stanu nietrzeźwości. Zazwyczaj pozwalała sobie na

kilka lagerów w wolny weekend. Mocniejsze alkohole po prostu nie były w jej stylu. Nie pasowały do niej, tak jak piwo nie pasowałoby w żaden sposób do Idy Abramovej. Leżąc na łóżku, w oparach niepasującego do niej alkoholu, Erna zaczęła czuć braki. Brakowało jej przyjaciela Bobby'ego, brakowało pracy, a nawet budzącego postrach szefa. Brakowało Suzi - jej motoryzacyjnej kruszynki. Brakowało adrenaliny, którą miała na co dzień, żyjąc z dnia na dzień i za szybko, aby oglądać się do tyłu. Gdyby to zrobiła, wiatr przeszłości oderwałby jej głowę, a wtedy... Nie potrafiłaby się poskładać... nie wiedziałaby, co ze sobą zrobić.

Na początku myślała, że pobyt tutaj to świetny pomysł. Dawno nie zaznała takiego spokoju okraszonego dużą dawką nudy i codzienności. Teraz jednak zatęskniła za brakami, które codziennie podtrzymywały ją przy życiu. Przez chwilę zastanowiła się nad tym wszystkim, co ją tu spotkało. Zjawy, duch małego chłopca, głos Bobby'ego, lunatykowanie w nocy i ta cholerna zjawia. Do programu codziennych wrażeń musi zaliczyć także to całe dziwne towarzystwo z samym Gospodarzem na czele i biegnącym tuż za jego plecami Kucharzem, niejakim „Krugerstainem” (jak go nazwała Ida Abramova). Może przez tę nudę jej umysł sam zaczął wytwarzać te dziwne zjawiska? Może sama, wśród dopiero co poznanych ludzi, doszukuje się odchyłeń, które nakręcają ją do działania i poszukiwania jakiejś niewygodnej prawdy? No właśnie... - Erna prychnęła pod nosem. Tylko jakiej prawdy?! Oczywiście mogłaby spytać bezpośrednio Gospodarza, dlaczego skłamał, ale... była tylko niespodziewanym gościem, a do końca wyjazdu zostały jej już niecałe dwa dni. Czuła w głowie wielką pustkę. Brakowało jej odpowiedzi, której nie udzieliliby nawet dobry wujek Google. Mroki pokoju rozproszyły się wraz z kolejnym piorunem. Grzmot zatrzęsł okiennicami. Leżała i rozmyślała. Uniosła ręce i spojrzała na swoje dłonie. Czas przeleciał jej przez palce.

Do czasu obiadu zdołała wytrzeźwieć. W głowie nie miała już karuzeli, a jedynie papierowy wiatraczek, który tylko co jakiś czas kręcił

delikatnie swoimi łopatkami. Jak w czasie każdego posiłku w tym miejscu stół był suto zastawiony i kusił bogatymi potrawami. Erna zjawiała się ostatnia, co nie umknęło uwadze żadnego z zebranych w jadalni gości. Ich spojrzenia odprowadziły ją na puste miejsce. Dopiero gdy zasiadła na krześle, jak na znak wszyscy ponownie zaczęli jeść, dyskutować i mlaskać wniebogłosy. Nie zdziwiło jej to wcale. Od pierwszego dnia miała wrażenie, że stanowiła w tym miejscu atrakcję numer jeden. Chcąc nie chcąc, musiała pogodzić się z tą niewygodną sławą.

- Witaj, słodziutka - usłyszała w chwili, gdy zaczęła się zastanawiać, czym dziś posilić swój żołądek. Oderwała wzrok od stołu i spojrzała na Gospodarza.

- Dzień dobry - odpowiedziała, siląc się na uśmiech. W jej głowie znów rozbrzmiewało raz po raz tylko jedno słowo: kłamca!

- Widzę - zaczął Adolfo i odchyliwszy swoje wątle ciało lekko do tyłu, zerknął z rozbawieniem pod blat stołu - że tym razem odziałas swoje, z pewnością delikatne, stopy w obuwie.

Erna zmarszczyła brwi i przez chwilę spoglądała na niego z niezrozumieniem. Dopiero pogardliwe prychnięcie Japończyka siedzącego obok spowodowało, że pojęła, o co może chodzić. Mimowolnie oblała się rumieńcem i udając kaszel, zasłoniła ręką zawstydzoną twarz. Chociaż to Adolfo powinien się wstydzić (kłamca!) i cały czerwony przyznać się do swoich grzechów, to jednak nie potrafiła powstrzymać wewnętrznego wstydu małej dziewczynki, która złamała zakaz. Złamała zakaz domu, w którym się znajduje, choć tak naprawdę trudno było jej stwierdzić, czy zrobiła to świadomie. Po ostatnim odkaszlnięciu zdobyła się na odpowiedź. Wciąż czuła żar na skórze w okolicy krtani.

- Chodzenie na bosą nie należy do najprzyjemniejszych czynności, dlatego postanowiłam więcej tego nie robić - odpowiedziała, siląc się na żartobliwy ton.

Adolfo Patino nie spuszczał z niej wzroku. Jego twarz zmieniła się gwałtownie z uśmiechniętej i przyjaznej na srogą i... Erna znów miała

to uczucie, patrząc na Gospodarza. Jak gdyby odczytywała jego drugą, mroczną stronę. Bała się jej. Ta twarz była straszna i lepiej było z nią nie zadzierać.

- Myślałem, słodziutka, że wyraziłem się jasno, mówiąc, że nikt nie może opuszczać tego budynku do czasu oficjalnego odjazdu.

Ponownie w jadalni zapanowała cisza i Erna znów poczuła na sobie spojrzenia wszystkich zebranych przy stole gości.

- Myślałem - powtórzył Adolfo - że wyraziłem się jasno.

- Przepraszam... ja... - wydukała Erna, nie za bardzo wiedząc, co powiedzieć. - Ja... wiem.

- Wiesz, a mimo to złamałaś tę zasadę.

- Tak, wiem. Jeszcze raz... bardzo... przepraszam - odpowiedziała, z trudem wytrzymując zimne spojrzenie Gospodarza, i nagle...

Nagle stała się rzecz niesamowita, choć Erna już ją wcześniej widziała. Złowrogi wyraz twarzy Adolfo Patino w ułamek sekundy zmienił się w zatroskany i poczciwy.

- No dobrze - odpowiedział, szczerząc w uśmiechu swoje wielkie zęby. - Chciałbym jednak zaznaczyć, i tu zwracam się do wszystkich - wreszcie oderwał od niej wzrok i Erna odetchnęła - że środki ostrożności są najważniejsze i należy ich w tej sytuacji przestrzegać. Nie mamy pewności, czy rzeczywiście nikt obcy nie zjawił się w tym strasznym w skutkach dniu...

Na te słowa Cecile chciała stanowczo zaprotestować, jednak jedzenie, które wciąż trzymała w buzi, skutecznie jej to uniemożliwiło. Zamiast słów z jej ust wydobył się zaledwie krótki bełkot.

- ...jednak wasze bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze, dlatego... - Adolfo skupił teraz wzrok na siedzącym po jego prawym boku księdzu Uchto i Erna dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności - ...dlatego mam nadzieję, że będziecie przestrzegać wszystkich reguł panujących w tym miejscu. Przynajmniej do czasu powrotu.

Ksiądz Uchto wyraźnie pobladł. Nerwowo naciągał rękawy wyleniałego szarego swetra, pod którymi chował swoje dłonie. Erna

nie mogła oprzeć się wrażeniu, że o ile dla reszty pobyt w tym miejscu miał być formą jakiejś regeneracji i uwolnienia się od wszechobecnej technologii, o tyle dla księdza był piekłem, które wypalało go od środka. Przyglądała mu się z uwagą. Gdy Uchto zorientował się, że jest obserwowany, nerwowo chwycił za porcelanowy dzbanek z kawą. Strumień wypływający z niego wprost do filiżanki był nierówny. Drżące dłonie księdza, ukryte w szarych rękawach swetra, skutecznie utrudniały mu tę czynność.

- Dobrze, kochani. Myślę, że na tym zakończymy. Trzymajmy się zasad i powróćmy do wspólnego ucztowania - odezwał się ponownie Adolfo Patino. - Ja jednak, jeżeli pozwolicie, udam się na odpoczynek - dodał, po czym ostrożnie dźwignął się z krzesła. Nie minęła chwila, gdy u jego boku zjawiał się Kruger i wspólnymi siłami ruszyli do wyjścia.

W jadalni znów dało się słyszeć odgłosy bezwstydney konsumpcji, na przemian z krótkimi komentarzami zachwytu na temat poszczególnych dań. Ernie żołądek odmówił posłuszeństwa. Z nerwów ścisnął się do rozmiarów orzeszka i jedyne, co mogłaby w niego władować, to szklanka wody. Niespodziewanie przed jej oczami świsnęła złota ręka Idy Abramovej, dopraszająca się czegoś od siedzącego naprzeciwko księdza.

- Podaj dzbanku - rzuciła w jego stronę Rosjanka, gdy Uchto wypełnił wreszcie swoją filiżankę kawą.

Ksiądz spojrzał na nią spłoszonym wzrokiem. Jego oczy były przekrwione i przyozdobione nabrzmiałymi sińcami. Nie wyglądał zdrowo. Wyglądał na kogoś, kto prawdopodobnie nie spał od dobrych kilku dni, a z pewnością wyglądał gorzej niż w dniu, kiedy Erna zobaczyła go pierwszy raz. Pomału, jakby brakowało mu sił do życia, wysunął dłoń z dzbankiem w stronę Abramovej. Wtedy Erna dostrzegła coś dziwnego. Bawełniany rękaw swetra zsunął się delikatnie z jego prawej dłoni ściskającej kurczowo porcelanowy dzbanek. Wystające palce wyglądały przerażająco. Ich czubki były zdarte i mocno zaczerwienione, a końcówki paznokci obklejone były

czymś czerwonym i zaschniętym. Choć trwało to zaledwie kilka sekund, Erna zdążyła się dokładnie przyjrzeć dłoni księdza i była pewna, że była ona poważnie uszkodzona, a czerwone „coś” wyglądało jak zaschnięta krew.

Gdy tylko Ida przechwyciła dzbanek, chudy, zmizerniały mężczyzna ponownie schował dłoń w rękawie szarego swetra. Przez cały swój pobyt w jadalni popijał jedną filiżankę kawy i co chwila (czego Erna była pewna) zerkał na nią, a gdy tylko wypił ostatni łyk, opuścił salę niczym delikatny i prawie przeźroczysty duch, przenikając przez wąską szparę uchylonych drzwi. Erna poczuła, że musi za nim iść. W pośpiechu chwyciła kilka kawałków bagietki przesmarowanej ziołowym masłem (mimo że teraz nie była godna, była pewna, że za godzinę lub dwie jej żołądek się odezwie, a ostatnie, czego chciała, to prosić o jedzenie Krugera), zawinęła je w serwetkę i pognała śladami księdza Uchto. Dopadła go w holu przy drzwiach wyjściowych. Stał wpatrzony w nie, jakby próbował otworzyć je siłą woli. Nie był jednak superbohaterem o takich mocach, z czego zdał sobie po chwili sprawę, spuszczać z rezygnacją głowę.

- Wszystko w porządku? - spytała ostrożnie Erna, upewniając się, że są sami. Mężczyzna lekko drgnął. Zdziwiony, obrócił się w jej stronę.

- Zamknięte... - wymamrotał.

Erna spojrzała na drzwi wyjściowe. Miał rację. Były zamknięte na klucz. „Środki bezpieczeństwa” - rozbrzmiał w jej głowie głos Gospodarza.

- Jak stąd wyszłaś? - odezwał się nagle. Uchto nie patrzył na nią. Jego wzrok był rozbiegany i czujny niczym kamera monitoringu szukająca ewentualnych intruzów.

- Przez okno - odpowiedziała.

Uchto zatrzymał na niej przez chwilę swoje przekrwione oczy.

- Przez które okno? - spytał zdziwiony.

- Przez okno u mnie w sypialni.

- Niemożliwe... - wyszeptał z irytacją w głosie, a jego gałki oczne znów zaczęły lustrować wnętrze całego holu, łącznie ze schodami.

- A jednak... Słuchaj, sama nie wiem, jak to zrobiłam. Mało pamiętam... i... i tak, wiem, jak to brzmi, ale wydaje mi się, że pomogło mi to powalone drzewo i...

- Na Boga, to niemożliwe! To drzewo jest za nisko! - odpowiedział głośno, po czym zrobił przerażoną minę. Tym razem, unikając zbędnego hałasu, przybliżył się do niej gwałtownie i syknął wprost do jej ucha: - Prędzej połamałabyś sobie nogi!

Erna cofnęła się. Mężczyzna nie pachniał zbyt dobrze. Śmierdział potem i starymi ubraniami. Niewzruszony jej reakcją stał w miejscu, a jego oczy wciąż bacznie obserwowały każdy zakamarek holu.

- Nie musisz mi wierzyć. - Erna wzruszyła ramionami. Ksiądz nie zareagował, a ona wiedziała, że musi go o coś spytać. - Czy ostatniej nocy - Erna spojrzała na niego uważnie - nie słyszałeś czegoś dziwnego w swojej sypialni? - Mężczyzna nie odpowiedział. Wciąż z niepokojem rozglądał się dookoła. - Nie słyszałeś żadnego skrobania? Jakby... w ścianę?

W tym momencie Uchto utkwił w niej swoje spojrzenie. Ostatni ślad po błękitnych oczach dawno zniknął, robiąc miejsce wszechobecnej czerwieni. Erna poczuła ciarki na plecach. Miała wrażenie, że naprzeciwko niej stoi bestia gotowa rzucić się jej do gardła. Chudy, wygłodniały stwór, chcący przegryźć jej aortę. Ściany hotelu Hommanger zatrzęsyły się od potężnego grzmotu, a po chwili wnętrze rozbłysło światłem błyskawicy. Erna mimowolnie spojrzała na ścianę holu. Cień księdza Uchto nie wyglądał na ludzki. Było w nim coś złowrogiego, coś, co zniknęło wraz z końcem pierwszej oznaki nadciągającej burzy. Nagle drzwi do jadalni otworzyły się, wypuszczając na zewnątrz resztę najedzonych gości. Erna spojrzała na nich, a gdy znów odwróciła się w stronę księdza, nie mogła uwierzyć. Stał na swoim miejscu i nie przypominał w niczym bestii. Był tylko wychudzonym, niewyspanym, zmęczonym i smutnym mężczyzną o nieuczesanych włosach. Mężczyzną, który bez

odpowiedzi na jej pytanie ruszył w stronę schodów, naciągając rękawy swetra na poniszczone dłonie najbardziej, jak się da.

- Kolejna burza! - usłyszała głos Cecile za swoimi plecami. - Pogoda nie jest dla nas łaskawa!

- Co ty nie powiesz... - bąknęła pod nosem Erna, coraz mocniej odczuwając tęsknotę za swoim życiem na zewnątrz. To, co na początku wydawało się okazją do odpoczynku, teraz stało się czymś niewygodnym i uwierającym, niczym źle dopasowany but. To miejsce nie było dla niej dobre. Utknęła tu. Jeszcze tylko dzień... dwa... i powróci do swojej rzeczywistości. Wytrzymaj, dziewczyno! Wytrzymaj! - dopingowała samą siebie w myślach.

Wchodząc po schodach, kurczowo ścisnęła w dłoni kilka kawałków bagietki i była sobie wdzięczna, że je wzięła. Poczula, że jej żołądek w magiczny sposób z orzeszka przemienił się w pustą beczkę, którą musiała czymś zapełnić.

Bagietką się nie najadła, o czym przekonała się dobre dwie godziny przed kolacją, kiedy to z jej brzucha zaczęły wydobywać się złowrogie pomrukiwania wygłodniałego potwora. Próbowwała się czymś zająć. Zrobiła dwieście brzuszków, pięćdziesiąt pompek i dwieście przysiadów. Wyczyściła swojego glocka i kilkakrotnie obejrzała starą fotografię rodziny Cavalcanti. Za każdym razem, gdy zerkała na swój zegarek, miała wrażenie, że wskazówki na złość zwalniają. Godzinę przed wieczornym posiłkiem podeszła do okna, z którego rzekomo wyszła wczoraj na zewnątrz. Spojrzała w dół. Drzewo rzeczywiście było cholernie za nisko. Wtedy był jednak z nią mały Sammy... i to miejsce wydawało się inne, a później... stała w ogrodzie za budynkiem w rzeczywistości. W świetle, w którym wyjście na zewnątrz z tego okna skończyłoby się... „Prędzej połamałabyś sobie nogi!” - odtworzyła w myślach głos Uchto.

Nogi jednak miała całe i bardziej bała się o swoją psychikę. Coś tu się działo. Coś nierzeczywistego i tylko fakt, że była dla niektórych dziwadłem, pozwolił jej w tym uczestniczyć. Nie za bardzo jednak wiedziała, czy ma na to ochotę. W rzeczywistości wystarczyłoby jej

pójście na horror do kina. Gdyby chciała, kupiłaby sobie bilet. W tym miejscu takiego wyboru nie miała. To miejsce ofiarowało jej atrakcje, od których chyba wolałaby trzymać się z daleka. Ten hotel był zły. To miejsce skrywało coś, o czym wolałaby nie wiedzieć. Gdyby mogła, wróciłaby bez namysłu do swojego świata, do swojej codzienności... gdyby mogła... No właśnie. Problem w tym, że musi tu wytrzymać jeszcze trochę, i może jej się uda. Może nie zwariuje i ponownie doceni swoją pracę. Pracę, od której się odwróciła, choć teraz zrozumiała, że nie mogła bez niej żyć.

Na zewnątrz błysnęło kilkukrotnie i przez chwilę świat wydał się wyraźniejszy. Może właśnie po to tu jest. Podeszła do szafki nocnej i chwyciła za pordzewiałą puszkę.

- „Nic nie dzieje się bez przyczyny” - odczytała znajdującą się na niej inskrypcję. Czy musiała znaleźć się w tym miejscu, aby docenić swoją pracę i zrozumieć, jak bardzo jej potrzebuje?

Podczas kolacji pozwoliła sobie na totalną rozpustę. Jadła wszystko, co tylko mogła i co jej oczywiście smakowało. W szybkim tempie zapełniała pustą żołądkową beczkę, a gdy uznała, że zaczyna się z niej wylewać, opuściła jadalnię i wolnym, ociężałym, choć szczęśliwym krokiem wróciła do swojej sypialni. Ksiądz Uchto nie pojawił się na kolacji, co w sumie nie byłoby niczym dziwnym, zważywszy na to, że w ciągu ostatnich dni nie pojawiał się w jadalni prawie wcale, jednak po dzisiejszej rozmowie w holu Erna chciała jeszcze raz zapytać go o to skrobanie, a dokładnie o jego pokaleczone dłonie. Może nie powinna wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale... skrobanie dotyczyło także jej ściany, więc... ta sprawa ją trochę obchodziła. Tym bardziej że miała pewne podejrzenia odnośnie do księdza i zastanawiała się, czy powinna zgłosić to Gospodarzowi. Erna zbliżyła się do ściany, która stanowiła łącznik między jej sypialnią a sypialnią księdza Uchto. Przejechała po jej powierzchni dłonią. Czowała pod nią jej chropowatą powierzchnię. To skrobanie nie było sprawką myszy. Było zbyt ludzkie. Ernę przed oczami ukazał się obraz zdartych do krwi paznokci księdza Uchto.

- Po co to robiłeś...? - wyszeptała na głos. - Po co skrobałeś w ścianę...?

Zerwała się w środku nocy na równe nogi. Łomot dobiegający zza ściany i nieludzki jęk... Chyba krzyk... Przynajmniej tak jej się wydawało, gdy się wybudzała... Coś wyrwało ją bezlitośnie ze snu. Serce waliło jej jak oszalałe. Stała bez ruchu z lekko ugiętymi nogami, trzymając się za falującą lewą pierś. Próbowwała bezgłośnie oddychać, chcąc usłyszeć coś jeszcze. Nagle znów zarejestrowała łomot dobiegający zza ściany. Coś obito się o nią i z łoskotem spadło na podłogę. Tak przynajmniej podejrzewała. Próbowwała się uspokoić, zwalniając oddech. Krótka cisza i znowu... szuranie, szuranie... oddalające się kroki. Erna stała tak jeszcze kilka minut, a gdy stwierdziła, że już nic więcej się nie wydarzy, ostrożnie podeszła na palcach do ściany graniczącej z pokojem księdza. Przyłożyła do niej ucho i nasłuchiwała. Cisza. Skończyło się. Co tam się do cholery stało?! - pomyślała, spoglądając z przerażeniem na kawałek muru. Czy rzeczywiście ktoś tam krzyczał? Próbowwała przypomnieć sobie chwilę, gdy się przebudzała. Jednak im mocniej wnikała w czeluści swojej pamięci, tym bardziej zaczęła w to wątpić. Może to grzmot... może ptak... jakieś zwierzę! - stwierdziła, spoglądając na uchylone okno. Próbowwała znaleźć wytłumaczenie. To już druga noc, kiedy ten cholerny ksiądz ją budzi... Może dostał ataku jakiegoś szału? Erna przypominała sobie jego cień w holu. Bestia... nieludzka, mroczna istota... Czy powinna o tym porozmawiać z Gospodarzem? Kłamca! - znów usłyszała ostrzegawczy głos. Tak, dobrze wiedziała, że Adolfo Patino ją okłamał, ale w tym wypadku chyba powinien wiedzieć o problemie jednego ze swoich gości. Tym bardziej że... może on być niebezpieczny nie tylko dla siebie, ale też dla innych...

Erna upewniła się, że drzwi do jej pokoju są zamknięte. Pociągnęła za klamkę. Drewniane skrzydło nawet nie drgnęło. Podeszła do plecaka i wyjęła z niego czarnego glocka. Dziś będzie z nim spała. Dziś potrzebowała pewności, że jest bezpieczna. Ukryła swoje ciało

pod kołdrą. Postanowiła, że jutro porozmawia z Gospodarzem. Postanowiła i zasnęła.

Poranek dwudziestego października nie różnił się prawie wcale od pozostałych, których Erna doświadczyła, odkąd została niezapowiedzianym gościem w hotelu Hommanger. Stała naprzeciw zamkniętego okna, przeciągając się leniwie na wszystkie strony. Potężny ziew zagłuszył na chwilę ciężkie krople deszczu odbijające się z łoskotem o stare, podwójne szyby. Poczowała chłód, który zaczął przenikać w głąb jej ciała. Stare okna były nieszczelne, przez co wiatr wdzierał się do środka małymi, choć mroźnymi porcjami i teraz raz za razem smagał jej ciało odziane jedynie w bieliznę. Jasny meszek pokrywający jej ręce stanął na baczność. Potarła dłońmi ramiona, kurcząc się przy tym niczym mała bezbronna dziewczynka. W tej chwili potrzebowała dwóch rzeczy. Porządnie opróżnić wnętrzności z przetrawionego jedzenia i ubrać się, zanim zamarznie i stanie się lodową ozdobą tego miejsca. Czy byłaby ładną rzeźbą? Zdecydowanie NIE - odpowiedziała sama sobie, gdy chwilę później mijając swoje zmęczone odbicie w łazienkowym lustrze. W końcu jej pośladki opadły na zimny sedes. Skrzywiła się. Kiedy zaspokoila już swoje potrzeby fizjologiczne i pośpiesznie wypełniła rytuał higieny osobistej, przyodziała zmarznięte ciało w jeansy i koszulę. Chwyciła swoją delbanę i założyła ją na lewy nadgarstek. Zerknęła na tarczę, z której raz po raz wydobywało się rytmiczne cykanie.

Kilka minut po dziewiątej uświadomiła sobie, że nie po raz pierwszy spóźni się na śniadanie. Zanim jednak wyszła z pokoju, schowała glocka do plecaka, który wcisnęła głęboko pod łóżko. Miała nadzieję, że tam jej dobytek będzie w miarę bezpieczny. Gdy w końcu znalazła się w korytarzu, nie zamierzała od razu udać się w kierunku jadalni. Musiała sprawdzić coś jeszcze. Niepewnie podeszła do drzwi pokoju księdza Uchto. Przystawiła ucho do zimnej drewnianej powierzchni. Nasłuchiwała w skupieniu. Z pokoju dobiegało rytmiczne postukiwanie.

- Co do licha... - wyszeptała, biorąc głęboki oddech. Wyprostowała się i bez chwili zastanowienia zastukała w drzwi. Nikt jednak jej nie odpowiedział.

- Halo? Proszę pana? - powiedziała, po czym nieco mocniej uderzyła pięścią w drewniane skrzydło. Wciąż nic. Erna chwyciła za mosiężną klamkę i nacisnęła ją stanowczo. Ku jej zaskoczeniu (tak... myślała, że będą zamknięte) drzwi się otworzyły. Przez chwilę poczuła lekką panikę. Po co to robi? Czy wypada jej wejść, ot tak, do cudzego pokoju?! Ale wątpliwości szybko ją opuściły, gdy przypomniała sobie, jak niebezpiecznym człowiekiem mógł być jasnowłosy mężczyzna. Zresztą było za późno na odwrót. Jej lewa stopa znalazła się już w środku obcej sypialni, zachęcając resztę ciała, aby zrobiła to samo.

- Halo? - powtórzyła, tym razem ciszej, gdy wkroczyła w głąb pokoju. - Proszę pa...

Nagle głos uwiązał jej w gardle. W jednej chwili stała się niemową, która bełkotem wydobywającym się z rozwartych ust i wytrzeszczonymi do granic możliwości oczami wyrażała przerażenie. Erna nie patrzyła na otwarte okno, na jego uchylone skrzydło, które raz po raz uderzało w drewnianą ościeżnicę. Nie to spowodowało, że zabrakło jej tchu, że poczuła się, jakby przez jej ciało przebiegło stado rozwścieczonych mrówek. Erna stanęła jak wryta nie przez to, że odkryła przyczynę rytmicznego stukania, które słyszała z korytarza. Erna wpatrywała się w coś innego. W ścianę stanowiącą granicę pomiędzy jej pokojem a pokojem, w którym właśnie się znalazła. Jednak to nie sama ściana i jej istnienie było przyczyną jej przerażenia. To, co się na niej znajdowało... budziło grozę. Gdy Erna przypomniała sobie, że aby żyć, musi oddychać, gwałtownie złapała powietrze w płuca. Tak nieudolnie, że dopiero po minucie szalonego kaszlu zdołała dość do siebie. Oddychając ciężko, zrobiła krok do przodu, po czym cofnęła się niepewnie. Podskoczyła, gdy niespodziewanie silniejszy podmuch wiatru szarpnął drewnianym skrzydłem okna, zamykając je i otwierając na przemian. Erna rozejrzała się szybko po pokoju. Upewniwszy się, że wciąż jest w nim

sama, przeniosła wzrok na ścianę. Nie była ona zwyczajna. Nie, odkąd ksiądz Uchto postanowił użyć jej jako swojego płótna... lub...

- ...kartki papieru... - wyszeptała na głos po namyśle, z niedowierzaniem spoglądając przed siebie.

Ścianę przyozdabiała zaschnięta czerwona maź. W niektórych miejscach było jej więcej, w niektórych miała jasnoróżową barwę. Krwiste zygzaki układały się w litery, a czerwony płyn idealnie wypełniał wyżłobione w tynku kreski. Erna zdobyła się na odwagę i ostrożnie podeszła do znaleziska. Stała teraz kilka centymetrów od czegoś, czego jeszcze nie potrafiła nazwać, choć jednego była pewna. Było to ohydne... Z odrazą malującą się na twarzy uniosła prawą dłoń i delikatnie przejechała palcami po kilku wyskrobanych liniach. Czerwona maź była zaschnięta, lecz wciąż wydobywał się z niej ten znajomy, metaliczny zapach.

- Krew... - wyszeptała Erna, z uwagą przyglądając się temu dziwnemu pismu. Szlaczki... kreski... linie... żłobienia... - starała się poskładać w całość migające przed oczami obrazki. Nie przychodziło jej to łatwo. Nie teraz, gdy odkryła coś takiego. Coś, co zostało stworzone na ścianie graniczącej z jej pokojem. Zrobiła kilka kroków do tyłu. Objęła całość wzrokiem i wtedy była już pewna. To były litery... na ścianie było coś wydrapane... jakieś wyrazy... Nagle dotarło do niej, na co patrzy. Zamarła i bezgłośnie, niczym ryba wyjęta z wody, odczytała wyżłobiony napis. Już to gdzieś widziała... te same litery układające się w to jedno, konkretne zdanie...

- O cholera... - jęknęła, gdy znów dotarło do niej, co zrobił ten mężczyzna. Jego zakrwawione palce i pozdzierane paznokcie, które ujrzała w jadalni... Drapanie w ścianę... To on był autorem wiadomości na ścianie... ksiądz Uchto!

Erna obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Jeżeli księdza nie będzie w jadalni, musi powiedzieć o tym Gospodarzowi. Nie była do końca przekonana, czy Uchto mógł stanowić zagrożenie dla innych czy był nim jedynie dla samego siebie. Jednak ten człowiek potrzebował pomocy i z pewnością pobyt tutaj

nie działał na niego zbyt dobrze. Erna niczym zwinny gepard szybko pokonała schody, a gdy z hukiem wparowała do jadalni, nie zdziwiło jej to, jak wielkie zainteresowanie wzbudziła. Wszyscy zebrani przy stole goście zamilkli. Erna była w centrum ich uwagi. Tak jak przypuszczała, księdza Uchto nie było... Zdecydowanym krokiem przeszła wzdłuż stołu, a gdy wreszcie znalazła się przy Gospodarzu, schyliła głowę i wyszeptowała mu do ucha:

- Musi pan coś zobaczyć... TERAZ! - Ostatni wyraz wypowiedziała wolno i stanowczo. Adolfo Patino spojrzał na nią zdumiony. - Proszę... - powiedziała cicho. - To... bardzo ważne. Chodzi... o księdza Uchto.

- Ach, tak... - odparł Gospodarz, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. - Oczywiście... - dodał po chwili, po czym powoli uniósł się z krzesła. - Stefanie, pozwól z nami.

Dopiero teraz Erna dostrzegła, że tuż obok niej zmaterializował się Kruger.

- Oczywiście - odpowiedział, przepuściwszy Gospodarza przodem. Odchodzili w trójkę, osaczeni ciekawskimi spojrzeniami reszty zebranych w jadalni gości.

- Mówisz, słodziutka, że masz nam do przekazania niezwykle ważną wiadomość dotyczącą jednego z naszych gości, a dokładnie rzecz ujmując, księdza Uchto? - odparł z trudem Patino. Oddychał ciężko. Powoli, krok za krokiem, przemierzał schody hotelu Hommanger. Stefan Kruger szedł tuż za nim, asekurując go.

- Tak, powinien pan coś zobaczyć - odpowiedziała Erna, która szła obok Gospodarza. Prawdę mówiąc, niecierpliwiła się i miała wrażenie, że zamiast piąć się, wciąż stoją w miejscu. Widziała jednak oblane drobinkami potu czoło Adolfo Patino. Słyszała jego ciężki oddech. Musiała być cierpliwa. Adolfo przystanął nagle, a gdy Erna spojrzała w jego stronę, zorientowała się, że stoją pod obrazami Tycjana.

- Mam nadzieję, słodziutka, że to coś naprawdę pilnego - odrzekł poważnym tonem.

- Mam podejrzenia, że... księdza Uchto już z nami nie ma.

Kruger spojrział na nią z ukosa.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknął w jej stronę.

- Musi pan to zobaczyć, panie Patino. Proszę - zwróciła się w stronę Gospodarza, ignorując pytanie Kucharza.

Adolfo przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Erna dostrzegła na jego twarzy dwie głębokie zmarszczki, które tworzą się między brwiami zazwyczaj wtedy, gdy ktoś nad czymś głęboko myśli. W tym zamyśleniu jednak dostrzegła coś jeszcze. Trwało to ułamek sekundy... ale zauważyła to. Ten uśmiech... Nieznany i niepasujący do Gospodarza. Dlatego najchętniej zeszyłaby z tych schodów. Nie chciała już informować o niczym Adolfo Patino. Nie chciała nic mówić... Ten uśmiech... ale było już za późno.

- Dobrze, słodziutka - odparł nagle staruszek. - To ruszajmy ku górze... niczym ślimaki! - zażartował.

- Niczym ślimaki... - powtórzyła niepewnie Erna, siląc się na uśmiech. Głos w jej głowie krzychał: W dół! W dół! - ale za nią kroczył już Krugerstain. Nie było odwrotu.

Drzwi do pokoju księdza Uchto były uchylone dokładnie tak, jak je zostawiła. Przepuściła przodem Gospodarza i Krugera. Gdy wszyscy znaleźli się w środku, Gospodarz odparł:

- A to ci dopiero... - Zaskoczony spoglądał na zakrwawioną ścianę.

- Właśnie o tym chciałam panu powiedzieć i o tym, że...

- Włożenie z butami do cudzych pokoi to twoje życiowe hobby?! - przerwał jej w połowie zdania Kruger.

- Ja... nie...

- TY! TAK! - warknął Kruger.

- Nie... to nie tak. Panie Patino, ja...

- Jak śmiesz włączyć bez pytania do nie swojego pokoju! - krzyknął Kucharz. Uniósł dłoń i oskarżycielsko skierował w jej stronę palec. - Ty... jak śmiesz! Jak śmiesz! - powtarzał, rozwścieczony, machając przed nią wielką łapą.

- Panie Patino... proszę mnie wysłuchać... - odparła spokojnie Erna. Nie miała zamiaru dać się sprowokować tej przerośniętej bestii,

jaką był Krugerstain.

- Gospodarz nic nie musi! Za to ty musisz przestać wściubiać swój nochał tam, gdzie nie trzeba! - krzyczał złowieszczo Kruger. - Łazisz, gdzie chcesz! Łamiesz nasze zasady! Ty... ty... - Kruger zaczął pluć śliną niczym wściekły pies i w chwili, kiedy miało paść obraźliwe słowo, Adolfo Patino położył dłoń na ramieniu Stefana Krugera.

- Spokojnie, Stefanie - powiedział łagodnie. - Panna Brown jest tylko niezapowiedzianym gościem.

Kruger się uspokoił. Erna odetchnęła z ulgą. Jeszcze kilka sekund wcześniej miała wrażenie, że ten rzuci się na nią i rozerwie ją na strzępy. O dziwo pod dotykiem dłoni Gospodarza Kruger z rozwścieczonego Yeti zamienił się w meduzę (wciąż jednak brzydką i groźną).

- A teraz, słodziutka, powiedz proszę wszystko, co wiesz. Doprawdy zaniepokoił mnie ten napis na ścianie...

- Mnie też, panie Patino - przyznała Erna. - Jak pan wie, mój pokój sąsiaduje z pokojem księdza Uchto. Od dłuższego czasu, wieczorami, w nocy, dobiegały z pokoju księdza dziwne odgłosy, krzyki, skrobanie... - Erna spojrzała na ścianę. Adolfo zrobił to samo. - Rozumie pan, panie Patino? Odgłos skrobania... ale ksiądz Uchto zachowywał się dziwnie od dłuższego czasu i na pewno pan to zauważył. Nie chciał jeść, nie zjawiał się w jadalni.

- Tak... to prawda - przytaknął Gospodarz.

- Chyba... chyba miał jakieś problemy ze sobą... - dokończyła Erna.

Kruger prychnął z pogardą, jednak Gospodarz zachęcił ją, aby kontynuowała.

- Ostatnio spytał mnie, jak opuściłam hotel. Powiedziałam mu prawdę, że... że przez okno... - Kruger ponownie prychnął, tym razem głośniej. - ...i wydaje mi się, że ksiądz Uchto mógł opuścić to miejsce. Panie Patino, jest pan odpowiedzialny za wszystkich gości. Widzę każdego dnia, jak się pan o nich troszczy. Jeżeli jeden z nich zniknął i wyszedł z hotelu w taką pogodę, powinien pan spróbować mu

pomóc. On nie był chyba do końca normalny... Rozumie pan, panie Patino? Nie był normalny i jeżeli teraz błąka się gdzieś po lesie, to może... może zginąć, ale może też wrócić i być zagrożeniem dla nas wszystkich.

Skrzydło okna z coraz większą siłą uderzało o drewnianą ościeżnicę. W pokoju dało się słyszeć świszczanie jesienno-wiatru. Drzewa uginały się pod jego naporem, skrzecząc niczym złośliwe leśne gnomy. W sypialni nie panowała cisza. Rządziła tam złowroga natura.

- Słodziutka - odezwał się po chwili namysłu Gospodarz. - To naprawdę ważne informacje. Zwłaszcza dziś, w dniu Świętej Uczt. Fakt, nie możemy pozwolić, żeby cokolwiek... ktokolwiek ją zbezczeszczył. - Adolfo spojrzał na Krugera. - Stefanie, proszę, udaj się w akcję poszukiwawczą. Zważywszy jednak na to, jakich obrażeń doznałeś ostatnio, pomagając panie Brown - Gospodarz przeniósł wzrok na jego głowę - nie zapuszczaj się daleko. Przeszukaj tylko najbliższą okolicę.

- Tak jest... - odparł niemrawo Kruger.

- Masz rację, słodziutka. Jestem odpowiedzialny za moich gości. Ale ksiądz Uchto już nim nie jest. Poza murami tego miejsca każdy jest kowalem swojego losu. Jednak wyciągniemy w jego kierunku pomocną dłoń. Jeżeli uda nam się go znaleźć, zaopiekujemy się nim. Dziś jednak, słodziutka, pragnę prosić cię, abyś wraz z resztą cieszyła się dniem Świętej Uczt. Święta Uczta bowiem jest dla nas niezwykle ważna i nic ani nikt nie jest w stanie jej zrujnować. Mogę na ciebie liczyć? - Adolfo spojrzał na nią wyczekująco.

Erna poczerwieniała.

- Tak... oczywiście - wybełkotała cicho.

- Jak dobrze, że wszystko się wyjaśniło! - klasnął w dłonie Gospodarz. - A teraz proszę was, powróćmy do jadalni. Mam do przekazania ważną informację dotyczącą Świętej Uczt.

Gdy wrócili, Gospodarz poinformował wszystkich o sytuacji zaistniałej z księdzem Uchto. Niektórzy goście wymienili między sobą

zdziwione spojrzenia. Cecile Bennett westchnęła głęboko, a jej wydatny brzuch uniósł o kilka dobrych centymetrów, sporych rozmiarów piersi. Cindy Walker uśmiechnęła się pod nosem, a Ida Abramova nie przejęła się tym wcale. Erna nie była pewna, czy Ida zauważyła, że Gospodarz wraz z nią i Krugerem wrócili do jadalni. Rosjanka bowiem skupiona była na sączeniu kolejnych kieliszków wytrawnego czerwonego wina i szło jej to całkiem dobrze... Jak zawsze. Adolfo Patino przekazał także najważniejszą informację dnia. Święta Uczta miała odbyć się o godzinie osiemnastej. Z racji tego obiad wraz z kolacją zostały odwołane.

- Proszę mi wierzyć... - zapewniał Patino. - Nikt nie zostanie po Świętej Uczcie głodny!

Zgodnie z ustaleniami zaraz po uprzątnięciu zastawy śniadaniowej Stefan Kruger ruszył w akcję poszukiwawczą. Pogoda mu nie sprzyjała. Erna odprowadziła go wzrokiem, wyglądając ukradkiem przez okno swojej sypialni, a gdy Kucharz wreszcie zniknął za gęstwiną leśnych drzew, zamknęła okno i usiadła na łóżku. Jutro wróci do Ottawy. Jutro zobaczy swoją Suzi, swojego przyjaciela. Jutro zapewne będzie musiała tłumaczyć się szefowi, a jeżeli o tłumaczeniu mowa, nie omieszka go zapytać, dlaczego jej nie szukali. Jutro będzie szczęśliwym dniem. Mimo wszystko.

Zdrzemnięcie się „na chwilę” nigdy nie jest prawdą. W tym miejscu Erna zasypiała z łatwością i taka drzemka, mimo że w planach krótka, okazała się solidną dawką snu. Co zaskakujące, tym razem nic jej się nie śniło. Przetarła ręką zamglone oczy i spojrzała na zimną tarczę delbany. Zamazany cyferblat dopiero po dłuższej chwili ujawnił zaskakującą prawdę. Erna gwałtownie zerwała się na równe nogi. Niczym błyskawica wleciała do łazienki, umyła zęby, przemyła twarz zimną wodą i spróbowała okiełznać szczotką sterczące na wszystkie strony włosy. Gdy uznała, że w miarę przypomina człowieka, wybiegła z łazienki i włożyła na nogi znoszone trampki. Spuściła głowę i niechętnie zlustrowała to, co miała na sobie. Wymięty, znoszony T-shirt nie pierwszej świeżości i podobnej klasy jeansy nie prezentowały

się zbyt dobrze. Erna jednak nie miała wyboru ani rzeczy na zmianę. Mogłaby przywdziać czarny kombinezon zabójcy na zlecenie i w tym pewnie zrobiłaby furorę, nie chciała jednak swoim ekstrawaganckim strojem przyćmić postaci Gaku Hary. No cóż... - wzruszyła obojętnie ramionami. Nie prosiła się na tę ich, jak jej tam... Świętą Ucztę. Była niespodziewanym gościem i tak naprawdę - Erna zmarszczyła brwi, a na środku jej czoła pojawiły się pionowe głębokie bruzdy - co ją obchodzi zdanie tych ludzi? Jutro już jej tu nie będzie - przypomniała sobie w myślach. Jutro wróci do swojego starego życia w Ottawie.

Za pięć osiemnasta Erna wyszła na korytarz, pamiętając o dokładnym zamknięciu sypialni na klucz. Idąc korytarzem w stronę schodów, mimowolnie zerknęła na drzwi do pokoju księdza Uchto. Zastanawiała się, czy Kruger coś zdiagnozował. Wątpiła w to. Sama jednak miała czyste sumienie i to ją uspokoiło. Uchto był dorosły. Wiedział, co robi.

- Stój, *dziewuszka!* - usłyszała nagle za swoimi plecami i instynktownie się obróciła. - A gdzie się wybiera w takim stroju?

Ida Abramova stała tuż za nią, lustrując ją z góry na dół zniesmaczona. Miała na sobie złoto-czarną obcisłą sukienkę do kolan, a jej ciało obciążone było kilkoma kilogramami złota. Jej twarz przyozdabiał mocny, świeży i perfekcyjnie wykonany makijaż, a włosy upięte w zgrabny kok idealnie eksponowały łabędzią szyję. Erna poczuła się jak Kopciuszek. Wiedziała, że wszyscy się wystroją, ale ona nie miała wyjścia. Mogła oczywiście nie pójść na tę ich imprezę, ale dałaby sobie uciąć rękę, a nawet dwie, że Adolfo Patino wyciągnąłby ją siłą z sypialni. No cóż... prawda była taka, że...

- Nie byłam gotowa na taką uroczystość - dokończyła na głos, robiąc na koniec sztuczną podkówkę z naturalnych, dużych ust.

Ida przez chwilę przyglądała jej się bez słowa. Jej oparte o biodra dłonie podkreślały ponętne wcięcie w talii. Dziś Ida Abramova wyglądała całkiem nietanio. Dziś wyglądała znacznie - oceniła Erna. W końcu Rosjanka oderwała lewą dłoń od biodra i spojrzała na złoty

zegarek zwisający luźno wokół jej nadgarstka. Jęknęła i wywróciła teatralnie oczami, po czym rozkazała:

- Za mną. Szybkościowo! Nie mamy dużo czasu!

Erna nie zdążyła nawet zareagować, gdy Ida błyskawicznie chwyciła ją za rękę, a po chwili wciągnęła do swojej sypialni. Przemiana - choć bardziej pasowałoby tu określenie transformacja - Erny z „w miarę człowieka” w „wow, jaka laska” trwała niecałe dziesięć minut. Były spóźnione, jednak Ida, lustrując teraz Ernę od góry do dołu, wiedziała, że było warto.

- *Krasota!* - krzyknęła wreszcie, klaszcząc w dłonie.

Erna spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Miała na sobie czarną sukienkę, która krojem i długością przypominała tę, w którą ubrana była Abramova. Erna była lekko zdziwiona. Zapomniała już, jakie ma zgrabne, długie nogi... nogi, które były zwieńczone czarnymi szpilkami (co najmniej o pół numeru za dużymi, ale dla Erny nie stanowiło to problemu). Złoty, choć delikatny wisior opadał w subtelnie zaznaczony obszar między piersiami. Włosy, odświeżone suchym szamponem, nabrały świeżości i lekkości. Uniesione u nasady i zaczesane na bok, wyglądały niczym z reklamy markowego kosmetyku. Całość nowego wyglądu Erny dopełniał makijaż. Tu Erna postawiła pewne warunki. Pozwoliła na mocne wytuszczenie rzęs, ale cienie do powiek oraz pomadka musiały być w naturalnym odcieniu. Znalezienie tego koloru w kosmetyczce Rosjanki, która przypominała plecak, okazało się dość trudne, jednak wykonalne. Mimo braku aprobaty Idy usta oraz powieki Erny nabrały świeżego, delikatnego wyrazu. Była piękna... była kobieca... seksowna... i wciąż niebezpieczna. To podobało jej się najbardziej. Nie straciła swojego stalowego spojrzenia. Swojej tajemniczej osobowości.

- *Krasota!* - raz jeszcze krzyknęła Ida. - Pięknościowa - dodała i tym razem zamiast klasnąć w ręce, spojrzała na zegarek. Po chwili spytała: - Gotowa dziewczyno?

Erna jeszcze chwilę przyglądała się swojemu nowemu odbiciu. W końcu odwróciła się i odpowiedziała zdecydowanie:

- *Da.*

Pewnym krokiem przekroczyły próg jadalni. Gdy zmierzały na swoje miejsca, spojrzenia wszystkich zebranych gości skupiły się na niej. Erna czuła je wszędzie. Na twarzy, tułowiu, nogach, plecach, piersiach i pupie. To ostatnie szczególnie upodobał sobie Charles Bennett, który z rozwartymi ustami odprowadził Ernę Brown do stołu. Cecile nie zauważyła tego, jakże widocznego, zachwytu męża. Sama z niedowierzaniem przesywała wzrokiem niespodziewanego gościa. Nawet Gaku Hara nie krył zdumienia i pierwszy raz nie obdarzył Erny spojrzeniem pełnym pogardy. Zamiast tego co chwila na nią spoglądał, starając się być przy tym niezauważonym. Erna jednak widziała to, tak samo jak zainteresowanie innych gości, i chociaż większość ludzi byłaby w takiej sytuacji skrępowana, to ona czuła jednak satysfakcję. Satysfakcję, która czaiła się w kącikach jej lekko uniesionych ust, a gdy wreszcie zasiadła na krześle, postanowiła zakończyć to przedstawienie, przesywając wszystkich swoim stalowym spojrzeniem. Jej naturalna broń okazała się, jak zawsze, skuteczna. Każdy z gapiów potulnie i w popłochu odwrócił spojrzenie, a Erna wiedziała, że wygrała. Tym razem na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

Spojrzała w stronę Gospodarza. Adolfo Patino unosił się właśnie z krzesła. Dopiero teraz dotarło do niej, że tylko on oparł się jej spojrzeniu i wciąż otwarcie się jej przypatrywał. Z jej twarzy mimowolnie zniknął uśmiech. Gospodarz wreszcie wstał i oparł dłonie o blat stołu. Skinął w stronę Erny przyjaźnie, po czym przemówił, zwracając się uroczystym tonem do wszystkich obecnych gości.

- Dziękuję wszystkim za przybycie. Jest mi niezmiernie miło powitać was, kochani, na kolejnej Świętej Uczcie. Dotarliście aż tutaj, do tego dnia, bo jesteście silni.

Erna spojrzała przed siebie. Dopiero teraz dostrzegła puste krzesło księdza Ucto. Adolfo Patino kontynuował:

- Niestety, jak wiemy, nie wszyscy okazali się tak wytrwali. Kogoś dziś zabrakło. No cóż. Obawiam się, że nasz kochany ksiądz nie

wytrzymał błogosławieństwa, jakim było dla niego przebywanie w tym miejscu. Najwidoczniej postanowił nas opuścić. Ksiądz Uchto miał słabą psychikę... Jednak, moi drodzy... - Tu Gospodarz zrobił przerwę, po czym wziął głęboki oddech i dokończył: - ...nic nie dzieje się bez przyczyny.

Erna drgnęła instynktownie, słysząc te słowa. To zdanie... zbyt często pojawiała się w tym miejscu. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Gospodarz kierował teraz swoje słowa do niej. Wyrwana z zamyślenia, skupiła wzrok na jego wydatnych ustach.

- ...i choć byłaś, słodziutka, niespodziewanym gościem, to mam nadzieję, że ta uczta zapadnie ci w pamięć.

Gdzieś za nią dało się słyszeć pogardliwe prychnięcie. Erna doskonale wiedziała, do kogo należał ten głos. Cindy Walker chyba nie podzielała zdania Adolfo Patino. W jadalni zapanowała cisza i Erna domyśliła się, że powinna coś powiedzieć.

- Yyy... - wybełkotała, zaskoczona, a po chwili dodała: - Tak, dziękuję, że znalazłam tu schronienie. Naprawdę nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek znajdę się w takim - cholernie popieprzonym i dziwnym - miejscu. Nigdy też nie przypuszczałam, że poznam tak ciekawych - i chorych psychicznie - ludzi. - Jej wypowiedziane na głos słowa gryzły się z myślami, przez co trudno było jej się skupić. W końcu jednak dała radę i dodała pewnym głosem: - Dziękuję panu, panie Patino. Jest pan dobrym Gospodarzem. - Kłamca!

Adolfo Patino uśmiechnął się do niej, po czym dodał:

- Moi drodzy. Niech ta Święta Uczta będzie przypieczętowaniem naszego człowieczeństwa. Ucztujcie i sprawcie, aby ten bogato zastawiony stół znowu był pusty. Smacznego.

Po tych słowach zebrani goście prawie jednym głosem odpowiedzieli:

- Dziękujemy! - I po chwili zabrali się do świętowania.

Erna ponownie spojrzała na puste krzesło stojące tuż przed nią. Gospodarz nie powiedział nic szczególnego o nieobecności księdza

Uchto. Musiała więc zadowolić się prostym wyjaśnieniem, że prawdopodobnie ksiądz uciekł, a Kruger nie zdołał go odnaleźć. Jego wybór... - skwitowała w myślach i gdy te wciąż nie dawały jej spokoju, nagle poczuła szturchnięcie w lewy bok.

- Nie słyszała? - powiedziała Ida, która okazała się sprawczynią szturchnięcia. - Czas na ucztowanie.

- A... tak - wybełkotała Erna.

Ida spoglądała na nią dłuższą chwilę. Wreszcie odezwała się:

- Jak ci mogę zaradzić, to zapijaj dużo alkoholu. Nie żałuj dziś procenta. Ja dziś zostanę wegetanką - Erna musiała przez chwilę pomyśleć, aby w końcu dojść do wniosku, że chodziło jej o „wegetariankę” - ale ty... - Ida spojrzała na Ernę niepewnie - ...jak uważała - dodała, wzruszając obojętnie ramionami. Wreszcie jedna jej dłoń skierowała się w stronę półmiska z sałatką warzywną, a druga oplotła karafkę wypełnioną prawie po brzegi białym winem.

Erna nie miała pojęcia, czy chciała być dziś „wegetanką”. Zlustrowała wzrokiem stół. Ten wręcz uginał się od wszelakich mięsnych potraw. Choć Erna nie znała się specjalnie na kuchni, potrafiła określić niektóre z nich. Ogromne kotlety w panierce, przyozdobione zieloną sałatą i pomidorami, zawijane, faszerowane, mięsne rolady, równo opieczzone z każdej możliwej strony, mięsne szaszłyki z małymi opiekanymi cebulkami, jakaś pieczeń przyozdobiona bladyszki glazurą, pasztet udekorowany bekonem, szparagi zawijane w kawałki szynki z jajkiem sadzonym (z racji tego, że jajko było malutkie, Erna domyślała się, że musiało być prawdopodobnie przepiórcze), bogata mięsna zupa typu gulasz i wiele, wiele innych smakowitości, które ucieszyłyby niejednego mięsożercę. Nie zabrakło także „samowarzywnych” dań, na które dziś, jak się okazało, nabrała ochoty Ida Abramova. Faszerowane jajka, kawior na chlebowych krążkach, różnego rodzaju sałatki i półmiski wyłożone obficie małymi przystawkami. Od początku pobytu Erny w hotelu Hommanger stół nie był tak obficie zastawiony.

Oczywiście nigdy nie brakowało na nim jedzenia, jednak Święta Uczta przyprawiała Ernę o oczopląs.

- Pijeta, bo zginieta! - Ida Abramova podała jej napełniony prawie do pełna kieliszek z białym winem.

- Pijeta, pijeta - odpowiedziała Erna, bez chwili namysłu chwytając za szkło. Dziś postanowiła się dobrze bawić. Dobrze zjeść i napić się na tyle, aby paść na łóżko, zasnąć i obudzić się następnego dnia. A następny dzień będzie powrotem do domu... do Bobby'ego.

Ktoś kiedyś powiedział jej, że w dobrym towarzystwie zje się mało, bo człowiek zajęty jest rozmową. Dlatego Erna jadła bez opamiętania. Spróbowała chyba wszystkich dań, które były na stole. Po kilkunastu kieliszkach białego wina przestała czuć smak potraw. Jadła mechanicznie, chcąc zająć czymś ręce i nie dopuścić do tego, aby jej organizm został opanowany przez alkoholowe płyny. Dobrze jej szło. Talerz solidnie przyozdobiony był resztkami. W pewnym momencie nie wiedziała już, kogo słucha i o czym rozmawia. W jadalni łatwiej było usłyszeć odgłosy mlaskania, przeżuwania i przełykania, aniżeli ludzkie głosy układające się w sensowne zdania. Odgłosy jedzenia... to one zawaładnęły pomieszczeniem. Odbijały się od ścian, tworząc prawdziwą kakofonię konsumpcyjnych dźwięków. Na początku było to subtelne. Erna nie zwracała na to uwagi. Jednak gdy świat zaczął wirować jej przed oczami, dźwięki konsumpcji zaczęły wdzierać się bezlitośnie do jej uszu i stały się nie do wytrzymania.

- Chhh.... - próbowała powiedzieć coś Erna. Zamiast tego z jej ust strużką wypłynęła ślina. Z trudem uniosła prawą dłoń i wytarła nią usta. - Chhhyyybaa... - spróbowała ponownie i w miarę jej się udało.

Ida Abramova siedziała jakby nieżywa na krześle, opierając się całym ciężarem ciała o jego tył. Słyszac Ernę, odwróciła do niej głowę, która kilkakrotnie zabujała się na oparciu.

- ...yyybaaa... juuuz... póójjj... póójjjde... sss... sss... spaaac - dokończyła wreszcie Erna i choć w głowie wypowiadała to zdanie ładnie i czysto, powtórzenie tego na głos okazało się to niezwykle trudne.

- DaaAAAAaaa... - odpowiedziała Ida, której słowa zamieniły się w potężne ziewnięcie.

Tak Erna Brown zakończyła swoją Świętą Ucztę. Nie pamiętała, jak znalazła się na górze. Jak razem z Idą, trzymając się za ramiona, opuściły jadalnię i pokonały schody. Gdyby ktoś powiedział jej, że uczyniła to za sprawą magicznego teleportu - pewnie by uwierzyła. Z tamtego wieczora, a dokładnie po dwudziestym którymś pełnym kieliszku wina, Erna pamiętała niewiele. Nie zakodowała momentu, kiedy Charles Bennett, stojący przy krześle Cindy, skorzystał z okazji i dotknął jej pośladków wielką, spoconą dłonią, gdy wychodziła z jadalni. Nie pamiętała również, jak na czworakach wychodziła z pokoju Idy Abramovej, niosąc na plecach swoje jeansy, buty i T-shirt, a już z pewnością wyparła z pamięci moment, gdy próbowała otworzyć drzwi swojej sypialni. Może magiczne teleporty naprawdę istnieją? - stwierdziła ostatkami świadomości, rzucając się brzuchem na łóżko. Tak... na pewno istnieją - odpowiedziały jej z przekonaniem otumanione myśli. Jak inaczej znalazłabyś się w swojej sypialni?!

- Hah... - zaśmiała się pod nosem i zasnęła.

Rozdział 9

Otworzyła oczy. Czuła się jak wyschnięta roślina. Jej gardło przypominało pustynię. Usiadła na brzegu łóżka i ciężko westchnęła. Ostatniego wieczoru znów przesadziła z alkoholem – skarciła się w myślach. Po chwili odchrząknęła, czując nieprzyjemne pieczenie w przełyku. Spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na zegarek. Dochodziła szósta rano. Założyła delbanę, czując, że już nie zaśnie. Pomału uniosła się z łóżka. O dziwo tym razem głowa jej nie bolała. Świat też nie wirował. Pewnie była to zasługa obfitej obiadokolacji, podczas której porządnie napchała swój żołądek. Zresztą nie tylko ona. Wszyscy zgromadzeni przy stole goście nie mogli się oprzeć wczorajszym smakołykom. Zjedli prawie wszystko, co do jednego kawałeczka. Nie został nawet kawałek pieczywa czy porcja mięsa. Nic. Tylko puste półmiski i zabrudzone talerze będące dowodem obfitej uczy. Erna z trudem ściągnęła z siebie sukienkę i założyła znoszone jeansy oraz niezbyt świeży T-shirt. Dopiero gdy zapaliła lampkę nocną, dostrzegła na nim plamę od ciemnego sosu.

- Ech... - jęknęła, patrząc z rozpaczą na zabrudzony materiał. Na szczęście plama zdołała sam koniec koszulki. Erna wcisnęła ją w spodnie i w ten prosty sposób pozbyła się szpecącego zabrudzenia. Bez proszku i pralki. Była genialna! Oblizwała językiem spierzchnięte wargi. Znów poczuła, jak bardzo jest spragniona. Musiała napić się wody.

Erna nigdy nie ćpała. Dalekie jej były narkotykowe odloty. Jednak teraz mogła choć trochę odczuć, co znaczy być na głodzie. W tej chwili potrzebowała wody niczym narkoman narkotyków. Zrobiłaby wszystko dla choćby szklanki tej przezroczystej, zbawiennej cieczy.

W łazience szybko do niej dotarło, że to, co wypływało z kranu, nie ukoi dziś jej pragnienia. Mimo że woda z niego leciała dobrą minutę, to wciąż była niezbyt apetyczna, lekko żółta niczym siki. Jej

łazienkowy kran był loterią, w której nie dane jej było tego dnia wygrać. Ogarnęła ją rozpacz. Mogła zrobić tylko jedno. Kierunek – kuchnia. Było to trochę ryzykowne, zważywszy na to, że Kruger mógłby ją o tej godzinie przyłapać. Wciąż uważała, że ten gnojek miał coś wspólnego ze zniknięciem księdza Uchto. Jednak przez brak dowodów mogła się tego tylko domyślać. Co Stefan Kruger mógłby jej zrobić, gdyby złapał ją w swoim kuchennym królestwie? Erna prychnęła pod nosem. Nie z takimi miała do czynienia. Zresztą jako wodna narkomanka musiała napić się tej cholernej cieczy bez względu na zagrożenia. Wychodząc z pokoju, upewniła się, że nikt nie kręci się po korytarzu. Zamknęła cicho drzwi i ruszyła przed siebie. W duchu dziękowała Idzie za zdradzenie jej tej drogocennej tajemnicy kuchennego klucza. Mijając drzwi do pokoju księdza Uchto, Erna poczuła, jak przez jej ciało przebiega nieprzyjemny dreszcz. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie o dziwnym chrobotaniu dobiegającym zza ściany. Przystanęła gwałtownie. Może powinna tam zajrzeć? – zadała sobie to pytanie, po czym bez chwili wahania podeszła do drzwi i pociągnęła za klamkę.

W pokoju księdza panował mrok. Erna poczuła nagle, jak twarz jej drętwieje od wypełniającego pomieszczenie chłodu. Delikatnie przymknęła za sobą drzwi i zrobiła kilka kroków w głąb pokoju. Ręką wybadała szafkę nocną, a następnie stojącą na niej lampkę. W hotelu Hommanger wszystkie pokoje gościnne wyglądały tak samo, dlatego wiedziała, gdzie szukać. Włączyła światło. Ciemność została rozproszona. Erna nie od razu to zauważyła. Dopiero gdy rozglądając się wokoło, spojrzała za siebie, a dokładnie na ścianę graniczącą z jej sypialnią, dostrzegła znany już jej widok. Przycisnęła zimną dłoń do rozwartych ust. To wciąż budziło w niej emocje. Na widok tego, co zobaczyła, poczuła nieprzyjemny ucisk w okolicy żołądka. W końcu wzięła głęboki oddech i odczytała szeptem krwawy napis wyryty na ścianie:

- „Nic nie dzieje się bez przyczyny”...

Erna podeszła bliżej. Stała teraz twarzą w twarz z tym czymś zdobiącym złowrogo pokój księdza Uchto. Uniosła skostniałą od zimna dłoń i przejechała opuszkami palców po wyżłobionych w tynku liniach. Liniach, które układały się w dobrze jej znane powiedzenie. Oderwała rękę od zimnej powierzchni i spojrzała na swoje palce. Były lekko czerwone. Powąchała je. Tylko upewniła się w swoich wcześniejszych przypuszczeniach. Wszędzie rozpoznałaby ten metaliczny zapach. Czerwony kolor – to ślady krwi! Przełknęła ślinę. Gdy się dziś obudziła, cieszyła się, że nie nawiedził jej tej nocy żaden cholerny koszmar. Teraz jednak znów zaczęły ogarniać ją wątpliwości. Czy to się dzieje naprawdę?! Rozejrzała się gwałtownie po pokoju. Był taki jak jej, tyle że pusty. Bez osobistych rzeczy, bez księdza, który do niedawna tu przebywał. Podeszła do okna. Na dworze było ciemno. Erna jednak doskonale dostrzegła panujący na zewnątrz spokój. Drzewami nie targała przerażająca wichura. Liście spoczywały niewinnie na ziemi. Wszystko wyglądało normalnie. Wszystko było takie, jakie powinno być w realnym świecie.

Dlaczego ksiądz zrobił coś takiego?! Odwróciła głowę i przerażona spojrzała na ścianę. Dlaczego Uchto wskrobał ten napis? Erna od początku miała wrażenie, że z księdzem jest coś jest nie tak. Może zwariował? A może jego też nawiedzały te same koszmary? Dlaczego wskrobał akurat to cholerne zdanie?! Fala pytań bez odpowiedzi zaczęła napływać do jej głowy.

Erna przełknęła ślinę i szybko tego pożałowała. Gardło paliło ją ogniem piekielnym. Wody... – jęknęła w duchu. Czy powinna się przejąć tym, co zobaczyła w pokoju księdza? – spytała samą siebie, wychodząc ostrożnie na korytarz. Przecież Kruger był w tym pokoju. Widział to samo, co ona. Erna schodziła po ciemku ze schodów, przytrzymując się kurczowo balustrady. Nagle przypomniały się jej słowa Adolfo Patino: „No cóż. Obawiam się, że nasz kochany ksiądz nie wytrzymał błogosławieństwa, jakim było dla niego przebywanie w tym miejscu. Najwidoczniej postanowił nas opuścić. Ksiądz Uchto miał słabą psychikę...”.

Może rzeczywiście z księdzem było coś nie tak? Od początku był jakiś... nieobecny – pomyślała, schodząc z ostatniego schodka. Była już na dole. W holu panował przejmujący chłód. Erna przystanęła na chwilę, by upewnić się, że jest sama. Po chwili stwierdziła, że może ruszać dalej. Czy więc powinna przejmować się zdziwaczałym księdzem? Miała o wiele większe zmartwienia. Dziś wracała do Ottawy. Dziś czekało ją spotkanie z szefem. Dziś mogła wylecieć z pracy i zacząć uczyć się bycia zwykłym szarym obywatelem. Co zabawne, to ostatnie mogło ją spotkać akurat po tym wszystkim, czego tu zaznała, a co sprawiło, że znów stała się dawną sobą. Byłaby to nadzwyczajna złośliwość losu! Ale do takiej złośliwości niestety zdążyła przywyknąć. Kąciki jej ust powędrowały w dół. Będzie dobrze – próbowała się pocieszyć.

Stanąwszy przed kuchennymi drzwiami, wyciągnęła rękę ku górze i zaczęła obmacywać płaską powierzchnię górnej części drewnianej futryny. Jak się okazało, klucz leżał dokładnie na jej środku. Chwyliła go ostrożnie w dłoń. Był duży, mosiężny i na jego widok Erna zaczęła się zastanawiać, czy drzwi do królestwa Krugera da się otworzyć w miarę cicho. Szybko jednak stwierdziła, że jeśli udało się to Idzie Abramovej, to i jej się uda. Włożyła klucz w zamek i z wyczuciem nim przekreśliła. Raz, drugi... trzeci. Klik, klik, klik. Dalej napotkała stanowczy opór. Udało się! Kuchnia stała przed nią otworem. Przycisnęła klamkę do dołu i lekko pchnęła drewniane skrzydło. O dziwo zawiasy były dobrze naoliwione. Drzwi nie zapiszczały. Erna wślizgnęła się do środka. Pomacała na oślep ścianę, trafiając ręką na kontakt. Po chwili pomieszczenie zalała duża dawka światła.

Erna zmrużyła oczy, chcąc przyzwyczaić wzrok do wszechogarniającej jasności. Biel i stal panujące w kuchni dodatkowo potęgowały ten oślepiający efekt. Kuchnia była ogromna. Jej ściany i podłoga obłożone były białymi, spękanymi od starości kafelkami. Pośrodku dominowała ogromna biała wyspa zwieńczona metalowym blatem, a wokół piętrzyły się równie białe szafki, stare piece opalane drewnem i wielka srebrna lodówka, która była chyba jedynym

nowoczesnym elementem w tym miejscu. Wewnątrz kuchni panował nieskazitelny porządek. Nadaremno można było szukać leżących na widoku garnków, noży czy innych kuchennych bibelotów. Erna próbowała zlokalizować coś, z czego mogłaby pozyskać wodę. Z determinacją ćpuna zaczęła zaglądać do wszystkich szafek i szafeczek w nadziei, że tam znajdzie choć jedną zbawienną butelkę. Gdy jednak otwierała ostatnią z nich, nie liczyła już, że znajdzie w niej to, po co przyszła. Skąd do cholery Ida brała tę wodę? – pomyślała zniecierpliwiona, masując ręką obolałe gardło. No tak! Było jeszcze jedno miejsce, do którego nie zajrzała. Ogromna, dwuskrzydłowa, srebrna lodówka. To na pewno tam! – stwierdziła, podchodząc do chłodziarki. Pewna siebie uchyliła z rozmachem srebrne drzwi. Mroźne powietrze buchnęło prosto w jej twarz. To ją lekko oszołomiło, gdy jednak doszła do siebie, spojrzała wprost do jej wnętrza.

Erna wrzasnęła. Raz udało jej się głośno. Za drugim razem głos ugrzązł jej w gardle. Odskoczyła gwałtownie do tyłu.

- Co do... co to... - ujęła twarz w dłonie, z przerażeniem spoglądając przed siebie.

Lodówka hotelu Hommanger była zwykła. Zwyczajna, kupiona zapewne w supermarkecie. Jednak jej zawartość była nietypowa. Była obrzydliwa, groteskowa i nie na żarty ją wystraszyła. Przerażona, z oczami przypominającymi piłeczki pingpongowe, spoglądała na talerz leżący w centralnej części otwartej chłodziarki. Na okrągłej, płaskiej porcelanie spoczywała ludzka głowa. Ksiądz Uchto spoglądał na nią martwym wzrokiem, a jego zmierzwiłone wilgotne blond włosy oplatały jego równie martwą twarz. Twarz wykrzywioną w grymasie bólu. Twarz, której usta były rozwarte w niemym krzyku. Erna przełknęła ślinę. Nie zważała teraz na ból gardła. Przerażona spojrzała niżej. Na jednej z półek dostrzegła miskę. Naczynie wypchane było po brzegi palcami rąk i stóp, a także czymś, co musiało być marnej wielkości przyrodzeniem księdza Uchto. Obrzydliwe... Erna poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Wiedziała!

Miała przeczucie, że Kruger zrobił coś temu biednemu księdzu. Pierdolony psychopata! Zabił go! Poćwiartował i ukrył ciało w lodówce! Teraz była tego pewna! Była także pewna tego, że musi stąd uciekać! Ratować swoje dupsko przed tym pierdolonym psychopata! Nie zostanie tu dłużej!

Erna gwałtownie ruszyła w stronę drzwi wyjściowych. W końcu musiała zadbać o własne cztery litery. W głowie układała już plan ucieczki. Wróci do pokoju i weźmie glocka, z którym będzie czuła się bezpiecznie. Jak się stąd wydostanie?! Drzwi wyjściowe hotelu są zamknięte... - przypomniała sobie, gdy zgasła światło w kuchni. No tak! - myślała gorączkowo. Wyjdzie przez okno w swojej sypialni! Przywiąże prześcieradło do futryny i spuści się na pocięty konar drzewa! Tak! Tak robi! Musiała działać szybko i zdecydowanie, choć przede wszystkim... cicho.

Otworzyła drzwi i wyszła z mrocznej kuchni hotelu Hommanger. Bez większej nadziei sprawdziła jeszcze drzwi do jadalni. Te jednak, jak się tego spodziewała, były zamknięte na klucz. Gdyby teraz została przyłapana przez Krugera... - pomyślała ze zgrozą, wchodząc cicho po schodach. Co chwila czuła, jak ciarki przebiegają po jej odrętwiałym ciele. - ...mogłoby to się dla niej źle skończyć. Erna pokonała ostatni stopień schodów, po czym skręciła gwałtownie w stronę swojej sypialni. Nagle przystanęła. Z jej ust wydobył się zduszony krzyk. Wyrwana brutalnie z zamyślenia, patrzyła z przerażeniem przed siebie. Na środku ciemnego holu ktoś stał.

- *Zdrastwujcie* - usłyszała.

Odetchnęła z ulgą i bez zastanowienia podbiegła do Idy, chwytając ją pod ramię.

- Musimy stąd uciekać - syknęła jej stanowczo do ucha, przyciągając ją do siebie. Rosjanka popatrzyła na nią zdziwiona. - Musisz mi zaufać! Później ci wszystko wytłumaczę! - powiedziała Erna tym razem głośniej. Popatrzyła na Rosjanę błagalnym wzrokiem. Ponownie pociągnęła Idę za rękę.

Nagle drzwi tuż obok nich się otworzyły. Obie zamarły. Do holu wkroczyła Cindy Walker.

- Co wy tu robicie? - spytała, przecierając zaspane oczy.

Erna wypuściła pomалу powietrze. Zaczęło się robić za głośno. Zerknęła nerwowo w stronę drzwi do sypialni Krugera.

- My? Nic... zupełnie nic - odparła nieco zmieszana, po czym chwyciła Idę za dłoń i ruszyła w stronę swojej sypialni.

- *Da...* - mruknęła Ida pod nosem, nie protestując.

- Skąd masz ten klucz? - Cindy zaskoczona wpatrywała się w zaciśniętą dłoń Erny a dokładnie w to co się w niej znajdowało. - Cholera - Erna zaklęła w myślach. Po co go brała ze sobą! Było jednak już za późno. Wiedziała, że mają mało czasu. Wiedziała, że jak najszybciej muszą stąd zniknąć, dlatego pozostawiła bez odpowiedzi stojącą pośrodku holu Cindy Walker.

Gdy tylko znalazły się w pokoju, Erna podeszła do swojego granatowego plecaka. Ida przyglądała się jej zdziwiona.

- Posłuchaj mnie! - krzyknęła stanowczo Erna, po chwili chwytając Idę za ramiona. - Tu jest niebezpiecznie. Musimy stąd uciekać. Zaufaj mi! - Abramova z niepokojem zerknęła na glocka, który teraz przywarł do jej lewej ręki. - Kruger to morderca! Myślę, że zabił księdza Uchto. Nie pytaj o szczegóły, wytłumaczę ci to później! Zrobimy teraz tak. Spuścimy się po prześcieradle przez okno i zaczniemy biec przed siebie ile tylko sił w nogach! - Ida milczała. Erna zmrużyła brwi. - Rozumiesz?! - dodała po chwili zniecierpliwiona.

- *Da...* - odpowiedziała cicho Ida.

- Uwierz mi! Nie zwariowałam, a za bardzo cię polubiłam, żeby zostawić cię w tym miejscu. Musisz mi zaufać! - Erna oderwała w końcu ręce od Abramovej.

- GDZIE ONA JEST?! - powietrze przeszył złowrogi głos Krugera.

- O nie... - jęknęła Erna, po czym instynktownie doskoczyła do drzwi, zamykając je na klucz. - Idzie tu! - Erna podbiegła do łóżka.

Glocka schowała bezpiecznie do swojego plecaka. Zwinnym ruchem pociągnęła za prześcieradło.

Abramova spojrzała na nią niepewnie.

- OTWIERAJ! - krzyknął nagle Kruger, waląc z całej siły pięścią w zamknięte drzwi.

- Nie ruszaj się stąd! - odezwała się ponownie. - Ja... ja zajmę się resztą!

ŁUP! ŁUP! Drzwi złowrogo podskakiwały w zawiasach. Erna skierowała się w stronę okna.

- GŁUPIA! I TAK NIE MASZ DOKĄD UCIEC! - wrzasnął rozwścieczony Kruger. ŁUP! ŁUP! Uderzenia były coraz mocniejsze.

- To się jeszcze okaże... - bąknęła pod nosem Erna, otwierając okno. Przywiązała do futryny jeden koniec prześcieradła. Resztę spuściła w dół. Wychyliła się do przodu. Do ściętego drzewa brakowało dobrych kilka metrów... Musiały jednak zaryzykować! Nie było innej drogi ucieczki!

Niespodziewanie usłyszała za sobą znajomy dźwięk. Nie był on dobry. Był cholernie zły i zwiastował coś równie cholernie złego. Klik... klik... - ktoś przekręcił klucz w drzwiach sypialni... IDA! Erna odwróciła się gwałtownie za siebie. Abramova trzymała ją na muszce. Celowała do niej z jej własnego, ukochanego glocka...

- Co? Dlaczego... dlaczego to zrobiłaś?! - jęknęła Erna, ruszając w jej stronę.

Ida uniosła zaciśnięte dłonie, mierząc glockiem prosto w jej głowę.

- Zostań na miejscu - warknęła Rosjanka.

W tej samej chwili drzwi do sypialni się otworzyły. Do środka wparowali wszyscy goście hotelu Hommanger. Erna spoglądała na nich przerażona. Kruger wszedł do sypialni pierwszy. W dłoni ścisnął ogromny kuchenny tasak.

- Nikt was tu nie zapraszał - warknęła Erna, z trudem zdobywając się na odwagę. Zaczęła rozumieć. Zaczęło do niej docierać, że tylko ona powinna uciekać z tego cholernego miejsca.

- Och, słodziutka, okaż trochę gościnności - usłyszała głos Adolfo Patino, który jak gdyby nigdy nic ze spokojem wkroczył do sypialni tuż za Krugerem.

- Ty... ty... wiedziałeś o wszystkim?! - krzyknęła Erna w jego stronę. - A może wy wszyscy go zabiliście?! Może jesteście jakąś pierdoloną sektą mordującą ludzi?!

- Pudło - odezwała się wyraźnie rozbawiona Cindy Walker.

Erna spojrzała w ich stronę z nienawiścią. Cholerni psychopaci... Od początku czuła, że jest coś z nimi nie tak! Nie powinna tu być! Była głupia! Głupia i słaba! Cholerni psychopaci... - powtórzyła gorączkowo w myślach.

- No dobrze, starczy nam tego przedstawienia - odparł oschle Adolfo Patino. - Stefanie - zwrócił się do swojego Kucharza. - Wiesz, co masz zrobić.

Kruger wiedział aż za dobrze. Gwałtownie ruszył w stronę Erny.

- Nawet się, kurwa, nie zbliżaj! - krzyknęła. Wiedziała jednak, że jest na straconej pozycji. Zrobiła kilka kroków w tył. Zdążyła tylko tyle, nim wielka pięść Krugera z impetem uderzyła w jej głowę. Ogarnęła ją ciemność.

Nic nie dzieje się bez przyczyny.

- Obudź się, już czas...

- Dasz radę...

- Walcz...

Znajome głosy krążyły gdzieś wokół niej. Czuła w czaszce potężny ciężar. Jej głowa zwisała bezwładnie, a z rozwartych ust, wprost na podłogę, sączyła się ciurkiem gęsta ciecz.

- To jeszcze nie koniec...

- Musisz się obudzić...

- Otwórz oczy... otwórz oczy, kobieto...

- Boo... bb... yy? - wybełkotała z trudem, dławiąc się krwią.

Poznała ten głos. Była tego pewna. Zaczęła z trudem unosić ciężkie powieki. Ciemność się rozpraszała.

- Boo...byy? - powtórzyła raz jeszcze, czując, jak ogarnia ją nagły strach. Tak trudno było jej podnieść głowę. Tak trudno spojrzeć przed siebie. A co, jeśli się spóźni? Jeśli jej przyjaciel znów zniknie? Jęknęła żałośnie. Nie mogła w tej chwili się poddać.

- Dasz radę... walcz... - ponownie usłyszała jego głos.

To ją zmobilizowało do działania. Zaciśnęła zęby i zadarła głowę do góry. Spojrzała przed siebie. Obraz przed oczami miała wciąż niewyraźny. Ciemniejsze i jaśniejsze plamy migotały niczym w rytm wesołej, skocznej piosenki. Sytuacja, w której się znalazła, nie była jednak wesoła. Chciała wstać, szarpiąc ciałem w górę. Zamiast tego zachwiała się niebezpiecznie na boki. Musiała na czymś siedzieć. Na czymś twardym. Postanowiła ocenić sytuację, w której się znalazła. Próbowwała unieść swoje stopy. Nie dała rady. Poczowała silny ucisk wokół kostek. Jej nogi były przywiązane do krzesła. Przełknęła kilkakrotnie ślinę wymieszaną z jeszcze ciepłą krwią. Skrzywiła się, czując pulsujący ból w okolicy prawej skroni.

- Bobby, to ty? - powiedziała tym razem wyraźniej. Zmrużyła oczy, jednak obraz wciąż pozostawał niewyraźny. Chciała je przetrzeć dłonią, ale coś ją skutecznie powstrzymało. Poruszyła swoimi nadgarstkami i po chwili zorientowała się, że obie ręce ma za plecami, solidnie ze sobą związane.

- Co się dzieje?! - krzyknęła, czując narastające zagrożenie.

- Spokojnie... dasz radę... - znów dobiegł do jej uszu głos Bobby'ego.

Erna zaczęła wątpić w te słowa. Prawdę mówiąc, nigdy nie była w gorszej sytuacji. Na chwilę obecną wiedziała tylko, że siedzi gdzieś, przywiązana do krzesła, i nie czuje się zbyt dobrze. Wreszcie skoczne plamy przed jej oczami zaczęły stapiać się w jedną całość. Erna ścisnęła mocno powieki, po czym zamrugała kilkakrotnie.

- Już czas...

- Ocknij się...

Teraz obraz zrobił się wyraźniejszy. Pośród jasnożółtej poświaty dostrzegła dwie rozmyte ludzkie sylwetki.

- Dasz radę... - zwróciła się w jej kierunku mniejsza postać. Z jednobarwnej smukłej formy przeszła w zarys sylwetki, a następnie przeistoczyła się w małego chłopca. Erna nareszcie ujrzała jego twarz. Tę samą, którą kilkakrotnie widziała w swoim pokoju. Tę samą, która była przy nagrobku... Przeniosła wzrok na jego prawą dłoń. W miejscu palca wskazującego połyskiwała srebrna proteza.

- Sammy... Samuel? - wybełkotała zdumiona. Była pewna, że go rozpoznała. Chłopiec uśmiechnął się do niej, po czym spojrział w bok, na stojącego przy nim mężczyznę. Erna podążyła za jego wzrokiem.

W tym momencie chciała krzyknąć. Chciała wykrzyczeć imię przyjaciela, lecz to skutecznie utknęło jej w gardle. Zamiast tego wydała z siebie stłumiony jęk. Bobby stał niecały metr od niej. Dobrze go teraz widziała. Nie mogła się mylić. Spoglądała na jego niebieskie ogrodniczki, umazane jak zawsze samochodowym smarem, na jego wielką, włochatą głowę i wreszcie na twarz. Znała jej tak dobrze, jak własne odbicie w lustrze. Bobby jednak się nie uśmiechał. Zamiast tego co chwila obracał się z niepokojem za siebie, jakby chciał się upewnić, że nic nie czyha za jego potężnymi plecami.

- Bob... - Erna wreszcie odzyskała głos. - Bobby... co się dzieje?! - wykrztusiła, czując, jak łzy napływają jej do oczu.

- Walcz... dasz radę... - odpowiedział Bobby, co chwila zerkając to za siebie, to na małego chłopca. Nagle z twarzy Sammy'ego również zniknął beztronski uśmiech. Gdzieś z tyłu dobiegł ich nieludzki skowyt.

- Zbliża się! - wykrzyknął Samuel. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Bobby spojrział raz jeszcze w tył, po czym chwycił chłopca za rękę i pociągnął do przodu.

- Kto?! - spytała zaniepokojona Erna. Powietrze przeszył chrobotliwy krzyk. - Kto się zbliża?! - powtórzyła przestraszona.

Bobby wraz z chłopcem przemknęli tuż obok niej.

- On... - zdążył wyszeptać jej do ucha Samuel - ...wiecznie nienasycony Andreas Wesaliusz...

- Co?... - jęknęła Erna, próbując obrócić głowę do tyłu. Kątem oka widziała oddalające się ludzkie sylwetki. - Nie zostawiajcie mnie! -

krzyknęła rozpaczliwie w ich stronę. Cokolwiek zbliżało się do niej, było tuż-tuż. Długie jęki, przeplatane na przemian z chrobotliwym ujadaniem, coraz bardziej wypełniały otoczenie.

- Spokojnie... - odpowiedział chłopczyk, który teraz przypominał małą, oddalającą się kropkę na horyzoncie. - On poluje tylko w świecie zmarłych... - wyjaśnił po chwili.

- Co?! - krzyknęła przerażona Erna. Poczowała potężny ból w krtani. Za mocno skręciła szyję, chcąc dostrzec przyjaciela.

- Dasz radę... - ostatnie słowa Bobby'ego rozbrzmiały w jej głowie. Chwilę później już ich nie było.

- NIE! - wrzasnęła Erna. Poczowała rozrywający ból w klatce piersiowej. - NIE! - powtórzyła, zalewając się łzami. Raz jeszcze spojrzała z trudem za siebie, chcąc się upewnić, że jej przyjaciel znów ją opuścił. Tak też się stało. Zostawił ją w najgorszej chwili.

Pociągając z żalością nosem, odwróciła głowę. Nagle krzyknęła. Mroczna zjawy unosiła się nad ziemią tuż przy jej twarzy. Erna chciała unieść ręce. Zasłonić się. Chciała uciekać jak najdalej z tego miejsca. Była jednak przywiązana. Była skutecznie unieruchomiona. Mogła tylko siedzieć i czekać. Jej ciało dygotało ze strachu. Czowała, jak jej zęby mimowolnie obijają się o siebie, wydając z ust odgłosy rytmicznego stukania. Te jednak szybko niknęły w głośnym, chrobotliwym oddechu stwora. „Wiecznie nienasycony Andreas Wesaliusz...” - rozbrzmiały w jej głowie słowa Sammy'ego. Zmusiła się, aby spojrzeć na twarz stojącej tuż przy niej zjawy. Zadarła dygocący podbródek do góry i utkwiała wzrok prosto w jej pustych oczodołach. Widziała zło. Ludzkie cierpienie. Przeszywający ból. Nieprzyjemny, lodowaty dreszcz wzdrygnął jej skrzepowanym ciałem. „On poluje tylko w świecie zmarłych...”.

Zjawy drgnęła niespodziewanie. Erna krzyknęła, przekręcając głowę w bok. Zacisnęła mocno powieki. Szarpnęła swoim skrzepowanym ciałem. Krzesło kilkukrotnie zachwiało się, po czym runęło do tyłu. Jej głowę przeszył ogromny ból. Czowała, jakby jej czaszka miała za chwilę eksplodować.

- Obudź się.... - ponownie usłyszała znajomy głos. Przecież już nie spała. - Obudź się... - nie był to jednak głos Bobby'ego. - Obudź się, słodziutka...

Znów siedziała związana na krześle. W głowie jej huczało. Tyle wiedziała na pewno. I jeszcze ten głos. W sytuacji, w której się obecnie znajdowała, obecność Adolfo Patino u jej boku ją przerażała. Nie wiedziała, co gorsze. Zjawa nawiedzająca ją w tych strasznych, nad wyraz realnych snach czy autentyczny, ciepłokrwisty Gospodarz morderca, zdolny z zimną krwią zlikwidować ją w każdej chwili. Bo przecież nie mógł jej już więcej darzyć sympatią... Nie po tym, co odkryła. Popieprzone towarzystwo.

Erna widziała dwa wyjścia z tej chorej sytuacji. Pierwsze zakładało, że nic nie robiąc, pozwole się zapewne zamordować. Tego oczywiście wolałaby uniknąć. Druga opcja wydawała się o niebo lepsza. Była jej celem, do którego od teraz musiała dążyć. Wystarczy tylko się uwolnić, zabić wszystkie roztocza i wydostać się z tego chorego miejsca. Byle jak najdalej. Da radę. Była do tego przygotowana. Oby jej nie zabili, zanim dojdzie do siebie. Teraz musiała postępować ostrożnie. O dziwo całą nadzieję musiała upatrywać w Gospodarzu. Wystarczy, że odpowiednio poprowadzi rozmowę... Jednak Erna czuła się w tej chwili kiepsko. Jej głowa znów bezwładnie zwisała i wyglądała, jakby nie była połączona z szyją. Ostrożnie otworzyła oczy. Mieszanka śliny i krwi kapłała ciurkiem z jej rozchylonych ust. Usłyszała szuranie. Na podłodze dostrzegła parę błyszczących czarnych butów. Niespodziewanie jej głowę otoczyły szczupłe, szorstkie dłonie, które delikatnie i z wyczuciem ustawiły ją pionowo na szyi niczym rzeźbę na postumencie. Ernie przypomniały się popiersia stojące w salonie. Gdyby nie reszta ciała, wyglądałaby w tej chwili dokładnie tak samo jak one. Blade, martwe i nieruchome. Adolfo Patino oderwał ręce od jej twarzy i zrobił krok w tył. Erna z trudem utrzymywała otwarte powieki. Strużka ciepłej krwi spływała z lewego kącika jej ust na podłogę.

- Kto by pomyślał, słodziutka, że tak to się skończy... Doprawdy chciałem dla ciebie innego zakończenia - odezwał się nagle Gospodarz, po czym odwrócił się do niej plecami i podszedł do gabloty stojącej przy ścianie. Uchylił szklaną szybę i po chwili wyciągnął z niej opasłą księgę. Do Erny dotarło, gdzie musiała przebywać. Była w jego gabinecie. Od wolności dzielił ją zaledwie korytarz, schody i główny hol - próbowała w myślach nakreślić drogę ucieczki. Ale to musiało jeszcze poczekać. Była zbyt słaba. „Dasz radę...” - krzepiące słowa Bobby’ego ze snu wciąż krążyły w jej obolałej głowie.

- Polubiłem cię, słodziutka - wyrwał ją z zamyślenia Adolfo Patino. - Polubiłem cię, dlatego będę z tobą szczery. Zasłużyłaś na to. - To powiedziawszy, wykrzywił usta w szaleńczym uśmiechu. Uśmiechu, któremu daleko było do życzliwości. Był to przerażający grymas eksponujący w pełni sztuczne uzębienie Gospodarza. - Mam dla ciebie dwie wiadomości. Dobrą i złą. Którą chcesz najpierw usłyszeć?

Erna nie miała siły odpowiedzieć. Nie była w stanie sklecić nawet krótkiego słowa. Odetchnęła głęboko. Adolfo ponownie zbliżył się do niej. Przyłożył do jej twarzy swoją chłodną, szczupłą dłoń. Spojrzała na niego obojętnie.

- Nieźle cię urządził ten mój Kucharz - stwierdził, gładząc ją z czułością po obolałej skroni. - No dobrze. Pozwól zatem, że ja dokonam wyboru. Zaczniemy od złej wiadomości. Będziemy musieli cię zabić, słodziutka. Jestem jednak pewien, że to w pełni rozumiesz. - Patino oderwał od jej twarzy rękę i położył ją na opasłej księdze spoczywającej w jego lewej dłoni. - A teraz ta dobra wiadomość. Zanim cię zabijemy, dowiesz się rzeczy, o których nie miałaś pojęcia. Prawdy, którą kierują się tylko ludzie tacy jak ja. Tacy jak my. Jak całe Stowarzyszenie Wesaliuszy.

Gospodarz wyglądał w tej chwili jak szaleniec. Mały, stary szaleniec, który zaczął bredzić od rzeczy. Do tego był mordercą. Jeśli Erna nie chciała zostać jego kolejną ofiarą, musiała pozwolić mu na ten pełen pompatycznego tonu monolog. Nie chciała skończyć jak ten

biedny ksiądz. Nie chciała, żeby jej głowa chłodziła się w lodowce hotelu Hommanger. Ze wszystkich sił pragnęła, aby została na swoim miejscu, połączona z szyją, z całym jej ciałem. Oparła ją teraz bezpiecznie o zagłówek krzesła.

- Wszystko ma swój początek i koniec w tej oto księdze, słodziutka.
- Patino postukał delikatnie czubkiem palca w twardą okładkę atlasu anatomicznego. - Zaczniemy więc od twojego początku. Od chwili, gdy przekroczyłaś próg tego... - rozejrzał się wokoło, jakby pierwszy raz przebywał w tym pomieszczeniu, po czym dokończył: - ... budynku. Kiedyś, rzecz jasna, znajdował się tu hotel. Swego czasu świetnie prosperował. Jednak syn właścicieli, którego miałaś okazję poznać... - Adolfo spojrzał wyczekująco na Ernę. Widząc jednak, że nie może liczyć na jakąkolwiek reakcję z jej strony, postanowił kontynuować: - To prawdziwie ogromny zbieg okoliczności, słodziutka, że twoim wykładowcą medycyny był Samuel Cavalcanti. Stary, poczciwy i równie mądry, co głupi Sammy. Nie po drodze mu jednak było z hotelarstwem. Wolał iść na medycynę, a później zostać wykładowcą, bądź co bądź, szanowanym w swoich kręgach. Musisz jednak zrozumieć, że nauczanie nie było jego głównym, życiowym celem, słodziutka. Samuel, tak jak ja, tak jak nasi rodzice, należał do Stowarzyszenia Wesaliusza. Zostać w Stowarzyszeniu Kucharzem, a później Gospodarzem, to największy zaszczyt i chluba, jaką można przynieść swojej rodzinie. Musisz zrozumieć, słodziutka, że nasze Stowarzyszenie jest potężne. Potężniejsze i bardziej wpływowe niż niejeden wielki polityk tego świata. W każdym kraju mamy swoich ludzi i wypełniamy misję zapoczątkowaną przez samego mistrza. Wielkiego Andreasa Wesaliusza. Dziś żyjemy w złotych czasach, w których Stowarzyszenie może pełnić dla ludzkości nową, zbawienną posługę. A to wszystko całkowicie za darmo. To tylko kolejny znak, że Andreas Wesaliusz był prawdziwym geniuszem. Był... wizjonerem!

Erna spoglądała na Gospodarza krążącego z zapalem po gabinecie. Tylko wzmianka o Samuelu szczerze ją zainteresowała. Reszty nie rozumiała i nie miała pojęcia, o czym bredził ten chory na umyśle

staruch. Musiała jednak grać na zwłokę. Upływający czas działał na jej korzyść. Zerknęła teraz w dół, na ręce mającego starca, w których Adolfo trzymał stary atlas anatomiczny. O czym mógł mówić ten wariat? Co to ma wspólnego z morderstwem tego biednego księdza? Nagle Adolfo Patino zatrzymał się i spojrzał w jej stronę. Wydawał się szczerze zatroskany, a przynajmniej świetnie udawał te ludzkie emocje. To naprawdę przerażające, jak ten niepozorny staruszek opanował do perfekcji swoją mimikę twarzy – pomyślała z trwogą Erna, która na nowo poznawała naturę niepozornego Gospodarza.

- Wygodnie ci, słodziutka? – spytał Adolfo.

- Tak – odparła z trudem.

Przełknęła ślinę. Czowała się odrobinę lepiej. To dobrze. Bardzo dobrze – starała pocieszyć się w duchu. Gospodarz wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym podrapał się po siwej głowie.

- Och, na czym to ja skończyłem... – próbował sobie przypomnieć.

- Na zło... – Erna odchrząknęła. Poczowała, jak zaschnięta krew odrywa się od jej podniebienia. – Na złotych czasach Stowarzyszenia – dokończyła.

Adolfo Patino poklepał się po głowie.

- No tak. – Mrugnął okiem w jej kierunku. – Widzę, słodziutka, że cię zainteresowałem. To dobrze, to dobrze – powtórzył, po czym oparł plecy o gablotę. Erna zauważyła na jego czole drobinki potu. – Wracając do tematu – mówił Adolfo Patino, wycierając czoło białą chusteczką. – Dziś Stowarzyszenie Wesaliusza wypełnia posługę nie tylko dla ludzi oświeconych, ale także dla całej ludzkości. Jako dziennikarka zapewne słyszałaś, słodziutka, że światu grozi przeludnienie. Tak, tak. Oklepany temat, jednak już teraz jest nie za ciekawie. Jedni radzą sobie z tym problemem, wybijając bogu winnych ludzi wirusami, a są i tacy, którzy od czasu do czasu planują większą katastrofę, w której raz na jakiś czas spada pasażerski samolot lub wybucha podłożona w dużej galerii handlowej bomba. Tak samo jest z lekami na śmiertelne choroby, a przynajmniej tylko

z pozoru śmiertelne. Taki rak na przykład. Niby złośliwy i niby nie ma lekarstwa. Prawda jest jednak taka, że lekarstwo zostało dawno opracowane, jednak nie opłaca się go wprowadzać na rynek. Byłoby to co najmniej nieekonomiczne, słodziutka. Musisz wiedzieć, że według mnie takie uśmiercanie ludzi jest nieludzkie i Stowarzyszenie Wesaliuszy zdecydowanie potępia takie zabiegi. To jest straszne marnotrawstwo... straszne!

Erna spojrzała na niego z niedowierzaniem. Jakby obcięcie głowy księdzu było czymś ludzkim i wytłumaczalnym... Stary hipokryta - stwierdziła w myślach z odrazą.

- Chyba czujesz się zagubiona w tym natłoku informacji - oświadczył Adolfo. - Obiecuję jednak, słodziutka, że już niedługo wszystko ułoży się dla ciebie w jedną całość.

Dla Erny „już niedługo” było jednoznaczne z wyznaczeniem daty jej egzekucji. Miała więc tylko „już niedługo”, aby dojść do siebie. Gospodarz spojrzał w okno, zamyślony. Erna podążyła za jego wzrokiem. Świtało. Zdała sobie sprawę, że musiała być nieprzytomna dobrych kilka godzin. Godzin, przez które jej organizm zdołał się z pewnością choć trochę zregenerować. Może jej się udać. Może przeżyć i uciec z tego pieprzonego miejsca.

- Jak mogłaś się domyślić, słodziutka, jestem jednym z kilkunastu Gospodarzy w Stowarzyszeniu Wesaliuszy. Odpowiadam za dobór corocznych gości, za jedzenie, za coroczne miejsce, w którym dochodzi do Wielkiej Gry i Świętej Uczty, a także mam na głowie szereg innych mniej lub bardziej ciekawych czynności - powiedział Adolfo Patino, wciąż wpatrując się w zamglone okno. - Muszę ci się pochwalić, słodziutka, że jako Gospodarz jestem do tej pory najlepszy z całego Stowarzyszenia. Najlepszy w tym wypadku oznacza, że przynoszę spore dochody Stowarzyszeniu, ale też odnajduję w świecie najciekawsze osoby, które godnie reprezentują nasze główne idee. Oczywiście żaden Gospodarz nie osiągnąłby niczego bez swojego Kucharza. Dla mnie Kucharzem jest Stefan. Po mojej śmierci to on mnie zastąpi. Będzie kontynuował nasze osiągnięcia, a na jego palcu

spocznie złoty pierścień z jego inicjałami. Stanie się Gospodarzem. – Adolfo uniósł serdeczny palec prawej ręki ku górze. Złoty sygnet rozbłysnął w sztucznym świetle żyrandola. – A teraz powinnaś zapytać, słodziutka, kto po mojej śmierci zostanie wyznaczony na nowego Kucharza. Zważywszy jednak na twój opłakany stan, nie będę cię męczył i pozwolę sobie od razu odpowiedzieć. Tradycja nakazuje, że Kucharzem w Stowarzyszeniu Wesaliuszy może zostać osoba, która co najmniej cztery razy gościła na Świętej Uczcie i wyróżniła się wybitnymi osiągnięciami w swoim prywatnym życiu. Innymi słowy ta, która zdołała przetrwać czterokrotnie Wielką Grę. Niestety – Adolfo sposepniał nagle – moja sytuacja zdrowotna zmusza mnie do złamania tej zasady. Oczywiście wszystko ustalone jest z Wielką Radą Stowarzyszenia. Prawdę mówiąc, wątpliwe jest, abym dożył do następnej Uczty. Dlatego też wybiorę nowego Kucharza jeszcze dziś. Jak myślisz, słodziutka, kogo mam na myśli?

– Na pewno nie księdza Uchto... – odpowiedziała szyderczo Erna.

Z przerażeniem stwierdziła, że jej powieki znów zrobiły się jakby cięższe. W jej głowie rozbrzmiały słowa Bobby'ego: „Dasz radę... walcz”. Zamrugła kilkakrotnie i spróbowała oderwać głowę od oparcia. Ta przez chwilę zachwiała się niebezpiecznie, jednak Erna zdołała nad nią zapanować. Było zdecydowanie lepiej. Pomału odzyskiwała siły.

– Postanowiłem, że nowym Kucharzem zostanie panna Cindy Walker – oznajmił z dumą w głosie Adolfo Patino, ignorując tym samym jej odpowiedź. Oderwał wzrok od okna i ponownie podszedł do gabloty. Z każdą chwilą czuł, jak jego ciało odmawia mu posłuszeństwa. Musiał je bezpiecznie oprzeć i wytrzymać. Ta dziewczyna zasługiwała na prawdę. Przynajmniej to mógł dla niej teraz zrobić.

– Po mojej śmierci to właśnie ona i Stefan będą prowadzić dalej naszą działalność na rzecz Stowarzyszenia. Panna Walker wprowadzie ma za sobą trzy Wielkie Gry, jednak... – Adolfo zamyslił się na chwilę, a Erna dostrzegła, jak na jego twarzy maluje się wyraz ogromnego

podziwu. – Wyobraź sobie słodziutka, że ta młoda kobieta ma na swoim koncie niesamowite osiągnięcia. Choć nie posiadała wielu pieniędzy, zdołała otworzyć food trucka, dzięki któremu w pełni zasłużyła na wstęp do Stowarzyszenia. Dzięki któremu pokazała, jak wspaniale można wypełniać misję Andreasa Wesaliusza! Jestem dumny, niczym ojciec ze swojego dziecka, że taka osoba jak panna Walker mogła dołączyć do naszego Stowarzyszenia. Stowarzyszenia, dla którego będzie kontynuowała nasze tradycje i kiedyś sama znajdzie się na samym szczycie najwybitniejszych Gospodarzy. Ale nie będę zanudzał cię takimi szczegółami. Wszak to przyszłość, bliska, to fakt, jednak dla ciebie nawet to, co stanie się jutro, nie ma już żadnego znaczenia. Oboje o tym wiemy, słodziutka.

Erna poczuła, jak po jej ciele przebiega nieprzyjemny dreszcz. Zerknęła w dół. Jej nogi przywiązane były grubym sznurem do krzesła. Poczowała lekkie drętwienie ramion wygiętych zbyt mocno do tyłu. Sznur oplatający jej nadgarstki był solidnie zaciśnięty. Bezlitośnie wrzynał się w skórę, powodując nieprzyjemne pieczenie. Nie miała szans, aby poluznić wiązanie. Tę opcję ratunku musiała stanowczo wykluczyć. Do tego szczebelki w oparciu siedziska boleśnie wbijały się w jej plecy. Ach, kobieto, jesteś w czarnej dupie... – pomyślała zrozpaczona.

– Pozwól, słodziutka, że pokrótce zaprezentuję ci sens i działanie Stowarzyszenia Wesaliusza. Myślę, że każdy przed śmiercią chciałby otrzymać takie dobrodziejstwo w postaci oświecenia.

Erna kiwnęła głową, chcąc podtrzymać swoje udawane zainteresowanie. Starła się sprawiać wrażenie pogodzonej z losem i niezwykle upojonej słowami tego nieobliczalnego starucha. Słowami, które tak naprawdę miała głęboko w poważaniu. Jak na razie udawało jej się zyskać trochę czasu.

– Jak już mówiłem, Stowarzyszenie Wesaliusza działa na całym świecie. Najważniejszą w nim funkcję sprawują Gospodarze, którzy tworzą własną, wewnętrzną rekrutację, a co za tym idzie – ścisłą listę członków. Każdy Gospodarz ma swojego Kucharza. Nas miałaś okazję

już poznać. Gospodarze co roku na Wielką Grę i Świętą Ucztę zapraszają do siebie siedmioro gości ze swoich list. Jak co roku, piętnastego października odbywa się Wielka Gra. Ta data, słodziutka, obowiązuje dla wszystkich Gospodarzy i jest święta. Tak jak wigilia dla katolicyzmu, pierwszy dzień ramadanu dla Islamu czy chociażby światowy dzień uśmiechu. Piętnastego października bowiem umarł Andreas Wesaliusz i w ten dzień jeden z graczy musi ofiarować swoje życie.

- C... cooo? - wybełkotała Erna. Miała nadzieję, że się przesłyszała.

Gospodarz wzruszył obojętnie ramionami.

- Tak, słodziutka. Osoba, która podczas Wielkiej Gry zajmie ostatnie miejsce, będzie musiała ofiarować swoje życie dla chwały Andreasa Wesaliusza. Ach! - krzyknął nagle podekscytowany, a Erna poczuła, jak robi jej się niedobrze. Chyba zaczynała rozumieć, o co mogło w tym wszystkim chodzić. Niestety...

- Z pewnością nie uwierzyłaś, gdy pierwszego dnia naszego spotkania powiedziałem, że kości, którymi grali nasi goście, wykonane są z prawdziwych kości samego Wesaliusza? - Erna przypomniawszy sobie ich dziwny wygląd. Ich niespotykaną barwę i nieregularne kształty. Poczuła obrzydzenie. - To nic! - ciągnął podniecony Gospodarz. - Szkatułka, w której znajdowały się elementy gry, została pokryta jego prawdziwą skórą! Tak samo kubeczek! Czy to nie wspaniałe?! Czy to nie cudowne, że Stowarzyszenie posiada takie relikwie?! Wiem, że nie wierzyłaś, ale taka jest prawda!

W przelęku Erny pojawiła się wielka gula. Coś, czego nie mogła przełknąć. Coś, co z każdą mijającą sekundą podchodziło coraz wyżej i wyżej. Z trudem powstrzymywała się przed wymiotowaniem.

- Powróćmy jednak do tematu, słodziutka. Po pięciu dniach od Wielkiej Gry, podczas których goście nabierają ogromnego apetytu, a osoba przegrana ma czas, aby pogodzić się ze swoim świętym losem, następuje długo wyczekiwana Święta Uczta. Uczta, która jest hołdem dla idei wdrożonych przez samego Andreasa Wesaliusza.

Uczta, którą z największą pieczołowitością, o czym miałaś okazję się przekonać, przygotowuje nasz Kucharz.

Erna poczuła, jak ogromna gęła napiera na jej gardło. Znów przełknęła kilkukrotnie ślinę. Nic to jednak nie dało. Domyślała się, co zamierzał powiedzieć jej Gospodarz. Domyślała się, co zaraz powie jej ten stary skurwysyn. Ach, jak bardzo w tej chwili miała nadzieję, że się myli. Chciała nie mieć racji. Chciała, aby jej domysły nie stały się faktem...

- Kontynuując tradycję zapoczątkowaną przez mistrza Wesaliusza, na Świętej Uczcie zaproszeni goście spożywają osobę, która z pełnym przekonaniem przystąpiła do Wielkiej Gry. Osobę, która wstępując w progi Stowarzyszenia, miała świadomość, że może stać się świętym pożywieniem dla braci i sióstr.

Erna poczuła, jak zawartość jej żołądka dosłownie eksploduje, niczym gejzer, w górę przełyku.

- W tym roku swoje życie dla dobra zachowania ludzkiej natury poświęcił nasz drogi ksiądz Uchto. Spoczął na naszych stołach, abyśmy nigdy nie zapomnieli, kim naprawdę jesteśmy. Abyśmy nigdy nie wyzbyli się naturalnej żądzy spożywania ludzkiego mięsa.

Buzujący w Ernie gejzer wybuchł z ogromną siłą, bez problemu przepychając ogromną gulę. Przedostał się do jamy ustnej, po czym z impetem wyleciał przez rozwarte usta wprost na drewnianą podłogę. Szaro-brązowa gęsta ciecz wylądowała niedaleko stóp zaskoczonego Gospodarza. To jednak nie był koniec. Erna wychyliła głowę do przodu i kolejny obfity bełt wylądował na podłodze. Właśnie z wymiotowała Świętą Ucztę. Wydała z siebie księdza Uchto. Zwymiotowała na wpół strawione kawałki jego ciała. Następna fala obrzydzenia wstrząsnęła potężnie jej unieruchomionym ciałem. Krzesło zaskrzypiało głośno. Erna straciła równowagę, lądując boleśnie na kolanach. W ostatniej chwili zdołała utrzymać głowę w powietrzu, unikając zamoczenia twarzy w wymiocinach.

- Co tu się dzieje?! - niespodziewanie do gabinetu wpadł Stefan Kruger. - Co tu się dzieje?! - powtórzył, patrząc z niedowierzaniem to

na Ernę, to na Gospodarza.

- Rewolucje żołądkowe - ocenił beznamiętnym tonem Adolfo Patino. - Podnieś ją.

Kruger z obrzydzeniem podszedł do Erny, uważając przy tym, aby nie wdepnąć butem w to, co przed chwilą z siebie wydalila. Chwycił za oparcie krzesła i jednym ruchem przywrócił je do normalnej pozycji. Erna przez kilka sekund czuła się jak w stanie nieważkości, gdy nagle jej zadek twardo wylądował na drewnianym, niewygodnym siedzeniu. Wiązania na nadgarstkach i kostkach mocno wbiły się w jej skórę. Jęknęła z bólu.

- Muszę przyznać, słodziutka, że nie takiej reakcji spodziewałem się po tobie - odezwał się Gospodarz, który z pogardą spoglądał na zabrudzoną podłogę.

- Jesteście nienormalni... - jęknęła Erna. Poczowała silne szarpnięcie przy skrępowanych dłoniach. To Kruger sprawdzał, czy wiązania wciąż należycie się trzymają. Niestety dla niej, nic a nic się nie poluzowały.

- Zapewniam cię, że my jesteśmy jak najbardziej normalni. To świat, w którym żyjemy, jest nienormalny. Próbuje wyzbyć się prawdziwej natury człowieka.

- Prawdziwej natury?! - wykrzyknęła Erna. Nagle poczuła duży przypływ energii. - Waszym zdaniem kanibalizm to jebana, prawdziwa natura człowieka?!

- Tak - odpowiedział krótko pewny siebie Adolfo Patino.

- Jesteście nienormalni... - powtórzyła raz jeszcze Erna, kręcąc głową.

- W ten sposób, słodziutka, nie dojdziemy do porozumienia - odparł stanowczo Gospodarz. - Myślę, że powinnaś teraz odpocząć, a wtedy dokończę swoją opowieść. Stefan pomoże ci się zrelaksować.

Na te słowa Kruger kiwnął porozumiewawczo w stronę Adolfo Patino, po czym odwrócił się w kierunku związanej Erny.

- Słodkich snów - syknął w jej stronę, po czym zaśmiał się szyderczo pod nosem. Uniósł do góry dłoń zaciśniętą w ogromną

pięść.

- Pierdol się - odpowiedziała mu Erna, a chwilę później otrzymała potężny cios w głowę. Zanim odpłynęła, zdążyła stwierdzić w myślach, że wszystko idzie zgodnie z planem. Dostała jeszcze trochę czasu. Mogła spróbować wyjść z tego cało.

Tym razem pobudka okazała się mniej bolesna. Wprawdzie prawa strona głowy bolała ją niemiłosiernie, jednak ogólny stan jej ciała, prócz wszechobecnego odrętwienia, budził w niej nadzieję. Jest lepiej. Jest lepiej - powtórzyła w duchu, mobilizując się do tego, aby otworzyć oczy. Panująca wokół cisza była niepokojąca. Mogło to oznaczać, że albo stała się nieodwracalnie produktem mięsnym, oczekującym na obróbkę w upiornej kuchni Krugera, albo jej plan przebiegał idealnie i może uda jej się opuścić to miejsce w jednym kawałku. Ta druga opcja była nadzieją, za którą oddałaby w tym momencie wszystko. Otworzenie oczu okazało się niełatwą czynnością. Sklejone ropą rzęsy dodatkowo utrudniały to zadanie. Nagle w jej głowie zmaterializowała się napuchnięta twarz Idy Abramovej. Znajdujące się na niej olbrzymie usta przemówiły z wyraźnym akcentem: „Jakby ktoś nazywał mnie słodziutka, to pomyślałabym, że ma na mnie ochotę”... Teraz słowa Rosjanki nabrały nowego, prawdziwego znaczenia. W tym momencie Erna zdała sobie sprawę z tego, co Ida miała na myśli.

- Ma na ciebie ochotę... - wyszeptała pod nosem i po chwili jej twarz zalał grymas obrzydzenia. Pierdoleni kanibale. Ten staruch i cała jego świta. Jak mogła być taka naiwna? Jak mogła nie zauważyć, że coś jest nie tak? - karciała w duchu samą siebie. Znała jednak odpowiedź. Było pewne usprawiedliwienie, którego brzydziła się równie mocno jak tego miejsca. Jej słabość, jej nędzny stan emocjonalny, w który wdepnęła swoją profesjonalną stopą po tym jednym cholernym zleceniu. Po spotkaniu tego małego niewinnego dziecka. To nie powinno się wydarzyć. Może i była słaba. Może tak było, ale to już przeszłość. Teraz jest sobą i na pewno nie da się tak łatwo zabić. Gniew i pewność siebie skutecznie pobudziły jej serce.

Zacisnęła związane dłonie. Poczwała napływ wewnętrznej siły. Na pewno nie zostanie ich deserem. Adrenalina zaczęła buzować w jej żyłach. Tym razem powieki uniosły się bez problemu. Zebrane pod nimi łzy rozlały się po jej policzkach. Kilka długich, oderwanych rzęs zostało pod okiem wraz z warstwą żółtej wydzieliny. Szybko okazało się, że nie była w pokoju sama. Uniosła głowę wyżej i drgnęła zaskoczona. Otaczały ją głowy. Osiem ludzkich głów, które przesywały ją martwym wzrokiem. Kolejne ofiary? Kolejne odcięte ludzkie łby?

Dopiero po chwili dotarło do niej, na co patrzy. Ktoś zadał sobie wiele trudu, aby przenieść te alabastrowe rzeźby do gabinetu.

- Witaj ponownie, słodziutka.

Szybko okazało się, że tym kimś był oczywiście nie kto inny, jak sam Adolfo Patino. Erna uśmiechnęła się w jego kierunku. Zrobiła to naturalnie i szczerze, choć nie uśmiechała się na jego widok. Co to, to nie! Te ludzkie postumenty spotęgowały jej nadzieję na przeżycie. Widocznie Gospodarz miał jej jeszcze sporo do opowiedzenia. Adolfo Patino, zaskoczony jej reakcją, rozwarł lekko usta. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią zdziwiony, po czym odrzekł:

- Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że nie będziesz mogła dołączyć do naszego Stowarzyszenia. - W jego głosie dało się słyszeć prawdziwą nutkę żalu.

Erna spuściła wzrok.

- Chyba... chyba też zaczyna być mi przykro z tego powodu - skłamała.

- Naprawdę? - zdziwił się Adolfo. Tym razem odległość pomiędzy jego górną a dolną wargą była większa.

- Tak... To znaczy... - Erna zawahała się.

- Mów, słodziutka. Nie krępuj się!

- Nie chcę, żeby teraz zabrzmiało to jak kłamstwo. Jak coś nieprawdziwego, czym... czym chciałabym uniknąć śmierci. - Erna kontynuowała swoją grę, wciąż wodząc skruszonym wzrokiem po podłodze. Zauważyła, że ktoś uprzątnął jej wymiociny.

- Ależ, słodziutka! - odparł Patino. Podszedł do niej, objął rękoma jej głowę i uniósł ją. Ich spojrzenia się spotkały. - Nawet dla ciebie nie mogę złamać odgórnych zasad Stowarzyszenia. Obojętne, co teraz powiesz, i tak... - Westchnął głęboko, po czym dokończył: - ...i tak będziemy musieli cię zabić.

- Rozumiem - odparła Erna ze spokojem.

- Rozumiesz? - powtórzył za nią Gospodarz, a jego głos lekko zadrżał.

- Tak, i żałuję tylko tego, że moja droga do waszego Stowarzyszenia została na zawsze zamknięta. Mam jednak małe, ostatnie życzenie... Oczywiście jeśli mogę... - Z jej oczu popłynęła kolejna porcja łez.

- Och - jęknął Gospodarz. Wyciągnął z kieszonki garnitur białą chusteczkę i otarł jej wilgotną twarz. Wyglądał w tym momencie jak zatroskany rodzic. Z małą różnicą. Ten tatuś zamierzał ją pożreć. Erna zmobilizowała się do dalszego działania.

- Chciałabym usłyszeć całą historię Stowarzyszenia. Chciałabym przed śmiercią zostać, jak pan to ujął... - Zmrużyła oczy, udając, że przeszukuje swój umysł w poszukiwaniu właściwego określenia.

- Oświeconą... - dokończył za nią przejęty Adolfo.

- Tak. - Erna skinęła delikatnie głową. - Chciałabym poznać tę prawdę. Chciałabym myśleć, że moja śmierć przysłuży się całej ludzkości. Tak, jak tych wszystkich odważnych członków Stowarzyszenia, którzy do tej pory oddali swoje życie. Tak jak księdza Uchto, jak... - głos jej lekko zadrżał. - Jak Samuela Cavalcantiego.

Adolfo wyprostował się. Schował wilgotną chusteczkę do kieszonki i ruszył w stronę gabloty. Zręcznie ominął postumenty z alabastrowymi głowami, które w półkolu otaczały skrzepowaną Ernę.

- Im dłużej mówisz, słodziutka, tym bardziej żałuję, że będziesz musiała odejść - stwierdził i obróciwszy się w jej kierunku, oparł plecy o drewniany mebel. - Wiedziałem, że jest w tobie coś naszego. Coś, co wyróżnia cię od zwykłych, pospolitych ludzi, którzy zatracili swoją prawdziwą naturę. Zauważyłem to już pierwszego dnia, kiedy

się tu zjawiaś. Miałaś to w oczach, słodziutka. Miałaś ten błysk, który podpowiadał mi, że mogłabyś zrobić dla Stowarzyszenia Wesaliuszy wiele dobrego. Niestety - Patino uniósł rękę i podrapał się nią po siwej głowie - jest już za późno. Ale oczywiście z chęcią spełnię twoje ostatnie życzenie.

- Dziękuję - odpowiedziała Erna.

Na szczęście staruch odszedł na tyle daleko, że mogła zacząć działać. Jej związane dłonie spoczywały kilka centymetrów nad blatem biurka. Palcem wskazującym prawej dłoni wyczuła coś zimnego. Starła przypomnieć sobie wygląd biurka Gospodarza i to, co się na nim znajdowało. Dobrze pamiętała, że był na nim marmurowy kałamarz. Prostokątny, z ostrymi brzegami. Wystarczy tylko delikatnie unieść ciało i umieścić związane nadgarstki tuż nad jego ostrą krawędzią. Ta część planu podniosła ją na duchu. Oczami wyobraźni widziała to biurko. Wiedziała, jak mocno musi unieść ręce, aby trafić idealnie w to miejsce. Miejsce, które mogło oswobodzić ją z wiązania. Jednak tamtego dnia Erna odkryła na biurku coś jeszcze. Coś, co dopiero teraz zaczynało mieć jakikolwiek sens...

- Te badania... - wybełkotała cicho.

- Słucham? - odrzekł zdziwiony Adolfo Patino.

- Te badania na biurku... - powtórzyła tym razem głośniej.

- Ach... - musiała minąć dłuższa chwila, nim Gospodarz domyślił się, o co mogło jej chodzić. - Mówisz o TYCH badaniach - zaakcentował, wypowiadając jedno słowo głośniej i wyraźniej od pozostałych. - No tak. Zapewne już wiesz, do czego były potrzebne. Kiedyś ta posługa była bardzo ryzykowna. Ludzie, wraz ze spożywaniem ofiary na Świętej Uczcie, często pochłaniali różne choroby. Był taki czas, że Stowarzyszenie zostało solidnie przetrzebione przez wirusy i inne cholerstwa. Na szczęście dziś możemy tego uniknąć. Każdy gość zaproszony na coroczny zjazd Stowarzyszenia musi w naszej klinice przejść dokładne badania. Jako Gospodarz zatwierdzam taki papierek z wynikami własną pieczęcią.

Oczywiście tylko wtedy, gdy wszystko jest w porządku. Jak widzisz, słodziutka, spoczywa na mnie wielka odpowiedzialność.

- Tak, to prawda - odparła Erna, czując narastające w niej obrzydzenie.

- Wróćmy jednak do twojego życzenia. Niestety, jeśli wierzyć tym wskazówkom... - Adolfo zadarł głowę ku górze i zerknął na emaliowany zegar. Erna również spojrzała na jego tarczę. Wybiła jedenasta. - ...mamy zaledwie godzinę. W południe zjawi się nasz kierowca, a my do tego czasu musimy zrobić z ciebie w miarę przyzwoity deser. - Gospodarz zachichotał.

Erna przełknęła ślinę. Ten staruch był niepoczytalny. Miała więc niecałe sześćdziesiąt minut na wydostanie się stąd. Nie brzmiało to zbyt optymistycznie. Jej nadzieje momentalnie się rozwiały. Gdy Adolfo zapanował nad rozbawieniem, kontynuował:

- Słodziutka, pozwól, że zacznę od samego początku, a więc od narodzin naszego wspaniałego wizjonera. Był rok tysiąc pięćset czternasty. To wtedy w Brukseli przyszedł na świat Andreas Wesaliusz. Już od najmłodszych lat pragnął bliskości ludzkiego ciała. Choć jadł i pił, był wiecznie nienasycony.

Na te słowa Erna poczuła, jak jej wnętrzności się zaciskają. „Wiecznie nienasycony Andreas Wesaliusz” - rozbrzmiały w jej głowie słowa Sammy’ego, które słyszała w swoim śnie. Ale był to przecież tylko koszmar... tylko mroczny, dziwny sen. Kolejne słowa Gospodarza zaczęły docierać do jej uszu. Wyrwały ją z zamyślenia i słuchała dalej. Korzystając z okazji, lekko przechyliła swoje ciało w prawo, poszukując dłońmi pojemnika na tusz. Był on jednak za daleko.

- Małego Wesaliusza bardzo interesowało ludzkie ciało. Anatomia człowieka, a jak się wkrótce okazało, również smak ludzkiego mięsa. Rodzice Andreasa, na jego szczęście, posiadali okazałą domową bibliotekę i to z niej czerpał on pierwsze informacje o ludzkim ciele. Jego ojciec, który był nadwornym aptekarzem cesarza rzymskiego, króla Hiszpanii, zapewnił mu podstawy do zgłębiania swoich zainteresowań. W wielkim skrócie, słodziutka, dochodzimy do Paryża.

Miasta, gdzie młody Wesaliusz zdobywał pierwsze medyczne szlify. Tam jednak nie odnalazł zaspokojenia. Czuł się w tym mieście... jakby to ująć... ograniczony. To miejsce po prostu go dusiło. Nie pozwalało mu zaspokoić swoich pragnień. Nie pozwalało mu już wtedy rozwinąć wzniosłej idei człowieczeństwa. Wiesz mi lub nie, słodziutka, ale do dziś większość Wesaliuszy nie pała do Paryża zbyt wielkim entuzjazmem. – Adolfo wykrzywił w uśmiechu swoją starczą twarz.

Erna znieruchomiała. Przez chwilę miała wrażenie, że Gospodarz zorientował się, co właśnie robi, a raczej co próbuje zrobić. Jej palce, zaczezione o krawędź kałamarza, z każdą kolejną sekundą bezszelestnie przysuwały go coraz bliżej i bliżej. Teraz jednak Erna siedziała bez ruchu i miała nadzieję, że staruch niczego nie zauważył.

– Wszystko dobrze? – spytał Adolfo, patrząc na jej pobladłą twarz.
– To taki żart – wyjaśnił Patino. – A może nie... – dodał po chwili w zamyśleniu. – W każdym razie ja niezbyt przepadam za Paryżem.

Erna poczuła, że musi zachęcić Adolfo do dalszego monologu. Potrzebowała czasu.

– Z tego co pamiętam z pierwszego roku studiów, Wesaliusz kontynuował swoją naukę w Louvain? – skorzystała ze skrawków swojej studenckiej wiedzy.

– Tak, słodziutka – podłapał Adolfo. – Oczywiście Paryż dał mu podwaliny anatomii i medycyny. Jednak tam, w tym nędznym mieście, dane mu było pracować wyłącznie z nieświeżymi trupami. Ludzkim, nienadającym się do spożycia mięsem. W Paryżu przeprowadzał swoje pierwsze sekcje zwłok. W Paryżu również często wybierał się na romantyczne spacerunki pod szubienicę miejską czy też tak zwany Cmentarz Niewiniątek. Z tych miejsc mógł czerpać próbki do swoich badań osteologicznych. Musisz wiedzieć, słodziutka, że takie wędrówki były bardzo niebezpieczne, i nie chodzi tu z pewnością o duchy.

Erna uśmiechnęła się. Ciężki kałamarz był prawie na miejscu. Opuszki palców paliły ją niemiłosiernie.

- Wykopując ludzkie szczątki z grobów czy zbierając je pod szubienicą, Wesaliusz musiał nieraz stoczyć walki z hordą bezpańskich, wygłodniałych psów. Mimo to zazdrościł im. Zazdrościł tym beztroskim czworonogom. Tak jak on chciały zaspokoić swoje pragnienie i robiły to bez względu na konsekwencje. Andreas jednak musiał ukrywać swoje ludzkie żądze. Przynajmniej do czasu, kiedy przebywał w tym... w tym nędznym Paryżu. Szybko stwierdził, że nauka tam nie przyniesie mu żadnych korzyści, nie pozwoli na rozwój. Co więcej, nie znalazł w Paryżu żadnej osoby, żadnego towarzysza, który podzielałby jego idee. Oczywiście nie podchodził do każdego z nich i nie pytał: „Mój drogi, czy skosztowałbyś ze mną ludzkiego mięsa?”. To byłoby niedorzeczne, a przede wszystkim niebezpieczne.

- Gospodarz zaśmiał się szyderczo pod nosem. Erna dostrzegła jak wielkie nozdrza jego szerokiego nosa poruszyły się kilkakrotnie. - Niestety ludzie oświeceni często skazani są na samotność lub życie w ukryciu. Tak jak my. Tak jak nasze Stowarzyszenie.

Erna nie spuszczała wzroku z Gospodarza, jednocześnie wciąż próbując niezauważalnie zbliżyć do siebie marmurowy kałamarz. Była coraz bliżej. Kolejny już raz pożałowała, że należy do osób nerwowo obgryzających paznokcie. Gdyby miała chociaż tipsy takie jak Abramova, przysunięcie pojemnika na tusz byłoby formalnością. Niestety ze swoją płytką paznokciową niewiele mogła zdziałać. Pozostała jej tylko siła palców, a dokładniej rzecz ujmując, samych opuszek. Te pulsowały boleśnie przy każdym naciśnięciu na ostry rant marmurowego pojemnika.

- Tak jak sławni ludzie, którzy popełniają samobójstwo, ponieważ uważają, że świat ich nie rozumie - odezwała się Erna. Pamiętała o tym, aby podtrzymywać rozmowę. Każda przerwa w opowiadaniu Gospodarza zmuszała ją do zaprzestania działań. Cisza w gabinecie jej nie sprzyjała.

- Och, tak - przyznał jej rację Adolfo. - Artyści są częstymi członkami naszego Stowarzyszenia, choć muszę przyznać, że należą

do tych najmniej wytrwałych. Jest jednak z nich ogromny pożytek. W dużym stopniu to oni zasilają nasze fundusze.

- Wasze fundusze? - powtórzyła Erna. Kałamarz znajdował się już prawie na miejscu.

- Tak, słodziutka. Nasze Stowarzyszenie należy do jednych z najpotężniejszych, jakie istnieją na świecie. Potęga to pieniądze, więc sama rozumiesz.

- Niezupełnie - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Macie jakieś składki? Jeżeli tak, to chyba tak czy inaczej nie byłoby mnie stać na to, abym do was dołączyła - próbowała zażartować, lecz Gospodarz wziął jej słowa na poważnie.

- Nie, słodziutka. Nie mamy składek. Kierujemy się inną zasadą. Wyobraź sobie, że gdy ktoś przegrywa w Wielkiej Grze i ofiarowuje swoje życie, Stowarzyszenie staje się jedynym prawowitym spadkobiercą majątku tej osoby.

- Teraz rozumiem. - Erna rozejrzała się po gabinecie. - To dlatego hotel Cavalcantiego jest teraz w pana rękach.

- Niezupełnie - odparł Adolfo. - Jest w rękach całego Stowarzyszenia, choć to moja zasługa i ja mam oficjalne prawo nim zarządzać.

- A co, jeśli... jeśli ktoś zrezygnuje ze Stowarzyszenia?

- Wtedy, po rozpoznaniu wniosku takiej osoby i poznaniu prawdziwej przyczyny chęci jej odejścia, wyrażamy na to zgodę.

- Tak po prostu? - Erna wiedziała, że kryje się za tym coś okropnego.

- Oczywiście, że nie. Życie, moja droga, nie jest proste, a bycie w Stowarzyszeniu Wesaliusza to nie członkostwo w jakimś fanklubie zespołu muzycznego, tylko misja. Jeżeli jednak powody odejścia takiej osoby są szczerze, to pozwalamy jej odejść. Musi jednak ona zasilić konto Stowarzyszenia bardzo pokaźną sumą.

- A jeśli powody tej osoby są w waszej ocenie nieszczerze?

Adolfo odetchnął głęboko i spojrzał na popiersie Andreasa Wesaliusza, jakby chciał znaleźć tam odpowiedź.

- Wtedy pozwalamy tej osobie odejść - odrzekł po chwili, przenosząc wzrok na Ernę - do innego świata - dodał, a jego twarz ponownie wykrzywiła się w dobrze jej już znanym, upiornym uśmiechu.

Erna z przerażeniem spojrzała na emaliowany zegar. Zostało jej tylko marne czterdzieści minut. Za czterdzieści minut będzie wolna albo podana na porcelanowych talerzach. Przez okno wdarły się pierwsze promienie słońca, oświetlając stojące na postumentach popiersia. Dzisiejsza pogoda z niej drwiła. Mgła odeszła w zapomnienie, a zamiast niej na zewnątrz królowało słońce. Słońce, którego nie uświadczyła przez te wszystkie dni pobytu w tym miejscu. Dzięki któremu już dawno mogła być w Ottawie. Nie mogła jednak rozmyślać nad tym, czego nie ma. Musiała skupić się na teraźniejszości. Musiała przeżyć. Na jej szczęście Adolfo Patino powrócił do swojego opowiadania.

- Nawet nie wiesz, słodziutka, jak dużą rolę dla Stowarzyszenia odegrał sam cesarz Karol Piąty. - Adolfo podszedł do kolumny, na szczycie której stało popiersie wspomnianego cesarza. - Wszystko zaczęło się w tysiąc pięćset trzydziestym szóstym roku, kiedy to zerwano przymierze między cesarzem a królem Francji Franciszkiem Pierwszym. Dzięki temu Wesaliusz powrócił do swojego kraju i choć nie zdobył dyplomu paryskiej uczelni, to jednak patrząc na jego dalsze osiągnięcia, nie miało to kompletnie żadnego znaczenia.

Erna uniosła związane nadgarstki do góry na tyle, na ile pozwoliła jej niewygodna pozycja. Musiała zrobić to delikatnie, tak aby Gospodarz nie nabrał żadnych podejrzeń. Było to niesamowicie trudne, zważywszy na to, że wymagało od niej ogromnego wysiłku. Czowała, jak z każdym centymetrem mięśnie jej ramion naprężają się do granic możliwości. Zacisnęła zęby. W życiu znosiła o wiele większy ból.

- Czy wiesz, słodziutka, kto znajduje się na tym popiersiu? - spytał Gospodarz, wskazując ręką czyjąś podobiznę, stojącą po prawej stronie od postumentu Wesaliusza.

Erna zmrużyła oczy i odczytała napis widniejący na złotej tabliczce:

- Frisius Gemma.

- Czy pamiętasz, słodziutka, kim był ten młodzieniec?

Erna poczuła silny opór pod kawałkiem liny znajdującej się na jej związanych nadgarstkach. BINGO! - krzyknęła triumfalnie w myślach. Teraz musiała tylko delikatnie pocierać liną o ostry kant kałamarza. Nie zakładała, że jej się uda. Miała mało czasu i było to niesamowicie bolesne. Jednak musiała spróbować. To była jej ostatnia deska ratunku. Ostatni kałamarz nadziei.

- Hm - głośno się zamyśliła. - Nie za bardzo? - odpowiedziała, zachęcając starca do dalszej opowieści.

- To nic, słodziutka, to nic. Jestem tu po to, aby ci wszystko opowiedzieć. A więc ten oto młodzieniec - Adolfo ponownie wskazał ręką na jedno z popiersi - był serdecznym przyjacielem Andreasa. Przyjacielem, którego Wesaliusz poznał w Louvain, gdzie kontynuował swoją naukę. Szybko okazało się, że Gemma ma takie same pragnienia jak on, że łączy ich ta sama idea dążenia do rozwoju i rozpowszechnienia prawdziwej ludzkiej natury. To dzięki niemu właśnie Andreas skompletował swój pierwszy ludzki szkielet. Na studiach medycznych można często usłyszeć ciekawą historyjkę, jak to Gemma i Wesaliusz pewnego dnia zawędrowali poza granice miasta na wzgórze straceń. Tam też ich oczom ukazał się cudowny widok. Prawie kompletny ludzki szkielet zwisający na jednej z szubienic. Bez zastanowienia, nie patrząc na obowiązujące w tamtych latach zakazy, młodzi studenci ukradli zarówno dolne, jak i górne kończyny szkieletu, po czym przemycili swoją zdobycz do miasta. Jeszcze tego samego dnia, wieczorną porą, Wesaliusz powrócił na wzgórze straceń. Odczepił tułów oraz głowę szkieletu i wrócił ze swoimi zdobyczami do mieszkania. Na tym historia opowiadana na uczelniach zazwyczaj się kończy. Wykładowcy nie wspominają jednak, że odnaleziony szkielet był tak naprawdę niekompletny. Brakowało w nim jednej stopy, rzepki i...

- ...palca jednej ręki - wymamrotała Erna. Przypomniała sobie tę historię. Historię opowiedzianą jej wcześniej przez profesora, który zawsze z chęcią dokładał od siebie jakąś ciekawostkę.

- Niech zgadnę - odezwał się Patino. - Samuel Cavalcanti? - Erna kiwnęła twierdząco głową. - Tak, Samuel wiedział, jak wzbudzić zainteresowanie swoich studentów. A czy wyjaśnił wam, skąd Wesaliusz i Gemma wzięli brakujące części szkieletu?

- Tak, ukradli je z cmentarza - odpowiedziała z przekonaniem Erna. Dobrze pamiętała, że to właśnie powiedział profesor na jednym ze swoich wykładów.

- No tak. Mogłem się tego spodziewać - odparł rozbawiony Gospodarz. - To oczywiste, że Samuel nie mógł powiedzieć całej prawdy. - Erna spojrzała na niego zdziwiona. - Było trochę inaczej, słodziutka. Można powiedzieć, że ten szkielet zapoczątkował nasze Stowarzyszenie. Połączył tych dwóch mężczyzn wspólną ideą, wspólnym działaniem w celu zmieniania świata na lepsze. Gdy Wesaliusz z Gemmą doliczyli się brakujących elementów, postanowili działać. Już wtedy wiedzieli, że następny dzień będzie dla nich przełomową datą, czymś niebywale ważnym, i tak też się stało. Wraz z nadejściem wieczora wybrali dla siebie tak zwaną panią lekkich obyczajów. Kobieta z pewnością bardzo się zdziwiła, gdy tych dwoje zaproponowało jej grę w kości. Dlaczego akurat ta gra? - spytał sam siebie Adolfo, po czym kręcąc głową, odpowiedział: - Nie mam pojęcia. Może nazwa wydała im się odpowiednia do zamierzeń? A może po prostu wpadli na tak nietypowy i dziwny pomysł. Plan był prosty, choć kobieta nie miała o nim bladego pojęcia. Jeżeli prostytutka przegra czy choćby zajmie drugie miejsce, będą mogli poświęcić jej życie. Wynik był ponoć niezbyt dla niej przychylny. Zajęła trzecie miejsce i choć myślała, że to dopiero gra wstępna, to tak naprawdę dla niej był to życiowy koniec. Niestety Stowarzyszenie nie wie, w jaki sposób Wesaliusz i Gemma pozbawili prostytutkę życia. Fakty są jednak takie, że po pierwsze ją zjedli, a po drugie jej kości posłużyły do uzupełnienia skradzionego szkieletu. Z racji tego,

że Wesaliusz zajął zaszczytne pierwsze miejsce w grze, mógł spożyć mózg ich pierwszej ofiary. Tę część ciała uwielbiał najbardziej. Nie wiedział jednak, że to uwielbienie przyczyni się do jego przedwczesnej śmierci...

- Jedzenie ludzkich mózgów przyczyniło się do śmierci Wesaliusza?
- spytała Erna, czując, jak wszystkie informacje wirują w jej głowie.

- Tak, moja droga. Zabiła go śmiertelna choroba kuru.

- Przecież Wesaliusz zginął w katastrofie okrętu - odparła, choć tak naprawdę domyślała się, że usłyszy inną historię.

- Nie. Zabiła go choroba kuru - powtórzył pewny siebie Gospodarz. - Owszem, statek, którym wracał z Palestyny, rozbił się, jednak Wesaliusz zdołał dotrzeć do brzegu greckiej wyspy zwanej Zakintos. Niestety, nie żył na niej długo. Już wtedy cierpiał na kuru. Choroba postępowała bardzo szybko i nie była dla niego łaskawa. Ostatecznie nasz mistrz dokonał swojego żywota piętnastego października tysiąc pięćset sześćdziesiątego czwartego roku. Jego szczątki spoczęły w kościele pod wezwaniem Santa Maria Della Salute.

- I domyślam się, że ich już tam nie ma - odparła Erna. Na twarzy Patino zagościł podziw.

- Brawo - odparł uradowany. - Nie mylisz się, słodziutka. Jego szczątki obecne są w całym Stowarzyszeniu. Jak już wiesz, kości, których używamy podczas Wielkiej Gry, są zrobione ze szkieletu naszego mistrza, a pudełka oprawione są w jego skórę. To święte relikwie i wiedz, że był to dla ciebie ogromny dar i zaszczyt. Dar, z którym mogłaś obcować i który mogłaś ujrzeć na własne oczy.

- Tak - bąknęła pod nosem Erna. Co chwila rytmicznie przesuwiała nadgarstkami w przód i tył, mając nadzieję, że za chwilę sznur zostanie przecięty. Delikatnie szarpnęła rękoma w dół. Niestety na razie nic tego nie zapowiadało.

- Moja droga - odparł Patino, spoglądając na zegarek. Pozostało jej niecałe trzydzieści minut. - Czasu jest już tak niewiele. Mam nadzieję, że zdołam spełnić twoje życzenie. Pozwól, że będę kontynuował.

Erna wiedziała jedno. Musiała przeciąć ten pieprzony sznur jak najszybciej!

- Pobyt Wesaliusza w Louvain był dla niego niesamowitym czasem - rzekł Patino. - To tam przeprowadzał swoje publiczne sekcje zwłok. Musisz wiedzieć, słodziutka, że oprócz swojej głównej idei zbawiania świata Andreas Wesaliusz naprawdę kochał medycynę i z chęcią dzielił się swoją wiedzą z innymi. Niestety nadszedł czas, że musiał opuścić to miasto i udać się do Włoch, gdzie pobierać miał swoją dalszą naukę. Przedtem jednak zdołał opublikować w tysiąc pięćset trzydziestym siódmym roku pracę licencjacką, czyli *Parafrazę do IX księgi Rhazesa*. Pewnie zastanawiasz się, dlaczego Wesaliusz nie został w tym tak szczodrym dla niego mieście i to nie w nim kontynuował edukację?

- Przyznam, że trochę to zastanawiające - rzekła Erna, choć bardziej skupiała się na przecinaniu sznura krępującego jej nadgarstki. Rewelacje wygłaszane przez starca na temat historii wybitnego anatoma wzbudzały w niej mieszane uczucia. Z jednej strony uważała to za chore wymysły, a z drugiej... A co, jeśli to prawda? Znieruchomiała na chwilę, spoglądając w ciemne oczy stojącego przed nią Gospodarza.

- Po prostu poczciwy Wesaliusz zaufał niewłaściwemu człowiekowi. Wszystko przez pewną plugawą osobę. Thriverius Brachelius był wpływowym medykiem, który wyrażał najszczerze chęci przyłączenia się do niego i Gemmy. Chciał z nimi tworzyć dzieło. Chciał, i być może mógłby, znajdować się w gronie tych zacnych, alabastrowych popiersi, ale okazał się błędem. Koszmarną pomyłką! Dziś takich ludzi nazywamy Marnotrawnymi. Wesaliusz opuścił zatem Louvain, a Thriverius przysiągł, że nigdy nie wyjawia tajemnicy. Tajemnicy, za którą skrywało się już wtedy kilkanaście Świętych Uczt. Ta historia nauczyła Wesaliusza i Gemmę, że nie można pozwalać innym na opuszczanie ich tajnego grona bez żadnych konsekwencji. Stworzyli więc kodeks, którym nasze Stowarzyszenie kieruje się po

dziś dzień. No, może z małymi poprawkami, ale przepisy muszą zawsze być dostosowywane do otaczającego nas świata.

Erna rozpaczliwie spojrzała na zegar. Czasu było coraz mniej, a sznur wciąż nie dawał za wygraną. Czuła, jak jej ramiona robią się coraz bardziej odrętwiałe. Co będzie, jeśli nie zdąży? No cóż. Przynajmniej przed śmiercią zostanie oświecona... - pomyślała z drwiną, choć czuła w głowie narastające przerażenie.

Na szczęście Adolfo kontynuował swoją opowieść:

- Podczas podróży do Wenecji Wesaliusz postanowił zatrzymać się w Bazylei. Tam też spotkał tego oto jegomościa. - Ręka Gospodarza przecięła powietrze, wskazując na kolejną rzeźbę. - Robert Winter był wydawcą i drukarzem. To on zajął się ponownym drukiem pracy licencjackiej Wesaliusza w swojej pracowni. Co tu dużo opowiadać. Winter dołączył do grona Wesaliusza i Gemmy. Od tej pory było ich trzech i każdego wiązał surowy kodeks. W Wenecji do Stowarzyszenia dołączył Tycjan i utalentowany młody malarz Jan Van Calcar. Tych dwoje spowodowało, że Stowarzyszenie znacznie urosło w siłę. Tych dwoje pomogło także Wesaliuszowi w zilustrowaniu jego największego dzieła, które w oryginale mogłaś podziwiać w tym oto gabinecie. *De humani corporis fabrica* było pracą życia Wesaliusza, dzięki której zdobył dla swojego Stowarzyszenia największego sojusznika. Domyślasz się, słodziutka, kto to taki? Kim był ten wielki sojusznik?

Erna omiotła wzrokiem wszystkie otaczające ją popiersia. Najważniejszym z tego grona musiał być bez wątpienia...

- Cesarz Karol Piąty? - powiedziała bez przekonania.

Gospodarz nie odpowiedział. Zamiast tego milczał i wpatrywał się w nią podejrzliwie. Erna przełknęła dwukrotnie ślinę. Poczowała bolesny ścisk w żołądku. Dowiedział się. Zauważył, co robi. Nagle ruszył w jej stronę. Wyminął stojące obok kolumny i kilka sekund później stał tuż przy niej. Pochylił ku niej swoją siwą głowę.

- Przejrzałem cię, słodziutka. - wyszeptał jej do ucha. Poczowała nieprzyjemne mrowienie na karku. - Myślałaś, że nie zauważę? -

dodał złowieszczo.

- Ja... nie... - Słowa grzęzły jej w gardle.

- Och, słodziutka, przyznaj, że nie znałaś odpowiedzi na moje pytanie! - krzyknął nagle, zanosząc się śmiechem. - Po prostu posłużyłaś się tymi popiersiami - dodał, wskazując kciukiem na otaczające ich postumenty - i sprytnie wywnioskowałaś, że największym sojusznikiem musiał być nie kto inny, jak sam cesarz Karol Piąty! Brawo, słodziutka. W życiu trzeba być sprytnym. Wprawdzie to twoje ostatnie podrygi, ale musisz wiedzieć, że w pełni je doceniam.

Erna odetchnęła. Poczwała jak wielki kamień zalegający w jej wnętrznościach, nagle znika. Nawet nie zwróciła uwagi na niezbyt krzepiące słowa Gospodarza. Miała tylko ogromną nadzieję, że przetrwa. Zamierzała być sprytną jeszcze przez długi czas i żadne Stowarzyszenie Wesaliusza jej w tym nie przeszkodzi. Teraz był czas na wdrożenie drugiej części planu.

- Skąd jesteście pewni, że tak właśnie było? Że ci ludzie - omiotła głową wszystkie popiersia - że łączyło ich coś takiego? Proszę mi wybaczyć, panie Patino, ale ta historia bez dowodów wydaje się mało wiarygodna. - Spojrzała wyzywająco na Gospodarza. Wyglądał na poirytowanego. W jednej chwili jego rozbawiona twarz stężała. A więc udało się. Druga część planu została pozytywnie wdrożona.

- Chcesz powiedzieć, słodziutka, że mało widziałaś dowodów? Że te obrazy Tycjana nic dla ciebie nie znaczyły? Że rycina na stronie frontystrysu *De humani corporis fabrica* nie zawiera jasnego przesłania obmyślonego przez samego Wesaliusza?

- Tak - zgodziła się z nim Erna. - W te dowody mogę uwierzyć, ale opowiada mi pan historię z informacjami, które są sprzeczne z ogólnie przyjętą na świecie wersją wydarzeń. Dlatego proszę mi wybaczyć wścibskość, ale skąd pan wie, panie Patino, że tak właśnie było?

Adolfo głęboko westchnął. Jego zuchwa poruszyła się kilkukrotnie. Jeżeli celem Erny było zdenerwowanie Gospodarza, to w pełni jej się

to udało.

- Wydaje mi się, słodziutka - wycodził przez zęby, mierząc ją przeszywającym spojrzeniem - że w głębi duszy czujesz, że to wszystko - wskazał otwartą dłoń wewnątrz gabinetu - nie jest wymyślone.

Erna chciała zaprzeczyć, pokręcić głową lub choć prychnąć pogardliwie. Ku swojemu zdziwieniu jej ciało i mimika twarzy odmówiły posłuszeństwa. Nie mogła zaprzeczyć, ale też nie mogła tego potwierdzić. W jej umyśle kłębiło się zbyt wiele pytań.

- Widzę to, słodziutka - rzekł Adolfo, krocząc w jej stronę. Wciąż wwiercał się w jej umysł swoimi oczami. - Widzę, że sercem wierzysz, choć twój rozum próbuje wszystkiemu zaprzeczać.

Był coraz bliżej. Erna poczuła się osaczona. Osaczona przez alabastrowe popiersia otaczające ją w półkolu, osaczona przez Marię Magdalenę czyhającą za jej plecami na obrazie Tycjana, przez Andreasa Wesaliusza skrywającego się na frontysepisie książki spoczywającej w gablocie i wreszcie przez samego Adolfo Patino. Gospodarz przystanął tuż przed nią. Wciąż nie spuszczał z niej wzroku i wyglądał jak szaleniec. Było jednak w jego wyglądzie coś dziwnego. Coś, co Erna widywała już wcześniej. Wysokie czoło Gospodarza pokrywały liczne drobinki potu. Niespodziewanie Adolfo wybuchnął głośnym śmiechem. Ernie wydało się to upiorne, zważywszy na to, w jak chorej sytuacji się znajdowała.

- Tak... tak, słodziutka... - wydyszał z trudem Patino, wyciągając drżącą ręką chusteczkę. Wciąż śmiejąc się pod nosem, jakby oglądał właśnie najlepszą komedię w swoim życiu, otarł spocone czoło, po czym wcisnął wilgotny kawałek białego materiału na swoje miejsce w kieszonce marynarki. - Widzę, że zauważyłaś objawy mojej choroby. Śmierć jest już blisko. Kuru niedługo całkowicie pochłonie moje ciało. Kto wie, może spotkamy się po drugiej stronie? - Adolfo nagle spoważniał. Jego twarz stężała. W jednej chwili z beztróskiego wesołka przemienił się w pozbawionego emocji starca.

- Kuru? - odważyła się spytać Erna, gdy dotarło do niej, co właśnie usłyszała. - Jest pan chory na KU-RU? - powtórzyła pytanie, głośno akcentując nazwę choroby.

- Tak.

- Ale...

- Ale co, moja droga? - wpadł jej w słowo Gospodarz. Wyraźnie było widać, że bawiła go ta sytuacja. To, jak ta młoda dziewczyna reagowała na jego rewelacje.

Erna przełknęła ślinę. Nagle w jej głowie zmaterializował się widok lodówki w hotelu Hommanger. Środkowa półka, na której spoczywała odcięta...

- Ludzka głowa, słodziutka, posiada największy skarb. - Erna spojrzała na niego z obrzydzeniem. - I najsmaczniejszy - dodał po chwili. Z jego ust wypełził długi język, którym teatralnie oblizał swoje mięsiste wargi. - Widzisz, słodziutka, tylko odważni Gospodarze, chcący w pełni doświadczyć oświecenia, decydują się na ten krok. Tylko Gospodarze, którzy są całkowicie oddani Wesaliuszowi, spożywają mózgi wszystkich świętych ofiar. W ten sposób stają się inteligentniejsi od zwykłych śmiertelników...

- Inteligentni kanibale? - wtrąciła Erna pogardliwie.

Adolfo mrugnął do niej.

- Zdziwiłabyś się, jacy inteligenci tego świata należą do naszego Stowarzyszenia.

- Chyba już nic nie jest w stanie mnie zadziwić - wymamrotała pod nosem.

- Powiedz mi, co czujesz, słodziutka? Odrzuć swój zakłamany racjonalizm i odpowiedz, co mówi ci twoje jeszcze bijące serce?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - odpowiedziała obojętnie i w tym momencie przed jej oczami zmaterializowała się niedawna scena. Scena mająca miejsce w salonie hotelu Hommanger. Czy nie te same słowa wypowiedział ksiądz Uchto zaraz po tym jak wygramolił się spod ciężaru powalonego drzewa? Czy nie te słowa wykrzyknął pogodzony ze swoim losem? Czy ona też pogodziła się z tym, że

umrze w tym cholernym miejscu? Nie! NIE! – zaprzeczyła stanowczo w duchu, a jej nadgarstki z całą siłą naparły na kałamarz.

- Przyznaj, że lepiej zakończyć swój żywot jako osoba oświecona. Teraz umrzesz, wiedząc, że twoja śmierć nie pójdzie na marne. Kto wie, może po drugiej stronie będzie na ciebie czekał nasz mistrz, Andreas Wesaliusz.

- Już go widziałam i prawdę mówiąc, nie mam ochoty patrzeć na TO COŚ ponownie – wymamrotała, skupiając wzrok na Gospodarzu.

Jego twarz znieruchomiała. Nie mrugał, nie poruszał ustami i wyglądał, jakby nie oddychał.

- Widziałaś? – odezwał się w końcu, wypuszczając ze świstem powietrze.

- Tak – odpowiedziała Erna, jednocześnie zastanawiając się, czy sny można traktować jak autentyczne źródło informacji. Ku jej zdziwieniu zdawało się, że Adolfo jest zainteresowany tym, co właśnie powiedziała. Postanowiła iść za ciosem. – Odwiedził mnie też mały Sammy, choć dziś byłby dorosłym Samuelem Cavalcantim. Byłby, gdybyście go nie pozarli. Gdyby nie wpierdolił pan, panie Patino, jego mózgu! – Erna wybuchła. Nie miała już nic do stracenia. W końcu tylko kilka minut dzieliło ją od śmierci, a pieprzony sznur na jej nadgarstkach wciąż tam tkwił i nie zamierzał dać jej szansy na oswobodzenie się.

Gospodarz zacisnął zęby.

- To było... wtedy? – wycedził, baczenie się jej przyglądając.

- Wtedy, kiedy? – wypaliła Erna. Wciąż miała nadzieję. Wciąż poruszała rytmicznie nadgarstkami nad marmurowym kałamarzem.

- Tamtego dnia, kiedy – Adolfo zmrużył brwi, starając się przypomnieć sobie to, co zdarzyło się tego dnia w hotelu – to cholerne drzewo wdarło się do salonu... ty... ty... wybiegłaś na zewnątrz!

- Wybiegłam? – Erna udała, że się zastanawia. – Hm... Powiedziałabym, że raczej wyszłam. Tak. Wyszłam szybkim krokiem.

Jednak Patino zbagatelizował jej zaczepną odpowiedź. Sprawiał wrażenie nieobecnego. Jego gałki oczne wyglądały, jakby miały zaraz

wyskoczyć z oczodołów. Na jego czole pojawiła się długa, głęboka zmarszczka. Patino wciąż usilnie nad czymś myślał i Ernie wydawało się, że był mocno zdezorientowany.

- To wtedy go zobaczyłaś? - spytał niepewnie, rozwierając swoje wielkie usta. - To wtedy ujrzałaś naszego mistrza?

Erna spojrzała na jego czoło, które znów pokryło się plagą drobnych kropeł potu.

- Nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą, spoglądając wyzywająco w jego czarne jak smoła oczy.

- Nie kłam! - wykrzyknął, kierując oskarżycielsko w jej stronę palec wskazujący. - Nie kłam! - powtórzył niczym szaleniec, trzęsąc w powietrzu ręką.

- Nie kłamię - przyznała ze spokojem Erna. Choć bała się tego pieprzonego starucha, starała się być opanowana. Wciąż skupiała się na tym, co działo się za jej plecami. Węzeł zdawał się odrobinę odpuszczać, choć wciąż było to o wiele za mało.

- Ach tak?! - warknął Adolfo i nagle zachwiał się na swoich krzywych, chudych nogach. W ostatniej chwili, chroniąc ciało przed upadkiem, przytrzymał się jednego z pięciu alabastrowych popiersi. Stał przez chwilę nieruchomo, a gdy wreszcie poczuł, że choć trochę odzyskał siły, dodał: - I chcesz mi powiedzieć, że tamtego dnia Cecile Bennett nikogo nie widziała za oknem?!

- Nie wiem, czy kogoś widziała czy nie. W każdym razie jej opis postaci, którą rzekomo dojrzała za oknem, skojarzył mi się z moim przyjacielem. Myślałam... myślałam, że ktoś po mnie przyjechał, że znalazł kartkę zostawioną w samochodzie.

- Phi! - parsknął Gospodarz, po czym zaniósł się śmiechem. - A to dobre! - dodał, wciąż chichocząc pod nosem. - Myślisz... Hahaha... Myślisz, słodziutka, że Stefan zostawił w twoim samochodzie jakąś kartkę? Myślisz, że chcielibyśmy narażać się na takie niebezpieczeństwo?

Erna zacisnęła zęby. Poczowała, jak wzbiera w niej nienawiść. Jak mogła być tak naiwna. Jak mogła od razu nie zauważyć, że ten cały

hotel... to towarzystwo... jest nie całkiem normalne?! Popełniła błąd. Cholerny błąd, który teraz mógł kosztować ją życie. Jechała wypełnić misję. Kolejna likwidacja nic nieznaczącego roztocza. Zamiast tego znalazła się w tym popieprzonym miejscu. Jak to się stało? Dlaczego tu była? Nagle jej umysł zalała fala wspomnień, tych bliskich i tych dalekich. Mała bezbronna dziewczynka, stojąca w drzwiach sypialni, załamanie i depresja, które zawładnęły jej ciałem i umysłem, i dzień, w którym pomyślała, że tylko kolejna misja może wyciągnąć ją z tego gigantycznego okopu czarnej rozpacz. Jednak to był tylko zapłon. Był to początek tego, co stało się później. Samochód, który stanął na drodze, odmawiając posłuszeństwa, dziwne podmuchy wiatru, jak gdyby zaraz wokół niej miało powstać ogromne tornado, stado liści unoszących się niczym wrony czekające na dogodną chwilę do ataku, te dziwne sny, po których nie wiedziała, czy już się obudziła. Bo przecież... To w nich ujrzała Sammy'ego. To dzięki niemu odkryła tajemnicę hotelu Hommanger, a raczej to, do kogo wcześniej należało to miejsce. Ale... - Erna przełknęła ślinę. Poczwała, jak wielka gula, uparcie tkwiąca w przełyku, niemrawo zaczyna sunąć w dół, by po chwili zniknąć w czeluściach jej żołądka.

Ale po co to wszystko? - znów wróciła do swoich rozbieganych myśli, które teraz na szybko zapragnęła ułożyć w sensowną całość. Czy wierzyła w rzeczy paranormalne? Czy była osobą, dla której świat duchów był czymś tak normalnym jak ludzie stłoczeni w supermarkecie? To, co działo się od momentu, gdy beżowe volvo stanęło bez życia na zakręcie, to wszystko, czego doświadczała w hotelu Hommanger... Czy ktoś próbował się z nią skontaktować?

Przypomniała sobie pewien dzień z dzieciństwa, gdy wraz z koleżankami z domu dziecka postanowiła pobawić się w wywoływanie duchów. Pobawić... Choć wtedy ona i jej koleżanki traktowały to całkiem na poważnie. Dopiero teraz dotarło do niej, co tak naprawdę się wydarzyło. Tamtego dnia, a dobrze pamięta, że był to niedzielny wieczór, stało się coś, co szybko wyparła z pamięci. Następnego dnia, w poniedziałek, była przerażonym siedmioletnim

dzieckiem, które z nocnej niewinnej zabawy pięciu dziewczynek zapamiętało tylko płonące zasłony. Ale teraz dobrze wiedziała, że tak naprawdę nikt nie potrafił niechcący palącej się na podłodze świeczki. Dobrze wiedziała, że materiał okalający ogromne okna starego budynku nie mógł się w ten sposób zapalić. Zasłony kończyły się zaraz nad parapetem, a ona i jej cztery koleżanki siedziały tuż pod nim na zimnej drewnianej posadzce.

Poczuła silny ucisk w głowie. To hipokamp (o czym była przekonana) postanowił zbuntować się przed ujawnieniem pewnych istotnych szczegółów z tamtego niedzielnego wieczora. Jednak Erna nie dawała za wygraną. Czuła, że aby zrozumieć i poukładać swoje najnowsze wspomnienia, musiała wrócić do tych starszych. Musiała pokonać barierę wspomnień, którą kiedyś, jako mała dziewczynka, postawiła w swojej głowie. Dużo historii z przeszłości świadomie zniekształciła, aby nie wyrosnąć na dziwaka. Bo przecież tak nazywani byli ludzie, którzy wokół siebie widzieli więcej niż inni. Tamtego wieczoru... - znów wróciła myślami do obskurnego ceglanego budynku, w którym spędziła dzieciństwo. Jednocześnie poczuła, że uparty hipokamp powoli daje za wygraną. Tamtej nocy ona i jej koleżanki siedziały na ziemi, skupione wokół własnoręcznie wykonanej planszy Ouija. Kawałek kartonu po sokach, ukradziony z pomieszczenia gospodarczego domu dziecka, świetnie się do tego nadawał. Większym problemem okazało się zabranie podczas śniadania małego porcelanowego talerzyka. Oczywiście tego odważnego zaszczytu musiała dostąpić sama, ponieważ jej koleżanki, gdy tylko zasiadły do stołu z minami wyrażającymi zbyt wczesne poczucie winy, zaczęły trząść się jak osika. Od razu zwróciły na siebie uwagę opiekunek, które zaciekawione skupiły na nich przeszywający jak strzała wzrok. Dlatego ona - opanowana i skupiona niczym kowboj zarzucający lassem - w przypiływie emocji ukradkiem chwyciła za białą okrągłą porcelanę i wcisnęła ją za pasek sztruksowych brązowych spodni. Była z siebie dumna, co z zadowoleniem wyraziła, zerkając triumfalnie na wciąż przerażone, choć teraz pełne podziwu

koleżanki. Trochę gorzej się czuła, gdy wstała od stołu i zaczęła iść w stronę wyjścia. Talerzyk w o wiele za dużych spodniach niebezpiecznie zsunął się spod paska i o mały włos nie przeleciał przez jedną z jej szerokich nogawek. Na szczęście miała refleks. Silnym i zdecydowanym ruchem chudych dziewczęcych ud przycisnęła talerzyk, momentalnie czując na skórze szczypiący chłód porcelany. Stała jak struna przed samymi drzwiami i nie mogąc się ruszyć, popatrzyła rozpaczliwie na koleżanki.

- Co się stało? - usłyszała szorstki, niski głos jednej z opiekunek tuż za swoimi plecami. - Dlaczego tak stoisz? - warknęła starsza kobieta, podejrzliwie lustrując jej nienaturalnie ściśnięte nogi. Erna poczuła wtedy, jak oblewa ją zimny pot. Musiała coś wymyślić. Coś, co miało być dobrym kłamstwem.

- Siku... - wyjąkała niewyraźnie.

- Co?! - krzyknęła niedosłyszająca stara opiekunka, podchodząc do niej. Jadalnia wypełniona po brzegi dziećmi ucichła. Wszyscy z zaciekawieniem spoglądali w ich stronę.

- Siku - powtórzyła nieco głośniej. Na jej oliwkowej twarzy pojawiły się bordowe wypieki.

- Aaa... - bąknęła obojętnie opiekunka, obracając się do niej plecami. - To idź! Tylko mi tu nie puść łabędzia! - dodała głośno, zmiierzając w stronę swojego stolika. Sala wypełniła się nieśmiały, a gdzieś tam nieco głośniejszymi chichotami. Ze ściśniętymi udami odważna siedmioletnia dziewczynka zdołała wyjść z jadalni, a gdy tylko znalazła się za zamkniętymi drzwiami i upewniła się, że nikogo prócz niej i jej przerażonych koleżanek nie ma na korytarzu, wyjęła talerzyk ze spodni i pognęła zawstydzona do sypialni.

To był jeden z wielu kopniaków w życiu, który ją umocnił. Był składnikiem życiowej mikstury, dzięki której stworzyła swoją dzisiejszą osobowość. Jednak to, co wydarzyło się niedzielnej wieczora, wolała wyprzeć z pamięci. Nie chciała przecież wyrosnąć na... dziwaka.

Siedziały wokół planszy Ouija, trzymając palce na talerzyku. Od dobrych dziesięciu minut powtarzały jak mantrę jedno zdanie, które (czego wtedy były pewne) było kluczem do nawiązania kontaktu z jakimkolwiek duchem.

- Duchu, duchu, czy jesteś tu z nami?

Jednak wciąż nic się nie działo.

- To bez sensu! - krzyknęła wreszcie ruda i piegowata dziewczynka, wzruszając chudymi, spiczastymi ramionami. - Duchy nie istnieją - dodała przemądrzałym głosem, poprawiając palcem okulary, które zsunęły jej się do połowy nosa.

- Moze istnieją, ale nie mogą dzisiaj psyjść - zasepleniła sześciolatnia Alison, która przez swoją tuszę zajmowała prawie tyle samo miejsca na ziemi co jej cztery koleżanki.

- Nieee... To nic nie da - odezwała się nagle Brittany.

Była ośmioletnią szczupłą blondyneczką o błękitnych dużych oczach, która dzięki swojej urodzie zrobiłaby z pewnością karierę w niejednej filmowej produkcji. Zrobiłaby, gdyby nie wylądowała w domu dziecka. Zamiast kariery filmowej musiała zadowolić się bidulem i przyjaciółką imieniem Lilly, która jak oddany piesek robiła wszystko to, co tylko Brittany jej nakazała. Tak i tym razem mała i krępa Lilly pokręciła zrezygnowana głową, przyznając tym samym rację swojej cudownej przyjaciółce. Talerzyk opustoszał. Nie ocieplały go już prawie żadne opuszki dziecięcych palców. Tylko ona nie chciała dać za wygraną, pamiętając, ile wysiłku włożyła w to, aby wykraść ten mały kawałek porcelany z jadalni. Wokół nich wciąż paliły się kremowe świece.

- Nie możemy tak szybko się poddać! - rzuciła bojowo do swoich zrezygnowanych koleżanek.

- Ale to wszystko... - wtrąciła się Alison. Spoglądała teraz na jedną ze świeczek, palącą się tuż obok niej pod marmurowym parapetem. - ...to wszystko to tylko psecies zabawa. - Dziewczynka uśmiechnęła się, ukazując uzębienie, w którym brakowało przednich mleczaków.

- Tak, ale... ale może się nam uda! - powiedziała wtedy pełna nadziei, jednak po minach koleżanek wiedziała, że została ze swoją chęcią sama. Zresztą czuła, że stąpa po cienkiej linii dzielącej ją od tego, aby dziewczyny zaczęły nazywać ją... dziwaczką. Musiała jakoś z tego wybrnąć. Musiała im pokazać, że wcale nie brała tego na poważnie. To była tylko zabawa... Tylko głupia, zwyczajna zabawa. Uśmiechnęła się niewinnie do dziewczyn, a po chwili z jej ust wydobyło się długie mroczne:

- BuuuUUUUUUuuuuu.

Koleżanki zanosły się śmiechem, a ona wykorzystała ten moment, aby po raz ostatni samodzielnie wypowiedzieć tę niewinną, nic nieznaczącą regułkę:

- Duchu... duchu...

Nagle koleżanki przestały się śmiać. Zmrużyły oczy i choć same nie wiedziały czemu i po co, zaczęły wpatrywać się w talerzyk, na którym spoczywały palce ich dzielnej koleżanki. Koleżanki, która pozwoliła sobie na krótką przerwę, aby uśmiechnąć się w ich stronę krzywo, po czym dokończyła:

- ... czy jesteś tu z nami?

Świst talerzyka przeciął pokój, gdy ten niespodziewanie przesunął się w stronę napisu „TAK”. Ruda wybałuszyła oczy, Lilly pisnęła, wtulając się w nieruchomą postać Brittany, a Alison wysapała z przejętą miną:

- O zes kurce...

- Przyznaj się! - krzyknęła nagle piskliwym głosem ruda. Wskazała oskarżycielsko palcem w jej stronę. - To ty ruszyłaś talerzykiem!

- NIE! - odpowiedziała wtedy bojowo.

Była pewna, że nim nie ruszyła. Ledwo co muskała jego białą zimną powierzchnię swoimi opuszkami palców. Talerzyk poruszył się sam! NIE! - poprawiła się w myślach. - Talerzykiem poruszył... duch! - stwierdziła z przerażeniem, spoglądając na równie przerażone koleżanki.

Nagle wszystkie zapalone świece zgasły. W pokoju zapanował nieprzyjemny mrok. Brittany zaczęła krzyczeć, rzucając się po omacku do wyjścia. Stratowała przy tym rudą, której okulary upadły z łoskotem na drewnianą podłogę. Przerażona Lilly próbowała podążać w ślad za swoją przyjaciółką. W zupełnej ciemności było to jednak prawie niewykonalne. Wszystkie cztery dziewczynki zaczęły pisać, a ona siedziała i czuła, że to jeszcze nie koniec. I właśnie wtedy, gdy ta niebezpieczna myśl przemknęła przez jej umysł, świeca stojąca tuż pod parapetem znów zapłonęła. Nie paliła się jednak zwyczajnie. Co to, to nie. Zamiast małego płomienia wyrzuciła w górę ogromny ognisty jezioro, który spowił zwisające w oknie zasłony. Mały sypialniany pokój wypełnił się skaczącymi cieniami rozbieganych i krzyczących dziewczynek.

- Na miłość boską! - drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem. - CO-TU-SIĘ-DZIEJE?! - wrzasnęła jedna z opiekunek, spoglądając z niedowierzaniem na migający jej przed oczami spektakl rozhisteryzowanych cieni.

Ta historia była początkiem. Wieczną wyrwą w jej życiorysie, którą choć wciąż próbowała załatać, to ta jednak uparcie dawała o sobie znać. Przez cały ten czas Ernie zdawało się, że widzi i czuje więcej od innych ludzi. Że tamten martwy świat lgnie do niej i otwiera przed nią swoje tajemnice. Ale ona nie chciała... Nie miała zamiaru w niego spoglądać.

Kilka miesięcy temu jechała z Bobbym do pubu. Ot tak, zwykły wypad na kilka kufli piwa i porcję niezdrowego, tłustego jedzenia. Mknęli przez miasto jej małą Suzi, do której Bob ledwo się mieścił. Nigdy jednak na to nie narzekał, wiedząc, że to auto jest dla niej niczym najbliższa rodzina, której nigdy nie miała. Była mu za to wdzięczna. Tamtego dnia jednak czuła się podenerwowana. Ścisnęła kurczowo kierownicę, rozglądając się, sama nie wiedząc po co, na wszystkie strony. Miała nadzieję, że trochę piwnych procentów uspokoi jej narastający niepokój. Gdy jednak minęła wielki reklamowy baner wznoszący się po lewej stronie tuż przy ulicy, poczuła ścisk

w żołądku. Była to chwila. Szybki rzut oka na ogromną reklamę, na której ulizany, blady mężczyzna uśmiechał się szeroko w jej stronę, a tuż przy jego podobiznie widniały wielkie czerwone napisy:

Tobie też pomogę sprzedać twój dom!

Nie czekaj...

Ten tekst nie przykuł jej uwagi, jednak to, co znajdowało się poniżej, spowodowało, że znów poczuła ogromny niepokój:

Skontaktuj się ze mną!

Gerald West

...i te cholerne cyferki z nic nieznaczącego adresu: „0920”.

Gerald... 0920... - powtórzyła w myślach, próbując skupić się na jeździe.

- Nie szarp tak swojej Suzi, bo się na ciebie obrazi - pozwolił sobie na kąśliwą uwagę Bobby.

Od kiedy ruszyli w drogę, Bob zauważył, że jego przyjaciółka nie najlepiej radzi sobie dziś za kółkiem. Oczywiście nie miał nic do kobiet prowadzących samochody (uważał wręcz, że pod wieloma względami są lepsze niż większość mężczyzn... mężczyźni na przykład nie potrafią jednocześnie malować sobie szminką ust i prowadzić auto...), jednak nerwowość Erny dało się dziś wyczuć z każdym jej nagłym i bezlitosnym szarpnięciem małym samochodem, mimo że na ogół, co szczerze przyznawał, jego przyjaciółka była świetnym kierowcą.

Erna nic nie odpowiedziała. Stali właśnie na skrzyżowaniu, czekając na zmianę sygnalizacji świetlnej.

- Wiesz - zagadnął Bobby, chcąc nieco rozładować panującą w samochodzie ciężką atmosferę. - Ostatnio w sklepie trafiłem na kurewsko dobry wyrób. Piwo, które chyba na stałe zagości w mojej stylowej lodóweczce.

Wciąż podniecał się swoim najnowszym nabytkiem w postaci małej pokojowej chłodziarki, dzięki której oglądając mecz, miał stały dostęp

do puszek z piwem. Ernie wydawało się to zabawne. Bobby wspominał o niej przy każdej rozmowie, a dokładnie od tygodnia, czyli od dnia, kiedy minilodówka zagościła u niego w domu.

Uśmiechnęła się łagodnie w jego stronę. Bob odetchnął w duchu, ciesząc się, że jego przyjaciółka nie popadła w całkowicie podły nastrój. Może jej nerwowość wynikała po prostu z tych kobiecych legendarnych dni... Tych, gdzie po pewnym czasie zalewa je Morze Czerwone. Bobby przybrał minę myśliciela, a Erna z piskiem ruszyła dalej, skręcając na skrzyżowaniu w lewo.

- Wracając do tematu - odezwał się znowu Bobby, którego na moment wbiło w małe oparcie fotela pasażera, a raczej to oparcie wbiło się w jego olbrzymie, masywne plecy. - Odkryłem w sklepie bardzo dobre piwo. Nazywa się Dirty Gerald, ale to nie nazwa jest w nim najlepsza! Nawet nie smak! Ten skurczybyk liczy sobie dziewięć procent! Daje ostro po bani!

- Co?! - krzyknęła z niedowierzaniem Erna, odwracając gwałtownie głowę w jego stronę.

- Eee... - wyjąkał Bobby - daje po bani? - dokończył niepewnie. Spoglądając na wkurzoną twarz przyjaciółki, zaczął się zastanawiać, czy może przypadkiem czymś ją uraził. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. To na pewno muszą być te kobiece dni...

- Nie o to...

- UWAŻAJ! - ryknął Bob, chwytając za kierownicę. W ostatniej chwili, zdołał odbić w lewo, unikając tym samym rozjechania kobiety pchającej przed sobą dziecięcy wózek.

- Skręć w prawo! - nakazał zdecydowanym głosem, spoglądając nerwowo w boczne lusterko. Kobieta z wózkiem stała na środku ulicy, trzymając obie ręce na głowie. Po chwili zniknęła z pola widzenia.

Suzi wjechała w osiedlową wąską uliczkę usianą z każdej strony małymi uroczymi domkami. Erna zjechała na chodnik i wyłączyła silnik.

- Ożeż w mordę... - wysapał Bobby, ciężko oddychając. Oczami wyobraźni widział już przelatującą nad Suzi matkę i mały dziecięcy

wózek, z którego wypada noworodek, rozplaszczając swoje ciało o przednią szybę samochodu.

- Dirty... GERALD?! - odezwała się Erna, wypowiadając drugie słowo głośno i wyraźnie. - Dziewięć? Dziewięć procent?!

- C... co? - wymamrotał zdezorientowany Bobby, gdy po chwili zaskoczył. - Aaa... No tak. Tak się nazywa i ma tyle procent. Przysięgam! Wpadnij jutro do mnie, to ci pokażę. Może nawet odstąpię jedną puszkę.

- To jest nienormalne... - wyszeptała Erna i po chwili odpaliła silnik.

Nie zdążyła jeszcze ruszyć, gdy tuż obok nich śmignął w przeciwnym kierunku czarny van z napisem: „Usługi tapicerskie Gerald Buckley”... Na swoje nieszczęście zdążyła zarejestrować ostatnie cyfry numeru telefonu - „920”.

- O! - ożywił się nagle Bobby. - Patrz, ten koleś z vana ma na imię tak jak to niebiańskie piwo!

Erna znów spojrzała na niego. Nie była jednak zdenerwowana. Na jej twarzy malował się niepokój.

- Co się dzieje? - spytał zatroskany Bob.

- Chyba... - zaczęła, a na jej czole utworzyły się pionowe zmarszczki. Zastanawiała się, czy może o tym powiedzieć przyjacielowi. - ...chyba muszę ci coś wyznać. - Stwierdziła, że może.

- No - zgodził się Bob, dodając: - Pozwól jednak, że ja poprowadzę, a ty usiądziesz sobie obok.

Zgodziła się bez wahania i gdy po dłuższej chwili (Bobby musiał odsunąć siedzenie kierowcy najdalej jak się dało, aby w jakikolwiek sposób umożliwić sobie prowadzenie małej Suzi) ruszyli w dalszą drogę do pubu, Erna zaczęła swoją opowieść. Miała tylko nadzieję, że nie weźmie jej za... dziwaka. Powiedziała mu wszystko. Wszystko, co ją spotkało w przeciągu ostatnich pięciu dni. Gdy w myślach przetwarzała to, co mówiła, dziwiła się sama sobie, że odważyła się powiedzieć o takich głupotach. Nic nieznaczących sytuacjach, które...

po prostu były zbiegami okoliczności? Sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

Bobby, zwinnie kierując Suzi, z niewzruszoną miną wysłuchiwał, jak jego przyjaciółka przez pięć ostatnich dni wszędzie widziała i słyszała imię Gerald: gdy oglądała telewizję, przełączała kanał i w momencie pojawienia się wybranej stacji prezenter bądź lektor wypowiadał słowo „Gerald”, gdy przeglądała gazetę i na stronie, którą otworzyła, widniało imię Gerald w mało znaczącym artykule, gdy szła ulicą i za swoimi plecami usłyszała kilkakrotnie podczas wymiany zdań tę prześladowującą ją zbitkę liter, układających się w jedno... „GERALD”... Wszędzie ten pieprzony GERALD! „Gerald... NIE WOLNO!” - krzyczała starsza pani na swojego szczerkowatego psa rasy york, który przeraźliwie szczekał na przechodzącą tuż obok niego parę. „Gerald, kochanie, możesz wybrać tylko jednego batonika” - poinformowała swoje dziecko młoda matka, którą Erna napotkała przedwczoraj w supermarkecie, stojąc naprzeciw stoiska z czekoladą. „Och tak, Gerald jest wspaniały” - usłyszała innego dnia za swoimi plecami rozmowę dwóch kobiet w średnim wieku, gdy sama popijała kawę w jednej z miejscowych kawiarni.

Ale nie tylko to, jak się chwilę później dowiedział Bobby, prześladowało Ernę. Gerald był tylko jednym z dwóch stalkerów. Były jeszcze te cholerne cyfry, które zazwyczaj układały się w jedną całość: „0920” albo też „920”. Rzadko występowały osobno. W ciągu tych pięciu przeklętych dni Erna spoglądała na zegarek równo o 9:20 rano i równo o 9:20 po południu. Widziała je w reklamach, w cenach, a teraz doszedł ten cholerny procent piwa, które nazywa się jak?! Przeklęty Gerald!

- Brudny Gerald - poprawił ją Bobby, który właśnie parkował Suzi na parkingu tuż przy pubie.

Erna spojrzała na niego urażona. Myślała wtedy, że weźmie ją za wariatkę, za... dziwaka. Ku jej zdziwieniu Bobby powiedział tylko:

- Wiesz, wydaje mi się, że w życiu nic nie dzieje się bez przyczyny.
- Po chwili wyszedł z samochodu, otworzył przednie drzwi pasażera

i złapał ją mocno, choć z wyczuciem za rękę. – A teraz idziemy włączyć w siebie trochę procentów i nie będzie ich dziewięć! – powiedział, przytulając ją do swojej wielkiej piersi. – I... i... dwadzieścia! – dodał bojowo. – Mogę cię też zapewnić, że nie spojrzysz dziś na zegarek o dwudziestej pierwszej dwadzieścia! Daję słowo!

Erna odkleiła się od jego wielkiego cielska i poklepała przyjaciela serdecznie po ramieniu.

Wiedziała, że mogła na niego liczyć. Gdy tamtego dnia wchodzili do pełnego pubu, Erna nie przypuszczała, że te pięć prześladowających ją dni będzie miało swoją przyczynę. Nie wiedziała, że mogła zapobiec czemuś, co miało wydarzyć się później.

Siedzieli z Bobbym przy barze, gdy w telewizorze, zamontowanym tuż nad ich głowami, rozbrzmiały wieczorne wiadomości. Zazwyczaj nic ciekawego się w nich nie działo. Jakaś paplanina powtarzana z rana. Jednak tamtego dnia było inaczej. „Gerald” zaczął nabierać przerażającego znaczenia. Próbowwała właśnie otworzyć upartą prażoną pistację, gdy z odbiornika telewizyjnego dobiegło ją znane imię. Uniosła głowę, spoglądając w ekran. Na pasku informacyjnym, tuż pod gadającym prezenterem, widniała aktualna godzina.

– Dziewięć dwadzieścia... – szepnęła, wypuszczając pistację z rąk. Ta sturlała się z barowej lady i bezwładnie opadła na posadzkę.

– Co? – bąknął zdziwiony Bobby, upijając spory łyk świeżo nalanego piwa. Zaciekawiony, powędrował za wzrokiem swojej przyjaciółki. Nagle parsknął, obryzgując przy tym siedzącą tuż obok niego młodą pannę.

– Fuu! Obrzydliwe! – pisnęła dziewczyna, która z odrazą zeskoczyła z krzesła i po chwili pognęła do łazienki.

– Prze... przepraszam! – wykrzyknął za nią Bobby, choć ta już go nie słyszała. – No nie mogę... – wyjąkał z niedowierzaniem, spoglądając na godzinę. – Specjalnie to zrobiłaś? – spytał, przyglądając się podejrzliwie siedzącej obok Ernie.

– Cicho! – rozkazała, wskazując palcem na lecące w telewizorze wieczorne wiadomości. Na czterdziestocalowym LCD prezenter,

z przejęciem malującym się na wypielęgnowanej twarzy, opowiadała o czymś, co wydarzyło się niedawno i było całkowicie świeżym newsem. Bobby zamilkł, wsłuchując się w niewyraźne, ginące w gwarze słowa mężczyzny w granatowym garniturze.

- ...nie miały szans na przeżycie. Rozpędzony czarny van, należący do firmy Gerald & Couch, z impetem wjechał w grupę dwadzieścioro dzieci w wieku od ośmiu do dziesięciu lat, gdy te wraz ze swoimi opiekunami wracały z występu w pobliskim domu kultury. Na obecną chwilę mówi się o dwunastu ofiarach śmiertelnych, w tym ośmiorgu dzieciach, dwojgu wychowawców i kierowcy vana. Pięć osób jest w stanie ciężkim. Policja na razie nie zdradza szczegółów co do okoliczności wypadku. Pojawiają się jednak informacje, że kierowca samochodu chorował na serce. Przyczyną mogło być jego zasłabnięcie za kierownicą...

Erna oderwała wzrok do telewizora. Nie chciała dalej tego słuchać. Bobby zrobił to samo, pozwalając sobie na trafny komentarz w jego stylu:

- Ożeż w mordę!

Natomiast Erna wiedziała dwie rzeczy. Pierwsza to wewnętrzne przekonanie, że „Gerald” i „0920” na zawsze zniknęły z jej życia, a drugą było to, co usłyszała wcześniej od przyjaciela.

- Nic nie dzieje się bez przyczyny - oświadczyła, spoglądając w ciemne oczy przejętego Bobby'ego. Ten pokiwał wielką włochatą głową na potwierdzenie jej słów, po czym na raz opróżnił kufel i od razu zamówił kolejne piwo.

Z łazienki wyszła młoda dziewczyna. Bobby od razu rozpoznał w niej ofiarę swojego niekontrolowanego parsknięcia z ustami pełnymi chmielowego alkoholu. Spojrzał na nią przepaszająco. Dziewczyna, ku jego zdziwieniu, uśmiechnęła się i po chwili podeszła do baru. Nie zajęła jednak swojego miejsca, na którym siedział teraz chudy i łysy facet. Zamiast tego wręczyła Bobby'emu karteczkę, mówiąc:

- Odezwił się. Chyba należą mi się jakieś przeprosiny. - Puściła do niego zalotnie oko i ruszyła w stronę wyjścia.

Erna zlustrowała ją wzrokiem. Nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat i najwyraźniej lubiła być opluwana przez wielkich, zarośniętych facetów. Bobby jak zahipnotyzowany wpatrywał się w oddalające się pośladki młodej dziewczyny, a gdy te zniknęły wraz z jej właścicielką za drzwiami, odezwał się uradowany:

- Nic nie dzieje się bez przyczyny!

- Nic nie dzieje się bez przyczyny... - wyszeptała Erna, bezgłośnie poruszając ustami.

„*Rien n'arrive sans raison*” - przypomniała sobie napis wygrawerowany na metalowej puszcze, a także ścianę w pokoju księdza Uchto. Sznur na nadgarstkach wciąż nie dawał za wygraną. Spojrzała wprost na Gospodarza, który coś do niej mówił. Powoli, wracając do rzeczywistości, zaczęła przyswajać jego słowa.

- ...niewiele czasu, słodziutka - usłyszała niepełne zdanie.

Zerkając na zegar, Adolfo Patino z przykrością stwierdził, że za kilka chwil będzie musiał pożegnać się ze swoim niezapowiedzianym, uroczym gościem. Nie mógł nic więcej dla niej zrobić. Dał jej szansę, zaufał i pozwolił na uczestniczenie w Świętej Uczcie. Reszta należała do mistrza Wesaliusza, któremu widocznie ta młoda panna nie przypadła do gustu. W żadnym wypadku nie zamierzał kwestionować jego wyroku. To, co się wydarzyło, było wyraźnym znakiem z zaświatów. Trwała pieczęcią samego mistrza, który ostatecznie uniemożliwił tej młodej osobie wkroczenie w progi ich Stowarzyszenia, a tym samym kontynuowanie wielkiego dzieła i odkrywania istoty prawdziwego człowieczeństwa. O tak! Wielki Andreas Wesaliusz zdecydowanie dał mu znać, że on - oddany Gospodarz - był w błędzie. Patino musiał przyznać sam przed sobą, że mylił się co do tej dziewczyny, choć wciąż przychodziło mu to z trudem.

Spoglądając na nią, przywiązaną teraz do krzesła, był przekonany, że świetnie pasowałyby do ich Stowarzyszenia. Jednak nie zamierzał

kwestionować losu wyznaczonego przez samego Wesaliusza. Byłby głupcem, gdyby sobie na to pozwolił. Dlatego miał nadzieję, że ofiara złożona z ciała tej młodej panny będzie wystarczającym odkupieniem jego błędnej decyzji. Czy rzeczywiście widziała Andreasa Wesaliusza? Adolfo zerknął raz jeszcze w kierunku skrepowanej ofiary. Nagle poczuł, że wzbiera w nim złość. Przecież nie mogła go widzieć! Ta mała, przebiegła suka wymyśliła to sobie, próbując ratować swoją skórę. Głupia bezbronna dziewczynka – pomyślał Gospodarz, uśmiechając się krzywo. Nie wiedziała... Nie mogła wiedzieć, że Andreas Wesaliusz ukazuje się tylko członkom, którzy pochodzą z najstarszych rodów Stowarzyszenia Wesaliuszy. Tylko oni mają ten dar, ten zaszczyt obcowania z nim choć przez chwilę. Taki był Samuel Cavalcanti... Od zawsze mu tego zazdrościł. Jego syn też z pewnością posiadał ten dar. Posiadał... bo teraz gnije gdzieś pod ziemią, choć Adolfo dał mu szansę. Wysłał mu zaproszenie na tegoroczną Ucztę, a ten niewdzięcznik, jak się szybko okazało, planował przebrzydłą zbrodnię! Marnotrawny został zlikwidowany. Żadna to strata. Na twarzy Gospodarza zagościła czysta nienawiść.

Erna czuła, że ma niewiele czasu. Prawdopodobnie nie zdoła się uwolnić. Za kilka minut wybije godzina dwunasta i wtedy... wtedy pozostanie jej czekać na cud.

- Ta choroba musi pana dobijać – zagadnęła, chcąc zyskać na czasie. Coraz mocniej, nie zważając na możliwe hałasy, szorowała związanymi nadgarstkami o krawędź kałamarza.

- Tak. - Na twarzy Adolfo wciąż malowała się złość. - Choć dla mnie jest ona męczeństwem z wyboru – odparł oschle.

- Dlaczego Andreas Wesaliusz udał się na pielgrzymkę do Jerozolimy? – spytała, mając nadzieję, że Gospodarz pociągnie ten temat.

- Nieważne, słodziutka – odparł ku jej rozpaczycy Patino. - Nie mamy już czasu na opowieści. Zaraz wybije południe – stwierdził, wskazując na wiszący za nim zegar. - Pozwól, że cię opuszczę. Niedługo zjawi się u ciebie Kruger. Będzie to ostatnia osoba, którą zobaczysz w swoim –

zastanowił się przez chwilę, chcąc znaleźć odpowiednie słowo – straconym życiu – dokończył wreszcie, czując jednak w sercu ogromny zawód.

- Panie Patino – rzekła rozpaczliwie Erna, próbując ostatni raz ugrać dla siebie trochę więcej cennych minut. – Proszę, czy mógłby mi pan odpowiedzieć na to pytanie?

Gospodarz odwrócił się gwałtownie i odrzekł:

- Po co ci to wiedzieć, słodziutka? – Spoglądał na nią obojętnie.

Erna zastanowiła się przez chwilę, próbując wymyślić w miarę sensowną odpowiedź.

- Można powiedzieć, że to moje ostatnie życzenie przed śmiercią – odpowiedziała najbardziej przekonująco, jak tylko potrafiła.

Adolfo przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, jednocześnie zastanawiając się, czy ta osoba na to zasługuje. Tak, zgadzał się z wolą swojego mistrza, jednak naprawdę polubił tę dziewczynę. Chyba stać go było na spełnienie jej ostatniego życzenia. Naprawdę mu imponowała. Do końca życia ciekawa historii człowieczeństwa... Taka strata... – Adolfo pokręcił głową w zamyśleniu, po czym odrzekł:

- Jak się pewnie domyślasz, Andreas Wesaliusz nie był bogobojny. Tak naprawdę nie wierzył w jakiegoś tam Boga i wszystkie religie świata miał gdzieś.

Erna musiała przyznać mu rację. Dokładnie tak myślała. Wątpiła, aby kanibal w najgorszym wydaniu jak gdyby nigdy nic co wieczór składał ręce do modlitwy i odmawiał z pamięci pacierz.

- Jak już wiesz, do jego tajnego Stowarzyszenia należał cesarz Karol Piąty. Co ciekawe, sam był wielkim miłośnikiem spożywania ludzkiego mózgu, co jak wiemy, odbiło się na jego zdrowiu. W tysiąc pięćset pięćdziesiątym szóstym roku, nie radząc sobie z objawami choroby, musiał abdykować. Biedak zmarł na kuru wcześniej, niż przypuszczał. Jak podaje wiele tradycyjnie zakłamanych historycznych źródeł, Karol Piąty w chwili swojej męczeńskiej śmierci trzymał w ręku krucyfiks. W ostatnich sekundach swojego istnienia na Ziemi miał wypuścić go z rąk krzycząc: *Hay Jesus!*. Jest Jezus!

Oczywiście jest to wierutna bzdura. – Patino skrzywił się na samą wzmiankę o tym kłamliwym, jego zdaniem, przekazie. – Tak naprawdę wypuścił z ręki krucyfiks, gdy umierając, zobaczył nikogo innego jak swojego oddanego przyjaciela, Wesaliusza. W tym też momencie wzgardził chrześcijańskim krucyfiksem i krzyknął...

– *Hay Vesalius...* – dokończyła za niego Erna, próbując połączyć wszystko w całość.

– Dokładnie tak, słodziutka. Co więcej, nie wykrzyknął tego, a wybełkotał, dlatego niektórzy zrozumieli to jako *hay Jesus*.

– Czyli Wesaliusz był obecny przy cesarzu, gdy ten umierał?

– Nie – zaprzeczył stanowczo Adolfo.

– Więc jak... jak Karol Piąty mógł go zobaczyć?

– Gdybym to wiedział, słodziutka, z pewnością bym odpowiedział na to pytanie. Pozostaje nam tylko wierzyć w ten jedyny prawdziwy przekaz. Tak było. Koniec i kropka.

Erna nie zamierzała się z nim sprzeczać. Wolała swoją siłę skupić na przetarciu liny okalającej jej zmaltretowane już nadgarstki. Nagle zegar wybił godzinę dwunastą. Złowieszcze bim-bam rozbrzmiało w mrocznym gabinecie. Erna rozpaczliwie spojrzała na wskazówki. Cholera – pomyślała, czując, że nie uda jej się oswobodzić.

– Powinienem już odejść, moja droga. Pozwól, że dokończę w wielkim skrócie. – Wyrażenie „w skrócie” przyprawiło Ernę o bolesny ścisk żołądka. – Po abdykacji cesarza Karola Piątego władzę objął jego syn Filip II. Niestety był gorliwym, a raczej psychopatycznym katolikiem, który nigdy nie pałał entuzjazmem do praktyk Wesaliusza, tak samo jak do swojego ojca. Tak naprawdę za wszystko co złe obwiniął Andreasa, mówiąc, że jest szatanem. Próbował się go pozbyć i wreszcie dopiął swego. W tysiąc pięćset sześćdziesiątym czwartym roku Andreas Wesaliusz został oskarżony przez inkwizycję o morderstwo. Filip II postarał się, aby nasz wielki mistrz zniknął z jego ziemi. Dlatego ukartował sekcję zwłok pewnego szlachcica, na której rzekomo okazało się, że serce denata wciąż bije. Tak naprawdę przekupił wielu obserwatorów, aby zaczęli krzyzczeć

z przerażenia, iż leżący na stole trup nie jest do końca trupem. W ten prosty sposób cholerny Filip II dopiął swego. Nie chcąc jednak narażać się na plotki ze strony Stowarzyszenia, zamienił litościwie karę śmierci na pielgrzymkę do Jerozolimy. Teraz już wiesz, słodziutka, jak nasz drogi Andreas Wesaliusz znalazł się w tamtym miejscu.

Erna w tej chwili wiedziała tylko, że skończył jej się czas. Czas, którego potrzebowała na uwolnienie się z tego miejsca. To koniec? – pomyślała, czując, jak łzy napływają jej do oczu.

- Nadszedł moment, aby się pożegnać.

- Panie Patino... – zaczęła, choć sama nie wiedziała, co powiedzieć, o co spytać, aby zatrzymać tego pieprzonego starucha na dłużej w pokoju.

- Spokojnie. Umrzesz oświecona. Twoja śmierć będzie dla ciebie łaskawa – rzekł łagodnie Gospodarz, jak gdyby jego słowa miały ją jakkolwiek pocieszyć. Czowała, jak krew odpływa jej z twarzy. Nie mogła tak skończyć. Nie teraz.

Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka wparowała zwalista postać Stefana Krugera. Kucharz obrzucił Ernę spojrzeniem pełnym obrzydzenia (wciąż pamiętał jej wymiociny na drewnianej podłodze), po czym ścisłym i przejętym głosem odezwał się do Gospodarza:

- Panie Patino. Jest pewien problem. Będzie małe opóźnienie.

Adolfo spojrzał z niepokojem na Ernę, po czym szepnął do Krugera:

- Nie tutaj. – I oboje skierowali się do wyjścia.

- Czy naprawdę go widziałaś? – spytał Gospodarz, stojąc już w korytarzu.

Erna domyśliła się, o kogo mu chodzi. Czy naprawdę go widziała?

- Nie – odpowiedziała i pierwszy raz nie wiedziała, czy kłamała czy też mówiła prawdę.

- Tak myślałem – odparł z zadowoleniem Adolfo, szczerząc w uśmiechu swoją sztuczną szczękę.

Po chwili zniknął jej z pola widzenia, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Słyszała oddalające się kroki, a gdy całkiem ucichły, rozpaczliwie przycisnęła nadgarstki do kałamarza. Zaczęła pocierać nimi histerycznie w przód i w tył. Czuła, że choć sznur lekko się poluzował, było to wciąż za mało. Ile miała jeszcze czasu? Ile minut, zanim pieprzony Kruger zjawi się znów w gabinecie, aby zadać jej ostateczny cios? Nie zważała teraz na ból. Nie zważała na obolałe ramiona i podrażnione nadgarstki. Zacisnęła zęby i z największą, jaką mogła z siebie wykrzesać, determinacją próbowała przeciąć grubą linę. Jednocześnie nasłuchiwała, czy nikt się nie zbliża. Zamarła nagle, mając wrażenie, że słyszy czyjeś ciężkie stąpanie. Zdała sobie jednak sprawę, że to tylko jej się zdawało. Dalej sunęła rękoma po ostrym marmurze, szukając gdzieś w głębi duszy ostatniego ochłapu nadziei. To miejsce było upiorne. To miejsce obudziło w niej zdolności, o których nie chciała pamiętać, z których nie chciała nigdy korzystać. Tylko dziwaki widzą więcej. Tylko ludzie niespełna rozumu twierdzą, że mogą porozumiewać się ze zmarłymi. A ona była przecież normalna. Przynajmniej na swój pokręcony sposób... Jednak to, co tu się działo... Czy naprawdę Samuel Cavalcanti próbował się z nią skontaktować z zaświatów? Czy naprawdę widziała odrażającego Andreasa Wesaliusza? Jeśli tak, to martwiło ją tylko jedno... Co, do licha, robił tam jej przyjaciel Bobby?!

Ponownie zamarła bez ruchu. Tym razem była pewna, że ktoś się zbliżał. Cholera! A więc tak miało skończyć się jej życie? Miała zostać posiłkiem dla tych kanibali? Wstrzymała oddech.

- Cześć - przywitała się z nią Cindy Walker, stając w otwartych drzwiach. Erna wypuściła powietrze. - Wygląda na to, że jeszcze trochę sobie pożyjesz - poinformowała ją bladolica dziewczyna.

- Co? - rzuciła zdziwiona Erna, przyglądając się jej z uwagą.

Jej wygląd nie był już tak atrakcyjny jak na samym początku. Jej blada cera, wychudzone ciało i lekko przekrwione oczy zaczęły budzić w Ernie niepokój. Cindy zamrugnęła jasnymi, ledwo widocznymi rzęsami, po czym weszła do środka.

- Nasz kierowca miał małą awarię autokaru czy coś... - wyjaśniła niedbale, kręcąc się po pokoju niczym nocna zjawa.

Erna przełknęła ślinę. Jej serce łomotało jak oszalałe. Miała nadzieję, że Cindy nie postanowi obejść biurka. Gdyby pognały ją tam te chude, białe jak mleko nogi, dla Erny byłby to już z pewnością koniec. Koniec jej jedyne go planu ucieczki, który, o zgrozo, opierał się na pieprzonym kałamarzu Adolfo Patino. Jednak Walker (ku jej ogromnej uldze) najwidoczniej nie miała zamiaru brnąć tak daleko. Przystanąła przed gablotą i oparła o nią swoje plecy.

- Ach... - jęknęła, odrzucając długie włosy do tyłu. - Gaku mówił mi, że coś z tobą jest nie tak. Wprawdzie... nie sprecyzował, co dokładnie, ale twierdził, że ci nie ufa. - Erna nie spuszczała z niej wzroku. Patrzyła teraz, jak na jej twarzy pojawia się krzywy, szyderyczy uśmieszek. - Jak widać, miał rację - dokończyła, splatając przed sobą ręce.

- Coś ze mną jest nie tak? - powtórzyła Erna.

- No - potwierdziła Walker. - Wiesz - zaczęła, utkwivszy wzrok w obrazie Tycjana, który wisiał za biurkiem - nie powinno cię tu być.

- To zabawne.

- Co takiego? - Cindy przeniosła na nią swoje przeszywające spojrzenie.

- To samo powiedział mi ksiądz Uchto, kiedy jeszcze... kiedy jeszcze żył - odparła Erna, powracając myślami do tamtego dnia. Wtedy jeszcze nie wiedziała... nie mogła wiedzieć, że Kruger musztrował swój przyszły posiłek, aby ten czasem nie zwiął lub też, co gorsza, swoim zachowaniem nie wzbudził w niej samej niepotrzebne go zainteresowania. Teraz to wszystko nabierało sensu. Krwawego i odrażające go.

- No tak... Nasz kochany, biedny ksiądz Uchto - wymamrotała Cindy z nutką rozbawienia w głosie. - Żal ci go? - spytała, wpatrując się w Ernę wyczekująco.

- To chyba oczywiste - odpowiedziała Erna, której umysł znów wyświetlił w głowie obraz odciętej głowy w lodówce.

- Ciekawe, czy byłoby ci go żal, gdybyś wiedziała, kim był, a raczej, co zrobił.

- A więc oświeć mnie. Co takiego zrobił? - odparła głośno Erna, próbując w ten sposób na chwilę zagłuszyć mocniejsze szarpnięcia nadgarstków o ostry kant kałamarza. Sznur wciąż nie dawał za wygraną.

Cindy nagle się ożywiła. Zadarła głowę, a Erna po jej spojrzeniu poznała, że to, co zaraz od niej usłyszy, nie będzie należało do lekkich historii.

- No więc... - zaczęła Walker, stukając palcem o wąskie usta. - To było jakiś czas temu. Piotr Uchto nie był jeszcze wtedy księdzem. Był młodym chłopakiem, który u swojego boku miał oddaną mu dziewczynę. Pewnego dnia postanowił wyprawić dla niej uroczystą kolację. Pod nieobecność swoich rodziców zaprosił ją do mieszkania, gdzie wszystko przygotował. Pięknie nakryty stół, biała porcelana... Był jednak mały szkopuł. Otóż - zamilkła na moment, chcąc zbudować napięcie - dziewczyna nie wiedziała, że będzie głównym daniem tej kolacji. - Cindy zachichotała, a Erna poczuła, jak wzbiera w niej obrzydzenie.

- Co? - wydusiła z siebie.

- Och tak! - pisnęła podniecona Walker. - W kraju, z którego pochodzi, to była głośna sprawa! Jednak to, co zrobił syn, wziął na siebie ojciec. Okrzyknięto go „Bestią z Aniołowa”... Tego ojca, nadażasz? Jego rodzice myśleli, że w ten sposób ochronią swojego jedyne go, według nich pogubionego życiowo, syna. Myśleli, że to był tylko jego niewinny młodzieńczy wybryk, że to wszystko jeszcze się zmieni! A to dobre! HA, HA! Zmieni! HA, HA! - Cindy Walker zaczęła dławić się ze śmiechu, jakby przed chwilą opowiedziała naprawdę dobry kawał. Uderzając przy tym dłonią o chude udo, wyglądała na niezwykle rozbawioną.

Erna postanowiła wykorzystać tę dogodną dla niej chwilę. Coraz szybciej i mocniej poruszała związanymi rękoma, mając nadzieję na szybkie oswobodzenie się. Wszyscy w tym hotelu mieli nierówno pod

sufitem. Współczucie do księdza całkowicie ją opuściło. Niestety Cindy szybko opanowała swój głośny, niekontrolowany wybuch śmiechu. Ocierając łzy, niebędące bynajmniej efektem wzruszenia czy żalu, odparła:

- Sama widzisz, ksiądz Uchto był taki jak my.

- Taki jak wy?

- U-CZŁO-WIE-CZE-NI - doprecyzowała wyraźnie Cindy. - Wiesz, żeby dostać się do Stowarzyszenia Wesaliuszy, nie można się ot tak po prostu dopisać. To tak nie działa. Być w tym Stowarzyszeniu to największy zaszczyt, jaki może spotkać każdego z nas!

- Ja jednak dziękuję... - mruknęła pod nosem Erna.

- Co?

- Nic - odpowiedziała, wciąż pocierając związanymi dłońmi o kałamarz. - No więc co takiego trzeba zrobić, żeby dostać się do tego... eee... wielkiego i cudownego Stowarzyszenia?

Cindy, której tusz do rzes obficie rozmazał się pod wilgotnymi od śmiechu oczami, wyglądała teraz jak gnijący truposz.

- Coś wielkiego! Coś... kreatywnego! Coś... ludzkiego.

Walker czuła w sobie narastające podniecenie, gdy każda wypowiedziana przez nią informacja trafiała w związaną Ernę niczym strzała w sam środek jej bijącego jeszcze serca. Widziała na jej upapranej krwią twarzy, jak bardzo szokują ją te informacje. Była taka spięta i bezbronna. Była... cała jej. Otwarta na przyszłe fakty, które z pewnością potężnie wstrząsną ostatnimi minutami jej nędznego życia. Słyszała od Krugera, co zrobiła. Słyszała, że zaplamiła podłogę w gabinecie wymiocinami. Jak mogła? Jak śmiała wypluć z siebie ten święty posiłek?! Takie marnotrawstwo... Gdyby tylko mogła, zabiłaby ją sama... tu i teraz! Ten zaszczyt jednak przypadał Krugerowi, o czym dobrze wiedziała i musiała się z tym, chcąc nie chcąc, pogodzić. Doprawdy nie pojmowała, co takiego ujrzał w niej Gospodarz. Co takiego miała ta mała niewdzięczna dziwka?! Adolfo Patino nigdy na nią tak nie patrzył. Nigdy nie prowadził z nią długich

rozmów, a przecież... a przecież to ona! Cindy Walker miała największe szanse zostać nowym Kucharzem!

- Czyli jeżeli zrobiłabym jakieś origami, to mogłabym do was dołączyć? - rzekła Erna z lekkim uśmieszkiem, wrywając Cindy z zamyślenia.

Cindy nie spodobał się jej drwiący ton głosu.

- Jeżeli byłoby to origami z ludzkiej skóry - odparła Walker z namysłem - to myślę, że jak najbardziej. Jednak zostało ci już raczej zbyt mało czasu na stworzenie czegokolwiek.

- Tak, wiem. Słyszałam to już dziś wiele razy.... - wymamrotała Erna. - A więc co takiego zrobiliście, że mogliście dołączyć do Stowarzyszenia? Też pożarliście swoje dziewczyny? - zażartowała, choć nie było jej do śmiechu.

- Ach, nie! - zaprzeczyła Cindy. - Chociaż, jeżeli wziąć pod uwagę historię państwa Bennett, to można powiedzieć, że w ich wypadku tak właśnie było - poprawiła się szybko, dodając: - A przynajmniej podobnie.

- Czyli jak?

- W sumie nie zrobili nic takiego... - oceniła Walker, milknąc na chwilę. Ściągnęła jasne brwi, jak gdyby chciała dokonać oceny tego, czy rzeczywiście Charles i Cecile zasłużyli na to, aby wkroczyć w progi Stowarzyszenia. Dobrze jednak wiedziała, że to nie ona (a przynajmniej jeszcze nie) o tym decydowała.

- Wiesz... - odezwała się po chwili. - Myślę, że to małżeństwo miało łatwiej ze względu na pieniądze, jakimi dysponują. Wystarczyło więc, że skonsumowali swoją młodą pokojówkę.

- Wystarczyło? - powtórzyła z niedowierzaniem Erna. Poczwała, jak przez jej ciało przebiegł nieprzyjemny dreszcz.

- No - przytaknęła Cindy, wzruszając z obojętnością kościstymi ramionami. - Tak naprawdę Charles miał z nią romans. Bzykał ją, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Sam mi to powiedział.

Kiedy ty bzykałaś się z nim w swoim pokoju - pomyślała Erna z odrazą na samo wspomnienie grubego Bennetta.

- Na jego nieszczęście Cecile o wszystkim się dowiedziała i po prostu pewnego dnia zrzuciła młodą dziewczynę ze schodów. Następnie w przypiływie niepoahamowanych emoci, których, jak sama opisała, nigdy nie czuła, postanowiła ugotować uśmierconą pokojówkę i podać ją Charlesowi na kolację. Miała to być jej zemsta na niewiernym mężu, choć sama nie oparła się pokusie spróbowania ludzkiego mięsa. Tak zaczęła się ich historia. Tak zaczęło się ich oświecenie. Wiesz... kiedy ktoś raz spróbuje, chce więcej. To jest jak narkotyk. Ale takie uczucie zarezerwowane jest tylko dla ludzi godnych dostąpienia oświeconej prawdy. Nie wszyscy się do tego nadają... - Cindy spojrziała znacząco na Ernę. Jej mina wyrażała jedno - pogardę.

- To prawda. Nie wszyscy - przyznała jej rację Erna.

Nagle poczuła, jak jeden ze splotów tworzących grubą linę krępującą jej nadgarstki pękł. Węzeł wyraźnie zelżał, choć wciąż nie pozwalał na to, aby mogła oswobodzić obolałe ręce. To ją zmobilizowało do dalszego działania. Chciała żyć. Chciała się stąd wydostać. Musiała teraz wykorzystać każdą sekundę z szybko upływającego czasu. Jednocześnie jej umysł próbował przyswoić informacje, które wciąż wypływały z ust Cindy Walker. Czy to możliwe? Czy to możliwe, że Cecile była tak okrutna i bezwzględna?! Co do Bennetta nie miała żadnych wątpliwości. Wciąż docierało do niej, jak była naiwna i nieostrożna. Docierało do niej, z jak niebezpiecznymi ludźmi przebywała pod jednym dachem w przeciągu tych paru dni. To trochę zabawne - pomyślała nagle, uśmiechając się pod nosem - wkraczając w progi hotelu Hommanger, była przekonana, że będzie tu jedyną niebezpieczną i bezwzględną osobą. Tak bardzo się myliła...

- Inna historia wiąże się z Gaku Harą - ciągnęła Cindy. Erna zauważyła, jak jej oczy na wspomnienie o wypielegnowanym Japończyku nagle rozbłysły niczym uliczne latarnie nocą. Na jej bladych policzkach pojawiły się czerwone wypieki. - Gaku stworzył swoje imperium sam, bez niczyjej pomocy, bez wpływowych

i bogatych rodziców! – zachwycała się Walker, a Erna wiedziała, że mówiąc o „bogatych rodzicach”, miała na myśli ludzi takich jak gruby Charles. – Gaku jest właścicielem znanego baru w Japonii. Nazywa się Vampirio. Słyszałaś o nim?

– Nie – mruknęła Erna.

– Ech. – Cindy znów obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem. Nie miała pojęcia, jak można było nie słyszeć o tym cudownym, znanym na całym świecie miejscu. – Vampirio to bar tematyczny w stylu...

– Wampirycznym – wpadła jej w słowo Erna.

– To jednak słyszałaś?! – zapytała Walker podejrzliwie.

– Nie. Tak jakoś się domyśliłam – bąknęła Erna.

– No tak – odparła cierpko Walker. – Niemniej jednak to nie wampiry sprawiły, że Gaku dostał zaszczytu znalezienia się w Stowarzyszeniu.

– Domyślam się, że kryje się za tym coś bardziej krwistego? – Erna czuła małą satysfakcję, rzucając od czasu do czasu sarkastyczne pytanie. Jednocześnie modliła się w duchu (do sama nie wiedziała jakiego boga), aby sznur dał się wreszcie przeciąć do końca.

– Zdecydowanie – wycedziła przez zęby Cindy, starając się trzymać nerwy na wodzy. Nie mogła sobie pozwolić na to, aby ta mała marnotrawna dziwka wytrąciła ją z równowagi. Czując odrętwienie w okolicy lewego uda, zmieniła pozycję, opierając ciężar ciała tym razem na prawej nodze. Choć nie mogła się doczekać chwili, z którą niejaka Erna Brown zostanie przerobiona na smakowity deser, to jednak w duchu miała nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko. Musiała jej jeszcze przekazać kilka istotnych informacji. Upajała się każdą chwilą, gdy przerażenie malowało się na twarzy związanej dziewczyny. Bawiło ją to, a jednocześnie czuła satysfakcję i swoją wyższość. Wyższość, której tak naprawdę całkowicie doświadczy wraz z chwilą, gdy wreszcie otrzyma zaszczytny tytuł Kucharza. Cindy czuła jednak, że ma mało czasu. Jeżeli chciała pogłębić jeszcze trochę tę bezwartościową dziewczuchę, musiała się śpieszyć.

- Wyobraź sobie, że Gaku opracował przepis na niesamowitego drinka. Nazwał go Krwistym Buziaczkiem. - Ponownie na twarzy Cindy pojawiły się czerwone wypieki. - Nic skomplikowanego. Wiem, bo wyjawiał mi ten przepis. Dwadzieścia mililitrów białego rumu, dwadzieścia mililitrów czystej wódki i tyle samo najważniejszego składnika, którym jest dziewicza krew.

Erna znów uśmiechnęła się pod nosem. Drink Pokojowy w wykonaniu Abramovej wydawał się przy tym wynalazku ambrozją.

- Gaku Hara jest mądry i wie, jak pozyskiwać ten niezwykle cenny i najbardziej istotny składnik swojego drinka.

- Domyślam się, że kupuje go w sklepie z dziewiczą krwią? - rzuciła Erna. Dostrzegła, jak na twarzy Cindy maluje się grymas poirytowania.

- Nie! - zaprzeczyła stanowczo Walker, odrywając gwałtownie ciało od gabloty. - Wyobraź sobie, że robi to w inny sposób! Co jakiś czas zatrudnia w swoim barze młode barmanki, które... które wykorzystuje do swojego niesamowitego przedsięwzięcia!

- O czym ty mówisz?! Zastanów się, przecież to chore! - krzyknęła Erna, nie mogąc znieść tego, z jakim podziwem ta idiotka mówiła o czymś tak... tak... wynaturzonym. Czuła, jak krew pulsuje jej w żyłach.

- Każdą młodą, zapatrzoną w niego barmankę może wziąć w posiadanie i spuścić z niej całą krew! Całą dziewiczą krew, do ostatniej kropli! - Cindy nie miała zamiaru słuchać Erny. Gardziła jej zdaniem. Gardziła tym, że uważa się za lepszą. Jak śmiała?! Co ona mogła wiedzieć o prawdziwym człowieczeństwie?! O poświęceniu?! O wzniosłych ideach?! Mała, głupia suka. Dobrze, że jest związana. Będzie musiała wysłuchać wszystkiego, co ma jej do powiedzenia. Całej prawdy, która zmąci jej zakłamaną umysł. To takie zabawne! - Musisz też wiedzieć, że Gaku bardzo szanuje ludzi, dlatego po spuszczeniu krwi z dziewicy poświęca jej ciało dla siebie. Wszystkie pracujące w Vampirio barmanki stają się z czasem jego jedynym życiowym pożywieniem. Stąd jego młody wygląd i... - Cindy

zapowietrzyła się. Na wspomnienie o ostatnim upojnym wieczorze załała ją fala gorąca. - ...niesamowita sprawność fizyczna!

- Jesteście... kurwa... popierdoleni... - wymamrotała Erna, z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Och dobrze, już dobrze! - wykrzyknęła Cindy. Podeszła teraz bliżej alabastrowych popiersi. Z tej odległości mogła lepiej przyglądać się każdej, nawet najmniejszej reakcji na twarzy związanej Erny. - Nie interesuje cię, w jaki sposób utorowała sobie drogę do Stowarzyszenia twoja zdradziecka koleżanka? - spytała z lekkim uśmiechem.

- Nie jest moją koleżanką - odparła beznamiętnie Erna. - I tak. Jest zdradziecka - przyznała po chwili.

- No, no. - Walker pokręciła głową z uznaniem. - Widzę, że coś do ciebie jednak dociera. To dobrze! - pisnęła cienkim głosem, klaszcząc w dłonie. - Jednak muszę cię zmartwić. O Abramovej nic nie wiem. - Cindy skrzywiła się na sam dźwięk jej nazwiska, które z trudem przeszło jej przez gardło. - Podejrzewam, że musiała wpłacić ogromną sumę pieniędzy, aby się tu dostać, byle tylko... byle tylko zaspokoić swoje fanaberie - powiedziała z odrazą. - Rosjanie... kto ich zrozumie?

Cindy nagle zamilkła, wpatrując się w Ernę wyczekująco. Widząc jednak brak zainteresowania z jej strony, powiedziała:

- Pewnie zastanawiasz się, czym ja zasłużyłam sobie na obecność w Stowarzyszeniu?

- Niespecjalnie - stwierdziła Erna, błędząc wzrokiem po drewnianej podłodze.

- To nic - oświadczyła Walker. - I tak ci powiem.

- Spierdalaj.

- Słucham?! - odparła oburzona Cindy.

- SPIER-KURWA-DALAJ! - powtórzyła głośno Erna, wbijając swój stalowy wzrok w purpurową twarz Cindy.

To była chwila. Kilka sekund, podczas których rozjuszona zjawa doskoczyła do Erny i zamachnęła się otwartą dłonią prosto w jej

prawy policzek. Głuchy plask rozbrzmiał w małym gabinecie. Erna była odporna na taki ból. Kobięcy plaskacz nie robił na niej żadnego wrażenia.

- Jesteś żałosna - wycedziła, spoglądając pogardliwie w przekrwione oczy stojącej nad nią Cindy Walker.

- Ty... - zaczęła Cindy, której ciało telepało się ze zdenerwowania - ...ty mała... skończona idiotko! - krzyknęła, a z jej cienkich ust wyleciały drobinki nagromadzonej w nadmiarze śliny. - Zobaczymy, czy będziesz taka odważna, kiedy... - jej usta wykrzywiły się w upiornym uśmiešku - ...kiedy Kruger potnie twoje nędzne ciało na kawałki! Kiedy odrąbie ci tę przemądrzałą główkę! Ha, ha! Zobaczymy!

Nagle kucnęła, zrównując swoją twarz z twarzą Erny. Z satysfakcją dojrzała czerwony odcisk jej własnej szczupłej dłoni, który malował się na twarzy związanej dziewczyny niczym dobrze wykonany tatuaż. Cindy przechyliła głowę, patrząc na swoją ofiarę z ukosa. Ponownie wyciągnęła w jej stronę długą, bladą dłoń. Erna instynktownie odchyliła się do tyłu, najbardziej jak tylko mogła. Była jednak unieruchomiona. Pieprzona zjawa wciąż miała nad nią przewagę. Zimna, wilgotna dłoń Cindy spoczęła na jej prawym policzku.

- Przepraszam - odezwała się nagle Walker. W jej głosie rozbrzmiało fałszywe poczucie winy. - Nie powinnam.

- Wal się.

- Zapewniam cię, że będę - jeszcze tego wieczora. Najpierw jednak pozwól, że zdradzę ci moje zasługi.

- Wal się - powtórzyła Erna, wciąż czując na swoim policzku jej zimny, nieprzyjemny dotyk. Związane nadgarstki spoczywały teraz beczynnym na kałamarzu. Erna zaczęła godzić się z porażką. A jednak jej się nie uda. Zginie.

Tymczasem Cindy, jak zwykle, miała gdzieś jej niezbyt uprzejme odpowiedzi. Postanowiła wyjawić swój sekret i czy jej się to podoba czy nie, będzie musiała tego wysłuchać. Najwidoczniej maltretowanie Erny sprawiało jej niecodzienną rozkosz.

- Jak już ci wspominałam, prowadzę swojego food trucka - zaczęła, głaszcząc czule obolały policzek Erny. - Tak jak ty, o czym też ci mówiłam w bardziej przyjaznych okolicznościach, wychowałam się w domu dziecka. - To mówiąc, oderwała zimną dłoń od twarzy swojej ofiary i skierowała ją w dół. Pomału, delikatnie zjechała w stronę szyi związanej dziewczyny, czując nierówne pulsowanie jej tętnicy. Następnie zsunęła palce niżej, zatrzymując dłoń na lewej małej piersi, która idealnie się w niej mieściła. Błada dłoń Cindy zaczęła unosić się wraz z każdym potężnym uderzeniem serca skrępowanej Erny. Cindy poczuła, jak wzbiera w niej podniecenie. Jej palce po chwili pognały niżej, gdzie wyczuły, pod delikatną warstwą jeszcze ciepłej skóry, wystające żebra. Te rytmicznie unosiły się i opadały z każdym głębokim oddechem Erny. Obcowanie ze śmiercią było niezwykle pociągające - stwierdziła z zadowoleniem Walker. Przeniosła wzrok na twarz swojej ofiary. Ta jednak spoglądała na nią z obojętnością.

- Nie miałam niczego - odezwała się ponownie Cindy. - Kto jak kto, ale ty wiesz najlepiej, co czuje osoba, która wychodząc z domu dziecka, nagle musi zmierzyć się z całym światem. Gdyby nie... gdyby nie to, że zawsze wiedziałam, czego pożądam w swoim życiu, pewnie skończyłabym w jakimś podrzędnym burdelu. Na szczęście pragnienie bycia prawdziwym człowiekiem nakierowało mnie na właściwą drogę. Oczywiście na początku czułam się przeraźliwie samotna. Wyobraź to sobie!

To powiedziawszy, gwałtownie wstała, odwracając się do niej plecami. Trwało to jednak chwilę i gdy znów odwróciła się w stronę Erny, po jej policzkach spływały wąskie strumienie łez. Nie wzbudziło to jednak w Ernie żadnego współczucia. Cindy znów się odezwała, szlochając cicho pod nosem.

- Samotna wychowanka domu dziecka, która... która tylko chciała odnaleźć osoby bliskie jej sercu. Prawdziwych... ludzi. Ludzi, którzy... którzy tak jak ona szanowali i pragnęli ludzkiego ciała. - Walker otarła dłonią wilgotną twarz i pociągnęła z żalnością nosem. - Na szczęście w tych czasach mamy internet. Gdyby nie on... wątpię,

żeby w jakiś inny sposób dowiedziała się o Stowarzyszeniu Wesaliuszy.

Erna zmrużyła oczy, zastanawiając się, czy w internecie rzeczywiście można było znaleźć jakiegokolwiek informacje o czymś tak nielegalnym i popieprzonym. Cindy szybko dostrzegła jej wątpliwość.

- Oczywiście nie było łatwo dotrzeć do tych wiadomości - uściśliła, wycierając dłonią ostatnią łzę z wklęsłego policzka. - Powiedziałabym nawet, że było to cholernie trudne. Rejestrowałam się na różnych forach, szukałam kogoś, kto myślałby tak, jak ja. Kto czułby, że aby żyć, musi jeść... spożywać... ludzkie mięso. Akurat znalezienie takich forów i chatów w internecie nie było i do tej pory nie jest żadnym problemem. Jest tego sporo. Dlatego też pisałam o swoich przekonaniach i zawiązywałam znajomości, aż pewnego dnia otrzymałam od przyjaciela dziwną wiadomość. Według niego istniało tajne Stowarzyszenie niejakich Wesaliuszy, które przyjmowało w swoje progi ludzi takich jak my! Był jednak mały haczyk... Aby się tam dostać, trzeba było na to zasłużyć. Niestety nikt dokładnie nie wiedział, w jaki sposób i co należy zrobić, aby dostąpić tego zaszczytu. Krążyły jedynie plotki, które o czym teraz dobrze wiem, okazały się prawdziwymi informacjami. Stowarzyszenie Wesaliuszy wymagało od ciebie, żebyś zrobiła coś niesamowitego, coś, o czym usłyszy więcej zwykłych ludzi, a może nawet i cały świat. Coś, co będzie propagowało ideę prawdziwego człowieczeństwa...

- Coś, co powinno opierać się na zabijaniu i pożeraniu niewinnych ludzi - wpadła jej w słowo Erna, która miała dość pompatycznego tonu Cindy.

Ku jej zaskoczeniu Walker zaśmiała się cicho, zakrywając usta dłonią. Bardzo zabawne...

- Tak powiedzieliby tylko zwyczajni, zakłamani ludzie. Tacy jak ty - odparła, odrywając dłoń od twarzy.

- W takim razie cieszę się, że jestem zwyczajna i zakłamana - wymamrotała Erna. Spojrzała na zegar. Było wpół do trzynastej. Ile

jeszcze zostało jej czasu? Ostatkiem sił szarpnęła nadgarstkami, wbijając gruby sznur w marmurowy pojemnik. Nic się nie zadziało.

- Wróćmy jednak do tematu - odparła Walker, opierając ramię o popiersie Andreasa Wesaliusza. - A więc zawierzyłam plotkom. Kupiłam food trucka i zaczęłam polowanie. Kilka lat później dostałam pierwsze zaproszenie na Świętą Ucztę. Zdziwiłabyś się, jak prosto zwabić do ciemnej, cuchnącej piwnicy spotkanego w pubie mężczyznę. Lgną do mnie jak pszczoły do miodu.

- Powiedziałabym raczej, że jak muchy do gówna.

- Jesteś niemiła! - pisnęła urażona Cindy. Erna zaśmiała się pod nosem. - Niemniej jednak wiedz, że ci wybaczam - dodała wyniośle. - No to... na czym to ja skończyłam? Ach, no tak. Na piwnicy! To w niej mogę po dziś dzień oporządzać z największą starannością ludzkie świeże mięso. Wiesz... Staram się wybierać mężczyzn wysportowanych. Tych wychudzonych i spasionych omijam z daleka. Choć raz, gdy postanowiłam zrobić danie, którego głównym składnikiem był smalec, musiałam zapolować na dość okazałego tłuscioszka.

Erna westchnęła ciężko. Nie wiedziała, co gorsze. Siedzenie w gabinecie i wysłuchiwanie chorych, wynaturzonych historii małej psychopatki, czy bycie martwą i podaną do stołu w jadalni hotelu Hommanger. Wiedziała teraz jedno. Jeśli jakimś cudem przeżyje, nigdy więcej nie zamówi nic z żadnego food trucka.

- Zabawne - kontynuowała Cindy - jak zakłamani są ludzie. Gdybyś tylko widziała... Gdybyś zobaczyła, z jakim smakiem pochłaniają wszystkie moje potrawy! Wyobrażasz sobie, co by było, gdybym otwarcie powiedziała im, co serwuje mój food truck?! Domyślasz się, co powiedzieliby ci wszyscy ludzie, którzy każdej niedzieli ustawiali się w długiej kolejce po moje wyśmienite, wyborne dania?! - Cindy prychnęła z pogardą, nie czekając na odpowiedź. - Oczywiście, że zaczęliby wymiotować, krzycząc wniebogłosy, jak mogłam nakarmić ich takim świństwem! Taką ohydą! To właśnie zrobiliby ludzie, którzy wcześniej odczuwali orgazm z każdym kęsem

zamówionego w moim food trucku jedzenia. Zakłamanie ścierwa - dodała z obrzydzeniem. - To samo tyczy się ciebie, droga Erno.

- Przez grzeczność nie zaprzeczę.

- Jesteś nic niewartym ścierwem! Karykaturą człowieka!

- Muszę się z tobą zgodzić.

- Ty... ty... TY NIEWDZIĘCZNA SUKO! - W Cindy nagle wezbrała nieopisana złość, podsycana głównie zazdrością. Zazdrością, która w niej zakiełkowała w chwili, gdy Adolfo poświęcił tyle uwagi tej niegodziwej małej kurwie. To ona miała być w centrum jego zainteresowania! To jej należały się godziny rozmów z Gospodarzem. To niewdzięczne ścierwo nie zasługiwało na nic! Zwymiotowało Świętą Ucztę... Było... było nikim! NIKIM!

Nie wiadomo kiedy rozjuszona właścicielka food trucka ponownie doskoczyła do związanej Erny. Ponownie też uniosła otwartą dłoń, biorąc szeroki zamach.

- Hola, hola! - W gabinecie rozbrzmiał tubalny głos.

Charles Bennett w swoim niebotycznie drogim fraku podszedł kaczym krokiem do zdezorientowanej Cindy. Ta na dźwięk jego głosu zamarła z ręką uniesioną w powietrzu.

- Chyba nie chcesz zmaltretować naszego deseru - upomniał ją Bennett, korzystając przy tym z okazji, aby soczyście klepnąć Walker po jej chudych pośladkach.

- Co ty tu robisz? - warknęła w jego stronę.

- Ostra w łóżku i ostra w życiu - zaświergotał Charles, poruszając przy tym swoimi siwymi brwiami. - Gospodarz wzywa cię do jadalni.

- Po co? - zdziwiła się Walker.

Charles tajemniczo się uśmiechnął.

- Powiedzmy, że ma ci do przekazania niezwykle radosną wiadomość - powiedział, lustrując przy tym wzrokiem skrzepowane ciało Erny. - Podśluchałem co nieco i wiem dwie rzeczy - odpowiedział po chwili wyczekiwania z dumą w głosie. - Po pierwsze pan Patino chce cię mianować na przyszłego Kucharza. - Na te słowa Cindy opuściła wreszcie rękę i rozwarła szeroko usta. - Po drugie

kierowca jest już blisko, więc, kochanie – tym razem zwrócił się do Erny – powinnaś zacząć się modlić, żeby po śmierci trafić do nieba. No wiesz. Aniołki i te sprawy. – Zaśmiał się szyderczo, a jego brzuch, schowany za ledwo dopiętą białą koszulą, podskakiwał niczym wielka galareta.

– Powinnam już iść... – wyjąkała niczym w hipnozie Cindy, do której powoli docierało, jak wielkie i nieopisane szczęście spotka ją za chwilę w jadalni.

– Idź, idź – zachęcił ją Charles. – Ja się nią zaopiekuję – dodał, puszczając oko w stronę związanej Erny.

Zostali sami. Ona, z resztkami nadziei na oswobodzenie się, i on, stary, napalony Charles, który teraz bez skrępowania gładził ręką po jej klatce piersiowej. Splunęła mu prosto w twarz. Trafiła tam, gdzie zamierzała. Idealnie! To go jednak nie zniechęciło. Jego dłoń skierowała się w upatrzone miejsce. Erna poczuła mocny ucisk na swojej bezbronnej piersi. Skrzywiła się z bólu, zaciskając zęby. Charles wydawał z siebie co chwila pomruki zadowolenia i głośnego sapania. Wyglądał przy tym jak małe dziecko śliniące się na widok ogromnego lizaka. Charles nie był jednak niewinnym dzieckiem, a napalonym starym molestatorem, o czym lizak wiedział, gdy tylko pojawił się w hotelu Hommanger.

– Podoba ci się to, maleńka? – wyszeptał wprost do jej ucha. Drobinki śliny wylądowały na jej policzku.

– Chciałbyś – warknęła Erna, odsuwając się najdalej, jak tylko mogła. Charles naparł na nią swoim tłustym cielskiem. Jego krocze wbiło się w kościste kolano związanej ofiary. Ciałem Erny wstrząsnął dotkliwy skurcz. Poczowała, jakby jej kości miały za chwilę eksplodować z naprężonych do granic wytrzymałości ramion. Związane nadgarstki boleśnie przywarły do marmurowego kałamarza.

– No, kochanie... – wysapał Bennett. – Widzę, że się rozkręcasz – stwierdził, uśmiechając się z zadowoleniem pod nosem. Jego siwe wąsy zadrżały, skrywając szyderczy uśmiech.

- Twoje niedoczekanie - warknęła, rzucając w jego stronę wrogie spojrzenie. Charles przestał się uśmiechać. Jego twarz przybrała dziki wyraz. Drobinki potu okalały jego przykrótkie czoło. To mu się podobało. Im bardziej protestowała, tym bardziej Charles czuł, jak jego kutas rośnie niczym dobrze nawożona roślina.

- Zaufaj mi, kochanie - wyszeptał Bennett. - Będiesz zadowolona.

Drżącą z podniecenia ręką rozpiął rozporek spodni, z których po chwili wyjął swoją znikomą męskość. Drugą ręką zwinnie podsunął w górę koszulkę Erny, a na widok jej czarnego stanika jęknął z rozkoszy. Mało mu trzeba - stwierdziła Erna z obrzydzeniem, zauważając, jak stary Bennett robi sobie dobrze. Przesuwał z wyczuciem ręką po swoim skromnym przyrodzeniu, świdrując świńskimi oczami skrępowane ciało dziewczyny.

- No, małeńka... Zobaczmy, co się tam kryje...

- Nie waż się, ty skurwielu! - krzyknęła Erna.

- No już... No już...

Charles oderwał na chwilę rękę od stanika i zakrył jej usta. Nagle stwierdził, że może ją uciszyć w bardziej pomysłowy sposób, nie tracąc przy tym okazji do obmacywania jej młodych, kuszących piersi. Zbliżył wielką głowę do jej twarzy, chcąc nakierować swoje owłosione wargi na jej ponętne, kuszące usta. Nie trafił od razu. Młoda ofiara zdążyła zrobić unik. Jednak to go nie zniechęciło. Przyssał się do jej policzka, a po chwili wpakował swój długi język w sam środek jej ucha.

- SPIERDALAJ! - wrzasnęła Erna, wierzgając na krześle.

Charles wykorzystał sytuację i wpakował język tym razem dokładnie tam, gdzie chciał. Nie trwało to jednak długo. Ku jego niezadowoleniu dziewczyna zdołała ponownie odwrócić głowę. Charles był jednak blisko. Jego męskość była twarda i gotowa, aby szczytować. Musiał jeszcze tylko dotrzeć w jedno miejsce. Nie będzie łatwo - pomyślał przez chwilę, zerkając w dół.

- Nawet nie próbuj! - zaprotestowała Erna, odczytując jego zamiary. - NAWET, KURWA, NIE PRÓBUJ! - powtórzyła tym razem

głośniej.

Charles, nie przejmując się jej protestami, przystąpił do ataku. Była bez szans. Bez szans na obronienie się przed tłustą, zboczoną świnią. Nie chciała jednak poddać się bez walki. Co to, to nie! – pomyślała bojowo, wierzgając, ile tylko sił, na drewnianym krześle. Nie zważała na ból nadgarstków. Ten skurwiel nie dostanie tego, co chce. A przynajmniej nie tak łatwo! – zdecydowała w myślach, próbując ze wszystkich sił uniemożliwić napastnikowi penetrację jej intymnego miejsca. Charles nie dawał za wygraną.

- Myślisz, że jesteś taka cwana? – oderwał gwałtownie ręce od jej ciała. - Myślisz, że ze mną wygrasz? – zaśmiał się tubalnie pod nosem. - Jesteś tylko nic nieznaczącą, niegrzeczną suką. Suką, którą trzeba sprowadzić do parteru! – wykrzyczał, a po chwili uniósł prawą dłoń i wymierzył Ernie siarczasty plaskacz w policzek. Jej głowa odskoczyła delikatnie w bok. Nie zamierzała jednak płakać. Nie zamierzała okazywać jakiegokolwiek słabości temu pieprzonemu zwyrodnialcowi. - Więc jak będzie, głupia suko? – zasyczał Bennett wprost do jej ucha. - Dogadamy się?

- Pieprz się - odpowiedziała mu jak gdyby od niechcienia.

- Pieprzyć to ja będę - odpowiedział Charles z szyderczym uśmiechem malującym się na spoconej twarzy - ale ciebie - dokończył, a po chwili przeszedł do ataku.

Z całą siłą wbił się ogromnymi dłońmi w jej krocze. Bolało. Zawyla z bólu, czując, jak jej uda naprężają się do granic możliwości. Jęknęła, gdy pod naporem Charlesa krzesło przechyliło się gwałtownie do tyłu. Jej nadgarstki, spoczywające na kałamarzu, dotkliwie to odczuły. W głowie jej zaszumiało. Słodko-kwaśny smak wypełnił jej usta. Krew i esencja nieludzkiego bólu. Nie mogła złapać tchu. Obraz stawał się coraz mniej wyraźny. To koniec? Czy zginie zgwałcona i przyduszona ogromnym cielskiem Charlesa? Sekunda po sekundzie czuła, jak przestaje istnieć. Powietrze... Tak bardzo brakowało jej powietrza... I gdy już traciła nadzieję na oddech, nagle pokój przeszył głuchy łoskot. Nie trwało to długo, może sekundę lub dwie, choć dla niej była

to wieczność, w której próbowała dopasować usłyszany dźwięk do czegoś, co знаła. Drzwi? – przemknęło jej przez zamroczoną głowę, a po chwili dobiegł ją cichy, znajomy świst.

Ciało Charlesa zatrzymało się bez ruchu tuż nad nią. Erna z trudem uniosła podbródek. Mroczki zniknęły. Łapczywie złapała oddech, wpatrując się w zastygłą twarz oprawcy. Jego mina wyglądała jak twarz upiornego kłowna ze starego horroru. Rozwarte, przekrwione oczy wyrażające zaskoczenie i głupi, szeroki uśmiezek psychopaty. Tyle zdołała zobaczyć, zanim jego grube cielsko ponownie, choć tym razem bezwładnie, na nią opadło.

- Przyszłam cię odratować – usłyszała znajomy głos.

- Ida... – wysapała z trudem, czując, jak martwy Charles wyciska z jej płuc resztki tlenu. Nadgarstki z całą siłą wciąż napierały na kałamarnicę.

- Może być Ida, a i nie obrażę się na moja bohaterze – odpowiedziała wybawczyni, drapiąc się kolbą pistoletu po głowie.

Nagle za jej plecami pojawiła się czyjaś sylwetka. Erna chciała krzyknąć, chciała ostrzec Rosjankę, ale wszystko działo się zbyt szybko. Z ust wydobyło się tylko słabe:

- Uważaj...

Ale było już za późno.

Intruz z impetem rzucił się na Abramową, wytrącając jej z ręki pistolet.

- Wiedziałem, że nie można ci ufać! – warknął Gaku Hara, siedząc teraz okrakiem na obezwładnionej Idzie. Jego ręce z całą siłą zaciskały się na jej długiej, łabędziej szyi. – Jesteś zakałą tego miejsca! Ty i ta – obrócił się na moment, przeszywając nienawistnym wzrokiem skrępowaną na krześle Ernę – mała niewdzięczna suka. Jesteście gównem warte i pewnie tak smakujecie!

- Hr... hrr... – wycharczała z trudem Abramowa.

Jej ozłoczone pierścieniami palce chwyciły się kurczowo szczupłych, choć niebywale silnych rąk Japończyka. Przerazona Erna spojrzała na twarz Idy. Ta z koloru pomarańczowego zmieniła się na

niebezpiecznie czerwony. Jedno było pewne. Abramova była bliska śmierci. Jeśli Erna chciała wyjść z tego cało, to ta sytuacja była jej ostatnią nadzieją. Taka chwila już się nie powtórzy. Wzięła kilka szybkich i głębokich oddechów. Albo teraz, albo nigdy – pomyślała i z całej siły odchyliła ciało do przodu. Usłyszała głuchy trzask pękającego drewna, a po chwili zawisła w powietrzu z ciałem Charlesa, wsparta jedynie na związanych nadgarstkach. Kolejna fala potężnego bólu opanowała jej ramiona. Jęknęła, zaciskając zęby. Głowa Charlesa zakotwiczyła się pomiędzy jej piersiami.

Gaku Hara ponownie odwrócił się w jej stronę. Upewnił się, że wciąż jest związana, po czym powrócił do duszenia obezwładnionej Idy. Erna czuła, jak sznur okalający jej rękę naciska na ostrą krawędź kałamarza. Musi się udać! No dalej! – krzyczała w myślach, kątem oka upewniając się, że twarz Rosjanki nie stała się już bladą. Wtedy mogłoby być dla nich zdecydowanie za późno. No... no dalej! – zmobilizowała się raz jeszcze i nagle poczuła, jak kolejne nity sznura pękają. Udało się!

Łapiąc z trudem równowagę, odrzuciła z obrzydzeniem martwego Charlesa na bok i spróbowała wstać. Nie było to łatwe. Niebezpiecznie zachwiała się na boki. Jej błędnik lekko wariował. Choć trwało to ułamki sekund, w tamtej chwili czuła się jak alkoholik, który przez wiele godzin walczy z upojeniem. O wiele gorzej było z rękami. Odchyliła ramiona do przodu. Odrętwienie zamieniło się w atak szerszeni, boleśnie atakujących żądlami jej górne kończyny. Bezgłośnie jęknęła, a po jej policzku spłynęła duża łza. Spojrzała na Idę. Jej wybawczyni wyraźnie odpływała.

Gaku Hara, skupiony na duszeniu Idy, nie zauważył nawet, że udało jej się oswobodzić. To ją zmobilizowało. W pośpiechu próbowała zlokalizować swój pistolet. Leżał dokładnie nad głową duszonej Rosjanki. Nie mogła teraz ryzykować. Nie mogła przejść obok nich. Japończyk mógłby okazać się szybszy. Co więc mogła zrobić? Kolejne drogocenne sekundy bezpowrotnie minęły. Erna wiedziała, że mogą one zaważyć na życiu Idy i jej samej. Co robić?! Co robić?!

Gorączkowo rozejrzała się po pokoju. Odpowiedź zmaterializowała się tuż przed nią. No tak! Najprostsze rozwiązania wydają się najtrudniejsze! - przyszło jej na myśl, gdy po chwili podnosiła z biurka ciężki kałamarz. Z szybkością pantery doskoczyła do Gaku Hary i rąbnęła niczego niespodziewającego się Japończyka w głowę. Trzask marmuru - a może to była ludzka czaszka? - rozbrzmiał w gabinecie. Gaku Hara padł nieżywy wprost w objęcia Idy Abramovej. Oswobodzona Rosjanka z trudem walczyła o każdy milimetr sześcienny powietrza. Wyglądała jak ryba, którą ktoś wyrzucił z jeziora na ląd. Jej twarz powoli przybierała naturalny, w swoim nienaturalnym kolorze, odcień sztucznej opalenizny.

- Złaź ze mnie, ty cholerny kreweto! - warknęła Ida, z obrzydzeniem zrzucając z siebie bezwładne ciało Japończyka.

Erna chwyciła za swoją broń.

- Skąd ją masz? - spytała podnosząc się z ziemi Idę.

- Ukradłam Gospodarzowi, i to też... - odpowiedziała Rosjanka, wskazując na leżący tuż przy wyjściu granatowy plecak.

Erna chciała coś sprawdzić, ale Ida uspokoiła ją, mówiąc:

- Załadowany do pełna. Znaczący... Minus jeden naboja, chyba że wyjmiesz ją z grubej dupy Charlesa.

- Raczej z jego głowy - poprawiła ją Erna, uśmiechając się pod nosem.

- Dupa Charlesa... głowa Charlesa... Żadnej różnicy nie widać - stwierdziła Ida, zakładając na nogi utracone w trakcie szamotaniny wysokie czerwone szpilki.

- Jak wygląda sytuacja na dole?

- Wszyscy siedzą zamknięci w jadalni i czekają na kierowca.

- Dlaczego mi pomogłaś? - Erna wiedziała, że nie czas na takie pytania, ale skoro miały razem uciec...

Abramova poprawiła czarną sukienkę i wzruszyła obojętnie ramionami.

- A bo ja wiem... Chyba jednak jedzenie ludzi okazało się mało ciekawościowe. Więcej przygody doznam, ratując cię z czarnego

dupa.

- Mhm - mruknęła Erna, a w jej krótkiej odpowiedzi dało się wyczuć zawód.

Ida ściągnęła usta, jakby miała zagwizdać ulubioną piosenkę. Zamiast tego spuściła wzrok i zaczęła bawić się złotymi pierścieniami na dłoniach.

- Poza tym... - odezwała się ponownie, jakby od niechcienia - chyba cię polubiłam, a ja z pewnością trudno polubiam ludziów. Prawda jest jedna. Ćma nie przeżyje bez motyla, a motyl nie przeżyje bez ćma.

Erna uśmiechnęła się pod nosem, po czym z niepokojem spojrzała na zegarek.

- Musimy iść! - zarządziła.

- Ale że gdzie? - dopytywała Ida.

Z tego, co jej było wiadomo (a było dzięki kilku akcjom, w których brała udział u boku wiernego Iwa), uciekać to znaczy oddalać się jak najszybciej od złego obiektu, a nie do niego zmierzać.

- Mówiłaś, że wszyscy siedzą zamknięci w jadalni?

- *Da.*

- A więc musimy zejść na dół i niezauważone wyjść z tego pieprzonego budynku.

- A potem? - Dla Idy ten plan wciąż miał wiele niewiadomych.

- A potem zaczniemy biec przed siebie, ile tylko sił w nogach. Gdy dobiegniemy do autostrady, będziemy bezpieczne, a przynajmniej... mam taką nadzieję.

- Przepraszam, kochana, ale twoja plana jest niewiarygodnie beznadziejny - stwierdziła bez krępacji Ida.

- A masz jakiś inny? - odpowiedziała Erna, unosząc brwi.

- Mam - stwierdziła Rosjanka, szybko jednak dodając: - Ale jest jeszcze bardziej beznadziejny od twojego.

Były gotowe. Musiały działać szybko i cicho. Erna zarzuciła granatowy plecak na ramię. W rękę ścisnęła ukochanego glocka z tłumikiem. Ida stanęła tuż przy niej, uzbrojona w wysokie szpilki i... uszkodzony marmurowy kałamarz.

- Po co ci to? - spytała Erna, spoglądając na zawartość jej ręki.

- Ty masz pistolet, ja mam kałamarz - odpowiedziała bojowo Ida.

Erna uniosła brwi.

- No co! - obruszyła się Abramova. - Przecież to całkiem dobra narzędzia do zabijania!

- Niech ci będzie - bąknęła Erna i otworzyła po cichu drzwi na korytarz.

Stały naprzeciwko siebie. Zaskoczona Cindy i one - obolałe, ale uzbrojone.

- Co tu... co tu się... - Cindy Walker spoglądała na nie szeroko rozwartymi oczami. - Co wy... gdzie... gdzie Gaku... GDZIE GAKU, SIĘ PYTAM?!

Bladolica zjawia zaczęła być zbyt głośna. Erna miała jej dość.

- Zaraz się z nim zobaczysz - szepnęła w odpowiedzi i skierowała pistolet do czoła zdezorientowanej Cindy.

- Ach! - zdołała krzyknąć Walker, a po chwili środek jej głowy eksplodował.

- No wreszcie! - Ida bezgłośnie klasnęła dłonią w kałamarz. Widok martwej Cindy Walker ewidentnie ją ucieszył. - Miałam już dość tej dziwoty.

Erna przyłożyła palec do ust, nakazując Rosjance być cicho, po czym obie ruszyły w kierunku schodów. Abramova, nieco ściszej głośno, kontynuowała:

- Przez tę małą wredną - jednocześnie z największą przyjemnością przeszła po martwej dziewczynie, rozkoszując się każdą chwilą, gdy jej długa szpilka zagłębiała się w kościste martwe ciało - bardzo wredną sukę nabrałam wstręta do fast-foodów z budków... A tak kochałam hot-dogi...

Erna przystanąła przed schodami i wychyliła ostrożnie głowę zza ściany. Droga była wolna.

- Hot-dogi ponoć robi się z psów... - bąknęła od niechcienia żaloszny suchar, dając sygnał Rosjance, aby ta szła tuż za nią.

Ida przystanąła, a na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

- Z piesów? - wyszeptała drżącym głosem, a przed oczami zmaterializował się jej ukochany Lew. - To barbarzyństwo... Nie będę jadła hot-dogów nigdy i więcej - wyszeptała stanowczo Ernie do ucha.

- Tak, to dobra decyzja - powiedziała cicho Erna, czując, jak wzbiera w niej złość. Zaczęła wątpić, czy obecność Rosjanki u jej boku w czymkolwiek jej pomoże. - Na pewno będziesz zdrowsza i szczęśliwsza - syknęła przez zęby, starając się nie stracić nad sobą kontroli. - A teraz proszę cię, abys skupiła się na tym, co właśnie próbujemy zrobić.

Ida zamrugała długimi, obficie usmarowanymi czarną maskarą rzęsami i kiwnęła porozumiewawczo głową. Obie zbliżyły się do parteru. Od wyjścia dzieliło je już niewiele. Erna wychyliła się delikatnie w bok i spojrzała w dół schodów. Na dole nikogo nie było. Drzwi do jadalni były zamknięte, a z jej wnętrza dało się słyszeć żywą dyskusję. Skinęła ręką, dając Rosjance znać, aby kontynuowały ostrożne schodzenie. Każdy krok na starych drewnianych schodach musiał być cichy i opanowany. Nie mogły teraz pozwolić sobie na jakikolwiek błąd. Na jakikolwiek odgłos skrzeczących desek. Po lewej stronie minęły obraz, na którym Tycjan złowrogo spoglądał w ich stronę. Erna mogłaby przysiąc, że czuła jego przeszywający wzrok na swoich plecach. Nie chciała się jednak obracać. Nie miała ochoty tego sprawdzać. Może za nimi kroczyła zjawa? Zjawa Wesaliusza? Na samo wspomnienie tej mrocznej postaci Erna poczuła, jak włoski na jej ciele stają dęba. Za nią szła jednak tylko Ida. Żywa, pełnokrwista kobieta. Gdyby zjawa ciągnęła się za nimi... Najpierw dorwie jej towarzyszkę! - pocieszyła się żartem Erna, a jej brzuch lekko zadrżał od tłumionego śmiechu.

Czuła gorący oddech Idy na swoim karku. Był płytki, choć opanowany. Od drzwi wyjściowych dzieliło je już tylko kilka schodków i hol. Niedługo będą wolne... Niedługo skończy się ten koszmar... Niespodziewanie drzwi do jadalni otworzyły się na oścież. Erna i Ida

zamarły. W drzwiach pojawiła się duża sylwetka Cecile Bennett. Kobieta od razu je dostrzegła. Przez chwilę przyglądała im się z uwagą. Proszę, po prostu odejść bez słowa. Proszę... – powtarzała w myślach Erna, spoglądając błagalnie na Cecile. Ta jednak, jak się szybko okazało, miała inne plany.

- Cholera! – warknęła Erna, gdy Cecile zaczęła wrzeszczeć tubalnym głosem:

- Uciekają! Uciekają! UCIEKAJĄ! – Jej słowa wypełniły każdy zakątek hotelu Hommanger.

Erna nie miała wyjścia. Uniosła broń i wycelowała.

- UCIEKAJĄ! UCIEKAAaaa... aaa... aaa... yyyyy... eeeee...

Obfite ciało pani Bennett rozlało się na zimnej posadzce między holem a jadalnią.

- Och! Droga Cecile! – Adolfo Patino wyłonił się z jadalni. – Co one ci zrobiły! – jęknął, spoglądając z wyrzutem na Ernę i Idę. – Wy... wy małe, wstrętne... – Chwiejnym krokiem ominął martwe ciało pani Bennett, kierując się w stronę schodów. – Niewdzięczne pomioty! Ach! WY! WYYY... – Patino machał oskarżycielsko palcem w ich stronę. Był coraz bliżej.

- Panie Patino! – krzyknął Kruger, który nie wiadomo kiedy wybiegł z kuchni. W ręku trzymał ogromny tasak. Pewnie to nim poćwiartował ciało księdza... – pomyślała ze zgrozą Erna. – Ja się nimi zajmę! Panie Patino! Niech pan poczeka!

Ale staruszek chciał dorwać je sam. Chciał rozerwać je na strzępy, a najlepiej pożreć żywcem. Aby cierpiały... cierpiały długo i boleśnie!

- Panie Patino! – Kruger doskoczył do Gospodarza, chwytając go za kościste ramię. Widział, że jedna z tych pierdolniętych suk ma pistolet. Wiedział, że w każdej chwili może strzelić. Musiał bronić swojego mistrza!

- Strzelaj! – pisnęła spanikowana Ida, wymachując przed sobą kałamarzem.

Erna wiedziała, że musi to zrobić. Wiedziała nawet, kogo pierwszego wyeliminuje. Adolfo Patino zginie pierwszy.

Zdezorientowany, wijący się w bólach rozpaczony Kruger będzie łatwiejszym celem. Z zamysłem skierowała broń w chude ciało Adolfo Patino.

- NIE! - wrzasnął Kucharz.

- STRZELAJ! - krzyknęła Ida, przeskakując z nogi na nogę.

Erna strzeliła. Taki miała przynajmniej zamiar. Kruger zasłonił sobą szalejące z wściekłości ciało Adolfo Patino. Zaskoczona Erna ponownie pociągnęła za spust. Nic. Spojrzała z wyrzutem na Idę.

- Powiedziałaś, że jest naładowany!

- BYŁ! Na... kilka nabojów...

- NA... KILKA... NABOJÓW?! - wrzasnęła Erna, czując, że wokół jej szyi zaciska się pętla.

- No... a można na mniej? - odpowiedziała zdziwiona Ida, kuląc ramiona.

Do Krugera właśnie dotarło, że ma nad nimi znaczną przewagę. Ma tasak, którym z chęcią poćwiartuje te małe kurwy na drobne, mikroskopijne części! Kucharz ruszył w ich stronę.

- Już po was! - warknął, stając na pierwszym schodku.

- ZABIJ GO! - wrzasnęła Ida

- CZYM?! - warknęła Erna, czując, że w tej chwili chętniej zamordowałaby Rosjanę niż Kucharza. Wspięła się o schodek wyżej.

- Dorwij te niewdzięczne małe szmaty! - dopingował Krugera stojący przy schodach Adolfo Patino. Kurczowo ścisnął ręką za poręcz, z trudem utrzymując zmęczone, schorowane ciało w pionie.

Nagle Erna doznała olśnienia. Mogła zrealizować poprzedni plan! Mogło się udać, tyle że bez pistoletu. Spojrzała na dłoń Rosjanki, w której spoczywał kawał ciężkiego marmuru. Wystarczy najpierw wyeliminować Gospodarza...

- RZUCAJ! - krzyknęła do Idy, wskazując na kałamarz.

- Ale gdzie?! - pisnęła Ida, przyciskając kawałek marmuru do piersi niczym największy skarb tego świata.

- Nie gdzie, tylko w kogo! Wal w starego! - doprecyzowała Erna, po czym pociągnęła Rosjanę przed siebie, aby ta miała lepszą

widoczność.

Idzie to się nie spodobało. Z takiej pozycji może i widziała lepiej starą gadzinę, ale też była o schodek bliżej od Krugera i jego ostrego tasaka. Nie chciała dłużej stać w tym miejscu! Bez namysłu, bez gracji i siły wypuściła z ręki ciężki kałamarz, wprost na drewnianą poręcz. Czas jakby na chwilę zwolnił. Marmur w ślimaczym tempie turlał się po poręczy w dół holu. Ida, niczym najbardziej leniwa baletnica świata, zrobiła w miejscu piruet i schowała się za swoją koleżanką. Erna z Krugerem wlepili wzrok w opadający kawałek marmuru. I choć wydawało się, że wszystko dzieje się wolniej niż powinno, schorowany Gospodarz nie miał szans, aby uniknąć przykrego spotkania z elementem wystroju własnego biurka.

- NIIIEEEE... EEEE... eee... eeee! - wykrzyknął Stefan Kruger.

Czas znów powrócił na właściwy tor. Marmur z impetem uderzył w siwą głowę zaskoczonego Adolfo Patino. Staruszek zachwiał się do tyłu, a po chwili runął jak długi.

- NIE! - ponownie ryknął ile sił w płucach Stefan Kruger, zbiegając do leżącego na ziemi Gospodarza. - Panie Patino, proszę... niech pan nie umiera... - jęczał nad roztrzaskaną głową starca.

- Co teraz?! - spytała Ida dumna ze swojego celnego rzutu.

- Uciekamy! - zdecydowała Erna.

Chwyciła Rosjankę za rękę i ruszyła w dół schodów. Drzwi na zewnątrz były blisko.

- Nawet, kurwa, nie próbujcie!

Na ich drodze stanęła olbrzymia postać Krugera. Był zły... nie! Był cholernie wkurwiony. Ciężko dyszał, o czym świadczyły drgające co chwila płatki jego ogromnego nosa. W prawej ręce wciąż trzymał wielki tasak i tylko czekał na dogodną sytuację, aby którejś z nich odciąć głowę. Erna zatrzymała się gwałtownie. Ida wpadła wprost na jej plecy.

- No i co?! Gdzie wasza odwaga?! Nie macie już czym rzucać?! Za to ja mam! - krzyknął Kucharz, wymachując w powietrzu ostrzem. - Pożałujecie! Wszystkiego pożałujecie, kiedy na żywca będę odcinał

każdą waszą kończyne! Która pierwsza?! Może ty?! – Kruger wskazał kwadratowym podbródkiem na Ernę. – Od samego początku cię nie polubiłem, ty mała... głupia... pizdo! – Kucharz zrobił krok do przodu. – Niestety Gospodarz myślał inaczej.

Nagle zamilkł. Erna miała wrażenie, że wielkolud zaraz się rozpłacze. Nie myliła się. Po jego twarzy spłynęło kilka łez. Kruger uniósł głowę i wydał z siebie nieludzki jęk.

– Zabiliście go... ZABIŁYŚCIE MOJEGO MISTRZA! – krzyknął, czując, jak wzbiera w nim złość.

Erna z Idą wycofały się ostrożnie w górę.

– Ani, kurwa, kroku dalej! – warknął ostrzegawczo Kruger, mierząc w nie ostrzem tasaka.

Zapadła krótka cisza. Cisza, którą nagle przerwał warkot silnika. Cała trójka stała bez ruchu na schodach, mierząc się wzrokiem i jednocześnie nasłuchując. Odgłos silnika wezbrał na sile, by po chwili całkowicie zniknąć. Trzask drzwi i ciężkie, choć szybkie kroki. Erna próbowała wymyślić plan B. Czy było jakieś inne wyjście? To oczywiste, że tędy nie uda im się uciec! Co robić? Co robić?! Drzwi wyjściowe otworzyły się i do środka holu wgramolił się chudy, wysoki mężczyzna. W blasku słońca, które wpadło do budynku przez otwarte drzwi, wyglądał na blondyna, jednak gdy zamknął za sobą drewniane skrzydło, okazał się wstrętnym, parchatym rudzielcem. Rudzielec przystanął nagle i z szeroko otwartymi oczami spojrzał najpierw na drzwi do jadalni, w których rozlało się ciało Cecile Bennett, następnie na Gospodarza leżącego tuż przed nim bez ruchu i wreszcie na schody, gdzie znajdowały się jedyne jeszcze żywe osoby. Dogasający papieros wypadł rudzielcowi z rozwartych ust i dokończył swój żywot na zimnej marmurowej posadzce.

– Co... co do kurwy?! – wydusił z siebie mężczyzna.

Erna domyśliła się, że był to długo wyczekiwany kierowca autokaru. Rudzielec spojrzał niepewnie na Idę i Ernę, po czym bez większego zastanowienia sięgnął za plecy i już po chwili mierzył w ich stronę z pistoletu. Tasak i pistolet. Erna oceniła sytuację jako wysoce

beznadziejną. Jedyłą bronią, którą mogły się w tej chwili posłużyć, były szpilki Idy Abramovej, choć zdecydowanie przegrywały one z tym, czym dysponowali ich przeciwnicy. Plan B... plan B... – Erna nie dawała za wygraną. Musi być inna droga! Musi... I w tym momencie w jej głowie zmaterializowała się odpowiedź. Na tyle głupia, że aż nieprawdopodobna. Czy mogła wierzyć swoim koszmarom?! Czy mogła zaufać małemu chłopcu bez palca?! Nie miała nic do stracenia...

– Te dziwki zabiły Gospodarza! – jęknął Kruger, wskazując oskarżycielsko na Ernę i Idę ostrzem kuchennego tasaka. – A teraz za to zapłacą! ZASTRZEL JE! – ryknął.

Rudzielec, niewiele myśląc, skierował broń w stronę pierwszego celu i...

– Yyyyyyhhhhhh... – z ust Gospodarza wydobyły się niewyraźne jęki.

Kruger i Rudy spojrzeli w jego stronę.

– Teraz! – krzyknęła Erna, chwytając Idę za rękę. – Na górę! Szybko!

Ida nie protestowała. Pognała za nią niczym posłuszny piesek.

– STAC! – usłyszały za sobą głos rudzielca, a po chwili nad ich głowami świsnęła pierwsza kula.

– No chyba cię pojebało! – odpowiedziała mu Abramova, gnając po śladach swojej towarzyszki. Chwilę później obie ponownie znalazły się w gabinecie Adolfo Patino.

– Pomóż mi! – rozkazała Erna, próbując zabarykadować drzwi szklaną gablotą. – Jeszcze... tro... chę... – wysapała, z trudem pchając z Idą ciężki drewniany mebel.

W ostatniej chwili ustawiły barykadę, uniemożliwiając rudzielcowi staranowanie drzwi. Słyszały, jak ten obija się boleśnie o ich skrzydło i upada na ziemię. Po chwili do rudzielca dołączył Stefan Kruger.

– Co ty robisz?! – warknął w jego stronę.

– Próbowałem wyważyć, ale się zabarykadowały – tłumaczył się Rudzielec.

- Ja idę pomóc Gospodarzowi, a ty... ty masz broń i masz je, kurwa, zabić! - rozkazał Kruger. - Zginiecie tu, wy małe parszywe kurwy! - dodał, po czym usłyszały, jak odchodzi.

- No dobra... - wyszeptała Ida do Erny. - No więc... Po co mu tu wróciłyśmy? Bo mi trochę spokoja to nie daje. Miałyśmy uciekać. Według mnie uciec znaczy przenieść się z punkta A do punkta B. A my co?! - Ida nadymała policzki, po czym wypuściła ze świstem powietrze. - A my z punkta A wróciłyśmy do punkta A.

- Tak - przyznała jej rację Erna.

Nagle usłyszała znajomy odgłos. Broń. Przeładowanie. Przyciągnęła zdezorientowaną Idę do siebie. Teraz obie znajdowały się poza polem rażenia. Wreszcie padł spodziewany strzał. Jeden, drugi, trzeci. Wszystkie podziurkowały drewniane drzwi na wylot. Czwarty strzał przeciął także gablotę. Szyba roztrzaskała się w drobny mak. Kilka jej kawałków opadło na skulone w kącie pokoju ciała Erny i Idy. Miały mało czasu.

- Słuchaj, na razie wróciłyśmy do punktu A, ale w mojej pracy dużo się kombinuje. Takie kombinacje zawsze wychodzą na dobre. Czasem, uciekając z punktu A, trzeba wrócić do punktu A, żeby dotrzeć do punktu B. Rozumiesz?

Ida słuchała jej z rozwartymi, rybimi ustami.

- Eee... Nie za bardzo - przyznała.

- Nieważne. Po prostu mam przeczucie i chyba wiem, jak stąd uciekniemy! - Erna podniosła się ostrożnie z podłogi i cicho podeszła do małych drzwi znajdujących się tuż obok.

- Dokąd one prowadzą? - zapytała Ida.

Erna przywołała ją ręką. Najostrożniej, jak tylko mogła, nacisnęła na klamkę. Drzwi lekko zaskrzypiały.

- Idę po was! SŁYSZYCIE?! HA, HA, HA! IDEŃ PO WAS, MAŁE KURWY! - Rudzielec nie dawał za wygraną i, trzeba mu to przyznać, był w swoich działaniach coraz bardziej skuteczny. Z impetem rzucił się na drzwi. Te o mały włos nie wyleciały z futryny. Zawiasy niebezpiecznie zaskrzypiały.

- Musimy się śpieszyć - powiedziała cicho Erna, po czym otworzyła drzwi do...

- Uuuu... Sypialnia samego Gospodarza - powiedziała Ida, wchodząc do nieznanego jej wcześniej pokoju. - Eee... Brzydko i smrodno jak w naszych - oceniła po chwili.

- Pomóż mi z tym!

Erna próbowała odsunąć na bok wielką szafę. Jeżeli dobrze pamiętała, to musi być tutaj! Tuż pod tą szafą... dokładnie tu! To do tego pokoju przyprowadził ją we śnie Sammy. To w tym miejscu było to tajemnicze przejście do... no właśnie! Dokąd mogło prowadzić?! Ach... Nawet nie ma pewności, że tam jest! - skarciła się w myślach i czując, jak wzbiera w niej złość, z całej siły pchnęła drewnianą szafę przed siebie. Pomoc Idy okazała się niepotrzebna. Podłoga, w miejscu gdzie jeszcze niedawno stał stary mebel, była rzeczywiście inna. Erna z Idą wpatrywały się w nią zdziwione. Wyraźne głębokie szpary tworzyły duży prostokąt. Pośrodku drewnianego wieka tkwiła mała żeliwna rączka.

- Bingo! - krzyknęła Erna, czując, że może im się udać.

BACH! Kolejny rzut Rudzielca na drzwi.

- Jeszcze ich, kurwa, nie sprzątnąłeś?! - Usłyszały głos Krugera.

- Już... już prawie! Zaraz je dorwę!

- Odsuń się! - rozkazał Kruger.

BACH - tym razem potężniejsze. Drzwi były już prawie otwarte. Erna postanowiła działać. Kucnęła i chwyciła za żeliwną rączkę. Pociągnęła ją z całej siły do góry. Wieko zaskrzypiało. Było jednak za ciężkie. Ledwo uniosła je na kilka centymetrów. Ida, nie namyślając się długo, kucnęła obok. Chwyciła za rączkę i wraz z Erną z całych sił zaczęły unosić drewnianą płytę. Chciały żyć. Obie chciały się stąd wydostać i to napędzało je w działaniu. Udało się. Tajemnicze przejście stanęło przed nimi otworem.

- Schodzimy? - spytała niepewnie Ida. Spoglądała w dół i widziała tam tylko ciemność.

BACH! Usłyszały jak barykada w postaci zabytkowej gabloty znacznie się przesunęła. Oprawcy byli już prawie w środku.

- Ja pierwsza! - zdecydowała Erna. - Ty idź za mną, a kiedy wejdiesz, opuść za sobą wieko - poleciła i bez chwili namysłu spuściła się w głąb czarnej dziury. Jeżeli to droga do piekła, to bardzo zimna i wilgotna - pomyślała, gdy cała zanurzyła się w bezkresie ciemnego przejścia. Stąpała po metalowej drabince przyklepionej pionowo do surowej ceglanej ściany. Spojrzała w górę. Ida była tuż nad nią i właśnie opuszczała drewniane wieko. To z łoskotem opadło na swoje miejsce. Jeżeli Erna kiedykolwiek chciała zobaczyć, jak wygląda ciemna ciemność, to w tej chwili doskonale to widziała. O dziwo, Ida bez problemu pokonywała w swoich drogich szpilkach każdy szczebel drabiny. Gdy wydawało im się, że zeszły już całkiem głęboko, usłyszały nad sobą znajome głosy.

- Gdzie one są?! Gdzie one, kurwa, są?! - Kruger biegał po gabinecie jak szalony. - Przecież nie rozplynęły się w powietrzu!

Rudy coś mu odpowiedział, ale były już zbyt głęboko, aby zrozumieć jego słowa.

Wreszcie noga Erny stanęła na czymś, co można nazwać podłożem. Wilgotna kamienna podłoga była mimo wszystko dobrą wróżbą. Erna zaczęła rękoma badać ściany otaczające je z każdej strony. Szukała wyjścia. Drogi, którą będą mogły stąd wyjść. Po omacku natrafiła na Idę, która krzyknęła przerażona, gdy dłoń Erny wylądowała niespodziewanie na jej twarzy.

- Gdzie my, do cholera, jesteśmy? - spytała Rosjanka, próbując bezskutecznie dostrzec cokolwiek w otaczającej je ciemności.

- Nie mam bladego pojęcia - odpowiedziała jej zgodnie z prawdą Erna. Poprawiła plecak na ramieniu i dalej macała dokładnie każdy skrawek ściany. Wreszcie wyczuła pustkę. W jednym miejscu nie było nic. Tylko przejście. To tam! Tam musiały iść! Bez słowa chwyciła Idę za rękę (choć w ciemności najpierw natrafiła na jej nogę) i pociągnęła za sobą. Szły obok siebie, machając na oślep rękoma. STUK! Ida z impetem uderzyła pierścionkami o coś stojącego tuż przed nimi. To

nie była kolejna ściana. Erna przejechała po tym ostrożnie ręką. Drewno, metal... DRZWI! Zanim nacisnęła klamkę, w tunelu rozbrzmiał donośny rumor.

- Odnaleźli wieko! - pisnęła Ida, ściskając kurczowo ramię Erny. Rosjanka nie myliła się.

- Co to kurwa jest?! - krzyknął Rudzielec, a jego skrzeczący głos odbił się echem w ciemnym tunelu. - Przejdźcie jakieś czy co?!

- Nie mam pojęcia - odpowiedział mu Kruger. - Pierwszy raz to widzę...

- One musiały tu wejść! One tam są! Mówię ci! - krzyczał Rudy.

- A my musimy je dorwać! Właż pierwszy! - rozkazał Kruger.

- A... ale... dlaczego ja? - jęknął bojaźliwie kierowca autokaru.

- Bo ci tak każę! - warknął Kucharz. - Będę szedł za tobą!

- No dobra już... dobra... - Rudy niechętnie ustąpił.

Tymczasem Ida Abramova z przerażeniem spoglądała w ciemność.

- Oni tu idą! - wyszeptała drżącym głosem.

- A my wychodzimy - odpowiedziała Erna, przyciskając klamkę do dołu.

Po chwili znalazły się w innym pomieszczeniu. To było równie ciemne, choć nie śmierdziało w nim wilgocią, a i podłoga była inna... Sucha i równa.

- Czekaaj, czekaaj.... - Ida wciągnęła głęboko powietrze. - Pachnie tu zupełnie jak... zupełnie jak w kuchni! Wszędzie rozpoznam ten metaliczny zapach mięsa i...

- ...maślanych bułeczek Krugera - dodała Erna, która także wyczuwała w powietrzu znaną jej woń.

- O ile dobrze pamiętam, to gdzieś tu musi być - Ida pognała dziarsko przed siebie, macając wyrastającą z boku ścianę - włącznik światła!

Pstryknęła białym przyciskiem i wewnątrz się rozświetliło. Ich oczy protestowały przez kilka sekund, zbombardowane zbyt dużą i nagłą dawką światła, po chwili jednak obie mogły rozejrzeć się po pomieszczeniu. Rzeczywiście. Była to kuchnia. A więc tajemne

przejście prowadziło właśnie tu. Skoro były w kuchni, a Kruger i Rudzielec tuż za nimi w ciemnym tunelu, to znaczy, że...

- Uciekamy! - zarządziła tym razem Ida, która myślała dokładnie o tym samym, co jej towarzyszka. Doskoczyły razem do drzwi i ostrożnie wyszły na korytarz.

W holu przy schodach spodziewały się ujrzeć leżącego Adolfo Patino. Jednak po staruszkę nie było śladu. Jedynym dowodem na to, że ktoś leżał w tym miejscu, była plama ciemnej krwi. Czy to możliwe, że staruch przeżył? - pomyślała ze zgrozą Erna. Natomiast Cecile Bennett spoczywała dokładnie tam, gdzie wydała ostatnie tchnienie. Drzwi wyjściowe były na wyciągnięcie ręki. Ida i Erna spojrzały na siebie, po czym bez słowa pobiegły w jednym kierunku. W stronę wolności.

- STAĆ! - usłyszały za sobą Rudzielca.

Właśnie wybiegły z hotelu, gdy kula o kilka szczęśliwych centymetrów minęła głowę Idy Abramovej.

- BIEGNIJ! - wrzasnęła Erna. - BIEGNIJ PRZED SIEBIE, JAK NAJSZYBCIEJ MOŻESZ!

Wbiegły do lasu, wciąż słysząc za sobą kierowcę autokaru. Erna obróciła się na chwilę. Nie dostrzegła nigdzie Krugera. Biegł za nimi tylko Rudy, który niebezpiecznie mierzył w ich stronę ze swojej dość dużej broni. Na ich szczęście okazał się niezbyt dobrym strzelcem.

- Ach... ach... - jęczała co jakiś czas Ida, której szpilki zapadały się w wilgotnej jesiennej ściółce.

- ZDEJMIJ JE! - krzyknęła Erna, czując, że Ida za bardzo je spowalnia. Rudzielec był dość szybki i... miał broń.

- NIE MA MOWY! - odpowiedziała stanowczo Ida. - TO SĄ LOUBOUTINY!

- ZDEJMIJ JE ALBO ON NAS ZABIJE!

- NIE!

- Jak sobie chcesz!

Erna przyspieszyła, zostawiając Idę daleko w tyle. Skoro chce zginać z louboutinami na nogach, to proszę bardzo! Ona nie

zamierza! Ida szła w zaparte. Z trudem pokonywała kolejne metry lasu, wyglądając przy tym jak pijana prostytutka na szczydlach. Następny strzał obciął jej pukiel blond włosów. Przerażona, potknęła się o wystający korzeń. Rąbnęła jak długa, w ostatniej chwili ratując twarz przed jesiennym błotem. Erna biegła przed siebie, co jakiś czas odwracając się. Jest Ida... jest Ida... – notowała za każdym razem. Nie ma Idy... NIE MA IDY?! – przystanąła gwałtownie, próbując zlokalizować partnerkę. Niedaleko dostrzegła coś, co niezgrabnie gramoliło się z ziemi. Ida...

- Cholera jasna! – Erna zaklęła pod nosem. Musiała jej pomóc. Nie mogła jej tak zostawić.

Zawróciła. Chowając się za drzewami, sukcesywnie zbliżała się do Abramovej. Rudzielec był coraz bliżej. Erna przyspieszyła.

- Wstawaj! – rozkazała, gdy wreszcie dobiegła do skulonej na ziemi Rosjanki.

- Och! Moja! Wiedziałam, że mnie nie pozostawisz! – Ida podniosła się ostrożnie z ziemi. Na nogach wciąż miała czerwone szpilki.

- Zostaw je i chodź! – nakazała jej Erna, spoglądając z odrazą na parę ubłoconych szpilek.

- Ale...

Nagle niespodziewany strzał przebił ciało Erny.

- O moje boże! – krzyknęła Ida, patrząc, jak jej towarzyszka upada na ziemię. Jasny T-shirt Erny w jednej chwili zabarwił się na czerwono. Trafił ją. Rudzielec ją trafił. Erna uniosła biały kawałek materiału i spojrzała na swój brzuch. Na szczęście to tylko draśnięcie – pomyślała, zaciskając z bólu zęby.

- HA, HA! TRAFIONA, KURWA, ZATOPIONA! – wrzasnął Rudy. Był bardzo blisko. Gdyby teraz ruszyły do ucieczki, to z pewnością powystrzelałyby je jak kaczki.

- Co robimy?! – pisnęła Ida, wpatrując się z przerażeniem w zakrwawiony brzuch Erny. Jednak odpowiedziała jej tylko cisza i bezradne spojrzenie motyla. – Zobacz... – Ida próbowała zażartować. Wiedziała, że śmierć jest blisko. – Ściągnęłam już swoje laboutiny.

Byle tylko ucieknąć... razem... damy radę... - Jej oczy napełniły się łzami. - A może - pociągnęła żałośnie nosem - a może załatwię go którąś ze szpilek? - zaśmiała się bezradnie, a chwilę później śmiała się i Erna.

Ponoć śmiech to najlepsze lekarstwo na wszystko. Może na śmierć też zadziała? - pomyślała naiwnie, spoglądając na Rosjanę. Rudzielec był zaledwie kilka metrów dalej. Erna włożyła rękę do kieszeni jeansów. Po chwili zacisnęła ją na złotym sygnecie. Tym samym, który odnalazła w metalowej puszcze. Ku jej zdziwieniu nikt jej go nie odebrał.

- HA, HA! PIF-PAF, KURWY! SZYKUJCIE SIĘ! - krzyczał Rudy, wymachując w powietrzu bronią. - SZYKUJCIE SIĘ, WY... AAAACH!

Erna i Ida raptownie spojrzały w jego stronę. Przed nimi wznosiła się ogromna ściana z jesiennych liści. Liści, które wzbiły się nagle ku górze, skutecznie odgradzając je od oprawcy.

- EJŻE! CO JEST?! CO SIĘ... CO SIĘ, KURWA, DZIEJE?!

Erna już to widziała. Może nie dokładnie to, ale bardzo podobny spektakl. Spektakl, przez który się tu dostała. Nagle wiatr przybrał na sile. Drzewa zaczęły się kołysać. Niebo gwałtownie się zachmurzyło. Ściana liści była coraz większa i wydawało się, że sięga samego nieba.

- Co to... Co się dzieje...? - Ida spoglądała na wszystko z niedowierzaniem.

- Musimy uciekać... Teraz! - rzuciła Erna, z trudem unosząc się z ziemi. - Tylko proszę cię, zostaw te cholerne buty!

Ida skrzywiła się przez sekundę, jednak widząc rozerwany bok towarzyszki, nie zamierzała protestować. Po chwili obie rzuciły się do ucieczki, zostawiając czerwone szpilki i ścianę liści za sobą.

- Skąd wiesz, że biegniemy w dobrym kierunku? - spytała swoją towarzyszkę Ida kilkanaście metrów dalej.

- Nie wiem - odpowiedziała jej zgodnie z prawdą Erna. Nie miała bladego pojęcia, gdzie zmierzają i pomału zaczęła ogarniać ją panika.

Rudzielec z szaleństwem w oczach strzelał na oślep do ściany liści, która się przed nim pojawiła.

- Kurwa - zaklął pod nosem, nie wierząc w to, co widzi.

Kolejny raz wymierzył broń w kierunku przeszkody i pociągnął za spust. Miejsce, które dosięgła kula, rozproszyło się, odsłaniając świat za murem, by po chwili znów się zespoić, tworząc szczelną barierę. Uciekną mi... - pomyślał Rudzielec, gorączkowo rozglądając się na lewo i prawo. Końca muru nie było widać. Nagle silny podmuch wiatru uderzył w jego plecy, przygniatając go do liściastej ściany. Przez chwilę, zanim jeszcze uderzył w mur, myślał, że lądowanie okaże się miękkie i bezbolesne. Teraz dotarło do niego, jak bardzo się mylił. Cholerne liście były twarde niczym beton. Poczłł nieprzyjemne ukłucie w żebrach. Zaczęło brakować mu tchu. Próbował odwrócić głowę i spojrzeć za siebie. W sytuacji, w jakiej się obecnie znajdował, było to niebywale trudnym zadaniem. Coś go przygniatało do tej pieprzonej, nienaturalnej ściany, i na pewno nie był to wiatr. Człł teraz na swoich plecach potężne dłonie, które bezlitośnie dociskały jego chude ciało głębiej i mocniej.

- Ach... - jęknął, wypuszczając z ręki broń.

Kątem oka ujrzał coś niebieskiego. Kawałek materiału. Materiału od ubrania, które musiał mieć na sobie ten gnój stojący tuż za nim.

- Zzz... oosttaaww... mnnieee... - wydyszał, z trudem łapiąc oddech. - Zzz... ...zooostaawww... mnniee... ty... p... poojeebie...

Tajemniczy oprawca nie zamierzał jednak odpuścić. To koniec - pomyślał Rudzielec. I gdy już miał zegnać się ze światem, przywołując w myślach swojego życiowego mistrza Wesaliusza, las wypełnił się przerażającym, nieludzkim skowytom. Pierwszy raz słyszał taki dźwięk. Brzmiał, jakby wydobywał się z grobu, z samych odmętów piekła, o ile takie istnieje. Kilka łez wyciekło z jego wybałuszonych ze strachu oczu. Gdyby mógł ruszać rękoma, zatkałby sobie uszy. Gdyby mógł... Nagle poczuł na całym ciele potężne uderzenie. Nieludzki jęk o mało co nie rozsadził mu głowy. Coś uderzyło w mur. Coś z impetem rzuciło się w ścianę liści. Potężna fala uderzeniowa odrzuciła go do

tyłu. Padł bezwładnie, niczym szmaciana lalka, na obolałe plecy. Przez chwilę go zamroczyło, jednak gdy odzyskał jasność widzenia, podniósł się jak oparzony. Zaczął obracać się wokół siebie, próbując zlokalizować skurwiela, który go zaatakował. Drzewa zaczęły wirować mu przed oczami. Nikogo jednak nie widział. Nie widział żadnego człowieka, niebieskiego ubrania, nie widział też... muru z liści! Pieprzona ściana zniknęła! - pomyślał zdziwiony, wpatrując się w las. W miejsce, gdzie przed chwilą o mało nie stracił życia. Na wspomnienie o dziwnym, przerażającym odgłosie, którego echo zagnieździło mu się w głowie, przełknął ślinę. Nie miał pojęcia, co to było. Wiedział jednak, że mu pomogło. Oswobodziło z tej pierdolonej pułapki. Rudzielec poczuł, jak jego ciało wreszcie się rozluźnia. Wciągnął spiczastym nosem smarki zalegające mu w gardle, po czym odwrócił głowę na bok i splunął na leżące wokół liście.

- Idę po was, kurwy! - krzyknął, podnosząc upuszczoną broń z ziemi.

Po chwili pognał przed siebie, mając nadzieję, że je dogoni.

- Słyszałaś?! - krzyknęła Ida, przystając na chwilę. Przerażona spojrzała za siebie. - Co to było?! - spytała.

Erna dobrze знаła odpowiedź.

- Nie zatrzymuj się! - podbiegła do Idy i chwytając ją za rękę, pociągnęła za sobą. Nie miała czasu jej teraz wszystkiego tłumaczyć. Zresztą... Jakie by to miało w tej chwili znaczenie? Zjawa tu była. Zjawa pieprzonego Wesaliusza deptała im po piętach, a ona nie znała drogi wyjścia z tego leśnego labiryntu. Po prostu bezmyślnie biegły przed siebie. Zerknęła na swój brzuch. Straciła sporo krwi. To z pewnością nie wpływało dobrze na jej koncentrację. Nagle zastygła w bezruchu.

- Co robisz?! - wrzasnęła Ida. - Musimy uciekać!

- Bobby... - wyszeptała Erna, spoglądając w głąb niekończącego się lasu.

- Kto?! - Ida spojrzała na nią zdziwiona.

- Bobby! - powtórzyła Erna, tym razem głośniej.

Oczy Idy podążyły za wzrokiem Erny.

- Przecież nikogo tam nie ma! - powiedziała po chwili, kręcąc głową.

Erna jednak go widziała. Była pewna, że widzi w oddali swojego przyjaciela ubranego w dobrze jej znane niebieskie ogrodniczki. Stał między drzewami, przywołując je swoją wielką włochatą ręką.

- Biegniemy! - krzyknęła pewna siebie Erna, dodając: - Tędy! - I obie skręciły lekko w prawo, zwinnie omijając wyrastające z ziemi korzenie.

Ida pojękiwała za każdym razem, gdy jej gołe stopy natrafiały na ostry przedmiot w postaci szyszki lub kawałka wystającej gałęzi. Jednak ogromny poziom adrenaliny, której tak dawno w swoim nudnym życiu nie czuła, zastępował jej najlepszy środek przeciwbólowy. Biegła teraz za dziewczyną, której zawdzięczała to wszystko, i ogarniały ją wątpliwości. Może w tym momencie powinny się rozdzielić? Może powinna zaufać swojemu instynktowi, a nie młodej dziewczynie, która biegnąc obok niej, szczerzy w uśmiechu zęby, wpatrując się w coś w oddali? Coś, czego ona sama nie widzi? Ukradkiem spojrzała raz jeszcze na Ernę. Motyl wydawał się pewny tego, gdzie zmierza. Powinna mu zaufać. Tak właśnie robi.

Liście wokół nich lekko wirowały. Nie wyglądały naturalnie, tak jak nienaturalny był wiatr, który wręcz popychał je do przodu. Bobby zniknął Ernie co jakiś czas z pola widzenia, by po chwili dosłownie zmaterializować się w innym miejscu. Wiedziała, że może mu zaufać. Bobby nigdy jej nie zawiódł. Horyzont przed nimi zaczął się przejaśniać.

- Jest! Droga! - krzyknęła Ida.

Erna spojrzała w miejsce, gdzie przed chwilą pojawił się Bobby. Ida miała rację. Przed nimi rozciągała się upragniona autostrada. Uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo i ruszyły dalej.

- STAĆ! - usłyszały głos Rudzielca.

- Nie odwracaj się! - krzyknęła Erna w stronę Idy. Podskoczyły, gdy wystrzelony nabój utkwiał w drzewie, które właśnie mijały. - Po

prostu biegnij przed siebie!

- STAĆ, KURWY! - Rudzielec nie dawał za wygraną.

Świst! Kolejny pocisk przeleciał tuż obok nich. Bobby już się nie pojawiał. Erna dostrzegła, że liście wokół nich przestały wirować. Spoczywały teraz jak gdyby nigdy nic na ziemi. Wiatr ustał, a niebo wyraźnie się przejaśniło. Kilka sekund później Erna z Idą wybiegły wreszcie z lasu wprost na ciemny, zimny asfalt.

- Nie wierzę... - szepnęła Erna.

Znalazły się tuż przed ostrym zakrętem, na poboczu którego stało beżowe volvo. Erna bez zastanowienia zdjęła granatowy plecak z ramienia i zagłębiła rękę w jego wnętrzu. Po chwili wyciągnęła z niego samochodowe kluczyki z pilotem.

- Do samochodu! - zarządziła.

- Pod jednym warunkiem! - odparła Ida, gdy obie rzuciły się biegiem w stronę volvo. - Ja będę prowadziła!

Erna rzuciła jej kluczyki, nie mając jednak pewności, czy auto w ogóle odpali. Ostatni raz, kiedy się z nim żegnała, było nic niewartym trupem. Jednak samochód mógł okazać się ich chwilowym schronieniem. Miejscem, gdzie w spokoju będzie mogła naładować swoją broń. W skrytce znajdującej się w schowku trzymała kilka zapasowych naboji. Zresztą nie miały innego wyjścia. Rudzielec był tuż za nimi i co chwila posyłał w ich stronę serię śmiertelnych strzałów. Dobiegając do samochodu, Ida wyciągnęła przed siebie rękę z pilotem i nacisnęła guzik.

- Nie zadzia... - chciała powiedzieć Erna, jednak ogromnie się zdziwiła, gdy beżowe volvo zapikało i zamrugowało radośnie światłami.

Ida szybko wpakowała się na miejsce kierowcy. Erna usiadła obok. W bocznym lewym lusterku pojawiło się odbicie Rudzielca. Szedł środkiem ulicy, strzelając w ich stronę bez opamiętania. Beżowe volvo dzielnie przyjęło kilka celnych strzałów. Erna bez słowa obserwowała, jak Ida wkłada kluczyki do stacyjki. Prosiła w duchu wszystkie siły tego świata, aby auto ruszyło. Ku jej kolejnemu zaskoczeniu volvo, jak gdyby nigdy nic, odpaliło. Samochód był gotowy. Ida też.

- Zapnij pasa, kochana! - poradziła jej Abramova.

Erna miała przecucie, że czeka ją ostra jazda. Posłusznie wykonała polecenie koleżanki, uważając przy tym, aby pas nie uciskał jej rany. Ida, niczym rajdowiec najwyższej klasy, obróciła samochód o sto osiemdziesiąt stopni. Stały teraz dokładnie naprzeciw Rudzielca.

- To za moje louboutiny, dupku! - warknęła Ida. Zmrużyła oczy, po czym ruszyła z piskiem opon dokładnie w chwili, gdy Erna miała zapytać, czy aby na pewno posiada prawo jazdy.

Oprawca stał pośrodku drogi, z przerażeniem raz po raz naciskając spust, jednak tym razem żadna z kul nie sięgnęła celu. Ida z impetem wjechała w Rudzielca. Jego ciało zatańczyło bezwładnie na masce samochodu, po czym odskoczyło kilka metrów dalej, chowając się w gęstwinach ciemnego lasu.

Volvo odjechało, obierając kurs na Ottawę. Mężczyzna w niebieskich ogrodniczkach stał na zakręcie. Kilka jesiennych liści wzbiło się w powietrze. Po chwili postać zniknęła, a liście opadły bezdźwięcznie tam, gdzie wcześniej spoczywały. Na autostradzie znów pojawiły się samochody. Świat jakby wrócił do życia.

Rozdział 10

W przydrożnej jadłodajni Wiejskie Smaki, która mieściła się tuż przed wjazdem do Ottawy, życie płynęło spokojnie jak zawsze. Gości tego popołudnia nie było zbyt wielu. Kierowca tira, pochłaniający z zapalem drugą już porcję jajecznicy z grzankami, i starsza pani, na oko osiemdziesięcioletnia, która spokojnie popijała truskawkowego shake'a, przeglądając dzisiejszą prasę.

Ronald, oparty o ladę, lustrował wzrokiem swój prawie pusty lokal. Jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiał zrezygnować z tego interesu. Jest coraz gorzej, coraz gorzej... - pomyślał, kręcąc głową ze zrezygnowaniem. Nagle poczuł solidne uderzenie w plecy.

- Co się lenisz! - usłyszał za sobą znajomy kobiecy głos. - Nastaw lepiej świeżą porcję kawy. Coś czuję, że zaraz będziemy mieć nowych klientów. - Młoda dziewczyna ubrana w dopasowany kelnerski strój posłała mu swój zniewalający uśmiech.

Jednak Ronaldowi trudno było uwierzyć w tę, jakże optymistyczną, przepowiednię.

- Betty, droga Betty - zwrócił się do swojej pracownicy, przybierając złośliwie oratorski ton - może zamiast pracować w mojej kawiarni, powinnaś otworzyć własny biznes?

- Ta? - bąknęła pod nosem kelnerka. - A niby jaki?

- Z twoimi zdolnościami proponuję - Ronald udał zamyślenie - salon wróżbiarstwa - dogryzł dziewczynie, ponownie opierając się, znudzony, o ladę.

Betty machnęła tylko pobłażliwie ręką na jego głupi żart i postanowiła sama włączyć ekspres. Musiała coś zrobić. Inaczej zwariowałyby tu z nudów. Dobrze wiedziała, że przydrożna jadłodajnia coraz gorzej prosperowała, co groziło, w jej przypadku, rychłą utratą pracy. Nie zamierzała się jednak poddawać i zmienić się w wielką marudę, tak jak to się stało w przypadku jej pracodawcy.

Przecież wszystko jeszcze może się odmienić. Po chwili ekspres zaczął pracować, a mały lokal wypełnił się kawowym aromatem.

- O! - krzyknęła niespodziewanie podekscytowana Betty. Ronald i siedzący w barze klienci zerknęli na nią zdziwieni. - Popatrz, Ronaldzie! Chyba jednak otworzę ten salon! - oświadczyła z dumą, wskazując chudym palcem na coś za oknem.

Ronald pognał wzrokiem za jej ręką. Tuż przed barem, na parking, zatrzymało się duże, terenowe volvo. Po chwili wysiadły z niego dwie kobiety. Zmrużył oczy, aby lepiej je zobaczyć. Szczupła brunetka o długich włosach i blondynka z mocnym makijażem.

- Ktoś, kto jeździ takim autem, nie może być biedny... - szepnęła mu do ucha Betty, która w duchu liczyła na solidny napiwek.

W lokalu rozbrzmiał dzwoneczek zawieszony nad drzwiami wejściowymi. Erna i Ida weszły do środka. Zlustrowały wzrokiem całe pomieszczenie, po czym zasiadły przy stoliku naprzeciwko obserwującego ich za ladą właściciela. Betty od razu wzięła się do pracy. Okręciła się na pięcie i chwyciła dzbanek wypełniony świeżo przygotowaną kawą. Kucnęła i prawą ręką sięgnęła pod blat, chwytając za dwie białe filiżanki.

- Czekaj - syknął w jej stronę Ronald, kuląc się tuż przy niej za wysokim blatem. - Nie zauważyłaś w tych kobietach czegoś dziwnego?

Kelnerka uniosła ze zdziwienia brwi. Jej szef chyba nie był w najlepszej formie umysłowej. Pokręciła przecząco głową.

- Popatrz na nogi blondyny i bluzkę tej czarnej - wyszeptał podenerwowany Ronald, wybałuszając oczy.

Betty podniosła się gwałtownie do góry. Za szybko. Z impetem uderzyła szklanym dzbankiem o spód blatu. Ten w jednej chwili rozbił się w drobny mak. Gorąca kawa chlusnęła na podłogę, a kilka soczystych kropel spoczęło wprost na łysiejącej głowie Ronalda.

- Auuuu - zaskowyczał, wyskakując gwałtownie spod lady.

Erna i Ida popatrzyły zdziwione w ich kierunku. Betty zaśmiała się niezręcznie.

- Przepraszam państwa. To tylko mały wypadek przy pracy - oznajmiła, po czym podeszła do kwilącego z bólu RONALDA.

- Pokaż - chwyciła jego rękę i spojrzała na głowę, z której teraz ściekały krople ciemnobrązowej cieczy.

Prócz mokrych resztek włosów i dwóch czerwonych plamek nie dostrzegła niczego poważnego. Kazała RONALDOWI kucnąć na ziemi. Ten posłusznie wykonał jej polecenie, opierając się kościstym ciałem o szafki. BETTY chwyciła za kawałek ręcznika papierowego i zaczęła nim delikatnie wycierać głowę swojego szefa.

- Widziałas? - wymamrotał RONALD.

- Ta - odpowiedziała krótko, skupiając swoją uwagę na jego pustym łbie.

- I nie dziwi cię to?!

- Może trochę - odpowiedziała mu beznamiętnym tonem BETTY.

Doprawdy widok bosej blondyny i brunetki z bluzką pomazaną od czegoś czerwonego nie robił na niej wrażenia. Niestety o napiwku raczej będzie musiała zapomnieć. Po tej akcji nie liczyła na jakąś nagrodę, zresztą... czy brudna lub bosa kobieta może mieć przy sobie jakieś pieniądze? Jakoś w to wątpiła.

IDA i ERNA spoglądały na siebie porozumiewawczo.

- A wyglądało to na spokojne miejsce... - szepnęła przez stół IDA.

- Bo jest spokojne. Tylko nasza obecność trochę ten spokój zmąciła - wyjaśniła jej ERNA, spoglądając wymownie na swój brzuch.

ROSJANKA tymczasem zerknęła w dół na swoje stopy odziane jedynie w brązowe podkolanówki.

- No tak - przyznała po chwili. - Jak tam twoja brzucha? Opatrunka choć trochę pomogła?

- Tak, to tylko lekkie zadrażnienie - skłamała ERNA.

BANDAŻ zdołał zatamować krwawienie, ale pocisk dotkliwie rozszarpał jej prawy bok. Na szczęście kula nie utknęła w jej ciele, a ona sama czuła się dość dobrze jak na odniesione rany. Wiedziała, że nie może być to nic poważnego. Spojrzała w stronę lady. Kelnerka wciąż była zajęta poszkodowanym mężczyzną. Koło ich stolika

przeszedł gruby, brodaty facet, który bąknął pod nosem coś, co prawdopodobnie miało być jakąś niewyraźną formą pożegnania i po chwili opuścił lokal, kierując się w stronę wielkiego tira. W kawiarni była jeszcze jakaś staruszka, która pochłonięta czytaniem gazety, co chwila cmokała z niesmakiem ustami, kręcąc z dezaprobatą siwą głową. Teren był bezpieczny, jednak Erna wiedziała, że musi jak najszybciej rozstać się z Idą. Dla swojego oraz jej bezpieczeństwa. Stowarzyszenie Wesaliuszy nie odpuści. Była tego pewna.

- Słuchaj, musisz się ukryć. - Erna ściszyła głos, pochylając się przez stół w stronę Rosjanki. - Oni będą nas szukać. Szukać do skutku, aż nas wytropią i zabiją.

- *Da* - odpowiedziała jej Ida. - Narobiłyśmy im niezłego gówna - powiedziała z wyraźną satysfakcją w głosie.

- Masz kogoś, kto jest w stanie ci pomóc?

- Tak, kochana - odrzekła Abramova. - O mnie się nie martwiaj. - Zamilkła na moment, przyglądając się Ernie. - A ty? - spytała po chwili.

- Ja? - zdziwiła się Erna. - Chyba zapomniałaś o moim narzędziu pracy. - Uśmiechnęła się tajemniczo w jej stronę.

- Taaak? - udała zdumienie Ida, odwzajemniając uśmiech. - No dobrze. Czas działać. Muszę wykonać telefona. - To powiedziawszy, uniosła swoje ciało z siedzenia i podeszła do lady.

Betty na jej widok wyraźnie się zmieszała. Ronald z zaciekawieniem przyglądał się kobiecie, wciąż kucając na zimnej posadzce.

- W czym mogę pomóc? - powiedziała Betty, uśmiechając się w jej stronę. - Coś podać?

- Telefona - rzuciła w jej stronę Ida z wyraźnym rosyjskim akcentem.

- Telefona? - zdziwiła się kelnerka.

- Muszę gdzieś zadzwonić - wyjaśniła szybko Rosjanka. - Czy znajdę tu telefona?

Betty zamrugła kilkakrotnie swoimi przesadnie długimi, sztucznymi rzęsami.

- Niestety, ale nie posiadamy w barze telefonu. To znaczy... telefonu. - To Ronald postanowił włączyć się do dyskusji, unosząc swoje chude ciało z podłogi. Nowo przybyli goście wzbudzali w nim pewne obawy. Nie ufał tym dwóm dziwnie wyglądającym kobietom i szczerze mówiąc, wolał, aby jak najszybciej opuściły jego lokal.

- To naprawdę dla mnie ważnościowa sprawa. - Ida nie dawała za wygraną. Postanowiła wykorzystać swój talent aktorski. - Ja i moja przyjaciółka - wskazała dłonią siedzącą przy stoliku Ernę - zostałyśmy napadnięte. Ledwo uszłyśmy z życiem. Ci bandyciory... - teatralnie potrząsnęła głową, zakrywając twarz dłońmi. Oczy Betty rozbłysły na widok tak dużej ilości złotych pierścionków. - Ci straszni bandyciory chcieli ukraść nam samochoda i kto wie... - kontynuowała swój dramat Ida, raz po raz dławiąc się udawanym płaczem - ...kto wie, co by nam zrobili, gdyby my nie zdołały uciec!

Ronald i Betty popatrzyli na siebie zdumieni. Erna nic nie mówiła, tylko kiwała głową, w ten sposób starając się uwiarygodnić historię swojej koleżanki. Ronald chwycił Betty za rękę i odciągnął do tyłu.

- Co o tym sądzisz? - wyszeptał jej do ucha.

Betty wzruszyła ramionami.

- Myślę, że to by wyjaśniało, czemu ta blondyna - skierowała wzrok na Idę - nie ma butów.

Jej szef próbował poukładać sobie w poparzonej głowie wszystkie informacje.

- Ronaldzie... - Betty gwałtownie ścisnęła ramię swojego szefa tak mocno, że aż syknął z bólu. - Czy myślisz... czy... myślisz... - powtórzyła jak w transie, co chwilę spoglądając na stół, przy którym siedziała Erna. - Myślisz, że ta czerwona plama na bluzce tej brunetki to krew? - Betty wypowiedziała ostatnie słowo, po czym zamarła w bezruchu z otwartą buzią. Jej oczy wyrażały przerażenie połączone z ekscytacją.

Tymczasem Ida wciąż łkała donośnie przy ladzie, próbując podsłuchać ich rozmowę. Ronald zaczął żałować tych chwil, w których narzekał na monotonię i nudę w swojej pracy. W tym dniu, w tej sekundzie stwierdził, że był człowiekiem spokojnym, nieszukającym ani grama adrenaliny w swoim prostym, ustabilizowanym życiu. Wyraźnie podenerwowany pogładził strzępy siwych włosów na głowie i nieufnie spojrzął na przesadnie roztrzęsioną Idę.

- Na miłość boską! - Starsza kobieta, która do tej pory była pochłonięta informacjami zaczerpniętymi z gazety, pozwoliła sobie wtrącić się do rozmowy. - Ja jestem w stanie zrozumieć wszystko! - wykrzyknęła, żwawo krocząc w kierunku lady. - W polityce syf i malaria. W sklepach gówno i chemia - wyliczała, wymachując przy tym w powietrzu zwiniętą gazetą. - Ale braku ludzkiego miłosierdzia to ja nie zniesę! - krzyknęła oskarżycielsko, wskazując chudą, pomarszczoną dłonią na Ronalda i Betty. W końcu podeszła do zaskoczonej Idy, wręczając jej dość nowy model markowego smartfona.

- Proszę, kochanieńka. Zadzwoń, gdzie tam potrzebujesz. Wszystko na mój koszt - powiedziała łagodnie, poklepując zaskoczoną Idę po ramieniu.

- *Spasiba* - odpowiedziała Abramova, po czym nie zastanawiając się ani chwili, chwyciła za telefon. W swej pamięci odszukała numer do Iwana, który tego dnia miał czekać na nią w Ottawie. Długie tipsy trochę utrudniały jej wpisywanie numeru na dotykowej klawiaturze, jednak w końcu dała radę i po kilku sekundach w słuchawce usłyszała znajomy męski głos.

- *Kafesjelskiearomatyda* - To albo coś bardzo podobnego, według Betty, nieznana blondynka wypowiedziała do kogoś przez telefon.

- O! - krzyknęła wyraźnie uradowana staruszka, odbierając smartfon od Idy po skończonej rozmowie. - Jesteś z Rosji, kochana? - Ida przytaknęła. - Jak miło! Mój mąż był Rosjaninem. Pił wódkę jak wodę. Dwa litry dziennie dla zdrowotności. - To powiedziawszy,

wyszczерzyła w uśmiechu sztuczną szczękę. – Pozwolisz, kochana, że się oddalę i pograżę dalej swój umysł w tym oto nośniku informacji. Na świecie dzieje się tyle ciekawych rzeczy... – Z nosem w gazecie staruszka poczłapała na swoje miejsce na drugim końcu lokalu.

Ida odprowadziła ją wzrokiem, po czym także wróciła do swojego stolika.

– Niedługo po mnie przyjadą – poinformowała rozbawioną Ernę. – Z czego się tak śmiejesz?

– Gdy rozmawiałś przez telefon, staruszka wręczyła mi dziesięć dolarów, mówiąc, żebym zatroszczyła się o twoje obuwie – wyjaśniła Erna, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

Ida przez chwilę pomyślała, że te pieniądze nie starczyłyby nawet na jeden obcas nowych louboutinów. Ostatecznie jednak doceniała dobre serce staruszki. Spojrzała w jej stronę, ciesząc się, że są jeszcze na świecie bezinteresowni ludzie.

– Słuchaj – powiedziała po chwili, z troską przyglądając się zakrwawionej bluzce Erny. – Powinnaś już jechać. Uciekaj daleko. Musisz do doktora, zanim wykrwawisz się na śmierć.

– Spokojnie – odparła Erna. – Poczekam, aż ktoś po ciebie przyjedzie i wtedy też się zmyję.

Rosjanka chciała zaprotestować, jednak szybko dotarło do niej, że nie ma najmniejszych szans, aby przekonać tę upartą kobietę do swojej racji.

– Nie jestem jak oni... – Ida spojrzała Ernie prosto w oczy. – Musiałam ich wpuścić wtedy do pokoja, bo... bo nie miałyśmy szans. My dwie... przez ciemnego lasa i oni wszyscy... Krugerstain zabiłby nas tasakiem, zanim wyszłybyśmy przez okno...

Erna nie odpowiedziała. Nie musiała nic mówić. Domyślała się, dlaczego Abramova zrobiła wtedy to, co zrobiła. Nawet gdyby Rosjanka miała inny powód, nie byłoby to istotne. Najważniejsze było dla niej to, że wróciła po nią i obie zdołały uciec z tego przeklętego miejsca.

- Wiesz - odezwała się po chwili Ida. - Przeżyłam z tobą najwspanialsze dni w swoim życiu. Nikt nie zapewnił mi tyle adrenaliny, co ty. Dziękuję, Erno Brown... *Spasiba*. - Wyciągnęła w jej kierunku dłoń. - O ile w ogóle się tak nazywasz, w co szczerze wątpię - dodała.

Erna również podała jej rękę.

- Muszę przyznać, że twojego Drinka Pokojowego zapamiętam do końca życia.

- A ja mam nadzieję, że jeszcze kiedyś wspólnie go wypijemy - oświadczyła pełna nadziei Abramova.

- Myślisz, że będą chcieli nas odnajdować? - spytała po chwili milczenia Ida.

Erna spojrzała za okno. Na opustoszałym parkingu stało tylko beżowe volvo.

- Z tego, co dowiedziałam się od Gospodarza, ich Stowarzyszenie może być naprawdę potężne i wpływowe. Jeżeli to wszystko prawda - Erna oderwała wzrok od szyby i spojrzała w oczy Idy - jeżeli rzeczywiście są taką potęgą w świecie, to krótko mówiąc, mamy prze-rą-ba-ne - ostatnie słowo wypowiedziała wolno i wyraźnie. - Mogę cię o coś spytać? - dodała po chwili.

- *Da* - odpowiedziała bez zastanowienia Abramova.

Erna wzięła głęboki oddech, po czym odważyła się zadać dręczące ją od chwili opuszczenia hotelu Hommanger pytanie.

- Co takiego zrobiłaś, że przyjęli cię do Stowarzyszenia? - Ida milczała. Erna zaczęła podejrzewać ją o najgorsze. - Jadłaś wcześniej... no wiesz... - zawahała się przez moment. - ...ludzkie mięso? - dokończyła, krzywiąc się z obrzydzenia.

- *Niet* - odpowiedziała w końcu stanowczym głosem Abramova. - Nie jadłam i jeść nie będę. A co do tego, jak się dostałam do Stowarzyszenia... - Ida wyciągnęła przed siebie prawą dłoń i znacząco potarła kciukiem o palec wskazujący i środkowy. - Pieniądze - uściśliła po chwili. Erna odetchnęła z ulgą. - Teraz wiem, że to była moja życiowa pomyłka - kontynuowała Ida. - Chciałam

zaznajomić czegoś nowego i szalonościowego. Kiedy doszły mnie słuchy o tej imprezie, pomyślałam, że może i bym spróbowała ludzkiego mięsa. Może i zagrałabym w kościaną grę, ryzykując swoje nudne życie, ale... – Ida spojrzała w stronę lady, upewniając się, że kelnerka z łysiejącym mężczyzną zajęci są innymi rzeczami niż podsłuchiwanie, po czym dokończyła: – ...ale będąc tam, zmieniłam zdania. Nigdy nie zjadłabym ludzka. To całe Stowarzyszenie przestało mi się podobać. Tym bardziej teraz, kiedy znalazłyśmy się na ich celowniku.

Erna, uśmiechając się, zerknęła na swój brzuch. Nie czuła się dobrze i podejrzewała, że to, co brała wcześniej za „tylko draśnięcie”, mogło być czymś o wiele poważniejszym. Musiała także przyznać, że mimo wątpliwości, które nawiedziły ją, gdy tylko udało im się odjechać beżowym volvo w stronę Ottawy, teraz wiedziała, że dobrze zrobiła ufając Rosjance.

Nagle na parking z piskiem opon wjechał czarny mercedes. Erna podejrzliwie spojrzała przez okno. Drzwi od strony kierowcy się otworzyły i wyszedł z niego wysoki, postawny mężczyzna ubrany w ciemny garnitur. Nie wyglądał przyjaźnie. Nie była od niego aura dobroci. Erna poczuła, jak jej ciało się napina. Odnaleźli je? Namierzyli i wysłali kogoś, żeby je zlikwidował? Uniosła się, chwytając Idę za rękę. Nie miała przy sobie broni. Jedyłą ich szansą była ucieczka.

– No, nareszcie! – wykrzyknęła wyraźnie uradowana Ida na widok kroczącego w stronę baru mężczyzny. – Mój Iwan. Przybył po mnie.

– Twój Iwan? – zdziwiła się Erna.

– Mój osobisty ochroniarz – wyjaśniła Rosjanka.

Dzwoneczek jadłodajni rozbrzmiał radośnie i do wnętrza Wiejskich Smaków wgramoliła się ogromna postać zwana Iwanem. Jego oczy wyraźnie rozbłysły na widok pracodawczyni. Erna miała wrażenie, że Iwan, gdyby tylko mógł i gdyby tylko wypadało, wzięłby Idę w swoje wielkie ramiona i ją solidnie wyściskał. Ta jednak, jak się szybko okazało, nie pozostawiła mu żadnych nadziei na czułe przywitanie.

- Ile można czekać! - warknęła w jego stronę.

- Przee... przeeeepraszam - wyjąkał bezradnie duży Iwan.

Ernie zrobiło się go trochę żal. Wiedziała, że mężczyzna zjawił się dość szybko, zważywszy na to, kiedy odebrał telefon od swojej pracodawczynie.

- Były ogromne korki. Staralem się, jak tylko mogłem - próbowałem się wytłumaczyć.

Ida prychnęła pogardliwie, po czym uniosła się z miejsca i podeszła do Erny.

- Żegnaj, kochana. Nie, nie. Nie powstawaj - zwróciła się do niej czule, po czym, trzymając ją za ramiona, ucałowała dwukrotnie, pozostawiając na każdym jej policzku czerwony ślad po szmince. - Miejmy nadzieję, że jeszcze kiedyś razem wypijemy Drinka Pokojowego!

Tymczasem zdziwiony Iwan nie mógł oderwać wzroku od bosych stóp swojej pracodawczynie. Zazwyczaj zdobiły je piękne i drogie szpilki.

- Idziemy - wydała władczo komendę Rosjanka, kierując się do wyjścia.

Iwan posłusznie podążył za nią. Ronald i Betty, wciąż bezpiecznie ukryci za ladą, przyglądali im się z zaciekawieniem.

- Stop! - krzyknęła nagle Ida, zatrzymując się tuż przy wyjściu. Stojący za ladą Ronald aż podskoczył z wrażenia. - Zapomniałabym o czymś ważnościowym! Iwanie, wyciągnij moją książeczkę czekową. Myślisz, że sto tysięcy dolarów to nie za mało?

Ochroniarz popatrzył na nią zdziwiony. Za mało? Za co? Nie wiedział, ale czy to ważne? Przez lata swojej pracy nauczył się, że jego pracodawczynie miała i ma zawsze rację.

- Myślę, że będzie w sam raz - wypalił w ciemno, podając jej papierkowy świstek i długopis.

Ida zwinnym ruchem złożyła na nim swój podpis.

Betty, stojąca za ladą, czuła, jak przez jej ciało przebiega zimny dreszcz. Czy właśnie za chwilę dostanie nieziemsko ogromny napiwek

od tej, jak się okazało, bogatej Rosjanki? Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Ochocho podeszła bliżej lady. Rosjanka ruszyła w jej stronę. Betty rozpromieniła się w jednej chwili. Już tylko metr dzielił ją od bogactwa...

- Och, naprawdę nie trzeba... - jęknęła z udawaną skromnością kelnerka.

Ida jednak, ku jej zdziwieniu, minęła ją i poszła dalej. Oglupiała Betty, z miną zbitego psa i tęsknotą w oczach, odprowadziła Rosjankę aż do stolika, przy którym siedziała zaczytana staruszka.

- Proszę. - Ida wręczyła starszej kobiecie czek.

- Sto tysięcy dolców?! - zdziwiła się na głos babcia. - Na co mi tyle pieniędzy, kochana?!

- Przydadzą się pani - rzuciła w jej stronę, odchodząc. - Na gazety! Zresztą radzę pani zmienić lokala - łypnęła spode łba na Betty i Ronalda. - Parszywiastą mają tu obsługę.

Erna z Idą ostatni raz wymieniły pożegnalne spojrzenia. Krótco potem czarny mercedes odjechał w nieznane, a Erna poczuła, że teraz przyszedł czas na nią.

Ronald, stojąc za ladą, nie wiedział, że już niedługo jego problemy życiowe odejdą w zapomnienie razem z nim, zakopany pod ziemią na pobliskim cmentarzu. Również Betty, czująca ogromne upokorzenie, nie była świadoma tego, że jej nowo narodzone poczucie nienawiści do Rosjan nie będzie miało szansy na rozwój. Odejdzie wraz z nią, wraz z jej ostatnim oddechem i z zaskoczeniem w oczach wpatrujących się w lufę pistoletu. Umrze z niezbyt ciekawym wyrazem twarzy. Ale o to nie powinna się już martwić. Natomiast babcia, wpatrzona teraz nie w gazetę, lecz w podarowany jej czek, nie będzie musiała zastanawiać się nad wyborem nowego lokalu. Nie będzie już miała okazji ponarzekać na prasowe doniesienia ze świata. Od tego wszystkiego zostanie uwolniona. Jedyłą przykrością związaną z jej nagłym odejściem z tego świata będzie niewykorzystane sto tysięcy dolarów. A już myślała o tym, na co spożytkuje tę ogromną sumę pieniędzy. Pochłonięta marzeniami,

które nie będą mogły się spełnić, świdrowała wzrokiem kawałek drogocennego papieru, a w jej oczach pojawił się ślad dawnej młodości.

Ronald i Betty, wpatrzeni w okna wychodzące na pobliski parking, obserwowali, jak Erna pomału kieruje się do swojego beżowego volvo. Wraz z jej odejściem właściciel lokalu poczuł ulgę. Ogarnął go wewnętrzny spokój i radość, że za kilka chwil znów wszystko wróci do normy. Do tej rutyny, na którą jeszcze niedawno narzekał. Betty wciąż nie mogła oderwać wzroku od zakrwawionej bluzki nieznannej dziewczyny. Pierwszy raz widziała kogoś tak umazanego krwią. W przeciwieństwie do Ronalda żałowała, że wizyta tych tajemniczych klientek nie zakończyła się czymś efektownym. W duchu miała nadzieję, że za chwilę wpadną do lokalu bandyci, którzy wcześniej napadli te dwie kobiety. Rozegra się niesamowita akcja pełna krzyków i strachu, a ona, odważna i dzielna, zdoła wszystkich uratować. A wtedy drzwi do sławy staną przed nią otworem. Wywiady w gazetach i telewizji, a kto wie, może w przyszłości napisalaby o tym książkę. Kelnerka uśmiechnęła się pod nosem. Dopiero teraz dostrzegła, że do volvo, przy którym stała tajemnicza brunetka, podeszło dwóch ubranych w czarne garnitury mężczyzn. Między nimi a stojącą przy samochodzie dziewczyną wywiązała się żywa rozmowa. Zaciekawiona Betty ostrożnie wyszła zza lady i podeszła bliżej okna. Jeden z mężczyzn, o wiele niższy i chudszy od drugiego, władczo nakazał dziewczynie wsiąść na tylne siedzenie jej samochodu, po czym sam wpakował się na miejsce kierowcy. Ten drugi natomiast usiadł z przodu na miejscu pasażera i po chwili beżowa terenówka zjechała z parkingu i pognęła w stronę Ottawy.

- Jezu Chryste... - z trudem wysapał sparaliżowany strachem Ronald. Jedną ręką złapał się za głowę, a drugą oparł o stojący tuż przy nim ekspres do kawy.

- Chyba powinniśmy zadzwonić na policję - stwierdziła Betty, spoglądając wymownie na swojego szefa.

- Nie - odpowiedział bez chwili zastanowienia. - To nie nasza sprawa.

- Ale to mogli być ci bandyci... - upierała się kelnerka. Tak bardzo chciała zostać bohaterką. - Co, jeśli ją zabiją? Co, jeśli...

- Nigdzie nie zadzwonimy! - przerwał jej stanowczym głosem Ronald. - Nie zauważyłem, żeby ta kobieta w jakiś sposób protestowała przed wejściem do samochodu. Nie krzyczała, nie wyrywała się. To nie byli bandyci.

- Ale... - próbowała jeszcze zawiedziona Betty, jednak widząc wściekłą i stanowczą minę swojego szefa, zrezygnowała. Sława ponownie przeszła jej koło nosa. A było tak blisko. Tak blisko...

Dopiero po dobrej godzinie Ronald zdołał odzyskać wewnętrzny spokój. Znow ogarnęło go poczucie życiowej nudy, z czego, tym razem, ogromnie się ucieszył. Betty także wróciła do swoich obowiązków. Właśnie kończyła miksować kolejnego truskawkowego shake'a dla babci, która wciąż czytała dzisiejszą gazetę. Kelnerka przelała mlecznoczerwoną gęstą ciecz z miksera do wysokiej szklanki i w sam jej środek wbiła białą słomkę. Kręcąc obfitymi biodrami, minęła szefa, który wrócił do swojej starej pozycji i opierał się obiema rękami o ladę. Ze spokojem spoglądał przed siebie, oczekując kolejnych potencjalnych klientów.

- Proszę - powiedziała Betty, stawiając truskawkowego shake'a na stoliku, przy którym siedziała staruszka.

Babcia kiwnęła tylko głową, nie odrywając wzroku od czytanej strony. Kelnerka obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem. Zabrała pustą szklankę i z żalem spojrzała na czek, który staruszka położyła niedbale na środku stolika. Przez chwilę miała ochotę go zabrać i niepostrzeżenie uciec z tego przeklętego miejsca. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej nabierała przekonania, że nie jest to taki głupi pomysł.

- Nawet nie próbuj, kochana - warknęła zza rozłożonej gazety babcia.

Zaskoczona Betty oderwała wzrok od upragnionego kawałka papieru i czym prędzej, zawstydzona, ruszyła w stronę Ronalda. Zaczęła nabierać podejrzeń, że ta kobieta wcale nie była zwykłą staruszką. To musiała być czarownica!

W lokalu rozbrzmiały wesołe dźwięki wydobywające się z małego dzwoneczka. Do środka wjechała młoda dziewczynka na wózku inwalidzkim, a tuż za nią weszła kobieta, która, jak oceniła szybko Betty, musiała być jej matką.

Dziwne – pomyślał Ronald, przypatrując się nowym gościom. Nie widział, żeby jakiś samochód zatrzymał się na parkingu. Widocznie musiały zaparkować swoje auto na pobliskiej stacji benzynowej – stwierdził po chwili z przekonaniem, odrywając ręce od lady. Takich gości oczekiwał. Spokojnych, przewidywalnych, z butami na nogach i czystym ubraniem. Na samo wspomnienie o poprzednich klientkach przeszedł go zimny dreszcz. Uśmiechnął się przyjaźnie w stronę dziewczynki na wózku inwalidzkim. Mała blondyneczka, o twarzy anioła, odwzajemniła uśmiech i zatrzymała się przy ladzie. Ronaldowi zrobiło się jej strasznie żal. Co takiego musiało się stać, że to dziecko, ta piękna mała dziewczynka, była niepełnosprawna? Świat był okrutny – stwierdził, zerkając na nią czule.

- Dzień dobry – przywitała się kobieta, podchodząc do lady. Miała delikatny, aksamitny głos, który w żaden sposób nie zmącił spokoju Ronalda. - Jak tu u was cicho – dodała, rozglądając się po pomieszczeniu.

- No tak – odpowiedział jej Ronald. - Taki urok naszych Wiejskich Smaków. Spokój, cisza i niewielu gości.

Nieznajoma rozpięła swój szary prochowiec, po czym podsunęła wózek inwalidzki, na którym siedziała dziewczynka, bliżej lady. Chwyliła za krzesło stojące przy jednym z barowych stolików i usiadła obok dziecka.

- Mam nadzieję, że to nie problem? – spytała, siadając. - Po prostu tak będzie wygodniej dla mnie i dla mojej córki – wyjaśniła, odgarniając z twarzy kręcony, jasny kosmyk włosów.

- Oczywiście, proszę się nie martwić - odpowiedział jej szybko Ronald. - Czego się panie napiją? A może coś do jedzenia?

Spojrzał wymownie na Betty. Kelnerka chwyciła za kartkę z menu i podała przybyłym gościom.

- Jeżeli chodzi o jedzenie - odpowiedziała kobieta, lustrując wzrokiem kartę Wiejskich Smaków - nad tym zastanowimy się później, a teraz poprosimy dwa razy truskawkowego shake'a. - Spojrzała na córeczkę, która z ochotą przystała na propozycję matki.

Betty zakodowała w głowie zamówienie i zniknęła za ladą. Ronald postanowił zaszczyścić swoją osobą nowych gości.

- Śliczne ma pani dziecko - stwierdził, uśmiechając się szczerze w ich stronę. Dziewczynka zawstydziała się, spuszczać wzrok. - Ile lat ma pani córeczka?

- Dziesięć - odpowiedziała kobieta, gładząc delikatnie czubek głowy jasnowłosej dziewczynki.

- Jak kiedyś dorośnie, to z pewnością zostanie Miss Świata - odparł z przekonaniem Ronald.

Nagle ciszę przerwał furkot blendera. Przestraszona dziewczynka uniosła gwałtownie głowę.

- Nie ma się czego bać - uspokoił ją Ronald. - To tylko nasza kelnerka przygotowuje twój pyszny truskawkowy shake, i wiesz co? - dodał, pochylając się w jej stronę. - Te shaki będą prezentem ode mnie dla tak wspaniałego i miłego gościa jak ty.

Dziewczynka ponownie się zawstydziała, przytulając głowę do swojej mamy.

- Dziękuję - odpowiedziała nieśmiało.

Betty uwijała się szybko, o czym świadczyły rozchodzące się w powietrzu trzaski.

- To mówi pan, że dziś było mało klientów? - zagadnęła kobieta, czule tuląc teraz swoją córkę do siebie.

- Mało - potwierdził Ronald.

Po chwili podeszła Betty, stawiając na ladzie przygotowane napoje.

- Bardzo proszę i smacznego - powiedziała szybko, po czym odeszła, chcąc od razu zrobić porządek z zabrudzonymi naczyniami. Nowi goście nie wzbudzili w niej jakiegokolwiek zainteresowania. Byli zwyczajni i nudni. Nie pierwszy raz widziała w swoim życiu dziecko na wózku inwalidzkim, a ta kobieta? Może i z twarzy niebrzydka, jednak zwyczajnie ubrana, nic ciekawego sobą nie reprezentowała. Betty wolała więc poświęcić teraz swój czas na zmycie zabrudzonych przy przygotowywaniu shake'ów narzędzi.

- Czyli przed naszym pojawieniem się miał pan spokój? - dopytywała kobieta, upijając pierwszy łyk truskawkowego napoju. Dziewczynka rozprawiała się z shakiem szybciej. W jej szklance pozostała już zaledwie połowa.

- Ta... - bąknął niechętnie Ronald. - To znaczy... Niezupełnie mieliśmy tu spokój - przyznał po chwili.

Kobieta jakby się ożywiła. Dopija do końca zawartość szklanki, dorównując tym samym swojej córce.

- A co takiego się wydarzyło? - spytała, odstawiając puste już naczynia na ladę.

Ronald nerwowo przygładził ręką swoje sterczące siwe włosy. Nie miał najmniejszej ochoty wspominać niedawnej wizyty. Dopiero co odzyskał swój wewnętrzny spokój.

- Szkoda gadać - machnął pobłaźliwie chudą ręką. - Po prostu mieliśmy niedawno dwie niezbyt sympatyczne klientki, których na szczęście już tu nie ma - uściślił, chcąc zakończyć ten niewygodny dla niego temat.

W brzuchu małej blondyneczki głośno zaburczało. Jej matka spojrzała na nią zatroskana.

- O! Słyszę, że ktoś tu jest bardzo głodny! - krzyknął radośnie Ronald, chcąc jak najszybciej zmienić temat rozmowy. - Betty! - przywołał swoją kelnerkę do siebie. Ta po chwili stanęła u jego boku. - Czuję, a nawet słyszę - tu Ronald puścił oko w stronę dziewczynki - że chyba coś byś zjadła, mała księżniczko!

- Tak - przyznała mu rację kobieta, wstając z krzesła. - Powinnyśmy coś zjeść. Ale jak już mówiłam wcześniej - jej prawa ręka zniknęła w głębi rozpiętego prochowca - nad tym zastanowimy się później - dokończyła, jednocześnie wyciągając z czeluści płaszcza mały pistolet z tłumikiem.

Betty wytrzeszczyła oczy i rozwarła usta, chcąc wydać z siebie okrzyk przerażenia. Nie zdążyła. Wycelowana w jej głowę broń wystrzeliła, a nabój gładko wbił się w jej czaszkę. Kelnerka bezwładnie upadła na zimną posadzkę. Przestraszony Ronald nie mógł się ruszyć. Nie mógł nawet wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Lufa pistoletu właśnie skierowała się w jego stronę. Kobieta zwróciła się do niewzruszonej zaistniałą sytuacją dziewczynki:

- Kochanie, ta staruszka na końcu baru jest twoja. Mamusia musi pogadać z tym panem.

Mała blondyneczka uśmiechnęła się ciepło w stronę swojej rodzicielki. Jej niewinne rączki sięgnęły pod wózek. Po chwili niepełnosprawna śmierć z pistoletem zamiast kosy w ręku zmierzała w kierunku niczego nieświadomej starszej pani. Zaczytana babcia dostrzegła kątem oka, że ktoś się do niej zbliża. Musiała jednak najpierw skończyć ten intrygujący artykuł. Kto by się spodziewał, że kamienie mogą mieć lecznicze właściwości! Zdecydowanie będzie musiała kupić sobie hematyt. Ponoć idealnie sprawdza się w przypadku reumatyzmu... Wreszcie uniosła głowę znad gazety. Spojrzała na nieznaną dziewczynkę, siedzącą na wózku inwalidzkim, która zatrzymała się obok niej. Miała piękne, duże niebieskie oczy.

- Poczekaj, aniołeczku - rzuciła szybko w jej stronę, ponownie wlepiając wzrok w zadrukowaną kartę. - Skończę tylko ostatnie zdanie - poinformowała ją, nie mając pojęcia, czego mogło chcieć od niej to urodziwe dziecko.

- Jak masz na imię? - spytała kobieta stojącego tuż przed nią właściciela.

- R... R... - próbował wydusić z siebie przerażony. - R... Ronald - w końcu mu się udało.

Kobieta wciąż celowała do niego z broni, bacznie mu się przyglądając.

- A więc drogi Ronaldzie. Potrzebuję odpowiedzi na kilka pytań - wyjaśniła kobieta spokojnym głosem. - Czy mogę liczyć na twoją współpracę?

Ronald pokiwał twierdząco głową. Oddychał szybko, a jego oczy jeszcze nigdy nie były tak wielkie. Starał się nie patrzeć na leżące tuż obok niego ciało Betty.

- Cieszę się - oświadczyła nieznajoma. - Ronaldzie, powiedz mi, jak wyglądały te dwie klientki? - zadała pierwsze pytanie i przystawiła do jego czoła tłumik przytwierdzony do pistoletu.

Przerażony Ronald spuścił wzrok. Zobaczył martwą Betty, której głowa była otoczona kałużą krwi. Przełknął z trudem ślinę. Wiedział. Po prostu czuł, że tamte klientki sprowadzą na niego zagładę. Nie chciał skończyć jak jego kelnerka. Postanowił współpracować. Może to go uchroni...

- Długo mam czekać? - warknęła wyraźnie zirytowana kobieta.

- J... jjjee... - W stresie nie potrafił wypowiedzieć prostych słów.

Uzbrojona klientka przewróciła oczami. Jej cierpliwość się kończyła. Ronald wziął głęboki oddech.

- J... j...j... jedna była b... b... blondynką, a... a... druga...

- Brunetką? - przerwała mu kobieta.

Ronald przytaknął. Czuł, jak jego ciało się trzęsie, a on nie może nad tym zapanować.

- Co jeszcze? - burknęła nieznajoma.

- T... taa blondynka... to... chyba Rosjanka. Przyjechały tu raaa... zem terenow... wym volvo.

W drugim końcu pomieszczenia staruszka skończyła czytać ostatni artykuł w gazecie. Dziewczynka na wózku cierpliwie czekała.

- No, mój aniołku - zwróciła się babcia w stronę nieznajomego dziecka, odkładając wreszcie gazetę na bok. - W czym mogę ci

pomóc?

Nie doczekała się odpowiedzi. Nie zdążyła nawet się zdziwić. Niepełnosprawna śmierć uniosła małe, szczupłe rączki, w których spoczywał pistolet. W jednej sekundzie problemy oraz marzenia staruszki odeszły w zapomnienie. Matka dziewczynki kątem oka upewniła się, że jej córka wykonała zadanie. Jednak nie był to jeszcze koniec. Musiała wyciągnąć więcej informacji od tego głupiego właściciela Wiejskich Smaków.

- Rosjanka była n... naa... b... boso - kontynuował przerażony Ronald, nie odrywając wzroku od pistoletu. - Brunetka m... mm... miała ranę w... w... w brzuchu. D... d... dużo krwi...

Kobieta milczała, analizując zdobyte informacje.

- Kiedy stąd odjechały? - spytała.

- J... j... jakąś g... godzinę temu - wyjąkał z trudem Ronald. - A... a... le nie razem - dodał, myśląc, że w ten sposób ocali swoje życie.

Nieznajoma spojrzała na niego wyraźnie zainteresowana.

- Mów! - ponagliła go stanowczo.

- N... n... najpierw po Rosjankę, ktoś p... p... przyjechał. Cz... cz... czarnym mmm... mercedesem. A p... p... później t... ta brunetka p... p... pojechała volvo.

- Gdzie? - kobieta zmarszczyła brwi.

- Ja ni... nie wiem. Wszyscy p... pojechali w stronę Ott... awy - jęknął, łapiąc oddech.

Kobiecie zrobiło się go żal. Żal, że tak łapczywie walczył o swoje nędzne, nic niewarte życie. A przecież nie miało to teraz większego sensu. Bez zastanowienia pociągnęła za spust. Śmierć Ronalda nastąpiła szybko i niespodziewanie. W przeciwieństwie do jego nudnego, przewidywalnego życia, które tak uwielbiał. Uzbrojona kobieta odłożyła na blat pistolet i wyjęła z prochowca telefon komórkowy.

- Sprawdźcie wszystkie szpitale w Ottawie i okolicy. Szukajcie beżowego volvo i czarnego mercedesa - powiedziała do słuchawki, po czym rozłączyła rozmowę.

- Kochanie - zwróciła się do swojej córeczki, która z zainteresowaniem przyglądała się czemuś, co leżało na stole tuż przy martwej staruszce.

- Mamusiu, musisz tu przyjść! - krzyknęła w jej stronę dziewczynka, chwytając do ręki jakąś kartkę. - Zobacz. - Podała po chwili czek swojej matce.

Kobieta spojrzała na niego z zainteresowaniem. Sto tysięcy dolarów od Idy Abramovej. Stowarzyszenie Wesaliuszy na pewno uradowałoby się z takiego dofinansowania. Pochyliła się nad wózkiem inwalidzkim i ucałowała swoje dziecko w policzek. Była z niej taka dumna.

- Mamusiu, jestem głodna. Czy możemy już wybrać jedzenie? - Dziewczynka spojrzała wyczekująco na swoją matkę.

- Oczywiście, kochanie - odpowiedziała jej matka. - Dziś wybór należy do ciebie.

- Starsi ludzie smakują niedobrze - stwierdziła mała, wykluczając tym samym babcię ze swojego dzisiejszego jadłospisu. - Ten pan jest strasznie chudy i żyłasty. - Ronald też nie znalazł się w ich menu. - Została tylko ta ładna pani kelnerka. - To powiedziawszy, wskazała swoją ręką na miejsce, gdzie jeszcze niedawno popijała truskawkowego shake'a.

- Świetna decyzja - pochwaliła ją matka. - Pozwolę ci dokonać jeszcze jednego wyboru, kochanie - dodała po chwili, pchając przed sobą wózek. - Na którą część ciała masz dzisiaj ochotę?

Rozdział 11

Jechali w milczeniu. Beżowe volvo mknęło z dużą prędkością po Ottawie, łamiąc przy tym kilka przepisów drogowych.

- Kurwa, kobieto. Masz przejebane! - krzyknął nagle chudy kierowca, zerkając we wsteczne lusterko, w którym odbijała się zamyślona twarz Erny. - Miałaś misję do wykonania. Miałaś tylko dojechać do CRL i zlikwidować obiekt!

- Mam teraz większe zmartwienia - odparła beznamiętnym tonem Erna, przyciskając prawą rękę do rozszarpanego boku. Jej bluzka była znów wilgotna od ciepłej krwi.

- Większe zmartwienia?! - krzyknął chudzielec, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. - WIĘKSZE ZMARTWIENIA?! - powtórzył jeszcze głośniejszym głosem i wcisnął z całej siły hamulec.

Siedzący obok niego mężczyzna poczuł, jak pasy, którymi był ciasno zapięty, wrzynają się w jego wielkie umięśnione ciało. Popatrzył z wyrzutem na kierowcę. Ten jednak go zignorował. Włączył światła awaryjne i odwrócił się gwałtownie w stronę siedzącej na tylnym siedzeniu Erny Brown.

- Ty chyba nie wiesz, co mówisz, kobieto - warknął, dysząc ciężko.

- Barney, muszę...

- Nie, kurwa. To ja muszę. Muszę ci wytłumaczyć, jakiego syfu narobiłaś - przerwał jej Pimpke, świdrując ją swoimi małymi, wściekłymi oczami. - Nie zlikwidowałaś koleśka. Zleceniodawca wkurwił się nie na żarty. Za powtórne zlecenie zapłacił połowę mniej, niż było ustalone. Ale najbardziej wkurwiony tą sytuacją był nie zleceniodawca i nie ja, droga koleżanko, tylko nasz szef. Próbował się z tobą skontaktować, kazał szukać wszystkimi możliwymi środkami, ale ty... - Pimpke przysunął się do niej jeszcze bliżej, tak że czuła jego śmierzący oddech na swojej twarzy. - Ty... zapadłaś się, kurwa, pod ziemię.

- O czym ty mówisz? - odezwała się zaskoczona. - Przecież to wy mnie zostawiliście! Mogliście mnie namierzyć! W tym pieprzonym volvo jest przecież nadajnik! - próbowała się bronić.

- Nadajnik?! - Barney Pimpke roześmiał się na głos, czym też rozbawił siedzącego obok niego kolegę. - Nadajnik... - powtórzył, chrząkając pod nosem.

Tym razem Erna obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

- Takie to śmieszne?! - wykrzyknęła zdenerwowana. - Takie to, kurwa, śmieszne, że zostawiliście mnie na pastwę losu i o mało co nie zginęłam?! - Nagle w volvo zapanowała cisza.

- O czym ty mówisz, kobieto? - spytał po chwili zdziwiony Barney. - Przecież pojechaliśmy w miejsce ostatniego sygnału, który otrzymaliśmy z samochodu, ale ciebie tam nie było. Dopiero dzisiaj ponownie odebraliśmy sygnał z nadajnika, dlatego się zjawiliśmy.

- Co? - zdziwiła się Erna.

To wszystko nie miało sensu. Przecież jej samochód stał w miejscu. Wprawdzie zepsuty, ale nadajnik wciąż powinien działać...

- No tak - odpowiedział jej Pimpke tym razem już spokojniej. - Pojechaliśmy z Johnnym we wskazane miejsce. - Popatrzył na swojego wielkiego kolegę, który tylko przytaknął wielką głową, potwierdzając jego słowa. - Twój samochód miał stać na drodze przed zakrętem. Przynajmniej taki odebraliśmy ostatni sygnał.

- I tam stał - wycedziła przez zęby wściekła Erna.

- No właśnie problem w tym, że, kurwa, nie stał - oznajmił Barney, dodając: - Nie było tam samochodu ani ciebie. Zniknęliście. Rozpłynęliście się w powietrzu. Albo porwało was pierdolone UFO.

Siedzący na miejscu pasażera mężczyzna zaśmiał się. Pimpke skarcił go spojrzeniem, po czym ponownie spojrzął na swoją koleżankę. Wydawała się nieco zdezorientowana. Do tego ta rana, z której obficie sączyła się krew... Może faktycznie coś się stało? Nigdy za nią nie przepadał. Zawsze była faworyzowana przez ich szefa. Zawsze dostawała lepsze, dobrze przygotowane zlecenia, a on

jakieś ochłapy, i do tego ta tożsamość, pod którą musiał się ukrywać. Barney Pimpke... Kto im, kurwa, wymyślał te imiona i nazwiska?!

Powracając jednak myślami do obecnej sytuacji, musiał przyznać, że nawet jej teraz współczuł. Zwłaszcza po tej ostatniej akcji z dzieckiem, przez którą się trochę załamała. Może faktycznie...

- ...coś się stało - dokończył swoje myśli na głos.

- Posłuchaj, Barney. - Erna skupiła na nim wzrok. - Nie wiem, dlaczego nie mogliście odnaleźć mojego samochodu, ale nie to jest teraz najważniejsze. - Pimpke z kolegą przysłuchiwali się jej z uwagą. - Obawiam się, że syf, który tu zostawiłam, jest niczym w porównaniu z tym, co zaraz usłyszycie. - Przycisnęła dłoń do rany. Za mocno. Poczowała silne ukłucie. Syknęła z bólu i oparła się o siedzenie. Wzięła głęboki oddech, po czym kontynuowała: - Dziś Erna Brown i Barney Pimpke muszą zniknąć. Musimy dostać nową tożsamość. Jest też kilka ciał do posprzątania...

- Kilka ciał? - wpadł w jej słowo zdziwiony kierowca. - W co ty się wpakowałaś, kobieto?

- Spróbuję wam to teraz w skrócie wyjaśnić. Nie mamy zbyt wiele czasu. Oni już mnie pewnie szukają...

- Ale kto? - wymamrotał coraz bardziej zaskoczony „jeszcze Barney Pimpke”.

- No więc zacznijmy od początku. Jechałam w stronę CRL... - Erna próbowała krótko i jak najbardziej szczegółowo opisać to, co ją spotkało. Choć nie to było najważniejsze. Najważniejsza była terażniejszość. Najważniejszy był teraz czas, który muszą poświęcić na skuteczne zatarcie śladów.

- O kurwa - wydusił z siebie mięśniak siedzący obok Pimpkego, zaraz po tym, jak Erna skończyła opowiadać swoją historię.

- O kurwa - potwierdził Barney, próbując jak najszybciej przyswoić wszystkie informacje.

- Musicie zawieść mnie teraz do centrali - oświadczyła w stronę swoich przerażonych nie na żarty kolegów.

- Ale... - wyjąkał zmieszany Barney - może najpierw powinnaś udać się do lekarza. - Spojrzał znacząco na jej brzuch.

- Nie - odparła stanowczo. - Dam radę. Muszę jak najszybciej spotkać się z szefem.

Pimpke, nie mogąc podjąć decyzji, spojrzał na swojego wielkiego kolegę. Ten jednak wzruszył tylko obojętnie wielkimi ramionami. Nie, żeby martwił się o tę dziewczynę, ale jej brzuch wyglądał naprawdę nie najlepiej...

- Proszę - usłyszał za swoimi plecami.

- No dobrze - rzekł w końcu, odpalając silnik. - Jedziemy do redakcji.

Erna odetchnęła z ulgą. Teraz liczył się już tylko czas. Tylko czas...

Zajechali przed redakcję, która mieściła się w wysokim, oszklonym, czteropiętrowym budynku. Nad jej wejściem widniał wielki błękitny, metalowy szyld z adresem internetowym *NewsForYou.com*. Erna, w asyście dwóch mężczyzn, wkroczyła do środka. Już od progu było słychać wielki harmider. Klikanie w myszki komputerowe, stukanie w klawiatury i wzajemne przekrzykiwanie się. Taka była codzienność pracy w portalu informacyjnym NFY.

- Poczekaj. - Barney przytrzymał Ernę za ramię i przyciągnął do siebie. - Masz, załóż to. - Zdjął swoją marynarkę i zwinnym ruchem zarzucił jej na ramiona.

Pimpke miał rację. Nie mogła przecież wkroczyć do redakcji w zakrwawionej koszulce. Fakt, że redakcja została stworzona jako dobra przykrywka dla tajnej organizacji, nie oznaczał, że wszystkie osoby w niej pracujące należały do zaszczytnego grona płatnych zabójców. Wręcz przeciwnie. Większość pracowników nie zdawała sobie sprawy, w czym tak naprawdę bierze udział, a raczej co nieświadomie pomaga ukryć. Erna włożyła marynarkę, zasłaniając zakrwawiony brzuch. Barney upewnił się, że wszystko w porządku, po czym cała trójka ruszyła przed siebie oświetlonym korytarzem.

Zarówno po lewej, jak i prawej stronie w licznych drzwiach otwartych na oścież można było dostrzec po kilkanaście osób

siedzących przy biurkach i z natchnieniem uderzających w klawiatury komputerów. W redakcji aż wrzało od natłoku myśli. Erna nie знаła tak naprawdę nikogo, kto pracował w tej oficjalnej części budynku. Organizacja wypuszczała co jakiś czas artykuły podpisane jej fałszywym imieniem i nazwiskiem. To zapewniało jej świetną przykrywkę. Zresztą tak samo postępowali z Barneyem czy Johnnym. Ona, Pimpke, Johnny i jeszcze dwójka osób, jako płatni zabójcy, byli przypisani do tego budynku i tylko z tego miejsca mogli przenieść się do siedziby ich organizacji. Ze wszystkich redakcyjnych pomieszczeń Erna Brown – fałszywa dziennikarka NFY – znała tylko ten oto długi jasny korytarz i windę znajdującą się tuż na jego końcu.

Barney nacisnął srebrny przycisk w ścianie. Drzwi windy rozsunęły się jak na zawołanie. Cała trójka weszła szybko do środka.

– Podajcie mi swoje identyfikatory – powiedział, przesuwając swoją plastikową plakietką po cienkiej pionowej szparze. Otwór ten znajdował się na tradycyjnym panelu z guzikami pięter do wyboru.

Po chwili w kabinie dało się słyszeć krótkie piknięcie. Drzwi windy ponownie się zamknęły. Z ukrytego gdzieś w ścianie głośnika wybrzmiał komputerowy głos:

– Jeden z trzech, jeden z trzech... – zaczął powtarzać w kółko.

Barney chwycił za identyfikator Johnny'ego i przejechał nim po płytkim otworze. Kolejny krótki sygnał dźwiękowy.

– Dwóch z trzech, dwóch z trzech...

Erna z trudem przeszukiwała kieszenie swoich spodni. Pamiętała, że na pewno go do nich wkładała.

– Długo jeszcze? – spytał zniecierpliwiony Pimpke.

– Chwila... – odpowiedziała, sięgając do tylnej kieszeni. Każdy ruch ręki wywoływał w jej ciele promieniujący silny ból. Przygryzła dolną wargę. Musiała to przetrzymać.

– Dwóch z trzech, dwóch z trzech... – powtarzał komputer. Nagle zmienił swój tekst, przybierając groźniejszy ton. – Za dziesięć sekund nastąpi dezaktywacja, za dziewięć sekund nastąpi dezaktywacja, za osiem sekund nastąpi dezaktywacja... – zaczął skrupulatnie odliczać.

Erna wiedziała, czym może skończyć się to odliczanie, jeśli w porę nie umieści swojego identyfikatora w odpowiednim miejscu. Dostaną kilka celnych strzałów ze środkami nasennymi, a następnie ich bezwładne, niczego nieświadome ciała zostaną przetransportowane windą do siedziby organizacji w celu zbadania, czy ktoś niepożądany nie próbował wkraść się do najbardziej strzeżonego miejsca w Ottawie. Nie miała czasu na taką zabawę. Gdzie włożyła ten cholerny identyfikator?

- Jest! - krzyknęła nagle, wyciągając z tylnej kieszeni plastikową małą kartę. Na identyfikatorze umieszczone było jej zdjęcie, fałszywe imię i nazwisko oraz adres siedziby redakcji i nazwa jej wymyślnego zawodu: dziennikarka.

- Za cztery sekundy nastąpi dezaktywacja, za trzy sekundy nastąpi dezaktywacja...

- Och, zamknij się wreszcie - mruknęła pod nosem, przeciągając plastikową plakietką w pionowym wgłębieniu.

- Trzy z trzech - doliczyła się wreszcie wszystkich osób sztuczna inteligencja. - Akceptacja dostępu. - W pomieszczeniu rozbrzmiał kolejny krótki odgłos piknięcia.

Nagle windą delikatnie szarpnęło. Nie zrobiło to jednak na nikim wrażenia. Cała trójka знаła jej działanie od dobrych kilku lat. Poczuli teraz, jak unoszą się delikatnie w górę. Kolejne szarpnięcie, tym razem mocniejsze. Erna, łapiąc równowagę, podparła się ręką o ścianę. Winda stanęła pomiędzy parterem a pierwszym piętrem. Po chwili ponownie ruszyła, jednak tym razem nie w dół ani nie w górę. Odbiła w lewą stronę jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby wszystkie windy na świecie czy chociażby w Ottawie przemieszczały się poziomą trasą. Trasą, o której żaden prawdziwy pracownik redakcji NFY nie mógł wiedzieć.

W środku panował przytłaczający mrok rozproszony gdzieś światłami wydobywającymi się z nowoczesnych komputerów. Przy biurkach siedzieli pracownicy centrali skupieni na swojej codziennej pracy. Erna wciągnęła nosem powietrze. Nic się nie zmieniło. Wciąż

ten sam zapach nagrzonej skóry tapicerskiej, którą obite były fotele przemęczonych pracowników. Ludzie pracujący w centrali przy komputerach mieli swoją nazwę. Bobby nazwał ich „dupogrzejcami”. Erna dobrze pamiętała tę rozmowę.

- Ten zapach zawsze będzie kojarzył mi się z tym miejscem - powiedziała pewnego dnia, gdy razem z przyjacielem przekroczyła próg centrali.

- Jaki zapach? - zdziwił się Bobby.

Erna wciągnęła nosem powietrze i po chwili odpowiedziała:

- Zapach skóry... Nie czujesz?

- Czuję, ale nie wiem, czym się tu zachwycać - stwierdził, po czym spojrzał na siedzących przy komputerach pracowników i wymamrotał z odrazą: - Dupogrzejcy...

- Co? - zdziwiła się, słysząc po raz pierwszy tę nazwę.

- Ten zapach to sprawka dupogrzejców - wyjaśnił Bob, wciąż wpatrując się w pracowników biurowych. - Siedzą sobie bezpiecznie przy swoich komputerkach i ogrzewają spasionymi dupami skórzane fotele. Mogę się założyć, że pierdzą przy tym, ile wlezie... Prawdziwa fabryka pierdów!

Erna spojrzała na niego zde gustowana.

- Więc... co mówiłaś, kochanie? - rzucił uradowany. - Wciąż podoba ci się ten zapach?

Jednak ta rozmowa nie powstrzymała Erny od wdychania tej niepowtarzalnej woni. Robiła to za każdym razem, gdy tylko przekraczała próg centrali. Była przekonana, że nie jest to uboczny produkt spoconych pośladków dupogrzejców i ich niekontrolowanych pierdów, a tylko woń dominującego w centrali materiału, którym obite były wszystkie biurowe fotele. Ten zapach był dla niej kojący. Był czymś bliskim i wdychając go teraz, ogarniało ją poczucie bezpieczeństwa. Dom... - przyszło jej na myśl i sama się zdziwiła, że mogła nazwać domem miejsce, które było tylko jej pracą.

Dziś jednak było jakby inaczej. Za każdym razem, gdy odwiedzała centralę, nikt nie zwracał na nią uwagi. Przemykała, niewidoczna dla

innych zajętych swoimi sprawami pracowników, prosto do gabinetu Bruce'a Cardona. Jednak tego dnia coś się zmieniło. Erna widziała i czuła na sobie rzucane ukradkiem spojrzenia wszystkich mijanych dupogrzejców. Niby robili swoje, niby stukali w literki wyświetlonych na blatach klawiatur, niby przesuwali palcami po monitorach, segregując poszczególne sprawy, a jednak każdy z nich znalazł czas, aby choć na kilka sekund utkwic swój wzrok w zmęczonym ciele Erny. To nie wróży nic dobrego - pomyślała, przełykając ślinę. Dziś w centrali budziła zbyt duże zainteresowanie. Może to koniec jej kariery? Może jej szef postanowił ją wywalić? Plotki szybko się roznoszą. Będzie, co będzie. Okaże się za drzwiami - stwierdziła w myślach z udawaną odwagą, podążając za chudym Barneyem Pimpkem niczym niedopasowany cień. Kilka zakrętów dalej znaleźli się u celu. Stali przed drzwiami do gabinetu, na których wyświetlało się znane wszystkim pracownikom imię i nazwisko: „Bruce Cardona”.

- Wchodzimy - zdecydował bez ostrzeżenia Pimpke, po czym zeskanował swoją dłoń. Zielone światło. Weszli do środka.

- Proszę, proszę... Erna Brown we własnej osobie - powiedział mężczyzna, mierząc ich przeszywającym władczym wzrokiem.

Bruce Cardona miał w zwyczaju zwracać się do swoich pracowników imieniem i nazwiskiem, które aktualnie posiadali. Uważał, że w ten sposób szybciej oswoją się ze swoją nową tożsamością. Zresztą ich prawdziwe personalia nie były istotne. Decydując się na pracę w jego korporacji, każdy, nawet on, wyrzekał się swojego prawdziwego „ja” na rzecz życia w wiecznym teatrze. Bądź co bądź, krwawym i bezwzględny. Tak... Jego pracownicy byli postaciami tragicznymi i w tym spektaklu przeżywały tylko najsilniejsze jednostki. Erna Brown trzymała się do pewnego czasu dobrze. Choć musiał przyznać sam przed sobą, że gdy zaproponował jej pracę, myślał, że ta drobna, niepozorna dziewczyna sobie nie poradzi... O dziwo poradziła... jednak dziś miał co do tego wątpliwości...

- Panie Cardona - odezwała się słabym głosem Erna, spuszczać głowę.

Nie od razu zauważył jej krwawiący bok. Gdy jednak kawałek zabarwionego na czerwono materiału wyłonił się spod męskiej marynarki, dotarło do niego, że musiało wydarzyć się coś bardzo złego.

- Dlaczego nie zaprowadziliście jej do skrzydła medycznego?! - krzyknął ostro w stronę Barneya Pimpkego.

Ten aż podskoczył zaskoczony tonem głosu swojego szefa.

- Ja... bo... - zaczął, jękając się niezdarnie - bo... kazał pan ją odnaleźć i niezwłocznie sprowadzić do siebie - dokończył na jednym wydechu Pimpke, wybałuszając pod koniec oczy. Po chwili zaczerpnął głęboko powietrza. Jego gałki oczne powróciły na swoje miejsce.

- Kazałem - potwierdził Cardona, świdrując Pimpkego i jego większego współtowarzysza wzrokiem. - Kazałem - ponownie wycedził przez zęby, dodając: - i kazałbym dalej, gdyby nie fakt, że Erna Brown jest poważnie ranna! - ryknął, wciąż mierząc wzrokiem trzęsącego się jak osika Barneya i wielkiego Johnny'ego, który w tej chwili przypominał rozdygotany kawał galarety.

- Nic... mi... nie jest... - odezwała się słabym głosem Erna. - To... tylko zadraśnięcie... - skłamała, chcąc załagodzić sytuację.

Cardona nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem. Wreszcie burknął:

- Zaprowadźcie ją do skrzydła medycznego. W tej chwili!

- Nie! - zaprotestowała głośno Erna, robiąc krok w stronę swojego szefa, po czym o mały włos nie straciła równowagi.

Bruce Cardona wstał zza biurka i podszedł do niej. Odchylił marynarkę i spojrzał na obficie poplamiony krwią T-shirt.

- Straciłaś dużo krwi, jesteś osłabiona. Muszą cię pozszywać - rzekł jakby spokojniejszym tonem, na co Barney Pimpke skrzywił się, wyrażając w ten sposób swoje niezadowolenie z widocznej nierówności. Po chwili Johnny zrobił to samo i między jego brwiami pojawiła się pozioma głęboka zmarszczka.

- Nie... panie Cardona... ja muszę... ja muszę najpierw panu wszystko wyjaśnić...

- I jest to ważniejsze niż twoje zdrowie? - odrzekł, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

- Tak - odpowiedziała krótko.

- Zanim mi coś opowiesz, do tego... do tego czasu możesz wykrwawić się na śmierć - odpowiedział jej Cardona.

Tym razem jego głos był szorstki i władczy.

- Wytrzymam - odpowiedziała Erna, wypuszczając powoli powietrze. - Jestem silna - dodała po chwili.

Tego jestem pewien - odpowiedział w myślach Cardona, po czym wskazał fotel stojący przed jego biurkiem.

- Pomóżcie jej - nakazał.

Mężczyźni zerwali się, jednocześnie chwytając Ernę za ramiona. Po chwili dziewczyna spoczęła na miękkim skórzanym fotelu. Cardona zasiadł po drugiej stronie biurka.

- Zaczynaj - odparł, gdy upewnił się, że pozycja, w której się znajdował, była wystarczająco wygodna. - Tylko radzę, aby twoja opowieść była krótka. Nie mam dla ciebie zbyt wiele czasu - dodał oschle, choć w jego myślach to nie czas był powodem, dla którego nie mógł poświęcić jej wiele uwagi. Tak naprawdę bał się, że dziewczyna może się wykrwawić. Była taka ambitna... Nie mógł jej stracić.

Barney puścił do Johnny'ego porozumiewawczy głupi uśmiezek, ciesząc się, że szef zaczął zwracać się do dziewczyny równie władczo i obojętnie, jak do reszty pracowników. Każda taka chwila choć trochę oddalała od niego przekonanie, że Erna Brown była, jest i będzie pupilkiem Cardony. Zresztą nie tylko on tak uważał. Wiele osób w korporacji sądziło, że jest ona zbyt często traktowana lepiej niż reszta. Jednak takie sytuacje jak dziś... Takie sytuacje przeczyły jego domysłom. Johnny odwzajemnił uśmiech, a gdy Erna zaczęła mówić, razem z Pimpkem utkwili wzrok w jej przygarbionych ze zmęczenia plecach. Bruce Cardona słuchał w skupieniu.

Gdy skończyła mówić, była pewna, że szef uzna to za jej chore wymysły. Głupią wymówkę pracownika, który ostatkami sił próbuje utrzymać posadę w korporacji. Nie miała jednak nic do stracenia. Jedno było pewne. Musiała chronić miejsce, w którym pracowała. Musiała chronić siebie, a przy okazji (nawet, jeśli miała to głęboko gdzieś) Barneya Pimpkego. Jeśliby go znaleźli... Ten durny pajac mógłby wiele zdradzić, aby przeżyć, a wtedy... wtedy byłaby skończona. W gabinecie panowała przytłaczająca cisza. Erna zerknęła nieśmiało na swojego szefa. Cardona spoglądał gdzieś nad nią. Usta miał lekko rozwarte i wyglądał w tej chwili jak manekin. Jak sklepowy niby-człowiek, z którego twarzy nie można było odczytać żadnych emocji. Bruce Cardona tkwił w tym stanie jeszcze dłuższą chwilę. W końcu odchrząknął i powiedział:

- Ty i Barney zostaniecie natychmiast oddelegowani do innej centrali. Dostaniecie oczywiście nowe tożsamości. Johnny zajmie się samochodem. - Wciąż na nią nie patrzył, a jego głos był jakby inny. Słaby.

- Sprawdźcie to miejsce? - spytała Erna, czekając, aż Cardona na nią spojrzy. Nie trwało to długo. Gdy jej szef utkwiał w niej wzrok, jego twarz wydawała się o pięćdziesiąt lat starsza. Erna wzdrygnęła się.

- Za chwilę wyśle tam grupę eliminatorów. Może komuś udało się przeżyć... - Cardona zawiesił głos, znów spoglądając gdzieś w otchłań swojego gabinetu.

- Czy Bobby zostanie oddelegowany do tej samej centrali? - spytała i zaraz pożałowała tego pytania. Było tak głupie, tak dziecinne... Nie mogła jednak znieść myśli, że jej przyjaciela mogłoby zabraknąć przy niej. Zresztą... kto leczyłby jej biedną chorowitą Suzi?

Cardona ponownie na nią spojrzał i znów wyglądał jak starszy pan, który właśnie pobił rekord długości życia na tej planecie. Za swoimi plecami usłyszała jęknięcie Johnny'ego. Barney odchrząknął i powiedział:

- Szefie... Ona jeszcze nie wie... - wydukał, bojąc się jego reakcji.

Cardona wstał gwałtownie zza biurka. Pimpke cofnął się instynktownie. Usta Cardony wykrzywiły się groźnie.

- Ty durniu... - wycedził Bruce w jego stronę. - Nie dość, że nie zaprowadziłeś jej najpierw do skrzydła medycznego, to jeszcze nie powiedziałeś jej, że Bobby NIE ŻYJE?! - Ostatnie słowa wręcz wykrzyczał, plując drobinkami śliny na mahoniowy blat biurka.

- Nie... nie żyje? - powtórzyła cicho Erna, czując bolesne ukłucie w żołądku. Chwilę później świat przed jej oczami zawirował. Odplynęła.

Gdy człowiek budzi się po utracie przytomności, czuje się jak dzikie zwierzę uwięzione w klatce. Na szczęście jest to tylko chwilowe odczucie, które przechodzi zaraz po tym, gdy dzięki zmysłom wzroku i słuchu może ustalić, gdzie się znajduje. Erna Brown poczuła nagły przypływ świadomości. Silne uderzenie gdzieś w głowie, które mimowolnie szarpnęło jej ciałem do góry.

- Au... - jęknęła, opadając z powrotem na twarde łóżko. Jej prawy bok postanowił o sobie boleśnie przypomnieć.

- Spokojnie - usłyszała obok znajomy głos. Bruce Cardona chwycił ją za rękę. - Straciłaś przytomność.

Erna z wysiłkiem otworzyła oczy. Sale medyczne miały to do siebie, że w przeciwieństwie do wszechobecnej czerni panującej w centrali tu dominowała ostra biel, od której teraz zebrało jej się na mdłości.

- Ile... ile tu leżałam? - spytała, próbując odgonić mroczki przed oczami, pocierając je co chwila ciepłą dłonią. Druga ręka wciąż była unieruchomiona pod naciskiem wielkiej dłoni Bruca Cardony.

- Straciłaś przytomność wczoraj o godzinie szesnastej trzydzieści pięć - odpowiedział jak zawsze precyzyjny, Cardona. Po chwili spojrzął na swój zegarek, uwalniając tym samym rękę Erny. - Teraz mamy kolejny dzień i godzinę jedenastą jedenaście. Zszyliśmy twój rozerwany bok. Straciłaś dużo krwi. Powinnaś wypoczywać.

- Nie - zaprotestowała Erna, siadając gwałtownie na łóżku. Skrzywiła się, czując nieprzyjemne rwanie w zoperowanym brzuchu.

Spojrzała na lewą dłoń, do której wpięta była kroplówka. Zdecydowanym jednym szarpnięciem wyrwała igłę spod skóry. Nienawidziła kroplówek.

- Nie... nie powinnaś... - chciał zaprotestować Cardona, jednak Erna nie zamierzała go słuchać.

- Panie Cardona. Jedyne, czego nie powinnam teraz robić, to wylegiwać się w łóżku, kiedy... - spuściła na chwilę wzrok i przełknęła z trudem ślinę - ...kiedy mój przyjaciel nie żyje. Poza tym mam do pana kilka pytań, które nie mogą czekać. - Spojrzała wprost na swojego szefa, licząc na to, że nie będzie protestował.

- Pytaj - odrzekł Bruce, po czym głęboko westchnął.

- Czy wysłał pan eliminatorów do hotelu Hommanger? - zadała pierwsze pytanie. Bruce milczał, nie spiesząc się z odpowiedzią. - Panie Cardona? - ponagliła go Erna. Zauważyła, jak jego twarz tężeje.

- Tak, eliminatorzy pojawili się we wskazanym przez ciebie miejscu - odpowiedział w końcu.

- I? - Chciała wiedzieć.

- Nikogo tam nie zastali - dokończył wreszcie Cardona, patrząc jej prosto w oczy.

- Ale... to niemożliwe! - zaprotestowała Erna, kręcąc na boki głową. - Niemożliwe! - powtórzyła głośniejszym głosem.

- Żadnych ciał, żadnych żywych ludzi, żadnych dzieł sztuki, żadnego hotelu Hommanger - wymienił Cardona, wciąż nie spuszczać wzroku z dziewczyny. - Jedyne stary, opuszczony budynek, w którym nie znaleźliśmy kawałka mebla świadczącego o tym, że ktoś się w nim do niedawna znajdował.

- Ale... - jęknęła Erna, czując narastającą w niej bezsilność i rozpacz.

- ...i pewnie uznałbym twoją historię za największą głupotę, jaką kiedykolwiek słyszałem, jednak... - Bruce Cardona zamilkł, a Erna wstrzymała powietrze.

Trwało to jeszcze krótką chwilę, gdy nagle jej szef chwycił ją delikatnie, choć zdecydowanie za ramiona. Pochylił się nad nią tak, że

ich twarze niemal się stykały. W jego oczach było coś, czego Erna nigdy nie widziała. Na pewno nie należały one teraz do bezwzględnego szefa korporacji, któremu zazwyczaj obojętne były losy pracowników. Miała wrażenie, że Bruce Cardona patrzy na nią z troską... a może tylko jej się tak wydawało.

- To drzewo, o którym wspominałaś. To, które wbiło się do budynku... Znaleźliśmy je pocięte na kawałki i okno zabite szczelnie deskami. Chyba ten mały szczegół z twojej opowieści, Erno Brown, uratował twój honor i twoją pozycję w korporacji.

- Wierzy mi pan? - wydusiła z siebie Erna. Chciała, żeby Cardona jej uwierzył, że to wszystko... to wszystko stało się naprawdę... A co, jeśli weźmie ją za dziwadło?

Nagle łzy zaczęły napływać jej do oczu. Nie... nie mogły wypłynąć na jej twarz. Cardona nie może zobaczyć, że jest słaba. Słabe dziwadło! - rozbrzmiał w jej głowie obcy głos.

- Wierzy mi pan, panie Cardona? - spytała raz jeszcze łamiącym się głosem.

- Wierzę - odpowiedział krótko szef, po czym odchylił się do tyłu, puszczając jej ramiona.

Uniósł się z krzesła dla gości i stanął odwrócony do niej plecami. Erna nie odrywała od niego wzroku. Korzystając z okazji, szybko otarła napełnione łzami oczy i czekała. Czekwała, aż jej szef się odezwie. Nie trwało to długo.

- Erno Brown. - Odwrócił się do niej. Był wysokim, barczystym mężczyzną, do którego wszyscy w korporacji czuli respekt. - Ty i Barney nie jesteście tu bezpieczni. To, z czym miałaś do czynienia, może w każdej chwili zaatakować. Oczywiście rozpoczną akcję poszukiwawczą członków tego... jak ich tam...

- Stowarzyszenia Wesaliuszy - podpowiedziała Erna.

- Tak, Stowarzyszenia Wesaliuszy... - kontynuował Cardona. - Stowarzyszenia, z którym się starłaś. Naturalnie ty i Barney otrzymacie jeszcze dziś nowe tożsamości. Koperty z dokumentami, nową historią oraz biletami będą czekać, jak zawsze, w waszych

domach. Jutro wieczorem raz na zawsze pożegnasz się z Erną Brown, teraz jednak, jako Ernie, radziłbym ci odpocząć. Czekają cię nowe życie i nowa misja, a to, jak wiesz, wymaga wiele siły oraz zaangażowania. Musisz być wypoczęta.

- Jak zginął Bobby? - spytała nagle. Chciała wiedzieć. Musiała wiedzieć, choć odpowiedź pewnie ją zabolę.

Cardona zmarszczył brwi, a na jego czole pojawiła się złowroga pionowa zmarszczka.

- To teraz nie jest istotne - odpowiedział oschle, po czym obrócił się i ruszył w kierunku wyjścia.

- Panie Cardona! - zawołała rozpaczliwie Erna. - Ja muszę to wiedzieć!

Mężczyzna zastygł, trzymając dłoń na klamce drzwi wyjściowych. Erna dostrzegła, jak jego potężne plecy wznoszą się co chwila i opadają. Jej szef oddychał ciężko, co mogło wskazywać na to, że albo jest nią zmęczony, albo zaczęła go denerwować. W końcu Cardona nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Gdy już straciła nadzieję na odpowiedź, odezwał się, wychodząc z sali:

- Powiesił się. Nic przyjemnego - burknął, zostawiając Ernę i swoją odpowiedź, odbijającą się od białych ścian sali, sam na sam.

Erna Brown poczuła się, jakby straciła coś cennego. Jakby ktoś wyrwał jej kawałek serca. Niby oklepane, ale tak chyba czują się wszyscy ludzie, gdy tracą kogoś ważnego. Wtedy właśnie traci się grunt pod nogami, choć nie dosłownie. To uczucie, jakby spadało się w przepaść bez dna. To dlatego... - pomyślała Erna, gdy wielka łza spłynęła po jej policzku - ...to dlatego ciebie widziałam - dokończyła swoją myśl. To dlatego dziwadło widziało Bobby'ego w lesie. Bo dziwadło widzi duchy.... Dziwadła tak mają! HA, HA, HA! - złowrogi piskliwy głos, ponownie rozbrzmiał w jej ciężkiej od natłoku myśli głowie.

- Gdybym nie była dziwadłem, nie wy dostałabym się z tego pieprzonego hotelu... - wyszeptała na głos Erna. - Fajnie jest być dziwadłem - stwierdziła, pociągając z żalostí nosem. Złowrogi głos

w jej głowie ucichł. Erna poczuła nagły przypływ energii. Nie zamierzała tu leżeć. Musiała odebrać swoją Suzi. Tylko ona jej pozostała.

Wstała ostrożnie z łóżka, po czym otworzyła szafkę stojącą pod umywalką. Wyciągnęła z plecaka rzeczy i ubrała się najszybciej, jak tylko mogła. Na szczęście ktoś wymienił jej zabrudzony T-shirt na nowy. Wprawdzie niezbyt gustowny – kolor zgniłej zieleni z żółtymi gwiazdkami nieszczególnie pokrywał się z jej poczuciem mody – ale przynajmniej był pozbawiony krwistych plam. Czy rzucał się w oczy mniej od tego wcześniejszego? Erna włożyła T-shirt i spojrzała w lustro.

- Chyba bez różnicy... - bąknęła, krzywiąc się na swoje gwiazdorskie odbicie.

Wyglądała strasznie. Podkrążone oczy, resztki makijażu szpecące jej twarz i potargane włosy, które próbowała ujarzmić ręką. Wreszcie, po kilku minutach, kiedy stwierdziła, że już lepiej wyglądać nie będzie, ruszyła w stronę wyjścia. Kierunek – dom Bobby'ego. Na tę myśl ponownie poczuła potężny ból rozsadzający jej wnętrze. Przystanęła, łapiąc się za brzuch. Tak bardzo tęskniła... tak bardzo... Żegnaj, Bobby – uniosła wzrok, jak gdyby w ten sposób chciała pożegnać się z przyjacielem, i w końcu odeszła, zostawiając salę medyczną skąpaną w blasku białych ścian.

Erna wyszła z centrali dość niepostrzeżenie. Dość, bo kilku dupogrzejców zwróciło na nią uwagę, gdy przed samym wyjściem przystanęła na chwilę, aby wciągnąć ostatni raz tę niepowtarzalną i ściśle związaną z tym miejscem woń skóry tapicerskiej. Ciekawe, czym będzie pachniała kolejna centrala...

Na szczęście szybko udało jej się złapać taksówkę. Myśl, że miałyby udać się na Heron Road pieszo lub korzystając z komunikacji miejskiej, przyprawiała ją o mdłości. Prawda była taka, że wciąż nie czuła się najlepiej, a środki przeciwbólowe przestawały działać. Po kilku minutach jazdy taksówka zatrzymała się przed małym parterowym domem z werandą. Erna wygrzebała z granatowego

plecaka należność, po czym podała ją ciemnoskóremu młodemu kierowcy.

- Miłego dnia! - powiedział taksówkarz, szczerząc w jej kierunku białe równe zęby. Erna odpowiedziała wymuszonym uśmiechem.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku kremowej, obitej deskami werandy. Obok niej przy garażu stała ONA. Jej najukochańsza i jedyna w swoim rodzaju Suzi. Erna przyspieszyła, by po chwili zwolnić. Syknęła z bólu, czując, że jeszcze nie czas na tego typu marsze. Gdy wreszcie podeszła do samochodu, poczuła, jak jej serce łomocze.

- Witaj, kochanie... - szepnęła i w jednej chwili zalała się łzami. Zaczęła czule gładzić błyszczącą karoserię małego starego samochodu. Bobby ją uzdrowił. Była tego pewna, ponieważ Suzi lśniła czystością. Jej przyjaciel zawsze po naprawieniu Suzi pucował ją na błysk. Taki mały gratis od kochanego Bobby'ego. Erna delikatnie chwyciła za klamkę u drzwi po stronie kierowcy. Te ani drgnęły. Bobby nigdy nie zapominał ich zamknąć. Pilnował Suzi jak swojego dziecka, którego wprawdzie nie posiadał, ale gdyby je miał, byłoby jego oczkiem w głowie. Tego była pewna. Potrzebne były jej klucze. Klucze, które znajdowały się w jego domu. Erna nie miała ochoty tam iść. Nie teraz, kiedy dopiero zaczęło do niej docierać, że nigdy więcej z Bobby'm nie pójdą na piwo, że nigdy więcej Bobby jej nie rozśmieszy, jak to miał w swoim zwyczaju. Jednak... nie miała innego wyjścia. Na szczęście dobrze wiedziała, gdzie Bobby zostawił klucze. Miał w swoim domu sekretne miejsce, w którym trzymał najcenniejsze rzeczy. Między innymi wszystkie części *Obcego* na DVD z jego ukochaną Sigourney Weaver, broń, z której zabił pierwsze roztocze, i stare zdjęcie, na którym ponoć znajdował się jego ojciec. Erna nigdy nie przypatrywała się tej wyblakłej, czarno-białej fotografii. Była to przecież przeszłość, do której jej zdaniem Bobby przywiązywał zbyt dużo uwagi. W tym sekretnym, osobistym miejscu Bob chował także kluczyki do jej Suzi. Robił tak zawsze, gdy nie mogli się spotkać. Erna była pewna, że teraz też się tam znajdują.

Drzwi do domu Bobby'ego były zamknięte. Nie było to jednak dla niej żadną przeszkodą. Podeszła do werandy i chwyciła jedną z desek przy frontowym oknie. Ta, pod naciskiem jej palców, odskoczyła delikatnie. Pod nią znajdował się mały haczyk, na którym zwiisał srebrny klucz do drzwi wejściowych. Ozdobiony był breloczkiem w postaci gumowego cycka. Wzięła go do ręki (klucz - nie cycek) i nie odstawiając deski z powrotem - teraz ukrywanie tego miejsca nie miało już sensu... - podeszła do drzwi.

- No to wchodzimy - powiedziała sama do siebie.

W domu Bobby'ego panował mrok. Wszystkie rolety były opuszczone, co utrudniało promieniom słonecznym dotarcie do wnętrza pomieszczeń. W powietrzu unosił się, jak zawsze, zapach samochodowego smaru i paliwa. Gdyby zamknąć oczy, można by pomyśleć, że to stacja benzynowa. Erna zapaliła światło. Niewielki kawalerski salon otuliła żółta poświata. W środku panował bałagan. Wyglądało, jakby przez pokój przeszło tornado. Erna poruszała głową na boki, próbując ogarnąć cały ten sajgon. Ktoś włamał się do domu Bobby'ego i czegoś szukał. Ale czego?! Spojrzała na nowoczesny płaski telewizor, wciąż wiszący na ścianie, na MP4 z nadgryzionym owocem rzucone teraz niedbale na sam środek salonu... To nie mogli być złodzieje. Zresztą... odwróciła się, spoglądając na drzwi wyjściowe. Ościeżnica, zamek... wszystko było nietknięte. Szybko obeszła cały parter, sprawdzając dokładnie każde okno. Wtedy też odkryła, że tornado nawiedziło również inne pomieszczenia. Jednak wszystkie okna były szczelnie zamknięte i nienaruszone.

- Co do diabła... - szepnęła pod nosem, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Stała pośrodku salonu i poczuła, że zaczyna ją ogarniać strach. Spojrzała na leżącą na ziemi minilodówkę, która odłączona od prądu wyglądała jak trup, na dodatek ciepły. Duma Bobby'ego, w której zawsze trzymał ulubione piwo. Bez chwili namysłu podeszła i wyjęła z niej niebieską puszkę.

- Dirty Gerald - odczytała na głos, po czym otworzyła ją i wpiła kilka sporych łyków. - Twoje zdrowie, przyjacielu - powiedziała,

odkładając piwo.

Kilka łyków jasnego trunku spowodowało, że znalazła chyba jedyne sensowne wytłumaczenie tego bajzlu, który zastała. Zapewne to ktoś z centrali dostał zadanie oczyszczenia domu Bobby'ego ze wszystkich niewygodnych rzeczy. Dokumenty, broń... Ale żeby zostawić po sobie taki bałagan? Dziwne...

Nagle odwróciła się i spojrzała na obraz, wiszący tuż nad miejscem, w którym zawsze stała, czarna, skórzana kanapa, a gdzie teraz wały się książki, ubrania i kilka potłuczonych kufla do piwa. Czy to możliwe, że ludzie z centrali odkryli sekretne miejsce? - pomyślała przerażona, czując ścisk w żołądku. Jeśli tak... jeśli je odkryli, będzie musiała pofatygować się po klucze od Suzi do samego Cardony, a on... chyba miał już jej na dzisiaj serdecznie dość. Powoli, pełna nadziei, podeszła do wiszącego na ścianie małego obrazu. Nie było to żadne dzieło sztuki. Zwykła reprodukcja *Krzyku* Alberta Muncha, który Erna podarowała kiedyś przyjacielowi na urodziny. Dokleiła na nim, tuż za krzyczącą postacią, papierowego, wyciętego z jakiegoś programu telewizyjnego, disnejowskiego jelonka Bambi. W ten sposób obraz zyskał na wartości - nie materialnej, ale emocjonalnej - i był, według tego, co mówił Bobby, „najlepszym prezentem w całym kosmosie!”.

Nagle głowę Erny nawiedziły obrazy z hotelu Hommanger. Wrogie, ociekające brudną tajemnicą... Z czułością spojrzała raz jeszcze na „Bambiokrzyk”. Ten obraz był o wiele lepszy. Kto by się spodziewał, że Bob postanowi za nim ukryć swój mały... - chwyciła za ramę i zdjęła obraz z małego gwoźdźca - ...sekretny sejf. Erna stanęła przed niezbyt dużymi drzwiczkami w ścianie, na których znajdowała się elektroniczna klawiatura. Nie musiała znać kodu. Wystarczyło przyłożyć kciuk do czarnego, pokrytego czerwonymi poziomymi kreskami, miejsca. Umieściła palec na drzwiczkach. Kilka sekund później usłyszała pyknięcie i zawartość sejfu stanęła przed nią otworem. Uchylając wieko, była pewna, że nikomu nie udało się znaleźć tej skrytki. Nie myliła się. W środku małej pancерnej dziury

panowała ciemność, która po chwili została rozproszona małymi diodami.

- Są! - krzyknęła na głos Erna, widząc znajomy pęk kluczy.

Bez zbędnej zwłoki wyciągnęła swoje kluczyki i schowała do kieszeni spodni. Przez przypadek zaczepiła o coś, co bezdźwięcznie spadło na podłogę. Zdziwiona popatrzyła w dół. Obok jej butów leżała czarna koperta. Erna zmarszczyła brwi, przyglądając się dziwnemu kawałkowi papieru, po czym po chwili wahania schyliła się i go podniosła. Na odwrocie koperty widniał biały, ręcznie napisany tekst:

Szanowny Pan Samuel Jr. Cavalcanti

- Co do licha... - wyszeptała, wpatrując się z niedowierzaniem w czarną kopertę. Nagle zrobiło się za gorąco, za duszno. Jej serce biło coraz szybciej i szybciej. Drżącymi rękoma otworzyła kopertę i wyjęła z niej białą, zapisaną kartkę. Szybko omiotła tekst wzrokiem:

Zaproszenie

Szanowny Panie Samuele Jr. Cavalcanti.

Pragnę Pana zaprosić na coroczną Świętą Ucztę.

Wydarzenie odbędzie się 20 października w hotelu Hommanger.

Erna raz jeszcze przeczytała ostatnią linijkę tekstu, tym razem na głos:

- Wydarzenie odbędzie się dwudziestego października w hotelu Hommanger... Hommanger...

Zdawało jej się, że łomotanie jej serca słychać było teraz w całym salonie. Po jej czole spłynęła strużka potu. Skierowała wzrok na podpis znajdujący się na końcu wiadomości.

Z poważaniem

A. Patino

Kartka z kopertą wypadły z jej rozedrganych dłoni. Oddychała coraz szybciej, nie mogąc opanować swojego pulsu. Nie czuła się

bezpiecznie. Wiedziała jedno. Musiała stąd jak najszybciej wyjść. Raz jeszcze spojrzała w czeluść sejfu. Dostrzegła w nim czarno-białe zdjęcie i telefon, którego nigdy wcześniej tu nie widziała. To pierwsze musiała wziąć ze sobą. Chciała mieć coś, co należało do Bobby'ego i co jej przyjacielowi było bliskie. Oczywiście zastanawiała się też nad minilodówką, jednak na ten sprzęt nie miała miejsca. Wybór był oczywisty. Postanowiła zabrać ze sobą coś jeszcze. Włożyła rękę w głąb sejfu i wyjęła z niego nieznaną jej wcześniej telefon komórkowy (nigdy nie widziała, żeby Bob z niego korzystał). Upchała zdobycze do kieszeni spodni, po czym rzuciła się w pośpiechu w stronę wyjścia. Im bliżej drzwi była, tym bardziej zaczynała wątpić w to, że sprawcami bałaganu w domu jej przyjaciela byli ludzie z centrali. Co wspólnego miał Bobby z Adolfo Patino?! Dlaczego miał kopertę zaadresowaną do jakiegoś Samuela Juniora Cavalcantiego? Kurwa, Bobby! - zaklęła w myślach, wychodząc z domu. W co ty się wpakowałeś?!

Upewniając się, że nikt jej nie obserwuje, wsiadła do swojej Suzi i odpaliła. Samochód zacharczał doniośle jak stary palacz, po czym posłusznie wyjechał na drogę. Kilka zakrętów dalej Erna wjechała wierną Suzi na zatłoczony parking przy jednym z supermarketów. Takie miejsce było dla niej bezpieczne. Nikt nie ośmielił się zrobić czegoś głupiego na placu, gdzie roi się od ludzi i monitoringu. Zgasiła silnik i oparła napięte plecy o miękkie fotele. Brzuch bolał ją coraz bardziej. Środki przeciwbólowe oficjalnie odeszły w zapomnienie i gdyby nie adrenalina, którą właśnie czuła... Kto wie... może padłaby tu i teraz w samochodzie. Była jednak czujna, nie na żarty przestraszona i co najgorsze - totalnie zdezorientowana. O co w tym wszystkim chodziło?! - wciąż zadawała sobie to pytanie. Otarła pokrytą drobkami potu twarz i uspokoiła oddech. Miała w kieszeni kilka rzeczy, które musiała sprawdzić. Najpierw wyjęła czarną kopertę.

- Samuel Junior Cavalcanti... - odczytała powoli biały tekst, nie dowierzając temu, na co właśnie patrzy. Biała kartka wciąż wyglądała

tak samo. Myślała, że może wcześniej miała przewidzenia, że Dirty Gerald sponiewierał na chwilę jej umysł. Jednak prawda była taka, że patrzyła na zaproszenie, które było zaadresowane do syna Samuela Cavalcantiego. Do syna samego profesora historii medycyny... do spadkobiercy hotelu Hommanger... do... - Wesaliusza... - wypowiedziała z trudem, przełykając gulę zalegającą gdzieś w przełyku. Bobby... Co miał z tym wspólnego Bobby?!

Nagle podskoczyła, gdy ktoś niespodziewanie zaparkował swój samochód obok niej. Erna, upewniwszy się, że to tylko otyła, niegroźna i znudzona swoim życiem kobieta, powróciła do swoich myśli.

- Bobby i Cavalcanti... Bobby i Samuel... Bobby i... - zamarła na chwilę. To zdjęcie... Instynktownie wyciągnęła z kieszeni czarno-białą fotografię i utkwiała w niej wzrok. Po jej ciele przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Na zdjęciu był młody mężczyzna trzymający na rękach małe, może kilkumiesięczne dziecko, i choć Samuela Cavalcantiego miała okazję poznać jako dojrzałego mężczyznę, to nie mogła się mylić. Podobieństwo było zbyt duże. Ten nos... te oczy... ten uśmiech... kręcone, gęste czarne włosy...

- To twój ojciec... - szepnęła najpierw cicho, by zaraz wykrzyknąć: - To twój ojciec! Samuel Cavalcanti był twoim ojcem! - W pośpiechu spojrzała raz jeszcze na czarną kopertę. A więc Bobby to tak naprawdę... Samuel Junior Cavalcanti...

Jej ramiona opadły. Erna wpatrywała się w ciszy przed siebie, dobita ostatnimi informacjami. Bobby należał do rodu Wesaliuszy. Bobby był zły... - podstępny, piskliwy głos zaatakował jej myśli.

Teraz rozumiem... Erna wciąż wpatrywała się przed siebie. Próbowwała ułożyć wszystko w jedną całość. Nie chciałeś ze mną jechać, bo dostałeś zaproszenie na Świętą Uczę... Dlaczego jednak się tam nie pojawiłeś? Dlaczego, Bobby? A może powinnam zapytać Samuela Juniora? Dlaczego mnie okłamywałeś?! - krzyknęła w myślach, czując, jak wzbiera w niej złość.

Erna wyszła z samochodu. Z całej siły trzasnęła drzwiami. Wzięła zamach i kopnęła nogą w błyszczącą karoserię jej ukochanej Suzi. Jeden raz, drugi... nie przestawała. Obok niej przeszedł starszy pan. Spojrzał na nią przerażony.

- Co się, kurwa, patrzysz?! - ryknęła ile sił w płucach, obrzucając go stalowym spojrzeniem.

Staruszek popędził przed siebie, nie mając zamiaru wdawać się z nią w dyskusję. Erna zaczęła płakać. Każdy cios w Suzi sprawiał jej ogromny ból. Czowała go w brzuchu, w żołądku, w sercu i w stopie. W końcu, zdyszana i zalana łzami, usiadła na ziemi i oparła plecy o wgniecione drzwi jej ukochanego samochodu. Pociągała żałośnie nosem, nie mogąc uwierzyć, że Bobby mógłby należeć do tego Stowarzyszenia. Do Wesaliuszy, którzy próbowali ją zamordować...

- Dlaczego się tam nie pojawiłeś?! - krzyknęła, a jej głos odbił się echem po całym parkingu. - Patino mówił, że ktoś się nie zjawił - mówiła na głos sama do siebie. - No tak... - Erna zaczęła sobie przypominać. - Mówił... wspominał, że... O mój boże! - zerwała się z ziemi i rozejrzała dookoła. Nikogo podejrzanego nie spostrzegła, więc ponownie wsiadła do samochodu. Zamknęła drzwi, tym razem delikatnie.

Patino nazywał takich ludzi Marnotrawnymi... Bobby był... tegorocznym Marnotrawnym! Wesaliusze takich ludzi zabijali! Kurwa mać!

Erna chwyciła mocno za kierownicę. Jej skroń pulsowała. Żyłki na ręce były bardziej widoczne. Złość mieszała się z przerażeniem.

- To oni cię zabili! - krzyknęła. - Ty wcale nie chciałeś tam być! - poczuła, jak mimowolnie oczyszcza przyjaciela z najstraszniejszych zarzutów. Bobby to Bobby. Nigdy by jej nie skrzywdził. W końcu to on pomógł jej uciec z tego przekłętą miejsca!

- Ale dlaczego ja, Bob?! - spytała z wyrzutem, patrząc gdzieś w górę. - Dlaczego mnie w to wciągnąłeś?! Miałam swoją misję...

Do Erny zaczęło docierać, że Bobby połączył się z nią, bo była jedynym dziwolągiem, jakiego znał. Tylko ona mogła go pomścić...

Tylko że...

- Nie udało mi się, Bobby... - wyszeptała, pociągając z żalnością nosem. Po jej policzku popłynęły łzy. - Nie zlikwidowałam ich wszystkich. Niektóre roztocza zostały przy życiu...

Nagle Erna przypomniała sobie o telefonie, który wyciągnęła z sejfu. Wyjęła go z kieszeni. Obracała nim chwilę w dłoni, dokładnie mu się przyglądając. Był to bardzo stary model telefonu komórkowego. Zwykła klawiatura i mały, niedotykowy ekran. Dziwne... Erna przytrzymała zielony przycisk słuchawki. Ekran telefonu się rozświetlił. Krótka melodyjka, informacja o modelu i... jest. W telefonie była jakaś karta SIM. Nagle w Suzi rozbrzmiał szalony dźwięk w stylu kościelnego dzwonu. Erna drgnęła zaskoczona, spoglądając niepewnie na ekranik.

Masz jedną nową wiadomość.

Odczytała wyświetloną informację tuż pod małą grafiką koperty. Bez chwili wahania otworzyła ją. *Wiadomość otrzymana od: xyz* - Erna przed odczytaniem wiadomości sprawdziła listę kontaktów. Ku jej zaskoczeniu kontakt o nazwie „xyz” był jedynym figurującym na liście. Wróciła do skrzynki odbiorczej, gdzie ukazały się jej same wiadomości od „xyz”. Zaczęła od najstarszej. Przeleciała wzrokiem po krótkiej treści:

Skąd masz mój numer?

Erna, przypomniawszy sobie, że obsługuje zabytek techniki, cofnęła się do „wiadomości wysłane”. Tam również wszystkie powiązane były tylko z kontaktem „xyz”. W najwcześniejsza wiadomości napisano:

Musimy się spotkać. SJC

Przeczytała kolejny SMS wysłany przez Bobby'ego:

Nieistotne. Ustalę miejsce i czas.

Erna przeszła do wiadomości odebranych, gdzie z łatwością znalazła odpowiedź:

Kiedy i gdzie?

Wiadomość była dostarczona dziewiętnastego października. Bob nie zdążył już wysłać wiadomości zwrotnej. Do kogo pisał? Czy miało to związek z Wesaliuszami? Wpatrywała się bezmyślnie w świecący ekranik, jak gdyby chciała znaleźć w nim odpowiedź. Postanowiła raz jeszcze przeszukać całą pamięć i sprawdzić funkcje telefonu, licząc na to, że może znajdzie gdzieś jakąkolwiek podpowiedź. Jednak nic więcej prócz kontaktu „xyz” i wymienionych z nim wiadomości nie odnalazła. Siedziała, spoglądając bezmyślnie na otyłą kobietę wracającą do swojego samochodu z zakupów, gdy nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Ryzykowny i głupi, ale... może się uda? Może „xyz” to Kruger lub ktoś inny związany ze Stowarzyszeniem Wesaliuszy? Może w ten sposób centrala będzie miała szansę ich dopaść?! Może to jedyna szansa na to, żeby pomścić Bobby'ego?! Zrobię to! - zdecydowała w myślach i niewiele się zastanawiając, wysłała wiadomość do „xyz”.

Ottawa, Parc de la Confédération, przy fontannie, jutro w południe

Dopiero gdy wysłała wiadomość, zdała sobie sprawę, że to bez sensu. Przecież każdy wysoko postawiony Wesaliusz zapewne wiedział, że Bobby nie żyje, że został Marnotrawnym. Postąpiła głupio. Jak zwykle najpierw robi, później myśli... Cała ona!

- Cała ja! - warknęła pogardliwie, klepiąc się kilkukrotnie dłonią po czole. Chwyciła za kluczyki i gdy miała ruszać, komórka

przemówiła dźwiękiem znanego już jej dzwonu kościelnego. Erna spojrzała zdziwiona na siedzenie pasażera, gdzie rzuciła telefoniczny zabytek. Ekranik pulsował niebieskim światłem, informując o nadejściu nowej wiadomości. A jednak ktoś odpisał... – pomyślała zdziwiona, chwytając szybko za komórkę.

Będę.

- Ja też - odpowiedziała na głos Erna, nie siląc się na wysłanie odpowiedzi zwrotnej. Otworzyła stary telefon i wyjęła z niego kartę SIM, którą schowała do kieszeni. Korbką na drzwiach uchyliła boczne okno, przez które wyrzuciła niepotrzebną komórkę. Mogła mieć podsłuch, mogła okazać się zbyt niebezpieczna. W razie czego miała kartę. To wystarczy - stwierdziła, przekręcając kluczyk w stacyjce. Suzi nie od razu załapała. Jakby obrażona za dotkliwe pobicie, uparcie odmawiała współpracy. Gdy w końcu się udało, Erna była pewna, że Suzi jej wybaczyła. Czas wracać do „jeszcze domu”. Czas poznać nową tożsamość.

Gdy weszła do mieszkania, zauważyła spoczywające na stoliku kawowym w salonie znajome opasłe koperty. Nie... nie były czarne. Przełknęła ślinę. Były zwykłe, białe i wiedziała, co się w nich znajduje. Nowa tożsamość i bilety lotnicze. Niedługo dowie się, kim tym razem będzie i gdzie zamieszka. Jednak to musiało poczekać. Jedno było pewne. Tym razem będzie musiała obejść się bez Bobby'ego. Żegnaj przyjacielu. Będziemy za tobą tęsknić.

Erna otworzyła lodówkę, z której wyjęła to, co w niej znalazła - słoik masła orzechowego i dżem truskawkowy. Odpakowała długoterminowy chleb tostowy i zrobiła sobie dwie podwójne kanapki, z których brzegów ściekało obficie masło orzechowe. Nawet się nie spostrzegła, gdy po kanapkach zostały tylko okruszki. Nie miała siły na nic. Jedyne, o czym marzyła, to pójść spać. Zrzuciła z obolałych stóp trampki i w ubraniu legła na kanapę. Myślała, że zasypianie pójdzie jej łatwo. Myliła się. Zaczęła rozmyślać, przypominać sobie

chwile spędzone z Bobbym. Tego właśnie obawiała się najbardziej. Na dworze było mrocznie i jedyne, czego by teraz nie chciała, to myśleć o zmarłym przyjacielu.

Odetchnęła głęboko, leżąc na plecach. W tej pozycji najmniej odczuwała ból pochodzący ze zoperowanego boku. Bobby się powiesił... - przypomniała sobie bolesne słowa Cardony. Zmarszczyła brwi, powtarzając w głowie to, co powiedział Adolfo Patino: „Marnotrawni zostają wyeliminowani”. Czy to Wesaliusze stoją za śmiercią Bobby’ego? Wątpiła w to, że jej przyjaciel się powiesił. Nie miał po co! Nie miał powodu! Żadnego! Zresztą pamiętała dzień, kiedy zastanawiali się, jaką śmierć by wybrali, gdyby oczywiście musieli. Ona sama wybrała skok z wysokości. Choć przez kilka sekund można napawać się pięknym widokiem, by na końcu rozpląszczyć się na twardej ziemi. Natomiast oboje stwierdzili, że utopienie czy spalenie całkowicie nie wchodziło w grę. Bobby zastanawiał się nad powieszeniem lub zamrożeniem. W końcu, zdecydowany, wybrał to drugie, tłumacząc, że przecież żaden sznur by go nie utrzymał. Za to zamrożenie... no cóż. Bobby lubił zimowe klimaty, więc dla niego, jak twierdził, śmierć przez zamrożenie byłaby czystą frajdą. Bobby nie mógłby się powiesić... - rozbrzmiała myśl w zmęczonej głowie Erny. Nie wyprodukowano tak mocnego sznura... W końcu odpłynęła. Tej nocy spała spokojnie.

Rozdział 12

- *Napisała do mnie. Chce się spotkać. Znalazła telefon Samuela.*

Po drugiej stronie słuchawki dłuższa cisza.

- *To niedobrze... Gdzie i kiedy?*

- *Jutro w południe... nie wiem, czy to dobry...*

- *Gdzie?*

- *Co?*

- *Gdzie, do diabła, macie się spotkać?!*

Ciężkie westchnięcie po drugiej stronie słuchawki.

- *Parc de la Confédération...*

- *W dupę wsadź sobie swój francuski...*

- *...przy fontannie.*

- *A więc trzymamy się dalej naszego planu.*

- *Kiedy do mnie dziś zadzwoniłeś... kiedy usłyszałam twój głos w słuchawce, pomyślałam, że...*

- *Co pomyślałaś? Może to, że mi odbiło i postanowiłem wybaczyć pewnej głupiej krowie to, co odpierdoliła w swojej przeszłości? A przepraszam, błąd... W swojej I MOJEJ PRZESZŁOŚCI?!*

- *Jesteś niemiły...*

- *Akurat twoje zdanie mam głęboko gdzieś.*

- *I pewnie w miejscu, w którym miałabym sobie wsadzić swój francuski...*

- *Coś jeszcze?*

- *Nie... to znaczy... Tak sobie myślę. Czy nie powinnam jej powiedzieć, że... no wiesz, w końcu to też moja...*

- *Nawet, kurwa, nie próbuj! Teraz odezwał się w tobie macierzyński instynkt?! A gdzie był, kiedy wybierałaś pomiędzy życiem z rodziną, a kurwieniem się w tym szambie?!*

- *Ty także tkwisz w tym szambie!*

- Ale na jego powierzchni i po tej lepszej stronie! Ty za to wolisz się taplać w jego najciemniejszych odmętach! Zresztą pamiętaj, że obowiązuje nas pewna przysięga!

Dłuższa cisza po drugiej stronie słuchawki.

- Już dobrze, dobrze, nie denerwuj się tak! Masz rację. Nic jej nie powiem. To twoja... córka.

Odkaszlnięcie po drugiej stronie słuchawki.

- Tak, moja! I nic ci do tego.

- Zatem... do usłyszenia.

- Mam nadzieję, że ostatniego w moim życiu.

Równo za pięć dwunasta Erna, w czapce baseballowej i blond peruce, snuła się po parku, bacznie obserwując okrągły plac, pośrodku którego wznosiła się fontanna. Gdy tu zmierzała, przyszło jej na myśl, aby pożyczyć jakiegoś psa przywiązanego przed sklepem spożywczym, jednak w ostatniej chwili zrezygnowała, gdyż upatrzony czworonóg nie zareagował zbyt przyjaźnie na jej widok. Próbowwała zatem zachowywać się normalnie, o ile normalnie zachowują się samotne osoby kręcące się bez celu po parku. Erna dyskretnie spojrzała na swój zegarek. Właśnie wybiła dwunasta. Ostrożnie, jakby od niechcenia, zlustrowała ludzi znajdujących się w okolicy fontanny. Nie zauważyła jednak nikogo podejrzanego. Wiedziała, że nie może stać tu w nieskończoność. Im dłużej przebywała w jednym miejscu, tym większe było prawdopodobieństwo, że ktoś mógłby zwrócić na nią uwagę. Dwie minuty po dwunastej. Ostatni raz spojrzała w stronę betonowej fontanny. Starsza pani z pieskiem, młody mężczyzna siedzący na ławce i przeglądający coś w swoim smartfonie, dziewczynka na wózku inwalidzkim i kobieta będąca prawdopodobnie jej matką, dwoje małych dzieci zanurzających ręce w wodzie i ich rodzice... To wszystko. Nie było tam nikogo, kto w jakikolwiek sposób by się wyróżniał. Erna postanowiła wracać. Skierowała się do zaparkowanej nieopodal niepozornej Suzi. Na widok wgnieceń w karoserii, których sama była sprawcą, zrobiło jej się niedobrze. Jak mogła tak sponiewierać swoją ukochaną przyjaciółkę?! Po chwili

wsiadła do samochodu i odpaliła. Suzi zafurczała wesoło, po czym obie ruszyły przed siebie.

- To jeszcze nie koniec... - zaśpiewała na nikomu nieznaną melodię Erna. - Pomszczę cię, mój przyjacielu.

Na tylnym siedzeniu samochodu siedział Bobby. Jego postać odbiła się w przednim lusterku i zniknęła. Erna nawet go nie zauważyła. Nie mogła go zauważyć, bo właśnie włączała w starym samochodowym magnetofonie swoją ulubioną piosenkę. Po chwili wewnątrz Suzi zalały dźwięki znanego utworu.

- *I am what I am...* - zaczęła śpiewać Erna, starając się na próżno dorównać głosem Glorii Gaynor.

Gdzieś w zachodniej części Polski czarny samochód marki BMW zjechał z ekspresówki w leśną drogę. Bruce Cardona zaczął żałować, że nie wybrał na tę podróż terenowego auta. Listopadowe słońce przebijało się przez iglaste drzewa, odbijając swoje promienie od śnieżnej pokrywy. BMW dzielnie sunęło po tej trudnej powierzchni, dodatkowo pokrytej śniegiem, który w tym roku postanowił dość wcześnie powitać mieszkańców tego kraju.

- *Skręć w lewo, skręć w lewo* - nakazywał mu kobiecy głos wydobywający się z wbudowanego GPS-a.

Bruce zaczął podejrzewać, że urządzenie chce go zabić. Zarówno z lewej, jak i z prawej strony drogi wyrastały ogromne drzewa. Mógł jechać tylko przed siebie z nadzieją, że dobrze zapamiętał otrzymane dzień wcześniej od swojego szefa wskazówki. Nagle kobiecy głos zamilkł. Spojrzał na wyświetlacz. GPS usilnie próbował namierzyć jego położenie. Bruce wiedział, że nie da rady. Jego szef nie wybrałby na miejsce swojego pobytu siedliska z łatwym adresem. Oderwał prawą rękę od kierownicy i wyłączył bezużyteczny w tej sytuacji cud techniki. Im dalej wjeżdżał w las, tym droga była coraz bardziej wyboista. Cardona zwolnił, bojąc się, że urwie zawieszenie.

Jutro musi wrócić do Ottawy. Nie może pozwolić sobie na jakiegokolwiek opóźnienie. W porę dostrzegł spory kamień wyrastający na środku drogi i szybkim, zdecydowanym ruchem kierownicy zdołał

ominąć przeszkodę. Samochód wesoło podskakiwał, wpadając co chwilę w mniejsze i większe dziury, jednak Cardona nie podzielał jego nastroju. Wczorajszy telefon od szefa zaskoczył go. Oczywiście spodziewał się go prędzej czy później, jednak nie przypuszczał, że tak bardzo będzie się denerwował. Może to i dobrze? Może to i dobrze, że nie musiał długo czekać? Dziś wszystko się wyjaśni. Przynajmniej miał taką nadzieję. Wreszcie dostrzegł wyłaniający się w oddali budynek. Stara leśniczówka otoczona drzewami wyglądała na zanedbaną i opuszczoną. Tylko dym unoszący się z komina wskazywał na to, że ktoś ją jednak zamieszkuje. Bruce Cardona wjechał na zaśnieżone podwórze, parkując swój samochód niedaleko wejścia do budynku. Wyłączył silnik bmw, wziął kilka głębokich oddechów i wyszedł z auta.

Na zewnątrz było zimniej niż przypuszczał. Był zdenerwowany. Z jego ust zaczęła raz po raz wydobywać się gęsta para. Próbował jakoś zapanować nad swoimi emocjami. Już niedługo będzie po wszystkim – stwierdził w końcu i jakby pewniejszy siebie, skierował swoje kroki w stronę budynku. Nie uszedł jednak zbyt daleko. Głośny tętent biegnących w jego kierunku czterech rottweilerów rozproszył otaczającą go ciszę. Stał jak sparaliżowany. Ogromne rozwścieczone psy biegły do niego, szczerząc swoje potworne zębiska. A więc to koniec. Tak miał umrzeć. Rozerwany na strzępy i pożarty. Przejrzeli go. Dowiedzieli się i tak go chcieli ukarać. Przełknął ślinę, a jego grdyka zadrżała. Psy były niedaleko. Warcząc wściekle, szykowały się do skoku. Jeszcze chwila. Jego ostatni oddech. Zamknął oczy i mocno zacisnął pięści. Niech się dzieje. W tej samej chwili do jego uszu dobiegł odgłos otwieranych drzwi.

- Do nogi! - usłyszał znajomy tubalny głos.

Wyszkolone psy zastygły w bezruchu, rezygnując z planowanego ataku na nieznanego intruza. Bruce otworzył oczy i spojrzał w stronę drzwi wejściowych. To jednak nie była zasadzka. Odetchnął z ulgą.

Przy wiekowym kaflowym piecu, na ciemnozielonym uszaku siedział stary czarnoskóry mężczyzna. Jego głowa, obandażowana tuż nad brwiami, spoczywała na miękkim obiciu. Adolfo zauważył, że im jest starszy, tym bardziej mu zimno. Chyba dlatego, że stygnie. Gaśnie niczym wypalająca się świeca. Uśmiechnął się na to porównanie pod nosem i poprawił gruby koc otulający jego nogi. Był właśnie taką świecą, która dzielnie pali się do samego końca. Nie gaśnie zbyt szybko, tylko trwa aż wykorzysta cały przeznaczony dla niej воск. Dlatego Adolfo przed śmiercią musiał załatwić kilka spraw. Kilka spraw tak ważnych, jak choćby ta, którą miał omówić dzisiaj ze swoim gościem. Z czułością spojrzął na otaczające go alabastrowe popiersia. Był w gronie najwybitniejszych.

Drzwi do pokoju się otworzyły. Do środka wszedł Stefan Kruger ubrany tym razem nie w odświętny, elegancki garnitur, a w zwykłe jeansy i ciepły, gruby sweter.

- Panie Patino - zwrócił się do Gospodarza. - Mamy gościa.

Staruszek nagle się ożywił. Skinął w kierunku Krugera głową i raz jeszcze poprawił koc, naciągając go bardziej na siebie.

- Zaproś go tu, zaprosz - ponaglił Kucharza, czując, że dziś załatwi wiele ze swoich ostatnich spraw.

Po krótkiej chwili do pokoju nieśmiało weszła oczekiwana postać.

- Witaj, Bruce - zwrócił się w jego stronę Adolfo.

- Panie Patino - odpowiedział Cardona. - Miło mi pana widzieć, ale... - Od razu dostrzegł spory bandaż okalający głowę Gospodarza. - Co się panu... - wybełkotał zaskoczony.

- Ach - westchnął staruszek, machając pobłaźliwie ręką. - To nic takiego. Mała pamiątka po ostatniej Świętej Uczcie.

Bruce Cardona przełknął ślinę. Ponownie dotarło do niego to, co tamtego dnia wydarzyło się w hotelu Hommanger.

- Właśnie dlatego, mój drogi, zaprosiłem cię tutaj - poinformował go Patino.

Bruce stał nieruchomo. Przez chwilę myślał, że chyba lepiej byłoby dać się pożreć tym czterem wygłodniałym psom. Ta myśl zniknęła

jednak tak szybko, jak się pojawiła. Wciąż miał cichą nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży.

- Widzisz, mój drogi, tegoroczna Święta Uczta została, najłagodniej to ujmując - Patino pochylił się w stronę gościa - zbezczeszczona! - Jego głos zabrzmiał złowrogo.

- Ale... - wybełkotał niezdarnie Cardona - nie rozumiem. Przecież zlikwidowałem Bobby'ego. Nie zdołał nas oszukać. Nie zabił pana, tak jak planował.

Patino ponownie oparł plecy o fotel i uśmiechnął się krzywo.

- Samuel Junior Cavalcanti chciał nas zniszczyć. Chciał pomścić swojego ojca, który przecież oddał życie uczciwie. Po prostu przegrał w Wielkiej Grze.

Bruce Cardona wsłuchiwał się w dobrze znaną mu już historię, jednak przeczuwał, że to tylko wstęp do tego, co tak naprawdę zamierza powiedzieć mu dziś Gospodarz. Wkrótce miał się tego dowiedzieć.

- Faktem jest, że stary Samuel miał nadzieję objąć posadę Gospodarza. Myślał, że będzie lepszy ode mnie. Ale gra zdecydowała. - Adolfo oparł podbródek o swoją dłoń, z trudem już wspominając tamte wydarzenia.

- Los chciał, że stary Samuel przegrał i w ten sposób sam się wyeliminował - dokończył historię Kruger, który właśnie wszedł do pokoju.

Adolfo wciąż pogrążony był w swoich wspomnieniach.

- No tak, no tak... - odezwał się staruszek, trwając w zamyśleniu. - Samuel Junior otrzymał ogromną szansę. Od początku był trzymany z dala od Stowarzyszenia oraz swojego ojca. Nie miał innej rodziny. Nie miał matki która porzuciła go zaraz po urodzeniu...

- Gdyby nie pan, panie Patino, Bobby... to znaczy Samuel Junior trafiłby do domu dziecka - wpadł mu w słowo Kruger, czując neodpartą potrzebę pocieszenia swojego Gospodarza. - To pan dał mu szansę. To pan chciał, żeby dołączył on, gdy tylko będzie gotowy, do Stowarzyszenia, mimo że był synem pana największego

konkurenta! To pan znalazł mu bezpieczny dom i zapewnił przyszłość.
- Kruger wskazał swoją wielką dłonią na Bruce`a. - To dzięki panu, panie Patino, a nie dzięki jego słabemu ojcu.

- Myślę, że Stefan ma rację - odezwał się nieśmiało Cardona. - Samuel Junior dostał swoją szansę i jej nie wykorzystał. Chciał nabrać wszystkich, że zrozumiał, na czym polegała śmierć jego ojca. Udawał kogoś oddanego sprawie. Kogoś, kto chciałby całym sobą kontynuować dzieło Wesaliusza, a tak naprawdę chodziło mu tylko o zemstę. Chciał całe Stowarzyszenie wyrzucić w pień i gdyby tylko się dowiedział, że ja też należę do Stowarzyszenia, nie zawahałby się ani chwili, ale mnie również by zabił. - Bruce wzruszył obojętnie ramionami, dodając: - Tak być musiało.

Adolfo Patino spojrział na przybyłego gościa. Gdyby nie on, tegoroczna Święta Uczta skończyłaby się bardziej krwawo niż zazwyczaj. Kto wie, może by już nie żył. Musiał zgodzić się ze słowami Bruce'a i Stefana. Bobby, a raczej Samuel Junior, miał szansę. Adolfo zapewnił mu dostatnie życie u boku zaufanego Cardony. Chłopak, gdy tylko stał się pełnoletni, miał szansę wyszkolić się na perfekcyjnego płatnego mordercę. Jak się później okazało, był także świetnym mechanikiem samochodowym. Nigdy nie wspominał o swoim prawdziwym ojcu i o pamiętnej Świętej Uczcie, o której dobrze wiedział. Wszystko wskazywało na to, że być może będzie on kontynuował tradycję rodziny Cavalcantich, która przecież od pokoleń przynależała do Wesaliuszy. Jednak, jak się okazało, Bobby miał okrutny, niegodziwy plan. Plan zlikwidowania wszystkich członków Stowarzyszenia. Na szczęście nie wiedział o tym, że jego szef, któremu tyle zawdzięczał, także jest Wesaliuszem. Zdradził mu swój straszny i nikczemny plan, nie wiedząc, że tym samym podpisuje na siebie wyrok śmierci. Jednak Adolfo, wysyłając zaproszenie do młodego Samuela, miał nadzieję. Wierzył w tego człowieka. Myślał, że będzie godnym kontynuatorem, że będzie kimś więcej niż jego ojciec. Adolfo dał się jednak nabrać. Ufność była jego starczą wadą. Jedno

jest pewne. Każdy Wesaliusz wstydziłby się takiego wyrodnego dziecka...

- Panie Patino - rzekł Bruce, wyrywając Adolfo z zamyślenia. - Chyba nie sprowadził mnie pan tu po to, aby opowiadać o faktach, o których już wiem?

Patino uniósł gwałtownie głowę i zmarszczył brwi.

- Oczywiście, że nie. - Pokręcił stanowczo głową. - Chociaż muszę powiedzieć, że jesteśmy ci ogromnie wdzięczni za to, co zrobiłeś. Oczywiście dostaniesz od Stowarzyszenia odpowiednie wynagrodzenie.

- Ja tylko zrobiłem to, co do mnie należało.

- Tak - potwierdził Patino. - Ale praca nad młodym Cavalcantim trwała wiele lat, a ty wciąż byłeś czujny. Dlatego zasłużyłeś na nagrodę.

Bruce tylko skinął głową. W tym momencie dotarło do niego, że Stowarzyszenie się nie zorientowało. Był więc bezpieczny. Jeszcze...

- Jednak, jak już sam zauważyłeś, nie wezwałem cię w sprawie Bobby'ego. Ostatnia Święta Uczta - na ponowne jej wspomnienie mięśnie twarzy Patino delikatnie drgnęły - nie przebiegła w sposób w pełni prawidłowy - dokończył z trudem. Czuł wzbierającą w nim wściekłość.

- Dotarły do mnie pewne informacje - przyznał Cardona. - Tegoroczna Uczta została...

- Zbezczeszczona - dokończył za niego Kruger, który z niesmakiem pokręcił głową.

Patino poczuł ukłucie w sercu. Zgiął się gwałtownie, a kocyk okalający jego nogi opadł na drewnianą posadzkę. Stefan szybko ruszył mu na pomoc. Doskoczył do fotela, przytrzymując wątłe ciało Gospodarza. Zaskoczony Bruce stał nieruchomo, nie za bardzo wiedząc, jak ma się w tej sytuacji zachować.

- Podaj mi szklanę wody! - krzyknął w jego stronę Kruger.

Cardona rozejrzał się po pokoju. Na stojącym tuż za nim stoliku dostrzegł kryształową karafkę i kilka pustych szklanek. Wypełnił

jedną z nich przeźroczyście ciecżą i szybko podał ją Krugerowi.

- Proszę, niech pan się napije. - Stefan zbliżył szklanekę do ust staruszka i pozwolił mu upić kilka sporych łyków.

Adolfo poczuł, jak zimna ciecz rozlewa się po jego ciele. Wreszcie poczuł ulgę. Jego serce znów zaczęło wybijać spokojny rytm. Dotkliwe ukłucie odeszło. Oddychając ciężko, oparł się o fotel. Kruger podniósł koc z podłogi i nakrył nim starannie nogi Gospodarza.

- Już w porządku? - zapytał zatroskany.

Patino kiwnął głową, po czym zwrócił się do swojego gościa.

- Wybacz, Bruce. Starość potrafi nieoczekiwanie wtrącić się do każdej rozmowy - zażartował słabym głosem. - A ostatnie wydarzenia jeszcze bardziej mnie dobiły. Widzisz, kochany... - Adolfo skupił teraz wzrok na Cardonie - na ostatniej Świętej Uczcie pojawił się ktoś niespodziewany. Ktoś, kto o mało nie doprowadził do totalnej katastrofy. Gdybym nie wiedział, że pozbyłeś się młodego Cavalcantiego, myślałbym, że to ktoś działający na jego zlecenie.

Bruce spuścił na chwilę wzrok, nie mogąc dłużej znieść świdrującego spojrzenia Gospodarza.

- Jednak wszyscy wiemy, że Bobby został zlikwidowany, więc te domysły są błędne. - Cardona ponownie spojrzał na Patino. - Przez moją starczą naiwność - kontynuował dalej staruszek - wpuściłem niespodziewanego gościa w moje progi i przez tę właśnie starczą naiwność o mało nie doprowadziłem do katastrofy... - zganił sam siebie.

Do dziś nie mógł sobie wybaczyć tego, co zrobił. Ta dziewczyna miała w sobie coś, co trudno było określić. Coś, co sprawiało, że on, Gospodarz, dostrzegł w niej predyspozycje, dzięki którym mogłaby dołączyć do ich Stowarzyszenia. Ten błysk w oku za każdym razem, gdy dzielił się z nią drobnymi tajemnicami. Ta ogromna liczba dań na Świętej Uczcie, które pochłonęła ze smakiem... To niewiarygodne, jak bardzo się pomylił... Ta kobieta nie była godna nawet jego spojrzenia!

- To nie pana wina! - zaprotestował stanowczo Kruger. - Nikt z nas nie mógł się tego spodziewać!

- Masz rację - odparł z przekonaniem Adolfo Patino, dodając: - Takiej cholery nikt nie mógł się spodziewać!

Bruce zaśmiał się niezręcznie, jednak szybko się zorientował, że tylko on pozwolił sobie na tak frywolną reakcję. Momentalnie przywołał się do porządku.

- Ida Abramova - wymamrotał Patino. Kruger prychnął pogardliwie. - Stowarzyszenie zlikwidowało już jej męża i przejęło cały jego majątek, jednak jej samej jeszcze nie odnaleziono.

- Myślę, że jest to tylko kwestia czasu. Już zresztą jesteśmy na jej tropie - uściślił Stefan.

- Wciąż nie rozumiem, w czym mogę wam pomóc, skoro Stowarzyszenie świetnie sobie radzi z odnalezieniem Marnotrawnych. - Choć Bruce znał odpowiedź, musiał udawać, że nie spodziewa się tego, co ma za chwilę usłyszeć.

- To nie Ida Abramova była głównym sprawcą zbezczeszczenia Uczty. Oczywiście znacznie się do tego przyczyniła i dlatego zostanie zlikwidowana... - Patino zamilkł na moment. Cardona przyglądał mu się z zainteresowaniem. - Erna Brown - uściślił w końcu Gospodarz. - To niejaka Erna Brown była tym niezapowiedzianym gościem, który przyniósł nam taką katastrofę! - Na twarzy Adolfo malowała się teraz nieopisana złość.

- Wciąż nie rozumiem, w czym mogę wam pomóc - powiedział ostrożnie Bruce, nie chcąc jeszcze bardziej rozjuszyć już i tak wściekłego Gospodarza.

Stojący przy fotelu Kruger westchnął ciężko.

- Problem w tym, że Stowarzyszenie nie natrafiło na jakikolwiek ślad związany z Erną Brown - rzekł Kucharz. - Jakby zapadła się pod ziemię.

- Nie sprawdziliście jej, gdy pojawiła się w hotelu? - spytał zdziwiony Bruce.

- Sprawdziłem. Od razu, gdy tylko przekroczyła jego próg - zaczął wyjaśniać Stefan, spoglądając na Adolfo Patino. - Trzymałem w ręku jej dowód. Powiedziała nam, że pracuje dla pewnego portalu

internetowego i jest dziennikarką. Zrobiłem szybkie rozpoznanie i wszystko się zgadzało. W internecie były artykuły podpisane jej imieniem i nazwiskiem. Było nawet zdjęcie. A po tym całym zdarzeniu... - Kruger zacisnął mocno szczękę. Jego twarz wyrażała jednocześnie złość i niedowierzenie.

- Po prostu wszystkie informacje o tej dziewczynie wyparowały - dokończył Adolfo. - Tak jakby ktoś jej pomagał. Dziś już wiemy, że Erna Brown, o ile w ogóle taki ktoś istnieje, z pewnością nie była dziennikarką.

- A więc kim? - spytał zdumiony Bruce.

- Gdybym to wiedział, już dawno Stowarzyszenie rozprawiłoby się z tą dziewczuchą. Jednak do dziś nie możemy jej znaleźć - wyjaśnił Adolfo. - Nie tylko jej, ale czegokolwiek, co mogłoby nam pomóc w jej odnalezieniu. Dlatego, mój drogi, zaprosiłem cię dziś do siebie.

Bruce stał bez ruchu, przyglądając się Gospodarzowi.

- Chcę, żeby twoja korporacja odnalazła i zlikwidowała Ernę Brown.

Cardona milczał. Milczał i wpatrywał się w siedzącego tuż przed nim staruszka. Czy mógł mu odmówić? Oczywiście, że nie.

- Zajmę się tym. Macie moje słowo.

Adolfo Patino uśmiechnął się szczerze w jego kierunku. Wiedział, że może na niego liczyć. Wiedział, że Bruce zrobi wszystko, aby spełnić jego prośbę.

- A więc pozostajemy w kontakcie. Kruger odprowadzi cię do samochodu. Cardona skinął na pożegnanie głową i ruszył w stronę wyjścia.

- Poczekaj! - rzucił niespodziewanie w jego stronę Patino, nim ten zdołał opuścić pokój. - Zapomniałbym o najważniejszym.

Bruce, myśląc, że usłyszał już wszystko, marzył tylko, aby znaleźć się w swoim czarnym bmw. To musiało jednak jeszcze trochę poczekać.

- Tak? - zdziwił się Cardona. Po minie Krugera odczytał, że ten także nie ma pojęcia, czego jeszcze może chcieć od niego Adolfo.

- Jak wiemy, moje dni są policzone - stwierdził bez żadnych emocji Patino. - Dużo nad tym myślałem i mam tylko nadzieję, że ty, Stefanie, zrozumiesz to, co zamierzam zrobić.

Stefan spojrział zdziwiony na starszaka, kompletnie nie wiedząc, o co może mu chodzić.

- Jako jeden z wielu obecnie rządzących Gospodarzy Stowarzyszenia Wesaliuszy, stanąłem przed ciężkim wyzwaniem. Wyzwaniem które prawie doprowadziło do zniweczenia całych moich zasług. Dlatego też, gdy umrę, chcę, aby zastąpił mnie ktoś, kto będzie kontynuował moje dzieło jako silny, bezwzględny i doświadczony przywódca. Ty, mój drogi - zwrócił się w stronę niekryjącego teraz zaskoczenia Krugera - ty jesteś kimś, w kim upatruję przywódcę naszej grupy. Władczego Gospodarza. - Kruger na te słowa wyprostował się dumnie i uśmiechnął. - Jednak w tej chwili, w obecnym czasie, muszę wybrać kogoś, kto będzie w stanie dobrze zabezpieczyć i ochraniać nasze Stowarzyszenie. - Uśmiech zniknął z twarzy Stefana tak szybko, jak się na niej pojawił. - Dlatego - kontynuował Patino - chciałbym, aby po mojej śmierci Gospodarzem w tej nadzwyczaj trudnej dla nas sytuacji został Bruce.

Po tym przemówieniu w pokoju zapanowała totalna cisza. Stefan Kruger bił się z własnymi myślami. Z własnymi odczuciami. Czy czuł się zawiedziony? Czy czuł się oszukany? Spojrzął na Adolfo Patino. Na swojego przyszywanego ojca, w którego tak bardzo wierzył. Czy tym razem Patino miał rację? Stefan Kruger szybko doszedł do wniosku, że Gospodarz wiedział, co robi. Czy Stefan Kruger chciałby przejąć jego rolę w tak trudnym dla nich czasie? Czy chciałby brać na siebie taki ogrom odpowiedzialności? W końcu dotarło do niego, że w ten sposób Adolfo Patino chciał go uchronić. Chciał, żeby Kruger został Gospodarzem w lepszych czasach, a teraz, gdy okryli się hańbą... Teraz ten ciężar miał spocząć na Cardonie. Kruger nie mógł mieć nic przeciwko temu.

- Oczywiście wszystko wcześniej ustaliłem z Wielką Radą Stowarzyszenia. Bruce, czy zgodzisz się zatem, aby po mojej śmierci

przejąć rolę Gospodarza u boku tak znakomitego Kucharza, jakim jest Stefan Kruger?

- Tak - przytaknął bez zastanowienia Cardona. - To będzie dla mnie ogromny zaszczyt - dodał po chwili.

Zadowolony staruszek wykrzyknął:

- Wspaniale! A teraz wybaczcie, ale muszę uciąć sobie drzemkę.

Po chwili Bruce oraz Kruger opuścili pokój, pozostawiając w nim uradowanego Adolfo Patino, który bardzo szybko odpłynął w świat swoich mrocznych snów.

Cardona pośpiesznie wsiadł do bmw, odpalił silnik i ruszył w drogę powrotną, pozostawiając starą leśniczówkę za sobą. Nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie stało. Czy mógł liczyć na lepszy obrót sprawy? Nie! To mu wiele ułatwi. Wszystko zaczęło się układać. Gdyby nie ta zaskakująca propozycja Gospodarza, musiałby do końca życia dobrze ukrywać niejaką Ernę Brown. Byłoby to, oczywiście, wykonalne, ale niezwykle męczące. Musiałby żyć w ciągłym stresie, którego i tak ma pod dostatkiem. Jednak dzięki propozycji Patino wszystko się zmieniło. Staruszek długo już nie pociągnie. Gołym okiem widać, że jego dni są policzone, a wtedy on, Bruce Cardona, zostanie Gospodarzem. Dostąpi tego zaszczytnego miejsca i...

Czarne bmw zapiszczało boleśnie. Bruce poczuł silne uderzenie tuż pod swoimi stopami. Tym razem zapomniał ominąć duży kamień sterczący na samym środku drogi. Jednak jego samochód jechał dalej.

Tak... - Cardona znowu się zamyślił. Stowarzyszenie Wesaliuszy zawsze inwigilowało swoich członków. Wiedziało dosłownie wszystko i nic nie można było przed nimi ukryć. Jednak Bruce Cardona miał ten przywilej, dzięki któremu Stowarzyszenie nie wiedziało, a nawet nie mogło wiedzieć nic o jego życiu prywatnym. Również szczegóły swojej specyficznej działalności mógł zachować wyłącznie dla siebie, a dokładnie udostępniać Stowarzyszeniu tylko te informacje, które sam chciał. Przywilej ten zawdzięczał jednemu... pochodzeniu. Jak dobrze było należeć do jednego z najstarszych rodów Wesaliuszy... Bruce uśmiechnął się pod nosem. Dzisiejszego dnia miał mimo

wszystko wiele szczęścia. Gdy już zostanie Gospodarzem, pierwsze, co zrobi, to uciszy sprawę Erny Brown. To będzie jego priorytet. Po jego twarzy przemknął cień troski. Przecież nie mógłby zabić własnego dziecka...

Gdy Bruce Cardona wjechał na drogę ekspresową, słońce już dawno przestało świecić. Okolica pokryła się mrokiem i tylko srebrna tarcza księżycy oświetlała delikatnie ośnieżony krajobraz.



Andreas Vesalius, De humani corporis fabrica – drzeworytowy frontyspis, 1543



Obraz *Alegoria Mądrości*, Tycjan, 1566-1570



Obraz *Magdalena* - wersja pierwsza, Tycjan, 1533-1535



Obraz *Magdalena* - wersja druga, Tycjan, 1565

Postaci oraz wydarzenia w tej książce, oprócz tych, które znajdują się w domenie publicznej, są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żyjących i zmarłych jest przypadkowe.

Marnotrawny

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8219-173-8

© Natalia Kassa i Wydawnictwo Novae Res 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Dominik Leszczyński

KOREKTA: Kinga Dolczewska

OKŁADKA: Michał Duława

ZDJĘCIA: defotoberg | Shutterstock.com, Lario Tus | Shutterstock.com

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716-78-59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacytani.pl.